



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

TOM VI

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

Skazaniec

tom VI

Liczba Życia

Dla Remigiusza Michalika w podziękowaniu

za bezinteresowną pomoc przy realizacji moich

pomysłów związanych z projektem Skazaniec.

Pokusa. To uczucie nie jest wam obce, prawda? Z własnego doświadczenia wiem, że większość ludzi przynajmniej raz w swoim życiu świadomie poznało smak zakazanego owocu. Człowiek to bardzo skomplikowana istota. Jesteśmy pełni sprzeczności, czasami potrafimy balansować na granicy ryzyka tylko po to, żeby nasycić swoją ciekawość lub chęć doznań. Krótko mówiąc, pragniemy wrażeń. Oczywiście zaspokojenie naszych ekscytujących potrzeb ma różne oblicza i większość z nich wiąże się z używkami. Nasza wrodzona słabość, to wrota wiodące do mrocznej krainy złudzeń i łatwo się tam zatracić, coś o tym wiem. Jednak jak to mówią, wszystko jest dla ludzi, trzeba tylko zachować umiar i zdrowy rozsądek.

Kilka miesięcy temu, mając na karku grubo ponad dziewięćdziesiąt lat, pierwszy raz w życiu upaliłem się ziołem i poznałem bardzo ciekawe słowo, które brzmi - zajebicie. Podoba mi się ten wyraz, bo wspaniale oddaje całą gamę pozytywnych uczuć. Jak na ironię, te obie sprawy zawdzięczam Pędrakowi, o którym nie omieszkał jeszcze wspomnieć. Wracając jednak do palenia cudownej roślinki zwanej oficjalnie marihuaną, to muszę wam powiedzieć, że jej zaczarowana moc bardzo mnie urzekła. Nigdy bym nie pomyślał, że jaranie trawki może mieć tak magiczne działanie. Cholernie mi się podobało! Wystarczyło raptem kilka machów i po raz pierwszy w życiu dopadło mnie uczucie boskiej błogości. Nigdy wcześniej nie zaznałem takiego zniewalającego odprężenia. Nigdy! Miałem wrażenie, że moje ciało i duszę wypełnia rozkoszna lekkość, a jednocześnie przez moją głowę toczyła się intensywna nawałnica myśli. Umysł pracował na pełnych obrotach, a każda myśl niosła z sobą oszalamiające doznania. Wystarczyło, że bezwiednie poddałem się swoim emocjom, a one uniosły mnie niczym morskie fale w daleki, nostalgiczny rejs. Tylko paląc zioło można doświadczyć takiego stanu. Niektórzy z was pewnie wiedzą o czym piszę... Najlepsze jest to, że jakimś cudem czas wtedy zwalnia swój bieg. Mija raptem kilka chwil, a człowiekowi wydaje się, że upłynęły długie godziny. Świadomie o tym wspominam, ponieważ jest to najbardziej odpowiednie porównanie do sytuacji, którą przeżyłem w grudniowe przedpołudnie 1951 roku, chwilę po tym, jak przekroczyłem drzwi wiodące do SALI ODWIEDZIN. W tym samym momencie, kiedy ujrzałem twarz kobiety, która zjawiła się z wizytą mógłbym przysiąc, że czas oszalał. Mój umysł eksplodował, tabuny myśli zerwały się do galopu, serce zaczęło dudnić w piersiach i nie byłem w stanie zaczerpnąć oddechu. W tamtej chwili miałem wrażenie, jakby otuliła mnie otchłań wieczności. Stałem niczym kamienny posąg, chociaż cały świat trząsał się i drżał w swoich posadach. Ściany budynku zaczęły się rozmywać i znikać. Stoję pośrodku ulicy, a po bokach ciągną się rzędy kamienic z czerwonej cegły, nagle ich krwisty kolor zamienia się w soczystą zieleń wiosennych liści. Widzę przed sobą jej twarz i widzę wyraźnie, że w jej szmaragdowych oczach czai się delikatny uśmiech. A może to nie był uśmiech tylko przelotny grymas, który musnął jej oblicze? Mknę, unoszę się, pędzę i czuję w nozdrzach znajomy zapach kwitnących bzów, moje oblicze smagają ciepłe podmuchy majowego wiatru. Nagle zmiana scenerii i już nie jest zielono, bo mamy jesień, a wszystko dookoła mieni się magicznym blaskiem rubinów połyskujących w promieniach złotego słońca.

Wtem słyszę kobiecy głos, zupełnie jakby dobiegał z innego świata.

- Pan Stefan Żabikowski?

Wracam. Znow jestem w przestronnym pomieszczeniu. Pośród wybiałkowanych ścian stoją trzy rzędy stołów, a za oknami pada grudniowy śnieg.

- Pan Stefan Żabikowski? - Powtórzyła podchodząc w moim kierunku, a ja miałem ochotę powiedzieć - Nie poznajesz mnie?! Agnieszko, naprawdę mnie nie poznajesz?! Jak to możliwe, że... że jesteś znow taka młoda?! Ty istniejesz, czy jesteś tylko snem albo żywym wspomnieniem?

- Dzień dobry - rzekła zatrzymując się zaledwie dwa kroki przede mną. - Nazywam się Małgorzata Dowell - wyciągnęła przed siebie dłoń na powitanie. - Jestem córką Agnieszki Stokłosa z domu Wypych. - Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby chciała się upewnić, czy wiem o kogo chodzi.

- Dzień dobry - odparłem i uściśniłem jej delikatną dłoń.

- Może usiądziemy? - Zapropozowała i w tym samym momencie wskazała ręką na stół po prawej stronie.

Zdjąłem moją kufajkę, zawiesiłem ją na oparciu krzesła i usiadłem na wprost niej. Zaschło mi w gardle i jeśli byłaby taka możliwość, to pewnie wypiłbym wiadro wody.

- Miło mi pana poznać.

Spoglądałem na jej młodą twarz.

- Mnie również - odparłem dopiero po chwili, bo nadal byłem w szoku. - Jest pani bardzo podobna do swojej mamy. Niesamowicie podobna. - A w duchu szepnąłem: - *Taką ją właśnie zapamiętałem.*

Nie wiedziałem czemu zawdzięczam jej wizytę i jak mam zacząć rozmowę.

- A co u niej? Jak się miewa? Wszystko dobrze? - Zapytałem, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

Spojrzała mi prosto w oczy i rzekła smutnym głosem:

- Moja mama umarła pięć lat temu.

Na dźwięk jej słów poczułem się tak, jakby jakiś dziki, bezlitosny zwierz zatopił w moim karku ostre, lodowate kły.

- Nie żyje? - Szepnąłem z niedowierzaniem. - Jak to... nie żyje? Co się stało? - Słyszałem wyraźnie, że głos mi drży i poczułem jak puls dudni w skroniach. Miałem wrażenie, jakby ktoś dźgnął mnie zimnym sztyletem prosto w serce. W jednej chwili przed oczami mojej wyobraźni zaczęły się przewijać kadry odległych wspomnień. W głowie eksplodowało tysiące natarcywych pytań i w tym samym momencie poczułem w duszy niesamowity ból. Splotłem palce dłoni jak do modlitwy i zapytałem:

- Jak to się stało, że umarła?

- Zabrała ją choroba - powiedziała smutnym głosem. - Cierpiała na dolegliwość, na którą medycyna nie znalazła jeszcze lekarstwa. Kilka tygodni przed śmiercią, kiedy już chyba przeczuwała, że nadciąga koniec, poprosiła mnie o trzy rzeczy. Chciała, żebym w przyszłości zawiozła jej prochy do ojczywego kraju, aby mogła spocząć obok swych przodków. Wtedy też opowiedziała mi o panu - spojrzała mi prosto w oczy. - Myślę, że moja mama bardzo pana... - zamilkła na moment, jakby szukała odpowiedniego słowa i po chwili dodała: - Myślę, że był pan dla niej kimś bardzo ważnym. Miałam wtedy niespełna dwadzieścia lat i przyznam się szczerze, że kiedy opowiedziała mi o waszej znajomości, byłam zaskoczona. Długo nie potrafiłam oswoić się z tą myślą. To było dla

mnie bardzo trudne. Przed śmiercią kazała mi przysiąc, że jeśli kiedykolwiek pojedę do Polski, żeby złożyć jej prochy w rodzinnym mieście, to muszę również odnaleźć pana.

Już miałem ją zapytać w jakim celu, kiedy nagle ujrzałem jak sięga do wnętrza swojej skórzanej torby i wyjmując kremową kopertę. Położyła ją na blacie stołu i wolnym ruchem przesunęła w moim kierunku. W miejscu, gdzie powinien widnieć adres odbiorcy było napisane "Dla Stanisława Stefana".

Spoglądałem na kopertę, ale nie byłem w stanie po nią sięgnąć. Zaciskałem palce z taką siłą, jakbym chciał je sobie wyłamać.

- W zeszłym roku przyszedł list - powiedziała - na kopercie widniały pieczętki, że przeszedł cenzurę, a nadawcą był Stanisław Stefański. Domyśliłam się, że to wiadomość od pana i że została wysłana nieoficjalnie.

Spojrzałem na nią zaskoczonym wzrokiem.

- Moja mama miała bardzo nietypowe życzenie - ciągnęła dalej - powiedziała mi, że w kufrze na strychu trzyma swoje osobiste pamiątki i jest tam również korespondencja, którą dostawała od pana. Chciała, żebym spaliła wszystkie listy i wsypała do urny z prochami. Natomiast ten - wskazała wzrokiem na kopertę leżącą na blacie - miałam panu doręczyć osobiście. Nie wiem co w nim jest. Wiele razy chciałam go otworzyć, ale może mi pan wierzyć na słowo, że tego nie zrobiłam.

Tym razem ja zerknąłem na kremową kopertę. To było pismo Agnieszki.

Przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu.

- Nie otworzy pan? - Zapytała.

Spojrzałem na jej twarz i siląc się na uprzejmy ton, odparłem:

- Oczywiście, że otworzę.

Delikatnie rozdarłem na kancie brzeg papieru. W środku znajdowała się czarno-biała fotografia. To było pamiątkowe zdjęcie, które zrobiliśmy sobie w drugą rocznicę naszej znajomości. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w zaczarowany kadr, który uwiecznił moment szczęścia z mojej przeszłości. Czułem, że łzy podchodzą mi do oczu. Nie potrafiłem zapanować nad swoim wzruszeniem. Rękawem bluzy przetarłem wilgotne ślepie. Dobry Boże, tylko ja jeden wiem ile cudownych wspomnień wiązało się z tamtą chwilą! Świat, który przeminął odżył w mej pamięci, a w sercu zabrzmiały echa zamierzchłych czasów. Spoglądałem na fotografię i czułem jak niewidzialne szpony zaciskają się na mej krtani. Od tamtego dnia minęło ponad trzydzieści długich lat. Trzydzieści ponurych i bezbarwnych lat, które trudno nawet nazwać życiem. Miałem ochotę poderwać się na równe nogi i zwyzywać Stwórcę za to, że pozwolił na tę niegodziwość, która mnie spotkała. Widział co się dzieje, spoglądał na to i nawet nie kiwnął palcem, żeby coś zmienić. Zostawił mnie na pastwę losu, chociaż wcale sobie na to nie zasłużyłem. Fala gniewu minęła równie szybko, jak się zjawiała, a zaraz potem poczułem żal. Gorzki żal, pełen bólu i niemocy. Zerknąłem na rewers fotografii. W lewym górnym rogu widniała data 30.05.1921 r. a poniżej trzy słowa: "Zawsze mnie kochaj".

- Mogę zobaczyć? - Zapytała moja rozmówczyni.

Podąłem jej zdjęcie.

Przez chwilę wpatrywała się w zastygłe w bezruchu ujęcie, a potem je obróciła i zerknęła na adnotację.

Nic nie powiedziała.

Siedzieliśmy w milczeniu, a cisza dźwięczała mi w uszach.

- Spełniła pani prośbę swojej mamy w sprawie pochówku? - Zagadnąłem, żeby przerwać tę irytującą sytuację.

- Tak - odparła. - Pochowałam ją na kaliskim cmentarzu, obok grobu moich dziadków, a jej rodziców.

- Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli sobie zapalę? - Właściwie zapytałem z grzeczności, bo nie czekając na jej odpowiedź, sięgnąłem do kieszeni po papierośnicę.

- Jeśli tylko ma pan ochotę - powiedziała - to proszę się nie krępować.

Zaciągnąłem się głęboko dymem i rzekłem:

- Świetnie pani mówi po polsku.

- W Chicago mieszkaliśmy w polskiej dzielnicy, w domu rozmawialiśmy po polsku, więc chcąc nie chcąc nie miałam innego wyjścia - uśmiechnęła się. - Chodziłam do amerykańskiej szkoły, ale mama nauczyła mnie również pisać i czytać po polsku - wyjaśniła w kilku słowach.

- A pani ojciec, o ile mogę zapytać...

- Od chwili kiedy nas opuścił, nie miałam z nim kontaktu - odpowiedziała zanim zdążyłem dokończyć zdanie. - Nie wiem co się z nim dzieje, nie mam pojęcia gdzie mieszka i co robi - wzruszyła ramionami.

Patrząc na nią widziałem mnóstwo znajomych gestów. Odgarniała włosy identycznie jak Agnieszka, miała te same oczy, to samo spojrzenie i uśmiech. Odziedziczyła jej urodę oraz sposób bycia i tylko barwa głosu świadczyła o tym, że nie jest tą samą osobą.

W mojej głowie kołatały rozbiegane myśli, miałem milion pytań ale nie wiedziałem, jak mam je wypowiedzieć. Byłem również ciekaw jak to się stało, że pozwolili jej na odwiedzinę nie dość, że w środku tygodnia, to jeszcze o tak niefortunnej godzinie.

- Mój mąż jest pracownikiem amerykańskiej ambasady w Warszawie - wyjaśniła mi w kilku słowach - i dzięki jego protekcji mogłam sobie pozwolić na wyjazd do Polski. Użył również swoich wpływów i dzięki temu doszło do naszego spotkania.

Odniosłem wrażenie, że jest bardzo odważna, bowiem cały czas spoglądała mi prosto w oczy i ani na moment nie uciekała wzrokiem w inną stronę.

- Niech mi pani powie, a jak wiodło się pani mamie na obczyźnie?

- Z tego co wiem, to na początku było jej bardzo ciężko, a szczególnie wtedy, kiedy mąż ją zostawił. Niewiele pamiętam z mojego wczesnego dzieciństwa - rzekła. - Po latach mama otworzyła własną firmę krawiecką, którą nazwała "A&S" i z czasem odniosła sukces. Zawsze myślałam, że nazwa "A&S" oznacza jej inicjały, Agnieszka Stokłosa i było to dla mnie oczywiste. Jednak sześć lat temu zdradziła mi, co kryje się za nazwą "A&S". Owszem, to są inicjały, ale imion. Zapewne już się pan domyśla, jakie imię kryje się za literą S - spojrzała mi prosto w oczy i po chwili dodała: - Ona nigdy o panu nie zapomniła.

Na dźwięk jej słów poczułem, jak zimny dreszcz otula moje całe ciało. Przyznam się wam szczerze, że w tamtej chwili miałem ochotę rozplakać się jak chłopiec.

- Obecnie ja prowadzę firmę - ciągnęła dalej - ale ze zdecydowanie większym rozmachem i myślę, że mama byłaby ze mnie dumna.

- Kiedy zmarła? - Zapytałem zniemacka zmieniając temat.

- 30 maja 1946 roku.

Spojrzałem na nią zaskoczonym wzrokiem, a w myślach krzyknąłem: - *Chryste Panie! Przecież ścieżki naszego życia przecięły się właśnie tego dnia!* Nasze pierwsze spotkanie, nasz pierwszy wspólny spacer miały miejsce 30 maja trzydzieści dwa lata temu.

Z trudem powstrzymałem swoje emocje na wodzy i tylko pokiwałem głową, jakbym tym gestem chciał jej powiedzieć, że zapamiętam tę datę do końca życia. Zmarła, kiedy ja siedziałem zamknięty w karczerze i w ciemnościach przeżywałem swoją podróż pełną wspomnień z młodzieńczych lat.

- Kiedy wybuchła II wojna światowa moja mama miała nadzieję, że pan opuścił więzienie. Pisała do różnych instytucji, żeby uzyskać jakiegokolwiek informacje. Z tego co wiem, to chciała pana odnaleźć i ściągnąć do Stanów... - Spoglądałem na nią, widziałem, że porusza ustami, ale nie słyszałem żadnego słowa. W mojej głowie rozlegał się tylko wściekły krzyk. - Nigdy nie straciła nadziei i ufała, że udało się panu przeżyć. Nie wiem za co pan został skazany, ale chcę pana zapewnić, że ona zawsze wierzyła w pańską niewinność. - Przez moment przyglądała mi się badawczym wzrokiem i nagle zapytała: - Czy mogę liczyć na pańską szczerłość?

- Oczywiście - odparłem bez namysłu.

- Proszę mi więc powiedzieć, dlaczego pan jest w więzieniu?

Wzięłem głęboki oddech i nim zacząłem mówić, sięgnąłem po kolejnego papierosa.

- Dawno temu, kiedy ja i Agnieszka... Kiedy ja i pani mama - poprawiłem się - mieliśmy raptem po dwadzieścia lat - tymi słowami zacząłem snuć swą krótką opowieść - doszło w Kaliszu do zabójstwa. Przypadek sprawił, że zostałem oskarżony o to morderstwo. Prokurator domagał się dla mnie kary śmierci, ale ze względu na mój młody wiek oraz fakt, że nigdy nie byłem karany plus inne dodatkowe okoliczności - chciałem jej dać do zrozumienia, że nie będę się wgłębiał w temat - zostałem skazany na dożywocie. Od tamtej pory przebywam w tym więzieniu i wszystko wskazuje na to, że pozostanę tutaj, aż do swej śmierci. - Zauważyłem, że w jej oczach mignął cień strachu. Pewnie przez głowę przebiegła jej myśl, że oto siedzi przed nią bezwzględny morderca. Nie wiem dlaczego, ale czułem się zobowiązany powiedzieć jej, że nie przyłożyłem ręki do tego zabójstwa i rzekłem: - Wszystkie dowody wskazywały na mnie, ale Bóg mi świadkiem, że nie popełniłem tej zbrodni.

- Nie ubiegał się pan o rewizję wyroku? O ponowne śledztwo w tej sprawie? - Zapytała zaskoczonym głosem.

- Droga pani - posłałem jej uśmiech - Polska to dziki kraj. Nie mam żadnych szans, żeby domagać się wznowienia sprawy. Poza tym są jeszcze inne nieprzyjemne okoliczności, ale wolałbym o tym nie mówić - chciałem jak najszybciej uciąć ten wątek naszej dyskusji. - Ma pani przy sobie jakieś zdjęcie Agnieszki? - Zmieniłem temat.

Sięgnęła dłonią do torby, wyjęła skórzany portfel, po chwili podała mi niedużą fotografię i rzekła:

- Zostało zrobione w 1943 roku.

Na ujęciu widniała jej uśmiechnięta twarz. Miała krótko obcięte włosy i nadal była bardzo piękna. Dojrzała i piękna. Oczywiście nieco zmieniła się od czasów swojej młodości, ale nie miałbym najmniejszych problemów, żeby rozpoznać ją w tłumie.

- Może pan zatrzymać tę fotografię - powiedziała.

- Nie, dziękuję - odparłem. - Wolę ją zapamiętać taką, jaką znałem w przeszłości. A wie pani, że ostatni raz widziałem ją, kiedy była z panią w ciąży? - Niby pytałem, ale moje słowa bardziej brzmiały jak twierdzenie.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- To było w 1925 roku - ciągnąłem dalej - przyjechała tutaj do mnie w odwiedzin. Jakiś czas przed tym, zanim wyjechała na drugi koniec świata. - Ledwo wypowiedziałem swoje słowa, a już zacząłem żałować tego wyznania. Niepotrzebnie się wygadałem.

- Czemu do pana przyjechała?

- Nie spodziewałem się jej wizyty. Nie widziałem jej od chwili mojego aresztowania, które miało miejsce w 1922 roku. Odwiedziła mnie po to, żeby się pożegnać. Już wtedy wiedziała, że niebawem wyjedzie do Ameryki.

Nie skomentowała moich słów, ale jestem pewien, że musiała sobie coś pomyśleć. Agnieszka była wtedy mężatką, była kobietą w zaawansowanej ciąży i przyjechała w odwiedzin do człowieka z którym łączyła ją jakaś przeszłość. Głupio zrobiłem wspominając o tym, to było kompletnie bez sensu i czym prędzej musiałem przestawić naszą rozmowę na inne tory.

- A niech mi pani powie, czy mama była szczęśliwa?

- Myślę, że tak. Po odejściu mojego ojca nigdy nie związała się z żadnym mężczyzną, chociaż było kilku takich, którzy się do niej zalecali. Poświęciła się pracy. Czasami miałam wrażenie, że bardziej opiekuje się firmą niż mną - uśmiechnęła się. - Całymi dniami potrafiła siedzieć w pracowni i eksperymentowała z nowymi wzorami sukienek. Kochała to zajęcie.

- Zawsze o tym marzyła - wpadłem jej w zdanie. - Kiedyś mi powiedziała, że będzie mieć swój własny zakład krawiecki i dopięła celu. Swojego czasu pisała mi o tym w jednym ze swoich listów. Bardzo się cieszę, że udało się jej zrealizować swoją wizję.

Po nieco krępującym początku, teraz dyskutowaliśmy swobodnie, a ja miałem wrażenie, jakbym bardzo dobrze znał moją rozmówczynię, której nie widziałem od wielu lat. Nie wiem skąd wzięło się we mnie to uczucie bliskości i więzi, ale przysięgam na Boga, że wyraźnie je czułem. Nie mogłem się na nią napatrzeć i chwilami traciłem poczucie rzeczywistości. W pewnym momencie przez głowę przebiegła mi myśl, że gdyby moja przeszłość potoczyła się inaczej, to siedząca przede mną kobieta, mogłaby być moją córką...

Nie musiałem zadawać żadnych pytań, mówiła o swojej matce, a ja słuchałem jej słów i uśmiechałem się pod nosem. Kiedy bardziej szczegółowo zaczęła mi opowiadać historię firmy A&S nagle w korytarzu rozległy się czyjeś prężnie stawiane kroki, a zaraz potem otworzyły się drzwi i w ich świetle ujrzałem oficera dyżurnego.

- Szanowna pani - powiedział służbowym tonem - czas odwiedzin minął.

Podniosłem się z miejsca, wrzuciłem na grzbiet fufajkę, a otrzymane zdjęcie

schowałem do wewnętrznej kieszeni.

- Miło mi było panią poznać - powiedziałem, wyciągnąłem przed siebie rękę i uściśnąłem jej dłoń. - Bardzo dziękuję za odwiedzin.

Kątem oka dostrzegłem, że oficer pełniący służbę przyglądał się nam podejrzliwym wzrokiem.

- Życzę wszystkiego dobrego - odparła. - Do widzenia.

- Nie sądzę, żeby było nam dane się jeszcze spotkać - rzekłem, ale nie było w moich słowach nawet cienia złośliwości. - Żegnam panią i dziękuję, że dotzymała pani słowa danego matce.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz zorientowałem się w czym była rzecz. Córka Agnieszki i dwóch ludzi ubranych w ciemne garnitury wsiedli do czarnej limuzyny, która prawdopodobnie należała do amerykańskiej ambasady. Natomiast sowiecki gazik musiał pełnić rolę pojazdu, który eskortował ich w trakcie podróży. Samochody ruszyły w kierunku bramy wyjazdowej, a ja razem z oficerem dyżurnym, udaliśmy się w stronę stolarni.

Te niespodziewane odwiedzin, były dla mnie psychicznym wstrząsem. Nigdy bym się nie spodziewał, że przyjdzie mi usłyszeć takie wieści. Tamtego dnia jakaś część mojego świata legła w gruzach i zapadła się w ciemność.

Ona nie żyje.

Odeszła na zawsze, a ja już nigdy nie dostanę od niej żadnego listu lub kartki.

Ta świadomość na długie miesiące położyła się mrocznym cieniem na moim życiu. Czasami miałem wrażenie, jakby wraz z nią umarła również najważniejsza część mojego istnienia. Trudno mi to teraz wytłumaczyć, ale czułem się tak, jakby coś ważnego nagle straciło sens.

Jeszcze tego samego dnia opowiedziałem Mańkowi co mnie spotkało. I wiecie co zrobił? Otóż wysłuchał mnie, a potem rzekł tylko kilka słów:

- Za jakiś czas zaznasz spokoju i ulgi.

Pamiętam, że spojrzałem wtedy na niego, byłem oburzony i pomyślałem z wściekłością, że chyba coś mu się pomieszało w tej durnej łepetynie! Nawet żałowałem, że otworzyłem się przed nim, bo chyba liczyłem na jakieś słowa pocieszenia lub otuchy, a on skwitował ból mojej duszy jednym, idiotycznym zdaniem. Jednak jak to mówią, czas leczy rany i potem przyszedł taki dzień, kiedy zrozumiałem, że Maniek miał rację.

Od czasu pamiętnych odwiedzin pani Małgorzaty, aż do chwili obecnej, data 30 maja stała się dla mnie bardzo szczególna. Dzień, kiedy przypadały rocznice naszego pierwszego spotkania i jej śmierci, przez wiele lat traktowałem z największym szacunkiem. 30 maja stał się dla mnie świętem, a ja powołałem do życia swój nieszkodliwy rytuał. Rok w rok tego dnia sięgam do puszek po wiśniach w czekoladzie i wyciągam wszystkie jej listy i kartki. Czytam słowa zapisane na starych, pożółkłych kartkach papieru. Oglądam pocztówki na których farba drukarska zdążyła już wyblaknąć przez długie lata, wpatruję się w czarno-białą fotografię, a w duszy wspominam zamierzchłe czasy.

Taką mam właśnie tradycję.

Wiecie czego jestem pewien? Otóż tego, że kiedy nadejdzie mój czas, kiedy umrę

i odejdę z tego ziemskiego padołu, to odnajdę moją Agnieszkę na drugim świecie.

Dopóki w moim życiu nie pojawił się Cyferka i nie zdradził mi tajemnicy związanej z Liczbą Życia uważałem, że ta data i wydarzenia jakie miały wtedy miejsce, były po prostu zrzędzeniem losu, ślepym trafem, przypadkiem. Zresztą nieważne jak znał. Żyłem w nieświadomości o czym niebawem sami się przekonacie. Korci mnie jak jasna cholera, żeby już teraz zacząć o tym pisać, ale jest jeszcze kilka spraw, które muszę opowiedzieć w pierwszej kolejności.

Wronieckie więzienie na początku lat pięćdziesiątych cieszyło się ponurą opinią. Większość osadzonych to byli ludzie, którzy z różnych powodów stanowili problem dla ówczesnej władzy, a więźniów politycznych uważano w tym świecie za najniższą kastę.

- Wiesz co ci powiem - któregoś wieczoru rzekłem do Mańka - ostatnio dość często zastanawiam się nad tym wszystkim i nie potrafię tego zrozumieć.

- Czego nie rozumiesz? - Wpadł mi w zdanie.

- Tego co się dzieje. Tego dokąd zabrnęły komunistyczne idee. Przecież to wszystko nie tak miało wyglądać. Doskonale pamiętam czasy, kiedy wybuchła Rewolucja Październikowa i wszyscy żyli nadzieją, że niebawem nadejdą epokowe zmiany. Tyle się wtedy mówiło o równości i braterstwie.

Maniek usiadł na prycy, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

- Czasami mnie zadziwiasz. Powiedz mi w jakim celu zaprzątasz sobie głowę takimi pierdołami? Nie masz innych zmartwień? Przeżyłeś już ponad pół wieku i nadal nie pojmujesz, że tak naprawdę liczą się tylko władza i wpływy. Zawsze tak było i będzie. Czego oczekujesz? Że świat będzie idealny? Że wszyscy będą zadowoleni i szczęśliwi? - Zaśmiał się. - Proszę cię, nie bądź naiwny. Współczuję politycznym, bo nie mają tutaj łatwo i na tym koniec. Rozejrzyj się - machnął dłonią - zobacz gdzie my żyjemy. Tutaj jest nasz świat. Dwie prycze, stół, dwa taborety, kraty w oknach, dwie szafki, zaryglowane drzwi i bomba. Jakie znaczenie ma dla ciebie ustrój panujący po drugiej stronie murów? - Zapytał znienacka.

Spojrzałem na niego i w odpowiedzi wzruszyłem tylko bezradnie ramionami.

- Gówno znaczy - powiedział. - Rozumiesz? Gówno. To co jest tam - kiwnął głową w stronę okna - tutaj jest zupełnie nieistotne. Oczywiście możesz się rozczulać nad innymi ale i tak niczego nie zmienisz. Moim zdaniem życie polega na tym, żeby człowiek potrafił o siebie zadbać. - Postukał się wskazującym palcem w skroń i dodał: - Rozsądek podpowiada, że jeśli chcesz spokojnie przetrwać, to zawsze musisz dostosować się do panujących warunków i sytuacji. Życie to bezustanne podejmowanie trudnych decyzji i wyborów, tylko od nas samych zależy, jaki obierzemy kurs. Możesz sobie pomyśleć, że jestem egoistą - stwierdził - ale wolę być samolubem niż męczennikiem.

Biorąc pod uwagę to, że Maniek był na wskroś przesiąknięty mentalnością bezterminowego skazańca, trudno się było z nim nie zgodzić.

Doskonale wiedziałem o czym mówił i muszę przyznać, że znowu miał cholerną rację.

Jego słowa, to nie była dla mnie żadna nowość. Przecież od lat żyłem właśnie w taki sposób i byłem mistrzem bierności. Nauczyłem się stać z boku i zawsze w cieniu wydarzeń. Jednak obserwując to, co działo się na więziennych korytarzach i dodając do

tego strzępy informacji, które wtedy docierały do naszych uszu z drugiej strony murów pojawił się mój, że tak to nazwę - komunistyczny dylemat. Rzeczywistość z początku lat pięćdziesiątych w zderzeniu z moimi młodzieńczymi ideałami, rozniosła je w drobny pył. Myślę, że właśnie wtedy straciłem resztkę wiary w istnienie świata, który miał szansę powstać na marksistowskich doktrynach i stałem się całkowicie apolityczny.

Jeżeli dwoje ludzi trwa w związku małżeńskim, to każdego roku obchodzą swoją rocznicę, a każda ma jakąś ciekawą nazwę. Po roku pożycia obchodzi się papierową, po pięciu latach drewnianą, po dziesięciu cynową... A wiecie jaką nazwę ma trzydziestoltnia? Perłowa.

Latem 1952 roku ja obchodziłem swoją perłową rocznicę odsiadki. Trzydzieści cholernych lat w murach wronieckiego więzienia. Byłem tutaj niekwestionowanym rekordzistą.

- Dyrekcja tego pierdła powinna ci przyznać jakąś nagrodę jubileuszową - stwierdził Maniek rozbawionym głosem, kiedy miesiąc wcześniej poprosiłem go, żeby zorganizował z tej okazji ćwiartkę wódki.

- Oczywiście ja stawiam - powiedziałem, bowiem wołałem w ten paskudny dzień, który miał dopiero nadejść, przełknąć coś mocniejszego, niż zadrećcać się myślami i rozdrapywać w duszy stracone lata.

- To może zrobimy pół litra? - Zapytał i zaraz dodał: - Zabawimy się na całego.

- No dobrze, niech będzie - odparłem i już się cieszyłem, że będzie impreza.

W pralni rządził wtedy Marek Kłodziński, który był wszystkim znany jako Kłodziu. W tamtych dniach nie znałem jeszcze chłopca osobiście ale wiedziałem, że Maniek kręcił z nim swoje interesy. Facet musiał być sprytny i chyba miał jakieś mocne układy z klawiszami, bo ponoć przemycał dosłownie wszystko. Kilka miesięcy wcześniej słyszałem jak dwóch kolesi żartowało, że Kłodziu może nawet załatwić do celi dziwkę na noc.

W poniedziałkowy wieczór 21 lipca 1952 roku zaraz po tym jak wydawka dostarczyła nam do celi wieczorny posiłek, Maniek sięgnął dłonią do swojej skrytki w sienniku.

- To na twoje trzydziestolecie - powiedział i postawił na stole półlitrową butelkę wypełnioną lekko żółtawym płynem. Szyjka była zalakowana, a na flaszce nie widniała żadna etykieta. - To bimber. Kłodziu zagwarantował, że będziemy zadowoleni.

- Ile jestem ci winien? - Zapytałem.

- Chcesz mnie obrazić? - Warknął, marszcząc w aktorski sposób brwi i dodał z uśmiechem. - Ja stawiam.

Siedzieliśmy przy stole jak paniska, ćmiliśmy szlugi, flacha stała na blacie i raz po raz wychylaliśmy z jednego kubka po solidnym łyku. Strażnicy bardzo rzadko zagłądali wieczorem do cel. Oczywiście istniała obawa, że jakiś nadgorliwy klawisz mógł zerknąć przez wizjer albo wkroczyć do środka...

Nim na sterowni rozległ się dźwięk gongu obwieszczający ciszą nocą, a zaraz potem we wszystkich celach zgasły światła, my wysączyliśmy już połowę zawartości butelki. Bimber był mocny jak jasna cholera i nieźle walił do łba, jednak mieliśmy świadomość, że musimy osuszyć flaszeczkę. To był naprawdę miły wieczór, a ja czułem

się tak, jakbym siedział w karczmie z moim serdecznym kumplem. Nie widziałem ścian celi i krat w oknie, nie było prycz i zamkniętych drzwi. To wszystko zniknęło, a my dwaj gadaliśmy półgłosem o różnych sprawach. Pamiętam, jak chichraliśmy się z tego, że ludzie po drugiej stronie murów mają bardziej przesrane niż my. Nie wiem czy wiecie, ale w roku 1952 w Polsce było sporo towarów reglamentowanych, które dało się zakupić tylko na kartki. Wiele razy słyszałem jak klawisze jęczeli i narzekali, że w kraju panuje bieda i nędza.

Wiecie jak to bywa przy wódce, prawda? Człowiek lubi powspominać stare dzieje albo pogadać o planach na przyszłość i marzeniach, których nigdy nie uda się zrealizować. Naprawdę było miło, a ja po kilku głębszych zapomniałem o mojej perłowej rocznicy.

Towar od Kłodzia powalił nas na kolana nim zegar na wieży wybił północ. Spiliśmy się okrutnie. Nie mam pojęcia co strzeliło Mańkowi do głowy, ale w pewnym momencie chwiejnym krokiem podszedł do okna, wystawił przez kraty rękę i powiedział bełkoczącym głosem:

- Pierdolić to! - Po czym wziął potężny zamach i cisnął pustą butelką w ciemność.

Fłaszka z charakterystycznym hukiem uderzyła o granitową kostkę, a w ciszy lipcowej nocy rozległ się szcęk tłuczonego szkła. Mój kumpel padł na pryczę. Kilka chwil później zobaczyłem, jak żółta poświata bijąca z reflektora wieżyczki strażniczej wpadła do naszej celi, wolno przesunęła się jasnym blaskiem po chropowatej ścianie i powędrowała dalej.

Gdyby taka sytuacja miała miejsce za panowania aspiranta Szumskiego, to jestem święcie przekonany, że wszyscy skazańcy, których okna cel spoglądały w kierunku brukowanej drogi, resztę nocy spędziliby klęcząc na więziennym dziedzińcu. Dostalibyśmy wycisk i klęczelibyśmy tam tak długo, dopóki winowajca nie przyznałby się do swego czynu.

Bimber, który załatwił Kłodziu był pierwszorzędny, bowiem następnego dnia czułem się jak młody bóg. Zero kaca, zero bólu głowy czy innych dolegliwości. Trochę mnie suszyło, ale ogólnie miałem się wyśmienicie. Jednak moje samopoczucie tamtego dnia, jakiegokolwiek by nie było, przyćmiło iście historyczne wydarzenie. 22 lipca 1952 roku, dokładnie w ósmą rocznicę ogłoszenia legendarnego manifestu PKWN, polski sejm klepnął tak zwaną konstytucję lipcową, a nasze państwo na arenie międzynarodowej zyskało oficjalną nazwę - Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Wronieckie więzienie nadal funkcjonowało w ten sam sposób o jakim już wspominałem. Polityczni byli skutecznie odizolowani od pospolitych, jedno pudło i dwa odrębne sektory skazanych. Podejrzewam, że takie były wtedy wytyczne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Od kilku miesięcy działało się też coś dziwnego, bowiem na spacerniaku coraz częściej pojawiały się nowe twarze. Wieść niesła, że do Wroniek trafiają skazańcy z różnych więzień na których ciążyły poważne wyroki. Natomiast ludzie, którzy dostali odsiadkę za jakieś błahe sprawy, byli przenoszani do innych placówek penitencjarnych. Spacerniak był właśnie tym miejscem, gdzie tę rotację dało się najszybciej zauważyć i człowiek nie musiał być baczny obserwator, żeby to dostrzec. Czas pokazał, że tworzą się różne grupy, a jedna z nich była dość szczególna. To byli kryminaliści, którzy mieli już w swoim dorobku więzienną przeszłość. Recydywa.

Wytatuowani kolesie o podłych gębach, skorzy do zaczepki i agresywnego zachowania. W ich gronie było też dwóch wronieckich bezterminowców, o których wspominałem w swoich zapiskach. Charakterniak Derczak, nazywany przez innych pieszczotliwie Deruś oraz Słodki.

- Sporo tych grypsujących pajaców - powiedział do mnie pewnego razu Maniek, kiedy siedzieliśmy pod siatką okalającą teren spacerniaka.

Zdawałem sobie sprawę z ich odmienności, bowiem coraz częściej dało się słyszeć w łaźni albo na wybiegu ich dziwną mowę. Używali polskich słów, ale nadawali im zupełnie inne znaczenie. Postronna osoba, nie mająca kontaktu z tym środowiskiem mogła odnieść wrażenie, że słucha szyfru, który brzmi totalnie bez sensu.

Może przytoczę taki drobny przykład.

Kilka tygodni wcześniej podczas kąpieli, mimowolnie do moich uszu dotarły słowa, jak jeden z kolesi powiedział do drugiego:

- Franko dostał rakieta i będzie dzisiaj działowanie.

Człowiek mógłby zachodzić w głowę i do końca życia nie znalazłby odpowiedzi w czym rzecz. Minęło sporo czasu, zanim dowiedziałem się cóż takiego znaczą te określenia. Otóż zdradzę wam, że w żargonie grypsujących rakieta, to paczka, którą skazaniec dostaje z domu. Natomiast działowanie, to czynność polegająca na tym, że taki ktoś musi się podzielić jej zawartością ze swoimi kumplami spod celi. Podzielić się oczywiście z tymi, którzy należą do grona grypsujących. Ów zwyczaj był bardzo długo przestrzegany w tej więziennej podkulturze.

- Powiem ci, że to bardzo ciekawe zjawisko - ciągnął Maniek - kiedy siedziałem w Łomży, jeden z więźniów opowiadał bardzo dziwne rzeczy o zatwardziałych skazańcach, którzy byli wobec siebie cholernie solidarni. Przed wojną grypsera nie miała szans rozwinąć się w więzieniach izolacyjnych, ale za to kwitła w tych wszystkich pierdlach, gdzie nie było pojedynczych cel. Wiele ich określeń przedarło się przez mury. Nie wiem czy wiesz, ale na przykład takie słowa na powitanie jak - sie masz - pochodzą z ich slangu. Myślę, że za jakiś czas cała ta banda pospolitych, do których my też należymy, podzieli się na kilka obozów. Zobaczysz, że tak będzie. Wspomnisz moje słowa - powiedział i uniósł w górę wskazujący palec, jakby tym gestem chciał podkreślić, że jego proroctwo na pewno się spełni. - System izolacyjny poszedł już w zapomnienie.

Przyznam się wam uczciwie, że od pierwszej chwili czułem się zaintrygowany tym tematem. Z jakichś nieznanych mi powodów byłem cholernie ciekaw o co w tym wszystkim chodzi.

Pod koniec lata na stolarnię trafił świeżak. To był młody koleś, ale od pierwszej chwili miałem wrażenie, że ma za sobą więzienną przeszłość. Posiadam chyba jakiś dar, że od razu wyczuwam takich gości. Wystarczy mi jedno spojrzenie, kilka zdań i wszystko jest jasne jak słońce. Ten młodzian nazywał się Albert Bajsztok i nigdy nie zapomnę tego, co zrobił pierwszego dnia, kiedy pojawił się w warsztacie.

Pan Cipa przydzielił mu narzędzia i określił zakres obowiązków. Koleś się nie przedstawił, łypnął na nas tylko swoim podejrzliwym wzrokiem i zaczął pracować. Miał jako takie pojęcie o stolarce, ale jak na moje fachowe oko, jeszcze dużo musiał się nauczyć. Kiedy zegar na wieży wybił wpół do jedenastej, maszyny zostały wyłączone, a

nasz szef ogłosił kwadrans przerwy. Klawisz, który nas pilnował siedział jak zwykle w rogu pod oknem i czytał gazetę. Pan Cipa i ten drugi cywil rozłożyli się obok piecokuchni, a nasza czwórka plus ten nowy, usiedliśmy w drugim pomieszczeniu. Dokładnie tam, gdzie całe lata temu miało miejsce brutalne zdarzenie z Rafaelem Dekurganem w roli głównej. Oparłem się plecami o ścianę, wyjąłem szluga i zapaliłem. Nagle ten świeżak powiedział:

- Jak jest u was? - I spojrzał najpierw na mnie.

- A jak ma być? - Odparłem i wzruszyłem ramionami. - Normalnie.

Chłopak nic nie powiedział, tylko skierował swój wzrok na mojego sąsiada. Ten również rzekł coś podobnie banalnego jak ja. Kolejny to samo, natomiast Wojtas, ostatni z naszej czwórki, rzucił w jego stronę krótkie:

- Git!

Świeżak niemal natychmiast posłał mu promienny uśmiech, złapał za swój zydelek i przesiadł się obok niego. Wymienili uścisk dłoni i półgłosem zaczęli coś szeptać między sobą.

Od tamtej pory trzymali się razem.

Albert Bajsztok do którego po jakimś czasie wszyscy zwracaliśmy się Ali, bardzo starał się rozsiewać wokół siebie aurę nie tyle tajemniczości, co raczej niedostępności. Wszystkich oprócz Wojtasa traktował z góry i na dystans, jakby chciał udowodnić, że jest kimś lepszym albo ważniejszym. Osobiście zwiślało mi to kompletnie na kogo chce pozować, bowiem wiedziałem, że to tylko kwestia czasu zanim sam przyjdzie ze spuszczonego uszami po prośbie. Długo nie musiałem czekać. Brak stolarskiego doświadczenia i praktyki zmusił go do tego, żeby otworzyć gębę i szukać pomocy.

Z początkiem września Pan Cipa zacierał ręce, gdyż wpłynęło fajne zamówienie na taborety. To chyba był rządowy kontrakt, bo nasze wyroby miały trafić do jakiejś jednostki wojskowej. Zdajecie sobie sprawę ilu żołnierzy przebywa w koszarach, prawda? Więc zamówienie na dwa i pół tysiąca taboretów było całkiem logiczne. W stolarni, łącznie pracowało nas siedmiu i mieliśmy zapewnioną zarobkową robotę, aż do końca roku. Rozkoszna jest perspektywa stabilizacji i świadomość, że miesiąc w miesiąc konkretny grosz wpadnie do kieszeni. No sami powiedzcie, czy może być coś lepszego niż rutyna i harmonia, które idą łeb w łeb? Taka sytuacja daje poczucie bardzo dużego komfortu, a kiedy jeszcze robisz to co lubisz, to kurde jesteś królem. Oczywiście nie do wszystkich szczęście miało się uśmiechać przez tych kilka miesięcy. Ktoś z nas musiał od czasu do czasu walnąć kilka dzionków na charytatywnym froncie. Ja byłem spokojny, bowiem posiadałem umiejętności, które zapewniały mi twardą pozycję. Wracając jednak do tego tłustego zlecenia i zachowania Alego Bajsztoka, to była dosyć interesująca historia. Laikowi mogłoby się wydawać, że zrobienie taboretu to prosta i banalna sprawa. Niestety prawda jest inna, bowiem wbrew pozorom trzeba mieć sporo doświadczenia w drewnianym rzemiośle, żeby sprostać takiemu wyzwaniu. Rzecz, która będzie używana każdego dnia i ma długo służyć, musi być wykonana bardzo solidnie. Nogi nie mogą się rozjeżdżać na boki, wszystko ma być równe i wypoziomowane. Taboret nie może się kolebać na posadzce albo trzeszczeć lub rozjechać się pod ciężarem osoby, która na nim spocznie. Tajemnica tkwi w dobrym klinowaniu. Trzeba też wiedzieć gdzie i jak zrobić

wiążące zastrzały. W stolarce, tak jak w każdym rzemieślniczym fachu, wszystko jest kwestią odpowiedniej wiedzy, tajników wykonania oraz rzetelnej precyzji. Gdyby w tamtym czasie zjawiał się ktoś w warsztacie i powiedział, że każdy z nas ma w ciągu godziny samodzielnie sklepać taboret, to powiem wam, że kontrolę jakości przeszłyby tylko dwa stołki. Mój i Pana Cipy. Reszta ekipy zrobiłaby sztandarowe buble.

Tego dnia, kiedy wpłynęło zlecenie, Ali podszedł do mnie i warknął władcym tonem, jak do kundla:

- Jak to trzeba robić?!

Powoli podniosłem wzrok i spojrzałem mu prosto w oczy:

- Słuchaj chłopcze - odparłem spokojnym głosem - nie zwracaj się do mnie takim tonem, jakbyś miał przed sobą chłystka. Jeżeli nasza rozmowa ma przebiegać w ten sposób, to mam dla ciebie inną propozycję.

- Taaa, jaką? - Powiedział z grymasem pogardy.

- Idź do naszego szefa - kiwnąłem głową w kierunku drugiego pomieszczenia - i jego o to zapytaj.

Ali może był bojowo nastawiony, ale w mig zdał sobie sprawę, że to nie jest dobry pomysł. Jeśli Pan Cipa stwierdziłby, że któryś z pracowników jest zieloniutki w temacie, to już jutro na jego miejsce zjawiliby się ktoś inny. Wśród pospolitych stolarzy było jak psów na wsi, a każdy z nich tylko czekał na płatny etat. Zauważyłem też, że Wojtas, który pracował przy drugim stole, bezustannie zerkał w naszą stronę.

Mój rozmówca oblizał czubkiem języka wargi, pociągnął nosem, pochylił się nieco bliżej i rzekł półgłosem:

- No dobrze, może faktycznie źle zaczęliśmy - stwierdził niemalże przyjacielskim tonem, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że wina leży również po mojej stronie.

Obróciłem głowę w lewo, spojrzałem na niego unosząc brwi z wyrazem zdziwienia i zapytałem:

- Śmy?

W tamtej chwili nawet nie zwróciłem uwagi, że Ali w bardzo sprytny sposób sprowokował mnie, abym mimowolnie wykonał skręt szyją. Moja twarz znalazła się w takiej pozycji, że Wojtas widział jedynie moją potylicę. Stamtąd gdzie stał, nie miał najmniejszych szans, żeby zobaczyć gębę mojego rozmówcy. Kiedy wiele miesięcy później wróciłem myślami do tamtej sytuacji, dopiero wtedy zrozumiałem postępowanie Aliego. Teraz pewnie myślicie, że to bardzo błaha sprawa, ale spokojnie, zrozumiecie w czym rzecz, kiedy moja opowieść odkryje przed wami mroczny świat grypserów.

Rok pański 1953 przyniósł z sobą wielkie zmiany. Począwszy od stycznia więźniowie, którzy pracowali zarobkowo, przestali otrzymywać gotówkę do ręki. Zamiast forsy na koniec miesiąca, każdy z nas dostawał karteczkę z informacją jaką posiada kwotę na koncie. Pieniądze można było wykorzystać na wiele sposobów. Wydać je w całości lub częściowo na zakupy, zadeklarować ile szmalu ma zostać wysłane do rodziny albo zostawić cały zarobek lub jego ułamek na koncie i w ten sposób oszczędzać dodatkowy grosz na wyjście.

Sprzedawca w więziennej kantynie otrzymywał z księgowości imienny wykaz skazańców wraz z kwotą, jaką ów delikwent dysponuje. Człowiek dokonywał zakupów,

dostawał towar oraz kopię kwitu na którym widniało ile przepuścił. Oryginały kwitów wędrowały z powrotem do księgowości i tam bilansowano cyferki na koncie. Tym prostym sposobem gotówka zniknęła z więziennych korytarzy, a co za tym idzie, szlag trafił wszystkie nielegalne interesy, które załatwiano za pomocą legalnych środków płatniczych. Nastaly czasy, jakby to powiedział Johnny Alcatraz, wielkiego comebacku handlu wymiennego. Walutą były oczywiście fajki, które każdy mógł posiadać i żaden klawisz nie miał prawa przyczepić się do tego. Podstawowymi artykułami przemysłowymi zostały herbata i wódka. Oczywiście, jak pewnie się domyślacie, ceny za magiczny susz i wysokoprocentowe płyny osiągały zawrotne pułapy. Chłopaki z pralni i budowlańcy przemycali oba produkty, ale alkohol nie cieszył się takim powodzeniem jak herbata. Po pierwsze trudno było wnieść na teren więzienia wodę, po drugie po spożyciu cuchnęło z ryja jak z gorzelnii, a kary dyscyplinarne za pijaństwo były bardzo srogie. Natomiast otręby, jak wtedy potocznie określano w więziennym slangu herbaciany susz, to zupełnie inna bajka. Niektóre określenia grypsujących mimowolnie zostały zaadoptowane również przez pozostałych więźniów i tak dla przykładu, jeśli idzie o herbatę to jej handlowe ilości nazywano w następujący sposób:

Szuflada - pojemność towaru równała się ilości, która mieściła się w pudełku po zapalkach.

Wagon - paczka herbaty o wadze 5 dkg.

Przegub, przegubowiec lub autobus - paka zawierająca 10 dkg suszu.

Wcześniej wszyscy znali pojęcia parzącha, czaj lub czajura, ale w tamtych czasach pojawiła się jeszcze jedna nazwa - jemiola.

Pewnie myślicie sobie, na jaką cholere komus herbata, skoro potrzebny jest wrzatek, zeby przyrzadzic magiczny plyn, prawda? Powiem wam tylko tyle, ze pomysłowość więźniów, którzy mają mnóstwo wolnego czasu nie zna granic. Aby skonstruować prymitywną kuchenkę są potrzebne następujące przedmioty - metalowa puszka, kawałek drutu, sznurek lub skrawek prześcieradła i trochę jakiegoś tłuszczu, może być smalec, margaryna lub olej. Knot umieszcza się w puszcze w pozycji stojącej, do tego jest niezbędny drut, a następnie zalewa się puchę płynnym tłuszczem i po sprawie. Zdobycie tych kilku rzeczy w pudle naprawdę nie nastęczało żadnych problemów. Warsztatowcy, którzy pracowali w ślusarni dorabiali sobie sprzedając małe stojaki zrobione z prętów na których można było położyć kubek albo miskę z wodą, zeby łatwiej było podgrzać ich dno.

Kiedy forsa została wykluczona z więziennej egzystencji, świat skazańców uległ błyskawicznej ewolucji. Maniek i Kłodziu, niemal natychmiast wykorzystali tę sytuację i nawiązali sojusz. Połączyli swoje siły i zawiązali w spółkę. Ten pierwszy miał szerokie kontakty, a ten drugi nieograniczone możliwości do uprawiania kontrabandy. Jeżeli którykolwiek z popolitych chciał w miarę tanio kupić herbatę, musiał rozmawiać z nimi. Na spacerunku, ceny detaliczne kształtowały się następująco - za szufladę trzy skrzynki, za wagon dziesięć, a za autobus negocjacje zaczynały się od dwudziestu. Jednak Maniek i Kłodziu byli na tyle mocni, że mogli zejść niżej i kasowali odpowiednio na straganie, czyli w sprzedaży bezpośredniej, za szufladę dwie skrzynki, za wagon osiem i piętnaście za autobus. Co tu dużo gadać, handel kieruje się własnymi prawami, liczą się popyt, podaż

i oczywiście cena. Każdy klient to taka gadzina, że kupi tam, gdzie taniej.

Wystarczył raptem miesiąc, a pół szafki w naszej celi, która należała do Mańka, była pełna fajek. Gdybyśmy mieli to razem zjarać, starczyłoby nam na rok. Tak sobie myślę, że jeśli ich spółka działałaby na wolności, to pewnie stworzyliby prężnie funkcjonujące przedsiębiorstwo. Po dwóch miesiącach tak rozwinęli swoją sieć, że przestali bawić się w detal. Mieli takich czterech miglanców, którzy wkradli się w ich łaski i dostali wyłączność. Ci kolesie, którzy z nimi współpracowali, to byli tak zwani fanciarze lub wielbłądy, bowiem tak wtedy określano wszystkich, którzy zajmowali się nielegalnym handlem. Fanciarze płacili za towar z góry i nabywali go oczywiście po cenach hurtowych. Następnie rozprawdzali na własną rękę na promenadzie, czyli na spacerunku. Tym sposobem interes kwitł i wszyscy byli szczęśliwi. Mówię wam, że Maniek i Kłodziu chociaż nie mieli żadnego wykształcenia, stworzyli perfekcyjną maszynę handlową. Działali niczym profesjonalna firma, która błyskawicznym szturmem opanowała rynek zbytu. Tak chyba w życiu bywa, że jeśli człowiek potrafi się przystosować do sytuacji i chce działać, to budzą się w nim uspięne talenty.

Interesy układały się pomyślnie i przez długie miesiące chłopaki rządzą w najlepsze.

Piątego marca 1953 roku świat obiegnęła wieść o śmierci Józefa Stalina. Jedno było pewne - tyran i despota pożegnał się z tym padołem. Z tego co mi wiadomo, niektórzy historycy twierdzą, że ktoś mu pomógł odejść w zaświaty. Jedną z teorii mówi, że został mu wstrzyknięty chemiczny specyfik o tajemniczej nazwie warfaryna, inna hipoteza snuje domysły, że mogła to być solidna dawka adrenaliny. Słyszałem również twierdzenie, że kilka dni wcześniej Stalina uśmiercili jego najbliżsi współpracownicy i dopiero kiedy nastąpił podział na szczytach sowieckiej władzy, informacja o jego zgonie została podana do publicznej wiadomości. Zresztą palicho, jaka była prawda. Trupa nie da się wskrzesić.

Śmierć wodza została brutalnie wykorzystana przez międzynarodową propagandę. Na kontynentach globu prym wiodły wtedy dwie ideologie. Z jednej strony barykady był komunizm, a z drugiej drapieżny kapitalizm. Przedstawiciele obu tych frakcji chcieli na zgonie Stalina ugrać coś dla siebie. Chyba nie będzie w moich słowach żadnej przesady jeśli stwierdzę, że wiele milionów ludzi szczerze ucieszył fakt, iż jeden z największych zbrodniarzy XX wieku wyzionął ducha. Po jego śmierci w bardzo krótkim czasie nastąpiły kolosalne zmiany, które również odbiły się echem w murach wszystkich polskich więzień.

Nie wiem czy wiecie, ale był taki dość ciekawy epizod, który miał miejsce dwa dni po oficjalnej śmierci najsłynniejszego w historii świata Gruzina. Miasto Katowice, które było wtedy jedną z największych śląskich aglomeracji, zostało przechrzczone na Stalinogród i ta nazwa funkcjonowała przez ponad trzy długie lata.

Dziś trudno uwierzyć, że coś takiego miało miejsce. Ludzie, którzy poznają historię z podręczników, przyjmują tę wiedzę jako nowinkę albo ciekawostkę. Nie zdają sobie sprawy jaki był wtedy świat.

Nawet nie są sobie w stanie tego wyobrazić.

Po świętach wielkanocnych władze więzienia wpadły na pomysł, żeby przebudować starą kaplicę, która od kilku lat służyła za typową graciarnię. Potężne pomieszczenie, ulokowane w głównym budynku liczyło ponad trzysta metrów

kwadratowych otwartej powierzchni użytkowej! Kiedy Prusacy pod koniec XIX wieku wznosili wronieckie więzienie, wybudowali kaplicę w bardzo charakterystyczny sposób. Chyba wam już o tym wspominałem, że podłoga nie była wykonana w poziomie lecz miała spad, a różnica pomiędzy dwoma przeciwległymi krawędziami miała kilka metrów. Ołtarz był ulokowany w najniższym punkcie i licząc od podłogi, aż po belkę stropową strzelistego dachu, wysokość wynosiła jakieś szesnaście metrów. Zresztą, przecież wiecie jak wyglądają budowle sakralne. Bez względu na wyznanie wiernych, mają jedną cechę wspólną. Ich wnętrza przeważnie są przestrzenne i wysokie, żeby sprawiały wrażenie dostojności i powagi. Trudno mi natomiast powiedzieć, jaki był faktyczny powód, że wroniecka kaplica miała zostać zlikwidowana? Mogę jedynie domniemywać, że dyrekcja więzienia otrzymała jasne wytyczne z ministerstwa. W tamtych latach władza ludowa toczyła niemalże jawną wojnę z klerem, a w Polsce partyjnym towarzyszom marzyło się, żeby zepchnąć kościół rzymsko-katolicki na boczny tor. Wasi dziadkowie na pewno pamiętają tamte czasy i dużo mogą wam opowiedzieć, jak wyglądała wtedy dyskryminacja w socjalistycznym wydaniu.

Gdy wieść o przebudowie kaplicy dotarła na stolarnię, to powiem wam, że nawet się ucieszyłem, bowiem od ponad dwóch tygodni nie mieliśmy nic mądrego do roboty. Wszystko wskazywało na to, że kwietniowa pensja będzie cieniuteńka, ale z taką myślą człowiek potrafił się pogodzić. Wiecie jednak co było gorsze od szczupłego portfela? Brak sensownego zajęcia. Szczerze. Już od pierwszego dnia po świętach, zaczęliśmy praktykować obijanie się na wszelkie możliwe sposoby. Bez żadnego przymusu, sami od siebie, zaczęliśmy robić wiosenne porządki. Wszystkie półki lśniły czystością. Wojtas miał chyba natchnienie, bo sklepał zestaw skrzyneczek na gwoździe i posegregowaliśmy je według rozmiarów. Zrobiliśmy nawet generalny przegląd wszystkich stolarskich narzędzi. Mówię wam, nuda pożerała nas żywcem.

W ostatni poniedziałek kwietnia w stolarni pojawił się jakiś goguś w białej koszuli i granatowych portkach wyprasowanych w kancik. Przez dłuższą chwilę rozmawiał z Panem Cipą, kiedy ten nagle zdjął z głowy swój roboczy kaszkiet, cisnął nim o podłogę i wrzasnął:

- Kto wymyślił coś tak mądrego?! - Rzucił z pogardą. - To jest robota głupiego! To my będziemy się tutaj cackać z tym dziadostwem, a zlecenie na ławki przejdzie nam koło nosa?! - Dopiero słysząc jego wrzaski, zainteresowaliśmy się tematem dyskusji.

Chodziło o to, że podłoga w kaplicy zostanie podniesiona i wyrównana, a dzięki temu piętro niżej, więzienie zyska kolejne obszerne pomieszczenie. Sęk w tym, że mieliśmy wykorzystać te same deski, które były tam od dnia, kiedy ta instytucja zaczęła spełniać rolę, do której została stworzona. Prawdopodobnie problemem było nabycie kosztownych materiałów i z tego powodu zapadła właśnie taka decyzja. Gdyby nowy parkiet został położony tylko w kaplicy, to administracja więzienna musiałaby wyłożyć forszę na ponad trzydzieści kubików dębowych desek. A co z pomieszczeniem poniżej? Również podłoga z desek? Wylewka? A może terakota? Remont był bardzo kosztowny.

- Obywatelu Kocipa! - Warknął władcym tonem jego rozmówca. - Przestańcie mi tutaj podnosić głos i pokazywać swoje nerwy! Jeszcze dziś macie rozpocząć prace! - Po czym facet obrócił się na pięcie i wyszedł ze stolarni.

- Jebany gryzipiórek! - Pan Cipa zaklął w głos.

Podniósł z podłogi czapkę i trzymając za daszek, trzepnął nią kilka razy o swoje udo. Drobinki trocin i kurzu zawirowały w powietrzu.

Strażnik siedzący przy oknie wpatrywał się w gazetę, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że nadal czuje się rozbawiony zaistniałą sytuacją.

- Chodźcie tu! - Wrzasnął wściekle nasz szef.

Nasza piątka ustawiła się w szeregu obok pieco-kuchni.

- Słyszeliście co jest grane?! - Zapytał i spojrzał po naszych twarzach. - Siedzicie obok i nie interesuje was, co się tutaj dzieje?!

- My nie podsłuchujemy cudzych rozmów - rzucił zadziornie Wojtas.

Pan Cipa spojrzał na niego groźnym wzrokiem i rzekł:

- W takim razie ty - zwrócił się do Wojtasa - i jeszcze ty, ty i ty - ominął mnie i Alego, a palcem wskazał na pozostałych - bierzecie swoje narzędzia i idziecie ze mną!

Tamci poszli i nikt nie wiedział, co dalej? Klawisz miał to wszystko w dupie, zastępca szefa siedział na taborecie z nosem w książce, a my dwaj staliśmy przez chwilę jak kołki.

- Złapcie się za jakąś robotę! - Rzucił w naszą stronę strażnik, jakby chciał nam powiedzieć, mamy pozorować jakieś zajęcie, co w podtekście znaczyło - stracie mi się z oczu!

Zrobiliśmy z Alim w prawo zwrot i znikając w drugim pomieszczeniu, spełniliśmy jego życzenie.

Bajstoka traktowałem jak zwykłego znajomego. Rzadko rozmawialiśmy ze sobą, ale jak już do tego dochodziło, to nie zgrywał przede mną nonszalanckiego twardziela. Cóż mieliśmy zrobić? Jeszcze zegar nie wybił południa, a przed nami zostały ponad trzy godziny do zakończenia dniówki. Usiedliśmy na ławce pod oknem i Ali rzekł:

- Teraz jesteśmy sami, to przynajmniej można pogadać, no nie? - Nie wiem czy szukał u mnie potwierdzenia, ale od niechcienia odparłem:

- A o czym chcesz pogadać?

- Nie wiem - wyciągnął przed siebie nogi - o byle czym, na bajerce czas szybciej płynie. Słyszałem co nieco o tobie - powiedział znienacka.

Spojrzałem na niego lekko zaskoczonym wzrokiem.

- Podobno jesteś jednym z czterech generałów.

- Kim? - Zapytałem z niedowierzaniem.

- Grypserzy odmierzają czas odsiadki stopniami wojskowymi, a bezterminowcy to już generalicja. Tym bardziej - ciągnął dalej - że ty odgarowałeś chyba całkiem sporo lat. Szacun - spojrzał mi w oczy i wykonał głową taki ruch, jakby chciał podkreślić, że składa mi ukłon.

- Ciekawe - odparłem po chwili. - A ty jaki masz stopień? - Wziąłem go na spytki.

- Pełny major, sam zobacz - powiedział z dumą w głosie, po czym zdjął z ramienia bluzę i pokazał mi swój prawy bark. Widniał tam tatuaż, który do złudzenia przypominał swoim wizerunkiem wojskowy pagon z dystynkcją.

- Z tego co mi wiadomo - odparłem w lekką kpina w głosie - to dwie belki i dwie gwiazdki oznaczają rangę podpułkownika, a nie majora.

- No błagam cię - rzucił nieco rozbawionym tonem - dwie belki są pełne, jedna gwiazdka jest pełna, a druga ma przecież tylko same kontury.

- No i co z tego, skoro to nadal jest stopień podpułkownika, a nie majora - powtórzyłem uparcie.

- Liczy się to co jest wypełnione - wyjaśnił - jedna belka, znaczy jeden rok, a każda gwiazdka kolejne trzy lata. Tę drugą gwiazdkę będę mógł sobie zapisać dopiero za dwa lata - podkreślił swoje ostatnie słowa, jakby oczekiwał, że z tego powodu wyrażę swoje uznanie.

- Czyli wychodzi na to, że masz już za sobą sześć lat więzienia.

- Siedziałem więcej, bo poprawczak też się liczy - dodał z nutką nieukrywanej dumy.

- A ile ty masz właściwie lat? - Zapytałem z czystej ciekawości.

- Dwadzieścia pięć - odparł. - W poprawczaku siedziałem dwa lata. W pierdlu zaliczyłem sześć i tak na dobrą sprawę, to powinni mi pozwolić zalać gwiazdeczkę.

- Kto ci powinien pozwolić? - Zaintrygował mnie.

- Nieważne - rzucił i machnął ręką, jakby chciał rzec - zapomnij o temacie. - Chcesz mi powiedzieć, że nie zrobiłeś sobie generalskiego wężyka? - Wypowiedział swoje słowa z takim niedowierzaniem, jakiego jeszcze chyba nigdy w życiu nie słyszałem.

- Ja miałbym sobie oszpecać ciało tatuażami? Żartujesz sobie? Po co miałbym się naznaczać w ten sposób?

Ali zaśmiał się szyderczo i odparł:

- No widzisz i właśnie dlatego jesteś frajer.

Tego było za wiele, już chciałem go zjechać, kiedy on szybko dodał:

- Frajer ale w zupełnie innym znaczeniu tego słowa, niż ty pojmujesz. Widzisz, więzienny świat ma swoją hierarchię. Najwyżej stoją ludzie, czyli grypsujący skazańcy, którzy mają swoje zasady i prawa, frajerzy, to tacy jak ty, którzy nie należą do naszej ferajny - powiedział "naszej" i zrozumiałem to w ten sposób, że on czuje się zdeklarowanym członkiem jakiejś organizacji. - Potem są już tylko kapusie i cwele. Najgorszy możliwy sort - powiedział i splunął, jakby ślina parzyła go w język. - Frajer dopóki nie kabluje, albo nie został przecwelony jest tylko nieszkodliwym frajerem. Kapuś to wiesz, to śmieć, który współpracuje z gadami, a cwel...

- Z jakimi gadami? - Wpadłem mu w zdanie.

- No nie ściemniaj mi, że nie wiesz kim jest gad?! - Był tak samo zaskoczony, jak kilka chwil temu.

Spojrzał na mnie i chyba zrozumiał, że ja naprawdę tego nie wiem.

- Gad to klawisz - odezwał się szeptem, jakby się obawiał, że strażnik siedzący w drugim pomieszczeniu może usłyszeć jego słowa - albo gacek, oprawca, kurwa, menda - zaczął wyliczać na palcach. - Kruk, czerwony pajak, pies łańcuchowy lub pies na smyczy. Wymieniłem wszystkie określenia? - Spojrzał na mnie, ale odniosłem wrażenie, że pytał samego siebie. - Chyba tak - stwierdził po chwili. - Tak tytułuje się mundurowych do stopnia starszego chorążego. Natomiast kadra oficerska to po prostu gwiazdorzy. Można mówić gwiazdor albo gwiaździor, jednak żeby było śmiesznie, to tak samo nazywa się największych charakterniaków - zaśmiał się.

- A frajerów jak nazywacie?
- Chwiej, hołota, nygus, pachol, niegrypsujący albo po prostu nieczłowiek.
- A kapuś ma jakieś inne określenie? - Pomknąłem za ciosem i drążyłem temat.
- Kapuś to przede wszystkim kurwa, ale mówi się też o nich chlejtus, kabel, tufta, zaraza, kapusta, kabel, szmata, radarowiec, legawiec, ucho, uchol, zausznik - wymienił chyba wszystkie możliwe pochodne od słowa ucho.

- A cwel?
- Tego jest od chuja! Dnia nie starczy, żeby wymienić - zarechotał.
- No powiedz, jak jeszcze na nich wołacie? - Ciągnąłem go za język.
- Ciota, ciotka, chabeciarz, cwelica, kochany, dupodajec, ładny, parowiec, parów albo parowóz. Może też być murzyn, paparuch, puzonista, rura, w styję szarpany, suka, druciara chociaż mnie osobiście najbardziej podoba się dowódca cegielni - znowu się zaśmiał, jakby opowiadał coś iście zabawnego. - Ty, ale nikomu ani słowa, że coś ci powiedziałem. Bo wiesz, grypsu nie można sprzedawać frajerom i używać na wolce.

- Na jakiej wolce?
- No na wolności, oj boże drogi - prawie jęknął - nie mów, że trudno skapować?
- To ty jesteś grypsujący, tak? - Zapytałem.
- A jakże by inaczej - rzucił, a ja miałem wrażenie, że za każdym razem jeśli coś dotyczyło jego egzystencji skazańca, mówił o tym z prawdziwą dumą.

- Powiedz coś po waszemu - chciałem go wziąć na spytki.
- Nic z tego - odparł - i tak za dużo ci wypaplałem, ale Deruś i Słodki powiedzieli nam, że ty i Wszechmogący Maniek chociaż jesteście czystymi frajerami, to stopnie generałów wymagają szacunku. Sam dobrze wiesz, zasady to zasady - spojrzał przed siebie, pociągnął nosem i rzekł z powagą: - Bo kim byśmy byli, jeżeli wysralibyśmy się na zasady? - To było retoryczne pytanie, a w jego mniemaniu te słowa miały chyba zabrzmieć jak jakaś mądra, życiowa sentencja.

- No dawaj Ali, zagrypsuj coś...
- Nie! - Warknął i zaraz dodał: - Zważaj na słowa! - Uniósł do góry wskazujący palec. - W moim świecie nie wolno się zwracać do człowieka - wypowiadając słowo "człowieka" miał chyba na myśli osobę grypsującą - używając słów dawaj, pociągnij, posuń się, kochanie, kochany, miły, ładny... Jest mnóstwo wyrazów zakazanych, tyle ci tylko powiem.

Odniosłem wrażenie, że słowa, które w normalnym świecie mogą zostać wypowiedziane w podtekście seksualnym były przez grypsujących traktowane jako uwłaczające.

Do końca dniówki rozmawialiśmy o różnych sprawach, a ja prowadziłem dyskusję tak, żeby nawiązać z Alim nić sympatii. Musiałem się w jakiś sposób rewanżować własnymi opowieściami i dlatego snułem przed nim historie o tym, jak wyglądało więzienne życie w czasach II Rzeczypospolitej.

Nie przeczę, nawet miło się z nim gadało, ale ja nie szukałem kumpla w jego osobie, tylko źródła informacji.

Od pierwszej chwili, kiedy usłyszałem o grypsujących, czułem cholerną pokusę ciekawości. Im więcej docierało do moich uszu na ich temat, tym bardziej moje

zainteresowanie rosło. Chciałem wiedzieć, po prostu musiałem zaspokoić jakąś moją nieznaną mi, duchową potrzebę. Sam byłem zaskoczony siłą tego uczucia. Miałem wrażenie, jakbym przekroczył półwiecze własnego istnienia, zaczął odkrywać na nowo samego siebie. Krótko mówiąc, wiem doskonale, jaka burza emocji kryje się za słowem - fascynacja. Tak moi drodzy, uległem prawdziwej fascynacji światem grypsujących.

Zdobytą wiedzą, już od pierwszego dnia dzieliłem się z Mańkiem. Kiedy dowiedział się, że nazywają go za plecami Wszechmocny, usiadł na pryczy, pogładził się po brodzie, spojrzął w okno i rzekł tylko jedno:

- Niedobrze.

- Czemu tak mówisz? - Zapytałem.

- Oni rosną w siłę - odparł po chwili. - Pamiętasz jak ci mówiłem, że ten cały bajzel zacznie się dzielić na grupy? - Chociaż właściwie nie pytał, tylko stwierdzał fakt. - To już się zaczęło. Wiesz kiedy nadaje się drugiemu ksywkę za jego uszami? - Spojrzął na mnie wymownym wzrokiem. - Kumas? Coś jest na rzeczy Ropuch. - Pokiwał głową i dodał: - Coś jest kurwa mać na rzeczy i niebawem dowiem się co - stwierdził poważnym tonem.

Przyznaję, że Maniek miał nosa, aczkolwiek to "coś", przyszło dopiero w połowie lata.

Pisząc swoje wyznania, dochodzę do wniosku, że muszę opowiedzieć wam o mało znanych rewirach więziennego życia. Ukrytych w cieniu, zepchniętych na margines, obwarowanych znową milczenia i regułach owianych tajemnicą. Gdybym miał skupić się na sprawach związanych tylko z grypserką, musiałbym na to poświęcić setki stron, albo i jeszcze więcej. Natomiast moim celem jest ukazanie, jaką ewolucję przeszło to środowisko we wronieckim więzieniu począwszy od chwili swojego rozkwitu w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, aż do dnia mojego wyjścia na wolność. Chyba zdajecie sobie sprawę, że w dalszej części tego pamiętnika, ta sprawa bezustannie będzie przewijała się w moich słowach. Czasami odejdzie, ukryje się w tle, a innym razem wkroczy na pierwszy plan i obnaży brutalną arenę krwawych wydarzeń.

Jak się zapewne domyślacie, udało mi się pociągnąć Alego za język. Kto wie, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby nie remont kaplicy, bowiem dzięki tej przebudowie zacząłem zdobywać swoją wiedzę. Moje postępowanie było identyczne jak podczas hitlerowskiej okupacji. Instynkt skazańca podpowiadał mi, że muszę gromadzić informacje i poznać język domniemanego wroga. Wiedziałem, że jeśli tak uczynię, to zawsze będę krok przed przeciwnikiem. Oczywiście nie zrozumcie mnie źle, nie traktowałem grypsujących jako potencjalnych agresorów tylko postępowalem w myśl starego, mądrego porzekadła, że watro dmuchać na zimne.

Przez prawie dwa tygodnie Wojtas i tamtych trzech zrywało parkiet, a ich zadaniem było odzyskanie jak największej ilości desek, które za jakiś czas, miały tam trafić ponownie. Chłopaki znosili zdemontowany towar pod drzwi warsztatu, a ja i Ali dokonywaliśmy segregacji. Odcinaliśmy miejsca ewidentnie zmurszałe lub uszkodzone w sposób mechaniczny. Praktycznie każdą deskę trzeba było gdzieś przyciąć, sporo z nich klasyfikowało się wyłącznie do pieca. Natomiast te, które nadawały się do ponownego użycia, układaliśmy na zewnątrz pod ścianą stolarni. Rozłożyliśmy tam płachtę brezentu

i na koniec każdej szychty, zabezpieczaliśmy cały składzik przed deszczem. Generalnie nie było z tym za dużo pracy, a czasu jednak mieliśmy sporo, więc bajerka leciała na okrągło.

Dowiedziałem się od Alego, że nie każdy skazaniec może zostać grypserem. Najważniejszą sprawą było to, że CZŁOWIEKIEM nigdy nie będzie ktoś, kogo ojciec jest, albo był, pracownikiem wymiaru sprawiedliwości, milicjantem lub piastuje czy też pełnił w przeszłości, funkcję na wysokim stanowisku państwowym. Jeżeli należałeś do PZPR albo do jakiejś innej organizacji społeczno-politycznej, chociażby do ZSMP, które powstało dopiero w 1976 roku, to też nie miałeś szans, żeby przyłączyć się do wiadomej ekipy. Polityczna, że tak to ujmę negacja rekrutacyjna, zaczęła umierać pod koniec lat osiemdziesiątych. Rzeczywistość PRL-u rozsypywała się wtedy w pył i nadciągała nowa era, która niosła z sobą druzgocące zmiany.

CZŁOWIEKIEM również nigdy nie mogła zostać osoba o orientacji homoseksualnej albo taka, która została w przeszłości przecweloną. I teraz taka ciekawostka, wyobraźcie sobie, że w grupie grypsujących wybucha konflikt. Normalna sprawa, raz na jakiś czas takie rzeczy się zdarzały. W wyniku tego zajścia jeden z członków grupy został zgwałcony przez drugą stronę sporu. Jeżeli taka sytuacja miała miejsce, to ów delikwent był automatycznie wykluczany z grona grypsujących. Bezpowrotnie. Nawet jeśli później okazało się, że incydent zawierał kłamstwa i fałszywe oskarżenie, to poszkodowany i tak nie mógł wrócić z powrotem na łono grupy. Powód był prosty - został przecwelonny.

Teraz dość ważna informacja.

Zapamiętajcie już niektóre dziwnie brzmiące słowa, bowiem później zacznę się nimi posługiwać i nie będę powracał do tego, co dany wyraz oznacza. A swoją drogą, niektóre nazwy tak bardzo przypadły mi do gustu, że zacząłem się nimi posługiwać na dobre. Od tej pory będziecie już zdani na siebie i musicie zachować czujność. Chodzi również o to, żebyście dobrze interpretowali dwa słowa: "człowiek" i "ludzie". Jedyne co mogę dla was zrobić, to tyle, że będę pisał te oba wyrazy z dużej litery w odniesieniu do grypsujących. Mam nadzieję, że będąc w twórczym ferworze nie zapomnę o tym, dlatego na wszelki wypadek, bądźcie uważni.

Lekcja pierwsza.

Takie określenia jak siemak, siemach, szamak lub szemrany w środowisku niegrypsujących było żartobliwym określeniem więźnia grypsującego. Chociaż druga strona niekiedy postrzegala to, jako obrazę i wiele razy z tego powodu dochodziło do niepotrzebnych starć.

Lekcja trwa nadal i na tapetę bierzemy spacerniak. Znaczenia pochodne to, chodak, deptak, dreptak, kierat, klatka, kołowrót, park, patelnia, promenada, plaża, rajskie podwórko, wybieg, wychodek. Natomiast więzienie jako obiekt, gdzie odbywa się karę, miało tak wiele imion, że trudno spamiętać. Niektóre z nich to, buda, chata za wsią, ciupa, cyrk, gułag, hotel czy kazamaty. Dalej był loch, operetka, paka, pierdel, pensjonat, pucha, stodoła, ul i można tak jeszcze długo wymieniać. Natomiast popularnością cieszyło się tylko kilka utartych powiedzeń, które nie są wam obce.

Więzienny korytarz zyskał natomiast najbardziej oryginalne i wymowne

określenie, które brzmiało - peron. No sami powiedzcie, dobitne porównanie, prawda? Kurde, peron. Kiedy o tym usłyszałem, pokochałem ten wyraz od pierwszej chwili.

Na tym kończymy pierwszą lekcję wprowadzającą.

Pewnego dnia, kiedy reperowaliśmy z Alim deski parkietu, była piękna pogoda. Majowe słońce prażyło w najlepsze, w powietrzu unosił się zapach wiosny i było tak gorąco, że człowiek musiał zdjąć bluzę. Rozebraliśmy się do podkoszulek i wtedy dostrzegłem na wewnętrznej powierzchni jego przedramienia koślawy dwuwiersz. Litery wyglądały bardzo nienaturalnie i krzywo, jakby osoba dziargającego, reprezentowała swoim intelektem i zdolnościami manualnymi poziom przeciętnego ucznia drugiej klasy szkoły podstawowej. Sentencja wytatuowana dużymi literami głosiła - POTOM SIE NARODZIŁ I WYCHOWAŁ ABYM CAŁE ŻYCIE GRYPSONAŁ. Nawet mu nie powiedziałem, że prawidłowo powinno być napisane "się" a nie "sie". Doszedłem do wniosku, że z tym "sie", to też może być jakaś grypsówka fanaberia i odpuściłem.

- Kto ci tak spartolił tę dziarę? - Zapytałem z nutką lekkiej kpiny.

- Eee, dobrze było, ale potem podrosłem, no to się porozciągało - mimowolnie spojrzał na swoje lewe przedramię i dodał: - Miałem wtedy piętnaście lat. Siedziałem w poprawczaku i trzeba było pokazać dzieciakom, kto tu rządzi.

- No toś dał popis - skwitowałem z politowaniem.

- Co ty tam wiesz - zaśmiał się - dzięki temu wszyscy widzą z kim mają do czynienia, a i ameryka wtedy trwa krócej.

- Jaka ameryka? - Zapytałem.

- To jest tak - zaczął snuć swoją opowieść. - Ktoś dostaje wyrok i trafia do pudła. Klawisze pakują gościa do celi gdzie siedzą grypsujący, to wiesz co się wtedy dzieje?

- Nie mam bladego pojęcia.

- No wita się takim starym, grypserskim zwyczajem. Wygląda to tak, że rzuca się mu pod nogi ręcznik i obserwuje, co robi. Jeżeli wytrze buty, znaczy się, że jest doświadczonym Człowiekiem. A jak jeszcze powie "sie macie ludziska!" po czym spojrzy po twarzach i usłyszy właściwą odpowiedź, to wtedy uściska dopiero drugiemu rękę.

- A jak brzmi ta odpowiedź? - Dociekałem.

- No jak to jak - uśmiechnął się pełną gębą i powiedział: - Git!

- A co jeśli nowy podniesie ręcznik albo nad nim przejdzie? - Byłem ciekaw co wtedy.

- Przechodzi chrzest noworodka - odparł Ali wzruszając ramionami. - Wszyscy Ludzie rzucają się wtedy na kolesia i robią mu łomot. Potem ocenia się jego postawę. Jeżeli walczył zaciekle i bronił się, to budzi uznanie. Jeśli stawiał opór jedynie słowem i sprytnie unikał ciosów, to już jest gorzej, ale jeśli sterczał bezradnie jak pizda, pozwalał się okładać i w ogóle nie odpowiadał na atak, to może być kiepsko. Oczywiście takie zachowanie nie pogrąża kolesia na amen, bo jak to się mówi - zniżył nieco ton swojego głosu, jakby się obawiał, że ktoś może usłyszeć jego słowa. Byliśmy w pomieszczeniu tylko my dwaj, a on i tak odezwał się konspiracyjnym tonem: - ameryka może z cyców zrobić jeszcze Ludzi.

Potem dowiedziałem się, że ta cała "ameryka" tudzież "amerykanka" to taki staż, jaki musi przejść osoba chcąca dołączyć do grupy. Ten okres może trwać od kilku tygodni

do sześciu miesięcy. W tym czasie kandydat do organizacji przechodzi sprawdzian charakteru i pobiera edukację. Pilnie uczy się języka i norm panujących w grupie. W przypadku niektórych osób wstępujących, czyni się również wywiad. Jednak to ma miejsce tylko wtedy, jeżeli ktoś twierdził, że wcześniej siedział w innym więzieniu. Ali chciał mnie przekonać, że czyjaś więzienną przeszłość zawsze się sprawdza, ale chyba mu nie wierzyłem. Dopiero kiedy poznałem, jaki rozmach, jakie powiązania i układy ma grupa, to włos zjeżył mi się na głowie. Nie będę teraz uprzedzał faktów, dojdę do tego w odpowiednim czasie.

Kiedy świeżak, czy też frajer, a używając teraz słowa frajer mam na myśli osobę więźnia, który w przeszłości nie należał do szemranych, trafił do celi w której rządzą siemachy, miał trzy możliwości. Pierwsza, do której oczywiście chcieli go nakłonić grypsujący, to propozycja dobrowolnego wstąpienia do ich grona. Starali się go wciągnąć w swój świat, żeby pozyskać kolejnego żołnierza. Myślę, że każdy świeżak był dla nich łatwym celem. Nagle taki ktoś, kompletnie nieobeznany w więziennej rzeczywistości widzi, że między Ludźmi panuje solidarność i zażyłość. Tworzą silną grupę, chronią swój honor, godność i siebie nawzajem, mają utarte zwyczaje i kodeks pełen norm, które są bardzo wiążące. Świeżak przysłuchuje się ich rozmowom i z reguły bardzo szybko podejmuje decyzję, że chce należeć do ferajny. Aura tajemnicy i konspiracji dodaje do tego solidną szczyptę emocji, które bardzo kuszą. Druga możliwość jest taka, że frajer będzie miał trudne życie z nowymi współlokatorami, gdyż odmawiając przynależności i tak będą od niego wymagali przestrzegania reguł i zasad, którym sami hołdują. Coś dla przykładu? No dobrze, może kwestia jedzenia. Otóż frajer nie miał prawa usiąść przy stole, żeby zjeść posiłek. Przy blacie mogli zasiadać tylko Ludzie. Frajer był również obiektem drwin i żartów, a niejednokrotnie bardziej dotkliwych szykan niż tylko potyczki słowne. Niejednokrotnie musiał wykonywać jakieś czynności, przeważnie porządkowe, których zażądał od niego Człowiek. Natomiast trzecia i ostatnia możliwość była najbardziej podła. Jeżeli frajer uległ i nie miał już sił przeciwstawić się przemocy zarówno fizycznej jak i psychicznej i przybierał bierną postawę, to był gwałcony i tym samym zostawał cwelem. Kiedy tylko doszło do tego, informacja wędrowała w świat i dzień później wszyscy wiedzieli, kto jest ciotką. Taka osoba spadała wtedy na samo dno więziennej hierarchii. Wszyscy nim gardzili, nawet klawisze. Z drugiej strony bywało też inaczej, bowiem niekiedy grypsujący trafiał do celi pełnej frajerów. Git-człowiek miał wtedy dwa rozwiązania, albo siłą przejąć kontrolę nad stadem, co zdarzało się bardzo rzadko, albo trwać w asertywnej postawie w stosunku do frajerów. Oczywiście w przyrodzie równowaga może zostać zachwiana na jakiś czas, ale tak czy siak w końcu stanie się coś, co będzie spełniać rolę przeciwwagi. Jednak zanim więzienne życie odzyskało balans, upłynął szmat czasu, bowiem dopiero z początkiem lat sześćdziesiątych w Zakładzie Karnym w Iławie, odpowiedzią frajerów na podkulturę grypsującą była formacja "festów". Festem określano kogoś, kto pałał szczerą nienawiścią do Ludzi i dążył do ich zwalczania za pomocą dwóch konkretnych narzędzi. Pięciami lub przecweleniem. Właściwie przecwelenie było najbardziej skutecznym orężem, ponieważ jeśli jakiś Człowiek został zgwałcony, to jak już wiecie, automatycznie tracił swój status grypsującego i był definitywnie usunięty z grupy. Nie było żadnego tłumaczenia. Nic nie

mogło usprawiedliwić jego słabości, nie było żadnych okoliczności łagodzących. Ich kodeks mówił, że lepiej kogoś zabić albo nawet siebie, niż dać się upodlić. Feści nie mieli swojego języka, ale niektóre określenia grypsujących na przestrzeni tych wszystkich lat, tak bardzo wsiąknęły w więzienną rzeczywistość, że zostały przez nich zaadoptowane. Fest miał możliwość współpracy z klawiszami w bardziej szerszym zakresie niż określał to kodeks grypsujących, którzy tego typu kontaktów nie tolerowali w żadnym wypadku. Dla grypsujących to było jednoznaczne z kapowaniem. Zakaz donosicielstwa, to pierwsze przykazanie siemachów, których tak na marginesie, mieli całkiem sporo. Właściwie nieznana mi jest geneza słowa fest, ale grypsujący puścili w świat wieść, że słowo FEST oznacza Frajerska Elita Skurwionych Towarzyszy. Musicie wziąć pod uwagę, że to były lata sześćdziesiąte, więc odnośnik do towarzyszy był podszyty przez szemranych nienawiścią do aparatu partyjnego. Tym samym utożsamiał swoich przeciwników, jako konfidentów współpracujących ze służbą bezpieczeństwa. Nadrzędnym celem grypsujących była walka z prawem i ze wszystkimi instytucjami, które działały w jego imieniu. Milicja, bezpieka, służba więzienna, prokuratura czy sądy. Wszyscy reprezentanci litery prawa byli wrogami i nietrudno się domyślić, że klawisze stali na pierwszej linii frontu. Dlatego właśnie konflikt pomiędzy tymi dwoma ugrupowaniami był bardzo brutalny. Reprezentacja festów skupiała w swoich szeregach skazańców różnej maści. Począwszy od osób roślących i prymitywnych, którzy rozwiązywali swoje spory za pomocą siły fizycznej, poprzez zwykłych, przestraszonych rzezimieszków, aż po ludzi inteligentnych i wykształconych, bowiem tacy też trafiają do więzienia. Teraz wyobraźcie sobie taką rzecz, otóż przed wybuchem II wojny światowej w Polsce było razem z Wronkami, tylko czternaście więzień izolacyjnych. Mogę je nawet wymienić w kolejności alfabetycznej: Baranowicze, Chełm, Inowrocław, Krasnystaw, Łomża, Mysłowice, Płock, Sandomierz, Siedlce, Słonim, Starogard, Tarnopol i Tarnów. No i sami powiedzcie, czym jest czternaście pierdli w skali całego kraju? Ile było wtedy innych więzień i aresztów? Ilu ludzi siedziało za kratami? Chciałbym kiedyś tak z czystej ciekawości, dorwać się do takich statystyk. W każdym bądź razie, można śmiało wysunąć twierdzenie, że w latach międzywojennych, tysiące skazańców tworzyło podwaliny dla podkultury grypsujących. Pytanie zasadnicze brzmi tak: - czy to środowisko skupiało tysiące, dziesiątki czy może nawet setki tysięcy zadeklarowanych członków? Skoro w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych w samych Wronkach było ponad pięciuset charakternych? A Kraków, Warszawa, Gdańsk, Kielce, Gliwice to tylko kilka większych miejscowości, a gdzie cała reszta? Pomyślcie, ilu więźniów musiało należeć do tej organizacji począwszy od czasów zakończenia drugiej wojny światowej, aż do dnia kiedy narodzili się feści! Armia Ludzi, armia wiernie służąca ideałom grypsu! Nieokielznana rzesza, którą zawsze charakteryzowały organizacyjna dyscyplina i żelazne oddanie. W miarę upływu czasu, ta podkultura zaczęła stanowić realne zagrożenie dla instytucji więziennictwa. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości dostrzegli problem bardzo późno, bowiem dopiero w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych zorientowali się z czym mają do czynienia. Punktem zwrotnym w historii polskiego więziennictwa było pewne wydarzenie, które miało miejsce 26 marca 1962 roku i na pewno wam o tym opowiem. Największym priorytetem władz więziennych zostało wtedy rozpracowanie podkultury

gryperskiej. Poznanie obyczajów i norm, rozszyfrowanie języka i znaczenia tatuaży. Władze stworzyły nawet specjalny ośrodek szkoleniowy, gdzie pracownicy służby więziennej uczyli się, jak skutecznie walczyć z tym przestępczym zjawiskiem. Dwa lata później we wronieckim więzieniu pojawił się gwiazdor w randze porucznika Modest Ozurski, który był specjalistą w tym temacie. Nie dość, że miał kretyńskie imię, no bo sami powiedzcie chcielibyście się tak nazywać, albo ochrzcić tym imieniem swoje dziecko? Modest, kurwa mać! Nawet nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jaki był z niego podły człowiek i do jakich uciekał się metod. Tak sobie myślę, że jeśli los rzuciłby go na drugą stronę barykady, to facet byłby chyba najniebezpieczniejszym więźniem PRL-u. Wraz z jego przybyciem pojawił się w słowniku nowy wyraz, który brzmiał - rozgrypsiarnia. Chodziło o tworzenie przez pracowników służby więziennej nieformalnych cel, ze specjalnie dobranym składem osobowym. Rządzili w nich więźniowie lojalni wobec administracji albo członkowie grupy konkurencyjnej i wrogo ustosunkowanej do grypsujących. Kiedy siemak trafiał do takiej celi, to miał przesrane, bowiem jej mieszkańcom przyświecał tylko jeden cel - wyperswadować mu, że ma się wyrzec swojej przynależności do środowiska grypsujących. Pomiedzy administracją służby więziennej, a królami rozgrypsiarni istniało ciche przyzwolenie na stosowanie przez nich skutecznych metod perswazji. Tutaj nikt się nie cackał. Jeśli okazało się, że delikwent był szamakiem, to na dzień dobry dostawał lanie, a dopiero potem mógł usłyszeć, jakie ma spełnić oczekiwania. Szemrany musiał się bardzo szybko określić, jaką podjął decyzję. Najpierw oberwał, a potem był informowany, że albo dobrowolnie oświadczy, że odstępuje od grypsujących i wtedy będzie miał święty spokój, albo zrobi to pod przymusem. Jeśli się zgadzał, to wieść o jego abdykacji wędrowała w świat i tym samym popełniał samobójstwo członkowskie. Żelazna reguła pochodząca z kodeksu siemachów, zakazuje im zapierania się udziału w grupie bez względu na okoliczności. Maszeruj albo giń, jak głosi hasło najemników w Legii Cudzoziemskiej jest chyba najlepszym porównaniem do takiej sytuacji. Jeżeli grypsujący chciał grać twardziela, to zdawał sobie sprawę, że oto przekracza bramy piekieł. Jego życie od pierwszej chwili zamieniało się w koszmar, był szykanowany, poniżany i bity. Tylko nieliczni wiedzieli jak stawić opór, żeby wyrwać się z opresji. Musieli jednak mieć dużo odwagi, szybki refleks i potężną determinację. Na nadużycia ze strony oprawców, władze więzienia przymykały oko, jednak istniały pewne granice, których nie można było przekroczyć. Za śmierć współwięźnia albo jego trwałe okaleczenie groził dodatkowy wyrok, więc druga strona musiała działać z wyczuciem. Oczywiście dochodziło również do zbiorowych gwałtów, a przeżycie takiego aktu, automatycznie strącało osobę charakterniaka na dno socjalne więziennej społeczności. Wtedy przez swoich niedawnych kamratów był uważany za cwela, cała grupa odwracała się do niego plecami, a jej członkowie mówili, że został posłany do wora. Jeśli znajdując się w sytuacji zagrożenia, szamak zdążył na przykład dokonać poważnego samookaleczenia, żeby jego oprawcy byli zmuszeni do wezwania oddziałowego, to udowadniał swoją charyzmę. Rzadko kiedy zdarzało się, żeby później tego siemacha, który wykonał na sobie zamach, chciano ponownie poddać procesowi rozgrypsowania. To mogło być niebezpieczne posunięcie i istniało prawdopodobieństwo, że sprawy mogą wymknąć się spod kontroli, dojdzie do tragedii i

czyjeś urzędnicze głowy pójdą na ścięcie. Tak właśnie stało się w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych w więzieniu w Strzelcach Opolskich. Feści chcieli przecwelić grypsującego, a ten rzucił się w stronę okna, rozbił ręką szybę, chwycił w dłoń kawałek szkła, podniósł podkoszulkę i rozplatał sobie wnętrzości. Pociągnął tak głęboko, że jego okaleczone trzewia wypadły na podłogę. Chłopa nie zdążyli uratować. Każdemu, kto był zakwaterowany w tej nieszczęsnej celi, prokurator postawił zarzuty i wszyscy jak jeden, musieli odbębnić dodatkowe pięć lat. Wyciągnięto sankcje wobec strażników, którzy w tym czasie pełnili służbę, a dyrektor więzienia został zawieszony w pełnieniu swoich obowiązków do czasu wyjaśnienia sprawy. W wyniku drobiazgowego śledztwa wyszły na jaw przeróżne ciemne sprawki, w które byli zamieszani pracownicy więziennej administracji. W szeregach kadry kierowniczej posypały się zwolnienia dyscyplinarne. Skandal był na całą Polskę, a więźniowie będący w opozycji do pracowników służby więziennej podkręcali jeszcze sprawę, zasypując prokuratora lawiną fałszywych pomówień i oskarżeń. Zapanował totalny chaos.

Tak wiem, miałem nie wybiegać w odległą przyszłość, bo zaczynam siać zamęt w moich zapiskach, ale cóż mogę poradzić skoro słowa same mnie niosą? Chyba skończę na dziś pisanie, odsapnę trochę, dam odpocząć myślom i oderwę się od wspomnień. W tej chwili na dworze skrada się sobotni, sierpniowy zmierzch, a poświata zachodzącego słońca, niczym gorejąca luna maluje się nad linią horyzontu. Na poddaszu, gdzie mnie zakwaterowali, zajmuję mieszkanie składające się z dwóch pomieszczeń. Jedno pełni funkcję salono-gabineto-sypialni i są tutaj dwa nieduże okna, które spoglądają w zachodnim kierunku. Natomiast drugie pomieszczenie jest identycznej wielkości i służy mi jako łazienko-kuchnia. Tam też są dwa okna, ale one patrzą na wschód. Wiecie co mnie tutaj najbardziej cieszy? Ano to, że na starość żyję w takim miejscu, gdzie każdego ranka widzę jak wstaje słońce, a każdego wieczoru mogę się z nim pożegnać i spoglądać, jak oddaje świat we władanie nocy. Niby nie ma w tym nic szczególnego, ale powiem wam, że dużo to dla mnie znaczy.

Dziś rano, kiedy wróciłem z piekarni gdzie każdej soboty kupuję pieczywo i zanim zacząłem robić sobie śniadanie, włączyłem radio. Kiedy kroilem pajdę świeżego, chrupiącego chleba spiker powiedział, że wczoraj Jan Paweł II zakończył swoją czwartą pielgrzymkę do Polski. Kurde, kto by pomyślał, że nadejdą takie czasy, kiedy będziemy mieć w Watykanie naszego ziomka! Dobry i mądry z niego człowiek. Jestem pewien, że zrobi dla świata dużo wspaniałych rzeczy. A wiecie, co ja teraz zrobię? Zaraz zaparzę sobie szklankę miętowej herbaty, a potem, jakby to rzekł Pędrak - pora skrócić blanta. Potem usiądę wygodnie przy oknie, przypalę zioło i po prostu będę się gapił na zachód słońca.

Przez dwa długie tygodnie, kiedy ja i Ali segregowaliśmy deski z kaplicy, nasłuchałem się przeróżnych opowieści o grypserskich zasadach. Kilka razy próbowałem go nakłonić, żeby powiedział coś więzienną gwarą, ale on za cholerę tego nie chciał zrobić.

- Daj spokój generale Ropuch - czasami zwracał się do mnie w ten sposób. - Nic nie wskórasz, nie ma takiej opcji. Nie sprzedam ci grypsu.

Muszę przyznać, że był w tym temacie bardzo konsekwentny. W końcu dałem za

wygraną. Jednak może dobrze, że tak się wtedy stało, bo chyba nie zapamiętałbym tego wszystkiego. Dowiedziałem się natomiast wielu innych ciekawych rzeczy.

Wróćmy do grypserskiego stażu. Otóż nowy członek grupy zyskiwał oficjalne miano "amerykan", ale był również nazywany chrabąszcz, cyc, harcerzyk, kasztan albo noworodek. Osobiście najbardziej podobało mi się określenie - chrabąszcz. Tak jak wam wcześniej wspominałem, na stażu uczył się języka i kodeksu. Jednak oprócz tego pobierał także intensywne nauki przestępcze. Poznawał tajniki włamań i kradzieży. Uczył się jak wodzić za nos śledczych, kiedy zostaje się aresztowanym, jak stawać okoniem wobec wszystkich klawiszy oraz tego, jak postępować w pudle, żeby zyskać uznanie w szeregach ferajny. Błagam was, nie mówcie mi nic o resocjalizacji. Nawet o tym nie myślcie. W tamtych czasach więzienie dla przestępcy było niczym prestiżowa uczelnia, w której wykolejeni adepti zdobywali najbardziej zawile arkana bandyckiej wiedzy.

Lekcja numer dwa.

W obliczu jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, nieważne czy to ma miejsce w celi, na peronie czy na promenadzie, Człowiek nigdy nie powinien się bać lub załamywać. Po prostu bez względu na okoliczności nie wolno mu pękać. Po drugie, żaden z Ludzi nie powinien przyznać się do popełnienia przestępstwa lub przewinienia, które godzi w więzienny regulamin. Nawet jeśli ktoś zostałby przyłapany na gorącym uczynku, to jego obowiązkiem jest iść w zaparte i wszystkiemu zaprzeczać. Jeśli działałoby się coś niedobrego i gdyby klawisz dosłownie złapał takiego osobnika za rękę, to on powinien przekonywać gada, że... to nie jest jego ręką.

W podkulturze git-Ludzi istnieje hierarchia. Szeregowi członkowie nie mają wpływu na dobór dowódcy, a ich zadaniem jest ślepo wykonywać polecenia i nie kwestionować nawet ich sensu. Z pozoru wydaje się to nielogiczne, ale w rzeczywistości, to właśnie stanowi o sile grupy.

Mąciiciel - to osoba pełniąca w tym środowisku rolę, że tak to ujmę, kierowniczą. W każdym więzieniu jest kilku mąciicieli, ale szef tylko jeden. Właściwie wybór jakiejś osoby, która zyskuje status owego mąciiciela jest zakonspirowany zarówno przed szeregowymi członkami grupy, jak i przed personelem więziennym. Środowisko wybiera mąciiciela na dwa sposoby. Pierwszy, o którym najpierw opowiem, polega na zasadach eliminacji. Pod uwagę brane są takie kryteria jak staż więzienny i przestępcze doświadczenie. Dodatkowe pożądane atuty to sprawność fizyczna i poziom inteligencji przewyższający przeciętną w grupie oraz zdolności przywódcze. Liczy się również sława przestępcza, a najwyższej ceniona jest wtedy, kiedy wyczyn takiego delikwenta był szeroko komentowany i opisywany przez środki masowego przekazu. Mile widziana jest zawadiacka postawa, łamanie regulaminów, próby ucieczek, utarczki z klawiszami lub odbyte kary dyscyplinarne. Im więcej kandydat ma na swoim koncie takich przewinień, tym bardziej jego szanse na awans wydają się pewne.

Drugim sposobem wyboru mąciiciela jest nominacja. Co ważne, jeżeli ktoś otrzyma ten tytuł, to piastuje go, aż do chwili zakończenia wyroku. Wychodząc na wolność, mąciiciel ma prawo wskazać swojego następcę, oczywiście tylko wtedy, kiedy z jakichś powodów nie można dokonać tego drogą eliminacji. Otrzymując nominację, jedynym zmartwieniem nowo upieczonemu mąciiciela jest utrzymanie dyscypliny i posłuszeństwa

pozostałych. Najcięższym orężem, jaki mu przysługuje, jest prawo zdegradowania i przecwelowania opornych członków. Mam nadzieję, że dostrzegacie iż prawa grypsujących najbardziej chronią przywódców grupy. Cwane posunięcie, prawda? Mówię wam, ich siła tkwiła w bezwzględności. Rzadko kiedy bywało, żeby osoba mściciela została zdegradowana przez własne środowisko. Ja osobiście znam tylko dwa takie przypadki.

W roku 1953 we Wronkach było trzech mścicieli, a dwóch z nich, to byli Deruś i Słodki. Obaj mogli pełnić swoje funkcje dożywotnio, bowiem takowe wisały na nich wyroki. Trzecim natomiast był niejaki Bolo. Potężny chłop, miał blisko dwa metry wzrostu i ważył prawie sto trzydzieści kilogramów. Ciągnęła się za nim jakaś parszywa, kryminalna przeszłość, a we Wronkach odbywał wyrok dwunastu lat więzienia za porwanie dla okupu. Miał taką parę w rękach, że jak kogoś trzepnął, to od razu jego sparing partner lądował na deskach pozbawiony przytomności. A tak poza tym, Bolo był gnidą jakich mało.

Tak sobie myślę, że przez długi czas, to właśnie ich trójka trzymała to pudło w garści.

Teraz napiszę wam trochę informacji o grypserskiej strukturze organizacyjnej. Za chwilę, to co przeczytacie wyda się wam nieprawdopodobne, ale musicie mi zaufać. Ja na początku też nie wierzyłem i myślałem, że to są po prostu czerstwe pierdoły, lecz wystarczyło raptem kilka lat i przejrzałem na oczy.

Kojarzycie takiego literata Mario Puzo? Koleś napisał genialną książkę pod tytułem "Ojciec Chrzestny" w której pokazał światu, jak funkcjonuje prawdziwa mafia. I teraz idzie najlepsze, wyobraźcie sobie, że grypsujący byli zorganizowani w bardzo podobny sposób. Ich struktura działała na długo wcześniej niż ten amerykański autor włoskiego pochodzenia napisał swoje dzieło o sycylijskiej mafii. Dlaczego twierdzą, że schemat był podobny? Otóż dlatego, że w rodzinie Corleone wszyscy wiedzieli kto jest Donem, ale tylko nieliczni mieli z nim kontakt. Natomiast podrzędni członkowie git-Ludzi nawet nie zdawali sobie sprawy, kim jest ich szef. Całkiem możliwe, że niektórzy z nich zastanawiali się, czy głowa ich organizacji siedzi w tym samym pudle? Znali jedynie mścicieli, których kilka lat później znakiem rozpoznawczym był niewielki tatuaż pod lewym okiem, przedstawiający serduszko. A tak abstrahując od głównego tematu, to o mowie tatuaży, mógłbym też napisać obszerną książkę.

Na pewno orientujecie się, że wszystkie organizacje przestępcze mają kształt piramidy. W więzieniu wyglądało to identycznie. Na szczycie był herszt, a później mściciele i charakterniaci, którzy byli zaliczani do jego najbliższej świty. Określenie charakterniak było mi znane jeszcze z czasów II RP, więc domniemywam, że najzwyczajniej w świecie zostało ono przejęte przez grypsującą brać. W ich świecie to słowo oznaczało Człowieka, który był w oczach pozostałych postrzegany jako niedościgły wzór. Mógł mieć na swoim koncie na przykład spektakularne ucieczki, najgroźniejsze samouszkodzenia lub był twórcą najwymyślniejszych szykan wobec frajerów i cweli. Sami teraz widzicie, że wszystko to, co po drugiej stronie murów zasługiwało na potępienie w więzieniu znaczyło coś kompletnie przeciwnego. Wielu charakterniaków tylko z sobie znanych powodów nie chciało być mścicielami. Może chodziło im o to, żeby

pokazać własną indywidualność i niezależność? A może nie zawsze spełniali kryteria, które pozwalałyby im ubiegać się o taki tytuł? W każdym bądź razie, szefostwo zawsze liczyło się z ich zdaniem. Tak jak wspominałem kilka zdań wyżej, w roku 1953 było tylko trzech mącicieli. Rok później resort więziennictwa wykonał pewien manewr, który miał za zadanie uprzykrzyć życie politycznym i więzienne cele zostały wymieszane. Idea była taka, żeby polityczni stracili swój niepisany status świętych krów i poznali czym tak naprawdę jest pierdel. Natomiast zupełnie nieoficjalnie został zawarty perfidny pakt pomiędzy bezpieczeńką i środowiskiem przestępczym skazańców pospolitych. Ci drudzy w pewnym sensie mogli się poczuć nawet bezkarni, bowiem otrzymali ciche pozwolenie na gnębienie politycznych. W mniemaniu władz, to miała być mściwa zagrywka taktyczna i chyba nikt z urzędników nie przypuszczał, że w niedalekiej przyszłości sprawy skomplikują się jak jasna cholera. Grypsery niczym zaraza rozlali się po więzieniu, a czas pokazał, że tym sposobem została otwarta mityczna Puszka Pandory. Na początku spisek przyniósł oczekiwane efekty. Upokorzeni polityczni zaczęli masowo współpracować z organami bezpieczeństwa, bowiem psychicznie nie potrafili znieść nowej sytuacji. Zaczęli wyrzekać się swoich poglądów i zdradzać działaczy wrogo nastawionych do ustroju, którzy funkcjonowali po drugiej stronie murów. Przez kraj przelała się fala aresztowań. Antysocjalistyczne podziemie praktycznie zostało rozpracowane. Życie wielu politycznych zostało złamane, a brutalna więzienna rzeczywistość uczyniła z niektórych git-Ludzi. Musicie wiedzieć, że ja ich nie potępiam. Zdaję sobie sprawę, że nagle znaleźli się pomiędzy przysłowiowym młotem a kowadłem. Z jednej strony niszczyła ich władza, a z drugiej współwięźniowie. Myślę, że niewielu jest w stanie znieść ból i podłość w imię własnych przekonań tym bardziej, kiedy niektórzy zaczęli sobie uświadamiać, że ich ofiara nie ma żadnego sensu. Oczywiście nie generalizuję i nie twierdzę, że wszyscy będący w opozycji do panującego ustroju ulegli naciskom i poddali się bez walki. Ta sytuacja doprowadziła jednak do czegoś jeszcze. Pojawiły się tak zwane skutki uboczne. Wyobraźcie sobie, że dwa lata później na każdym pawilonie był jeden mąciciel główny, pawilony zostały podzielone na oddziały, a każdy oddział miał swojego własnego mąciciela. Potem porobiło się jeszcze tak, że w każdej celi był mąciciel najniższego szczebla. Rozumiecie teraz w czym rzecz? Grypsujący przejęli w polskich więzieniach władzę. Jeżeli z góry przychodził rozkaz, że na którymś oddziale grypsujący mają w sobotę wieczorem przeprowadzić akcję z chlastaniem, to mąciciele w celach mieli przypilnować, żeby tak się stało. Tak właśnie było. Opowiem wam później historię, która dosłownie ociekała krwią. Jednak wracając do głównego wątku, czyli hierarchii. Mąciciele każdego szczebla dbają o to, żeby mieć przy sobie przynajmniej jednego Człowieka, którego nazywa się satelitą albo łapiduchem. To osoby ślepo oddane i gotowe wykonać każde polecenie. Stanowią coś na zasadzie gwardii przybocznej, wykonują niebezpieczne zadania, a w razie potrzeby są w stanie wziąć na siebie winę przed personelem więziennym. Jak na ironię, satelici nie zawsze kierują się grypserskim honorem, są nawet w stanie złamać pewne normy w imię efektywności własnych działań, przez co nie są szanowani przez innych członków grupy. Absurdalne, prawda? Jednak ich pozycja jest mocna, bowiem są chronieni przez swoich przywódców. Trudno określić szczeble w drabinie władzy i ustalić konkretnie, kto jest bardziej ważny,

a kto mniej. Myślę, że w dużej mierze mieli na to wpływ ci, którzy faktycznie zasiadali na tronie. W tym środowisku funkcjonowali również indywidualni wysłannicy kadry dowódczej, tak zwani rozkminiający, którzy zawsze byli kierowani do zbadania problemów wewnątrzgrupowych. To są Ludzie cieszący się szacunkiem pozostałych. Natomiast pupile, czyli osoby faworyzowane przez najwyższych nie wykonują żadnych zadań. Korzystają natomiast ze wszystkich przywilejów i zawsze są obiektem zazdrości i intryg. Oczywiście fundament całej struktury są podrzędni członkowie i tak naprawdę, to oni tworzą cały przejaw tej tajemniczej podkultury.

Schyłek lat pięćdziesiątych pokazał, że stała się niewyobrażalna rzecz. Uwaga moi drodzy, zapnijcie pasy, bo teraz zacznie się prawdziwa jazda. Wyobraźcie sobie, że od Bałtyku aż do Tatar, od Odry aż po Bug we wszystkich polskich więzieniach byli grypsujący. W każdym pudle funkcjonowała podobna hierarchia. To było jeszcze do przyjęcia, bowiem niektóre maszyny, jeśli zostaną raz puszczone w ruch, to trudno je zatrzymać. Jednak szokiem okazało się, że spisek ma przerażający rozmach, gdyż struktura organizacji sprowadzała się do tego, że któryś z więźniów był szefem wszystkich szefów. Dokładnie tak samo jak dyrektor Centralnego Zarządu Zakładów Karnych miał pieczę nad wszystkimi jednostkami penitencjarnymi w kraju, tak samo rządził skazaniec, którego tożsamość była praktycznie nie do wykrycia. Ktoś taki odgórnie decydował o niektórych akcjach w jakimś konkretnym pudle. Wśród grypserów byli przywódcy okręgowi, a nieco niżej zakładowi. Przychodził rozkaz od najważniejszego i działało się. Nie było, że boli. Ślepe posłuszeństwo oraz zmowa milczenia, były jednymi z najważniejszych cech środowiska grypsujących. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy z was uśmiechają się pod nosem z niedowierzaniem i są święcie przekonani, że opowiadam bajki. Nie moi drodzy, to nie są bzdury. Jeżeli ktoś z was tak na poważnie zainteresuje się tą tematyką, która już przeszła do historii, to na pewno trafi na informacje, które mówią o tym, jak ferajna z więzienia znajdującego się w południowej Polsce, kierowała buntem młodocianych przestępców osadzonych w poprawczaku na Pomorzu... Jak ogromna była skala tego zjawiska i jak daleko sięgały wpływy szefa wszystkich szefów na więzienną rzeczywistość, doskonale odzwierciedla zdarzenie z 1962 roku.

Możecie teraz kłaść w żywy kamień, pomścić na mnie i Bóg wie co jeszcze, ale po prostu muszę po raz kolejny porzucić chronologię wydarzeń i pomknąć z roku 1953 dziewięć lat w przód albo i jeszcze dalej.

Od czasów zakończenia II wojny światowej, aż do pierwszej połowy 1962 roku każdy więzień w Polsce otrzymywał tylko dwa posiłki dziennie. Śniadanie i obiadokolację. Menu było bardzo ubogie, a norma kwatermistrzowska jasno określała ilość kalorii. Ci, którzy otrzymywali z domu rakiety z żarciem mieli się całkiem dobrze, ale przecież nie każdy skazaniec dostawał paczki. Oczywiście w kantynie można było kupić jakieś ochłapy, tylko że nie każdy zarabiał pieniądze. Tworzyło się hermetyczne, błędne koło.

Od początku lat pięćdziesiątych, raz do roku docierały do naszych uszu wieści, że w jakimś więzieniu wybuchał z tego powodu groźny, zorganizowany protest. W żadnym wypadku nie mylcie tego pojęcia ze słowem bunt, bowiem różnica jest taka, że protest ma łagodny charakter, a bunt polega na brutalnym przejęciu władzy nad jednostką

penitencjarną. Prawdziwy bunt, to opanowanie obiektu ze wszystkimi konsekwencjami, z ofiarami w ludziach i rozlewem krwi włącznie. W latach 1945-1962 w kraju nad Wisłą ponoć tylko dwa razy doszło do takiej sytuacji. Nie wiem, być może tego typu zajść było więcej, ale jeśli nawet, to opinia publiczna nigdy nie dowiedziała się o tych incydentach. Generalnie świat po drugiej stronie murów bardzo rzadko słyszy, że coś złego dzieje się wewnątrz jakiegokolwiek zakładu karnego. Żadna władza nie może sobie pozwolić na to, żeby takie informacje przedostały się na zewnątrz. Nagłośnienie takiej afery wywołałoby katastrofę polityczną i mogłoby mieć niewyobrażalne skutki. Jeśli w pierdlu ma miejsce jakakolwiek grupowa akcja, władze takiego więzienia mają za zadanie opanować sytuację wszelkimi możliwymi sposobami. Podejrzewam też, że w takim wypadku cała kadra pracownicza, jest również zobowiązana do chowania milczenia w tej sprawie. Oczywiście najczęstszym rozwiązaniem było spacyfikowanie tych wszystkich, którzy mają problem. Stare powiedzenie mówi, że siłę trzeba zwalczać siłą i chyba jest w tym sporo prawdy. Jeśli władze jakiegoś więzienia ugięłyby kark przed protestującymi i podjęły negocjacje albo spełniły ich żądania, to chyba zdajecie sobie sprawę, jakie byłyby tego następstwa, prawda? Miesiąc później wszystkie polskie więzienia zamieniłyby się w cyrk.

Musicie wiedzieć, że w tamtych latach władza państwowa miała w swoich rękach potężne narzędzie w postaci pewnego aktu prawnego. Był to potocznie tak zwany "mały kodeks karny", a chodziło konkretnie o Dekret z dnia 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Ów dekret utracił swą moc prawną dopiero 31 grudnia 1969 roku. Dostęp do tego dokumentu zawsze był jawny, więc ci z was, którzy będą chcieli wejść głębiej w temat mogą się z nim zapoznać. Powiem wam tyle, że "mały kodeks karny" przewidywał aż trzynaście przestępstw za które groziła kara śmierci! Przepisy były cholernie surowe i dawały każdemu prokuratorowi olbrzymie pole do ich nadinterpretacji. Rozdział II mówił o przestępstwach przeciwko porządkowi publicznemu, a artykuł 36 brzmiał:

"Kto bierze udział w związku, którego istnienie, ustrój albo cel ma pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej podlega karze więzienia".

Chociaż to było szyte grubymi nićmi, to w myśl owego artykułu wszyscy grypsujący już na starcie byli w ciemnej dupie. Jeżeli Człowiekowi, który naprawdę podpadł, udało się wywinąć z tego zarzutu, to obrywał z drugiej strony i mógł na przykład beknąć za opowiadanie antypaństwowych dowcipów, za lżenie na ustrój, za czynienie szkody na rzecz zakładu państwowego... A czymże jest więzienie, jeśli nie państwowym zakładem? Każdy zorganizowany protest, zawsze paraliżował funkcjonowanie jednostki penitencjarnej, a to można było podciągnąć pod inny paragraf, dotyczący przestępstw przeciwko interesom gospodarczym. Myślicie, że ktoś chciał za to pierdnąć kilka dodatkowych lat? Cwaniakom wydawało się, że nie ma na nich bata, że zawsze uda się jakoś wyślizgnąć i będzie dobrze. Znałem takich, którzy się na tym ostro przejechali. Podczas mojego rezydowania we wronieckim więzieniu, kilka razy zdarzyło się, że przez grypsujących była organizowana jakaś gruba akcja, która miała za zadanie wprowadzić w więzieniu kontrolowany chaos. Jednak kiedy sytuacja została opanowana, to z całej grupy charakterniaków tylko dwóm albo trzem został wlepiony dodatkowy wyrok. Nie karano mąciocieli, o nie moi drodzy. Zagrywka polegała na tym, żeby dowalić szeregowym

członkom, a tym samym osłabić morale pozostałych. Prawie całe swoje życie przesiedziałem we Wronkach i powiem wam, że nigdy nie stało się tak, żeby dyrekcja więzienia samodzielnie podjęła jakiegokolwiek jawne negocjacje lub oficjalnie spełniła żądania protestujących.

Szef wszystkich szefów, oczywiście przyjmując za pewnik, że taka osoba faktycznie istniała, musiał być łebskim kolesiem i zdawał sobie sprawę, że tylko spektakularna afera, która obejmie swoim zasięgiem cały kraj, może przynieść efekt w postaci spełnienia żądań. Chodziło oczywiście o te nieszczęsne posiłki, bo więźniom przysługiwało tylko śniadanie i skromna obiadokolacja. Chociaż nie mam na to dowodów, to jednak uważam, że w roku 1962 jakaś konkretna osoba musiała piastować to najwyższe stanowisko w nieformalnej polskiej hierarchii więziennej. Opowieść o tym co się wtedy wydarzyło, przeszła do legendy i żyje po dziś dzień, aczkolwiek wiem, że na przestrzeni lat obrosła mitem i została bardzo przekoloryzowana. W roku 1988 pewien młody więzień, na którego wszyscy wołali Fingiel chciał nam zaimponować na spacerunku i zaczął snuć historię tego zajścia. Uśmiełem się wtedy do łez. Mówię wam, myślałem, że skonam. Faktem jest, że Fingiel potrafił barwnie toczyć gawędę i dzięki odpowiednio dobranym słowom nadał jej charakter niemalże romantycznej przygody. Można było odnieść wrażenie, że dawno dawno temu cała rzesza uciśnionych, biednych skazańców, rozsianych po wszystkich więzieniach w obrębie polskich granic, w akcie desperackiej rozpacz zebrała się w kupę i zaprotestowała, jak jeden mąż. Geniusz przedsięwzięcia polegał na tym, że tego samego dnia wszystkie parszywe pierdłe PRL-u zostały pozbawione prądu. Znienawidzony wróg, czyli system penitencjarny oraz jego przedstawiciele, zostali rzućeni na kolana i posłusznie spełnili postulat. Żądanie brzmiało - chcemy otrzymywać trzy posiłki dziennie. Należy nam się śniadanie, obiad i kolacja.

- Fingiel, ile ty masz właściwie lat? - Zapytałem, jak już skończył mówić.

- Dwadzieścia siedem - odparł, patrząc mi prosto w oczy.

- Coś ci powiem synku - rzekłem uśmiechając się z lekkim politowaniem - skoro masz dwadzieścia siedem wiosenek, to wychodzi na to, że w 1962 rznąłeś w pieluchę, doileś maminego cyca i nawet nie miałeś pojęcia, że żyjesz.

- Ale o co ci chodzi? - Warknął z oburzeniem.

- O to mi chodzi dzieciaku, że ja byłem naocznym świadkiem tych wydarzeń. Ja wiem, co działo się w murach tego więzienia, a ty opowiadałeś fajną bajeczkę, którą usłyszałeś od jakiegoś czarodzieja - skwitowałem i sięgnąłem po szluga. - Zgadza się, ta akcja miała miejsce ale nie było tak różowo, jak mówiłeś.

- Byłeś tutaj?! - Któryś z więźniów zapytał mnie zaskoczonym głosem.

- Kurwa mać, nie rób siary matole - jego sąsiad trącił go pięścią w ramię. - Przecież to najstarszy generał w tym pensjonacie! - Zaraz potem spojrzał na mnie i dodał proszącym tonem: - Może opowiesz nam jak był naprawdę?

Zerknąłem po twarzach, które wpatrywały się w moje oblicze i zacząłem mówić:

- To był ponury marcowy poniedziałek 1962 roku. Skłębione chmury sunęły niebem i były na tak niskim pułapie, że ich brzuchy puły o kanciasty dach wieży - kiwnąłem głową w jej kierunku. - To był właśnie taki dzień, kiedy człowiekowi przemknęło przez głowę myśl, że dziś może się wydarzyć coś gównianego. Nim zegar wybił południe

w warsztatach zgasły światła i zamilkły wszystkie urządzenia, które działały na prąd. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że to zwykła awaria albo nieprzewidziana przerwa w dostawie energii. Jednak kilka godzin później okazało się, że ktoś dokonał sabotażu. Więźniowie, którzy mieli pojęcie o elektryce zostali spędzeni do głównej rozdzielni i oczekiwano od nich, żeby coś zrobili z tym bajzlem. Wśród nich był również Żaróweczka, bardzo przyzwoity koleś, który o prądzie wiedział wszystko. Jednak nikt nawet nie podejrzewał, że to właśnie Żaróweczka był sprawcą tego zamieszania, ale to okazało się dopiero kilka tygodni później. To on za pomocą śrubokręta i zwykłych spinaczy do papieru uziemił to pudło na kilka dni. Oczywiście tak samo jak pozostali rozkładał bezradnie ręce i twierdził, że nie ma pojęcia co się stało. Po dwóch godzinach klawisze zorientowali się, że chłopaki grają na zwłokę i wcale nie mają zamiaru niczego naprawiać. Pomoc musiała przyjść z zewnątrz. Dyrektor nie zastanawiając się długo, poprosił o fachowe wsparcie specjalistów z zakładu energetycznego. Pewnie myślał, że jak przyjadą, to bach bach zrobią swoje i będzie po sprawie, a tymczasem oni utknęli tu na kilka dni i zachodzili w głowę, co jest grane? Wymieniali bezpieczniki, jakieś mostki, kabelki i za każdym razem jak odpalali główny wyłącznik, szlag trafiał ich robotę. Iskry leciały na prawo i lewo, siny dym spowijał łączenia kabli, a izolacje na przewodach topiły się jak masło na rozgrzanej patelni. W końcu rozkręcili całą szafę rozdzielczą do ostatniej śrubki i wtedy znaleźli przyczynę, która świadczyła o tym, że to był sabotaż. Przez tych kilka dni życie w więzieniu zamarło. We wszystkich warsztatach większość narzędzi hulała na prąd. Żadne światła się nie paliły, nawet lampy ciągnące się wzdłuż więziennego muru i reflektory z wieżyczek strażniczych. Wieczorem panowała nieprzenikniona ciemność, a na sterowni, jak za króla Ćwieczka płonęła naftowa lampa. Nocami z okien niektórych cel rozlegały się zawodzące ujadania, a klawisze za cholere nie potrafili w mroku namierzyć dowcipnisiów. Jedynym mankamentem było to, że wieczorami w celach siedzieliśmy po omacku i wtedy Kłodziu, który zajmował się przemytem, zbił majątek na plastycznej parafinie. Brak światła na peronach doprowadzał klawiszy do wściekłości, bo chłopaki umawiali się na kopanego. Wyobraźcie sobie, że dzwon na sterowni uderza obwieszczając capstrzyk, a tu nagle gdzieś na pawilonie C rozlega się kopanie w drzwi. Strażnicy myśleli, że są sprytni i ustawiali się tak, żeby w mroku wypatrzeć lub przynajmniej określić, kogo rozpiera energia. Stoją na peronie C, a tu nagle kopanego odstawia ktoś w pawilonie A - moi słuchacze rechotali z rozbawieniem. - Przez pierwsze dwie noce sierściuchy ganiali po całym pudle, a potem dali sobie spokój. W poniedziałek była awaria, a dopiero w czwartek wyczaili w czym rzecz. Prawie cały roboczy tydzień poszedł się walić. Oczywiście nawet nie wspominam o problemach jakie mieli wtedy w administracji - machnąłem ręką. - Nie wiem co byłoby obecnie, skoro w tamtych czasach kilkudniowy brak prądu określano mianem katastrofy. I teraz słuchajcie uważnie - uniosłem do góry wskazujący palec, jakbym tym gestem chciał podkreślić, że za chwilę powiem coś bardzo ważnego - to, co stało się wtedy w marcu sześćdziesiątego drugiego, to nie był incydent, który miał miejsce tylko tutaj. Awaria prądu sparaliżowała prawie wszystkie więzienia w Polsce.

- Żartujesz sobie? - Zapytał ktoś z niedowierzaniem wpadając mi w zdanie.

- Bez kitu - klepnąłem się dłonią w pierś. - To była zorganizowana akcja.

Imponujący rozmach, doskonała synchronizacja w czasie. Wszystko perfekcyjnie dopracowane i zapięte na ostatni guzik. Takiego przedsięwzięcia nie powstydziliby się nawet najbardziej utalentowany wojskowy strateg.

- Jak to było możliwe?! - Odezwał się inny słuchacz.

Zerknąłem na twarz pytającego i zobaczyłem, że w zewnętrznym kącie lewego oka ma cynkówkę. To taki tatuaż w postaci kropki, który oznacza przynależność osoby do podkultury grypsujących. Uśmiechnąłem się cwaniacko i rzekłem:

- Z tego co widzę, cynkwajs mówi o tym, że u ciebie jest git - zwróciłem się bezpośrednio do niego. Trudno mi było określić ile może mieć lat, bo jego twarz była zniszczona. Miał głowę pięćdziesięciolatka, ale jego sylwetka sugerowała, że jest zdecydowanie młodszy. Dwadzieścia lat temu tylko wtajemniczeni wiedzieli co oznacza cynkwajs, bowiem tym słowem była również określana owa cynkówka, a teraz byle chłystek wiedział w czym rzecz. Mężczyzna spojrzał na mnie, a ja dostrzegłem wyraz dumy na jego obliczu. - Nie wiem czy wiesz - powiedziałem - ale w tamtych latach Ludzie byli bardzo zorganizowani. Nie mam zamiaru porównywać zamierzonych czasów do dnia dzisiejszego, bo mógłbyś się poczuć urażony. Z początkiem lat siedemdziesiątych era prawdziwych git-Ludzi zaczęła odchodzić do lamusa. Służby rozpracowały organizację i obnażyły jej tajemnice. Obyczaje i język zostały zdekonspirowane. Gdybyś wtedy siedział w pudle i miał cynkówkę, to kazałbyś ją sobie usunąć i tylko mała blizna świadczyłaby o tym, że nadal należysz do grupy.

Nagle grymas dumy zniknął z jego oblicza i facet spoglądał na mnie bardzo podejrzliwym wzrokiem.

- Mogę cię o coś zapytać? - Zwróciłem się do koleś.

- Pytaj - odparł.

- Kiedy wychodzisz?

- Za trzy lata.

- W takim razie powiedz mi, oczywiście teoretycznie, co zrobisz w takim wypadku.

Przed tobą jeszcze trzy lata i gwarantuję we Wronkach, twój kumpel ma tyle samo do odsiadki, ale kibluje teraz w Chełmie. Problem w tym, że jest ważna sprawa, którą musicie obgadać w cztery oczy. Nieważna jaka sprawa, istotne jest to, że w przyszłym miesiącu musicie się spiknąć i pogadać. Co zrobisz, żeby doszło do waszego spotkania twarzą w twarz? No dobrze, dam wam więcej czasu. Macie dwa miesiące. Jak rozwiążecie ten dylemat?

Oczy wszystkich słuchaczy powędrowały w kierunku gościa z cynkówką.

Przez dłuższą chwilę stał i chyba nie wiedział co powiedzieć.

- Będą musieli poprosić o widzenie - palnął ktoś, a reszta towarzystwa zaniosła się szczerym, drwiącym śmiechem.

- Nie bierz tego do siebie - powiedziałem - nie mam zamiaru cię urazić, po prostu zmierzam do tego, żeby wam uświadomić, iż dawno temu Ludzie byli bardzo pomysłowi i jeszcze raz podkreślam, cholernie zorganizowani. To się tyczy sytuacji, która miała miejsce w sześćdziesiątym drugim, kiedy we wszystkich więzieniach zgasły światła. Po pierwsze, nie było takiej możliwości, żeby ustalić szczegóły operacji za pomocą korespondencji, bo wszystkie listy przechodziły przez cenzurę. Nikt nie podjąłby się

ryzyka, żeby pisać wiadomość gwarą grypserską. Angażować ludzi z zewnątrz, żeby dotrzeć z rozkazami do wszystkich więzień? To zajęłoby lata. Jedynym rozwiązaniem było zorganizowanie zlotu regionalnych mącieli. Pod koniec lata 1961 roku, czyli ponad pół roku przed aferą z prądem, doszło do takiego spotkania - powiedziałem i spojrzałem po zaskoczonych twarzach, które wpatrywały się we mnie jak w wyrocznię. - Szeff wszystkich szefów tylko w sobie wiadomy sposób powiadomił regionalnych o zebraniu. To nie nastęczało większych problemów, bowiem w skali całego kraju, regionalnych mącieli najwyższego szczebla można było policzyć na palcach dwóch rąk. Sposobów, żeby posłać wiadomość do innych było bardzo wiele. Rotacja więźniów i tak zwana przerzutka, czyli oddelegowanie do innego pudła w ramach kary dyscyplinarnej, były na porządku dziennym. To właśnie był najskuteczniejszy sposób przekazywania ważnych informacji. Pracownicy służby więziennej połapali się dopiero w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, że niektórzy skazańcy podczas przerzutek pełnili rolę kurierów. To były czasy, kiedy środowisko grypsujących zostało wzięte pod lupę, bowiem wtedy rozpoczął się dopiero proces dekonspiracji i walki z więzienną podkulturą. Skazaniec, który brał na siebie rolę kuriera zyskiwał szacunek i wdzięczność dowódców grupy. Sposób, żeby trafić do innego więzienia, ale konkretnie do tego, które było punktem docelowym kuriera nie stanowił dużego problemu. Pamiętam taką sytuację, jak jeden z siemachów miał za zadanie dostać się do paki w Raciborzu, które wtedy cieszyło się złą sławą. Facet nabroił, a potem wyskoczył publicznie z ryjem do dyrektora, mówiąc: - I co mi zrobicie?! Spuście mi wpierdol?! Zamkniecie mnie w izolatce?! Nie jesteście tak mocni, żeby mnie wysłać do Raciborza, a nawet jeśli jesteście, to i tak mam to w dupie! - Gość sam sugerował miejsce gdzie chciał zostać wysłany, a niczego nieświadomy dyrektor ze swoim urażonym ego, eksmitował charakterniaka dokładnie tam, gdzie on sobie tego życzył. Zdajecie sobie sprawę, co może uczynić ludzka próżność i chęć udowodnienia, że jednak ma się tę władzę i możliwości, prawda? W każdym bądź razie pod koniec sierpnia 1961 roku wszyscy regionalni mącieli otrzymali wiadomość, że w dniach pomiędzy dziewiątym a trzynastym października, mają trafić do 4 Wojskowego Szpitala Okręgowego we Wrocławiu. Ten szpital cieszył się wtedy najlepszą renomą w Polsce, jeżeli idzie o leczenie chorób wewnętrznych. Kiedy mącieli otrzymał rozkaz, musiał dołożyć wszelkich starań, żeby tam dotrzeć. Podejrzewam, że jego nieobecność mogła podlegać surowej karze lub nawet degradacji, ale to zupełnie inna bajka. Szanse powodzenia, żeby mącieli trafił na izbę chorych, a potem na szpitalne leczenie, zależały od wiedzy szamaka, który był specjalistą w sprawach symulacji chorób. W każdym więzieniu świata znajduje się taki ktoś, kto wie jak symulować dolegliwości, żeby oszukać lekarza, a nawet sprzęt diagnostyczny. Za słoną opłatą taki ktoś nawet dziś udzieli wam fachowej rady. W 1962 medycyna nie stała na tak wysokim poziomie jak obecnie, więc sprawa nie była skomplikowana. Najlepszym sposobem na oszukanie podrzędnego łapiducha, który urzędował w izbie chorych, były krwawe wymioty. Wiecie jak sztucznie wywołuje się takie objawy? - Po minach moich słuchaczy wywnioskowałem, że nie mają zielonego pojęcia. - Wystarczą dwie kromki chleba i trochę własnej krwi, którą trzeba sobie upuścić. Rozgryzasz chleb na papkę, połykasz i popijasz własną krwią. Potem wystarczy się zrzygać na peronie podczas zbiórki i od razu trafiasz do lazaretu.

Oczywiście musisz się uskarżać na poważne bóle brzucha, kłucia, skurcze, ściski. Musisz umieć zagrać swoją rolę na tak wysokim poziomie, jakbyś walczył o hollywoodzkiego Oskara. Na izbie chorych robisz cyrk i żądasz, żeby zabrali cię do szpitala. Wrzeszczysz, że to ma być najlepszy szpital, a najlepszy jest ten wojskowy we Wrocławiu. Kiedy zauważasz, że jesteś ignorowany to zaczynasz grozić, że jeśli tego nie zrobią, to podetniesz sobie żyły albo zaczniesz się chlastać. Twoje działanie musi być przekonujące i budzić prawdziwe obawy, że nie rzucasz słów na wiatr. Musisz iść na całość, bo jeżeli się zawahasz, to zostaniesz zdemaskowany. Grozisz, że jeśli nie zabiorą cię do Wrocławia to się zabijesz. Zaczynasz ich szantażować, że masz świadków, że żądałeś leczenia w konkretnej placówce, że jeśli poniesiesz poważny uszczerbek na zdrowiu, to oddasz sprawę do sądu. Twardo sugerujesz, że dołożysz wszelkich starań, żeby walczyć o swoje, że zniszczysz im kariery. Jeśli odstawisz dobrą szopkę, to będziesz górą. W taki właśnie sposób w październiku 1961 roku wszyscy regionalni mąciciele znaleźli się w jednym obiekcie, gdzie nie było krat w oknach i klawiszy, którzy mogliby ich mieć na oku. To tam zapadła decyzja, że akcja z prądem zostanie przeprowadzona dokładnie 26 marca 1962 roku. Na barkach regionalnych spoczęła odpowiedzialność, żeby rozkaz jak najszybciej dotarł do mącicieli w zakładach karnych, które znajdowały się pod ich jurysdykcją. Tylko nadając rozmach temu przedsięwzięciu, można było liczyć na to, że cel zostanie osiągnięty. - Spojrzałem na Fingla, który dziś uraczył nas nieco inną wersją tych samych wydarzeń z przeszłości i skierowałem do niego swoje słowa: - A czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, że my wszyscy jak tutaj stoimy, również skorzystaliśmy na tej prądowej aferze? - Żaden z nich nie miał bladego pojęcia o czym mówię. - Tak panowie - rzekłem z powagą - wszyscy jak jeden. To co się stało oczywiście nie umknęło uwadze władz więziennych, które od razu pojęły, że miały do czynienia z precyzyjnie zorganizowaną akcją. Tydzień później na biurko dyrektora Centralnego Zarządu Zakładów Karnych trafił anonim, którego treść wyraźnie mówiła, że więźniom należą się trzy posiłki dziennie. Było tam również ostrzeżenie, że jeśli w ciągu miesiąca to skromne żądanie nie zostanie spełnione, to polski system więziennictwa może się szykować na kolejną, niewyobrażalną w skutkach katastrofę. Mogę tylko przypuszczać, że autorem tego anonimu był szef wszystkich szefów. Władze centralne nie miały innego wyjścia i po raz pierwszy w historii służby więziennej - uległy. Począwszy od czerwca 1962 roku mamy trzy posiłki dziennie. Jedynym romantycznym akcentem w tym całym zdarzeniu było to, że dzień kiedy zgasły wszystkie więzienne światła, przypadł dokładnie w dniu imienin Dyzmy, zwanego również Dobrym Łotrem, który jest patronem wszystkich skazańców. - Tymi słowami zakończyłem swoją opowieść i uświadomiłem moich słuchaczy, jaki był rozmach i cel tego przedsięwzięcia.

No dobrze, macie już teraz ogólne pojęcie o sile, którą kiedyś reprezentowała formacja grypsujących i mogę spokojnie wrócić do 1953 roku. Roku, który zawsze będzie mi się kojarzył z tym, że ludzka śmierć bardzo często przychodzi znienacka i bez żadnej zapowiedzi.

W drugiej połowie maja parkiet w kaplicy został całkowicie zdemontowany, a ekipa budowlańców zabrała się za podniesienie i wyrównanie podłogi. Cackali się z tym prawie miesiąc.

W ostatnim tygodniu czerwca Pan Cipa zawołał nas na odprawę i powiedział:

- Od przyszłego tygodnia ruszamy z parkietem w kaplicy. Ty będziesz odpowiedzialny za robotę - kiwnął głową w moim kierunku. - Weźmiesz sobie jednego do pomocy, a pozostali zajmą się znoszeniem desek. Którego chcesz za pomagiera? - Zwrócił się do mnie.

Zerknąłem po twarzach i w każdym oczach widziałem wyraz błagania. Nikomu nie uśmiechało się dymać całymi dniami z deskami na ramieniu, żeby pokonać trasę wiodącą od stolarni na półpiętro korytarza, który oddzielał kaplicę od pozostałej części więzienia. Trzeba było przejść wzdłuż spacerniaka, potem skręcić w stronę więziennego dziedzińca, wkroczyć do głównego budynku, dalej korytarzem na wprost, aż do drzwi wiodących na wąską klatkę i pokonać schodami dwa piętra, żeby w końcu stanąć przed wrotami kaplicy. Szmat drogi. Nie było takiej możliwości, żeby na przykład z zewnątrz wciągnąć na linach deski, bowiem wszystkie okna były okratowane.

Farciarzem, któremu dopisało szczęście został Ali.

Na fajrant podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

- Dzięki generale! Mam u ciebie dług.

Budowlańcy położyli legary zachowując idealny poziom, a przestrzeń pomiędzy nimi wypełnili żwirem. Nasze zadanie było dziecinnie proste. Jedynym mankamentem w tym całym przedsięwzięciu, był charytatywny udział.

Wojtas i tamtych trzech po kilku kursach, błyszczeli jakby ich ciała były wysmarowane oliwą, cuchnęli potem jak świńskie łajno i klęli na czym świat stoi. To co przynieśli, ja i Ali kładliśmy w mgnieniu oka, a następnie siedząc wygodnie czekaliśmy na kolejną dostawę. Chłopaki najpierw nosili po kilka desek na ramieniu, ale po trzech godzinach już nie zgrywali siłaczy.

Miałem w głowie pewien plan, ale cierpliwie czekałem, żeby sytuacja rozwinęła się w korzystny dla mnie sposób.

- Przejebane mają z tym chodzeniem - stwierdził mój pomocnik, kiedy zapaliliśmy po całym, jak na szlachtę przystało. - Klepnijmy kilka gwoździ, przytnijmy dechę, a potem siedzimy sobie jak paniska, jaramy szlugi, a matolstwo dźwiga ciężary - zarechotał.

To był dla mnie sygnał, że pora upomnieć się o swoje.

- Tak Ali - powiedziałem - jako, że sam stwierdziłeś, iż masz u mnie dług, to ufam, że jesteś honorowy i spłacisz dane słowo.

- Oczywiście - odparł. - Nie widzę inaczej.

- W takim razie nauczysz mnie gryperskiej nawijki - stwierdziłem.

Spojrzał na mnie jak zbity psiak i jęknął:

- Generale nie mogę...

- Ali - wpadłem mu w zdanie - wszystko możesz. Masz moje słowo, że nigdy nikt się o tym nie dowie. Powiem ci jak jest - klepnąłem się w pierś, żeby dodać powagi moim słowom - jeżeli odmówisz zamelduję Panu Cipie, że nie dajesz rady i powiem, że chcę na twoje miejsce Wojtasa. On też jest siemachem i myślę, że jeśli ulżę mu w tej mordędze z noszeniem desek, to chętnie spełni moje życzenie. Poczekam spokojnie do południa i zapytam go czy reflektuje na taką propozycję. Wiesz co sądzę? - To było czysto retoryczne pytanie. - Łażenie przez cały dzień i bicie kilometrów na durnowatym targaniu

desek, kiedy na dworze panuje upał i skwar, raczej nie należy do przyjemności. Tylko spójrz ile nas czeka roboty - kiwnąłem głową - jak na moje oko utkniemy tu przynajmniej na miesiąc. Ja i ktoś, kto będzie robił za mojego pomagiera, spędzi czas w cieniu i jeszcze się czegoś nauczy, a osiołki będą kursować. - Mówiłem powoli, ważąc rozsądnie każde słowo. - Byle głupek potrafi się narobić. Żadna sztuka, prawda? Uważam cię za rozsądnego młodzieńca - pomyślałem, że nie zaszkodzi jeśli odrobinę połączam jego próżność. - Masz łeb na karku, dobrą fuchę w stolarni. Tego się trzymaj, a resztę miej w dupie. Więc jak będzie? Sztama? - Wyciągnąłem przed siebie dłoń, żeby przypieczętować nasz układ.

- Ale jak mnie sprzedasz braciom...

- Przecież dałem ci generalskie słowo. Chcesz mnie obrazić? - Rzekłem poważnym tonem i powtórzyłem: - Sztama?

- Sztama - uścisnął mi dłoń.

Od pierwszego dnia, kiedy zaczęliśmy działać w kaplicy zacząłem zdobywać podstawy grypsu. Przyznam się wam, że nie dotrzymałem słowa danego Aliemu, bowiem swoją wiedzę dzieliłem się z Mańkiem, któremu bezgranicznie ufałem.

Wieczorami, tak dla zgrywy, próbowaliśmy rozmawiać z sobą jak prawdziwi szermani. Śmiechu czasami było co niemiara. Obaj mieliśmy świadomość, że ta umiejętność może nam się kiedyś okazać bardzo przydatna.

W pierwszej połowie lipca spełniły się wcześniejsze obawy Mańka. Siedzieliśmy wtedy na spacerunku, który tonął w promieniach letniego słońca, kiedy nagle zjawił się Deruś. Podszedł do nas i powiedział do mojego kumpla:

- Pozwól na stronę, musimy pobajerzyć.

Maniek spojrzał na niego i odparł:

- Jak masz sprawę, to nawijaj.

- Mam sprawę, ale w cztery ślepie - rzucił groźnym tonem.

- To ja się przejdę, a wy sobie pogadajcie - powiedziałem, po czym podniosłem się z miejsca i wolnym krokiem ruszyłem przed siebie.

Maniek może chciał grać chojraka, ale ja stwierdziłem, że nie ma sensu zaogniać sytuacji. Walnąłem kilka rundek po promenadzie, zamieniłem z kimś parę słów, spaliłem szluga i zobaczyłem, że chłopaki już pogadali.

- Widzę, że masz nietęgą minę - powiedziałem do Mańka i ponownie przysiadłem na swoim miejscu. - Co chciał? - Zapytałem z ciekawości.

- Kindybał mu w styjkę! - Mój kumpel warknął wściekle pod nosem, co w tłumaczeniu na język normalnych ludzi znaczyło tyle samo, co "chuj mu w dupę!". - Tylko popatrz na ćwoka - kiwnął głową w kierunku Derusia, który wrócił do swojej kompanii - wbił się w nowe sztany, glany i katany, łązi szeroko jak panisko, jakby był na swoim. Kurwa jedna! Wiesz czego chce?! - Maniek warczał ze złości.

- Nie mam pojęcia.

- Haraczu od herbaty.

- I co zrobisz? - Zapytałem.

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Muszę najpierw pogadać z Kłodziem. W pralni jest ktoś, kto papla ozorem, bo on za dużo wie. Za dużo - westchnął i podniósł się z miejsca.

- Wybacz Ropuch, ale nie posiedzimy razem, bo muszę się zająć interesem.

- Jasna sprawa - odparłem i sięgnąłem po fajkę.

Trochę kiepsko wyszło, bo chciałem pogadać z Mańkiem, żeby zorganizował znowu coś mocniejszego na moją kolejną rocznicę odsiadki, która zbliżała się dużymi krokami...

Wszyscy doskonale wiedzieli, że pralnia jest najlepszym miejscem dla kontrabandy i prawdę powiedziawszy wcale się nie dziwiłem, że Deruś wraz ze swoją świtą, chciał kontrolować biznes, który rozkręcił Maniek z Kłodziem. Żądanie haraczu było najprostszym sposobem. Pewnie zdajecie sobie sprawę, jak to jest, kiedy osoba lub osoby prowadzące dochodowy interes nagle zostają zmuszone do płacenia daniny. Zapłacisz raz, będziesz się już zawsze portkował. Z takiego układu można wywinąć się tylko na dwa sposoby. Pierwszy jest taki, że zamykasz interes i wycofujesz się z branży, natomiast drugi wiedzie wprost na wojenną ścieżkę, gdzie poleje się krew. Chyba powinienem dziękować Bogu, że nigdy nie miałem smykałki do interesów, bo całkiem możliwe, że nie dożyłbym swoich lat. Ja jestem asekurantem. Przyznaję się do tego publicznie i z podniesioną głową. Moje istnienie od dawna polegało na tym, żeby nie pakować się w niepotrzebne układy lub problemy. Nie potrzebuję czuć jak w moich żyłach gotuje się adrenalina i nie jestem chciwy. Pieniądze, czy też ich odpowiednik w jakimś asortymencie na przykład fajki albo herbata, nie są dla mnie pokusą. Może kiedyś były, ale od bardzo wielu lat, właściwie od tego dnia, kiedy rzuciłem picie parząchy, zmieniła się moja mentalność. Przez ponad trzydzieści lat spędzonych w więzieniu tak bardzo przywykłem do rutyny, że najbardziej w świecie doceniam stabilizację. Stabilizację, która przynosi z sobą niewygórowane zaspokojenie potrzeb. Tylko to mnie interesuje. Nawet w chwili obecnej. Nie wiem czy to dobrze czy źle, niektórzy mogą stwierdzić, że jest to objaw braku jakiegokolwiek ambicji albo tego, że zadowolę się bylejakością. Może tak jest, może jestem byle jaki, ale miałem byle jakie życie i do takiego bytu przywykłem.

To mój świadomy wybór i jest mi z nim dobrze.

Tamtego dnia, kiedy Deruś zażądał daniny też się nad tym zastanawiałem. Kiedy wróciliśmy z wybiegu do celi, usiadłem na prycy i zapytałem Mańka:

- Wiesz co, tak sobie o tym wszystkim dumam i jestem ciekaw, czemu to robisz? - Mój kumpel spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem. - Chodzi mi o to, czemu zajmujesz się tym całym handlem? Po co to robisz? Raz w miesiącu dostajesz rakiety ze szlugami, więc po jaką cholere się w to bawisz? Po co ci ta szafka pełna fajek? - Kiwnąłem głową w stronę, gdzie Maniek trzymał swój pokaźny majątek.

- Hmm... - chrząknął wzruszając ramionami i rzekł: - Sam się czasami nad tym zastanawiam. To chyba mnie w jakiś sposób odrywa od tej niekończącej się monotonii. Szary świat nabiera wtedy kolorów. Rozumiesz? To nadaje sens mojej pustej egzystencji - mówił takimi słowami, jakby chciał wziąć udział w konkursie poetyckim. - Na początku chciałem sobie coś udowodnić, że taki leń i obibok jakim się stałem, potrafi zrobić coś sensownego. Potem sprawy nabrały rozpędu i wszystko zaczęło się niespodziewanie samoistnie toczyć do przodu. Dzięki temu głowę zajęły mi inne myśli, które pozwoliły zapomnieć o przeszłości i przegranym życiu.

- Odkąd się znamy zawsze twierdziłem, że potrzebne ci jakieś sensowne zajęcie -

wpadłem mu w zdanie. - Zgadza się, prawda?

- Zgadza. Masz rację - uniósł ręce w takim geście, jakby chciał mi oznajmić, że poddaje się pod ostrzałem moich argumentów. - Trudno mi powiedzieć, kiedy wszystko dla mnie straciło sens. Na pewno to się stało w więzieniu. Może już w Łomży, nie wiem. Zresztą, to nie jest ważne gdzie. Chodzi o to, że przesiąknęłam tym na wskroś, to mnie wypaliło od środka - westchnął i dodał: - Potem napatoczył się Kłodziu i herbata...

- A teraz pojawił się problem - dokończyłem za niego.

- O tak, masz rację. Powiem nawet, że urodził się kurewski problem.

- I co zrobicie? Macie jakiś plan?

- Tak, mamy plan - odparł i dodał całkiem poważnym tonem. - Jednomyślnie stwierdziliśmy, że trzeba sprzątnąć Derusia.

Spojrzałem na mojego kumpla zaskoczonym wzrokiem.

- Kurwa mać, chyba sobie żartujesz? - Prawie krzyknąłem.

- Oczywiście, że żartuję - odparł rozbawiony Maniek. - Chociaż z drugiej strony byłby pierwszym kolesiem, któremu przyszyłoby zginąć w imię herbaty i fajek - rzucił zabawnym tonem i obaj parsknęliśmy śmiechem. Po chwili stwierdził: - To byłaby śmierć z najgłupszego powodu o jakim usłyszałby świat - i znowu zaczęliśmy rechotać jak dzieci.

Resztę wieczoru spędziliśmy rozmawiając o zabawnych rzeczach. Kiedy dzwon na sterowni uderzył obwieszczając capstrzyk, Maniek wyjął kuchenkę i zaparzyliśmy sobie herbaty. Siedzieliśmy przy stole niczym dwaj brytyjscy dżentelmeni i sączyliśmy z metalowych kubków indyjski napój, delektując się jego subtelnym smakiem.

Kwadrans przed północą zalegliśmy na pryczach.

- Ty, wiesz co - powiedziałem wpatrując się w cień krat, który malował się na chropowatej ścianie - w przyszłym tygodniu mam rocznicę. Możesz pogadać z Kłodziem, żeby przesznuł coś wysokoprocentowego?

- Nie ma problemu - odparł i ziewnął. - Jutro o tym pogadamy, bo coś senny jestem.

Nigdy się nie dowiedziałem, jak chłopaki chcieli rozwiązać ten problem z haraczem, bowiem następnego dnia Maniek nie podniósł się z pryczy.

Umarł.

Tak po prostu.

Umarł bez słowa pożegnania.

Żeby chociaż narzekał, że się źle czuje, że coś mu dolega, że coś go boli. Nic takiego nie powiedział. Położył się spać i odszedł w zaświaty.

Rankiem, kiedy wzuwałem buty, powiedziałem:

- Wstawaj śpiochu, przed nami kolejny, nudny dzień.

Na dźwięk moich słów nawet nie drgnął.

Podszedłem bliżej. Leżał zwrócony twarzą w kierunku ściany. Trąciłem go w ramię, a on nawet nie drgnął. Dostrzegłem, że ma otwarte oczy, zupełnie jakby wpatrywał się tępy wzrokiem w pomarszczony tynk. Złapałem go delikatnie za bark i wtedy zdałem sobie sprawę, że jego pierś nie unosi się w rytmie miarowych oddechów. Położyłem mu dłoń na szyi, jakbym chciał opuszkami palców sprawdzić, czy da się wyczuć puls. Poczulem jednak tylko nieprzyjemny chłód, którym zionęło jego martwe ciało. W pierwszym momencie krzyknąłem w myślach: - *Przecież to niemożliwe!* Stałem obok jego

pryczy, jakbym sterczał bezradnie nad grobem i miałem wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Ogarnęło mnie uczucie nieprawdopodobnej pustki. Jakby nicość zajrzała w głąb mojej duszy, tylko po to, żeby ukazać mi namiastkę wieczności. Usiadłem na taborecie, spłotłem palce dłoni jak do modlitwy i było mnie stać tylko na to, żeby szepnąć:

- Żegnaj przyjacielu.

Zgony w więzieniu nie zdarzają się na porządku dziennym, ale zawsze kiedy dochodzi do takiej sytuacji pojawia się prokurator i rozpoczyna śledztwo. Jeżeli istnieje choćby cień podejrzenia, że ktoś trzeci mógł się przyczynić do śmierci takiej osoby sprawa musi zostać wyjaśniona, a winny lub winni zostają surowo ukarani.

Bardzo trudno jest udowodnić zbrodnię, jeśli ofiara nie nosi widocznych śladów albo, że doszło do jakiegoś zajścia, które mogło doprowadzić do takiej tragedii. Brak oznak pobicia lub jakichkolwiek uszkodzeń, które widnieją gołym okiem na ciele denata, teoretycznie wykluczają udział innych współwięźniów. Jednak dochodzenie musi być podjęte i wtedy pod lupę bierze się relacje, jakie panowały w celi.

Kiedy Maniek odszedł z tego świata, służbę na sterowni pełnił Laskowski, który w roku 1953 nosił już na pagonach dystynkcje starszego sierżanta. On doskonale wiedział, że pomiędzy mną i Mańkiem nie było żadnego konfliktu. Przyznaję, że popełniłem błąd, bowiem kiedy zorientowałem się co jest grane, powinienem niezwłocznie powiadomić strażników o zaistniałej sytuacji. Nie zrobiłem tego. Nie wiem dlaczego zachowałem się wbrew wytycznym regulaminu. Najprawdopodobniej powodem był szok, zaskoczenie i wstrząs, spowodowane śmiercią mojego współlokatora. Siedziałem na taborecie, wpatrywałem się w jego nieruchome ciało i dopiero kiedy otworzyły się drzwi do celi, powiedziałem do klawisza:

- Marian Klimek nie żyje.

- Że co?! - Funkcjonariusz wrzasnął w moim kierunku i wkroczył prężnym krokiem do celi.

Natychmiast zrobiło się niesamowite zamieszanie. Więźniowie obsługujący wózek wydawki z rozdziawionymi gębami zaglądali do celi. Któryś z klawiszy kazał im ruszać do przodu, a po chwili pojawił się Laskowski.

- Czemu nas nie powiadomiliście?! - Zapytał podniesionym głosem.

- Nie wiem sierzancie - odparłem nie odrywając wzroku od zwłok leżących na pryczy.

- Ruszajcie w te pędy do oficera dyżurnego! - Laskowski rzucił w kierunku strażnika, który stał w progu. - Zameldujcie, że mamy trupa i niech natychmiast podejmie odpowiednie działania.

- Tak jest towarzyszu sierzancie! - Padła krótka odpowiedź.

W celi zostałem tylko ja i sierżant Laskowski.

- Kiedy się zorientowałeś, że on nie żyje? - Mówił takim tonem, jakby był wytrawnym śledczym, ale przestał się do mnie odnosić w liczbie mnogiej.

- Kilka minut po tym, jak wstałem - odparłem zgodnie z prawdą. - Ubrałem się, patrzę, a Maniek dalej leży więc chciałem go obudzić.

Laskowski przez dłuższą chwilę stał w miejscu i strzelał nerwowo wzrokiem we wszystkie strony. Podeszedł do pryczy, pochylił się nad ciałem ale nawet nie dotknął

zwłok. Nagle ruszył w kierunku szafki. Przykucnął i rozwarł na oścież podwójne drzwiczki. Wnętrze mebla było prawie całe wypełnione paczkami papierosów.

- Kurwa! - Sierżant zaklął półgłosem. - Nie wiem jak się z tego wytłumaczysz. Przecież tu jest tyle fajek, że moglibyście zaopatrywać kantinę! Skąd to się tutaj wzięło?! - Spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem.

Wzruszyłem bezradnie ramionami i rzekłem:

- Od lat, miesiąc w miesiąc Maniek dostawał paczki. To można sprawdzić w księdze pocztowej...

- Chcesz mi powiedzieć, że dostawał papierosy i wcale ich nie palił?! - Wpadł mi w zdanie.

- Palił, ale niewiele - skłamałem, bo nic lepszego nie przyszło mi w tamtej chwili do głowy. - Czasami przez miesiąc nie zrobił nawet sztacha.

- Przestań opowiadać pierdoły - syknął przez zaciśnięte zęby, a następnie półgłosem rzucił w moją stronę: - Myślisz, że nie wiem, czym parał się twój kumpel?! Masz mnie za dumia?!

Nagle zdałem sobie sprawę, że Laskowski z jakichś powodów musiał przymykać oko na interesy Mańka. W tamtej chwili nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

Otyły sierżant podszedł do drzwi i zamknął wrota.

- Ile tego jest? - Zapytał szeptem.

- Ponad sto paczek.

- Ja pierdołę! Czy wyście ochujeli do reszty?! - Zdjął z głowy czapkę i rękawem bluzy otarł spocone czoło. - Posłuchaj mnie teraz uważnie - odezwał się konspiracyjnym tonem. - Przykro mi, że twój kumpel umarł. Wiem, że byliście dobrymi przyjaciółmi, ale nie mam zamiaru beknąć za ten składzik. - Spojrzał w prawo i jego wzrok zatrzymał się na dwóch kufajkach, które wisiały na gwoździach w rogu pomieszczenia.

Podszedł bliżej i wziął je w dłonie.

- Która jest twoja? - Zapytał.

- Ta większa - odparłem.

Laskowski sięgnął do kieszeni i wyjął scyzoryk z drewnianą rękojeścią. Po chwili stalowym ostrzem rozciął wewnątrz u góry podszewkę, a następnie rzucił mi kufajkę na kolana.

- A teraz rusz się i wkładaj tam tyle fajek, ile się tylko zmieści! No już! - Warknął półgłosem.

Ta sytuacja była dla mnie tak zaskakująca, iż nie miałem czasu, żeby się zastanowić czy dobrze robię. Patrząc mu prosto w oczy, podniosłem się z miejsca i w tym samym momencie powiedziałem:

- Sierżancie, zawsze pamiętaj, że robię to tylko dla ciebie.

Sam byłem zdziwiony słowami, które precyzyjnie się przez moje gardło. Myślę, że w tamtej chwili zrobiłem to podświadomie. Instykt wziął górę nad rozumem. Naprawdę nie miałem ani sekundy, żeby przeanalizować sytuację.

Uklęknąłem przed szafką i w pośpiechu zacząłem upychać pod podszewkę paczki papierosów.

Po chwili obie fufajki wisały w tym samym miejscu co zawsze, tylko że jedna z nich trochę nienaturalnie odstawała od ściany. Oczywiście nie włożyłem tam wszystkiego, ale szafkowy magazynek został poważnie uszczuplony.

- Jeszcze jest tego za dużo - powiedział Laskowski, patrząc na nasze jesienno-zimowe katany. - Źle to wygląda. Dawaj tę drugą!

Sierżant stał obok drzwi i zwróciłem uwagę, że trzymał prawą stopę tak, aby ktoś chcący wejść do celi, nie mógł swobodnie otworzyć drzwi.

Po chwili druga kufajka z kolejną partią papierosów zawisła na swoim miejscu.

W szafce zostało tylko kilkanaście skrzynek, a taka ilość nie powinna budzić niczyich wątpliwości.

Parę minut później na drewnianym podeście rozległy się prężnie stawiane kroki. Laskowski odsunął się nieco w lewo. Do celi wkroczył oficer dyżurny i lekarz. Nerwowym wzrokiem omiółł wnętrze celi, po czym wskazał na mnie dłonią i rozkazał władczym tonem:

- Zamknąć go tymczasowo w izolatce obok dyżurki!

Trafiłem do celi izolacyjnej. Nie było tutaj niczego, oprócz murowanego obelisku, który służył za pryczę. W pomieszczeniu znajdowały się również dodatkowe kraty, które ograniczały dostęp osadzonego do drzwi i okna.

Usiadłem na łożu i zacząłem się zastanawiać, co teraz będzie? Jak potoczą się sprawy? A jeśli znajdą te cholerne fajki? Laskowski umył ręce i w razie draki, cała wina spadnie na mnie i na nieżyjącego Mańka. Pomyślałem, że raczej nie zostanę za to ścięty, ale jeśli sprawa się rypnie, to będę miał cholerny problem.

Przed południem zjawiło się dwóch urzędników z prokuratury i zaczęli mnie maglować. Nie miałem nic do ukrycia i uczciwie odpowiadałem na każde pytanie. Oczywiście byłem jedynym podejrzanym. Nie wiem jak traktowali moje słowa, ale zeznania klawiszy i być może innych więźniów, których na tę okoliczność również przesłuchano, bardzo szybko oczyściły mnie z jakichkolwiek zarzutów.

Ja i Maniek nie mieliśmy na swoim koncie żadnych przewinień i kar dyscyplinarnych. Myślę, że nasze czyste kartoteki były także przekonującym argumentem, że śmierć mojego kumpla nastąpiła z przyczyn naturalnych. Ponoć lekarz postawił diagnozę, że Maniek dostał zawału serca.

Dwa dni siedziałem w izolatce i miałem mnóstwo czasu, żeby przemyśleć wiele spraw. Kiedy leżałem na twardych dechach i wpatrywałem się w pomarszczony sufit, moje myśli krążyły wokół tematów dotyczących ulotnej, ludzkiej egzystencji. Wtedy właśnie pojąłem, co tak naprawdę znaczą słowa, że żaden człowiek nie zna dnia ani godziny. Nikt z nas nie ma pojęcia, kiedy może nadejść ostateczny koniec. Któż przy zdrowych zmysłach myśli o takich rzeczach? Takie refleksje są bardzo krótkotrwałe i przychodzą dopiero wtedy, kiedy czyjaś śmierć dotyka nas osobiście. Potem człowiek znowu wpada w nurt życia i nie myśli o tym, że pewnego dnia, to wszystko nagle się skończy. Podejrzewam, że wielu z was nie jest tak do końca zadowolonych z tego, co przyniosło im życie. Myślę, że znacie to nieprzyjemne uczucie, kiedy nagle dociera do waszej świadomości, że tak naprawdę bardzo dawno temu utknęliście w miejscu. Nawet sami nie wiecie, kiedy wszystko potoczyło się w innym kierunku, a jedyne sensowne

rozwiązanie polega na zaakceptowaniu sytuacji i odnalezieniu się w realiach, które zostały waszym życiem. Macie swoją pracę, dom, rodzinę... Niby jest dobrze, no bo przecież jesteście pełni poświęcenia i staracie się sprostać wszystkim wyzwaniom. Miewacie chwile radości i szczęścia, ale gdzieś w głębi duszy czasami czujecie ten specyficzny niedosyt i ewidentny brak spełnienia. Wiem, że takie dylematy wcale nie są wam obce. Normalna sprawa. Jednak do czego zmierzam, otóż popuście wodze fantazji i pomyślcie o tym, że począwszy od chwili obecnej zostało wam dokładnie pięć lat życia. Ostatnie pięć lat i ani jednego dnia więcej. Jak wykorzystacie czas, który wam jeszcze został? Co zrobicie? Tak dla hecy niektórzy z was zaczną dumać o tym, że w ciągu tych pięciu lat dałoby się zrealizować jakieś marzenie, które zawsze tkwiło wam w sercu. A może warto wyrzucić swoje życie do góry nogami i czerpać z niego całymi garściami? Po chwili okaże się, że nic nie zrealizujecie, bowiem jesteście totalnie skrupowani i uwikłani w całą strukturę uczuciowych więzi lub służbowych uzależnień. Potem pomyślicie, że to głupie zastanawiać się nad taką abstrakcją, bo przecież będziecie żyli długo i w miarę szczęśliwie. I teraz najważniejsza rzecz, pal licho przyszłość, bo przecież nawet najbardziej idealny plan, może się rozpaść niczym kruchy domek z kart. Przypadek sprawi, że wszystko trafi szlag. Ktoś was zawiedzie, zdradzi, porzuci, przyjdzie klęska żywiołowa albo nieszczęśliwy wypadek i będzie jak to mówią, po zawodach. Pomyślcie jednak teraz o czymś zupełnie innym. Sięgnijcie w przeszłość. Nie jakąś odległą lub zamierzchłą, ale spójrzcie wstecz na ostatni tydzień swojego życia. Ile czasu zmarnowaliście przez ostatnich siedem dni na bzdury? Ile godzin umknęło wam na niczym?

Czas.

Tak naprawdę w ludzkim życiu liczy się tylko czas. Nie majątek, nie sukces, nie kariera i nie pieniądze. To są wartości nabyte. Dziś możesz być dziadem, a jutro zostaniesz królem. Dziś pławisz się w luksusie, a jutro obudzisz się nędzarzem. Straty zawsze można odrobić, ale czasu nie da się uratować. Mija, płynie, odchodzi i zostawia po sobie tylko wspomnienia.

Każdy człowiek popełnia zbrodnię, która polega właśnie na marnowaniu własnego czasu. Wiem sam po sobie. Wiem jaki byłem. Kiedy wspominam lata mojej młodości, to dostrzegam wyraźnie ile życia zmarnowałem na bezsensownym siedzeniu w knajpie i żłopaniu piwka. Mogłem zrobić tyle mądrych rzeczy, ale byłem głupi i nawet się nad tym nie zastanawiałem. Nie miałem ambicji. Nie miałem żadnego celu. Brałem życie jakim jest i moje postępowanie tłumaczyłem sobie w bardzo wygodny i naiwny sposób. Mógłbym to wszystko zwalić na karby młodości i zasłaniać się tym, że w pewnym wieku człowiek ma we łbie siano zamiast mózgu. Jednak nic nie jest w stanie mnie usprawiedliwić, kiedy wpadłem w sidła nałogu i jako dorosły facet chlałem parzącę. Jestem pewien, że każdy z was dopuścił się grzechu marnowania czasu. Żadna pokuta nie oczyści waszego sumienia. Wiecie ile razy słyszałem w więzieniu czyjeś wyznania, że ktoś najbardziej żałuje dni, które musiał spędzić w pierdlu? Setki. Setki razy. Czyjś pobyt w pudle to zupełnie inny temat i nie ma sensu zagłębiać się w jego istotę. Nie sposób odzyskać tych wszystkich straconych dni i tygodni, tych miesięcy i lat, bezmyślnie rzuconych w rynsztok. Nie twierdę, że wszyscy ale większość osadzonych zasłużyła

sobie na swoją karę. Chodzi mi o takich ludzi jak wy, przed którymi świat stoi otworem i jedyne co musicie zrobić, to tylko sięgnąć po swoje marzenia. Wiecie, co byłbym w stanie oddać za to, żeby mieć taką szansę?! Niektórzy z was pewnie twierdzą, że słodko pierdę i moralizuję, ale mam nadzieję, że inni przejrzą teraz na oczy i zrozumieją, że najwyższa pora skończyć z tym żalonym marnotrawstwem.

Kiedy siedziałem w izolacji, świadomość istoty upływu czasu i bezpowrotnie straconych możliwości przytłoczyły mnie niczym lawina głazów. Miałem wtedy niespełna pięćdziesiąt trzy lata z czego blisko trzydzieści jeden spędziłem za kratami. Trzydzieści jeden lat! Niektórzy z was nawet jeszcze nie dożyli takiego wieku. Nie wiem, jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie został skazany. To nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Chodzi o to, żeby niektórzy z was wyciągnęli teraz właściwe wnioski i zrozumieli jedną rzecz - nie marnujcie swojego czasu, bowiem jest on tym, co macie najcenniejszego.

Nikt wam nie zwróci bezsensownie straconych dni.

Kiedy opuściłem celę izolacyjną, najpierw trafiłem do gabinetu zastępcy dyrektora, bowiem wódz naczelny przebywał wtedy na urlopie. Musiałem ponownie złożyć te same wyjaśnienia, co było chyba zwykłą formalnością oraz podpisać oryginały i kopie dokumentów z mojego przesłuchania. Otrzymałem również pouczenie, że nie mogę rozmawiać na temat zajścia, które miało miejsce dwa dni temu. Zastępcą dyrektora był wtedy major Wierzbicki, swoją drogą służbista jakich mało. Na jego biurku leżały moje akta i podejrzewam, że na pewno zapoznał się z ich treścią. Nie wiem, jakie wrażenie zrobiła na nim adnotacja Wiktora, która znajdowała się na ostatniej stronie i mogę jedynie domniemywać, że na pewno piorunujące.

Podczas tej rozmowy obawiałem się tylko jednego. Obawiałem się, że nagle padnie pytanie, skąd w naszej celi wzięło się tyle papierosów? Jednak ten temat nie został poruszony, więc nabrałem przekonania, że sierżant Laskowski musiał się nieźle obłowić i zgarnął cały arsenał fajek.

Kiedy wróciłem do celi okazało się, że obie kufajki wisiały na swoim miejscu, a w ich wnętrzu spoczywały wszystkie szlugi.

Nikt tam nie zajrzał.

Wychodziło na to, że żaden z klawiszów pełniących służbę tamtego dnia nie zwrócił nawet uwagi, że kapoty są nienaturalnie duże. Zachodziłem w głowę, jak to możliwe? Przecież przez celę musiało się wtedy przewinać parę osób, w tym również goście z prokuratury.

Sprawdziłem szafkę.

W jej wnętrzu, oprócz moich rzeczy i paczek papierosów ułożonych w dwóch rzędach, zostało kilka ciuchów, parę skromnych drobiazgów oraz dwa przeguby herbaty, które należały do Mańka. Z pryczy natomiast zniknął koc i poduszka.

Dziwnie się czułem mając świadomość, że przeżyłem tu z moim kumplem siedem długich lat. Szmata czasu. Siedem lat, a teraz siedziałem przy stole i wpatrywałem się w stary, miejscami popruty siennik, który spoczywał na pryczy. *Co będzie dalej?* - Przemknęło mi przez myśl. - *Kogo mi dokwaterują? Z kim będę dzielił celę?* Wiedziałem też, że niebawem na pewno czeka mnie rozmowa z Laskowskim.

Sierżant pojawił się niespełna godzinę po wieczornym posiłku. Wszedł do celi, zamknął za sobą wrota, po czym zdjął czapkę i usiadł na Mańkowej pryczy.

- Tak Żabikowski - powiedział patrząc mi prosto w oczy. - Macie szczęście, że nikt nie zrobił tutaj kipiszu - i wymownie kiwnął głową w stronę kufajek.

Ja mam szczęście?! - Syknąłem z drwiną w myślach. - Chyba ty!

- Tak sobie myślę, towarzyszu sierżancie, że obaj mieliśmy farta - odpowiedziałem, dając mu do zrozumienia, że jego tłusty tyłek też mógłby wtedy ucierpieć.

- Wy mi Żabikowski tutaj nie filozofujcie - stwierdził marszcząc brwi - bo nie z takimi mądralami jak wy, miałem do czynienia. No! - Rzucił i pogroził mi palcem.

- Sierżancie, byłem przygotowany, żeby w razie draki wziąć winę na siebie - powiedziałem to w taki sposób, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości, iż mówię szczerze jak na spowiedzi. Laskowski spojrzał na mnie, a ja odniosłem wrażenie, że w jego oczach błysnął uśmiech. - Mam prośbę towarzyszu sierżancie - rzekłem, bowiem pomyślałem, że to najlepszy moment aby coś ugrać dla siebie. - Czy dałoby się załatwić, żeby moim nowym współlokatorem został Albert Bajsztok?

- Bajsztok? - Powtórzył i jednocześnie przyglądał mi się spode łba. - A dlaczego on?

- Bo razem pracujemy - wzruszyłem ramionami. - Znam go, nie jest z niego zły chłopak i sądzę, że moglibyśmy razem dzielić celę.

- A dlaczego mam wam iść Żabikowski na rękę? - Zapytał. - Co z tego będę miał?

- A weźmie sierżant kufajkę Mańka - strzeliłem wzrokiem w róg pomieszczenia, gdzie wisiały drelichowe waciaki wypełnione paczkami papierosów.

- Widzę Żabikowski, że z was to całkiem niezły kombinator - stwierdził. - Niby jesteście taki spokojny, cichy. Nikomu nie wadzicie, trzymacie się z boku ale ja dobrze wiem, że swoje macie za uszami - spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby chciał mi uświadomić, że od dawna ma na mnie oko.

Uśmiechnąłem się, bo cóż miałem mu odpowiedzieć?

Po chwili rzekłem:

- To jak będzie sierżancie? Mogę teraz ja liczyć na przysługę?

Laskowski westchnął, pochylił się nieco w przód i powiedział:

- Dobrze Żabikowski, zrobię Bajsztokowi przerzutkę - po czym wstał, zabrał Mańkową kufajkę i wyszedł. Tak na dobrą sprawę mógł zabrać wszystko, ale jednak okazał się całkiem w porządku i tym samym zyskał mój skromny szacunek.

Pół godziny później drzwi mojej celi otworzyły się ponownie, a w ich świetle ujrzałem Alego w towarzystwie klawisza. Młodzian trzymał na wyciągniętych dłoniach swój cały mandzur. Koc, poduszkę, kilka starych ubrań poskładanych w kostkę i metalową zastawę czyli miskę, kubek i łyżkę.

Kiedy zobaczył, że ja będę jego nowym współlokatorem na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Nie wiem, czy czuł się z tego powodu szczęśliwy, ale na pewno był bardzo zdziwiony.

Położył swój dobytek na pryczy i powiedział:

- Jak do tej pory, to jeszcze nie miałem okazji siedzieć pod celą z kimś w randze generała.

- A to dobrze czy źle? - Zapytałem.

- To się dopiero okaże - odparł. - Myślę, że damy radę.

- Też tak sądzę - stwierdziłem. - Ali, ile ci jeszcze zostało do odsiadki? - Zmieniłem temat.

- Tyle co nic - machnął ręką. - Dwa lata jak za brata na peronie się przelata. Kiedy Ludzie się dowiedzą, że z garusem dzielę kwadrat, to szacun będzie murowany. A tak całkiem poważnie - powiedział po chwili - to trochę mi ulżyło, że wyrwałem się z tamtej kajuty gdzie byłem. Powiedz mi tylko jedno, ale proszę nie szkluj generale - spojrzał mi w oczy. - Po peronach plotka niesie, że pomogłeś Wszechmogącemu się zwinąć. Dobrze gadają czy szyją bałach?

Domyśliłem się o co mu chodzi.

- A jak myślisz? - Odpowiedziałem pytaniem.

- Rozumiem - uniósł dłonie w ten sposób, jakby chciał mi powiedzieć, że nie będzie więcej zadawał zbędnych pytań. - Chłop zdusił kitę i nie ma tematu.

Ludzka fantazja i plotka, to bardzo niebezpieczna kombinacja. Kiedy człowiek świadomie nie robi nic, żeby wyprowadzić innych z błędu, widocznie ma ku temu jakieś konkretne powody. Taka fałszywa informacja może kogoś wywindować na piedestał albo zostać użyta jako brutalny oręż. Jednak zawsze, trzeba się liczyć z tym, że przyszłość może pewnego dnia przynieść katastrofalne skutki. Nieważne gdzie kwitnie plotka, to mogą być mury więzienia, kuluary rządowych gabinetów lub świat biznesu. Nie ma znaczenia gdzie zostało zasiane ziarno kłamstwa, liczy się to, że prawda zawsze upomni się o swoje.

Wyobraźcie sobie, że śmierć Mańka zrobiła ze mnie w oczach wszystkich wronieckich skazańców bezwzględny zabójcę. Naprawdę. Zaczęło się od tego, że obsługa wydawki, która tamtego feralnego dnia rozwoziła poranne posiłki puściła w obieg wieść, że pomogłem Wszechmogącemu pożegnać się z tym padołem. Nie mam pojęcia, skąd im to przyszło do głów. Potem oficer dyżurny kazał mnie zamknąć w celi izolacyjnej, a ta komnata wszystkim kojarzyła się z tym, że trafiają tam więźniowie uznani za szczególnie niebezpiecznych. Dwa dni w celi z podwójnymi kratami zrodziło kolejne domysły. Potem jak się okazało, ktoś palnął, że prokurator nie był w stanie udowodnić mi winy i tym sposobem zostałem uznany za niezłomnego charakterniaka. Wystarczyło raptem kilka tygodni i zacząłem zbierać obfite plony zrodzone na fałszywej ziemi. Czasami na spacerunku spojrzałem komuś w oczy i wtedy ta osoba niemal natychmiast odwracała swój wzrok. Git-Ludzie nie pozwalali mnie nazywać frajerem, chociaż wcale do nich nie należałem. Mówili o mnie Ropuch charakterniak, generał z charakterem albo po prostu charakterny. W pewnym sensie dawało mi to poczucie bliżej nieokreślonej siły i totalnego bezpieczeństwa, ale nigdy nie wykorzystywałem tego w ten sposób, żeby obudzić w kimś strach. To było na tej zasadzie, że ja po prostu akceptowałem czyjeś błędne wyobrażenia, bo tak było mi najwygodniej. Uważam też, że ostrożność to jedna z kilku cech, które w miarę upływu lat zdominowały mój charakter. Nie chcę tutaj żonglować ocenami i upierać się, że za moją przezorność należą mi się brawa. Ktoś może mnie za to pochwalać, ktoś inny potępiać, a ja wobec czyichś domysłów, oczywiście jeśli one nie były kretyńskie, nauczyłem się zachowywać dyplomatyczną neutralność. Przez

wiele lat ta postawa była dla mnie w więzieniu skuteczną tarczą. Świadomie pozwoliłem na to, żeby legenda Ropucha charakterniaka zakorzeniła się tutaj na dobre. Bądź co bądź taki miałem plan, który wcieliłem w życie dawno temu, kiedy ubrali mnie w nowe, niebieskie wdzianko. Śmierć Mańka przyniosła z sobą tylko kolejny akt, który zacząłem odgrywać w spektaklu mojego życia. Kurtyna uniosła się w roku 1953 i przez ponad dekadę grałem swoją życiową rolę. Oczywiście poznałem wszystkie blaski i cienie mojej kreacji i tak samo jak w normalnym życiu, które wam nie jest obce, doświadczyłem tego, że zawsze coś dzieje się kosztem czegoś. Fikcja, którą odtwarzałem zepchnęła moją postać na margines i świadomie skazałem się na alienację. Krąg osób z którymi utrzymywałem kontakt był bardzo wąski. Wyobraźcie sobie, że życie w hermetycznej enklawie gdzie mieszka ponad tysiąc ludzi, a wy macie tylko kilku znajomych, bo reszta towarzystwa trzyma się od was na dystans. Na szczęście nigdy nie ubolewałem z tego powodu. Przywykłem do sytuacji, żyłem sobie całkiem spokojnie i tak na dobrą sprawę, chyba każdego dnia przekuwałem mit charakternego Ropucha na więzienną rzeczywistość. Nikomu nie zaszkodziłem, nikogo nie pogrążyłem, nikt przeze mnie nie cierpiał i z tego powodu mam czyste sumienie. Wiadomo, czasami zdarzały się takie sytuacje, że musiałem zareagować słowem ale to były naprawdę sporadyczne wypadki. Jednak przyszedł taki czas, kiedy prawda obudziła się z letargu i upomniała o swoje. Wszystko zaczęło się wiosną 1964 roku, kiedy na peronach pojawił się perfidny gwiazdor, porucznik Modest Ozurski. On sprawił, że piętno charakterniaka, z którym tak bardzo się zżyłem, zaczęło mi wychodzić bokiem. Kurde, co to był za koleś, to się w pale nie mieści! Zresztą niebawem sami się przekonacie.

Śmiało mogę powiedzieć, że ja i Ali zostaliśmy kumplami. Kumplami, ale nie na tej zasadzie, że rzuciłbym się za nim w ogień albo oddał ostatnią koszulę. Po prostu nasze relacje były zupełnie normalne. Gdyby grypsujący dowiedzieli się jak żyjemy w jednej celi, to natychmiast wykluczyliby go ze swojego środowiska. Ali po prostu łamał wszystkie normy, którym hołdowała ta więzienna podkultura. Posiłki zjadaliśmy wspólnie przy stole i nie było żadnego cudowania, że przy blacie siedzą tylko Ludzie, a frajerzy na bufecie, czyli na pryczy. Naszą kwaterę sprzątaliśmy na zmianę, wieczory spędzaliśmy na rozmowach i co najważniejsze, mój młody kompan uczył mnie grypsu. Po kilku miesiącach wiedziałem już wszystko o świecie siemachów i dziachałem kminą jak na charakternego garusa przystało. Nie robiłem tego publicznie i tylko Ali wiedział, że potrafię nawijać. Chyba zawsze miał obawy, że mogę się komuś wygadać. Był tak przewrażliwiony na tym punkcie, że przynajmniej dwa razy w tygodniu musiałem przysięgać na wszystkie świętości, że nigdy nie puszcę pary z ust.

Któregoś dnia, kiedy to naprawdę stało się już nudne, mówię do niego:

- Ali, nic nie dygaj, przecież dałem ci słowo. Możesz być pewny, że nikomu się nie przyznam, że sprzedałeś mi gryps. Herbatnikujemy się więc powinieneś mi zaufać.

Musicie wiedzieć, że słowo "przyjaźń" określające więź pomiędzy osobami w świecie grypsujących było w tamtych latach słowem zakazanym, wręcz ośmieszającym. Każdy szamak nazywał swojego najlepszego kumpla herbatnikiem, fąblem albo waflem i te słowa odmieniano na wszelkie możliwe sposoby zastępując nimi wyraz - przyjaźń.

Bajzток miał wyjść na wolność z początkiem jesieni 1955 roku i powiem wam, że

on bardziej cieszył się z tego, że opuści pudło z pełnym podpułkownikiem na ramionach aniżeli z tego, że będzie mógł zacząć wieść normalne życie. Nie potrafiłem tego zrozumieć, a z naszych rozmów jasno wynikało, że nie widzi dla siebie przyszłości po drugiej stronie murów. Wiem, to zakrawa na abstrakcję, ale tak właśnie było. Każdy więzień marzy o wolności. Każdy. Jednak musicie zrozumieć, że większość grypsujących miała bardzo dziwne nastawienie do swojego życia. Niektórzy z nich z góry zakładali, że kiedy odbędną wyrok, to w przyszłości prawdopodobnie i tak znowu trafią za kratki. Przyczyna takiego rozumowania jest bardzo prosta. Jak myślicie, skąd może wynikać takie nastawienie? I jak wam idzie? Doszliście do jakichś wniosków? No dobrze, zdradzę wam te powody. Kiedy ktoś wychodzi na wolność po kilku latach spędzonych w pudle, to ma cholerny problem, żeby się odnaleźć w normalnym świecie. Trzeba mieć naprawdę sporo charyzmy i trochę oleju w głowie, żeby się z tym uporać. Po pierwsze ktoś taki startuje od zera. Po drugie, jest napiętnowany swoją przeszłością, a to zawsze działa na jego niekorzyść. Po trzecie, zderza się z normalnym życiem, gdzie trzeba iść do pracy, tyrać cały miesiąc, żeby zarobić na swoje utrzymanie, a nie daj Panie Boże jeszcze na rodzinę, jeśli się ją ma. Po czwarte, żeby się czegokolwiek dorobić albo zaoszczędzić grosza potrzeba dużo wysiłku i czasu. Po piąte, taki ktoś bardzo szybko zdaje sobie sprawę, że jest nikim. Nikim przed duże N. Przez pierwsze tygodnie albo nawet miesiące, ten ktoś przysięga sobie w duchu, że nigdy już nie wróci do paki. Potem u niektórych zaczyna się budzić żal, który z czasem przeistacza się w coś jeszcze gorszego. Pojawia się poczucie krzywdy w stosunku do świata, do systemu ogólnie przyjętych wartości, do normalności i braku perspektyw. Przełom następuje w tym momencie, kiedy ktoś taki postanawia wziąć sprawy we własne ręce i wyrwać życiu to, co w jego mniemaniu należy mu się jak psu buda. Tym sposobem ponownie wkracza na drogę przestępstwa. Oczywiście każdy się wtedy łudzi, że będzie nieuchwytny, że opracuje jakiś skok albo wykręci taki numer, który ustawi go na długie lata. Ponoć wtedy zapala się jakaś ostrzegawcza lampka w mózgowicy, a wraz z nią przychodzi pewna interesująca refleksja. Jaka refleksja? A to wam opowiem na przykładzie Alego, który był rasowym recydywistą.

Jego przygoda z wymiarem sprawiedliwości zaczęła się zaraz po zakończeniu II wojny światowej i z małymi przerwami trwała do tego dnia, kiedy zawitał do Wronek. Swoją przestępczą edukację zaczął najpierw w poprawczaku, a potem kontynuował w kryminale. Był żywym przykładem na to, że świat grypsujących potrafi człowiekowi nieźle namieszać w głowie i ukierunkować jego nastawienie do życia.

W pewien marcowy wieczór zagadnąłem do Bajsztoka:

- Ty Ali, powiedz mi taką rzecz - zacząłem ni z gruchy ni z pietruchy. - Zostało ci jeszcze półtora roku, co będziesz robił jak wyjdiesz?

- Nie wiem - wzruszył ramionami - to się dopiero obaczy.

- No dobrze, ale chyba masz jakiś plan - rzekłem - znasz się trochę na stolarce, to pewnie robotę znajdziesz bez problemu.

- Robotę? - Zaśmiał się w taki sposób, jakbym mu opowiedział jakiś przedni dowcip. - Robota kocha głupiego. I niby co, mam pójść do pracy, utknąć gdzieś na osiem godzin dziennie za jakies marne grosze? Słuchać poleceń jakiegoś frajera? I co, może

jeszcze kłaniać mu się w pas albo całować w dupę?

O bracie - pomyślałem - *kiepsko kombinujesz.*

- Wiesz co ci powiem - odezwałem się po chwili - tak sobie myślę, że trzeba być cholernie charakternym, żeby poradzić sobie z życiem po drugiej stronie murów.

Ali spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym rzekł coś najbardziej obraźliwego pod słońcem.

- To nie jest prosta sprawa - ciągnąłem dalej - tutaj jest wygodnie. Człowiek ma dach nad głową, dwa razy dziennie dostanie michę żarcia, może to nie są jakieś frykasy, ale brzuch można zapelnąć. Fajki są, parzącą od czasu do czasu można walnąć, jakiś wafel raketę przyniesie po odwiedzinach to i podziąkuje się pod celą.

- A jeszcze jak z ferajną sztamę trzymasz - wpadł mi w zdanie - to już luksus pełną gębą. Wiesz co się dzieje, kiedy wychodzisz za bramę? - Zapytał znienacka ale nie czekał na moją odpowiedź. - Tam jesteś tylko śmieciem. Kapujesz? Kryminalistą. Wyszedł taki z więzienia, bandzior jeden. Tak mówią.

- I dobrze mówią - wtrąciłem - przecież mają rację.

Ali zmarszczył brwi i powiedział:

- Myślisz, że tamten świat czeka na takich jak my?

- Nieważne na kogo czeka tamten świat - kiwnąłem głową w kierunku krat w oknie - liczy się to, czego my tak naprawdę chcemy. Powiedz mi Ali, miałeś kiedyś marzenie i zastanawiałeś się na tym, co chcesz robić w życiu, jaki mieć zawód, kim zostać?

Na dźwięk moich słów pokiwał głową i uśmiechnął się pod nosem.

- Jakbym ci powiedział, to parskniesz śmiechem - odparł i zamilkł.

- Powiedz - nalegałem.

- Ale nie będziesz ze mnie darł łacha?

- Nie no coś ty, powiedz.

- Kiedy byłem chłopcem, to marzyło mi się, żeby zostać zegarmistrzem. Zawsze lubiłem sikory. Od łebka fascynowały mnie mechanizmy - rzekł z nutką nostalgii w głosie. - Wiesz, te wszystkie małe śrubki i śrubeczki, kółeczka, trybiki, zębatki. Mógłbym przy tym dłubać. Byłem wtedy chłystkiem - sięgnął do swoich wspomnień - miałem chyba niespełna dziesięć lat, a może nawet jedenaście... Zresztą nieważne - skwitował. - W domu mieliśmy taki stary, wiszący zegar. Ładny był. Pięknie wykonany. Pewnego dnia po prostu przestał chodzić. W żaden sposób nie dało się go nakręcić. Pod nieobecność jareckich zdjąłem go ze ściany, bo bardzo mnie interesowało jak wygląda w środku. Okazało się, że taka blaszka zwinięta w ślimak przesunęła się z bolca i zaklinowała malutkie zębatki. Wziąłem więc szydełko i zacząłem tam majstrować. Włożyłem ją na miejsce, powiesiłem zegar i pociągnąłem za łańcuch, którym naciągało się sprężynę. Wskazówki ruszyły, maszyna zaczęła tykać, ale coś było nie tak, bo zegar odmierzał minuty na przyspieszonych obrotach. Nie wiem skąd mi to przyszło do głowy, jednak byłem pewien, że ślimak z blachy jest tego powodem. Pięć razy ściągałem zegar ze ściany, aż w końcu udało mi się ustawić go tak, że sikor spóźniał się pięć minut na dobę. Może gdybym miał jakieś bardziej precyzyjne narzędzia, żeby tu przytrzymać, tam przesunąć i dokręcić, to poradziłbym sobie lepiej. Myślę, że miałbym serce do takiej pracy.

- To chyba dobry interes - odparłem. - W każdym domu jest przynajmniej jeden

zegar, a te na rękę albo kieszonkowe też chyba cieszą się powodzeniem i do tanich nie należą.

- Dokładnie tak jak mówisz - wtrącił. - To żyła złota.

- Więc w czym problem, żebyś po wyjściu zajął się tym tematem?

- Ech - westchnął - za stary jestem, żeby uczyć się nowego fachu. Jak wyjdę - zniżył nieco głos - walnę taki numer, który mnie ustawi na długie lata. Wiesz jak jest, dziesięć minut strachu, a potem będę się bujał w najlepsze - powiedział to w taki sposób, jakby był pewien swego.

- A bierzesz chociaż pod uwagę, że to bujanie może skończyć się na peronach? - Spytałem przekornie. - Jako recydywista możesz solidnie beknąć.

- Ty, ani tak nie mów! Wypluj te słowa - prawie się oburzył.

- Ali, uchwaj Boże! Ja ci tego nie życzę. Tylko wiesz, jak cię tak słucham, to dochodzę do wniosku, że jesteś na dobrej drodze, żeby znowu wylądować w pierdlu. Zastanów się czy powinieneś podejmować takie ryzyko, bo powiem ci, że wtedy jak nic dostaniesz pajdę - pajda zwana również dziekanką oznaczała wyrok dziesięciu lat więzienia. - I wtedy będziesz sobie mógł wydziergać na ramionach generalskie sznury, które do końca życia będą ci przypominały, że już bardziej nie mogłeś wszystkiego spierdolić.

Mój rozmówca spojrzał na mnie surowym wzrokiem i wypowiedział wtedy najbardziej żaloszny argument, jaki mogłem usłyszeć z jego ust.

- Jeśli kiedykolwiek miałbym znowu trafić w kazamaty, to powiem ci, że nieźle bym się wtedy ustawił. Znam reguły, grypsuję, ogarnąłem się jak nic. Tocząc uczciwe życie po drugiej stronie murów, będę szarakiem z odciskami na dłoniach. Jak na razie, to świat mnie tylko rozczarowywał i dlatego jestem tym kim jestem, bo żyłem tak jak żyłem. Sam dobrze wiesz, że tutaj jest inaczej. Jak tylko udowodnisz na co cię stać, to zdobywasz szacun. Rządzisz, rozumiesz?

- Czyli idąc twoim tokiem myślenia - rzuciłem z nutką lekkiej nonszalancji - uważasz, że lepiej być królem w piekle, niż sługą w niebie, tak?

Nic nie odpowiedział.

- Pamiętaj Ali o jednym - zrobiłem krótką pauzę - pamiętaj o tym, że łatwo jest runąć z piedestału - i ponurym głosem ciągnąłem dalej - a gdyby coś się pochrzało i z jakichś powodów trafiłbyś do wora, to co wtedy?

- Nigdy by się tak nie stało - prawie warknął.

- Tak tylko sobie gadam - powiedziałem niby od niechcienia - mnie już raczej nic nie zdziwi. Jestem dwa razy starszy od ciebie, gdybym wliczył mój pobyt w areszcie, to siedzę już ponad trzydzieści dwa lata w więzieniu. A może chcesz skończyć tak jak ja? Co? Chciałbyś takiego życia? Doczekać śmierci w więziennych murach? - Podniosłem się z pryczy i przeciągnąłem ramiona jak stary kocur. - Tak Ali, chyba powinieneś jeszcze raz zastanowić się nad tym wszystkim - sięgnąłem do kieszeni po fajki i zapaliłem. - Przyznam ci się do czegoś - mój głos brzmiał poważnie - sprzedałbym duszę, żeby być na twoim miejscu, rozumiesz? Może to byłby najgorszy interes w moim życiu, oczywiście jeśli przyjmiemy, że po śmierci istnieje życie wieczne, ale na chwilę obecną przehandlowałbym moją duszę za wolność. - Podeszedłem do okna, spojrzałem na świat,

który otulał marcowy zmierzch i rzekłem: - Mam prawie pięćdziesiąt cztery lata, a gdybym miał przed sobą tak jak ty jeszcze półtora roku odsiadki, to byłbym dziś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Powiem ci jedno Ali - spojrzałem mu prosto w oczy - jestem facetem po pięćdziesiątce. Być może w twoim mniemaniu taki wiek to przedsiónek starości, ale nawet mając tyle lat, wiedziałbym co zrobić ze swoim życiem po drugiej stronie murów.

W marcu 1954 roku w wyniku wewnętrznych sporów w szeregach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, które jeśli wierzyć historykom, ciągnęły się już od śmierci Stalina, na tronie premiera ponownie zasiadł Józef Cyrankiewicz. Postać bardzo ciekawa i kontrowersyjna. A słyszeliście, że jeszcze za jego życia przez ponad trzydzieści lat była w Warszawie ulica, którą ochrzczono jego nazwiskiem. Nieźle, co? Ciekawe jak się czuł, kiedy tam spacerował.

Jak zapewne wiecie, w tamtych czasach władze PRL-u brutalnie zwalczały zarówno wrogów socjalistycznego ustroju, jak i kler. W rządowych gabinetach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego opracowano pewien plan, któremu nadano kryptonim "X-2". Premier Cyrankiewicz klepnął decyzję o podjęciu akcji w wyniku której w nocy 3 sierpnia 1954 roku, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa wespół z oddziałami milicji wtargnęli do domów zakonnych. Odbyło się to jednocześnie w trzech ówczesnych województwach, a ściślej rzecz ujmując w opolskim, wrocławskim i katowickim, które wtedy było zwane stalinogrodzkim. Logistycznie nie można było ubeckim pacholętom czegokolwiek zarzucić. Przygotowali się do tej akcji z największą precyzją. Tej pamiętnej nocy ponad 1500 sióstr zakonnych zostało przepędzonych z klasztorów i przetransportowanych do miejsc odosobnienia. To działanie w oczach partyjnych dygnitarzy było uzasadnione koniecznością likwidacji niemieckich wpływów w środowisku zakonnym. Trudno mi powiedzieć, czy faktycznie coś było na rzeczy, czy po prostu motyw został wyssany z palca. Ziemia dolnego i górnego śląska od wieków były etnicznie zróżnicowane i po dziś dzień mieszkają tam ludzie mający polskie lub niemieckie korzenie. W każdym bądź razie w wyniku tej akcji "X-2", władza ludowa zagabiła w świetle prawa grunty i budynki klasztorne, domy opieki, szpitale, sierocińce a nawet przedszkola. Potężny majątek przeszedł w ramiona Skarbu Państwa. Natomiast niespełna tydzień później we wszystkich polskich więzieniach doszło do tak zwanych przerzutek, czyli wymieszania składu osobowego osadzonych. Przestały istnieć odrębne oddziały dla więźniów politycznych i pospolitych. Kryminaliści i ideowi bojownicy zostali wrzuceni do jednego kotła. Mogę śmiało stwierdzić, że sierpień 1954 roku był przełomowym momentem w historii wronieckiej placówki penitencjarnej. Zderzenie tych dwóch światów doprowadziło do powstania nowej ery więziennictwa, która narodziła się w mroku. Ożyła w celach za zamkniętymi drzwiami i zyskała cichą aprobatę władz. Jednak jak już wiecie, po pewnym czasie sprawy wymknęły się spod kontroli...

- A to się porobiło - stwierdził Ali, kiedy wieść o przerzutkach stała się faktem.

- Coś mi się wydaje, że dopiero się porobi - odparłem, zupełnie jakbym przeczuwał, że takie działanie przyniesie z sobą coś iście nieoczekiwanego.

Jedynym pozytywnym oddźwiękiem było to, że dzięki kontaktom z politycznymi dowiedzieliśmy się, jaka panuje w kraju sytuacja. Oczywiście ja miałem do tych

informacji spory dystans. Świat przecież nie jest poukładany w ten sposób, że wszystko jest czarne lub białe, prawda? Nie dzielimy się tylko na dobrych i złych. Doskonale pamiętałem czasy, kiedy w celach zjawili się aresztanci, będący zagorzałymi przeciwnikami Piłsudskiego i obozu sanacji. Prawda jest taka, że ten kto ma władzę, może wszystko. W razie potrzeby obóz rządzących napisze odpowiednią ustawę, skonstruuje kilka przepisów prawnych, które zostaną wcielone w życie i temat załatwiony. Władzy nie oddaje się w ramach referendum albo jakiegoś głosowania. Takie zmiany dokonują się w wyniku wojny domowej, rewolucji lub puczu. Jest wiele narzędzi, którymi można rozwiązać wszelkie niepokoje społeczne, nielegalne manifestacje lub strajki. Wystarczy w punkt zapalny wysłać kilka oddziałów szturmowych uzbrojonych w tarcze i pały, spacyfikować niepokornych, a najbardziej krzykliwych aresztować. Potem władza robi pokazowy proces, łąduje się surowe wyroki i reszta towarzystwa zaraz się uspokoi. Mechanizmy, którymi wciela się w życie terror skierowany przeciwko ludności cywilnej, są brutalne i bardzo skuteczne. W czasach PRL-u, władza niejednokrotnie wysyłała czołgi na ulice polskich miast albo pozwalała otworzyć ogień do protestujących, więc co tu dużo gadać...

Nie mam zamiaru opowiadać wam bzdur albo być stronnikiem, co pewnie niektórym będzie wydawało się oburzające, ale ja wiem, że łatwo ocenia się historię z perspektywy czasu. Poza tym wiecie jak jest, każdą opowieść można snuć w dwojaki sposób. Dziś poprawność polityczna sugeruje, żeby potępiać pewne ludzkie postawy lub działania władz, jakie miały miejsce w przeszłości. A kto wam zagwarantuje, że za pięćdziesiąt albo za sto kolejnych lat, wy i wasi obecni przywódcy nie zostaną też osądzeni w negatywny sposób? Wy, którzy teraz pozwalacie na to, żeby działo się tak, jak się dzieje? Nie ma takiej ideologii albo systemu, które uszczęśliwią wszystkich. Większość z was jest podobna do mnie. Wolicie zachować neutralność, martwić się o swój byt w obrębie własnego domu lub mieszkania, dbać o siebie i swoich najbliższych. Czy przez to zasłużycie sobie na szykany potomnych? Całkiem możliwe, że tak. Widziałem w swoim życiu jak rodził się komunizm, doświadczyłem despotyzmu w różnym wydaniu, przebrnąłem przez świat socjalizmu i doczekałem się III Rzeczypospolitej Polskiej. Powiem wam jedno, każde czasy mają swoje blaski i cienie. Kilka dni temu jechałem autobusem do Wrocławia i słyszałem jak dwie starsze panie rozmawiały o obecnej sytuacji. Wiecie co jedna z nich powiedziała? Otóż rzekła, że za komuny było dobrze, bo przynajmniej każdy miał pracę, a państwo dbało o emerytów.

W jednym ze swoich skoroszytów wspominałem, że nie wiem czym jest miłość do ojczyzny. Nie jestem patriotą. Nic nie zawdzięczam temu krajowi i chciałbym, żeby ten kraj nie oczekiwał też czegokolwiek ode mnie. Ideały w które kiedyś wierzyłem pogrzebałem już dawno temu. Jestem człowiekiem totalnie apolitycznym. Życie nauczyło mnie, że jedynym sensownym rozwiązaniem jest umiejętność dostosowania się do sytuacji i okoliczności. Nie krytykuję tych, którzy mają zupełnie inne zdanie. Nie jestem ich zdeklarowanym przeciwnikiem lub wrogiem. Uważam się za wyznawcę naturalnej chęci przetrwania. Moim zdaniem, każda istota, która przychodzi na ten świat rodzi się z tym pierwotnym instynktem. Ludzie, zwierzęta, owady czy choćby bakterie, wszystko co żyje chce po prostu żyć. Jeśli ktoś z was miałby stoczyć walkę na śmierć i życie, to bez

mrugnięcia okiem zabije swojego przeciwnika. Nie będzie miał żadnych dylematów i nie będzie się nawet zastanawiał nad tym, czy to jest dobre czy złe. To dosadne porównanie ma swoje przełożenie na wszystkie aspekty naszej egzystencji i jeśli idzie o mnie, to nawet najbardziej wyszukane argumenty nie przekonają mnie, że jest inaczej.

Tak naprawdę liczy się tylko to, żeby przetrwać za wszelką cenę.

W pierwszej fazie, przerzutki po celach w ogóle nie dotyczyły osób skazanych na dożywocie oraz przestępców z wyrokami powyżej 10 lat więzienia. Nie wiem co było powodem takiej decyzji i mogę jedynie podejrzewać, iż chodziło o to, żeby tych najbardziej zdeprawowanych złoczyńców trzymać z dala od pozostałych osadzonych. Mieliśmy jednak z sobą kontakt na spacerunku. Pod koniec lata promenada przypominała plac pełen nowych twarzy i wtedy można było usłyszeć te wszystkie opowieści, którymi raczyli nas polityczni. Oczywiście doskonale wiedziałem, że wcześniej działały się tutaj cuda i opozycjoniści ukarani pobyt w więzieniu na pewno przeszli w tych murach swoją gehennę. Brutalne przesłuchania, katowanie, wymuszanie zeznań, podpisywanie cyrografów na współpracę z ubecją. Można powiedzieć, że to była normalka. Niektórzy wycierpieli więcej od innych, ale zawsze wynikało to z faktu, że śledczy mieli ku temu powody. Jeden z politycznych opowiadał, że wielu ludzi w trakcie pobytu we Wronkach, albo zaraz po opuszczeniu zakładu, zniknęło bez śladu. Co ciekawe, to powiem wam, że istniała tutaj specjalna delegatura bezpieczeństwa, która nie podlegała władzom więzienia. Jej przedstawiciele nigdy nie byli widziani w mundurowych uniformach, aczkolwiek strażnicy zwracali się do nich tytułując ich stopniami wojskowymi. Sam kilkakrotnie byłem świadkiem takiego zajścia. Innym razem, zupełnie przez przypadek usłyszałem, jak jeden z funkcyjnych więźniów, do którego należało utrzymanie czystości na peronie D opowiadał o tym, co usłyszał podczas sprzątkania.

- Zasuwać wieczorową porą na szmacie. Pucuję posadzkę obok dyżurki i nagle widzę, że z przeciwnej strony idzie ten niby major, wiecie, ten co zawsze chodzi w białej koszuli i zielonym krawacie. Facet maszeruje prężnym krokiem, jakby był wkurwiony na cały świat, więc wzroku nawet nie podnoszę i poruszam się bezszelestnie jakby mnie tam wcale nie było. Chłop wjechał na dyżurkę ubecką, gdzie siedzieli jego ludzie. A oni to wiecie, wieczorami wóde tam wałą i opowiadają sobie, jak to im na przesłuchaniach dzionek przeleciał. No i ten major wbija na salon i mówi, że o północy mają być trzeźwi, bo do lasu trzeba jechać, żeby dół zawapnić...

- Co zrobić?! - Jeden ze słuchaczy wpadł mu w zdanie.

- Dół zawapnić, no tak powiedział - odparł funkcyjny i dalej zaczął snuć swoją opowieść. - Też się zastanawiałem o co mu chodzi. Okazało się po chwili, że mają zabrać trzy worki wapna. Myślę sobie, po jaką cholere im wozic wapno do lasu? A potem jeden z tych ubeków stwierdził, że warto jeszcze wziąć wody w baniakach, bo jak się zwłoki trochę zmoczy, a dopiero potem wapnem posypie, to szybciej je zeżre. Wychodziło na to, że jadą do tego lasu kogoś pogrzebać. Potem zastanawiali się, co powiedzieć jego starej, bo raz w tygodniu w odwiedziny przyjeżdża. No i wymyślili, że niby facet do szpitala został przewieziony, a tam fikcyjne przyjęcie się robi. Dwa dni później pojedą do niej z nakazem rewizji, dowie się, że jej mąż uciekł. Na chacie walną kipisz, gospodynię wytrząskają po ryju, zabiorą ją na dołek i posadzą na czterdzieści osiem godzin, żeby

myślała, że to naprawdę się stało. Jak baba będzie drażyć temat i do szpitala pojedzie, to tam jej powiedzą, że chłop był przyjęty ale dał nogę...

Nawet laik słysząc takie słowa, doszedłby do wniosku, że praktycznie sprawa jest nie do wykrycia, no chyba, że któryś z ubeków wygadałby się nieopatrznie. Nasłuchałem się różnych opowieści, a od niektórych aż włos jeżył się na głowie. Mógłbym przytoczyć wiele przykładów, nawet takie, które przypominały wręcz nedorzeczną reakcję łańcuchową i uderzały rykoszetem w ludzi po drugiej stronie murów. Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiałem, to za każdym razem dochodziłem do wniosku, że świat naprawdę oszalał.

Przerzutki w celach bardzo szybko zmieniły oblicze wronieckiego więzienia. Do końca roku miało miejsce kilka samobójstw, które popełnili polityczni. Nie sądzę, żeby którekolwiek zostało sfingowane albo, żeby miały w nich swój udział intrygi ubeckich funkcjonariuszy, aczkolwiek takich sytuacji wykluczyć nie można. Musicie też zrozumieć, że wbrew pozorom, trudno sobie odebrać życie w więzieniu, jeśli dzielisz z kimś celę. Oczywiście zdarzały się takie próby, ale w większości przypadków kończyły się one fiaskiem, bowiem współlokatorzy, jak to się mówiło "siadali na klapę" czyli podnosili alarm i wzywali oddziałowego. Nikt nie miał zamiaru wpaść w kłopoty przez czyjąś chwilę słabości. Śmierć w celi zawsze rodziła podejrzenie, że coś niedobrego działa się w stosunkach międzyludzkich. Jeżeli prokurator udowodnił swoje przypuszczenia, to współwięźniowie z kwadratu byli pociągani do odpowiedzialności karnej.

Ulubionym miejscem samobójców był więzienny korytarz. Skok z ostatniej kondygnacji, którego lot kończył się uderzeniem w kamienną posadzkę, zawsze powodował śmierć pilota. Pilot, lotnik lub Ikar - tak określano desperatów, którzy w ten sposób odbierali sobie życie.

Styczeń 1955 roku.

Peron A.

Godzina siódma zero zero.

W pawilonie A na ostatniej kondygnacji znajdowała się cela w której był osadzony Deruś, znany wszystkim mącieliem, charakterniakiem i ułanem. No tak, nie wiecie kto to ułan, ale jedno parszywe słowo pozwoli wam zrozumieć, kogo określano takim przydomkiem. Otóż ułan to gwałcieliem. Nie chodzi jednak o przeszłość takiej osoby z czasów wolności, tylko o to, że taki typ notorycznie gwałcił cweli. Ułanów było tutaj bez liku. Co ważne, to musicie wiedzieć, że tacy Ludzie nie byli homoseksualistami. Wiem, że to brzmi dziwnie, wydaje się absurdalne lub nawet nedorzeczne, ale więzienie rządzi się swoimi prawami. Wyobraźcie sobie, że w celi siedzi trzech skazańców, dwóch to grypsujący, a trzeci to cwel. Siemachy nie znają litości i każdego dnia pastwią się nad swoją ofiarą, zaspokajając swoją zwierzęcą chęć. Koszmar. Na zdrowy rozsądek mogłoby się wydawać, że ktoś upodlony przez współlokatorów zgłasza taką sytuację klawiszom, a oni są zobowiązani zapewnić mu bezpieczeństwo. Uwierzcie mi na słowo, że nie ma nic bardziej mylnego, bowiem w tym świecie nawet funkcjonariusze gardzą tymi, na których widnieje piętno cioty. Jak zdążyliście zauważyć w moich zapiskach praktycznie nie poruszam kwestii związanych ze sferą więziennego seksu. Nie jest to dla mnie temat tabu,

ale powiem wam, że po prostu czuję do tego obrzydzenie i świadomie staram się unikać opisywania takich spraw. Jednak teraz muszę poświęcić na ten parszywy rewir kilka zdań, żeby wiernie oddać dramaturgię wydarzenia, które miało miejsce w styczniowy poranek 1955 roku. To co się wtedy stało jest bardzo ważne, bowiem doprowadziło do wielkich zmian ze strony władz więzienia i nie mogę tego pominąć.

Deruś dzielił celę ze swoim fąflem Gardłowcem. To był recydywista, który trafiając do Wronek miał już na pagonach dystynkcje pułkownika, a w tym więzieniu jak na razie odbębnił cztery lata z dwunastu, które mu zasądzono. Jego ksywka wywodziła się stąd, że facet był mistrzem w połykaniu dziwnych przedmiotów. Robił to z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby zaimponować ferajnie i po drugie, żeby raz na jakiś czas wyrwać się z pierdła do szpitala. Jego najbardziej spektakularnym numerem było to, że w dwa miesiące po tym kiedy zjawił się we Wronkach, połknął niedużą, wędkarską kotwiczkę. Nawet dziecko wie, jak wygląda ten przedmiot. Trzy haczyki połączone w jeden element, a ich końcówki przypominają groty strzał. Jednak Gardłowiec zrobił pewną rzecz. Spiłował wszystkie ostrza i delikatnie wygiął końcówki nadając im kształt lekko zaokrąglony do wewnątrz. Do oczka przedmiotu przywiązał nitkę o długości dwudziestu paru centymetrów i za pomocą rączki od zwykłej łyżki, wepchnął sobie kotwiczkę głęboko w przelyk, a koniec nitki przywiązał do trzonowego zęba. Potem "usiadł na klapę" i kiedy zjawił się oddziałowy powiedział:

- Przez przypadek połknąłem kotwiczkę, chyba wbiła mi się w rurę przelyku, bo tu mnie boli i szczypie - pokazał palcem, przykładając go na wysokości mostka.

Natychmiast przewieziono go sanitarką do szpitala w Poznaniu. Tam zrobili mu zdjęcie rentgenowskie i okazało się, że faktycznie widać na kliszy ciało obce. Następnego dnia chcieli go zabrać na stół operacyjny, ale Gardłowiec wieczorem poszedł do toalety, odwiązał nitkę i wyciągnął z przelyku przedmiot. Podczas porannej wizyty lekarskiej powiedział, że w nocy był w kibelku, puścił pawia i chyba wyrzygał przedmiot, bo już go nie czuje. Zrobili mu kolejne zdjęcie i okazało się, że jest czysty. Pięć dni wałkonął się w poznańskim szpitalu, gdzie przeszedł jeszcze całą serię innych badań. Kiedy wrócił z powrotem do pierdła, był już wśród charakternych bohaterem.

Deruś i Gardłowiec siedzieli razem, ale któregoś dnia stwierdzili, że przydałby im się jakiś frajer, którego przecwela. Będą mieli wtedy służącego i dziwkę w jednym, co w ich mniemaniu byłoby szczytem marzeń. Jak do tej pory zaspokajali swoje potrzeby w szwalni, bo obaj tam pracowali.

W szwalni była kanciapa i tam najczęściej dochodziło do tego typu zajść. Zastanawiacie się jak to możliwe? Ano tak, że szwalnia była miejscem, gdzie pracowało najwięcej więźniów, a wśród nich byli również cwele. W związku z tym, że Deruś był mącicielem, to wysyłał łapiducha, żeby urobił i przekupił klawisza, a taki gad mając pojęcie co się święci, był w stanie za kilka złotych zniknąć na kwadrans i dać im czas na małą orgietkę. Nie do uwierzenia, prawda? Najgorsze jest to, że tak właśnie się działo.

Kilka miesięcy wcześniej doszło w szwalni do pewnego zajścia w którym brał udział Deruś, Bolo i jeszcze dwóch innych charakterniaków oraz jedna ofiara w osobie pewnego więźnia, który miał na pieńku z klawiszami. Prawdopodobnie układ był taki, że strażnicy chcieli się zemścić na tym kolesiu, który donosił na funkcjonariuszy i nawet

doprowadził do tego, że jeden gad stracił przez niego robotę. Plotka po peronach niosła, że siemachy zaciągnęli go siłą do kanciapy i ponoć wtedy Deruś miał wypowiedzieć zdanie, które przeszło do legendy. Kiedy czwórka oprawców i ten, który sobie nagrabił u klawiszy znaleźli się w pomieszczeniu za zamkniętymi drzwiami, Deruś sięgnął do kieszeni, wyjął kulkę zjełczalej margaryny owiniętej w papier, rzucił mu do stóp i rzekł rozbawionym głosem:

- Smaruj styjkę maryską, bo ułani jadą!

Przez dobre pół godziny z kanciapy dochodziły odgłosy, które świadczyły o tym, że Sodoma i Gomora wcale nie odeszły w niepamięć. Jednak głośny terkot maszyn do szycia, który rozlegał się w pomieszczeniu szwalni, świetnie maskował tamtą ponurą symfonię bólu i podłości.

Jeżeli zastanawiacie się na tym, jak to możliwe, że nikt nie zareagował, że nikt nie interweniował, skoro pracowało tam więcej ludzi, to powiem wam tylko tyle, że w więzieniu nikt nie będzie bezinteresownie nadstawiał za kogoś karku. Tym bardziej, że każda reakcja spotkałaby się z odwetem ze strony grypsujących, którzy już wtedy panoszyli się w tym pierdlu niczym dziedzice na włościach. W tamtych czasach nikt nie stawał w obronie cwela. Nikt. Nawet każdy frajer wiedział czym to grozi. Środowisko ciotek było skazane tylko na siebie ale jednak czas pokazał, że oni też potrafili się zorganizować.

Nie myślcie sobie, że znowu odbiegam od tematu. Nic z tych rzeczy. To wszystko jest z sobą powiązane niczym misternie utkana pajęczna sieć. Te wątki wiążą się i prowadzą w jednym kierunku. Wszystkie brną do tego styczniowego poranka, kiedy ostatni lotnik w historii wroneckiego więzienia poszybował w ramiona śmierci. Koniecznie muszę wspomnieć o Derusiu i Gardłowcu, którym ślepy los zesłał do celi trzeciego współlokatora. Po pierwsze, jak wiecie Ludzie nie mogli wchodzić w żadne układy z klawiszami, bowiem tak mówił ich kodeks. Po drugie, musieli również szanować przynależność kogoś, kto już jest członkiem więziennej podkultury. Szanować oczywiście wtedy, jeżeli został przez grupę pozytywnie zweryfikowany i udowodnił, że potrafi grypsować. Teoretycznie wszyscy grypsujący hołdowali tym dewizom, jednak w życiu różnie bywa i jak sami dobrze wiecie, nawet najbardziej żelazne zasady są czasami łamane w imię wyższych celów lub własnych interesów. Jak było z Tłustym, który dołączył do Derusia i Gardłowca? Napiszę wam co wiem, a wy sami ocenicie.

Ów Tłusty trafił do Wroniek w listopadzie 1954 roku, czyli już po akcji z przerzutkami. Skoro został ulokowany w celi z charakterniakami wszystko wskazywało na to, że musiał mieć za sobą kryminalną przeszłość. Tłusty był koleśkiem po czterdziestce i wyglądał jak chodząca beczka. Miał raptem metr sześćdziesiąt wzrostu i łatwiej go było przeskoczyć niż obejść. Kiedy szedł, to jego ciało trzęsło się niczym galareta i w sumie ksywka Tłusty, pasowała do niego jak ulał. Facet nie miał żadnych tatuaży, ale ostro dziachał kminą. Nikt nie wie, co się wydarzyło w celi gdzie został zakwaterowany. Jestem pewien, że Deruś i Gardłowiec zrobili mu egzamin. Prawdopodobnie uzyskał celującą ocenę, ale i tak fafle postanowili go przecwelić. Zrobili to z czystą premedytacją. Tłusty został ich ofiarą, bo taki przyświecał im cel. Chłopina nie miał szans, żeby fizycznie postawić się dwójce zatwardziałych charakterniaków i został przez nich wrzucony do

wora. Na spacerunku mówili o nim "nasza dupa" albo "nasz szamot", to drugie określenie tyczyło się spraw związanych z seksem oralnym. Chwalili się, że teraz mają w celi jak na królewskim dworze, a Tłusty co wieczór udziela im audiencji. Audiencja w więzieniu polega na tym, że cwel siada i przyjmuje kindybał w szamot. Pomimo, że znęcali się nad nim perfidnie i zrobili sobie z niego toaletę, to jednak Tłusty znosił to cierpliwie. Nie skarżył się władzom i nie szukał wsparcia u innych grypsujących. Zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego. W ciągu miesiąca zjednoczył wronieckich cweli w jedną parafię. Zaczął im udzielać wskazówek i rad, jak mogą się obronić przed kolejnymi szykanami. Jednak podstawową rzeczą było to, że muszą w sobie pokonać zakorzeniony strach, bowiem tylko wtedy ich upór i determinacja pozwolą im odzyskać utraconą i sponiewieraną godność. Myślę, że Tłusty już wtedy miał plan, który chciał wcielić w życie...

Każdego ranka po śniadaniu klawisze otwierali zasuwę w drzwiach celi i kiedy rozlegał się dźwięk gongu na sterowni, wszyscy wychodzili z salonów i stawali przed balustradą. Ci, którzy byli osadzeni na górnej kondygnacji mieli w zwyczaju pluć i ubaw był wtedy, kiedy udało się komuś trafić śliną w głowę więźnia na niższym piętrze. Z tego co opowiadali chłopaki z celi najpierw wychodził Gardłowiec, potem Deruś, który opierał się łokciami o poręcz i wypatrywał czy u dołu jest ktoś, komu można charknąć na łepetynę. Tłusty jako cwel opuszczał kwadrat ostatni. Tego feralnego styczniowego dnia rytuał wyglądał identycznie. Kiedy Deruś wsparł się o poręcz i pochylił do przodu, Tłusty chwycił go za łydki, poderwał w górę i pchnął z całych sił przed siebie. Mącielnik nie zdążył zareagować, po prostu runął w dół niczym mityczny Ikar i tylko jego przeraźliwy krzyk sprawił, że oczy wszystkich więźniów zwróciły się w kierunku skąd rozległ się jego ostatni wrzask. Ciało z niesamowitym hukiem uderzyło o kamienną posadzkę, a czaszka Derusia po prostu roztrzaskała się niczym szklana kula. Mózg rozbryznął się w promieniu dwóch metrów i ochlapał nawet zieloną lamperię. Kiedy wszyscy zebrani przerażonym wzrokiem wpatrywali się w lotnika, Gardłowiec przygnieciony ciałem Tłustego, leżał na drewnianym podeście. Lewą dłonią trzymał się za rozplataną krtań, gdzie poderżnięte tętnice wypluwały hausty szkarłatnej krwi. Kiedy spanikowani klawisze podbiegli w ich kierunku okazało się, że Tłusty trzyma obiema dłońmi za prawy nadgarstek Gardłowca, który w zaciśniętych palcach dzierżył rękojeść noża samoróbki.

Niby nikt nie widział, jakim cudem Deruś fiknął przez barierkę, ale to była oczywiście ściema. Ci którzy stali po sąsiedzku lub naprzeciwko, musieli wiedzieć co się stało. Dlaczego milczeli w tej sprawie? Zasada trzech małych drożdzy. Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie powiem. Facet zginął, więc życia nikt mu nie zwróci. Z tego co wiem, nie był lubiany przez szeregowych członków ferajny, bo wykorzystywał swoją władzę i wysługiwał się wszystkimi dookoła. Myślę, że dla niektórych grypsujących jego śmierć była tym samym, czym dla dzieci są świąteczne prezenty. I teraz idzie najlepsze, wyobraźcie sobie, że kilku cweli z peronu A jednomyślnie zeznało, iż widziało jak Gardłowiec rzucił się z nożem na Tłustego, a Deruś w tym samym czasie chciał go obezwładnić zachodząc od tyłu. Zrobił się kocioł. Tłusty twardo szedł w zaparte, że został zaatakowany i musiał się bronić. Nie miał pojęcia jak to się stało, że jeden z napastników wypadł za balustradę. Prokurator zdawał sobie sprawę, że to jest wierutna bzdura, ale z

drugiej strony nie potrafił udowodnić, że agresorem był niepozorny grubas. Ktoś taki jak on, po prostu nie mógł w pojedynkę załatwić dwóch rośliwych mężczyzn. W obawie o bezpieczeństwo Tłustego, władze więzienia już w drugim dniu śledztwa przerzuciły go do innej placówki penitencjarnej. Nikt ze skazańców nie miał pojęcia dokąd go przeniesiono i nigdy nie poznaliśmy oficjalnego werdyktu w tej sprawie.

To wydarzenie doprowadziło jednak do tego, że kilka dni później dyrektor więzienia podjął decyzję o montażu drucianej siatki zabezpieczającej. Na każdym peronie pomiędzy kondygnacjami rozpostarto metalową sieć, która została w solidny sposób zamocowana do stelaży na których ciągnęły się drewniane podesty. Co ciekawe, to zdradzę wam, że począwszy od roku 1955 aż do dnia, kiedy opuściłem mury wronieckiego więzienia, co stało się 35 lat później, siatka nigdy nie została wymieniona na nową. Jeżeli coś już pękło ze starości, skorodowało, albo po prostu jakieś łączenie trafił szlag, to latało się dziurę albo sztukowało ubytek i było po sprawie.

Po kilkunastu miesiącach wspólnego obcowania z Alim zacząłem zauważać, że ten chłopak bardzo się zmienił. Nie chcę tutaj zachwalać siebie samego i przekonywać was, że stało się to dzięki mnie i naszym wspólnym rozmowom, chociaż na pewno miałem swój udział w jego metamorfozie. Myślę, że najbardziej przełomowym momentem była właśnie sprawa Tłustego. Ali zdał sobie sprawę, że bycie grypsującym wcale nie gwarantuje, że w wypadku kolejnej odsiadki w przyszłości, życie w pierdlu będzie usłane różami. Młodzian zaczął pojmować, że los czasami bywa nieprzewidywalny oraz bardzo przewrotny. Wiele razy poruszaliśmy w naszych dyskusjach sprawy wzniosłe, pełne filozoficznych rozważań oraz ciekawych spostrzeżeń. Zauważyłem, że Bajstok uruchamiał swoją wyobraźnię wtedy, kiedy odwracaliśmy nawet błahe i banalne sytuacje, żeby mógł poczuć jak to jest, kiedy człowiek stoi po drugiej stronie barykady.

Pewnego dnia zapytałem go:

- Słuchaj Ali, powiedz mi, czy chciałbyś kiedyś założyć swoją rodzinę. No wiesz, poznać jakąś fajną dziewczynę, ożenić się i mieć gromadkę wesołych dzieciaków?

- No generale, teraz to dołożyłeś do pieca - zaśmiał się. - Powiem ci, że chyba nie nadawałbym się na ojca.

- Czemu tak sądzisz?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Poza tym nigdy nie miałem dziewczyny takiej wiesz, jak to się mówi, na stałe.

- Wszystko jeszcze przed tobą - odparłem - za kilka miesięcy wyjdiesz z paki i świat będzie należał do ciebie.

- Oj, wtedy będzie się działo! - Rzucił wesołym głosem.

- Masz dokąd wrócić? - Zagadnąłem zmieniając temat.

- Moi rodzice mieszkają w Kościanie, więc pewnie najpierw tam pojedę - zamilkł na moment, a potem dodał. - Nie wiem tylko czy będą chcieli mnie widzieć.

- Oczywiście, że będą chcieli - pomyślałem, że powinienem mu dodać odrobinę otuchy. - Przecież to twoi rodzice. Myślę jednak, że dużo zależy od ciebie.

- Co masz na myśli? - Wpadł mi w zdanie.

- Oni na pewno oczekują, że się zmieniłeś i że pobyt w więzieniu czegoś cię nauczył.

- Że niby poszedłem po rozum do głowy? - Zapytał i zaraz dodał: - Tylko, że jak zobaczą moje tatuaże, to miny im zrzedną. - Odniosłem wrażenie, że mówił to z nutką lekceważenia i zadziorności.

- Ali, jako że jesteś facetem, to postaw się na miejscu swojego ojca. Twój ojciec siedział w więzieniu? - Rzuciłem zniechęcenie.

- Nie, coś ty! - Odpowiedział prawie z oburzeniem. - Mój starszy to uczciwy i porządny człowieczek. Chłopina jest poukładany, rozumiesz praca, dom, kościół. Wiesz, taki typowy tatko ciepłe kluchy.

Spojrzałem na niego z politowaniem, a w duchu pomyślałem, że z jakichś nieznanych mi powodów chłopak nie ma szacunku dla swojego ojca.

- Przypuśćmy, że teraz dobijasz do pięćdziesiątki - rzekłem - i masz syna, który jest w twoim wieku. Jesteś sobie w stanie wyobrazić taką sytuację?

- No jasne, nawijaj dalej - syknął pod nosem.

- Twój syn popełnił w życiu parę głupstw i trafił do pudła. Dostał wyrok, odsiedział swoje i wraca do domu. Przyjmiesz go pod swój dach, czy przepędzisz go precz?

- No przypuśćmy, że przyjmę - odparł.

- Co sobie pomyślisz, kiedy twój chłopak ściągnie koszulę, a na jego ciele zobaczysz niebieskie dziury? Jakies stopnie wojskowe na barkach, jakies oszpecające wizerunki na ramionach albo koślawe sentencje głoszące wątpliwe mądrości życiowe. Jak zareagujesz?

Ali spojrzał na mnie i po chwili rzekł:

- Do czego zmierzasz generale?

- Widzisz, tak sobie myślę, że większość ludzi, która siedzi w tym pudle, to po prostu typowi egoiści. Samoluby. Kumasz? W przeszłości robili różne rzeczy, dopuszczali się czynów niezgodnych z prawem, za co oczywiście teraz przyszło im beknąć. Jestem pewien, że kiedy czynili te niegodziwe występki, to nie martwili się tym, że robią przykrość swoim matkom i ojcom, braciom, siostram, żonom czy dzieciom. Nie myśleli wtedy o najbliższych i o tym, że swoim postępowaniem przyniosą im ból i wstyd. Osobnik bardziej cwany, słysząc takie zarzuty będzie się zaślamiał tym, że robił wszystko z myślą o rodzinie. Wiesz o co chodzi, prawda? O klepanie bzdur, że na przykład zostałem złodziejem, bo sytuacja mnie do tego zmusiła i troszczyłem się o rodzinę. Coś ci powiem Ali, tak tłumaczą się tylko kombinatorzy i nieudacznicy. Nie licząc politycznych, wszyscy w tym pudle, ja, ty i cała ta przestępcza hołota, to banda partaczy, którym nie wyszło w życiu. Twój ojciec rozumiesz, takich jak my, zjada na drugie śniadanie. Nie możemy się z tym facetem równać, nie dorastamy mu do pięt. Jest silny, twardy i co najważniejsze potrafi życiu stawić czoła. Potrafi zmierzyć się z wyzwaniem, które nas zmiażdżyło i rozjechało na miazgę. I powiem ci coś bardzo istotnego, dlatego słuchaj uważnie, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Nic do ciebie nie mam, lubię cię. Miły z ciebie chłopak, dogadujemy się, a prywatnie chociaż się z tym publicznie nie obnoszę, uważam cię za mojego wafla - zrobiłem krótką pauzę i ciągnąłem dalej. - Jednak z drugiej strony wcale cię nie żałuję. Masz to, na co sobie zapracowałeś. Jesteś głupi. Tylko popatrz na swoje zmarnowane życie. Dawno temu, jeszcze jako niepełnoletni trafiłeś do poprawczaka. Ile tam spędziłeś czasu? - Zapytałem zniechęcenie.

- Dwa lata - odpowiedział lekko obrażonym tonem, ale nic więcej od siebie nie dodał, tylko słuchał.

- Straciłeś dwa lata, być może dwa najpiękniejsze lata w swoim życiu i niczego się nie nauczyłeś. Wyszedłeś i zaraz potem znowu wdepnąłeś w gówno. Zamiast starać się wyjść z tego szamba, ty zacząłeś w nim nurkować. Oszpeciłeś swoje ciało dziarami, naznaczyłeś się do końca życia. Jesteś jedynym więźniem jakiego znam, który strzelił sobie złotą myśl na przedramieniu - powiedziałem z nieukrywaną drwiną w głosie. - Jeżeli w przyszłości zrobisz coś głupiego albo wdasz się w jakąś aferę na wolności, to wystarczy jedno zeznanie świadka i jesteś załatwiony. To co tutaj uważasz za powód do dumy - miałem na myśli jego tatuaże - po drugiej stronie tych murów będzie działało na twoją zgubę. W razie draki milicja znajdzie cię w try miga. Sądzisz, że jeśli latem wyjdiesz na plażę i rozbierzesz się do slippek, to wszyscy będą podziwiać te wizerunki? Wątpię. Uważam też, że nie masz żadnego pomysłu na swoje życie. Myślisz o tym, że za kilka miesięcy wyjdiesz na wolność, ale podświadomie wiesz, że znowu wrócisz do paki.

- Nieprawda! - Wpadł mi w zdanie.

Podniosłem dłoń w geście, jakbym chciał go poprosić, żeby dał mi skończyć.

- Ali, jak nieprawda, skoro sam jakiś czas temu powiedziałeś, że kiedy wyjdiesz to walniesz taki numer, który ustawi cię na długie lata. Twoje szanse powodzenia, żeby zrealizować ten plan są równe zeru. Gdybym dzisiaj miał pójść z kimś o zakład, postawiłbym wszystko co mam na to, że za jakiś czas znowu wylądujesz w więzieniu. Naprawdę tak uważam. Powinieneś się modlić, żeby Bóg dał ci chociaż odrobinę rozsądku i rozumu. Wiesz kogo jest mi żal? - Zapytałem ale nie czekałem na jego odpowiedź: - Twoich rodziców. Bardzo im współczuję. Właściwie współczuję wszystkim rodzicom, którzy spłodzili dzieci, wychowywali je, łożyli na ich utrzymanie, a one w przyszłości zeszły na złą drogę. W niedzielę jak wyjdziemy na wybieg, usiądź sobie pod siatką spacerniaka i spójrz z innej perspektywy na promenadę. Zobaczysz na niej tylko bandę spacerujących kretynów. Pomyśl wtedy o tych wszystkich matkach i ojcach, którzy kiedyś marzyli o tym, że ich dziecko odniesie sukces, że będzie miało lepsze życie niż oni. Potem wybiegnij myślą poza mury tego więzienia i zastanów się nad losem tych wszystkich dziwek, które kręcą się po ulicach albo stoją w ciemnych zaułkach bram, żeby za kilka złotych dogodzić klientowi. Czy sądzisz, że którakolwiek matka lub ojciec pomyślał chociaż przez chwilę, że w przyszłości ich córeczka zostanie kurwą i będzie się łajdaczyć? A tak na marginesie - rzekłem spokojnym tonem - to uważam, że największą zmorą wszystkich rodziców świata jest to, że pokładają ślepią nadzieję w swoich potomkach. Jestem pewien, że jeśli w przyszłości będziesz miał syna, nie będziesz chciał doświadczyć tego, żeby sprawił ci taki sam zawód, jakim ty uraczyłeś swojego ojca. - Bajsztok patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby odjęło mi rozum do reszty, a ja dalej ciągnąłem swoją moralizującą gadkę. - Dzisiaj słyszysz już ostatnie dzwony, które świadczą o tym, że jeszcze możesz uratować swoje życie. Zdusić w sobie mentalność przestępcy, wyrwać się z tego bagna, które tylko czeka, żeby cię wchłonąć. Kiedy wyjdiesz za mury, kiedy przyjdzie chwila słabości i będziesz chciał zrobić coś głupiego, to pomyśl wtedy o mnie i zastanów się, czy chcesz skończyć tak jak ja? Czy naprawdę chcesz spędzić całe lata w małej celi, patrzeć na świat przez okratowane okno i zestarzeć

się leżąc na pryczy? Bo jeśli faktycznie jesteś słaby i żaloszny, to nie podołasz na wolności. Życie zasadzi ci takiego kopa w dupę, że od razu wylądujesz w pierdlu. - Sięgnąłem po papierośnicę. - Masz, zapal sobie - poczęstowałem Alego szlugiem. Wypuściłem z płuc kłęby sinego dymu i rzekłem rozmarzonym tonem: - Wiesz za czym najbardziej tęsknię?

- Nie mam pojęcie generale, zaskocz mnie - powiedział z uśmiechem na ustach.

- Miałem raptem dwanaście lat kiedy podjąłem pracę - tymi słowami zacząłem snuć moją opowieść. Mówiłem o tym, jak czasami czułem się zdruzgotany tym faktem, że szlag trafił moje beztroskie dzieciństwo, że inni mieli lepiej i łatwiej. Porównywałem nawet swój tok myślenia do rozumowania skazańca i prawdę powiedziawszy, dostrzegałem dużo podobieństw. Potem stwierdziłem, że w miarę upływu lat moje podejście się zmieniało i praca naprawdę dawała mi satysfakcję. - Chciałbym znów poczuć jak to jest - rzekłem - kiedy wstajesz rano z łóżka, zjadasz śniadanie, łapiesz za torbę i ruszasz do pracy. Idziesz zaspanymi ulicami miasta, w nozdrzach panoszy się zapach rześkiego powietrza, a twoje policzki łaskoczą promienie wschodzącego słońca. Idziesz przed siebie i zastanawiasz się, jak spożytkujesz zarobioną forszę, którą dostaniesz w dniu wypłaty. Snujesz plany, masz swoje małe marzenia i radości. To jest piękne! Dla takich chwil warto żyć. Rozumiesz o czym mówię? Masz pojęcie ile bym dał, żebym po zakończonej szychcie mógł skoczyć do knajpy na kufelek zimnego piwa? Tęsknię za tym, jak mi Bóg miły tęsknie z całego serca. Nigdy nie myślałem o tym, żeby być obrzydliwie bogatym i móc spełniać swoje wszystkie zachcianki. Nie przeczę, chciałbym doświadczyć jak to jest, kiedy człowiek nie musi się liczyć z każdym groszem. Jednak z drugiej strony, kiedy masz wszystko, to może być - zamilkłem na chwilę, bo nie umiałem znaleźć odpowiedniego słowa - to może być niebezpieczne i zgubne. Jak to powiadają, kiedy ktoś ma pełną dupę, to zaczyna mu walić do pały. Wiesz, jakiś czas temu miałem przedziwny sen - znowu zmieniłem temat. - Swoją młodość spędziłem w towarzystwie moich dwóch serdecznych kumpli, Trufla i Pesteczki. Większość czasu spędzaliśmy na kamiennych schodach przed budynkiem starego magazynu, który od zawsze był zamknięty na trzy spusty. To było nasze ulubione miejsce. Potrafiliśmy tam przesiadywać całymi dniami. Śniło mi się, że siedzę na tych schodach i palę papierosa. Nagle patrzę na siebie, a ja jestem ubrany w ten cholerny więzienny drelich. Na stopach mam te same wysłużone buty co dziś, dotykam dłonią policzków i pod opuszkami palców czuję szczecinę - mówiąc to, pogładziłem się po brodzie. - Siedzę tam i zachodzę w głowę, co powiedzą na mój widok kumple, którzy niebawem powinni się zjawić. Wtem widzę, jak trzech młokosów zmierza w moim kierunku. Jestem w tym śnie przerażony, bowiem to my, to nasza trójka. Ja, Trufel i Pesteczka. Siedzę na tych schodach i widzę siebie samego sprzed ponad czterdziestu lat. Czuję się jak niewidzialny obserwator. Staram się otworzyć gębę, coś powiedzieć, ale nie mogę tego zrobić. Próbuję poderwać się na równe nogi, ale nawet nie drgnę. Jestem jak zaklęty posąg. Jedyne co mogę zrobić, to przyglądam się sobie i dwójce moich przyjaciół. Oni stoją tuż obok, dosłownie są na wyciągnięcie ręki. Gadają o czymś, śmieją się, przekrzykują i nagle milkną. Jednocześnie widzę, że spoglądają prosto w moją twarz, jakby za chwilę mieli mi powiedzieć coś bardzo ważnego. Czekam kiedy padną te słowa, oni już zaczynają otwierać swoje usta i... cholerny gong na sterowni budzi mnie ze snu.

- Czyli nie dowiedziałeś się o co im chodziło - skwitował Ali. - Przynajmniej masz

frajdę, że coś ci się śni, bo ja to tylko zapadam się w ciemność i rano otwieram oczy.

- Ze mną jest podobnie - odparłem. - Rzadko śnię, bardzo rzadko. Jednak od tamtej pory zauważyłem, że w moich myślach pojawiają się jakieś epizody z przeszłości. Nic konkretnego, przypomni mi się jakiś moment i dopadają mnie tak intensywne uczucia, jakbym to przeżył wczoraj, a nie cztery dekady temu. Chyba się starzeję.

- A powiedz mi generale, ile ty masz właściwie wiosenek na karku? - Zapytał mój rozmówca.

- Na dzień dzisiejszy, pięćdziesiąt pięć i pół.

- To masz tyle samo lat co mój Jarecki - stwierdził. - Chciałbym z nim tak gadać jak z tobą.

- Ali, niedługo staniesz przed szansą, żeby odbudować wasze relacje. Wszystko zależy tylko od ciebie.

Kilka dni po świętach wielkanocnych, Bajsztok rąbnął ze stolarni arkusz papieru ściernego. Próbowałem go wypytać do czego mu to potrzebne, ale nie chciał powiedzieć. W pierwszej chwili sądziłem, że buchnął go dla kogoś, bo ludzie przecież mają różne potrzeby. Następnego dnia rano okazało się, że Ali wpadł na pomysł, iż za pomocą papieru ściernego usunie swój koślawy tatuaż z sentencją o narodzinach i grypsowaniu. W nocy, kiedy ja spałem w najlepsze, ten nawiedzony dzieciak zdarł sobie całą skórę na prawym przedramieniu. Rana była tak potężna i tak okropna, że nie obeszło się bez odwiedzin na izbie chorych. Ponoć lekarz złapał się za głowę, kiedy zobaczył rozmiar tego samookaleczenia. Zrobiła się afera. O zajściu został powiadomiony dyrektor, a Bajsztok nie dość, że cierpiał, to dodatkowo dostał jeszcze karę dyscyplinarną określaną mianem tak zwanego "twardego łoża". Tydzień przesiedział w specjalnej celi, gdzie było tylko takie zmyślne cudo z drewnianych dech wiszących na dwóch łańcuchach. Konstrukcja łóżka była bardzo specyficzna, bowiem w ciągu dnia składano je na ścianę i zamykano na kłódkę, żeby więzień nie mógł usiąść lub się położyć. Skazaniec, który załapał się na "twarde łoże" nie dostawał poduszki i koca, nie mógł palić papierosów, nie mógł opuścić celi nawet jeśli miałby odwiedziny i nie przysługiwało mu wyjście na spacer. Okno w takiej komnacie miało od zewnątrz tafłę zbrojonej szyby, przez którą nic nie było widać. Najdłuższy turnus trwał czternaście dni i chyba zdajecie sobie sprawę, że ów pobyt nie należał do przyjemnych. Ali spędził tam raptem tydzień, ale po powrocie stwierdził, że czuje się tak, jakby upłynął miesiąc.

- Po cholere to zrobiłeś? - Zapytałem i kiwnąłem głową w kierunku jego prawej ręki.

- Tak sobie pomyślałem, że masz rację co do tych dziar - powiedział. - Łatwo psom namierzyć kogoś pomalowanego.

- Z taką blizną też będziesz charakterystyczny. Przecież doskonale wiesz, że w dniu wyjścia najpierw zaliczysz fotografa, a dopiero potem przekroczysz bramę. Twoje wszystkie znaki szczególne, takie jak blizny, sznyty czy tatuaże i tak trafią do twoich akt.

- Będę miał swoją galerię - zażartował.

Spojrzałem na niego i westchnąłem w duchu z politowaniem.

Pan Cipa od dłuższego czasu nękał dział kwatermistrzowski zamówieniami na nowe wyposażenie do stolarni. Swoje pisma argumentował tym, że warsztat przynosi

więzieniu zyski i może je nawet podwoić, o ile dyrekcja pójdzie z duchem czasu i postawi na nowoczesne narzędzia. Prawdę powiedziawszy pracowaliśmy już na zabytkowym sprzęcie i faktycznie przydałoby się coś adekwatnego do epoki.

W pierwszej połowie maja pod drzwi stolarni zajechała duża ciężarówka i okazało się, że oprócz dwóch nowych pił, dostaliśmy jeszcze kompletny asortyment podstawowych narzędzi plus metalowe stoły i szafy. To właśnie wtedy, podczas przemeblowania udało mi się odzyskać biblię, która od lat spoczywała na szczycie jednego z regałów. Przyznaję, że najadłem się wtedy strachu, ale udało mi się przemycić księgę do celi.

Lato miało się już ku schyłkowi, a mój współlokator powoli szykował się do wyjścia. Jego dzień wolności przypadał w piątek 30 września.

W czwartek po kolacji mówię do Alego:

- To co młodzieńcze, został ci jeszcze jeden posiłek w pierdłu i ruszasz w drogę.

- Wiesz co, oddam ci to jutrzejsze śniadanie - powiedział z uśmiechem na ustach. - Nie muszę żreć tego świństwa. Dostanę wypiskę i pierwsze co zrobię, to maszeruję do najlepszej knajpy w tym mieście, żeby w końcu zjeść coś konkretnego. Zamówię sobie golonko, o taaaakie - rozłożył szeroko ręce - chrzan, musztarda, świeża buła, piwo i seta. A co, zaszaleję!

- Pewnie, że tak. Zaszalej. Należy ci się - stwierdziłem.

Nie powiem, żeby jego wyjście jakoś specjalnie mnie ruszyło, ale cicha nutka zazdrości gdzieś tam dźwięczała w mej duszy.

- Generale Ropuch, daję ci słowo, że jak nadarzy się kiedyś okazja to bankowo odwiedzę cię w tym pudle i przyniosę z sobą konkretną rakiętę.

Zaśmiałem się w głos, bo szczerze mnie rozbawił.

- Ali - odezwałem się po chwili - powiedz mi chłopcze drogi, ilu twoich wcześniejszych fafli po wyjściu zjawiło się u ciebie w odwiedzin? - Po jego minie wywnioskowałem, że żaden. - Widzisz - ciągnąłem dalej - tak to już jest, kiedy wyjdiesz za bramę, jedyne czego tak naprawdę będziesz chciał, to zapomnieć o tym parszywym miejscu. Dobrowolnie nigdy tu nie wrócisz, więc nie składaj obietnic bez pokrycia.

- Zdziwisz się generale, oj zdziwisz się - podniósł do góry wskazujący palec, jakby chciał mi w ten sposób uświadomić, że nie rzuca słów na wiatr.

- Nie będę się z tobą sprzeczał - machnąłem ręką. - Gadaj zdrów! Jedną rzecz mi obiecaj - powiedziałem po chwili.

- Jaką?

- Jedną lufę walnij za naszą znajomość, a drugą za moją pomyślność i wtedy z czystym sumieniem możesz sobie odpuścić obiecane odwiedzin - rzekłem.

- A żebyś wiedział, że wypiję. Może nawet w samo południe, jak mnie wcześniej wypuszczą - odparł. - Myśl sobie co chcesz, ale jeszcze się kiedyś zobaczymy.

Lepiej proś Boga, żeby tak się nie stało! - Odpowiedziałem mu w myślach.

Ali nie zjadł ostatniego śniadania, a ja dzięki temu zarobiłem drugą porcję owsianki. Za pięć siódma u drzwi naszej celi rozległ się zgrzyt zasuw. Klawisz otworzył na oścież wrota i powiedział:

- Bajsztok, zabieraj swój prywatny mandzur i idziemy!

Jego rzeczy leżały poukładane w kostkę na taborecie. Ali podszedł do mnie i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

- Trzymaj się generale - wymieniliśmy uścisk dłoni, a on nagle przyciągnął mnie ku sobie, objął drugim ramieniem i poklepał po przyjacielsku w bark. - Nie daj się gadom, siemachom i pozostałej hołocie - szepnął mi do ucha.

- Bywaj młodzieńcze! - Rzuciłem patrząc mu prosto w oczy. - Walcz o swoje i nie polegnij.

- Bez obaw generale, długo o tym wszystkim myślałem i mam plan, żeby się dobrze w życiu ustawić - mrugnął porozumiewawczo okiem, po czym złapał za swoje rzeczy i ruszył w stronę drzwi. Nim przekroczył próg, zerknął przez ramię posyłając mi ostatnie spojrzenie i rzucił - Do zobaczenia kiedyś w przyszłości.

Nic nie odpowiedziałem, tylko uniosłem do góry dłoń.

Nim klawisz zatrzasnął drzwi, uśmiechnął się do mnie z takim grymasem, jakby chciał powiedzieć, iż obaj dobrze wiemy, że Albert Bajsztok jest jak bumerang, który zawsze powraca w to samo miejsce.

Nie będę zgrywał twardego i opowiadał wam bzdur, że wyjście Alego wcale mnie nie ruszyło. Kiedy na człowieku ciąży wyrok dożywocia przychodzi taki dzień, że któryś z kumpli zawija się z pudła i wtedy nie ma siły, żeby coś nie złapało za serce. To bardzo gorzka i ponura chwila, bo nagle zdajesz sobie sprawę, że znowu zostałeś sam na posterunku. Jeśli jesteś bezterminowcem, to żegnasz się z innymi tylko na dwa sposoby. Jednym mówisz bywaj, bo odbębnili swoje i wychodzą za bramę, żeby zacząć nowe życie, natomiast drugim szepczesz świeć Panie nad jego duszą, bo udają się w zaświaty, gdyż ich czas dobiegł końca. Najgorzej jest zawsze za pierwszym razem. Pierwsze wyjście czy też pierwszą śmierć przeżywasz najmocniej i wtedy dostajesz brutalną lekcję życia. Po takim debiucie już wiesz, że następnym razem nie będzie tak bardzo bolało. Na przestrzeni minionych lat doświadczyłem tych obu pożegnań i doskonale wiedziałem, że jeszcze wiele razy czekają mnie takie chwile. Śmierć kumpla sprawia, że ogarniają cię przeróżne refleksje, a w twojej głowie rodzą się pytania na które nie znasz odpowiedzi. Śmierć jest ponura i smutna, natomiast kiedy ktoś wychodzi, to w twoim umyśle otwierają się wrota, które prowadzą prosto do krainy najcudowniejszych pragnień i marzeń. Tak właśnie wtedy jest. Nie zastanawiasz się nad tym, jak twój wafel urządzi się po drugiej stronie murów, tylko dumasz o tym, co ty byś zrobił będąc na jego miejscu. Sycisz się tymi myślami, karmisz, chłoniesz je całym umysłem i duszą, upajasz się cudownymi wizjami, aż w końcu dociera do twojego pustego łba, że to się nigdy nie stanie. I wtedy w uszach słyszysz szyderczy śmiech. Słyszysz wyraźnie, jak te cholerne mury, kraty w oknach i ściany twojej celi drwią z ciebie w najlepsze.

Tak właśnie było ze mną po wyjściu Alego. Przez dwa dni nie mogłem odpędzić od siebie natrętnych myśli. Może powodem było to, iż dwa dzionki spędziłem w celi sam ze sobą? Wiedziałem, że dokwaterują mi współlokatora na kwadrat i mogłem mieć jedynie nadzieję, że będzie to ktoś w miarę normalny.

Moim nowym kompanem został młody koleś, który przedstawił się jako Zgred. Różnica wieku, jaka nas dzieliła wynosiła ponad trzydzieści lat. Nie dość, że był z niego żaloszny i agresywny gnojek, to jeszcze jak na złość za skarby świata nie mogłem z nim

znaleźć wspólnego języka. Nie wiem jak wyglądałyby nasze relacje, gdyby nie kroczyła za mną legenda charakternego Ropucha.

Zgred trafił do Wroniek wiosną 1955 roku i czekały go tutaj cztery lata pobytu. To był jego drugi wyrok za rozbój i od pierwszego dnia przystał do grona grypsujących. Nie widziałem go wcześniej, gdyż siedział na pawilonie C. Przerzutka do mojej celi pokrzyżowała mu plany, bowiem był chrapaszczem na ameryce, a zmiana kwatery sprawiła, że stracił kontakt z ferajną. Tym samym jego oficjalna nominacja na członka grupy utknęła w miejscu.

Zgred miał atletyczną budowę ciała i jego ulubionym zajęciem było robienie pompek. Muszę przyznać, że miał zacięcie do ćwiczeń, dbał tylko o swoją muskulaturę i powiem wam, że kiedy przeżył się pokazując bicepsy, wyglądał jak prawdziwy kulturysta. Z drugiej strony facet miał problem, żeby się wysłowić. Średnio na każde dziesięć wypowiedzianych słów, siedem to były przekleństwa. W jego wypadku umiejętność konwersacji była mu całkowicie zbędna, ponieważ uważał, że racja zawsze leży po stronie silniejszego. Moim zdaniem, Zgred idealnie nadawał się do tego, żeby zostać czołowym reprezentantem ludzi z najdalszych rubieży intelektualnych. Wiele razy zachodziłem w głowę, jak taki ktoś był w stanie nauczyć się pisać i czytać? Każdy z was na pewno w swoim życiu spotkał takiego człowieka, do którego od pierwszej chwili żywił niechęć. Wiecie co mam na myśli, prawda? Stoicie z kimś takim twarzą w twarz i macie nieodparte wrażenie, że między wami jest otchłań, której nigdy nie zdołacie pokonać. Jeśli idzie o sferę towarzyską, to brak komunikacji i zero wspólnych tematów, stanowią barierę nie do przebicia. W waszym świecie łatwo jest zakończyć taką niefortunną znajomość ale w więzieniu, kiedy wpakują ci do celi niereformowalnego typu, sprawa ma się zupełnie inaczej. Kilka razy próbowałem z nim nawiązać jakiś sensowny dialog, ale po kilku zdaniach dochodziłem do wniosku, że szkoda marnować czasu. Nasze obcowanie wyglądało tak, że Zgred większość wolnego czasu poświęcał na ćwiczenia, a ja na czytanie książek. Szlag mnie trafiał, kiedy leżałem na pryczy pochłonięty jakąś lekturą, a mój kompan pobijał swoje życiowe rekordy w robieniu brzuszaków. W takich chwilach sapał i dyszał jak rozpędzony parowóz, a ja słysząc jego gardłowe równomierne chuchy, traciłem skupienie i gubiłem literackie wątki.

Z początkiem wiosny 1956 roku do wronieckich kazamatów przybył ostatni oficjalny transport więźniów politycznych, których przerzucono tutaj z Olsztyna. To było prawie dwustu chłopca, a grypsujący drwili, że pudło zostało nafaszerowane świeżym mięsem. Niespełna trzy tygodnie później kpiny siemachów zamieniły się w ogromne zdziwienie, bowiem po peronach zaczęła krążyć plotka, że chyba nadciąga dobry czas dla politycznych. Oczywiście jeśli człowiek zaczynał dociekać i wypytywać w czym rzecz, wtedy nikt nie potrafił sensownie odpowiedzieć - o co właściwie chodzi. Może gdybym chociaż trochę interesował się sytuacją, jaka panowała w Polsce, nie doświadczyłbym zaskoczenia, które zmiażdżyło mnie w pewien poniedziałkowy, kwietniowy poranek. Powtórzę po raz kolejny, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Od tamtych czasów minęło wiele lat, a ja w moich zapiskach staram się wam opowiedzieć jak wtedy żyłem i jakie miałem nastawienie do świata. Obchodziło mnie tylko to, co bezpośrednio tyczyło się mojej egzystencji. Całą resztę miałem głęboko w dupie. Dziś natomiast wiem, że

obnażając swoją postawę sprzed blisko czterdziestu lat, zaczynam stąpać po kruchym lodzie. Wy swoją wiedzę na temat przeszłości i wydarzeń, jakie miały miejsce, czerpicie tylko z archiwalnych podań i podręczników. Ja natomiast wtedy żyłem i musicie mieć świadomość, że na moje postępowanie miała szalony wpływ rzeczywistość w której przyszło mi trwać. To nie moja wina, że świat jest tak skonstruowany, iż racja leży po stronie tych, którzy rządzą. Człowiek zawsze ma trzy wyjścia aby postąpić zgodnie ze swoim sumieniem. Może być anty, może być za lub wstrzymać się od głosu. Ja wybrałem tę trzecią opcję. Nawet jeśli polityczni mieli rację i walczyli o słuszną sprawę, to liczył się fakt, że byli w opozycji do ówczesnej władzy. Poza tym dlaczego miałem ufać ludziom, którzy trafili za kratki? W tym momencie mam pytanie do tych, którzy czują w sobie narodowo-patriotycznego ducha. Powiedźcie mi, ale tak uczciwie i z ręką na sercu, jak jednoznacznie ocenić postępowanie żołnierzy AK, którzy po zakończeniu wojny ukrywali się po lasach i prowadzili zbrojną walkę przeciwko sowietyzacji Polski? Jak wytłumaczyć ich zbrodnicze czyny, których faktycznie dopuścili się na ludności cywilnej? To wcale nie było takie proste, jak się teraz może wydawać. Pomiędzy bohaterstwem a bandytyzmem biegnie granica cienka niczym włos. Przekładając sytuację na więzienną rzeczywistość wychodzi na to, że musiałbym uwierzyć na słowo każdemu pospolitemu, że sąd go skrzywdził, że został wrobiony w przestępstwo, że adwokat go wyzymał, że coś tam coś tam i jeszcze coś tam. Moje życie jest najlepszym przykładem, iż pomyłka może się zdarzyć. Ktoś po prostu ma cholernego pecha i pada ofiarą zbiegu okoliczności, całej serii niefortunnych zdarzeń albo uknutego spisku. Przyjmijmy, że nawet ktoś został wrobiony w aferę i beknął chociaż wcale nie zgrzeszył. Tylko, że to są sporadyczne przypadki. Miałem uwierzyć, że osadzeni we Wronkach to niewinne baranki boże? Wszyscy jak jeden? Naprawdę waszym zdaniem miałem tak sądzić? Czy jako długoletni więzień miałem obowiązek opowiedzieć się za którąś ze stron i z nią sympatyzować? Dlatego właśnie wolałem zachować neutralność, a konsekwencją mojego wyboru był absolutny brak zainteresowania tym, co dzieje się po drugiej stronie murów.

Ten pamiętny dzień zaczął się tak samo, jak wszystkie powszednie dni w kryminale. Punktualnie o szóstej zero zero gong na sterowni obwieścił pobudkę. Potem na drewnianych podestach rozległ się zgrzyt kółek wydawki. Po śniadaniu opuściliśmy cele i kiedy staliśmy w korytarzu, pojawił się klawisz dyżurny i powiedział donośnym głosem:

- Dzisiejszy dzień zaczniemy inaczej niż zawsze. Za chwilę wyjdziemy na więzienny dziedziniec, a stamtąd maszerujemy na spacerniak, gdzie odbędzie się apel - spojrzał po naszych twarzach, a potem rzucił krótką komendę: - Ustawić się w dwójkową kolumnę!

Zewsząd docierały ciche głosy zaskoczenia:

- Co się dzieje?
- Jaki kurwa mać apel?!
- Co to ma być do chuja pana?!
- Ale o co właściwe chodzi?

Po chwili maszerowaliśmy w stronę wyjścia z głównego budynku.

Ponad naszymi głowami malowało się nieskazitelnie błękitne niebo. Staliśmy w

porannych promieniach kwietniowego słońca, a rześkie, wiosenne powietrze łaskotało w nozdrza. Wiecie co to był za przedziwny widok, kiedy blisko tysiąc pięciuset skazańców stało w trzech sektorach promenady otoczonych drucianą siatką? Wszyscy wiedzieli, że coś jest na rzeczy, bowiem taki spęd osadzonych mógł zwiastować tylko nadzwyczajną sytuację.

Po kilku chwilach zza rogu budynku wyłoniła się mundurowa świta.

Dyrektor więzienia stanął pośrodku, przyłożył do ust megafon i spoglądając na kartkę, którą dzierżył w dłoni, rzekł:

- W dniu wczorajszym została ogłoszona amnestia...

Na dźwięk jego słów w szeregach więźniów rozległy się gromkie brawa, okrzyki i gwizdy.

Klawisze biegali jak oparzeni i wydzielali się, że mamy zachować ciszę.

Po chwili dyrektor znowu zaczął czytać:

- W dniu wczorajszym została ogłoszona amnestia. Biorąc pod uwagę... - i wtedy poleciała wiązanka na temat umocnienia państwa i ustroju, a potem przeszedł do konkretów. Czytał o tym jakie przestępstwa puszcza się w niepamięć, a którym skraca się czas odbywania kary. W końcu dotarł do artykułu, który interesował mnie najbardziej. - Zamienia się karę więzienia dożywotniego na karę dwunastu lat więzienia! - Kiedy usłyszałem te słowa, poczułem jak moje nogi robią się w kolanach miękkie. To była oczywiście pierwsza reakcja, a zaraz potem w mojej głowie pojawiło się tysiące wątpliwości i pytań.

Przez blisko kwadrans słuchaliśmy słów aktu ogłaszającego amnestię.

Chyba zdajecie sobie sprawę, jak wielkim zaskoczeniem była dla nas ta informacja. Wyobraźcie sobie, że jesteście w piekle, a tu nagle otwierają się wrota i Belzebub mówi do was:

- Wynocha! Mam dzisiaj dobry humor, jesteście wolni!

Niemal natychmiast przypomniał mi się mój naiwny entuzjazm, kiedy dawno temu również ogłoszono amnestię i to wspomnienie trochę mnie zdystansowało do moich oczekiwań. Czy liczyłem na to, że ja również otrzymam gwiazdkę z nieba? Oczywiście, że tak! Każdy na moim miejscu miałby isierkę nadziei.

W myśl amnestii zostało mi do odsiadki tylko dwanaście lat i przez następnych sześć długich miesięcy łudziłem się, że jeśli dożyję roku 1968 to być może odzyskam wolność. Wy jednak macie świadomość, że tak się nie stało, a ja opiszę wam teraz, jak moja nadzieja została zmielona w trybach epokowych zmian.

Wiosna 1956 roku została przez historyków nazwana "okresem odwilży". To bardzo trafne i dosadne określenie, aczkolwiek prawda jest taka, że wszystko zaczęło się jeszcze zimową porą, podczas zamkniętego posiedzenia XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Wtedy Nikita Chruszczow, który stał na czele byłego imperium carów, wygłosił swój tajny referat "O kulcie jednostki i jego następstwach". Jak wiecie Nikita Siergiejewicz miał aparycję prostaka i dość często zachowywał się jak typowy i nieokrzesany cham, jednak ten człowiek wcale nie był idiotą. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli chce nadal zasiadać na tronie, musi dokonać poważnych zmian i rozliczyć zbrodniczą przeszłość Stalina. W swoim tajnym referacie potępił działania

byłego wodza. To było sprytnie posunięcie, bowiem odpowiedzialność za sianie terroru została ograniczona do kwestii personalnych i w żaden sposób nie negowała źródeł systemowych ustroju panującego w Kraju Rad. Chruszczow wcale nie był lepszy od swoich poprzedników, bo przecież to na jego rozkaz zlikwidowano Berię, który był ostatnim politykiem w historii ZSRR odsuniętym od władzy za pomocą egzekucji. Moskiewscy dygnitarze zdawali sobie sprawę, że fale niepokojów społecznych przelewają się w państwach Układu Warszawskiego i coś trzeba z tym zrobić. Musieli się wykazać większą elastycznością. Chodziło też o to, że w sowieckich koloniach należało skruszyć komunistyczny beton, którym od lat były zalane partyjne fundamenty. Jeżeli idzie o Polskę, proces destalinizacji tak naprawdę rozpoczął się od tajemniczej śmierci Bolesława Bieruta. I teraz taka ciekawostka, bo nie wiem czy wiecie, że Bierut był gościem na XX Zjeździe KPZR o którym wspominałem kilka zdań wcześniej. Pojechał do Moskwy, brał udział w obradach i ponoć kiedy usłyszał referat Chruszczowa, wystraszył się nie żarty. Musiał sobie zdawać sprawę, że właśnie skończyły się czasy bezkarnej władzy i może beknąć za swoje rządy. Bierut w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach zmarł w Moskwie zaledwie dwa tygodnie później. Jego śmierć jest uważana za przełomowy moment w historii PRL, który definitywnie zamknął epokę stalinizmu w szeregach najważniejszych działaczy PZPR. Nietrudno się domyślić, że stery miały przejść w ręce tych ludzi, którzy znajdą wspólny język z Nikitą. Jeszcze w marcu pierwsze głowy poszły pod topór, a I sekretarzem został Edward Ochab i chyba mało kto wie, że to właśnie on w 1956 roku zapobiegł wkroczeniu do Polski wojsk radzieckich, ale to zupełnie inna historia.

Proces destalinizacji Związku Radzieckiego i wszystkich państw bloku wschodniego, był kontrolowaną operacją za którą stał Kreml. Tu nic nie było kwestią przypadku. Etap numer jeden - zmiana kadry kierowniczej w strukturach partyjnych, numer drugi - amnestia dla uciśnionych. Spodziewany efekt - uspokojenie napięć społecznych. Jeżeli sądzicie, że na tym miało się skończyć, to jesteście w błędzie. To była dopiero pierwsza faza długofalowego planu, która miała za zadanie stworzyć gęstą zasłonę dymną do dalszych działań.

Począwszy od ostatnich dni kwietnia do końca maja polskie więzienia opuścili więźniowie polityczni. Armia ludzi odzyskała upragnioną wolność. Potem zaczęto wypuszczać pospolitych, którzy zakwalifikowali się do wyjścia. Każdego dnia kilku chłopca znikało z wronieckich peronów. Zgred również zacierał ręce, ale musiał jeszcze cierpliwie poczekać na swoją kolej.

Przez pewien czas po drugiej stronie murów wszystko przebiegało zgodnie z planem i sowieci byli zadowoleni, że sprawy toczą się wedle ich myśli. Nie wzięli jednak pod uwagę, że Polacy mają we krwi ciągotki do wyzwolenicznych zrywów. Oni dali nam tylko palec, a my chcieliśmy całą rękę. W ostatnich dniach czerwca stało się coś nieprzewidywalnego, bowiem poznańscy robotnicy wyszli na ulicę wznosząc okrzyki "chleba i wolności".

O ile mnie pamięć nie zawodzi, to w jednym ze swoich skoroszytów pisałem już o tym, jak do naszej celi trafił pewien młody człowiek, zatrzymany podczas tamtych rozruchów... Na pewno wiecie jak się skończyły zamieszki w Poznaniu, więc daruję sobie

komentarz w tej sprawie.

W połowie lipca Zgred uściśnął mi dłoń na pożegnanie, a ja w sumie cieszyłem się, że facet na dobre znika z mojego życia. Był jednym z ostatnich pospolitych, którzy opuścili wronieckie więzienie w ramach ogłoszonej amnestii.

Z tego co mówił jeden z klawiszy, stan więźniów w połowie lipca 1956 roku wynosił 388 osób i gdyby nagle zjawilo się tutaj drugie tyle, to każdy z osadzonych miałby celę tylko do swojej dyspozycji. Zapewne domyślacie się, że została tutaj prawdziwa śmietanka przestępczego świata. Każdy na kim ciążył wyrok poniżej pięciu lat pozbawienia wolności wyszedł z paki. Ci którzy zostali, mieli na garbie dłuższe terminy. Amnestia o połowę łagodziła karę powyżej pięciu lat, ale więzień musiał mieć zasądzone mniej niż dziesięć. Natomiast pajdę skrócono o jedną trzecią. Dożywocie, tak jak w moim wypadku zamieniano na dwanaście lat, a karę śmierci na piętnaście. Z tego co wiem, jeśli idzie o więźniów pospolitych, nie było wtedy we wronieckich kazamatach kogoś, kto miał zostać stracony.

Jakie miałem oczekiwania? Otóż takie, że pewnego dnia zostanę wezwany do gabinetu dyrektora i towarzyszy pułkownik poinformuje mnie, że czas mojej odsiadki kończy się za dwanaście lat.

Naprawdę myślałem, że tak się stanie.

Dni wolno mijały, a ja nadal nie zostałem zaproszony przed oblicze wodza...

W pierwszą niedzielę sierpnia postanowiłem pogadać ze Słodkim. On też miał dożywocie i byłem ciekaw czy jemu coś powiedzieli.

- Sie masz! - Rzuciłem w jego stronę.

- Sie masz Ropuch! Jak leci? - Zapytał i uściśnął mi dłoń.

- Jak to w kurorcie - odparłem - darmowe żarcie, kąpiele, spacerki - wypowiadając swoje słowa, uśmiechałem się pełną gębą. - Ty, Słodki, powiedz mi taką rzecz. Ktoś z tobą gadał o amnestii? Powiedzieli ci kiedy wychodzisz?

- No właśnie nic nie wiem. Zagałem raz do psa i pytam, kiedy się czegoś dowiem, a on mi na to, że w swoim czasie. Miesiąc minął, a ja dalej głupi. Przydałoby się jakieś oficjalne powiadomienie, co nie?

- No przydałoby się, przydało - rzekłem. - Jakbyś się czegoś dowiedział, to daj znać.

- Nie ma sprawy.

Powiem wam, że sierpień 1956 roku to były prawdziwe kanikuły. Fala niemiłosiernych upałów dawała się chyba wszystkim we znaki. Podczas wybiegu promenada zamieniała się w prawdziwą plażę, gdzie większość więźniów zalegała na trawie roznieglizowana od pasa w górę. Klawisze pękali ze śmiechu, kiedy podczas kąpieli widzieli bandę dorosłych facetów o białych nogach i mahoniowych torsach. Mówię wam, wyglądaliśmy przekomicznie.

Stolarnia nie miała wtedy żadnych zleceń zewnętrznych i zajmowaliśmy się jakimiś drobnymi pierdołami. Obsada liczyła czterech ludzi. Był Pan Cipa, jego zastępca, ja i Wojtas. Wiedziałem o nim tylko tyle, że jest grypsujący, bo miał cynkówkę przy zewnętrznym kąciku lewego oka i poza tym swojego czasu on i Ali trzymali się razem. Miał ponad czterdzieści lat i był typowym recydywistą, którego przygoda z wymiarem sprawiedliwości zaczęła się jeszcze za czasów II Rzeczypospolitej. Słyszałem, że siedzi

za napad z bronią w rękę, ale nie znałem żadnych szczegółów. Wcześniej bardzo rzadko z sobą rozmawialiśmy i dopiero po tej całej amnestyjnej czystce, nawiązaliśmy bliższe relacje. Czasami bywały takie dni, że większość czasu przesiadywaliśmy na zydełkach gadając o bzdurach.

Pewnego dnia wzięło go na wspominki i zaczął z dumą opowiadać o swoich różnych wyczynach i o miejscach w których siedział.

- A za co trafiłeś do Wronek? - Zapytałem z ciekawości.

- Chcieliśmy obrobić pocztę - powiedział. - Trzech nas było. Wasyl, mój szwagier, skołował gnaty, bo znał chłopaków na mieście. Musieliśmy być uzbrojeni, bo konwojenci zawsze chodzą pod bronią. Masz pojęcie ile worków z forszą przewija się na głównych pocztach w dniu wypłaty? Wszystko było dobrze i pewnie prysnęlibyśmy z łupem, gdyby nie pewien frajer, któremu zabrało się na bohaterские czyny. Cywil, rozumiesz? Zwykły klient, żeby jeszcze jakiś nadgorliwy pracownik, to rozumiem, ale koleś wyskoczył z dupy. Wasyla poniosło, bo to w ogóle był nerwowy typ i pociągnął za spust. Frajer dostał prosto w klatę. Położył go trupem na miejscu. Kiedy ten jełop strzelił, nasz trzeci wspólnik, wziął nogi za pas. Zrobiło się zamieszanie i jeden z konwojentów niepostrzeżenie sięgnął po karabin. Pociągnął serią do Wasyla i podziurawił go jak sito. W życiu jeszcze nie widziałem tyle krwi na posadzce. Co miałem robić? Zacząłem walić do gnoja z kopyta i postrzeliłem go w ramię. Wiesz jak to jest - powiedział patrząc mi w oczy - albo ty załatwisz gada albo on ciebie. Przy takiej robocie zawsze musisz iść na całość. Nawet się nie spostrzegłem kiedy psiarnia wpadła od zaplecza i wtedy dostałem kulkę w plecy. Kiedy się ocknąłem byłem już w szpitalu przykuty do łóżka. Wasyl zginął, tamten trzeci uciekł, ale ja go nie sprzedałem. O nie - powiedział zajadle. - Znajdę świniaka jak wyjdę. Choćbym miał go szukać resztę życia, to znajdę mendę i policzę się z nim po swojemu. Gdyby nie spierdolił, mogłoby się udać. Zawiódł, więc będzie musiał za to zapłacić - Wojtas wypowiadał swoje słowa ze stoickim spokojem i byłem pewien, że nie rzuca słów na wiatr. - Siostry mi tylko szkoda, bo sama została z dwójką małych dzieciaków na utrzymaniu. Znajdę skurwiela, bo wąż koronę musi przywdziać.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Co jest generale? - Zapytał nieco rozbawionym tonem. - Nie wiesz o co chodzi?

- No nie bardzo... - odparłem.

- Patrz tylko - powiedział i w tym samym momencie odchylił połę flanelowej koszuli. Na jego lewej piersi ujrzałem duży tatuaż. Wizerunek przedstawiał węża oplecionego wokół ostrza sztyletu. - Wąż to symbol zemsty, a jeśli na głowie będzie miał koronę, to znaczy, że zemsta została dokonana. Od sześciu lat patrzę na moją dziarę każdego dnia, żeby nie zapomniał, co jeszcze mam ważnego w życiu do zrobienia. A ty za co pierdzisz? - Zapytał zniechęcony, chociaż myślę, że doskonale wiedział.

- Za morderstwo - odpowiedziałem w taki sposób, jakbym mówił, że ładną dziś mamy pogodę.

Wojtas był osobą o dwóch obliczach, a ja w stosunku do niego miałem mieszane uczucia. W warsztacie zachowywał się normalnie, był pracowity i sumienny, dało się z nim zwyczajnie pogadać. Natomiast, że tak powiem "po godzinach" przeistaczał się w bezwzględny charakterniaka. Cieszył się szacunkiem w środowisku siemachów i

ferajna liczyła się z jego zdaniem.

Więzienie i pustka to pojęcia, które wzajemnie się wykluczają. Mury kazamatów mają to do siebie, że w jakiś magiczny sposób łakną bezustannie ludzkiej obecności. U schyłku lata na peronach zrobiło się tłoczno. Większość skazańców została przerzucona z innych jednostek, ale świeżaków też nie brakowało. Plotka głosiła, że wronieckie więzienie zyskuje coraz bardziej ponurą sławę na szlaku polskich jednostek penitencjarnych. W przyszłości okazało się, że w środowisku grypsujących odsiadka we Wronkach była uważana za powód do dumy.

Pod koniec września dyrekcja więzienia wpadła na pomysł, żeby wszystkich, którzy mieli do odbycia więcej niż dziesięć lat ulokować w pawilonie D. Litera D okazała się bardzo wymowna, bowiem to skrzydło niemal natychmiast zostało przez klawiszy i pozostałych więźniów ochrzczone "pawilonem długoterminowców". Ostatnią kondygnację przeznaczono dla tych, na których wisiały najdłuższe wyroki. Ja też miałem eksmisję i trafiłem wtedy do celi numer 715. Nigdy bym nie pomyślał, że będzie to moja ostatnia więzienna kwatera. Mam również nadzieję, iż nie umknęło waszej uwadze ile wynosi suma liczb 7, 1 i 5? Ten fakt utwierdził mnie jedynie w przekonaniu, że jestem napiętnowany klątwą parszywej trzynastki.

Zdradzę wam, że kiedy w wyniku kwietniowej amnestii więzienie opustoszało przez pewien czas czułem się tak, jak całe lata temu. Pojedyncza cela, cisza, spokój, praca... Miałem wrażenie, że historia zatoczyła koło i znowu powróciły czasy, które doskonale znałem z okresu, kiedy wronieckie więzienie miało charakter typowo izolacyjny. Wbrew pozorom, wcale nie tęskniłem za czyimś towarzystwem, a z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że taki stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie. Samotność w celi sprawiła, że z nudów sięgnąłem po biblię i dzięki jej wersetom, ponownie zacząłem odkrywać zawarte w niej prawdy. Te wszystkie przypowieści i historie są napisane tak zrozumiałym językiem, że nie trzeba być teologiem aby zrozumieć przesłania, jakie z sobą niosą. Myślę, że jeśli człowiek ma otwarty umysł, sięgnie po biblię ze zwykłej ciekawości i skupi się nad jej treścią, wtedy refleksje przyjdą same. Nie chodzi mi o to, żeby przekonywać kogoś do wiary w istotę Boga, albo wymusić bezdyskusyjne zaakceptowanie doktryny kościoła rzymsko-katolickiego, który jest najbardziej popularnym wyznaniem w naszym kraju. Chodzi o coś zupełnie innego. Moim skromnym zdaniem biblia mówi o tym, jak warto żyć, żeby się nie zatracić i zasłużyć sobie na miano bycia człowiekiem.

W pierwszą niedzielę października Słodki podszedł do mnie na spacerniaku i pochwalił się, że kilka dni temu był na rozmowie u dyrektora. Naczelny powiadomił go, że wyjdzie z paki za jedenaście lat i siedem miesięcy, oczywiście o ile w międzyczasie nie nabroji.

Stało się dla mnie jasne, że niebawem i ja stanę na dywaniku w najważniejszym apartamencie budynku administracyjnego. Pomyślałem sobie nawet, że mógłby mnie wezwać w dniu moich pięćdziesiątych szóstych urodzin i tym samym zrobić mi cholernie miły prezent. Moja rocznica wypadła w środę, ale na audiencję do gabinetu dyrektora zostałem dopiero wezwany tydzień później.

W drugiej połowie października 1956 roku, nikt ze skazańców nie miał pojęcia co

dzieje się na ulicach polskich miast. W świecie, od którego dzielił nas wysoki, ceglasty mur i zasieki kolczastego drutu, wisiała groźba wybuchu zbrojnego konfliktu. W tamtych czasach dowództwo polskiej armii było zdominowane przez radzieckich oficerów i wojsko podlegało ich rozkazom. Misterny plan, który jakiś czas temu zaczęli knuć kremlowscy władarze legł w gruzach. Nawet najczarniejsze scenariusze nie przewidywały takiego obrotu spraw, bowiem począwszy od czerwca sytuacja zamiast się uspokajać, zyskała zupełnie odwrotne oblicze. W dwadzieścia cztery godziny po moich urodzinach oddziały Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, które stacjonowały w Polsce, opuściły swoje garnizony i rozpoczęły marsz w kierunku Warszawy. Niemalże w tym samym czasie, bo 19 października miało się odbyć VIII Plenum Biura Politycznego KC PZPR. Tego dnia w Warszawie zjawiała się bez zapowiedzi grupa radzieckich dygnitarzy z Chruszczowem na czele. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby Nikita nie zawitał wtedy ze swoją świtą. Całkiem możliwe, że doszłoby do krwawej inwazji i pozostaje pytanie, jak zachowałyby się w tej sytuacji reszta Europy lub świata? Może nie pozostawiliby nas na pastwę losu tak samo, jak w przededniu wybuchu II wojny światowej. Czy właśnie tego obawiała się Moskwa? A może powód był zupełnie inny? Archiwista Szorpak, którego miałem dopiero poznać w przyszłości, miał na ten temat swoją własną teorię. Historia była jego prawdziwą pasją i dlatego uważał, że gdyby doszło do starć z użyciem broni, to w ślad za Polską poszłyby inne państwa bloku wschodniego, a to mogłoby przerodzić się w niewyobrażalny konflikt. Sowietci za cenę sporych wyrzeczeń musieli pokazać pozostałym satelitom, że sytuacja została przez nich opanowana. Poza tym dotarła do nich informacja, że mój imiennik Stefan Staszewski, wtedy znany działacz partyjny, uzbroił warszawskich robotników i groźba otwartej walki naprawdę wisiała w powietrzu. Delegacja Chruszczowa znalazła nic porozumienia, zaakceptowała proponowane zmiany i wyraziła zgodę, żeby Gomułka został I sekretarzem.

- Nie można być naiwnym - powiedział Szorpak - chyba nie sądzisz, że moskiewscy towarzysze zrobili nam przysługę. Polityka to umiejętność negocjacji, kompromis można osiągnąć tylko wtedy, kiedy dwie strony są zadowolone. Sowietci osiągnęli swój cel. Kolonia położona w samym sercu Europy nie mogła zostać areną militarnych wydarzeń. W takim miejscu potrzebna jest stagnacja. U nas rozmawiali z Gomułką, a dwa tygodnie później Węgrów rozjechali swoimi tankami. Jako naród zawiedliśmy Madziarów, ponieważ oni liczyli, że zerwiemy się do boju. Nie poszliśmy za ciosem, bo Komitet Centralny zapowiedział reformy mające na celu demokratyzację ustroju. Co dostaliśmy? Zrehabilitowano niektórych więźniów, osądzono kilku figurantów z bezpieki, nastąpiły zmiany kadrowe w wojsku - zaczął wyliczać - zwykły człowiek mógł wejść w posiadanie złota i obcej waluty, zniknęły sklepy "za żółtymi firankami", Stalinogród powrócił do swojej dawnej nazwy Katowice. Najwięcej zyskała sztuka, bo odstąpiono od zasad socrealizmu i pozwolono artystom tworzyć dzieła pozbawione propagandy komunistycznej. Zyskały też wyższe uczelnie, bo na katedry wrócili profesorowie odsunięci za Stalina. Dostaliśmy ochłapy. W październiku Gomułka zapowiadał zmiany, a dwa miesiące później formalnie ogłosił utworzenie Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. Po co? Ano po to, żeby mieć straż do likwidacji tak zwanych

zbiorowych naruszeń porządku publicznego. Jaki z tego wniosek? - Zapytał.

- Pewnie taki - odparłem - że spodziewałem się zamieszek.

- Tak panie Stefanie - czasami zwracał się do mnie w ten sposób, chociaż przeważnie walił mi na ty, mówiąc po imieniu. - Nie wyrwaliśmy się spod sowieckiego jarzma, zmieniła się tylko jego forma.

Sowieckie jarzmo, dokładnie takie samo określenie usłyszałem tydzień po moich pięćdziesiątych szóstych urodzinach. Rozpędziłem się trochę pisząc o sytuacji politycznej i pomknąłem do przodu, ale teraz się cofnę, żeby opowiedzieć wam o tym, co się wydarzyło, kiedy zostałem wezwany przed oblicze dyrektora.

Dokładnie w tym samym momencie, kiedy zegar na wieży wybił kwadrans po trzynastej w drzwiach stolarni pojawił się klawisz dyżury.

Podszedł do Pana Cipy, zamienił z nim kilka słów, a potem rzucił:

- Żabikowski, idziecie ze mną! Dyrektor chce z wami rozmawiać.

Pamiętam jak dziś, że w tamtej chwili zadałem sobie w duchu pytanie: *Czy to naprawdę możliwe, żebym za kilka minut usłyszał wspaniałą wiadomość?*

Wyszedłem z warsztatu i głęboko wciągnąłem w płuca powietrze. Szybkim krokiem ruszyliśmy wzdłuż siatki okalającej sektory promenady. Na dworze królował złoty październik. Korony drzew spoglądające na spacerniak zza drugiej strony muru, mieniły się wszystkimi odcieniami złota i czerwieni. W powietrzu unosił się zapach jesieni, a ja maszerowałem przepełniony nadzieją na cud, który miał się niebawem ziścić. No sami powiedzcie, czy ktoś będący na moim miejscu myślałby inaczej?

Kiedy klawisz otworzył drzwi gabinetu w nasze nozdrza uderzyła woń aromatycznego tytoniu.

Strażnik zatrzymał się, zaszalutował strzelając obcasami i rzucił regulaminową regulkę:

- Towarzyszu pułkowniku melduję doprowadzenie więźnia Żabikowskiego!

- Niech wejdzie! - Z wnętrza pomieszczenia padła krótka odpowiedź.

Śmiało przekroczyłem próg i kiedy znalazłem się w środku, poczułem jak nogi ugięły się w moich kolanach.

Przy stole w towarzystwie dyrektora siedział... Wiktor Kozłow.

Spoglądał na mnie takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

- Co jest Stefek? Nie spodziewałaś się mnie zobaczyć, prawda?

Na blacie, tuż przed nim, spoczywała fajansowa filiżanka, srebrna papierośnica, zapalki, szklana popielniczka i moje akta.

- Towarzyszu pułkowniku, możecie nas zostawić samych? - Wiktor zwrócił się do dyrektora.

- Oczywiście towarzyszu generale - odparł zapytany, po czym podniósł się z miejsca i wyszedł zamknąwszy za sobą drzwi.

- Siadaj - powiedział Wiktor i wskazał dłonią na krzesło po drugiej stronie stołu.

Posłusznie wykonałem polecenie i spocząłem na wprost mojego rozmówcy.

- Napijesz się kawy? - Zapytał i nie czekając na moją odpowiedź postawił przede mną czystą filiżankę i sięgnął po dzbanek.

Nie wiem dlaczego, ale zwróciłem uwagę na jego zadbane paznokcie i

wypielegnowane dłonie. Potem podniosłem wzrok i spojrzałem na jego twarz. Zmienił się. Postarzał. Włos mu posiwiał. Bądź co bądź od naszego ostatniego spotkania minęło dziesięć długich lat. W międzyczasie dorobił się generalskich szlifów, a mundur na jego piersi zdobiła paleta kolorowych orderów.

- Pewnie myślałeś, że już się nie spotkamy - powiedział po chwili.

Na usta cisnęły mi się słowa "czego chcesz?" ale zabrakło mi odwagi, żeby w ogóle się odezwać. Miał w sobie to coś, co roztaczało wokół jego osoby ponurą aurę, która budziła we mnie nienaturalny, paniczny strach.

- Z tego co wiem, to masz się tutaj całkiem nieźle - rzekł i sięgnął po papierośnicę.

- Zapalisz? - Wyciągnął w moją stronę dłoń w której trzymał srebrny przedmiot.

Nic nie odpowiedziałem ale szluga nie odmówił.

Wziąłem sztacha i zbierając w sobie całą odwagę na jaką było mnie stać, zapytałem:

- Czego ty ode mnie chcesz Wiktor?

- A jak sądzisz Stefek, czego ktoś taki jak ja, może chcieć od kogoś takiego jak ty?

- Odpowiedział z nutką lekkiej kpiny, patrząc mi prosto w oczy. - Chyba tylko tego, żeby ci przypomnieć, iż nasz układ nadal obowiązuje. Poza tym byłem w pobliżu i postanowiłem wpaść do ciebie z wizytą. Jak zapewne wiesz, ostatnimi czasy w Polsce działały się niepokojące rzeczy. Ludziom przestała się podobać nasza bratnia przyjaźń - powiedział i pokiwał głową - coś trzeba było z tym zrobić, a ja wiem, jak należy rozmawiać z Polakami. Polityka Stefek, duża polityka. Słyszałem, że jakiś czas temu miałeś odwiedziny - zmienił temat. - Jak się udało twoje spotkanie z panią Dowell? - Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. - Na pewno sporo ci opowiedziała o swojej matce, którą kiedyś dobrze znałeś.

Na dźwięk jego słów poczułem na karku nieprzyjemne mrowienie.

- Wbrew pozorom - ciągnął dalej - świat jest bardzo mały. Jej męża poznałem jakiś czas temu, nawet spotkaliśmy się kilka razy na stopie służbowej. Muszę przyznać, że całkiem miły z niego człowiek - zamilkł na moment, a potem zmarszczył brwi i odezwał się chłodnym głosem: - Powiedz mi Stefek, dlaczego ona tu przyjechała? Po co? Czego chciała? Jak się dowiedziała, że tu jesteś?

Słyszac serię pytań, jakiś wewnętrzny głos krzyknął mi w duchu, że nie mam wyjścia i muszę zaspokoić ciekawość mojego rozmówcy.

- Sam byłem zaskoczony jej odwiedzinami. Przecież dobrze wiesz, że przed wojną korespondowałem z jej matką. Z tych listów dowiedziała się gdzie jestem - wzruszyłem ramionami. - Agnieszka, jej matka, była poważnie chora i przed śmiercią kazała obiecać córce, że jeśli kiedykolwiek będzie w Polsce to musi mnie odnaleźć. To wszystko.

- Odnaleźć? Po co? - Zapytał podejrzliwym głosem.

- Żeby przekazać mi kilka wiadomości - odparłem.

- Jakich wiadomości? - Wiktor pochylił się w moją stronę.

- Że nigdy o mnie nie zapomniała - rzekłem i zamilkłem.

- Powiedziała kilka wiadomości - ostatnie dwa słowa podkreślił z niebywałym naciskiem.

- Że zawsze byłem bliski jej sercu i że... - nie mogłem się powstrzymać.

- Że co?! - Warknął.

- Że zawsze wierzyła w moją niewinność! - Wycodziłem przez zaciśnięte zęby.

Wiktor spoglądał na mnie surowym wzrokiem lecz po chwili na jego twarzy pojawił się łagodny grymas.

- Jakież to urocze i romantyczne - dodał z drwiną. - Chcesz mi wmówić, że jej córka pokonała ocean tylko po to, żeby powiedzieć ci tych kilka bzdur? - Zapytał niemalże rozbawionym głosem.

- Nie. Przyjechała do Polski po to, żeby złożyć prochy matki na kaliskim cmentarzu. To był najważniejszy cel jej podróży.

Wiktor rozsiadł się wygodnie na krześle i zaczął klaskać w dłonie, jakby tym gestem chciał mi pokazać, że w życiu nie słyszał bardziej żenującej historii. Kiedy zobaczyłem na jego gębie ten parszywy uśmiech politowania, miałem ochotę rzucić się na niego i z całych sił zacisnąć palce na jego krtani. Moja złość na pewno nie umknęła jego uwadze.

- Wzruszające - odezwał się po chwili. - Ckliwe i banalne. A ty - wskazał na mnie palcem i powiedział władcym tonem - zapanuj nad swoimi emocjami i nie okazuj mi pogardy, bo dobrze wiesz, że nie toleruję takiego zachowania!

Gdybym miał sobie naprawdę zasłużyć na miano charakterniaka, to w takim momencie powinienem się postawić. Pytanie tylko, co wtedy bym osiągnął? Co udowodniłbym swoją hardością? Rozwścieczając Wiktora przysporzyłbym sobie jedynie bólu i męki albo nawet podpisałbym na siebie wyrok śmierci. A może on właśnie czekał na taki moment? Nie wiem. Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że w tamtej chwili marzyłem tylko o tym, żeby wyjść z tego gabinetu.

- Wiesz co sądzę? - Zapytał nagle. - Jestem pewien, że jakiś czas temu przestałeś się zastanawiać nad swoim losem i zaakceptowałeś ten stan rzeczy. Mam rację? - Spojrzał na mnie.

W odpowiedzi pokiwałem twierdząco głową.

- I bardzo dobrze Stefek, bo nadal będzie tak jak było, rozumiesz? - Wbił we mnie swój przenikliwy wzrok. - Oszczędzę ci rozczarowania i dlatego będę z tobą szczery. Kilka miesięcy temu wyraziliśmy zgodę, żeby polski rząd ogłosił amnestię. Polityka czasami wymaga sporych ustępstw - rozłożył szeroko ręce - i powiem ci, że kiedy to się stało, wówczas pomyślałem o tobie. Zastanawiałem się nad czymś, co z jednej strony wydaje się zupełnie niedorzeczne, a z drugiej jak najbardziej możliwe do zrealizowania. Dawno temu zmieniłem nazwisko i obywatelstwo, ale moja świadomość zawsze będzie świadomością Polaka. Wiesz o czym mówię? - Postukał się palcem w skroń. - Kilka dni temu nasza armia było gotowa rozjechać ten kraj czołgami, ale na wasze szczęście tak się nie stało i nieskromnie powiem, że mam w tym swój udział. Powinni mi za to w Warszawie postawić pomnik - powiedział z nutką nieukrywanej dumy. - Polakom, delikatnie mówiąc, w ostatniej chwili zabrakło przysłowiowej ikry, żeby wyrwać się spod sowieckiego jarzma. Jednak popuszczając wodze fantazji muszę przyznać, że gdyby tak się stało, wtedy odzyskałbyś wolność i co ważniejsze, odegrałbyś jeszcze bardzo kluczową rolę.

Słuchałem słów, które wypowiadał i spoglądałem na niego zaskoczonym wzrokiem. Nie miałem bladego pojęcia o czym on do cholery mówi?!

- Tymczasem jednak nadal pozostaniesz więźniem - ciągnął dalej - a moja protekcja będzie cię chronić. Nasz układ ciągle obowiązuje. Takie są zasady...

- To twoje zasady, a nie moje - puściły mi nerwy i nie zapanowałem nad własnymi słowami.

- Stefek nie podskakuj i nie staraj się mnie zdenerwować - powiedział ze stoickim spokojem. Następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął fotografię wielkości kartki pocztowej. Położył zdjęcie na blacie stołu i przesunął je dłonią w moim kierunku. - Zerknij i powiedz mi czy poznajesz miejsce i ludzi?

Spojrzałem na zdjęcie.

Na kamiennych schodach, wiodących do starego magazynu, gdzie spędziłem swoją młodość razem z moimi przyjaciółmi, siedział Wiktor w towarzystwie dwóch mężczyzn. Cała trójka uśmiechała się patrząc w oko obiektywu. Tych dwóch facetów, to byli Trufel i Pesteczka.

- Ta fotografia została zrobiona dwa dni temu - powiedział i obserwował moją reakcję. - Nasi znajomi nadal mieszkają w Kaliszu i nietrudno było ich znaleźć. Myślę, że jestem państwowym urzędnikiem pracującym w Warszawie. Trufel trochę przytył i wyłysiał, ma dwóch dorosłych synów i jest kierownikiem w mleczarni. Pesteczce wiedzie się trochę gorzej, ale on zawsze był ćwierćinteligentem - dodał z drwiną. - Nawet rozmawialiśmy o tobie - uśmiechnął się pod nosem, po czym kiwnął palcem, żądając abym oddał mu zdjęcie. - Pani Dowell nadal mieszka w Chicago. Ma dwie uroczę córki, kochającego męża dyplomatę i wciąż prowadzi swoją firmę A&S którą odziedziczyła po matce. Ciekawe co znaczy ta dwuliterowa nazwa? - Zapytał jakby od niechcenia. - Tak sobie myślę Stefek, że chyba nie brakuje ci wyobraźni i rozumu, prawda? - Wymownie strzelił oczami na zdjęcie, które trzymał w dłoni. - Potrafisz grać w szachy? - Zapytał zniechęca.

- Nie - odparłem.

- Żałuj, bo być może wtedy zrozumiałbyś o co w tym wszystkim chodzi - powiedział i pociągnął ze swojej filiżanki łyk kawy. - Życie przypomina partię szachów. Tylko właściwa strategia i odpowiednie rozlokowanie sił zapewnia zwycięstwo. Najważniejszy jest król i żeby go chronić, niejednokrotnie trzeba poświęcić ważne figury lub zwykłe pionki.

To, że Wiktor uważał mnie za idiotę, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jednak nie byłem na tyle głupi, żeby nie pojąć tej wymownej aluzji.

Po tym niespodziewanym spotkaniu przez kilka następnych dni nie potrafiłem dojść do siebie. Czulem jak trawia mnie wewnętrzna niemoc i gorzka złość, które ciągną za sobą ponure tabory negatywnych emocji. W uszach dźwięczała mi jego durnowata gadka o szachach i absurdalna sugestia, że taki pionek jak ja, pozostał przy życiu tylko dlatego, żeby w odpowiednim momencie odegrać jakąś bliżej nieokreśloną rolę. Tylko cóż takiego miałyby się wydarzyć, żeby człowiek z jego pozycją popadł w niełaskę lub tarapaty? W jaki sposób mogło skomplikować się jego cholerne życie? Co ja miałbym wtedy z tym wszystkim wspólnego? Nie znałem odpowiedzi na te pytania. Nie potrafiłem tego ogarnąć swoim rozumem. Wiedziałem natomiast, że całe lata temu spisał mnie na straty i uczynił swoim prywatnym kozłem ofiarnym. Mogę jedynie przypuszczać, że był doskonale

przygotowany na podjęcie odpowiednich działań, jeśli w szeregach sowieckiej władzy nadciągnęłaby fala politycznych czystek.

Jeśli niektórzy z was zastanawiają się, dlaczego Wiktor Kozłowski vel Kozłow zjawiał się wtedy u mnie z odwiedzinami, to już wyjaśniam. Fakty poznałem dopiero kilka lat później, ale wspomnę o tym już teraz, żeby nie wracać do żalnego tematu. Otóż wyobraźcie sobie, że Wiktor przyjechał do Polski razem z nieoficjalną delegacją Chruszczowa, która przybyła w październiku pięćdziesiątego szóstego. Prawda jest taka, że ich świta nie zjawiała się po to, aby podjąć negocjacje z uczestnikami VIII Plenum Biura Politycznego, jak twierdzą niektórzy historycy, ale po to, żeby przedstawić im swoje żelazne ultimatum. Niech was nie zwiodą informacje o tym, że to był nasz sukces, bo Polska wcale nie wyrwała się spod sowieckiego jasyru. Mielśmy już drugą połowę XX wieku, ale w kuluarach Kremla nadal królowała sentencja cara Aleksandra, który blisko sto pięćdziesiąt lat temu wypowiedział swoje pamiętne słowa: "Kurica nie ptica, Polska nie zagranica".

Po wizycie Wiktora cela numer 715 została przez kławiszy nazwana "kwaterą generała" i zapewniam was, że nie chodziło o moją więzienną rangę.

Domniemywam, że to właśnie z jego rozkazu został nade mną roztoczony parasol ochronny, który teoretycznie zapewniał mi nietykalność. Mogłem również przypuszczać, że z polecenia dyrektora placówki, kławisze mieli na mnie oko i traktowali bardziej ulgowo niż pozostałych więźniów. Na pewno każdy strażnik zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że facet skazany na dożywocie cieszy się względami u najważniejszej osobistości w tym pierdlu? O co chodzi? Kim jest? Co tu jest grane? Czemu ma służyć ta protekcja? Podejrzenia i spekulacje rodziły jeden sensowny wniosek - od takiego gościa najlepiej trzymać się z daleka. Moja sielanka, że tak to ujmę, trwała blisko osiem lat. W tym czasie tylko raz otrzymałem karę dyscyplinarną, o czym wam zaraz opowiem. Natomiast status świętej krowy straciłem w drugiej połowie 1962 roku, kiedy nastąpiła era więziennych zmian, a na wronieckich peronach pojawił się gwiazdor porucznik Modest Ozurski.

Dzdzysta jesień 1956 roku była jednym z najsmutniejszych okresów w całym moim parszywym życiu. Wiem, że nie powinienem mieć żadnych złudzeń związanych z amnestią, ale dopiero po spotkaniu z Wiktorem pojąłem, iż nie ma dla mnie żadnej nadziei. No chyba, że wybuchłaby wojna polsko-radziecka... Może to co teraz napiszę wyda się wam bezduszne i podłe, ale szantaż Wiktora nie zrobił już na mnie takiego wrażenia, jak dziesięć lat temu. Przecież tak na dobrą sprawę, gdybym z zupełnie naturalnych przyczyn pożegnał się z tym światem, to diabli wiedzą, co mojemu oprawcy strzeliłoby wtedy do łba. Wszystko co się wydarzyło, utwierdzało mnie jedynie w przekonaniu, że Wiktor Kozłowski jest człowiekiem podłym i nieprzewidywalnym.

Zdany na samotność w "kwaterze generała" zacząłem popadać w apatię. Z każdym dniem wszystko traciło sens. Mój umysł wypełniały ponure myśli i opętała mnie totalna obojętność. W powszedni dzień potrafiłem wrócić z pracy, po czym padałem na pryczę i gapilem się w sufit. Mogłem tak leżeć i ćmić szluga do chwili, aż przed drzwiami celi pojawiła się wydawka z wieczornym posiłkiem. Przestałem dbać o swoją higienę, a moje odzienie po prostu zaczęło cuchnąć. Kiedy słyszałem szurnięcie zasuw po drugiej stronie

drzwi, już nie zrywałem się na równe nogi, żeby stanąć obok okna z dłońmi na widoku. Właściwie ten zwyczaj odszedł w niepamięć wraz II RP, a ja dopiero pod koniec 1956 roku wyleczyłem się z syndromu psa Pawłowa. Moja postawa i wszystkie reakcje na czynniki zewnętrzne zaczęły się zmieniać w błyskawicznym tempie. Nie panowałem nad tą przedziwną metamorfozą, która nie miała nic wspólnego z celowym czy też przemyślanym działaniem z mojej strony. Wtedy nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak inni ludzie mogli sobie odbierać moją postawę. Może sprawiałem wrażenie, jakbym chciał pokazać całemu światu, iż wszystko i wszystkich mam głęboko w dupie? Dziś wiem, że stan ducha, który mnie wtedy ogarnął, był poważnym defektem na podłożu psychicznym. Emocjonalna masakra, którą zdominowały poczucie beznadziei, bezsensowności, zubożenia i wszechogarniającej niemocy. Obecnie medycyna przypisuje tym stanom konkretne określenie i uznaje je za poważną chorobę, a kiedyś po prostu mówiono, że ktoś się załamał.

W przededniu świąt bożego narodzenia doszło do pewnej sytuacji, a ja poniosłem bolesne konsekwencje, które błyskawicznie sprowadziły mnie na właściwą drogę. Powiem wam tak, gówno, mydło i "twarde łóżko", okazały się najlepszym lekarstwem na moje pogłębiające się problemy psychiczne. Bazując tylko na swoich przeżyciach, wyrobiłem sobie własne zdanie. Od tamtej pory zawsze twierdzę, że jeśli człowiek ma jakieś problemy z przygnębieniem i pesymistycznymi nastrojami i nie jest w stanie sam sobie z tym poradzić, wówczas wcale nie potrzebuje żadnej wymyślnej terapii albo zestawu chemicznych leków. Musi tylko doznać wstrząsającego przeżycia. Czegoś, co sprawi, że przez głowę przemknie mu jedna, krótka myśl następującej treści: *Wcześniej nic mi nie było, dopiero teraz mam naprawdę przejebane!* W moim wypadku okazało się to idealną i skuteczną kuracją.

W każde piątkowe popołudnie fryzjer w asyście klawisza kursował po "pawilonie długoterminowców" i czynił swą zawodową powinność. Od kilku dni temperatura na zewnątrz utrzymywała się na pułapie minus dwudziestu stopni Celsjusza i w związku z tym w kotłowni więcej dokładali do pieca. Rury ogrzewania zrobiły się zdecydowanie cieplejsze. Po skończonej dniówce w warsztacie wróciłem do celi, wyzułem buty i walnąłem się na kogo. Ostatni raz skarpety zdjąłem sześć dni temu, to było przed sobotnią kąpielą i od tamtej pory ciągle je miałem na stopach. A tak w ogóle, to od jakiegoś czasu sypiałem w ubraniu. Zdawałem sobie sprawę, że w komnacie daje po nozdrzach, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Kiedy cyrulik i gad wkroczyli do mojej celi, obaj zrobili takie miny, jakby zaraz mieli się zrzygać.

- Ja go nie będę strzygł w tym smrodzie! - Zaoponował fryzjer. - Przecież tu jebie jak w stajni!

- Jakoś wcześniej nie narzekałeś - rzuciłem leżąc na pryczy z dłońmi splecionymi pod potylicą.

Strażnik, który mu towarzyszył był nowicjuszem i chyba nie bardzo wiedział co ma zrobić. Jak szybko wprowadził tu fryzjera, tak szybko wyszedł z nim na zewnątrz i zamknął drzwi.

Niespełna pięć minut później, ponownie rozległo się szurnięcie zasuw.

Do kajuty wszedł chorąży, który był dowódcą zmiany. Spojrzał na mnie i skrzywił

się zniesmaczony.

- Wam Żabikowski nie przeszkadza ten paskudny odór? - Zapytał i w tym samym momencie zamknął za sobą drzwi.

- Nie przeszkadza mi towarzyszu chorąży - odpowiedziałem regulaminowo, ale nadal bezczelnie leżałem na pryczy.

- Chyba wiecie co mówi regulamin na temat czystości więźniów?

- Oczywiście, że wiem towarzyszu chorąży.

- To czemu go nie przestrzegacie? - Zwracając się do mnie, był zadziwiająco spokojny.

- Przestrzegam, przecież w celi jest czysto.

- Może i czysto, ale śmierdzi i wy też śmierdzicie - stwierdził.

- Ja tam nic nie czuję towarzyszu chorąży - grałem cwaniaka jakich mało.

Byłem na tyle rozbawiony, że w tym samym momencie poruszałem ostentacyjnie palcami stóp, jakbym chciał, żeby poczuł gnój, który walił z moich skarpet.

- Szukacie kłopotów Żabikowski? - Zapytał i spojrzał na mnie spode łba. - Mam was nauczyć czystości?

- A to będzie towarzyszu chorąży tylko jedna lekcja, czy cały kurs?

Zdawał sobie sprawę, że drzwi w najlepsze, jednak wciąż był opanowany. Nie chodzi o to, że facet miał anielską cierpliwość. On trzymał nerwy na wodzy, a ja pozwalałem sobie pogrywać dlatego, że byłem pensjonariuszem w "kwaterze generała". To był mój atut, dzięki któremu mogłem nadwyreżać czyjąś cierpliwość. Pyskówki w stosunku do klawiszy skutecznie już od dłuższego czasu, ale nigdy nie pozwalałem sobie na obraźliwe określenia. Czy czułem się bezkarny? W pewnym sensie tak. Jednak było to spowodowane moją totalną i absolutną biernością w stosunku do życia i całego świata. Ten emocjonalny paraliż będący kwintesencją kompletnej obojętności, przejął kontrolę nad moim rozumem. W mojej całej naiwności uległem przekonaniu, że każdy gad bez względu na rangę, będzie mnie traktował z większą dawką regulaminowej tolerancji niż pozostałych osadzonych. Jeszcze kilka miesięcy temu nie pozwoliłbym sobie na takie zachowanie, ale od mojej ostatniej rozmowy z Wiktorem wszystko mi zwisało.

- Widzę Żabikowski, że zaczyna przez was przemawiać złośliwość - powiedział i zrobił taką minę, jakby chciał mi uświadomić, że zna pewien sposób, którym może mnie utemperować.

Chwilę później podszedł do bomby, zdjął ceramiczną pokrywę i pochwycił w dłonie żeliwny kibelek. Spojrzałem na niego nonszalanckim wzrokiem. Nawet nie drgnąłem, chociaż w pierwszym momencie pomyślałem, że chce mnie oblać gównianą zawartością. Jednak towarzysz chorąży wykonał inny manewr. Przykucnął i łajno, które pływało w bombie wylał do moich butów, które stały obok koja. Odstawił kłopot na miejsce i powiedział udając zaskoczenie:

- Żabikowski, czemu to zrobiliście?! Dlaczego wlaście sobie gówno do butów?! Co ja mam teraz napisać w książce służby?! Podacie mi jakiś sensowny powód?!

Kiedy wypowiadał swoje słowa zauważyłem, że prawą dłoń oplótł na rękojeści drewnianej pałki, którą miał przytwierdzoną na rzemieniu do skórzanego pasa.

- Nie rozumiem was Żabikowski. Nie pozostaje mi nic innego, jak zameldować o

zaistniałej sytuacji - po czym obrócił się na pięcie i wyszedł z celi.

A to pierdolony cwaniak! - Zakląłem w myślach.

Smród był tak potworny, że nie dało się oddychać.

Towarzysz chorąży załatwił mnie na cacy.

Babrząc się we własnych odchodach, których zapach powodował u mnie odruchy wymiotne, zlałem je z wnętrza butów z powrotem do bomby. Pod nosem ciskałem na gada wszelkie możliwe przekleństwa.

Miałem jeszcze pół wiadra wody i tam wymyłem obuwie.

Skóra wysłużonych kamaszy na wskroś przesiąknęła wilgocią.

Niespełna godzinę później zjawili się dwóch klawiszy i chociaż nie stawiałem żadnego oporu, siłą wywlekli mnie z celi. Wykręcili mi ręce i tym sposobem zmusili mnie, żebym pochylił się w przód. W takiej pozycji pokonaliśmy schody wiodące na parterową kondygnację, a potem ruszyliśmy w stronę pawilonu A, gdzie znajdowało się pomieszczenie z "twardym łóżem".

Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy.

Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak, jak kiedyś opisał je Ali. Betonowa posadzka, okno schowane za zbrojoną szybą i kojo przypięte kłódką do ściany.

- Wyjmijcie rzeczy, które macie w kieszeniach! - Rozkazał klawisz.

Miałem przy sobie tylko papierośnicę i zapalki.

- To wszystko? - Zapytał.

W odpowiedzi pokiwałem twierdząco głową.

Strażnik schował przedmioty do papierowej koperty, złożył ją w pół i napisał na niej moje nazwisko.

- To trafi do depozytu, który odzyskacie po odbyciu kary, a teraz rozbierajcie się Żabikowski! - Rzucił krótką komendę. - Do gołego!

Po chwili stałem jak mnie Pan Bóg stworzył, wstydliwie zasłaniając dłońmi swoje przyrodzenie.

- Śmierdziecie Żabikowski! Cuchniecie i wyglądacie jak kupa gnoju - strażnik stwierdził z nieukrywaniem obrzydzeniem. - I co, było się stawiać? - Zapytał, ale wcale nie czekał na moje wyjaśnienia. - Biercie ten swój zafajdany mandzur! Pora na kąpiel i pranie!

Pochwyciłem moje rzeczy i chwilę później świecąc bladym tyłkiem w asyście dwóch funkcjonariuszy, zmierzałem w stronę łaźni.

Ciepła woda była tylko w soboty, więc moja kąpiel pod lodowatym strumieniem nie należała do przyjemnych. Potem kazali mi wyprać ciuchy.

Dłonie i stopy miałem skostniałe. Zacząłem szczękać zębami, a po kilku chwilach moje ciało zachowywało się tak, jakby dostało z zimna mimowolnych konwulsji.

Chryste Panie, wcześniej tylko raz w życiu tak zmarzłem. To było wtedy, jak Szumski wysłał mnie odgarniać śnieg, który zasypał spacerniak.

Zimno jak w piekle - szepnąłem w myślach, bo przypomniało mi się jedno z powiedzeń Svena. - *Kurwa mać, jak zimno!*

Kiedy na powrót znalazłem się w celi z "twardym łóżem" rzuciłem moje mokre ubrania na podłogę i przytuliłem się do rur centralnego ogrzewania. Stalowe tuleje

znajdowały się w rogu i naprawdę trudno było się zagrzać.

Byłem głodny, zmarznięty i zrozpaczony moją głupotą.

Tuż przed ciszą nocną zjawił się oficer dyżurny. Kiedy ujrzał, że jestem goły jak święty turecki, zlitował się i rozkazał klawiszowi, żeby przyniósł koc. Opatuliłem się pledową płachtą.

- Żabikowski, dyrektor postanowił was ukarać dyscyplinarnie i spędzicie w tej celi siedem dni - poinformował mnie służbowym tonem, a potem powiedział do strażnika, który stał w drzwiach: - Dzisiejsza noc z pasami i mydełkiem.

- Tak jest towarzyszu kapitanie!

Następnie podszedł do łóżka, które było przypięte kłódką do ściany i wyjął z kieszeni pęk kluczy. Po otwarciu, drewniane łożo wisiało na dwóch łańcuchach przytwierdzonych do ściany.

- Zasady są następujące - gwiazdor znowu zwrócił się do mnie. - Łóżko jest rozkładane tylko na noc. W celi nie wolno palić, ani posiadać jakichkolwiek rzeczy oprócz odzienia. Dostaniecie dwa posiłki dziennie, jeśli będziecie mieli potrzebę skorzystania z kibelka, to pukacie w drzwi i grzecznie czekacie, aż ktoś się zjawi. Po dzisiejszej nocy już nie będziecie dokazywać - stwierdził, a ja nie miałem pojęcia o czym mówi. - Jesteście śmierzuch Żabikowski, ale my tutaj mamy swoje sposoby, żeby nauczyć was higieny i czystości. Wyjątkowo i tylko dziś dostaniecie koc, bo wasze ubrania są mokre, a my nie chcemy, żebyście się rozchorowali i byczyli później w lazarecie. Radzę wam, żebyście wepchnęli swoje rzeczy między rury - kiwnął głową w róg pomieszczenia - być może do rana trochę przeschną. Jeśli tak się nie stanie, będziecie łaźić w wilgotnej odzieży. Jakies pytania? - Powiedział i spojrzał na mnie spod uniesionych brwi.

- Nie - odparłem.

- Nie znacie regulaminu Żabikowski? - Zapytał surowym głosem. - Nie wiecie jak trzeba się zwracać do funkcjonariusza?

- Wiem towarzyszu kapitanie - tym razem odpowiedziałem tak, jak należy.

Oficer dyżurny wyszedł z celi zostawiając uchylone drzwi, a ja niemal natychmiast zacząłem wciskać mokre ciuchy w wąską przestrzeń pomiędzy ciepłymi rurami.

Ledwo skończyłem to robić, kiedy na korytarzu rozległ się głos klawiszka:

- Zenek weź pasy i mydełko, trzeba skrępować zbója!

- Robi się! - Padła krótka odpowiedź.

Jakiś więzień funkcyjny, który ryżową szczotą szorował posadzkę był świadkiem tych słów.

Pięć minut później do celi weszło dwóch strażników. Jeden z nich trzymał w dłoni parciane pasy z metalowymi sprzączkami i kostkę szarego mydła.

- Kładźcie się na plecach! - Rzucił gad, który miał jedną belkę na pagonach.

Zasłaniając swoje nagie ciało szarym kocem, położyłem się na deskach wiszącego łóżka. Klawiszze podeszli bliżej i po chwili zaczęli krępować pasami moje ręce i nogi w ten sposób, żebym nie mógł zmienić swojej pozycji. Spętany leżałem na wznak. To było przerażające i potworne uczucie. Nagle zdałem sobie sprawę, jak muszą się czuć pacjenci na oddziałach szpitali psychiatrycznych. Jeżeli nie jesteś świadom swojego istnienia lub tego, co się dzieje wokół ciebie, to masz wszystko w nosie. Jednak kiedy jesteś w pełni

władz umysłowych, to doświadczasz w takim momencie czegoś okropnego. Obezwładnili mnie, jakbym był jakimś nieprzewidywalnym szaleńcem albo niebezpiecznym zwierzem. Po chwili sprawdzili czy mocowania zostały właściwie zaciągnięte. Później ten, który wcześniej trzymał kostkę szarego mydła, wcisnął mi ją pod plecy na wysokości lędźwi.

Klawisz przykrył mnie kocem, pochylił się nade mną, pogłaskał mnie dłonią po włosach i rzekł rozbijając słodkim głosem:

- Udanej nocy złodzieju - i posłał mi szyderczy uśmiech.

Tamtego wieczoru dowiedziałem się dwóch rzeczy. Pierwsza, która było dla mnie bardzo dużym zaskoczeniem, to fakt, że klawisze też mają swój zawodowy slang i każdego więźnia nazywają zbój lub złodziej. Natomiast druga rzecz uświadomiła mi, że leżąc na wznak z kanciastą kostką mydła pod lędźwiami już po pięciu minutach przeżywa się koszmarnie katusze.

Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Tak długo jak tylko mogłem, starałem się wyginać plecy, żeby choć na chwilę nie czuć tego potwornego ucisku. Ta cholerna kostka tak gniecie kręgi, że można oszaleć z bólu. Po jakimś czasie masz wrażenie, że twoje ciało od pasa w dół robi się drętwe. Tracisz czucie w nogach, a każdy najmniejszy ruch rodzi taką mękę, że jesteś w stanie zrobić wszystko, żeby tylko zakończyć te tortury.

Uczucie fizycznego cierpienia nie jest obce żadnemu człowiekowi. Pewne chińskie powiedzenie mówi o tym, że człowiek czasami powinien doświadczyć bólu tylko po to, żeby poczuł w sobie życie. Trudno jest się nie zgodzić z tą wschodnią mądrością i zawsze może ona zostać formą pocieszenia, kiedy zostają przekroczone granice ludzkiej wytrzymałości.

Nie wiem jakim cudem przeżyłem tę grudniową noc na mydle. W duchu modliłem się do wszystkich świętości, kłamię na czym świat stoi i wołałem o pomstę do nieba. Składałem przysięgi i zlorzeczyłem, błagałem o litość i groziłem. Popadałem ze skrajności w skrajność oczekując tylko chwili, kiedy na sterowni rozlegnie się gong obwieszczający pobudkę. To był grudzień, a słońce wschodzi wtedy dość późno, więc nawet nie myślałem o tym, żeby dotrzeć do świtu. Leżąc w ciszy i ciemnościach dwa razy usłyszałem jak strażnik walnął dłonią w drzwi celi i powiedział donośnym głosem:

- Przestań stękać!

Zaciskałem wtedy z całych sił zęby, a łzy same podchodziły mi do oczu.

Obłąd.

Jeżeli ktoś dzisiaj zapytałby mnie jak wysoki mam próg bólu, to zaproponowałbym takiej osobie, żeby położyła się na wznak na podłodze i włożyła pod swoje lędźwie jakiś twardy, kanciasty przedmiot odpowiadający wielkością kostce szarego mydła. Prosta sprawa. Nie potrzeba nic więcej. A może ktoś z was chce sprawdzić ile wytrwa? We wronieckim więzieniu nieliczni zawodnicy, którzy brali udział w tej konkurencji, musieli wytrzymać osiem godzin.

"Twarde łoże" ma tylko jedną zaletę. Celę z makabrycznym cudem, otwiera się dosłownie w tym samym momencie, kiedy rankiem dzwon na sterowni obwieszcza pobudkę. Takie są zasady i chwała Bogu, że klawisze przestrzegają tego przepisu.

Strażnicy najpierw odpięli z moich przegubów parciane pasy, pomogli mi zwlec się z wyra, a potem złożyli dechy na ścianę, zamknęli zmyślne łoże na kłódkę i zabrali koc.

Przez blisko kwadrans leżałem na betonowej posadzce i nie potrafiłem się poruszyć. Plecy bolały mnie tak bardzo, jakbym miał w nich dziurę wielkości dojrzałej dyni. W tamtej chwili byłem pewien, że mam uszkodzony kręgosłup. *Już po mnie - szepnąłem w duchu - już kurwa mać po mnie. Do końca życia będę kaleką przykutym do wózka.* Takie właśnie miałem wrażenie. Jednak po tych przeraźliwie długich, piętnastu minutach wróciło czucie w nogach i popelznałem w stronę rur grzewczych. Nie mogłem wstać o własnych siłach. Z trudem ukląknęłam w rogu pomieszczenia i sięgnąłem dłonią po spodnie. Gacie były jeszcze trochę wilgotne. Zajęło mi kilka dobrych minut, zanim udało mi się wdziać nogawki. Potem było już tylko coraz lepiej.

Moja kara dyscyplinarna trwała tydzień i powiem wam, że kiedy wróciłem do celi numer 715 miałem wrażenie, jakbym postarzał się nie o siedem dni, ale o siedem cholernie długich lat. Tydzień to mnóstwo czasu i chcąc nie chcąc, człowiek poświęca go tylko na myślenie. Znałem takich, którzy zmarnowali spędzone tam godziny na dumanie o wyrafinowanej zemście lub trenowali swój niezłomny, twardy charakter. Inni załamywali się nerwowo, dostawali do głowy i trzeba ich było pakować na izolacyjny albo do psychiatryka. Niektórzy, a podejrzewam, że była to zdecydowana większość, wyciągała podobne wnioski jak ja i dostrzegała wiele niezbędnych zmian w swoim postępowaniu, które miały im ułatwić dalsze przetrwanie. Byli też tacy u których słabość brała górę i wchodzili w konfidenckie układy z klawiszami. Musicie też być świadomi pewnej bardzo ważnej rzeczy, otóż "twarde łoże", pasy i mydło to nie była standardowa procedura. Tego typu kara była nielegalna. Kostkę dostawał taki osobnik, którego gadzinowska sitwa chciała złamać, dać mu porządny wycisk albo udowodnić, kto tutaj naprawdę rządzi. To była cicha zmowa w środowisku funkcjonariuszy z dyrektorem więzienia na czele. Do kogo taki więzień, który spędził noc na mydle miał się zgłosić z zażaleniem? Komu się poskarżyć? Jak udowodnić, że coś takiego miało miejsce? Gdzie szukać sprawiedliwości? Oznaką nocy spędzonej w pasach na mydle, był potężny siniak rozlany prawie na całych plecach. Okropnie to wyglądało, ale nie widać na nim żadnych znamion jakie mogłyby powstać po razach otrzymanych pałką albo po kopniakach. W sobotę, kiedy rozebrałem się w łaźni do cotygodniowej kąpieli, każdy kto zobaczył moje plecy otwierał gębę ze zdziwienia. Byłem po prostu siny. Wszyscy wiedzieli, że ktoś z tak potężnym krwakiem, zaliczył właśnie "twarde łoże". Jak na ironię, tego typu fanar na garbie sprawił, że moje akcje w oczach siemachów podskoczyły kilka oczek w górę. Zmierzam jednak do czegoś zupełnie innego. Muszę wam opowiedzieć pewną historię, jaka krążyła wśród więźniów o skazańcu, który swojego czasu ponoć siedział w Rawiczu. Nie sądzę, żeby ktokolwiek wiedział ile w tej opowieści było prawdy, a ile fikcji. Całkiem możliwe, że to był tylko bałach, który klawisze sprzedali osadzonym ku przestrodze. Historia miała się tak, że ów więzień był cholernie twardym kolesiem. Charakterniak kuty na cztery łapy. Swoje w pierdłu przeszedł, a kumplom spod celi przysięgał, że przed wyjściem walnie jeszcze numer, który pograży znieprawionych przez niego strażników. Został mu niespełna tydzień do wyjścia na wolność, a on narozrabiał i na sam koniec załapał się jeszcze na "twarde łoże". Ostatnie siedem nocy przyszło mu spędzić na surowych dechach. Kiedy zostały mu trzy dni do wyjścia, swoim zachowaniem sprowokował funkcjonariuszy, a oni postanowili dać mu na odchodne porządny wycisk. Spięli gościa pasami, włożyli kostkę

pod plecy i było po temacie. Nie zdawali sobie sprawy, że on tego właśnie chciał. Chciał mieć dowód na to, że więźniów karze się w podły i nieregulaminowy sposób. Wymyślił sobie, że w dniu kiedy opuści mury kazamatów, pójdzie do fotografa, zrobi zdjęcia swoich sinych pleców, potem uda się do lekarza na obdukcję i ostatnią osobą jaką odwiedzi, będzie adwokat. Może zrealizowałby swój plan, ale wychodząc z więzienia nie mógł się po prostu oprzeć i z uśmiechem triumfu na ustach powiedział do jednego ze swoich oprawców:

- Moje plecy was załatwią. Za kilka dni wasza cała trójka będzie w ciemnej dupie! Strażnik spojrział na niego i mówi:

- Wiesz co mnie najbardziej dziwi? Odsiedziałeś swoje, straciłeś tu kilka lat i zamiast iść z Bogiem, to głupoty ci w głowie. Zapomnij o tym co tutaj przeżyłeś, a jeśli chcesz pamiętać, zachowaj to dla siebie. To co dzieje się w tych murach, musi w nich pozostać, bo tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Więzień ponoć parsknął śmiechem i rzekł:

- Niedługo trafisz do pierdła ale z wyrokiem i będziesz ssał ułanom kindybały.

Klawisz rozłożył bezradnie ręce i powiedział trzy słowa:

- Straciłeś głowę chłopie.

Następnego dnia rano na kolejowej bocznicy znaleziono nagie zwłoki mężczyzny. Denat miał tylko jeden, bardzo charakterystyczny znak w postaci potężnego siniaka, który był rozlany po całych plecach. Nie sposób było tego człowieka zidentyfikować, bowiem ciało zostało paskudnie okaleczone. Było pozbawione głowy i dłoni. W niektórych miejscach, jak zasugerował jeden ze śledczych, mężczyzna musiał mieć tatuaże, bo skóra została tam dosłownie zdarta. Wniosek był tylko jeden - sprawca lub sprawcy tej makabrycznej zbrodni zadali sobie sporo trudu, żeby na wieki wieków ukryć tożsamość swojej ofiary.

Może i ta historia była wyssana z palca, ale stanowiła idealną przestrożę dla każdego więźnia, któremu zaświtałaby myśl, żeby podkablować klawiszy i narobić bajzlu po drugiej stronie murów.

Teoretycznie mogłem zażądać rozmowy z dyrektorem i zameldować mu o tym, co mnie spotkało podczas odbywania kary dyscyplinarnej. Nie byłem jednak na tyle głupi, żeby uwierzyć iż zostaną wobec winnych wyciągnięte sankcje. Donosy na pracowników służby więziennej zawsze spotykały się z brutalnym odwetem ze strony funkcjonariuszy. Tak właśnie kiedyś był podzielony ten świat.

My i oni.

Podczas takiego tygodnia, kiedy człowiek pierwszą noc spędza na mydle, a sześć pozostałych na twardych dechach, zmienia się jego system wartości. Zaczyna doceniać luksus, który miał na co dzień. W trakcie kary śpisz bez przykrycia, a kiedy w kichach draży cię kret i marzysz o tym, żeby zrzucić balast, to wiedz jedno - przez pół godziny będziesz zaciskać zwieracze zanim zjawi się klawisz z bombą. Mam nawet wątpliwości co do tego, czy karcer jest gorszy. W ciemnościach tracisz poczucie czasu, a na "twardym łożu" żyjesz w cyklu dobowym. Szesnaście godzin spędzasz samotnie w pomieszczeniu, gdzie są tylko cztery ściany, podłoga i okno przez które nic nie widać. Chcesz usiąść, siadasz na podłodze, chcesz się położyć, kładziesz się na tej samej podłodze. Od południa

czekasz na capstrzyk jak grzeszna dusza na decyzję o swoim zbawieniu. Na śniadanie i obiadokolację dostajesz michę żarcia, ale ze strawą musisz sobie poradzić bez łyżki. Żresz paluchami, jak jakiś dzikus. Cztery razy dziennie dostajesz kubek wody do picia, żebyś się nie odwodnił i na tym kończą się twoje wszystkie przywileje. Chciałbyś się odlać, musisz swoje odczekać. Masz prawo zeszczuć się w gacie i nic ci nie zrobią. Jeśli odpryskasz się w rogu i strażnik stwierdzi ten fakt podczas któregoś ze swoich obchodów, to nockę spędzisz na mydełku. Zaczyniesz świrować, krzyczeć, kopać w drzwi, śpiewać na całe gardło, to najpierw zbierzesz łomot, a potem trafisz do izolacyjnego gdzie ponoć działa się jeszcze gorzej. Prawda jest taka, że "twarde łóżce" wyprostuje każdego. Jeżeli ci nie odbije, to twój upór i zadziorność zostaną utemperowane i szybko zrozumiesz, jakiego pozbyłeś się komfortu. Docenisz wtedy czym jest wygodna prycza, zwykły koc i poduszka. Zateśkniesz za widokiem bomby i wiadra z wodą. Taboret będziesz uważał za swój tron, na którym możesz spocząć niczym dostojny król. Kiedy otrzymasz posiłek, położysz michę na blacie stołu i spojrzysz na swoją łyżkę, to pomyślisz, że jesteś farciarzem bo masz wszystko, czego potrzebujesz do życia. Potem sięgniesz po szluga, staniesz w oknie i paląc papierocha będziesz się gapił na świat po drugiej stronie murów. Wieczorem toaleta, a jak będziesz miał potrzebę to zrobisz przepierkę. Potem walniesz się na kajo, będziesz leżał jak władca i dłużył w nosie. Nim w celi zgaśnie światło poczytasz książkę, zaparzysz herbatę, podumasz o pierdołach albo pogadasz z kumplem, jeśli dzielisz z kimś apartament. Jeżeli masz pracę i wiesz, że jutro znów zawitasz w warsztacie, to na samą myśl o tym uśmiechasz się pod nosem. Dochodzisz do wniosku, że ta nauczka z "twardym łóżcem" wyszła ci na dobre, że potrzebowałeś tej lekcji tylko po to, aby spojrzeć na swoje życie z innej perspektywy. Teraz już jesteś pewien, że nigdy więcej nie będziesz odstawiał żadnej kretyńskiej szopki. Wiesz, że jesteś mądry i rozsądny. Ufasz, że dołożysz wszelkich starań, żeby zachować swoje bezpieczne status quo.

Tak moi drodzy, myślę, że każdy człowiek, który w pewnym momencie zaczyna lekceważyć swoje osiągnięcia albo nie poświęca im należytej uwagi, potrzebuje brutalnej lekcji życia. Takiego kopa, który sprawi, że wszystko się zawali i zesra. To ma swoje przełożenie zarówno na życie prywatne jak i zawodowe. Nasza egzystencja czasami potrzebuje bolesnej motywacji, żebyśmy potrafili docenić to, co mamy. Każdy popełnia błędy, doświadcza porażek lub czyni złe albo niewłaściwe posunięcia, jednak cała sztuka przetrwania polega na tym, żeby po takich incydentach wyciągnąć właściwe wnioski. Może w tym wszystkim ma swój udział Karma albo Opatrzność? Zresztą nieważne jak zwął. Chodzi mi o to, że być może jest jakaś siła wyższa, której żaden człowiek nie jest w stanie ogarnąć własnym rozumem i ona obserwuje nasze poczynania. Może ta tajemnicza moc sprawia, że dostajemy nauczkę z której mamy czerpać mądrość, żeby sprowadzić swoje istnienie na właściwe tory? Może to wszystko właśnie tak działa...?

Oczywiście po powrocie do celi numer 715 z mojej strony nie zabrakło obietnic i przysiąg. W duszy składałem przyrzeczenia, że świadomie nigdy więcej nie dopuszczę do sytuacji, która mogłaby mnie w jakiś sposób pogrążyć, przysporzyć mi fizycznego cierpienia lub narazić moją osobę na gniew klawiszowskiej braci. A swoją drogą, sam nawet nie wiem ile razy w przeszłości zaklinałem już rzeczywistość właśnie w ten sposób?

Myślę, że po każdej klęsce człowiekowi zaczyna towarzyszyć wzmożona ostrożność i szczerą chęć bycia konsekwentnym. Problem w tym, że w miarę upływu czasu te uczucia schodzą na drugi plan. Tacy już jesteśmy, uwielbiamy zapominać o swoich porażkach, ale za to bardzo długo pamiętamy o własnych sukcesach.

Jeśli idzie o mnie, to w przyszłości jeszcze wiele razy miałem bić się w piersi i gorzko żałować kolejnych, niepotrzebnie podjętych decyzji. Co ja wam będę tłumaczył, skoro doskonale wiecie w czym rzecz. Można śmiało przyjąć, że statystycznie raz do roku, każdy popełnia jakiś gówniany błąd. Łapie się wtedy ktoś taki za łepetynę i myśli: *O Chryste Panie, ale jestem głupi!* - albo - *O Boże, ależ ze mnie idiotka!* Bywało tak, prawda? Sami najlepiej wiecie ile razy w swoim życiu przerabialiście w duchu taką gadkę.

Dziś jest niedziela 15 września 1991 roku. Nie wiem jakimi niespodziankami uraczy mnie jeszcze los, nim przyjdzie mi odejść z tego padołu. Jednak, jako że jestem w pełni świadom swoich wszystkich niedoskonałości to wiem, że chyba będę miał jeszcze okazję warknąć pod nosem:

- Kurwa mać! Nie dość, że jestem stary, to jeszcze głupi!

Przez ponad miesiąc nosiłem na plecach zamię "twardego łoża" i zapomniałem jak to jest, kiedy człowiek może leżeć na wznak i gapić się w sufit. Właściwie to długo miałem stracha, żeby wyciągnąć się na pryczy i poleżeć na plecach jak prawdziwe panisko. W trakcie odbywania kary, a precyzując dokładnie już po pierwszej nocy, przejrzałem na oczy i natychmiast pozbyłem się moich wszystkich problemów. Zostałem uleczony za pomocą magicznego dotknięcia różdżki, która w moim wypadku przybrała postać kostki szarego mydła. Dzięki temu został ze mnie zdjęty czar obojętności i powróciłem do świata żywych.

Dotarło do mojego łba, że jeśli będę normalnie się zachowywał oraz dbał o czystość i higienę, wtedy mogę liczyć na spokojną egzystencję. Zrozumiałem, że "kwatery generała" jest moim azylem i nie ma sensu na własne życzenie komplikować sobie pobytu. Nigdy nie byłem taki, żebym odczuwał chęć lub potrzebę dokazywania, stawiania się albo udowadniania czegoś za wszelką cenę. Przemyślałem również sporo spraw i pogodziłem się z moim kiepskim położeniem. Nie miałem żadnej możliwości, żeby zwrócić się gdzieś o pomoc. No bo do kogo? Kto mógłby wyciągnąć do mnie przyjazną dłoń? Kto zainteresowałby się moją krzywdą? Kto drażyłby temat amnestii i adnotacji Wiktora w moich aktach? Kto u licha miałby to uczynić, skoro dyrektor więzienia chylił przed nim kark? Może gdybym miał rodzinę albo jakąś życzliwą mi osobę lub osoby po drugiej stronie murów... Może wtedy byłaby szansa na jakąś interwencję? Cóż miałem zrobić? Pisać listy, które przechodziły przez ręce cenzury? Wiecie co mogłem zrobić? Nic. Dosłownie nic.

Istniały tylko dwa sposoby, żeby ktoś taki jak ja, wy dostał się z tego więzienia.

Śmierć lub ucieczka.

Niektórzy z was pewnie sądzą, że powinienem chociaż spróbować dać nogę, albo podjąć jakieś kroki, żeby prysnąć z tego pudła. Taka historia byłaby romantycznym zwieńczeniem mojej opowieści i być może nadawałaby się nawet na cikliwą hollywoodzką produkcję. A tak całkiem poważnie, to tylko raz w swoim życiu próbowałem uciec z tego miejsca i doskonale wiecie jak to się skończyło. Skłamałbym twierdząc, że już nigdy

później nie myślałem o ucieczce. Myślałem, ale trochę w innych kategoriach niż sądzicie. Nie dumałem o tym, jak wyrwać się na drugą stronę, ale swoją uwagę skupiałem nad czymś innym. Pytanie brzmiało, co zrobiłbym jeśli faktycznie znalazłbym się po tamtej stronie muru? Co zrobiłbym jako wolny człowiek, legalnie ułaskawiony w świetle prawa? Zawsze lubiłem o tym dumać, a moje wizje nigdy nie były realne. Śmiem nawet twierdzić, że mógłbym je zakwalifikować do baśniowych marzeń. Nie wiem dlaczego, ale od zakończenia II wojny światowej nigdy na poważnie nie myślałem o jakiegokolwiek ucieczce. Czasami gadałem bzdury i może nawet myślałem o pierdołach, ale to była tylko fikcja. Gdyby jednak doszło do takiej sytuacji, nie miałbym najmniejszych szans. Ścigany przez prawo, nie poradziłbym sobie w świecie, który był mi zupełnie obcy. Dokąd miałbym się udać? Kto udzieliłby mi wsparcia? Po co uciekać, skoro nawet nie miałem miejsca do którego chciałbym podążać? Po drugiej stronie była upragniona wolność, ale w takim wypadku mogłaby się dla mnie okazać czymś gorszym niż więzienie.

Jak zapewne zdążyliście zauważyć, miewałem, a właściwie nadal miewam, różnego rodzaju przemyślenia i dylematy. Począwszy od spraw błahych i nieistotnych, poprzez najbardziej wzniosłe tematy egzystencjalne, stricte duchowe lub totalnie odrealnione. Powiem wam tak, ucieczki z więzienia są fajne w filmach i w książkach. Dobrze opowiedziana historia utwierdza widza lub czytelnika, że oto ma do czynienia ze wspaniałą przygodą, wartką akcją i wzruszającą dramaturgią. Większość takich dzieł, to po prostu dobrze zmielona papka w odpowiednio dobranych proporcjach uroczej fikcji, słodkiego banału i szczypty humoru. Na szczęście pośród szmiry, kiczu i chlamu czasami zdarzają się prawdziwe perełki. Trzy miesiące temu program pierwszy telewizji polskiej wyemitował w sobotni wieczór film pod tytułem "Papillon". Gdyby kierownik Bugajczyk wiedział, że zamiast robić obchód po gospodarstwie, siedziałem w stróżówce i z rozdziawioną gębą gapilem się w ekran telewizora, to krew troista zalałaby go po trzykroć. W sumie facet może mi skoczyć, ale mówię wam, że czasami tak mnie wkurwia, iż naprawdę miałbym ochotę go sprzątnąć. Wracając jednak do filmu, o którym wspominałem i pomijając wszelkie walory artystyczne oraz genialne kreacje aktorskie, ta opowieść miała ducha, bowiem nie była wyssana z palca. Henri Charrière, czyli tytułowy "Motylek" pod koniec lat sześćdziesiątych napisał autobiograficzną powieść pod tytułem "Papillon", która została przeniesiona na ekran w roku 1973.

Przypadek sprawił, że od pierwszych kadrów z zapartym tchem śledziłem akcję, bowiem tuż przed emisją, spiker przeczytał krótką zapowiedź. Z jej treści wynikało, że za chwilę poznamy obraz kolonii karnej w Gujanie Francuskiej oraz historię niesłusznie skazanego więźnia. Te ostatnie słowa podziały na moją wyobraźnię. Nim zaczęła się projekcja, pomyślałem, że ja i Henri Charrière mamy z sobą wiele wspólnego. Podejrzewam, że większość z was widziała ten film, w którym Steve McQueen stworzył jedną ze swoich najlepszych kreacji. Domniemywam również, że twórcy pozwolili od siebie dodać małe co nieco, ale dzięki temu udało im się ukazać paletę dramatycznych emocji, które towarzyszą zbiegłym skazańcom. Na kadrach tego filmu nie ma cukierkowego pierdzenia i nierealnych ujęć, które należałoby traktować z przymrużeniem oka. Brutalnie został oddany charakter przedwojennych francuskich kolonii karnych, a zdjęcia z karceru zrobiły na mnie wrażenie i spowodowały, że w mojej

duszy ożyły stare wspomnienia. "Papillon" jest właśnie takim dziełem, które pokazuje prawdziwe oblicze ucieczki, ludzkie słabości i przerażającą chęć odzyskania wolności nawet za cenę własnego życia. Coś o tym wiem, bo w zamierzchłej przeszłości widziałem, jak skończyła się eskapada mojego kumpla, Franka Wencla. Doskonale pamiętam, jak robiłem skrzynie w których zostały pochowane zmasakrowane zwłoki skazańców, którzy całą grupą chcieli przedrzeć się na drugą stronę murów. Gwarantuję wam, że nie było w tym nic zachwycającego. Potem zdarzyła się zbiorowa ucieczka więźniów, która miała miejsce podczas wykopków w pamiętnym 1933 i owiany tajemnicą los Witka "Witji" Czekalskiego. Jeżeli faktycznie umknął to podejrzewam, że do czasu wybuchu II wojny światowej żył jak zaszczute zwierzę i każdego dnia oglądał się przez ramię. Taki jest właśnie los uciekiniera i myślę, że Henri Charrière doświadczył takiego życia. Zupełnie inaczej miała się sytuacja ze mną i z Antkiem, to była okupacja, więzienie przypominało obóz pracy, a wojna miała się ku końcowi. Czasami myślę o tym, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby tamtej styczniowej nocy ów cholerny snajper nie siedział na swoim posterunku...

Ech, szkoda gadać, a tak niewiele wtedy brakowało!

Mroźny styczeń 1957 roku miał się już ku końcowi, a mój siniak będący pamiątką świątecznego pobytu na "twardym łożu" odchodził w zapomnienie. W tamtych dniach niejaki Władysław Mazurkiewicz, nazwany przez prasę "Eleganckim mordercą" został stracony w krakowskim więzieniu przy ulicy Montelupich. Mazurkiewicz był okrzyknięty seryjnym zabójcą i tylko Bóg jeden raczy wiedzieć ile ofiar miał na sumieniu. Przed sądem udowodniono mu jedynie sześć mordów, których dopuścił się z pobudek czysto materialnych, chociaż jeden ze śledczych twierdził, że tę liczbę należałoby pomnożyć przez dziesięć. Podejrzewam, że większość skazanych na śmierć w swoich ostatnich słowach okazuje skruchę, przeprasza lub po prostu pokornie milczy. Jednak są również i tacy, którzy odchodzą z hukiem. Mazurkiewicz zaliczał się do tej drugiej kategorii, bowiem tuż przed egzekucją miał powiedzieć z uśmiechem na ustach:

- Do widzenia, panowie, niedługo wszyscy się tam spotkamy.

Prawdę powiedziawszy wiele razy zastanawiałem się nad tymi słowami i za każdym razem dochodziłem do wniosku, że poniekąd drzemie w nich przerażająca wizja. Spotkać na drugim świecie swoich bliskich lub przyjaciół to jedno, ale natknąć się tam na wrogów albo na tych, o których istnieniu chcielibyśmy zapomnieć nie brzmi zbyt ciekawie. Właściwie ta perspektywa zmusiła mnie do refleksji na temat życia po życiu. Nigdy nie wyrzekłem się wiary w Boga, chociaż miałem ku temu wystarczające powody. Może nawet czasem zapominałem o Jego istnieniu, ale kiedy zdarzało się coś parszywego, wtedy zawsze szukałem w Nim oparcia i ratunku. Przerabiałem takie sytuacje wiele razy i doskonale wiem, że jak trwoga to do Boga.

Nim nastąpiła wiosna 1957 roku poświęciłem swój czas na wnikliwe przemyślenia i doszedłem do wniosku, że każdy człowiek, bez względu na swoje wyznanie lub jego brak, ma rację co do kwestii życia po śmierci. Każdemu przyznam słuszność i z każdym się zgodzę. Według mojej skromnej teorii, po drugiej stronie czeka nas to w co naprawdę wierzymy. Jeżeli ktoś wyobraża sobie raj, jako miejsce przypominające na przykład uroczy park w letnie, upalne popołudnie, to po śmierci znajdzie się dokładnie w takim

właśnie miejscu. Jeżeli zatwardziały ateista mówi, że po śmierci jest tylko ciemność, to ma rację, bo kiedy umrze, to po prostu znajdzie się w mroku. Nikt nie wie co jest po drugiej stronie, jeszcze nikt stamtąd nie wrócił. Może właśnie dlatego człowiek potrzebuje wiary, żeby pokonać strach przed nieznanym i poczuć w sercu nadzieję? Powiem wam tak, od 35 lat nie zmieniłem zdania i jestem święcie przekonany, że mój raj będzie wyglądał dokładnie tak, jakim go stworzyłem w wyobraźni. Wiem, że to bardzo wygodne tłumaczenie, ale cóż stoi na przeszkodzie, żebym w to uwierzył? Kiedy swojego czasu dzieliłem celę z Johnnym Alcatraz i Cyferką, pewnego wieczoru podjęliśmy burzliwą dyskusję na temat życia po śmierci. Jestem próżny i muszę się wam pochwalić, ale obaj moi kumple szczerze przyznali, że jeszcze nigdy nie słyszeli o tak prostym i tak wspaniałym rozwiązaniu. A jak jest z wami? Macie już jakiś pomysł na życie po życiu? Zawsze możecie w swoim umyśle powołać do istnienia raj w którym kiedyś przyjdzie wam żyć. Śmiało, nie macie nic do stracenia, możecie tylko zyskać.

No dobrze, wystarczy tych fantazji i pocieszenia, że po drugiej stronie życia może być pięknie. Pora, żebym powrócił na więzienne korytarze, bo nigdy nie skończę pisać.

Zbliżały się święta wielkanocne, a ja byłem jedynym skazańcem na pawilonie długoterminowców, który nie miał w celi współtowarzysza. Minęło już prawie siedem miesięcy odkąd w pojedynkę siedziałem w "kwaterze generała", a po peronach krążyła durnowata plotka, że jestem sam, bo ponoć charakterny i niebezpieczny ze mnie gość. Czasami widziałem jak na promenadzie młode chrabąszcze wpatrują się we mnie i nie miałem wątpliwości, że szepczą coś między sobą na mój temat. Z moich obserwacji wynikało również, że szeregi grypsujących zaczynają się prężnie rozrastać. Wystarczyło zrobić jedną rundkę po spacerniaku i nadstawić uszu, a już było wiadomo kto dziacha kminą. Świat grypsów ewoluował i niczym cwany pasożyt, błyskawicznie przystosowywał się do nowych warunków. Bardzo dużą rolę zaczęły odgrywać tatuaże, ale tylko wtajemniczeni potrafili właściwie odczytać ich przekaz. Dziary były niczym wizytówki, które bez słowa pozwalały członkom grupy rozpoznać z kim mają do czynienia. Niektóre symbole były tatuowane na prawej dłoni pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Taka lokalizacja pozwalała właśnie na dokonanie prezentacji podczas podawania ręki. Jeśli ktoś miał na dłoni strzałkę lub serce przebite strzałą, to było wiadomo, że facet jest doliniarzem. Klucz przekreślony krzyżykiem oznaczał włamywacza, sierp księżycy z gwiazdą lub kropką był atrybutem nocnego złodzieja, a sama kropka oznaczała po prostu złodziejski fach. U niektórych więźniów, tak jak u Wojtasa, tatuaże widniały na torsie lub ramionach. Serce z dwoma wbitymi ostrzami i kropką w środku oznaczało człowieka do wynajęcia. Wizerunek anioła z głową diabła informował innych, że mają do czynienia z oszustem. Marynarski symbol róży wiatrów zwanej również "gwiazdą recydywy" świadczył o bogatym doświadczeniu więziennym, a głowa fakira w turbanie mówiła, że właściciel tego tatuażu potrafi dokonać niezwykłych wyczynów sprawnościowych. Kat z mieczem lub toporem, który dzierży w jednej dłoni, a w drugiej trzyma obciętą głowę i obok widać również pień katowski oznaczał zemstę na przedstawicielach wymiaru sprawiedliwości. Kat katom, tak wymowną nazwę nosiło to cudo. Ptak w locie, najczęściej ukazany jako szybująca jaskółka, oznaczał dokonaną w przeszłości ucieczkę. Splecione dłonie z rozerwanymi kajdanami symbolizowały

przynależność do wspólnoty grypserskiej zarówno w więzieniu jak i na wolności. Kilka razy widziałem tatuaż zrobiony na grdyce, który przedstawiał trupa czaszkę z puszczelami. Ktoś z taką dziarą był gotów do wykonania każdego zlecenia z mokrą robotą włącznie. Sporo wizerunków miało pełnić rolę, że tak powiem odstraszącą. Potwory, diabły, wampiry, groźne zwierzęta lub duchy były symbolem agresywnej postawy. Wzięciem cieszyły się również wszelkiego rodzaju sentencje, ale żeby zrobić sobie na przykład napis "homo sum" czyli "człowiekiem jestem", ktoś taki musiał być pełnoprawnym siemachem. Ludzi niezłomnych rozpoznawało się natomiast dzięki pięciu kropkom pod lewym okiem, które przypominały kostkę do gry. Wśród chrabąszczy najpopularniejszym tatuażem był ciąg liter Ś.K.I.F.H.L.I.Z które głosiły: "śmierć kurwom i frajerom chwała ludziom i złodziejom" i nikt nie miał pojęcia dlaczego w skrócie jest tylko samo h, skoro słowo chwała pisze się przez c i h? Może twórcą tej złotej myśli był ktoś mało odczytany albo dziargający nie znał zasad ortografii? Przyjęło się z błędem i tak zostało. Niektórzy ozdabiali się tatuażami o żenującej treści erotycznej. Był taki jeden koleś, który na wewnętrznej powierzchni lewego przedramienia kazał sobie machnąć kontury nagiej kobiety, a poniżej napis "siostrzyczko jak pobierzesz kroplę krwi to wyliżę pizdę ci". Inny facet, który można powiedzieć, że był przystojny lecz nie grzeszył inteligencją, zrobił sobie na podbrzuszu pięciolinię, klucz wiolinowy i nuty, które ponoć układały się w jakąś melodię. Co dziwne, za jego przykładem poszło wielu, bo chyba podobała im się więzienna sentencja, która wyjaśniała sens posiadanego tatuażu - "wydziargałem se nuty koło kindybała, żeby dziwka melodię znała i na flecie klawo grała". Byli również i tacy, którzy ozdabiali swoje przyrodzenie. Jedni robili na penisie centymetrową podziałkę, a drudzy, ci bardziej odporni na ból, podczas wzwodu mogli się pochwalić miniaturowym kominem. Serio. Było widać każdą cegiełkę. Cwelom natomiast robiono tatuaże wbrew ich woli i była to kropka za uchem, na nosie lub w okolicy prawego oka. Oczywiście w drugiej połowie lat pięćdziesiątych każdy więzień wiedział kto nosi cynkówkę, bowiem ten znak był najbardziej popularny w środowisku grypsujących. Dużo mógłbym jeszcze pisać o tatuażach, o tym że krzyż symbolizował męczeństwo i udrukę, a znak przyjęty z alfabetu Morse'a kreska kropka kreska, który przeważnie jest robiony na przegubie dłoni ma podwójne znaczenie. Po pierwsze mówi on o odbytej karze więzienia uznanej jako przerwę w życiorysie, a po drugie kreska kropka kreska oznacza literę K. K jak kara. Na koniec zdradzę wam jeszcze, że więzienie we Wronkach, miało również swój nieformalny herb. To była litera W z węzem i każdy kto tutaj siedział, miał prawo zrobić sobie taką dziarę.

Przez kilka lat symbolika tatuaży naprawdę była utrzymana w ścisłej tajemnicy i trwało to do czasu, kiedy służby penitencjarne ostro zabrały się za zwalczanie grypserskiej podkultury. W więzieniach wprowadzono wtedy całkowity zakaz robienia tatuaży. Oficjalnie było to podyktowane względami zdrowotnymi, bowiem znane były przypadki zakażeń ale wtajemniczeni wiedzieli, że takie objawy najczęściej wywoływano umyślnie. Specjaliści od dziargania byli wyposażeni w tak zwaną kolkę. Nieduże i prymitywne narzędzie najczęściej wykonane z dwóch igieł mocno obwiązanych nitką. Kolki robiono również ze szpilek, kawałków drutu, biurowych spinaczy, agrafek, a nawet z gwoździ. Wszyscy jednak wiedzieli, że najbardziej cenieni profesjonaliści używają kolek

wykonanych z gitarowych strun i znają tajniki cieniowania konturów. Jeżeli mieliście okazję w swoim życiu widzieć u kogoś prosty tatuaż, który swoją nijakością przypominał rysunek zrobiony długopisem, to istnieją tylko dwie możliwości. Pierwsza, że autorem dzieła jest ktoś, kto dopiero uczył się tej sztuki. Druga, wykonał go zawodowiec ale zleceńodawcy nie było stać, żeby zapłacić za odpowiedni wzorek. Wzorkami nazywano motywy, które tatuowano na ciele. Za wydziarganie najprostszego wizerunku musiało się położyć dziesięć paczek papierosów, a jeśli chciałeś mieć coś porządnego, to cena była pięć razy większa. Był tutaj taki jeden zdolniacha. Nie mam pojęcia jak brzmiało jego imię i nazwisko, bowiem wszyscy zwracali się do niego Nolbone. Powiem wam, że potrafił pięknie rysować, a jeśli już ktoś zamówił sobie u niego wzorek, płacił słono ale potem naprawdę miał się czym pochwalić. Jednemu koleśowi utalentowany Nolbone przez ponad pięć miesięcy robił na plecach potężną dziarę. Efekt końcowy był taki, że facet miał na grzbiecie pomniejszoną kopię "Bitwy pod Grunwaldem" i to był najbardziej imponujący tatuaż jaki w swoim życiu widziałem.

W pierwszej połowie 1957 roku więzienne życie zaczęło zyskiwać zupełnie inny charakter. Po zeszłorocznej amnestii nie było już oficjalnego podziału na więźniów politycznych i pospolitych. Oczywiście nie miejcie złudzeń, że skończyły się czasy prześladowań dla ludzi będących w opozycji antysocjalistycznej. Dopóki świat światem, każda panująca władza będzie miała zagorzałych wrogów i przeciwników. Zawsze znajdzie się ktoś z kim trzeba walczyć albo odizolować go od reszty społeczeństwa.

W takim miejscu jak więzienie we Wronkach czyjeś poglądy nie miały żadnego znaczenia, liczyło się tylko to za jakie grzechy ktoś dostał wyrok. Na pewno słyszeliście co robią więźniowie ze skazanymi, kiedy dowiedzą się, że ktoś został skazany za pedofilię lub brutalny gwałt, więc daruję sobie pisanie na ten temat.

Kiedy świeżak trafiał do pudła i przekraczał próg celi, stawał się wtedy frajerem i tylko od niego zależało jaka przyszłość go tutaj czeka. Przetrwąć w pudle to nie była prosta zważywszy, iż ponad połowę osadzonych stanowili zdeklarowani git-ludzie.

Coraz częściej miały miejsce różne niepokojące zdarzenia, a nierzadko nawet tak głupie, że trudno je było zrozumieć. Stara gwardia bawiła się kosztem harcerzyków na amerykańce i sprawdzała ich lojalność. Czasami kazali im robić idiotyczne rzeczy. Do najbardziej kretyńskiej i niesmacznej zabawy dochodziło w łaźni podczas kąpieli. Charakterne garusy z pawilonu długoterminowców postanowili robić cotygodniowe derby. Wiecie, co to takiego, prawda? Więzienne derby wyglądały w ten sposób, że będąc nago pod natryskami kandydaci na Ludzi ustawiali się w szeregu. W pewnym momencie ktoś ze starszyzny rzucał komendę:

- Jechać chabetą!

Harcerzyki łapali wtedy za swoje przyrodzenia i zaczęli się onanizować. Wygrywał ten, kto pierwszy wytrysnął. Oczywiście w międzyczasie reszta rozbawionego towarzystwa robiła zakłady, a stawki były bardzo wysokie. Pierwsze derby miały miejsce pod koniec lutego i z tygodnia na tydzień impreza cieszyła się coraz większym wzięciem. Całe lata temu klawisze podczas kąpieli mieli więźniów na oku, natomiast teraz było zupełnie inaczej. Stojąc w łaźni pod sitami natrysków mieliśmy tylko dziesięć minut i tyle czasu musiało nam wystarczyć, żeby się umyć. Po dziesięciu minutach strażnik zakręcał

zawór i było po kąpiel. Oczywiście wieść o wyścigach konnych nie mogła być wiecznie utrzymana w tajemnicy. Ktoś musiał klapnąć dziobem i dwa miesiące później było już po derbach. Funkcjonariusze szybko znaleźli sposób, żeby zakończyć ten niecny proceder. Nie było tutaj żadnych gróźb, pouczeń lub rozkazów czy też gadki, że publicznie nie wolno bawić się ptaszkiem. Nic z tych rzeczy. Po prostu dwa razy z rzędu wykąpaliliśmy się w lodowatej wodzie i nie było najmniejszych szans, żeby w takim zimnie którykolwiek wierzchowiec stanął dęba. Potem Słodki, będący najważniejszym mąciocielem w naszym pawilonie ogłosił, że dla dobra ferajny, derby zostają zawieszony na czas nieokreślony. Przytaczam to zdarzenie nie bez powodu, bowiem chciałbym wam uświadomić pewną bardzo istotną sprawę. Więziennicze życie miało wtedy zupełnie inne oblicze niż w zamierzchniej przeszłości. Od kilkunastu lat nie istniał już system izolacyjny, a wszystkie cele były dwu lub trzyosobowe, oczywiście oprócz "kwatery generała". Coraz więcej skazańców posługiwało się grypską, ale używane były również dwa inne sposoby komunikacji. To były tak zwane miganka, stukanka i lustrzanka. Po samych nazwach nietrudno się domyślić o co chodzi, prawda? Miganka była formą komunikowania się na odległość i polegała na odpowiednim figuratywnym układaniu palców, dłoni i rąk. Kombinacje członków tworzyły poszczególne litery alfabetu ale istniały też pewne uproszczone znaki umowne takie jak koniec zdania czy przyjęcie komunikatu. Migankę stosowano również jeśli w pobliżu znajdowała się osoba niepożądana albo przekazywano krótkie informacje pomiędzy kondygnacjami pawilonu tuż przed poranną zbiórką. Odmianą miganki była też tak zwana "minka", która polegała na tworzeniu komunikacji za pomocą jednej ręki i twarzy. W tym wypadku najważniejsza była odpowiednia mimika, gdzie istotną rolę odgrywał policzek. Normalnie stanowił kreskę w literze, natomiast nadęty był odpowiednikiem brzuszka lub kółka. Powody, dla których ktoś nie mógł użyć dwóch rąk mogły być różne, choćby takie, że ktoś został przykuty do konwojenta albo do łóżka w izbie chorych lub szpitalu. Kolejną metodą grypserskiej komunikacji była stukanka czyli werbalne porozumiewanie się za pomocą nieznacznie zmienionego alfabetu Morse'a. Najczęściej używano jej, żeby błyskawicznie dotrzeć z informacją do wszystkich cel ulokowanych w danym pawilonie. Rury centralnego ogrzewania zawsze były doskonałym nośnikiem dźwięków... Jeśli potrzeba chwili zmuszała ferajnę do natychmiastowego podjęcia niezaplanowanej akcji, wtedy po więziennym pawilonie rozchodziły się odgłosy stukanki. Jeśli idzie o przekaz informacji pomiędzy peronami, najczęściej działo się to za pomocą lustrzanki. Na pewno się domyślacie, że ta nazwa jest pochodną słowa lustro, które jest najprostszym narzędziem umożliwiającym przekazywanie wiadomości za pomocą świetlnych błysków. Każdy kto potrafił grypsować musiał również znać migankę i wiedział o kosmetycznych zmianach, którym ferajna poddała alfabet Morse'a. Ta wiedza stanowiła o sile grupy i zapewniała jej doskonałą organizację. Musicie też wiedzieć, że pracownicy służby więziennej, którzy każdego dnia dyżurowali na peronach mieli świadomość, kto wśród skazanych rządzi na poszczególnym pawilonie. Niejednokrotnie opór grypsujących oraz ich solidarna postawa zmuszały funkcjonariuszy do negocjacji z mąciocielami. Gdybym należał do ferajny i trafiłbym na "twarde łożo" nie ważne z jakiego powodu, to śmiem twierdzić, że siemachy nie puściliby tego płazem. Oczywiście odsiedziałyby swoje ale Ludzie na pewno

doprowadziliby klawiszy do granic maksymalnego wkurwienia. Fantazja grypsujących czasami była miażdżąca i co najważniejsze, nigdy nie powtarzali tego samego numeru. Jeżeli szamaki organizowali zbiorową akcję, to taka afera zawsze była zaskakująca. Czasami jednak sprawy zachodziły zbyt daleko i niejednokrotnie któryś z głównych mącieli był wzywany na rozmowę do dowódcy pawilonu. Pomędzy oficjalną władzą jednostki penitencjarnej i więziennymi przywódcami dochodziło wtedy do negocjacji. Niektórzy z was mogą stwierdzić, że to jakiś absurd, ale tak właśnie było. Jeżeli idzie o derby, o których wspominałem kilka zdań wyżej, to swojego czasu po pawilonie długoterminowców krążyła wieść, że Słodki otrzymał proste ultimatum i ostrzeżenie na przyszłość. Został wezwany przed oblicze dowódcy naszego pawilonu i wtedy miał usłyszeć z jego ust:

- Ciepła woda pojawi się w łaźni, kiedy zaprzestaniecie widowiska ze zbiorowym samogwałtem. To po pierwsze, a po drugie jeśli za jakiś czas onaniści znowu staną w zawody, to wszyscy z pawilonu "D" tydzień w tydzień przez następne pół roku będą się pluskać w zimnej wodzie. Daję wam na to moje słowo!

Słodki postąpił rozsądnie. Zawiesił derby i wszyscy byli szczęśliwi.

W pierwszych dniach czerwca 1957 roku w moim życiu nastąpiła poważna zmiana. W końcu zyskałem współlokatora i ku mojej uciechu, byliśmy prawie w tym samym wieku. Nie będę zbyt odkrywczy jeśli stwierdzę, że każdy świeżak przez pierwszych kilka dni, zachowuje się w pewien standardowy sposób. Wiem jak jest, bo sam tego doświadczyłem. Na początku jesteś przerażony i nie potrafisz uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W twoich oczach czai się strach, a w głosie słychać niepewność. Po tygodniu zaczynasz się oswajać, jednak w głębi duszy ciągle masz nadzieję, że to tylko zły sen, że za chwilę się obudzisz, otworzysz oczy, zetrzesz pot z czoła i odetchniesz z ulgą, bo nie ujrzysz w oknie krat. Jednak po jakimś czasie przestajesz okłamywać samego siebie i zdajesz sobie sprawę, że tkwisz w okrutnej rzeczywistości. Każdemu trudno się z tym pogodzić i każdy potrzebuje czasu. Jednemu wystarczy tydzień, drugiemu dwa, a trzeciemu potrzebuje nawet miesiąca. Nie ma reguły. To indywidualna sprawa i różnie z tym bywa. W końcu jednak polegniesz, musisz zaakceptować, że jesteś tu gdzie jesteś i masz do odbębnienia wyrok. Im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej dla ciebie. Jeżeli natomiast nie poradzisz sobie z tym wyzwaniem, niech Bóg ma ciebie w swojej opiece.

Niebawem miało mi stuknąć trzydzieści pięć lat w pudle i przez ten czas widziałem setki więziennych nowicjuszy. Dzięki samym obserwacjom mógłbym napisać fachowy poradnik pod tytułem "Świeżak czyli jak pogodzić się z losem skazańca" i ofiarować go więziennej bibliotece. Kiedy zjawił się Jan Trulski i został moim współlokatorem wszystko również przebiegało według utartego szablonu. Doskonale pamiętam to czerwcowe popołudnie, kiedy otworzyły się drzwi w celi 715, a w ich świetle ujrzałem niepozornego mężczyznę w asyście strażnika. Facet był ubrany podobnie jak ja. Miał na sobie drelichowe wdzianko, a na wyciągniętych przedramionach trzymał przed sobą swój cały mandżur.

- Tak Żabikowski, w końcu doczekaliście się towarzystwa - rzucił klawisz. - Jak dobrze pójdzie, będziecie mieli okazję razem się zestarzeć - powiedział z uśmiechem na ustach, po czym obrócił się na pięcie i zniknął zamykając za sobą drzwi.

Takie słowa mogły świadczyć tylko o tym, że facet ma co najmniej ćwierć wieku do odsiadki. Jednocześnie patrząc na twarz tego nowego, wiedziałem, że mam do czynienia ze świeżakiem. Nie umiem wam tego wyjaśnić w jakiś sensowny sposób. To się po prostu wie. Patrzysz na kolesia i widzisz, że w jego oczach czai się strach. Każdy grymas twarzy, każdy jego ruch lub krok, sposób w jaki oddycha i przełyka ślinę zdradzają, że jest nowicjuszem. Widzisz przerażonego gościa, czujesz jego bezsilność i niepewność oraz masz wrażenie, że za chwilę ten ktoś po prostu się rozplącze jak dziecko.

- Witaj kolego - powiedziałem i podniosłem się z pryczy. - Jestem Stefan Żabikowski, dla przyjaciół Ropuch - rzekłem i wyciągnąłem dłoń na powitanie.

Mężczyzna położył swoje rzeczy na stole, spojrzął na mnie i odparł:

- Jan Trulski.

Kiedy wymieniliśmy uścisk wiedziałem, że mam do czynienia z człowiekiem, który w swoim życiu ciężko pracował.

Próbowałem z nim podjąć rozmowę, zacząłem go wypytywać skąd jest, ile ma lat i jaki dostał wyrok ale on tego dnia nie odezwał się więcej nawet słowem. Milczał jak zakłęty, a za to ja trajkotałem jak głupi. Nie wiem, być może te samotne miesiące spędzone w celi wyzwoliły we mnie potrzebę zwykłej konwersacji? Gadałem jak najęty, gęba mi się nie zamykała i sam byłem zaskoczony swoim entuzjazmem. Kiedy poczęstowałem go papierosem, nie odmówił. Spalił szluga, a potem położył się na pryczy i obrócił twarzą w stronę ściany. Takie zachowanie to była prawdziwa potwarz, ale powiem wam, że wybaczyłem chłopu. Wybaczyłem, bo w głębi duszy wiedziałem, co tak naprawdę przeżywa. Gdyby trafił do innej celi i postąpił w taki sposób, to już by krwawił.

Uzbroiłem się w cierpliwość i wierzyłem, że niebawem mój współlokator dostosuje się do nowej, życiowej sytuacji. Najwyraźniej facet potrzebował trochę czasu, żeby pogodzić się ze swoim losem.

Miesiąc później wiedziałem tylko tyle, że Janek ma 55 lat i najbliższe ćwierć wieku spędzi w pudle. Za żadną cholere nie chciał mówić o sobie, a na moje dociekliwe pytania udzielał jednej z kilku krótkich odpowiedzi - tak, nie, no, chyba, może, możliwe, oby i nie wiem. Ciężko było z niego wydusić więcej niż pięć słów. Od pierwszego dnia pobytu we Wronkach pracował w warsztacie ślusarskim i z tego co mówili chłopaki, praktycznie z nikim nie gadał. Na spacerunku również nie szukał towarzystwa, trzymał się z boku i zawsze sam. Po jakimś czasie wszyscy mieli go za nieszkodliwego mruka i odludka oraz zdawali sobie sprawę, że coś z nim musi być nie tak.

Niekiedy w celi potrafił całe popołudnie spędzić stojąc w oknie. Wodził wzrokiem po niebie, mamrotał coś pod nosem i palił fajki. Pewnego razu zapytałem z nutką kpiny:

- Wypatrzyłeś w końcu coś ciekawego?

- Tak - odparł.

- No to pochwal się co tam dojrzałeś? - Pociągnąłem temat.

Wzruszył ramionami i rzekł:

- Gołębie.

Podniosłem się z pryczy, podszedłem do okna. Stojąc obok Trulskiego spojrzałem na świat po drugiej stronie krat i dodałem:

- Są też chmury, niebo, dachy domów, w oddali widać połacie pól, a po prawej

miejskie zabudowania - kiwnąłem głową w ich kierunku. - Bardzo dużo ciekawych rzeczy - plotłem trzy po trzy, byleby sobie pogadać. - Oprócz gołębi są chyba jeszcze wróble, jaskółki, wrony i pewnie jakieś inne ptactwo, a gdyby tak wzrok wyteńczyć, to może przy lesie udałoby się zauważyć jastrzębia.

- Możliwe - skwitowałem jak zwykle jednym ze swoich ulubionych słów.
- Lubisz patrzeć na gołębie? - Nie wiem skąd przyszło mi do głowy to pytanie.
- Tak.
- Dlaczego? - Zapytałem właściwie od niechcenia.

Trulski, który czołem sięgał mi do brody podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy. Myślałem, że powie coś na ten temat, a on obrócił się w lewo, podszedł do swojej pryczy, walnął się na kogo i obrócił twarzą do ściany.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem i gdybym wtedy znał słowo, którego niedawno nauczył mnie Pędrak, to powiedziałbym:

- Ja pierdołę, zajebisty z ciebie koleś! Bardzo się kurwa mać cieszę, że mam takiego kompana z którym przyjdzie mi tutaj spędzić najbliższe jebane dwadzieścia pięć lat!

Jednak tamtego dnia nie otworzyłem ust i nawet nie skomentowałem tej idiotycznej sytuacji. Nie potrafiłem zrozumieć, co jest powodem jego milczenia. Mieszkaliśmy z sobą już ponad trzy miesiące, wrzesień powoli miał się ku końcowi, a Trulski zachowywał się tak samo jak tego dnia, kiedy trafił do celi 715. Wychodziło na to, że moja teoria na temat świeżaków natknęła się na swój pierwszy, niewytłumaczalny przypadek.

W tym samym czasie, kiedy ja borykałem się z dziwakiem z którym dzieliłem celę, sowieccy naukowcy z powodzeniem przeprowadzali oficjalne próby z międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi. Pod koniec lata arsenał ZSRR został wyposażony w takie właśnie rakiety. Równowaga sił na świecie została zachwiana, a socjalistyczna propaganda rozdmuchiwała mit o militarnej potędze Kraju Rad. Rosjanie parli ostro do przodu, nie dość, że się zbroili, to jeszcze pełną parą ruszyli na podbój kosmosu. Jesienią tego roku został wystrzelony pierwszy sztuczny satelita Sputnik 1, a następnie Sputnik 2 wyniósł na orbitę okołozemską pierwsze żywe stworzenie, którym był pies o imieniu Łajka. Tego typu eksperymenty były prowadzone również po drugiej stronie żelaznej kurtyny, jednak sowieci jako pierwsi odnieśli spektakularny sukces. Rok 1957 zapisał się w historii świata jako rok, kiedy rozpoczęła się szalona rywalizacja pomiędzy dwoma największymi mocarstwami. Tak zwany wyścig kosmiczny rozpoczął nową erę rozwoju myśli technologicznej i bardzo szybko zamienił się w wyścig zbrojeń.

Doskonale pamiętam obszerne artykuły na łamach wszystkich gazet, które wtedy trafiały do więziennej biblioteki i wychwalały radzieckich naukowców. Sprawa Łajki była pierwszym przełomowym wydarzeniem w dziejach ludzkości, jeśli idzie o podbój kosmosu. Faktem jest, że eksperyment nie przewidywał powrotu psa na Ziemię i od samego początku Łajkę traktowano jako ofiarę, która miała być poświęcona w imię nauki. Kilka lat później, kiedy na peronach panoszył się porucznik Modest Ozurski, szeptaliśmy po kątach, że jego również powinni wysłać w kosmos i to na takich samych zasadach, jak sowieci postąpili z Łajką.

Wiele razy wspominałem w swoich zapiskach, że święta w więzieniu to najbardziej parszywy okres. Wielkanocne dało się jeszcze od biedy przeżyć, ale bożonarodzeniowe

zawsze potrafiły człowieka wprowadzić w markotny stan. W zeszłym roku święta Bożego Narodzenia przemknęły mi na "twardym łożu" i praktycznie ich nie zauważyłem, jakby ich wcale nie było. Natomiast teraz miałem za towarzysza największego ponuraka i w związku z tym nawet się nie obawiałem, że dwa dni wolnego zamienią się w nostalgiczną podróż po ckliwych wspomnieniach.

Stała się jednak zupełnie inna rzecz, otóż wyobraźcie sobie, że Jan Trulski rozgadał się w wigilijny wieczór i ni stąd ni zowąd zaczął po prostu mówić pełnymi zdaniami.

Od czasów II Rzeczypospolitej nie było już czegoś takiego jak wspólna wieczerza skazańców i chwała Bogu, że ten zwyczaj nie był już praktykowany. Wydawka zjawiała się o tej samej godzinie co zawsze i tylko jedzenie było, że tak to ujęm, bardziej świąteczne. Socjalistyczne władze na pewno nie miały zamiaru zbrukać wielowiekowej tradycji i na wigilię zawsze była ryba. Pewnie, że zjadłoby się karpia w panierce lub w galarecie, ale nasza kuchnia serwowała jedynie śledzia wymoczonego w octowej zalewie, solidną porcję kaszy i dwie kromki chleba.

Zanim zaczęliśmy zajadać te świąteczne rarytasy, starym więziennym zwyczajem przełamaliśmy się chlebem z moim współlokatorem, a on chwilę później rzekł:

- Wiem, że masz mnie za głupka albo za cudaka - powiedział patrząc mi prosto w oczy. - Pewnie myślisz, że mam coś z głową - postukał się palcem w skroń i zaraz dodał: - Wiesz czemu tak dziwnie się zachowuję? - Chociaż to było czysto retoryczne pytanie, to i tak pokręciłem głową, jakbym chciał mu powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia. - Nie potrafię przywyknąć. Wiem, że trza inaczej, ja to wiem ale nie umiem się zmusić - powiedział, po czym pochylił głowę i wlepił wzrok w czubki swoich butów.

- Z czasem pogodzisz się z tym gdzie jesteś - odparłem i starałem się wypowiadać swoje słowa tak, żeby brzmiały pocieszająco.

- No trza było, trza by było - powtórzył.

- Lepiej weźmy się za jedzenie póki jeszcze ciepłe - odparłem i klepnałem go w ramię.

Tego wieczoru Jan Trulski wypowiedział więcej słów niż przez ostatnie pół roku. Myślę, że chyba od jakiegoś czasu przygotowywał się do naszej rozmowy, bo od razu zaznaczył, że nie będzie opowiadał za co dostał dwadzieścia pięć lat paki. Doskonale rozumiałem jego decyzję. Wiedziałem też, że pewnego dnia coś w nim pęknie i wtedy poczuje potrzebę, żeby zrzucić z duszy ciężar grzechu za który pokutuje. To jest nieuniknione, każdy więzień przez to przechodzi.

Janek wypowiadał się dopiero trzy lata później, a w jednym ze swoich kajetów wspominałem wam już o zbrodni, której się dopuścił.

Podczas świąt mój kompan starał się unikać rozmów na tematy osobiste. W trakcie naszej dyskusji domyśliłem się, że ma rodzinę ale moje pytania związane z tą sferą swojego życia puszczał mimo uszu. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, było jedno zagadnienie, o którym małowówny Jan Trulski mógł gadać całymi godzinami. Gołębie. Gołębie, gołębie i jeszcze raz gołębie, a ściślej rzecz ujmując, wszystko co było związane z hodowlą gołębi pocztowych. Wtedy dopiero zrozumiałem, dlaczego potrafił godzinami sterczeć w oknie i wypatrywać stada szybujące ponad dachami domów. Gdybyście tylko słyszeli jak on potrafił o tym opowiadać! Na pewno nie miał wyszukanego słownictwa i

w każdym zdaniu musiało się znaleźć miejsce na magiczne słówko "kurwa", ale swoje słowa wypowiadał z taką pasją, że człowiek od razu zdawał sobie sprawę, że on mówi o czymś najważniejszym w swoim życiu. Janek nie miał hopla na punkcie gołębi, to była raczej prawdziwa fascynacja, a może nawet obsesja. Bardzo szybko zauważyłem, że jeśli chciałem z nim pogadać, to wystarczyło, że zapytałem o cokolwiek związanego z gołębiami, a on od razu się rozkręcał. W niespełna pół roku zdobyłem taką wiedzę, że dodając do tego moje stolarskie umiejętności mógłbym bez problemu zbudować profesjonalny gołębnik i zająć się hodowlą ptactwa pocztowego na potężną skalę.

Każde więzienie świata to takie miejsce, które oferuje wszystkim osadzonym coś bardzo cennego. Mało tego, można się nawet pokusić o stwierdzenie, że więzienie daje skazanym właśnie to, czego najbardziej pragną normalni ludzie, żyjący po drugiej stronie murów. Poważnie! Wiecie już co mam na myśli? Domyślcie się? Prawidłowa odpowiedź brzmi - czas wolny. Więźniowie mają go mnóstwo. Mają tak dużo wolnego czasu, że niekiedy po prostu nie wiedzą co z nim robić i jak go zagospodarować, żeby nie zanudzić się na śmierć. Jedni trawią całe godziny na wymyślanie bzdur i idiotycznych zabaw, inni dbają o swoją tężyznę fizyczną i robią do upadłego pompki, przysiady lub brzuszki. Są również tacy, którzy mają odrobinę fantazji czy jak kto woli, zmysłu artystycznego i oni najczęściej zajmują się rękodziełem. Jest wiele rzeczy, które doskonale nadają się do tworzenia więziennego fajansu. W normalnym świecie fajans oznacza wyroby ceramiczne, natomiast w murach kazamatów są to przedmioty kompletnie pozbawione wartości użytkowej i są tworzone jedynie dla walorów estetycznych. Oczywiście niejednokrotnie bywają one towarem handlowym, o ile mają w sobie "to coś". Na przykład z chleba, który oczywiście najpierw trzeba odpowiednio spreparować, robi się wszelkiego rodzaju figurki. Począwszy od szachów poprzez całą gamę śmiesznych i zabawnych postaci, aż po przedmioty o znaczeniu erotycznym. Niektórzy fachowcy potrafią pięknie rzeźbić w mydle, inni szczycą się umiejętnościami prawdziwych architektów i wiedzą jak zbudować z zapalek małe góralskie chatki albo okazałe i skomplikowane zamczyska. Był tutaj pewien koleś, który mając do dyspozycji jedynie papier i słomę robił takie obrazki, że czapki z głów! On nie narzekał na brak zajęcia, a popyt na jego arcydzieła był taki, że zanim zdążył cokolwiek zrobić, to już kilku kupców stawało do licytacji. Był sprytny i szczwany, a przy tym nie miał żadnych sentymentów i opychał towar temu, który wykładał więcej fajek. Klawiszom natomiast oferował swoje wyroby za pół ceny i w ten sposób zaskarbiał sobie ich przychylność. Fajans był tolerowany przez pracowników służby więziennej. Nikt nikogo nie ścigał za posiadanie szkatułki, puderniczki, miniaturowego pokrowca, gry planszowej, domino czy kart. Chyba, że ktoś naprawdę podpadł albo miał na pieńku z gadami. Szalonym wzięciem wśród więźniów cieszyły się również ozdobne koperty i kartki papieru na których pisano listy. Nie chodziło tylko o kaligrafowanie liter lecz o fantazyjne motywy, które znajdowały się na obrzeżach papieru zrobione z cieniutkich paseczków przepłatanych w skomplikowany wzorek. Byli również tacy, którzy świadczyli usługi typowo pisarskie, niejednokrotnie oferując wierszowane teksty, które miały zrobić pozytywne wrażenie na pani, do której list był adresowany. Inaczej natomiast sprawa przedstawiała się, jeśli chodziło o nielegalne przedmioty użytkowe. Noże, których posiadanie grypsujący

poczytali sobie za punkt honoru lub grzałki czyli popularne buzały do gotowania wody na kawę, herbatę lub magiczną parzącą były zakazane. Jeśli w celi zrobiono kipisz i klawisze znaleźli takie fanty, to zakwaterowani w apartamencie mieli wtedy ciepło. Oprócz tego, że serwowano im przerzutkę do innych cel, dodatkowo łapali się na kary dyscyplinarne. Mroczna strona rękodziela znalazła swoje odzwierciedlenie w akcesoriach, które służyły charakterniakom do samookaleczenia. Najdroższe w sprzedaży były tak zwane choinki, których używano do połyków. Taki przedmiot miał właśnie kształt choinki i stąd też wzięła się jego nazwa. Choinkę najczęściej wykonywało się ze szpilek i była skonstruowana w ten sposób, że jeśli jej wierzchołek był wkładany w jakiś otwór, a najczęściej był to przełyk, to szpilki kładły się zgodnie z kierunkiem popychania. W jedną stronę choinkę można było włożyć, jednak nie dało się jej tą samą drogą wyciągnąć, bowiem przy najmniejszym ruchu w przeciwną stronę ostrza szpilek wbijały się w ścianki. Zawrotne ceny osiągały również wiatraki. Cholernie niebezpieczne urządzenia. Wiatrak był mechanizmem sprężynującym i składał się z kilku zaostrzonych ramion. Z wyglądu przypominał duży czopek otulony warstwą chleba lub papieru. Po połknięciu tego cuda soki trawienne rozmiękczały materiał wiążący, a urządzenie wprawiało się w ruch wirowy i wtedy ostrza wiatraków brutalnie raniły ściany żołądka. Ludzie robili sobie krzywdę z różnych powodów. Niekiedy chodziło o jakiś kretyński zakład. Innym razem, żeby zaimponować pozostałym członkom ferajny, jednak najczęściej celem takiej samoagresji była chęć wyrwania się z pierdła na szpitalne leczenie. Nadmiar wolnego czasu potrafił w niektórych skazańcach obudzić naprawdę ukryte talenty, które na przestrzeni lat doprowadziły do narodzin więziennego folkloru. Po peronach krążyły kajety z balladami i piosenkami, które w bardzo specyficzny sposób opisywały wszelkie emocje i namiętności towarzyszące osadzonemu. Utwory opowiadały o krzywdzie, niesprawiedliwości, tęsknocie za wolnością, zemście, o błędach które przywiodły kogoś za kraty albo o straconych szansach na normalne życie. Na pewno wielu z was słyszało bardzo znaną piosenkę, która zaczynała się słowami "w więziennym szpitalu na zgniłym posłaniu...", ale o tym utworze opowiem w odpowiednim momencie. Wcześniej natomiast dużą popularnością cieszyła się "Ballada o zdradzie" i niektórzy twierdzili, że ów tekst opowiadał prawdziwą historię. Melodia naprawdę chwytła za serce, a historia zawarta w tekście leciała tak:

Noc posępna gwiazd nie widać,
głos zza kraty leci w dal,
młody więzień stał przy blindach,
serce mu rozrywał żal.
Przez dziewczynę, którą kochał,
z którą spędził tyle dni.
teraz za kratami szłocha
i wylewa gorzkie łzy.
Tyś dziewczyno mnie zdradziła,
ty z innymi bawisz się,
mą miłością pogardziłaś,
a ja tak kochałem cię!

Do więzienia w mrocznej głuszy
wiew wolności przyszedł tuż
klawisz celi drzwi odhaczył
za murami jestem już.
W kawiarence ją spotkałem,
w męskim towarzystwie gra,
frajer tuli ją w ramionach,
a w mych oczach błyszczy łza.
O północy ją spotkałem,
drżącą dłoń podałem już.
Most zwodzony widać w dali,
a w mej ręce błysnął nóż.
Gdy zadałem cios śmiertelny,
serce jej przestało bić,
księżyc wyszedł zza chmur w pełni,
ona już przestała żyć!
On tak stojąc nad jej ciałem
ręce swe do Boga wznosił
i zakończył swą piosenkę
w sercu własnym topiąc nóż.

Wiele błędów stylistycznych można było wytknąć autorowi ale one nie były istotne, bowiem liczył się przekaz zawarty w słowach utworu. Według kodeksu siemachów każda zdrada powinna być karana śmiercią. Prawdziwy git-człowiek za zdradę musi się zemścić, a wszelkie konsekwencje zarówno prawne czy też związane z osobistą tragedią, powinny być wtedy dla niego sprawą drugorzędną.

Nie byłem wyjątkiem, ja również miewałem takie dni, kiedy nie wiedziałem co z sobą począć i dosłownie konałem z nudów. W poniedziałek 21 lipca 1958 roku, dokładnie w trzydziestą szóstą rocznicę mojej odsiadki, zdarzył się prawdziwy cud. Jakiś czas temu jajogłowi z Ministerstwa Oświaty opracowali pewien projekt, którego myślą przewodnią było podniesienie edukacji wśród więźniów osadzonych we wszystkich polskich jednostkach penitencjarnych. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych zostały zobowiązane, żeby dostarczyć do więziennych bibliotek książki naszych wybitnych twórców, które oczywiście musiały spełniać określone warunki. Współczesne lektury miały być poprawne politycznie, natomiast jeśli idzie o naszą rodzimą klasykę to pojawiły się takie nazwiska jak Słowacki, Mickiewicz, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski, Konopnicka, Prus, Fredro, Kochanowski, Orzeszkowa, Wyspiański, Krasicki i wielu wielu innych. Tak się złożyło, że cała sterta książek dotarła do biblioteki wronieckiego więzienia tego dnia, kiedy obchodziłem swoją niechlubną rocznicę. Nawet nie macie pojęcia jak bardzo ucieszył mnie ten fakt. Od dłuższego czasu nie wypożyczałem książek, bo prawdę powiedziawszy na półkach nie było nic sensownego, czemu warto było poświęcić ów nadmiar wolnego czasu. Miałem już też serdecznie dość słuchania wywodów Janka na temat hodowli gołębi i kiedy dowiedziałem się, że zasoby więziennej biblioteki zyskały setki nowych pozycji to poczułem w duszy prawdziwą radość. Dziwne

prawda? Jak czasami niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia. Na pierwszy ogień wzięłam "Faraona" Bolesława Prusa i przez cały kolejny tydzień czułam pod stopami gorący piach pustyni, a na policzkach żar egipskiego słońca. W tym samym czasie, kiedy ja, prawdopodobnie z wypiekami na twarzy, brnąłem poprzez spiski i intrygi, które rozgrywały się w cieniu piramid, mój kumpel jak zwykle sterczał w oknie i śledził swoje ukochane obsrajdachy. Czasami mnie drażnił, bo wydobywał wtedy z siebie bardzo dziwne dźwięki. Za każdym razem jak mu zwracałem uwagę, że mnie rozprasza tym piskliwym pogwizdywaniem twierdził, że to jedyny sposób aby przywołać ptaki i nawiązać z nimi bliższy kontakt.

Któregoś razu, kiedy naprawdę nie mogłem już tego znieść, rzekłem:

- Janek, kurwa mać! Proszę cię, możesz przestać?!
- No przecież nic nie robię.
- Syczysz, cmokasz, ćwierkasz, mlaskasz...
- Szukam dźwięku, który je zwabi - odparł wpadając mi w zdanie.
- Chcesz mi powiedzieć, że jakiś gołąbeczek w końcu cię zrozumie, skumpluje się z tobą i będzie tu przylatywał, żebyś mógł z nim pogruchać?
- Można tak powiedzieć.
- Zlituj się na Boga! - Prawie jęknąłem.
- A co zrobisz, jeśli tak będzie? - Zapytał przekornie.
- Kupię ci w nagrodę tabliczkę czekolady - rzuciłem bez zastanowienia i wróciłem do czytania lektury.

Mój współtowarzysz proceder wabienia gołębi uprawiał również na spacerunku. Tam jednak miał większe pole do popisu, bowiem czasami zabierał z sobą pół kromki chleba i rozrzucał małe skrawki w rogu promenady ale po drugiej stronie siatki. Zjawisko było dość interesujące, bowiem wyobraźcie sobie, że od jakiegoś czasu gołębie przylatywały w tamto miejsce ale dopiero wtedy, kiedy więźniowie opuszczali wybieg. Janek był cierpliwy i chyba wierzył, że w końcu nadejdzie taki dzień, kiedy ptaki zdobędą się na odwagę i przylecą akurat w tym momencie, jak on będzie je dokarmiał.

W pierwszej połowie sierpnia wypożyczyłem w bibliotece "Pana Tadeusza". Nie potrafię powiedzieć, dlaczego skusiłem się na dzieło pisane wierszem. Pamiętam, że wzięłam książkę do rąk, otworzyłem na chybił trafił, przeczytałem kilka linijek i byłem bardzo zaskoczony. Pomyślałem, że trzeba mieć nie lada łeb, żeby zapisać wierszem aż tyle stron! Bardziej popychany ciekawością aniżeli samą formą twórczą, postanowiłem zapoznać się z treścią tego dzieła. Kilka godzin później nie mogłem wyjść z podziwu i zastanawiałem się jak to możliwe, że niektórych ludzi Bóg obdarza jakimś artystycznym talentem, a innym skąpi wszystkiego? Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z podobną literaturą! Doskonale rozumiałem, że można napisać długi wiersz albo bardzo, bardzo, bardzo długą, rymowaną balladę, ale żeby stworzyć epickie dzieło składające się z dwunastu ksiąg?! To było niewiarygodne, a zarazem zachwycające, niebywałe i fenomenalne! Tylko prawdziwy geniusz mógł dokonać czegoś tak wielkiego.

Przeczytałem całość, jak to się mówi, jednym tchem i wiedziałem, że muszę to zrobić ponownie. Muszę to przeczytać jeszcze raz, żeby powoli i bez pośpiechu, zagłębić się w tekst, żeby delektować się każdym wersem i każdym rymem. "Pan Tadeusz" po

prostu mnie urzekł, oczarował i wpędził w niewyobrażalny podziw. To było tak, jakbym przez całe życie czekał na książkę idealną i niepowtarzalną. I oto latem 1958 roku takie właśnie dzieło wpadło mi w dłonie. Przyznajcie sami, pomijając chałę i mierność od której roi się w świecie literatury, to jednak dużo jest dobrych pozycji. Sporo jest również bardzo dobrych, ale wybitnych książek jest niewiele.

Zdaję sobie sprawę, że kiedy piszę o pewnych rzeczach, możecie chwilami czuć się zaskoczeni, zdziwieni, a może nawet rozczarowani. Bądź co bądź snuję opowieść o swoim życiu i nagle okazuje się, że pewnym sprawom, które w waszym mniemaniu są po prostu gówniane poświęcam tyle uwagi, jakby były najważniejsze w świecie. Nie skupiam się na historycznych wydarzeniach, nie potępiam z należytą nienawiścią komunistycznej przeszłości i nie składam hołdu bohaterom, którzy w imię wolności poświęcili swoje życie. Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać, chcę wam jedynie powiedzieć, że ważniejsze było dla mnie wydarzenie, kiedy Filip skumplował się z Jankiem niż to, co działo się wtedy po drugiej stronie murów. I wcale nie chodzi o to, że byłem ignorantem ale o fakt, iż bardziej interesował mnie świat w którym egzystowałem, niż ten z którego zostałem wykluczony całe lata temu. Poza tym jeśli szukacie prawdy historycznej albo patriotycznej martyrologii, to powinniście sięgnąć do podręczników, które się na takowych skupiają.

Teraz może kilka słów o Filipie, którego przybycie wprowadziło mnie w totalne osłupienie.

Filip był gołębiem.

Po długich miesiącach cyckania, mlaskania, świszczania i pogwizdywania, które Janek odstawiał w oknie naszej celi, skusiły jednego z pocztowych ptaków do zawarcia znajomości. Mój współtowarzysz poświęcił na to mnóstwo czasu i chyba całym sercem wierzył w to co robi, bo w końcu dopiął celu.

Tamtego dnia, kiedy stało się cud, leżałem na pryczy i kończyłem właśnie po raz drugi czytać VIII księgę wierszowanej epepei. Tak bardzo przywykłem już do dźwięków, które wydobywał z siebie mój kumpel, że przestałem na nie zwracać uwagę, kiedy on nagle powiedział do mnie półgłosem.

- Ropuch, jesteś mi dłużny tabliczkę czekolady.

W pierwszym momencie nie załapałem o co chodzi.

- Jaką kurde tabliczkę? - Odburknąłem nie oderwawszy wzroku od tekstu.

- Tę, którą mi obiecałeś kupić, jeżeli skumpluję się z gołębiem - odparł.

Spojrzałem w jego stronę i zrobiłem tak duże oczy, że o mało nie wyskoczyły mi z orbit.

Trulski stał przed oknem. Prawą rękę miał wystawioną za kraty, a na jego dłoni siedział dorodny, biały jak śnieg gołąb. Ptak gruchał i wpatrywał się w jego oblicze oczami w kolorze dojrzałej wiśni. Raz po raz kręcił głową na boki i wyglądał wtedy tak, jakby chciał pokazać, że w ten sposób okazuje swą radość. Odłożyłem książkę i uśmiechając się pod nosem obserwowałem co się dzieje.

Janek szepnął w moim kierunku:

- Widzisz, on mi ufa - a potem odezwał się do stworzenia, które siedziało na jego dłoni: - Jak masz na imię przyjacielu?

Gołąb zagruchał donośnie, a mój kumpel rzekł:

- Filip? Bardzo ładnie.

Powoli i delikatnie dźwignąłem się w górę. Chciałem usiąść na pryczy, żeby mieć lepsze pole widzenia ale kiedy się poruszyłem, gołąb zatrzepotał skrzydłami i poderwał się do lotu.

- Filip właśnie zaprzyjaźnił się ze mną - powiedział Janek wodząc oczami za odlatującym ptakiem.

- Jak to zrobiłeś? - Zapytałem zaskoczonym głosem. - Rozumiem, że pies czy kot podejdzie do człowieka i da się dotknąć albo pogłaskać ale gołąb?!

- Nie wiem - odparł nadal wpatrując się w okno - jakbyś widział moje ptaki, które hodowałem i co czasami wyprawiały, wtedy byłbyś dopiero zdziwiony. - Spojrzał na mnie i stwierdził: - Filip jest bardzo odważny, a skoro potrafił odłączyć się od stada, znakiem tego będzie tu często zaglądał. A ty - rzekł z uśmiechem - jesteś mi winien tabliczkę czekolady.

W pudle większość skazańców znajduje sobie coś, co pozwala im znaleźć odskocznię będącą urozmaicheniem od szarej i beznamiętnej monotoni, którą są przesiąknięte więzienne mury. To właśnie ta zwykła, ludzka potrzeba polegająca na ucieczce od nudy lub zabiciu beznadziejności jest siłą napędową i matką wszystkich pomysłów. Kilka akapitów wcześniej pisałem wam o nadmiarze wolnego czasu i o tym, co tak naprawdę wypełniało pustą egzystencję osadzonych. Rewolucyjne zmiany miały dopiero nadejść za kilka lat, kiedy służby więzienne zajęły się zwalczaniem grypsarki. Wtedy dopiero pojawiły się dodatkowe zajęcia, które miały na celu obudzić zaangażowanie osadzonych. Władze więzienia wzięły się za organizowanie kursów mających podnieść kwalifikacje zawodowe, podwyższyć poziom edukacji, pomóc w rozwoju pasji, talentów i zamiłowań. Teoretycznie uczestnictwo skazanych było dobrowolne, ale w praktyce przybrało to charakter zawołanego szantażu. Jednak to wszystko miała przynieść nadchodząca przyszłość... Pod koniec lat pięćdziesiątych mieliśmy do dyspozycji tylko bibliotekę i własną wyobraźnię. Ja nie narzekałem, bowiem literatura doskonale zaspokajała moje duchowe i intelektualne potrzeby i powiem wam, że grono miłośników książek nie było wtedy zbyt duże. Natomiast mój współlokator Jan Trulski i jego gołębia pasja, czyniły go prawdziwym ewenementem we wronieckim więzieniu.

Nie pamiętam czy kiedykolwiek końcówka sierpnia była tak upalna jak w roku 1958. Piekielny żar lał się z nieba, a słońce tak prażyło jak na egipskiej pustyni opisanej przez Prusa w "Faronie". Na niedzielny wybieg zabrałem z sobą moją lekturę. Plan miałem taki, że rozbiore się na promenadzie od pasa w górę, walnę się na trawie i na świeżym powietrzu zakończę moje drugie czytanie. Większość skazańców podobnie jak ja zaległa niczym wczasowicze na plaży, a Janek jak zwykle podreptał w róg spacerniaka, żeby rozrzucić okruchy chleba, którymi dokarmał gołębie. W pewnym momencie czyjś cień otulił kartki mojej książki i w tej samej chwili usłyszałem znajomy głos Wojtasa.

- Widzę, że lubisz czytać.

Obróciłem głowę i musiałem zmrużyć powieki, bowiem słońce świeciło mi prosto w ślepią.

- Tak, lubię - odparłem. - Dobrze napisana książka pozwala mi zapomnieć o tym głównianym miejscu - a zaraz potem spytałem: - Co jest Wojtas, masz jakąś sprawę?

- Nie - odpowiedział i usiadł obok mnie. - Tak pomyślałem, że posiedzimy razem i pabajerujemy o pierdołach.

- Coś mi się wydaje, że nuda cię rżnie - zaśmiałem się z własnego dowcipu.

- I to okropnie - przyznał - a na dodatek jest tak gorąco, że można się roztopić.

Sięgnąłem po papierośnicę.

- Zapalisz?

- Zapalę.

Usiadłem po turecku i podałem mu ognia.

Przez chwilę rozmawialiśmy o duperelach związanych z robotą w stolarni i ponarzekaliśmy na Pana Cipeę, który ostatnimi czasy wszystko totalnie olewał, bo wiosną przyszłego roku wybierał się już na emeryturę. Zastanawialiśmy się kto obejmie po nim dowództwo nad warsztatem?

- Oby to był jakiś spryciarz, bo z zarobkami krucho - stwierdził mój rozmówca.

- A juści, dobrze waść prawisz - rzekłem i natychmiast zorientowałem się, że chyba udzielił mi się Mickiewiczowski język.

- Co czytasz? - Nie wiem czy Wojtas wykazał odrobinę zainteresowanie, czy zapytał z grzeczności.

- Ciekawą książkę - odparłem - zobacz tylko jak to jest napisane - podałem mu egzemplarz.

Przekartkował stronicę i gwizdnął z podziwem.

- Poeta z ciebie? Czytasz wiersze? - Zapytał.

- To nie wiersze, to jedna duża opowieść zawarta w dwunastu księgach. Moim zdaniem, to mistrzostwo świata.

- Jak ktoś ma talent, to potrafi. Mistrzem świata byłby ten, kto nauczyłby się tego na pamięć - powiedział z uśmiechem.

- Myślę, że to jest możliwe - stwierdziłem.

- Oczadziałeś? - Zaśmiał się. - Nie ma takiej możliwości, kto byłby w stanie zapamiętać tyle tekstu!

- Chcesz się założyć? - Zapytałem przekornie i dodałem: - Zanim wyjdiesz z pudła wystukam to na pamięć.

Wojtas parsknął szczerym śmiechem.

- O co się założymy? - Powiedział i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

Zastanowiłem się przez chwilę i rzekłem:

- O dziesięć skrzynek i dziesięć autobusów. Stoi? - Wyciągnąłem dłoń, żeby przypieczętować zakład.

- Kurwa mać stoi! - Odparł niemal natychmiast i wymieniliśmy uścisk. - Jeśli to zrobisz, do końca życia będę ludziom opowiadał o kolesiu, który wystukał na pamięć całą książkę. Ile ona ma stronic? - Znienacka zmienił temat.

- To wydanie - odparłem i zerknąłem na ostatnią kartkę - ma dokładnie 336 stron.

- Jak się przyłożysz i dziennie wykujesz jedną stronę, to powinno ci to zająć niespełna rok - stwierdził, a zaraz potem dodał z uśmiechem, jaki towarzyszy każdemu

zwycięzcy: - Myślę jednak, że powinieneś już zacząć oszczędzać, żeby mieć dla mnie na fajki i jemiołę.

Uwierzcie mi na słowo, ale ja do dziś nie wiem co mnie wtedy skłoniło, żeby podjąć to szalone wyzwanie. Czasami myślę, że głównym powodem była moja próżność i chęć wygrania zakładu. Być może podświadomie chciałem udowodnić sobie i całemu światu, że potrafię to zrobić... Z drugiej strony pojawiła się również dla mnie perspektywa, żeby wyrwać się z objęć nudy i spożytkować czas na coś bardziej sensownego.

- Pożyjemy, zobaczymy - rzekłem i już wiedziałem, że łatwo się nie poddam.

- Co tam u gołąbka? - Zapytał Wojtas, a ja w pierwszej chwili pomyślałem, że chyba ktoś musiał z okna celi zobaczyć, jak kilka dni temu Filip siedział na dłoni Trulskiego.

- Jakiego gołąbka? - Odpowiedziałem pytaniem i wcale nie udawałem swojego zaskoczenia.

- U twojego kumpla spod celi - odparł i kiwnął głową w stronę Janka, który kręcił się w rogu spacerniaka z głową zadartą do góry. - Wszyscy go nazywają Gołąbek. Nie wiedziałeś o tym? On chyba jest nieszkodliwy i wygląda na to, że ma nie po kolei w głowie - dodał z nutką lekkiej drwiny.

- Mówicie na niego Gołąbek? - Zapytałem rozbawionym głosem.

- No bo jak nazwać kogoś, kto ciągle gapi się w niebo wodząc ślepiami za ptakami i każdej niedzieli rozrzuca za siatką okruchy chleba - powiedział Wojtas i wzruszył ramionami. - Chyba jest lekko szurnięty, co?

- Fakt, lubi gołębie - stwierdziłem. - Z tego co mi opowiadał wynikało, że na wolności zajmował się ich hodowlą i jak widać, nawet w więzieniu nie zapomniał o swojej pasji.

Wojtas przez chwilę spoglądał na Janka i rzekł:

- Dobrze mieć coś, co pozwala chociaż na chwilę wyrwać się z tego miejsca.

Kiedy wróciliśmy do celi, zdradziłem Trulskiemu jakim imieniem został ochrzczony przez ferajnę.

Janek uśmiechnął się pod nosem i powiedział dwa słowa:

- Fajna ksywka.

W styczniu 1959 roku potrafiłem już bez zająknięcia wyrecytować trzy i pół księgi "Pana Tadeusza". Czasami, żeby podrażnić trochę Wojtasa deklamowałem mu w stolarni jakiś fragment tekstu, a potem klepiąc go po przyjacielsku w ramię, mówiłem:

- No stary, zaczynaj powoli gromadzić mój towar.

Wieści zza murów docierały do nas przede wszystkim dzięki prasie, która z kilkudniowym opóźnieniem pojawiała się w więziennej bibliotece. Zapewne wiele się wtedy działo, zarówno w Polsce jak i na świecie, ale na przykładzie dwóch wydarzeń chciałbym wam pokazać, jak wtedy funkcjonowała komunistyczna cenzura i jej propagandowa machina. Z początkiem pięćdziesiątego dziewiątego po drugiej stronie globu trwała kubańska rewolucja. Polska prasa nie szczędziła hymnów pochwalnych dla Fidela Castro i jego popleczników. Nawal przekazywanych informacji miał utwierdzić nasze społeczeństwo w przekonaniu, że zwycięstwo nad siłami imperializmu jest tylko kwestią czasu i wnet do socjalistycznego obozu, dołączą inne narody świata. Na pewno zdajecie sobie sprawę, że kreowanie rzeczywistości przez media podległe rządzącej

władzy jest rzeczą zupełnie naturalną. Bez względu na epokę czy panujący ustrój, system działania jest identyczny. To temat rzeka i można by debatować bez końca, a ja natomiast ufam, że każdy rozsądny człowiek jest po prostu tego świadom. Wracając jednak do stycznia 1959 roku, nie wiem czy wiecie, ale wtedy w Gdyni wydarzyła się pewna niewyjaśniona po dziś dzień katastrofa. Prasa nie mogła milczeć na ten temat, bowiem zbyt wielu ludzi było świadkami tego zaskakującego zjawiska. Rankiem 21 stycznia duży, prawdopodobnie rozgrzany do czerwoności przedmiot przemknął nad portem ciągnąc za sobą ognistą smugę i wpadł do wzburzonej sztormem zatoki. Pierwsza informacja na ten temat pojawiła się w lokalnej gazecie "Wieczór Wybrzeża", a kilka dni później wspomniała o tym "Trybuna Ludu" i sprawa nabrała rozgłosu. W jednym z artykułów padło kilka luźnych słów na temat obcej cywilizacji i wtedy zdarzeniem zainteresowały się służby bezpieczeństwa. Nagle z dnia na dzień całej sprawie nadano bagatelny ton i zrzucono ją na barki manewrów wojskowych. Tak właśnie w tamtych latach absorbowano uwagę czytelników. O niepokojących sprawach na naszym podwórku nie wolno było pisać, bo przecież tu jest bezpiecznie i spokojnie, a Marsjanie lub inne ufoludki mogły się tylko pojawić na "zgniłym zachodzie". Możliwe, że zapomniałbym o tej sprawie, gdyby nie pewien koleś, który trafił do Wronek w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Nazywaliśmy go Kosmita i chyba zdążyliście już zauważyć, że większość więziennych ksywek brała się albo z wizerunku zewnętrznego, cech charakteru lub czyichś zainteresowań. Kosmita miał wiele zadziwiających teorii na temat ingerencji obcych przybyszów w naszą cywilizację i był święcie przekonany o ich istnieniu. Facet wierzył w to co wierzył, a ja szanowałem jego zdanie, chociaż czasami naprawdę brzmiał niedorzecznie. Jednak z drugiej strony, gdybyśmy wzięli pod uwagę czyjaś religię i wiarę w Boga... Dużo można by o tym gadać, prawda? Dzięki Kosmicie dowiedziałem się na przykład sporo o incydencie w miejscowości Roswell, o sławnej Strefie 51 czy też o odważnych teoriach, które już wtedy głosił szwajcarski publicysta Erich von Däniken. Kosmita miał również informacje na temat katastrofy w Gdyni, chociaż sam urodził się dopiero rok później. Nie wiem ile w jego opowieści było prawdy, a ile bzdur wyssanych z palca, jednak muszę przyznać, że znał bardzo ciekawe historie. Obiekt, który tamtego styczniowego poranka wpadł do morza, został wyciągnięty dopiero po kilku dniach. Operację nadzorowali pracownicy urzędu bezpieczeństwa. Z relacji nielicznych naocznych świadków wynikało, że przedmiot miał kształt potężnego, szklanego walca, opasanego stalowymi obręczami, który wewnątrz był wypełniony rdzawą cieczą. Ponoć jeden z inżynierów portowych miał obawy, że wewnątrz pojemnika może znajdować się iperyt lub świństwo o nazwie fosgen. Twierdził tak dlatego, że od czasów II wojny światowej na dnie morza spoczywało mnóstwo przedziwnych rzeczy. Jednak w tajemniczej kapsule oprócz płynu, było jeszcze "coś" lub "ktoś". Znaleźisko przetransportowano do szpitala uniwersyteckiego i tam zostało ono otwarte w warunkach laboratoryjnych. Wiele lat później znaleziono zapiski jednego z lekarzy, który miał brać udział w tym przedsięwzięciu. Z jego notatek wynikało, że wewnątrz znajdowała się istota człekokształtna. Była odziana w uniform z nieznanego materiału i przejawiała objawy życia. Na jednej z rąk obiekt badań miał bransoletę i po jej zdjęciu, czynności życiowe organizmu natychmiast ustały. Przeprowadzono skrupulatną sekcję. Stwierdzono, że

pacjent ma inne narządy niż człowiek, a jego układ przypominający krwiobieg biegnie spiranie dookoła ciała. Po skrupulatnych oględzinach zwłoki obcego zapakowano do chłodni, a następnie zostały przewiezione na lotnisko i prawdopodobnie przetransportowane za wschodnią granicę. Może tak było, nie wiem.

Gdyby ktoś mnie zapytał, czy wierzę w sprawy, których w żaden sposób nie można wyjaśnić, powiem z ręką na sercu, że tak. Wierzę. Kiedyś byłem sceptyczny, ale potem w moim życiu zdarzyły się rzeczy, które utwierdziły mnie w przekonaniu, że czasami dzieje się coś, co ma miejsce, a my nie potrafimy tego ogarnąć swoim rozumem. Niebawem sami się przekonacie i gwarantuję, że nie jednemu z was szczena opadnie ze zdziwienia. Jak dla mnie pierwszą namiastką takiej niesamowitości był Filip, który skumał się z Gołębkiem. Wiosną 1959 roku zaczął do nas przylatywać i siadał w oknie. Zawsze mógł liczyć na garść okruszków chleba i nieźle sobie tutaj podjadał. Ten ptak był tak odważny, że nawet dziobał Jankowi z dłoni i najbardziej przepadał za kaszą. Nie wiem tylko dlaczego mnie traktował oschle. Wystarczyło, że podniosłem się z pryczy lub zrobiłem krok w stronę okna, a Filip zrywał się do lotu i tyle go widziałem. No dobrze, powiedzmy, że oswojenie gołębia było możliwe i niewiele miało wspólnego z ogólnym pojęciem niesamowitości. Mogę na to przystać, mogę się zgodzić, że miesiące cierpliwych i upartych działań przyniosły w końcu oczekiwany efekt. Nic natomiast nie jest w stanie podważyć świadectwa totalnej niewytłumaczalności, którym była teoria Cyferki na temat Liczby Życia. To pierwszy dowód na istnienie niesamowitości, a drugim są fakty związane z osobą porucznika Modesta Ozurskiego. Przysięgam na Boga, że te niewiarygodne informacje sprawiły, iż moja wiara w zdrowy rozsądek legła w gruzach. Mam nadzieję, że kiedy poznacie te dwie historie, będziecie podzielać moje zdanie.

Skoro krążę przy sprawach tajemniczych, to muszę wam opowiedzieć, co wydarzyło się w pierwszą niedzielę maja, która była również pierwszą niedzielą po świętach wielkanocnych. Dzień był pogodny, a powietrze pachniało wiosną. Liście drzew po drugiej stronie więziennego muru mieniły się świeżą, soczystą zielenią. Matka Natura odważnie pokazywała całemu światu, jak wygląda jej urocze oblicze młodości, jakby chciała powiedzieć: - Oto jesteście świadkami narodzin życia, a więc patrzcie uważnie i zachwycajcie się tą ulotną chwilą. Korzystajcie z okazji bowiem czas płynie nieubłaganie i za kilka miesięcy zobaczycie, jak moja uroda będzie konać w łzach listopadowego deszczu.

W tym czasie uparcie wkuwałem kolejne wersy o ostatnim zajeździe na Litwie i szło mi całkiem dobrze. Sześć ksiąg miałem już w malutkim paluszku i tylko Gołębek wiedział o moim zakładzie w Wojtasem. No tak, zapomniałem napisać, że w zeszłym roku zostałem wezwany do biblioteki, żeby zwrócić książkę. Pamiętam, jak powiedziałem klawiszowi, który pełnił rolę bibliotekarza, że uczę się tej epepei na pamięć, a on spojrzał na mnie jak na szaleńca.

- Poważnie?! - Zapytał z niedowierzaniem.

- Poważnie - odparłem.

- No to mów - rozkazał, a ja zacząłem jechać z inwokacją, a potem z pierwszą księgą.

Kiedy skończyłem deklamować to, co wtedy już wystukałem, funkcjonariusz

spojrzał na mnie z podziwem i rzekł:

- Dlaczego się tego uczysz na pamięć? - Naprawdę był ciekaw.

Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem pytaniem:

- Może dlatego, że jeszcze nikt czegoś takiego tutaj nie zrobił?

- W takim razie trzymam za ciebie kciuki i mam nadzieję, że opanujesz tekst. Tak czy siak, książka kiedyś musi tu wrócić. Nie zniszcz jej! Poza tym układ jest taki, że raz na miesiąc muszę zobaczyć czy nadal masz książkę. To po pierwsze, a po drugie nie wypożyczysz nic innego, dopóki nie zwrócisz tego, co widnieje w twojej karcie biblioteczej. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, wszystko jasne.

Od tamtej pory miałem lekturę w celi i raz w miesiącu musiałem ją przynieść do biblioteki, żeby pokazać, iż nadal jest w moim posiadaniu. Oczywiście gdybym tylko chciał, mógłbym czytać coś innego, bo przecież wystarczyło, żebym poprosił Gołąbka o przysługę...

Wracając jednak do tej pamiętnej, majowej niedzieli i spraw niesamowitych, stało się wtedy coś, co wprawiło w osłupienie wszystkich, którzy byli na promenadzie. Jestem pewien, że każdy skazaniec i każdy klawisz zobaczyli tamtego dnia na własne oczy coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie widzieli. Wszystko wyglądało tak samo jak każdej niedzieli. Spacerniak był podzielony. Tu siemachy, tam chrabąszcze, z drugiej strony frajerzy, a w narożniku cwele. Każda grupa okupowała swój nieformalnie przypisany rewir. Siedziałem w tym samym miejscu co zawsze, a Janek rozrzucał okruchy chleba w rogu promenady. W pewnym momencie ponad naszymi głowami zaczęło krążyć stado gołębi. Ptaki szybowwały zataczając kręgi i raz po raz zniżały swój lot. Gołąbek stał z zadartą do góry głową i pogwizdywał w bardzo specyficzny sposób. Wszyscy już chyba byli przyzwyczajeni do jego dziwnego zachowania i mało kto zwracał uwagę na jego fanaberie. Nagle ptaki zrobiły coś, co się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Oprócz Filipa całe stado wylądowało w miejscu, gdzie leżały okruchy i głośno gruchając, zaczęło dziobać rozrzuconą karmę. Śnieżnobiały kumpel Trulskiego przysiadł na słupie do którego była przymocowana siatka spacerniaka i sprawiał wrażenie, jakby obserwował co się dzieje. Janek wyciągnął przed siebie rękę, cmoknął kilka razy i wtedy jego pocztowy przyjaciel podleciał i usiadł mu na dłoni. Nagle głosy więźniów umilkły i wszyscy wpatrywali się w ten zaskakujący widok. Wtem ktoś w ekipie szamaków krzyknął:

- Gołąbek chwytaj ptaszycę! Będzie dobry rosółek!

Reszta towarzystwa zaniosła się rozbawionym śmiechem.

Trulski spojrzął z politowaniem w kierunku skąd dobiegł kulinarny komentarz, a potem wykonał taki ruch ręką, który sprawił, że Filip poderwał się do lotu.

Możecie mi wierzyć lub nie, ale od tamtej pory przez następne trzy lata stado pocztowych gołębi, każdej niedzieli przylatywało na wyżerkę podczas naszego wybiegu. Klawisze nie widzieli w tym nic, co łamałoby zasady regulaminu i nawet z podziwem mówili o tym, że Gołąbek dokonał wręcz niemożliwej rzeczy. Dopiero kiedy w sześćdziesiątym drugim na peronach zaczął się panoszyć porucznik Ozurski, który stwierdził, że więzienie to nie zwierzyńiec i rozkazał definitywnie zakończyć ten proceder. Natomiast latem sześćdziesiątego pierwszego doszło do innej sytuacji. Pewnej

lipcowej niedzieli któryś z siemachów kazał jednemu z chrabąszczy podbiec do siatki i tak dla hecy spłoszyć ptaki. Kiedy ten posłuszny kretyn wykonał polecenie, Gołąbek z wściekłym okrzykiem na ustach rzucił się na niego i zaczął gnojka okładać pięściami. Janek wpadł w taki szal, że aż się przeraziłem. Miałem wrażenie, że byłby w stanie zatłuc tego harcerzyka na śmierć. To było wręcz nie pojęte! Starszy koleś, drobnej budowy ciała, zawsze cichy i spokojny nagle przeistoczył się w rozwścieczoną bestię. Wyglądał tak, jakby wstąpił w niego przerażający demon, gotowy pazurami wydrapać swojej ofierze oczy, przegryźć zębami krtań lub wyrwać serce. Prawie natychmiast na promenadę wpadli klawisze z pałami w dłoniach i odciągnęli rozwścieczonego Gołąbka od powalonego na ziemię przeciwnika. Trulski za zaatakowanie więźnia załapał się wtedy na tydzień "twardego łóża", a noworodek jeszcze tego samego dnia trafił na izbę chorych. Wszyscy widzieli, że Janek posłał tylko kilka celnych uderzeń, które tamten przyjął na szczękę. Nic groźnego, a jednak facet wylądował w lazarecie i jak się później okazało trafił tam, gdyż miał połamane żebra, przetrącony bark i pękniętą miednicę. Ponoć w dzienniku służby była adnotacja, że na spacerunku doszło do incydentu. Obaj uczestnicy starcia zostali wyprowadzeni z wybiegu i odeskortowani do cel. Według zeznań strażników w trakcie drogi chrabąszcz szarpał się i wierzgał, co doprowadziło do jego nieszczęśliwego upadku ze schodów, który skończył się urazami z jakim trafił na izbę chorych. Tak brzmiała oficjalna wersja. Natomiast co innego mówił Trulski. Twierdził, że kiedy przekroczyli wrota wiodące na pawilon "D" klawisze zabrali harcerzyka do izolatki na krótką pogaduchę... Po tym zdarzeniu nikt w trakcie pobytu na promenadzie nie kręcił się już w pobliżu Gołąbka i jego skrzydlatych kumpli. Przez wiele miesięcy prawy, południowy róg spacerniaka, należał tylko do mojego współlokatora.

Kiedy człowiek jest młody, bardzo często odnosi wrażenie, że czas się wlecze, ciągnie, snuje resztką sił i tak wolno przemija, jakby chciał nas w ten sposób ukarać i nauczyć pokory. Może to złudzenie wynika z tego, że młodość jest niecierpliwa? Chcemy szybko doświadczać, szybko mieć, szybko zdobywać. Młodość nie lubi czekać, a jedyną rzeczą jaką potrafi najlepiej robić, to wysuwać żądania. Czasami myślę, że chciałbym być znów młody, ale mieć ten rozum, który mam teraz. To byłoby coś!

Powiem wam tak, pewnego dnia bardzo się zdziwicie i stwierdzicie z przerażeniem, że czas zasuwa jak szalony. Nagle okaże się, że nawet nie zauważyliście kiedy minął ostatni rok. Ja swoje zaskoczenie przeżyłem wiosną 1960 roku, kiedy zdałem sobie sprawę, że właśnie minęło dwanaście miesięcy do dnia, kiedy Pan Cipa poszedł na emeryturę. Zleciało jak z bicza trzasnął! W tym roku przypadały też moje sześćdziesiąte urodziny, a ostatnie trzydzieści osiem lat spędziłem za kratami. Pamiętam jak wtedy pomyślałem: *Chryste Panie, przecież nie tak dawno miałem pięćdziesiątkę! Czy to możliwe, żeby dziesięć ostatnich lat minęło jak pstryknięcie palcami?! Z dnia na dzień coraz częściej brało mnie na robienie rachunków sumienia, podsumowania, wyłuskiwanie osiągnięć i sukcesów, bilansowanie błędów i porażek. Im więcej nad tym dumałem, tym bardziej zaczynałem popadać w bliżej nieokreśloną rozpacz duchową. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że moje całe cholerne życie nigdy nie miało najmniejszego sensu. Nocami leżąc na pryczy słyszałem miarowy oddech śpiącego Gołąbka i zastanawiałem się, a gdyby mnie nigdy tu nie było? Czy moja nieobecność na tym świecie, miałby*

jakiegokolwiek znaczenie? Czy ktoś ucierpiałby z tego powodu? Czy ktokolwiek, oczywiście oprócz tej szui Wiktora, miał ze mnie jakiś pożytek? Czy na moim nieistnieniu ktoś by coś stracił lub zyskał? Najgorsze i najbardziej przerażające było to, że nie miałem nikogo, kto mógłby mi powiedzieć - fajnie, że jesteś.

Lubiłem Gołąbka, ale on nie był dla mnie dobrym kompanem do prowadzenia filozoficznych dyskusji. Przecież on w ogóle mało co mówił, a ja coraz bardziej czułem niewyobrażalną potrzebę, żeby z kimś pogadać na ten temat. Porozmawiać z osobą, która będzie w stanie mnie zrozumieć. Nie chodziło o to, że szukałem pocieszenia, bo nie potrzebowałem głaskania i przytulania. Szukałem rady, recepty na to, co robić? Jak żyć, żeby dalej zmagać się ze swoim losem? Jaki nadać sens swojemu istnieniu? Wiele razy miewałem w swoim życiu takie chwile, które powodowały, że czułem się załamany lub zdruzgotany. Bywało tak, oj bywało ale to co dopadło mnie w przededniu szóstego dziesięciolecia miało zupełnie inny charakter.

- Dziś noc Kupały - powiedział Gołąbek, kiedy zajadaliśmy więzienną obiadokolację.

- I co w związku z tym? - Zapytałem.

- Nic - odparł.

No to błysnęłaś chłopie - szepnąłem w myślach.

- Moja matula zawsze gadała, że to magiczna noc - odezwał się po chwili. - Tam skąd pochodzę, ludzie wierzyli, że jeśli ktoś cierpiał na jakieś dolegliwości, właśnie tej nocy mógł się ich pozbyć. Ktoś taki musiał po zmroku, ale koniecznie przed wschodem słońca, obmyć swoje całe ciało wodą. Jeśli to zrobił, mógł liczyć na uzdrowienie - spoglądałem na Gołąbka i nie byłem w stanie ukryć swojego zaskoczenia. Nie chodziło o to, że mówił o jakichś gusłach i czarach tylko, że rozgadał się na całego.

- Czemu mi o tym mówisz? - Zapytałem.

Janek podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

- Może powinienes się umyć - stwierdził i jak gdyby nigdy nic wrócił do pałaszowania swojej stawy.

Słyszając jego słowa zgłupiałem.

- Myślisz, że coś mi dolega? - Rzekłem udając zdziwienie.

- Ty chyba wiesz lepiej ode mnie - powiedział spokojnym głosem i na tym skończyła się nasza rozmowa.

Tej nocy znowu nie mogłem zasnąć. Leżałem na wznak, wpatrywałem się w cienie malujące na suficie i zastanawiałem się nad tym, czy faktycznie było po mnie widać, że coś mnie dręczy? Raz po raz zegar na wieży wybijał kolejne kwadransy. Gołąbek pochrapywał w najlepsze, a ja ciągle leżałem z otwartymi oczami i borykałem się z moimi dylematami nieistnienia. W pewnym momencie pomyślałem: - *A co mi tam! Przecież nie mam nic do stracenia!* Usiadłem na pryczy i sięgnąłem po fajkę. Kiedy skończyłem palić szluga, rozebrałem się do naga. Skradając się na palcach podszedłem w róg pomieszczenia, gdzie stała bomba i wiadro z wodą. Sięgnąłem po szmatę, zamoczyłem ją w wodzie i zacząłem dokładnie obmywać swoje całe ciało.

Jak zapewne wiecie noc letniego przesilenia od zarania ludzkości zawsze była traktowana w szczególny sposób. Każda religia i każda starożytna cywilizacja obchodziła

wtedy swoje obrządki i rytuały, niekiedy związane nawet ze składaniem krwawych ofiar. Może rzeczywiście najkrótsza noc w roku ma w sobie coś magicznego? Nie potrafię sensownie wyjaśnić, dlaczego w 1960 w środku nocy rozebrałem się do naga i obmyłem swoje ciało wodą. Może stało się tak dlatego, że po prostu byłem zdecydowany zrobić cokolwiek, byleby tylko pozbyć się z łepetyny niepotrzebnych dumań. Kto miałby ochotę żyć w podłym miejscu i jeszcze utwierdzać się w przekonaniu, że jego cała przeszłość, terażniejszość i przyszłość są tak naprawdę gównem? Nie wiem jak to się stało i kiedy, że straciłem kontrolę nad swoją w miarę ustabilizowaną egzystencją. Nie wiem też, co tak naprawdę było tego powodem. Chwile słabości? Zwątpienia? Stagnacja? Rutyna? Powtarzalność? A może wszystko razem wzięte? Nieważne były przyczyny, ale objawy z którymi powoli zaczynałem sobie nie radzić. Gdybym miał wybierać pomiędzy bólem duszy a bólem brzucha, wolałbym cierpieć na to drugie. Zawsze twierdziłem, że psychiczne dolegliwości doskwierają bardziej niż fizyczne cierpienia. W każdym bądź razie muszę wam wyznać, że obmycie ciała w Noc Kupały przyniosło mi ukojenie. Nie bez powodu mówią, że wiara czyni cuda. Pokładałem nadzieję w zabobonach i opłaciło się, gdyż moje problemy zniknęły jak ręką odjął, a ja zacząłem sypiać snem sprawiedliwego.

W sierpniu została mi jeszcze do opanowania ostatnia księga "Pana Tadeusza". O Jezusie, ależ byłem dumny z tego, że wykułem na pamięć tyle tekstu! W sumie to nie wiem czy bardziej cieszyłem się z tego, że niebawem zgram od Wojtasa wygraną, czy z tego, że po prawie dwóch latach dopiąłem celu.

Postanowiłem, że nasz zakład zostanie sfinalizowany na promenadzie w pierwszą niedzielę jesieni.

Byłem pewien, że wygram.

Mówię wam, to było kurde widowisko. Wojtas oczywiście liczył na moją porażkę i chciał, żeby świadkami jego zwycięstwa było trzech siemachów z którymi trzymał sztamę. Chyba już wcześniej musiał im powiedzieć w czym rzecz, bo w dniu wielkiego finału zjawił się razem ze swoim kumplami.

- Panowie - powiedział patrząc po ich twarzach - zostaniecie świadkami, bo teraz sprawdzę, czy generał faktycznie wystukał całą książkę na pamięć.

- Oszalałeś?! - Jeden z nich rzucił zabawnym tonem. - Przecież jak będzie miał mówić linijka po linijce, to recytowanie potrwa całą wieczność. Tylko spójrz jaka ta kniga jest gruba! - Na dźwięk jego słów pozostali zanieśli się śmiechem.

- Spokojnie - rzekł Wojtas - przelecimy przez tekst wybiórczo - po czym spojrzał na mnie i zapytał. - Chyba nie masz nic przeciwko?

- Wał śmiało - odparłem - czytaj zdanie, a ja dalej pojedę z tym światem.

- No to zaczniemy na przykład stąd - powiedział i otworzył książkę w połowie. - Uwaga - podniósł do góry palec i przeczytał: - Dobrze zrobił Protazy, że w drogę pośpieszył... - urwał i posłał mi uśmiech.

Wtedy ja dawaj snuć kwestię:

- Bo nie długo by swoim pozwem się nacieszył. W Soplicowie zmieniano kampanii plany. Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany, i rzekł: sędzio, to bieda nam z tą panią ciotką, z tą panią Telimeną, kokietką i trzpiotką! Kiedy Zosia została dzieckiem w

biednym stanie... - podczas recytowania zacząłem się wczuwać w rolę, jakbym był prawdziwym aktorem. W odpowiednich momentach mój głos zyskiwał barwę adekwatną do sytuacji, na przykład kiedy rzekłem: - Zgodzić? Cóż to znaczy! A idźże mi waść wreszcie z tą zgodą do licha! - Przerwał Sędzia, tupnąwszy nogą - patrzcie mnicha! - Nie dość, że mówiłem podniesionym tonem, to jeszcze tupnąłem nogą. Natomiast gdy dotarłem do fragmentu: - Sędzia, słuchając, z wolna okulary składał i wpatrując się mocno w księdza, nic nie gadał. Westchnął głęboko, w oczach łzy się zakręciły... - to brzmiałem tak, jakbym chciał faktycznie oddać całą potęgę ludzkiego przygnębienia.

Jeden z szamaków gwizdnął z podziwem i rzekł:

- Wojtas, chyba pójdziesz z torbami - a reszta towarzystwa zarechotała z rozbawieniem.

- Spokojnie, tylko spokojnie - powiedział ten z którym się założyłem. - To teraz sprawdzimy jak ci pójdzie w tym miejscu - ponownie na ślepo rozłożył kartki i zaczął czytać: - Kiedy dzieci, przełękłe podróżnego wniściciem... - i dłonią wykonał taki ruch, jakby zapraszał mnie do dalszej kontynuacji.

- Jedna mała uwaga - odparłem i uniosłem do góry brwi - musisz uważniej czytać, tam nie pisze wniściciem tylko wniściami.

Wojtas na dźwięk moich słów spojrział ponownie w tekst.

- Generał ma rację - rzucił inny z jego kumpli, który spoglądał w tekst przez jego ramię.

Nie czekając na kolejne komentarze zacząłem deklamować od zdania, którym zaczął mój sprawdzający:

- Kiedy dzieci, przełękłe podróżnego wniściami i ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie. Posłyszała, uczuła, że jest nieroztropnie... - trajkotałem jak nakręcony i przysięgam wam na wszystkie świętości, że nie pomyliłem się ani słówkiem.

Jeszcze pięć albo sześć razy Wojtas zaczynał coś czytać, a ja za każdym razem bezbłędnie ciągnąłem dalej. Nawet nie macie pojęcia, jaki byłem z siebie cholernie dumny. Dokonałem tego, dokonałem rzeczy niemożliwej!

W pewnym momencie Wojtas rozłożył bezradnie ręce i stwierdził załamany głosem:

- Kurwa mać, przegrałem... - a jego kumple mieli z tego powodu niezły ubaw.

Tamtego dnia zgarnąłem dwie pierwsze skrzynki z dziesięciu. Wymusiłem też na moim rywalu, żeby w obecności charakterniaków określił się w jakim czasie otrzymam pozostałą wygraną. Ustaliliśmy, że ostateczny termin naszego rozliczenia upływa z ostatnim dniem października. Wiedziałem, że tak się stanie, bowiem dla grypsujących słowo dane publicznie było sprawą honorową.

Przez chwilę rozmawiałem z siemachami, bo byli ciekawi ile czasu zajęło mi wystukanie książki na pamięć i w pewnym momencie doznałem olśnienia.

- Panowie - odezwałem się konspiracyjnym tonem, jakbym się obawiał, że reszta więźniów będących na spacerunku może usłyszeć moje słowa - jeśli któryś z was chciałby zarobić na moich umiejętnościach, to może ze mną ubić dobry interes. - Zrobiłem krótką pauzę i spojrzałem po ich twarzach. Słowo "interes" zawsze budziło nieukrywane zainteresowanie. - Możecie przyjmować zakłady w moim imieniu. Tylko sprawę

trzymamy w tajemnicy. Szukacie chętnego, który będzie chciał mnie sprawdzić. Ja kasuję dwie skrzynki za recytację i nie interesuje mnie ile wy na tym zarobicie. Jakby co, to jestem do waszej dyspozycji.

Pomysł był genialny w swej prostocie i na początku naprawdę okazał się trafiony. Nawet wiele miesięcy później bywały takie niedzielne wybiegi, że zgarniałem nawet sześć skrzynek. Po jakimś czasie jednak wszyscy wiedzieli, co potrafię i udawało się naciągać tylko naiwnych świeżaków.

Raptem dwa tygodnie po tym, jak odniosłem miażdżące zwycięstwo nad Wojtasem, nadarzyła się inna okazja. W każdy pierwszy czwartek miesiąca musiałem się zgłaszać do biblioteki i pokazywać, że nadal jestem szczęśliwym posiadaczem lektury wypożyczonej ponad dwa lata temu. To był idiotyczny przepis, ale cóż mogłem począć. Mus to mus. Tym razem jednak zjawiłem się po to, żeby ją w końcu oddać. Kiedy znalazłem się w królestwie książek, znajomy klawisz zapytał o to co zawsze:

- I co, wykułeś już "Pana Tadeusza"?

Do tej pory mówiłem, że pracuję nad tym, ale tamtego dnia byłem już mistrzem świata i odparłem z nieukrywaną dumą:

- Wykułem towarzyszu kapralu!

- Poważnie?!

- Najpoważniej! - Uderzyłem się dłonią w piersi.

- Nie wierzę...

- Zawsze możemy się założyć - wpadłem mu w zdanie.

- Żabikowski, wy sobie tutaj za dużo nie pozwalajcie - niby mnie skarcił, ale jednak w jego głosie dało się wyczuć zaintrygowanie. - A o co chcielibyście się założyć?

Pomyślałem: - *Co mi tam?* - i rzekłem:

- O pięć paczek papierosów.

- Wygórowane macie zachcianki Żabikowski - powiedział z uśmiechem i pokiwał głową. - Mam lepszą propozycję. Jeśli wygram dacie mi pięć paczek fajek, a jeśli przegram to dostaniecie ode mnie coś takiego, że zwariujecie.

Spojrzałem na niego pytającym wzrokiem.

- Mówię poważnie, cały urok naszego zakładu będzie w tym, że wy nie będziecie wiedzieć co wam dam, jak wygracie.

- Towarzyszu kapralu - zaśmiałem się ironicznie - przecież to bez sensu...

- Żabikowski, a czy możecie mi uwierzyć na słowo? - Przyglądał mi się uważnie i muszę wam powiedzieć, że czułem się zaintrygowany. - No to jak będzie? Zaryzykujecie zakład w ciemno?

W sumie mogłem się wypiąć, ale z drugiej strony cóż mi szkodziło podjąć wyzwanie? Przecież i tak wiedziałem, że dam radę.

- No dobrze, lubię niespodzianki - odparłem - mam nadzieję, że nagroda będzie dla mnie miłym zaskoczeniem.

Klawisz wyciągnął przed siebie dłoń, żeby przypieczętować nasz zakład.

Sprawdzał mnie w ten sam sposób co Wojtas.

Piętnaście minut później stwierdził z uznaniem, że zwyciężyłem.

- Zaimponowaliście mi Żabikowski! Niech was kule biją! Macie nie lada łeb! Ile

czasu wam to zajęło?

- Raptem dwa lata, ale tylko dlatego, że się nie przykładałem jak należy.

- Dobrze sobie! - Z rozbawieniem walnął dłonią w blat biurka. - Poświęciliście dwa lata, żeby wykuć na pamięć książkę. Chciałbym mieć na pierdoły tyle czasu co wy.

- Coś trzeba robić towarzyszu kapralu, żeby nie umrzeć z nudów - skwitowałem, a potem spytałem: - To kiedy mogę się spodziewać mojego łupu?

- Jeszcze w tym roku - powiedział i uniósł do góry palec, jakby tym gestem chciał podkreślić, że tak się stanie. - Zwariujecie Żabikowski, Bóg mi świadkiem, że zwariujecie.

- Trzymam was za słowo towarzyszu kapralu.

Nagrodę niespodziankę w postaci kilku luźnych kartek papieru z tekstem napisanym maszyną, dostałem w pierwszej połowie grudnia i teraz powiem wam tylko tyle, że warto było kurde czekać!

Wojtas uczciwie spłacał swój dług i za każdym razem, kiedy wręczał mi fajki lub paczkę z herbatą mówił z udawaną złością:

- Niech cię szlag Ropuch!

Każdy więzień mógł trzymać w celi papierosy, oczywiście w jakichś rozsądnych ilościach ale jeśli idzie o herbatę, to w tamtych czasach należała do towarów objętych więziennym embargiem. Za posiadanie suszu można było niezłe beknąć. Nie dość, że klawisze konfiskowali twój cały towar, to jeszcze pozbawiali cię wszystkich rzeczy, które do ciebie należały lecz w myśl przepisów nie mogły znajdować się w celi. Jak miałeś z gadami na pieńku albo podskakiwałeś, to popołudniami sprzątałeś przez tydzień silosy brnąc po kostki w gównie. Mogłeś też na jakiś czas stracić robotę zarobkową lub załapać się nawet na kwartalny zakaz odwiedzin i korespondencji. Jednak do najbardziej rygorystycznych kar należał pobyt w izolatce albo kilka nocy na "twardym łożu". Co tu więcej gadać? Herbata po prostu mogła człowiekowi narobić niepotrzebnych problemów i tyle w temacie.

Doskonale wiedziałem czym grozi wpadka i dlatego te autobusy, które dostałem za moją wygraną, trzymałem ukryte w stolarni. Zakamarków i wszelakich schowków było tutaj od groma, a poza tym w głowie zaczął mi kiełkować pewien plan... Podjąłem również decyzję, że w dniu moich sześćdziesiątych urodzin walniemy sobie z Gołąbkim po kubku magicznej parzacha. Pewnie myślicie, że to był kretyński pomysł, prawda? Przecież lata temu wpędziłem się w sidła nałogu, waliłem czajurę jak durny, żeby poczuć jak rwące potoki emocji i wrażeń pomkną przez moje żyły, a w umyśle eksplodują złudzenia błogiej lekkości i totalnego odprężenia. Wrota wiodące do krainy zapomnienia znów były na wyciągnięcie ręki. Powiem wam tak, gdybym był słaby i uległy, to już dawno odurzałbym się jemiołą. Miałem jednak na tyle oleju w głowie, że zdawałem sobie sprawę czym to grozi, kiedy słabość bierze górę nad rozumem. Ja po prostu chciałem tylko zaszaleć z okazji rozpoczęcia szóstej dekady życia i na tym koniec. To miał być tylko jednorazowy wyskok i tak też się stało.

Gołąbek nawet nie słyszał o takim napoju jak parzacha. Kiedy wieczorem przyglądał się w jaki sposób przyrządzam miksturę, marszczył czoło i krzywił się z niesmakiem.

- Daj spokój - powiedział - chcesz mnie namówić, żebym to coś wypił?!

- Gwarantuję ci, że nie pożałujesz - odparłem wykruszając ze szluga tytoń, który miał spotęgować działanie. - To taki stary, więzienny sposób, żeby waliło w palnik. Jeszcze na długo przed wybuchem wojny, siedział w tym pierdlu koleś na którego wszyscy wołali Koniu - tymi słowami zacząłem snuć swoją opowieść - byliśmy kumplami - a w myślach dodałem "do czasu" - i to właśnie on pokazał mi jak w prosty sposób można się urznąć. - Potem mu opowiedziałem, jak to bawiliśmy się przez długie miesiące w stolarni. W pewnym momencie spytałem znienacka zmieniając temat:

- Spiłeś się kiedyś wodą, ale wiesz tak na umór?

Gołąbek spojrział na mnie, westchnął i rzekł:

- Nawet nie chcę sobie tego przypominać. Po prostu nie chcę.

Kiedy wypowiadał swoje słowa, jego głos brzmiał bardzo smutno. Pomyślałem, że ma jakieś niemiłe wspomnienia, które miały związek z wodą ognistą. Moje podejrzenia okazały się słuszne, ale przekonałem się o tym dopiero w nadchodzącej przyszłości.

- Czyli swojego doświadczyłeś - rzekłem - bo wiesz, nie wolno mylić efektu czajury z alkoholowym upojeniem. To coś zupełnie innego. Walisz taki kubek ale ciurkiem - wskazałem dłonią na nasze naczynia spoczywające na blacie stołu - i dosłownie po chwili czujesz, że otwierają się wrota niebios. Zresztą sam się zaraz przekonasz.

- Ale ja nie wiem czy chcę pić to dziadostwo. Toż to smoła, a nie herbata i na dodatek z tytoniem. Tfu! - Udał, że splunął.

- Słuchaj Gołąbek, po pierwsze napój jest sprawdzony - rzekłem z powagą - a po drugie, dzisiaj jest pewna szczególna okoliczność i naprawdę chciałbym, żebyś wznioł ze mną toast.

- Okoliczność? Jaka okoliczność? - Zapytał zaskoczony.

- Właśnie stuknęło mi sześćdziesiąt lat - odparłem.

- Serio?! No to wszystkiego najlepszego - wyciągnął w moim kierunku dłoń - nie wiem czego życzy się w więzieniu, ale obyś cieszył się dobrym zdrowiem.

- Dziękuję i w takim razie - podałem mu kubek - do dna!

Stuknęliśmy się i duszkiem wypilem zawartość z mojego naczynia.

Gołąbek natomiast krzywił się i skręcał. Cierpki smak parząchy powodował, że raz po raz podrygiwał, jakby trzepały nim dreszcze. Męczył, męczył ale zmęczył. W końcu odłożył kubek na stół i z ustami pełnymi śliny powiedział:

- Chyba się zaraz zrzygam.

- Spokojnie, wszystko jest dobrze i nie będziesz nic z siebie wyrzucał. Oddychaj, spokojnie oddychaj.

Po kilku chwilach oczy Gołąbka nabrały nienaturalnego blasku. Siedział bez ruchu i w pewnym momencie w dwóch słowach wyraził swoje emocje:

- Oż kurwa... - po czym padł na pryczę niczym bezwładny manekin.

Nie wiem jakie ogarnęły go wrażenia, bo tego wieczoru nie odezwał się nawet słowem.

Na zrobienie eliksiru zużyłem pół autobusu, a mimo to moc parząchy była okrutna. Położyłem się na wznak i sięgnąłem po fajkę. Spaliłem szluga ale wołałem nie podnosić się z miejsca, bo przy każdym najmniejszym ruchu świat zdawał się wirować i kręcić. Można powiedzieć, że pierwsze minuty po spożyciu jemioli, to fala prawdziwej euforii.

Serce wali jak opętane i człowiek czuje, jakby w jego żyłach dudniły kroki wielotysięcznej armii. Siła tych wrażeń rozsadza skronie i może swą potęgą przerazić każdego debiutanta, który postanowił posmakować czajury. Grunt to nie wpadać w panikę i spokojnie dotrwać do momentu, kiedy wszystko ustaje. Ten początkowy zryw uniesienia cichnie, rozplywa się, rozlewa po każdym zakamarku ciała i zamienia się anielską błogość. Kapitalne doznanie! Zawsze twierdziłem, że najbardziej uroczy jest ten moment, kiedy magiczna mikstura przenika duszę i umysł przynosząc z sobą złudzenie fizycznej lekkości. To jest tak jakby człowiek lewitował kilka centymetrów nad ziemią. Swoboda. O tak. Myślę, że to najlepsze słowo, które określa samopoczucie po odpowiedniej dawce jemioli.

Pisząc swoje wspomnienia daleki jestem od siania mitów i sztucznego wyolbrzymiania faktów. Staram się trzymać moją fantazję na wodzy i nie idealizować żadnych zdarzeń, dlatego z ręką na sercu mogę stwierdzić, że moje sześćdziesiąte urodziny były po prostu udane.

Ku mojemu zaskoczeniu wspólne wypicie parząchy sprawiło, że relacje pomiędzy mną i Gołąbkim, zyskały zupełnie nowe oblicze. Mój współlokator stał się bardziej otwarty i skory do rozmowy. Z dnia na dzień wszystko się zmieniło, jakby ręką odjął. Nie sądzę, żeby sprawiła to czajura, bardziej jestem skłonny twierdzić, że w końcu po ponad trzech latach odsiadki coś w nim pękło. Przypadkiem stało się to akurat wtedy, kiedy uderzyliśmy w gaz.

Kilka dni po naszej herbacianej libacji Gołąbek zadał mi pytanie, które bardziej brzmiało jak propozycja:

- Może za jakiś czas przełknęlibyśmy to znowu?
- Co, spodobało ci się?
- No spodobało - westchnął - pozwala zapomnieć.
- Wiem o czym mówisz - odparłem - ale uwierz mi, to wciąga jak cholera. Masz pojęcie ile na spacerunku kosztuje taka paka, którą z sobą przyniosłem?
- Ile?
- Dwadzieścia paczek papierosów.
- Ile?! - Prawie wrzasnął.
- To cholernie luksusowy towar. Dużo kosztuje i szybko wciąga - spojrzałem mu prosto w oczy i rzekłem: - Coś o tym wiem - a potem sam od siebie z najdrobniejszymi szczegółami zacząłem mu opowiadać o moich doświadczeniach z zamierzchłej przeszłości.

Gołąbek z nieukrywanym zainteresowaniem słuchał mojej historii.

- Jesteś ode mnie młodszy o dwa lata, to tyle co nic - stwierdziłem - i myślę, że w naszym wieku przesada mogłaby być brzemienna w skutkach. Wiesz co pamiętam z czasów, kiedy jak dziki waliłem parząchę? - Zapytałem, ale nie czekałem na jego odpowiedź. - Tylko tyle, że byłem wiecznie urzęnięty. Nic więcej. Potem skończyło się tak, jak się skończyło i chyba miałem szczęście, że nie zniszczyłem sobie do reszty bebeczów.

Wiele razy przekonałem się o tym, że jeśli człowiek z kimś rozmawia i na przykład mówi o swoich doświadczeniach, o chorobach, o pracy, o rodzinie, o kobietach czy

jakichś zwariowanych przeżyciach, wówczas jego rozmówca zaczyna się rewanżować podobnymi opowieściami. Ja poruszyłem wątek nałogu i uzależnienia, a Gołąbek podłapał temat i opowiedział mi wtedy o swoich słabościach. Z jego słów wynikało, że lubił się napić. Nie stronił od żadnych napoi alkoholowych. Żłopał wszystko jak leci piwo, wino, wódkę, bimber. Stwierdził, że przez większość swojego życia cały czas był na cyku. Z jego słów wynikało, że nie uchlewał się na umór, bowiem za tym nie przepadał, tylko lubił się wprowadzić w stan lekkiego rauszu. Jego życie nie było skomplikowane. Mieszkał w małej miejscinie, miał żonę i dzieci, pracował w charakterze ślusarza w jakimś państwowym kombinacie i hodował gołębie.

- Niewiele potrzebowałem do szczęścia - powiedział i zaraz potem dodał: - wystarczyła ćwiartka dziennie.

- Czyli krótko mówiąc - odparłem z uśmiechem - byłeś drobnym pijaczkiem.

Zaśmiał się słysząc moje słowa, po czym podniósł się z pryczy, obrócił niczym łyżwiarz wykonujący piruet i rzekł:

- Bozia poskapała mi ciała, zawsze byłem drobny.

Usiadł na taborecie i odezwał się dopiero po chwili:

- Diabeł wstąpił we mnie dopiero wtedy, jak dzieciaki podrosły i poszły na swoje.

Grosza było więcej i zacząłem przesadzać z wódą... - urwał w pół zdania i spojrzał w okno.

Nie naciskałem na niego i nie drażyłem wątku. Wiedziałem, że pewnego dnia opowie mi więcej.

Z początkiem listopada postanowiłem wdrożyć w życie mój herbaciany plan. Kombinacja miała mi przynieść nie tylko korzyści materialne, ale również zaskarbić sobie przychylność jednego z największych wronieckich charakterniaków i dlatego wciągnąłem w temat Wojtasa. Facet był w porządku i wiedziałem, że mogę mu zaufać.

- Wojtas, sprawę mam - powiedziałem pewnego dnia podczas przerwy.

- Nawijaj.

- Wiem, że wykosztowałeś się na fanty za przegrany zakład...

- Czy możesz mnie nie podkurwiać - wpadł mi w zdanie - i nie przypominać mi o tym?

Nie był zły, chociaż na takiego chciał pozować.

- Dlatego proponuję ci interes, dzięki któremu odrobisz swoje straty - uśmiechnąłem się i poczęstowałem go szlugiem. - Siadźmy z boku, żeby kogoś uszy nie zaswędziały.

Usiedliśmy pod oknem z dala od pozostałych.

- Chcesz zarobić?

- Nie pytaj, tylko klaruj bez ściemy - odparł.

- Jak wiesz mam sporo suszu na zbyciu. Pomyślałem, że zainteresuje cię posada wielbłąda - określenie może brzmiało nieciekawie, ale nie było czymś uwłaczającym godności siemacha. - Ja daję towar, ty sprzedajesz i dzielimy się pół na pół. Osiem autobusów chcę przeznaczyć na handel. Z jednego możemy zrobić dziesięć szuflad, zejdziemy z ceną i popchniemy każdą za cztery skrzynki - specjalnie użyłem liczby mnogiej, żeby miał wrażenie iż traktuję go jak współnika - dwie dla mnie i dwie dla ciebie.

Jeśli będziemy porcjować towar tak jak proponuję, to zarobimy dwa razy więcej niż za sprzedaż całego przegubowca. Co ty na to?

Spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem i zapytał:

- Czemu proponujesz mi spółkę, skoro sam mógłbyś się tym zająć i zgarnąć całą pulę?

- Widzisz to jest tak - rzekłem - wszyscy mnie znają, ale ja tak na dobrą sprawę nie znam nikogo. Poza tym nigdy nie miałem smykałki do handlu. Spójrz tylko - pokazałem mu moją lewą dłoń - widzisz te blizny? To pamiątka po tym jak całe lata temu chwyciłem się w więzieniu za handel morfiną.

- Handlowałeś w pudle morfiną?! - Zapytał z niedowierzaniem.

- Stare dzieje, nie ma o czym gadać - odparłem - ale jak patrzę na swoją dłoń, to wiem, że marny ze mnie subiekt. Zresztą nieważne. Proponuję ci udział, bo jesteś godny zaufania. To po pierwsze, po drugie lubię cię i po trzecie myślę, że chciałbyś odrobić straty, które poniosłeś skuli naszego zakładu. Jesteś w porządku, więc potraktuj moją propozycję jak przyjacielską przysługę. Więc jak będzie? Wchodzisz w to czy nie?

- Całe ryzyko na moich barkach - stwierdził - i...

- I dlatego dzielimy się fifti fifti - wpadłem mu w zdanie. - Nie będziemy szaleć, żeby nie podpaść, wiesz jak jest, licho nie śpi. Jeśli nagle na promenadzie pojawi się zbyt dużo towaru, ktoś może zacząć klepać dziobem i sprawa się rypnie. Jeżeli będziemy opychać maksymalnie pięć szuflad na tydzień, żyjemy jak tłuste baki i mamy co jarać. Sam wiesz, że z robotą jest krucho i każdemu stolarzowi brakuje funduszy na zakup papierosów. Jeśli uda ci się sprzedać drożej, wtedy cała nadwyżka jest twoja. Ja kasuję dwie skrzynki za szufladę i w nic nie wnikam. Pasuje?

- Ty tutaj rządzisz szefie - odparł z uśmiechem - pasuje! - I uściśnął mi dłoń.

Wojtas rozpuścił wieści wśród zaufanych siemachów i natychmiast okazało się, że zapotrzebowanie jest tak ogromne, iż moglibyśmy wszystko upłynnić na pniu. Nie poszliśmy na to tylko z jednej prostej przyczyny. Nie poradzilibyśmy sobie z ukryciem tak potężnej ilości papierosów. Trzymaliśmy się planu i raz na tydzień do naszych kieszeni wpadało po dziesięć skrzynek. Wszystko wskazywało na to, że nawet jeśli do wiosny stolarnia nie dostałaby żadnego zlecenia z zewnątrz, to my i tak będziemy mieli co palić.

Żyć nie umierać!

Dzdzysty listopad miał się ku końcowi i nic nie wskazywało na to, żeby aura chciała się zmienić. Kiedy człowiek przez miesiąc nie widzi słońca i skrawka błękitnego nieba, to popada w ponury nastrój. Nawet Filip, który każdego dnia przylatywał i siadał w oknie naszej celi, również wyglądał na przygnębionego.

Moją ucieczką od szarości, która spowijała świat były książki. W każdy czwartek meldowałem się w bibliotecę, wypożyczałem nową lekturę i przy okazji pytałem klawisza:

- Jak tam moja nagroda towarzyszu kapralu?

On natomiast za każdym razem sprzedawał mi tę samą śpiewkę, że mam być cierpliwy i na tym się kończyło. Zaczynałem powątpiewać czy dotrzyma słowa.

Pewnego dnia wypatrzyłem na jednej z półek dwanaście książek, które miały

identyczne grzbiety okładek. Od razu pomyślałem, że jeśli to nie jest encyklopedyczny zestaw, to może jakieś wielotomowe czytadło? Książki na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie całkiem nowych. Kiedy podszedłem bliżej okazało się, że to było wydanie jubileuszowe, które obejmowało wszystkie powieści Henryka Sienkiewicza. Znałem tylko trylogię, ale reszta jego dzieł była mi całkiem obca. Moją uwagę od razu przykuł tytuł "W pustyni i w puszczy". Miał w sobie coś intrygującego. Zerknąłem na pierwszą stronę i natychmiast poczułem zaskoczenie, bowiem niewiele powieści zaczyna się od dialogu. W pierwszym zdaniu dowiedziałem się, że niejaka Fatma i jej troje dzieci zostało aresztowanych... Przeleciałem wzrokiem po zapisanych wersach. Zapowiadało się ciekawie, a poza tym Sudan, Port-Said, Staś, Nel i jeszcze jakiś Mahdi, gorszy niż całe stado krokodyli. Wiedziałem, że ta książka będzie doskonałą rozrywką i pozwoli zapomnieć o ponurym i szarym świecie, który królował po drugiej stronie okna.

Bardzo szybko stwierdziłem, że Sienkiewicz potrafił świetnie pisać i postanowiłem, że przeczytam wszystkie jego powieści.

Tydzień później, kiedy wypożyczałem "Krzyżaków" klawisz mający pieczę nad biblioteką wyjął z szuflady szarą kopertę, dyskretnie włożył ją pomiędzy stronicę i rzekł:

- To twoja wygrana i nie dostałeś tego ode mnie, jasne?
- Jak słońce, towarzyszu kapralu!

Po powrocie do celi natychmiast sprawdziłem co zawiera tajemnicza koperta. To było pięć kartek na których spisano trzynastą księgę "Pana Tadeusza". Domniemywam, że niektórzy z was mieli okazję czytać lub słyszeli treść owej księgi przesiąkniętej wulgarnymi słowami. W pewnym sensie stanowiła ona dopełnienie całego dzieła, skupiając się na wydarzeniach nocy poślubnej Tadeusza i Zosi. Na początku zachodziłem w głowę, kto napisał tę historię i daleki byłem od tego, żeby uwierzyć iż wyszła spod pióra naszego wieszca. Wiele miesięcy później archiwista Szorpak uświadomił mnie, że domniemanym autorem był Aleksander Fredro.

W ciągu trzech dni wykułem na pamięć trzynastą księgę i powiem wam, że bardzo szybko zacząłem zarabiać na jej recytowaniu. Wieść o tym, że generał Ropuch za paczkę fajek opowie pikantną, wierszowaną historyjkę rozeszła się niczym grzmot błyskawicy. Za deklamację brałem od każdego skrzynkę. Nieważne ilu ludzi było w publice, każdy musiał mi odpalić działkę. W więzieniu papierosy są podstawowym środkiem płatniczym i jeśli masz fajki, to masz wszystko czego dusza zapagnie. W ciągu kilku miesięcy wymieniłem swoją całą garderobę i nosiłem się w nowiusieńkich ciuchach. Jeśli miałem ochotę na jakieś łakocie albo puszkę szprotek lub mielonkę, nie było żadnego problemu. Wszystko, dosłownie wszystko można było zdobyć jeśli miało się szlugi. Dodatkowo wpadała mi też działka za sprzedaż herbaty i żyłem jak Rockefeller. Oczywiście nie umknęło to uwadze innych więźniów oraz klawiszy. Ci pierwsi zaczęli mnie podejrzewać, że kabluje, a ci drudzy, że robię jakieś kanty.

Pewnego razu dwóch gadów odwiedziło mnie w celi i zrobili kipisz w mojej szafce.

- Skąd to wszystko macie? - Jeden z nich zwrócił się do mnie.
- Ale co konkretnie towarzyszu plutonowy? - Odparłem pytaniem patrząc na zestaw moich ciuchów, które rozrzucił po podłodze.
- Wszystko! Skąd macie wełnianą czapkę i rękawiczki? Skąd tu się wzięły

flanelowe koszule, których nie można kupić w kantynie, ciepłe skarpety albo ten beżowy sweter? Czym handlujecie Żabikowski? A może pełnicie jakąś szczególną rolę i pobieracie od innych haracz?

- Kto?! Ja?! - Odparłem zaskoczony.

- Żabikowski, wy tutaj z nami nie pogrywajcie!

Stwierdziłem, że nie ma sensu kręcić albo opowiadać bzdur. Postanowiłem powiedzieć prawdę i wyznałem im, że zarabiam na recytowaniu wierszy. Na początku nie chcieli uwierzyć w moje słowa. Spokojnie wytłumaczyłem im, że poświęciłem prawie dwa lata życia, żeby wykuć na pamięć "Pana Tadeusza". Na dowód tego, że mówię prawdę uraczyłem ich sporą dawką tekstu i przyznałem, że zakładam się z niedowiarkami o fajki i zawsze wygrywam.

- To chyba nie jest zabronione, prawda? - Spytałem i spojrzałem po ich zaskoczonych twarzach. - A te wszystkie rzeczy kupiłem od różnych więźniów, które były ich prywatną własnością i zapłaciłem im za to zdobytymi fajkami. Czy to też jest niezgodne z regulaminem?

- Wychodzi na to, że niezły z was cwaniak - stwierdził towarzysz plutonowy, ale w jego oczach i tak widziałem cień niedowierzania. - Będę was miał na oku Żabikowski!

W międzyczasie moje stosunki z Gołąbkim zyskały zupełnie nowe oblicze. Pod koniec 1960 roku sam od siebie w wigilijny wieczór opowiedział mi o zbrodni, której się dopuścił. Może to i lepiej, że mój współtowarzysz nie potrafił barwnie opowiadać... To była przerażająca historia, która rozegrała się kilka lat temu w domowym zaciszu. Nadmiar wódki i błahe problemy skończyły się tragedią, a Jan Trulski został mordercą. Najbardziej okrutne było to, że zabił kobietę, której kiedyś przysięgał przed Bogiem miłość i wierność małżeńską. Kobietę, która urodziła mu dzieci. On sam nawet nie wiedział czemu to zrobił. Twierdził, że był wtedy pijany w sztok i musiał wstąpić w niego jakiś zły duch. Pamiętał, że wybuchła awantura, ale przysięgał na wszystkie świętości, że nie wiedział co było jej przyczyną. Puściły mu nerwy, złapał za siekierę i jednym ciosem rozłupał swojej małżonce łeb. Trauma, jaką zafundował swoim najbliższym sprawiła, że dzieci się od niego odwróciły.

- Przeklęły mnie Ropuch, przeklęły mnie na dobre. Zasłużyłem sobie na to i pewnie trafię po śmierci do piekła. Wiesz co mi powiedział najmłodszy syn? Że lepiej jakbym się powiesił, niż matce zrobił krzywdę.

Nigdy wcześniej, ani nigdy później nie widziałem, żeby ktoś tak żałował za swój grzech jak Gołąbek. Jednak cóż teraz mógł zrobić? Czasu nie da się cofnąć, a niektórych błędów nie można naprawić nawet, jeśli człowiek miałby żyć tysiąc lat.

- Myślę, że mój chłopak miał rację - stwierdził - jakbym się powiesił, to przynajmniej nikt by nie cierpiał. Trza było mi tak zrobić, trza było - rzekł i rozplakał się jak dziecko.

Trudno mi powiedzieć, jakbym zareagował na taką opowieść, gdybym nie był skazańcem. Nie wiem. Oburzenie? Potępienie? Wściekłość? Naprawdę nie wiem. Może byłbym zwolennikiem odwetu w imieniu prawa i hołdowałbym zasadzie oko za oko, ząb za ząb? Może w tym właśnie tkwi istota sprawiedliwości? Wiem natomiast, że zbyt wiele lat spędziłem w więzieniu, a to miejsce ma w sobie coś takiego, że z czasem na niektóre

sprawy człowiek spogląda w innym świetle. Nie zrozumcie mnie źle, bowiem nie staram się usprawiedliwić Gołębka, czy też kogokolwiek, kto uczynił w swoim życiu coś złego. Rzecz w tym, że w tych murach oceniasz bliźniego inaczej. Pomijając oczywiście dewiantów, gwałcicieli i zbrojców, bo oni są traktowani według zupełnie innej taryfy. Kiedy zjawiasz się w pudle, bo masz do odbycia karę, to w oczach pozostałych więźniów startujesz z czystą kartoteką. Tutaj dopiero dasz się poznać kim jesteś, co sobą reprezentujesz, na ile można ci zaufać. Ja wiem, że to wydaje się wam niedorzeczne, ale tak właśnie jest. Tutaj nie masz wyboru, żeby zdecydować z kim siedzisz w celi. Tutaj nie możesz wybrzydzać i przebierać w znajomych jak w ulęgalkach. To nie ta bajka co po drugiej stronie murów. Jak miałbym postrzegać ludzi, którzy przewinili się przez moje więzienne życie, gdybym oceniał ich po grzechach popełnionych w przeszłości? Kim dla mnie byłby wtedy Ojczulek, Suchy albo Wolf? Rozumiecie w czym rzecz? To jest naprawdę trudne i cholernie skomplikowane. Dlatego właśnie nie potępiałem Gołębka. Jan Trulski był mordercą i to nie podlega żadnej dyskusji. Dopuszczył się potwornej zbrodni, ale to miało miejsce w zupełnie innej galaktyce, bardzo daleko stąd. W tym świecie liczy się tylko to, kim jesteś tutaj. Oczywiście z drugiej strony, nie sposób nie brać wcale pod uwagę przeszłości. Nie można jej totalnie wykluczyć ale tak na dobrą sprawę z pominięciem niektórych wyjątków, ma ona drugorzędne znaczenie. Tym właśnie różni się więzienie od rzeczywistości w której wam przyszło żyć.

W styczniu 1961 roku John Fitzgerald Kennedy został trzydziestym piątym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nasza rodzima prasa również poświęciła temu wydarzeniu należytą uwagę. W niektórych artykułach padały stwierdzenia wyrażające nadzieję, że teraz, kiedy za sterami władzy stanął Kennedy, amerykańska polityka obierze właściwy kurs. W tamtych latach wszelkie informacje, które znalazły się na łamach naszej prasy, musiały najpierw przejść przez sito cenzury. Polskie gazety nie pisały na przykład o tym, że na morzu Barentsa doszło do awarii radzieckiej łodzi podwodnej w której zginęło ponad osiemdziesiąt osób. Nie pisało się o porażkach, które w jakikolwiek sposób mogłyby zdyskredytować idealny wizerunek państw bloku wschodniego, a już szczególnie ZSRR. Natomiast jeśli zdarzyła się jakaś klęska po drugiej stronie żelaznej kurtyny, wieść o tym natychmiast trafiała na pierwsze strony. Tak właśnie było z ekipą amerykańskich sportowców, którzy zginęli w katastrofie lotniczej podczas podróży do Pragi na Mistrzostwa Świata w łyżwiarstwie figurowym. Socjalistyczna propaganda dbała o to, żeby utwierdzać społeczeństwo w przekonaniu, że we wszystkim jesteśmy lepsi od imperialistów. Cóż miał sobie myśleć zwykły Kowalski, kiedy raz po raz gazety donosiły o sowieckiej ekspansji kosmosu? W lutym sonda Wenera 1 pomknęła w kierunku planety Wenus, a w marcu w ramach programu Wostok zostały wystrzelone dwa statki kosmiczne. 12 kwietnia doszło do najbardziej spektakularnego wyczynu, bowiem Jurij Gagarin został pierwszym człowiekiem, który odbył lot w przestrzeni kosmicznej. Niemalże w tym samym czasie w Zatoce Świń doszło do konfliktu zbrojnego. To była próba inwazji kubańskich emigrantów wspieranych przez rząd USA, która zakończyła się totalnym fiaskiem, a 1 maja Fidel Castro ogłosił Kubę państwem socjalistycznym. Pod koniec wiosny w Wiedniu doszło do spotkania na szczycie, gdzie Chruszczow rozmawiał z Kennedym. W lipcu urodził się trzydziestomilionowy obywatel Polski, a miesiąc później

zaczęto budować Mur Berliński. Odpowiednio podane wiadomości kształtowały opinię publiczną i utwierdzały polskie społeczeństwo w przekonaniu, że jesteśmy po właściwej stronie.

Za murami więzienia nie mieliśmy dostępu do innych informacji i chociaż słyszałem o pewnej rozgłośni, która nazywała się Radio Wolna Europa, nigdy nie miałem okazji słyszeć jej audycji. We wronieckim więzieniu mieliśmy radiowęzeł, ale zaczął on funkcjonować dopiero kilka lat później w ramach tak zwanego programu "zajęć populistycznych"...

Od chwili odejścia Pana Cipy na emeryturę szefem w stolarni był jego wcześniejszy zastępca Karol Bulczyk. Chłopina nie miał za grosz przedsiębiorczego zmysłu i nie potrafił zadbać o zlecenia zewnątrz. Facet zadowalał się tym, co zsyłał mu los. Z jednej strony wcale mu się nie dziwiłem, bo koleś miał swoją wypłatę i kładł kij na całą resztę. Oczywiście trafiały nam się płatne zlecenia, ale gdyby Bulczyk ruszył głową, to mielibyśmy ich na pewno o wiele więcej.

Z pozoru więzienne życie toczyło się utartym i monotonnym rytmem, jednak w ich cieniu grypserska podkultura kwitła w najlepsze. Jesienią 1961 roku coraz częściej dało się słyszeć głosy sprzeciwu w sprawie posiłków, a sześć miesięcy później doszło do afery z prądem o której wam już wspominałem. Ten incydent okazał się brzemienny w skutkach, bowiem dopiero wtedy władzom otworzyły się oczy i postanowiły ostro zabrać się do walki z problemem.

Kompromitujące wydarzenie z prądem pociągnęło za sobą zmiany personalne na najwyższych stanowiskach. Nie wiem jak było w innych placówkach, ale wronieckie więzienie zyskało nowego dyrektora. Z początkiem kwietnia władcą kazamatów został pułkownik Jacek Gryczewski. Niemal natychmiast okazało się, że ten facet to urodzony służbista i typowy karierowicz. Przezywali go "Pała" albo "Sztynny". "Pała" dlatego, że golił głowę na łyso, a "Sztynny" bo trzymał się prosto, jakby ktoś wetknął mu w przelyk sztyl od miotły. Kiedy mówił, to jego gęba cały czas wyglądała tak samo. Żadnej mimiki, żadnych grymasów oddających choćby namiastkę emocji.

Raz w życiu miałem okazję spotkać się z nim twarzą w twarz tylko po to, żeby udzielić mu jednej, krótkiej odpowiedzi. Rzecz wydarzyła się zaraz po świętach wielkanocnych. Najprawdopodobniej zostałem wezwany przed jego oblicze ze względu na adnotację, którą napisał w moich aktach Wiktor Kozłowski. Podczas tego widzenia pułkownik Gryczewski walnął mi mowę pełną służbowych określeń i zadał jedno pytanie:

- W której celi jesteście osadzeni?
- Siedemset piętnaście!

To spotkanie trwało dosłownie kilka minut i nie wiem czemu miało służyć. Może Gryczewski chciał zobaczyć jak wyglądam? Może chciał mi uświadomić, że nadal jestem więźniem szczególnym? Może to, może tamto albo sramto? Nie wiem. Nie mam pojęcia, co Wiktor napisał w moich aktach, jednak jestem pewien, że słowa notatki i nazwisko jej autora musiały budzić respekt.

Dopiero w przyszłości dowiedziałem się, że teczka z moim imieniem i nazwiskiem nie znajdowała się w archiwum. Spoczywała w sejfie, który stał w gabinecie dyrektora, a w jego wnętrzu było mnóstwo tajnych dokumentów, do których dostęp miało bardzo

wąskie grono urzędników

W pierwszą niedzielę czerwca, jak zwykle o godzinie 10:30 pensjonariusze z ostatniej kondygnacji pawilonu "D" zostali wyprowadzeni na spacer. Nic nie wskazywało na to, że po zakończeniu naszego pobytu na promenadzie zostaniemy zaprowadzeni do świetlicy, która znajdowała się w sąsiedztwie biblioteki. Tak na marginesie, to powiem wam, że przed wybuchem II wojny światowej właśnie w tym pomieszczeniu była ulokowana depozytownia.

Światło dnia wpadało tutaj przez cztery duże okratowane od wewnątrz okna. Było nas blisko sześćdziesiąt chłopa, ale ławki stojące w pięciu rzędach nie mogły każdemu zapewnić siedzącego miejsca. Ci, którzy szli na końcu naszej kolumny nie załapali się na łóżka i musieli podparć ścianę.

- Co jest kurwa mać grane? - Raz po raz rozlegało się padające z czyichś ust pytanie.
- Może będzie jakaś akademia - zażartował gość siedzący za moimi plecami.

Na wprost nas na ścianie wisiał duży plakat. Drukowane litery układały się w slogan:

SŁUŻBA WIĘZIENNA FILAREM PRAWORZĄDNOŚCI I GWARANTEM BEZPIECZEŃSTWA. Poniżej była półka przykryta ciemnym, atlasowym płótnem, które zwisało aż do podłogi, a po lewej stronie stał wazon z kwiatami. Niby było skromnie, a jednak świetlica prezentowała się w miarę dostojnie.

Po kilku minutach do pomieszczenia wkroczył funkcjonariusz ubrany w galowy mundur. Na pagonach miał insygnia porucznika. Stanął przed nami i rzekł donośnym głosem:

- Jestem porucznik Modest Ozurski - na dźwięk jego słów rozległ się cichy pomruk.
- Jak on ma na imię? - Szepnął ktoś z boku.
- Model - padła krótka odpowiedź i ktoś parsknął śmiechem.
- Co was tak śmieszy?! - Warknął gwiazdor w kierunku tego, który zarechotał. - Może nam powiecie, to wszyscy się pośmiejemy! Jak się nazywacie?!
- Wandziak, towarzyszu poruczniku.
- Macie coś mądrego do powiedzenia Wandziak? - Zapytał marszcząc brwi.
- Nie.

- To w takim razie przestańcie się głupio cieszyć, bo to nie kabaret! - Powiedział Ozurski i spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby chciał zapamiętać jego oblicze.

Od pierwszej chwili miałem wrażenie, że ten Ozurski to facet z silnym charakterem. Nie czułem się skrępowany naszą obecnością, ani tym, że dziesiątki oczu wpatrywały się w jego twarz. Przez chwilę ślizgał się wzrokiem po naszych gębach, jakby starał się z nich coś wyczytać, po czym rzekł:

- Jak się zapewne domyślacie jestem oficerem służby więziennej - wymownie zerknął na swój prawy pagon. - Począwszy od dnia dzisiejszego będę dbał o właściwe stosunki pomiędzy osobami osadzonymi w tym więzieniu. Ponadto dopilnuję również, żeby relacje na stopie między skazanymi i funkcjonariuszami służby więziennej miały właściwy charakter. Jestem tu po to, żeby zwalczać i zaradzać wszelkim objawom szeroko pojętej dyskryminacji. Jeżeli ktoś z was czuje się szykanowany ze strony innych współwięźniów lub mundurowych pracowników, albo jeżeli uważa, że granice jego

godności osobistej zostały naruszone, to właśnie ja jestem tu po to, żeby te sprawy wyjaśnić i ukrócić ich proceder. Mój gabinet znajduje się w holu głównego budynku. Na drzwiach widnieje numer dwanaście. Każdej niedzieli przechodźcie tamtędy wychodząc na spacer. Obok drzwi wisi nieduża skrzynka z wyciętym podłużnym otworem i jest zamknięta na kłódkę - rzekł, po czym sięgnął do kieszeni - tylko ja mam do niej klucz - pokazał nam przedmiot. - Jeżeli ktoś z was będzie chciał ze mną o czymś porozmawiać to wystarczy, że wrzuci do tej skrzynki karteczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem. Oczywiście, każdy kto będzie chciał spotkać się ze mną, żeby przedyskutować swoje problemy, może to również oficjalnie zgłosić funkcjonariuszom dyżurnym. Jednak bazując na swoim kilkuletnim doświadczeniu wiem, że w większości wypadków skrzynka jest najlepszym rozwiązaniem. Tyle co mam wam na dziś do powiedzenia, a zainteresowanych zapraszam do kontaktu.

To o czym mówił Ozurski sprawiło, że niemal natychmiast uznałem go za człowieka, który może być nieprzewidywalny. Balansował na cienkiej granicy. Poruszał się po rewirach, które były na pograniczu zawodowej lojalności i służbowej odpowiedzialności. Pośród skazanych znalazłoby się kilku osobników, którym klawisze dawali w kość. Więcej jednak było takich, którzy doznawali upokorzenia ze strony współwięźniów. Wszyscy wiedzieli, że tej czerwcowej niedzieli coś bardzo, ale to bardzo niebezpiecznego, wkroczyło na korytarze wronieckiego więzienia. Ponoć tamtego dnia któryś z kalwiszy powiedział, że "Sztynwny" wpuścił na perony gończego psa.

Szybko okazało się, że porucznik Modest nie ma zamiaru siedzieć tylko w swoim ciepłym gabinecie i czekać na zgłoszenia. Był doskonale obeznany w jaki sposób funkcjonowała więzienna podkultura i tak naprawdę, to jego zadaniem było zwalczanie i rozbicie środowiska siemachów. Trudno mi powiedzieć na ile wypalił jego pomysł ze skrzynką, ale za to wiem, że charakterniaczy pakowali w nią setki karteluszek. Nie pisali swoich danych personalnych, tylko teksty typu: "Pocałuj mnie w dupę", "Ozurski to ciota" albo "Chcę do domu". Pewnie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jaką nasz nowy gwiazdor miał minę, kiedy czytał te bzdury. A może w tym całym przedstawieniu, które nam zaserwował w czerwcową niedzielę chodziło o coś zupełnie innego? Może w ten sposób wysłał wyraźny sygnał zarówno do więźniów jak i do klawiszy, że teraz on będzie kontrolował sytuację?

Ozurski, niewątpliwie był ekspertem jeśli idzie o gryperskie zasady i obyczaje. Doskonale zdawał sobie sprawę, że najskuteczniejszym orężem jest dyskredytacja przywódców podkultury. Opowiem wam teraz, jakich łapał się sposobów, żeby zasiać ferment i zamęt, żeby cisnąć w szeregi charakterniaków ziarno niezgody i podejrzeń.

Jeżeli idzie o hierarchię szemranych, to ten temat zawsze był spowity aurą tajemnicy. Podejrzewam, że jeśli należałbym do ferajny, to ze względu na mój wyrok połowa więźniów i klawiszy uważałaby, że na pawilonie "D" jestem mąciocem najwyższego szczebla. Wiecie w czym rzecz, prawda? Typowanie mojej osoby wydawałoby się w takim wypadku zupełnie naturalne. Ranga generała, zaliczone "twarde łoże", trochę plotek i kilka bzdur wyssanych z palca na temat mojej mrocznej przeszłości, czyniły ze mnie idealnego kandydata. Tak naprawdę, to wąskie grono wtajemniczonych siemachów wiedziało, kto dzierży buławę władzy. Czterech Ludzi musiało to wiedzieć,

bowiem każdy z nich władał jednym z czterech pawilonów. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jeden z tej czwórki był właśnie tym najważniejszym. Gdybym w przeszłości miał zagrać va bank i typować głównego mąciciela, to postawiłbym na Derusia. Jednak po jego śmierci i po tym całym przemeblowaniu w związku z amnestią mogłem jedynie domniemywać, że Słodki na pewno przejął kontrolę nad pawilonem "D", ale szczerze wątpię, żeby zasiadł na głównym tronie. Kończąc moje spekulacje powiem wam tylko tyle, że tak naprawdę nie miałem pojęcia który ze znanych mi charakterniaków piastował najważniejszą pozycję na drabinie nieformalnej, więziennej władzy.

Wiele lat później dowiedziałem się, że porucznik Ozurski, który zjawił się w przededniu lata 1962 roku, miał właśnie za zadanie rozgryźć strukturę grypsujących. To był podstawowy cel jego przybycia. Łącznie spędził w tym więzieniu siedem lat i jeden miesiąc. Pewnie dziwi was, że z taką precyzją podaję czas jego pobytu we wronieckim więzieniu, prawda? Już wyjaśniam. Można śmiało stwierdzić, że porucznik Modest Ozurski był prawdziwym pionierem, jeśli idzie o zwalczanie więziennej podkultury. Ponoć przeszedł jakieś podstawowe szkolenie, niby miał pojęcie, ale tak naprawdę swoje umiejętności szlifował na wronieckich peronach. Tutaj metodą prób i błędów wdrażał swoje koncepcje i pomysły, a że miał do tego prawdziwy talent, błyskawicznie stał się cholernie skuteczny. Przełożeni szybko docenili jego nietuzinkowe zdolności. Po trzech latach otrzymał awans na kapitana, a po siedmiu został oddelegowany do Szczypiorna, które od ponad dwunastu lat było związane ze służbą więzienną. To właśnie w Szczypiornie w roku 1950 została powołana Szkoła Pracowników Straży Więziennej. Pięć lat później doszło tam do fuzji z iławską Szkołą Oficerską i wtedy powstało Centrum Wyszkożenia SW. Natomiast od 1 lipca 1969 roku w miejsce istniejącego Centrum powołano Ośrodek Szkolenia Służby Więziennej. Zdaję sobie sprawę, że to was raczej nie interesuje. Ja osobiście też mam to głęboko w... po prostu głęboko i już. Sęk w tym, że to cholerne Szczypiorno w 1976 roku zostało wcielone w granice miasta Kalisz. W tym kurwa mać cała rzecz! Jakby to rzekł Johnny Alcatraz, pieprzony Modest Ozurski wyjechał z Wronek i być może po dziś dzień żyje sobie w Kaliszu. Kiedy o tym myślę, to aż mnie zaczyna trzepać. No dobrze, wyrzuciłem to z siebie. Tak, jest mi trochę lżej, a kiedy napiszę wam o poruczniku Ozurskim, nie będziecie się dziwić dlaczego mam do niego tak negatywne nastawienie.

Do mojego pierwszego spotkania z towarzyszem porucznikiem doszło kilka tygodni po jego debiucie w pomieszczeniu świetlicy. Jak na ironię, stało się to w sobotę 21 lipca dokładnie tego dnia, kiedy przypadała moja czterdziesta rocznica pobytu we wronieckim więzieniu.

Dzień pracy trwał wtedy osiem godzin, ale kilka minut po wpół do trzeciej w stolarni zjawił się klawisz dyżurny i w jego asyście udałem się do gabinetu w którym urzędował nasz nowy gwiazdor.

Kiedy przekroczyłem drzwi pomieszczenia, zobaczyłem jak siedział za biurkiem i od niechcienia kołysał się na krześle. Na biurku stała lampka i telefon, a pośrodku leżał spięty plik kartek papieru. Na pierwszej stronie w prawym górnym rogu widniała litera "D" a poniżej jakieś imiona i nazwiska zapisane w dwóch kolumnach.

Klawisz zamknął drzwi i zostaliśmy sami.

Przez dłuższą chwilę towarzysz porucznik wpatrywał się we mnie, po czym zapytał:

- Wy jesteście niejaki Żabikowski. Stanisław Żabikowski, tak?

- W rzeczy samej - odparłem. - Tak się właśnie nazywam.

Mój rozmówca pochylił się nad biurkiem i spojrzał na kartkę. Prawą dłonią w której trzymał pióro, prawdopodobnie obok mojego nazwiska postawił krzyżyk.

- Wiecie kim jestem?

- Wiem - rzekłem i jednocześnie pomyślałem, że najlepiej zrobię, jeśli będę odpowiadał krótko i zwięźle.

- Siadajcie Żabikowski - kiwnął głową w kierunku krzesła, które stało przed biurkiem. - Trochę sobie pogaworzemy.

Spocząłem na krześle.

- Jaki macie wyrok do odsiadki?

- Dożywocie.

- Dożywocie - powtórzył wolno, a potem gwizdnął i tym razem coś napisał na kartce.

- Powiedzcie mi Żabikowski, kim jesteście w więziennej społeczności?

Wiedziałem o co mu chodzi, ale udałem głupiego i odparłem.

- Osadzonym.

- Doceniam wasze poczucie humoru, ale nie pogrywajcie ze mną Żabikowski, bo to może was drogo kosztować. Jaką macie przynależność? Jesteście grypsujący czy frajer? - Walnął prosto z mostu.

Powiem wam, że poczułem się zaskoczony.

- Frajer - odparłem.

- Frajer z takim wyrokiem? - Najwyraźniej nie wierzył w moje oświadczenie.

Przez moment bacznie przyglądał się mojej twarzy, jakby był przekonany, że w kącie lewego oka powinienem mieć cynkówkę.

- Rozbierzcie się od pasa w górę.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

- No dalej Żabikowski, róbcie co każe!

Nie było sensu, żebym stawał okoniem. Podniosłem się z krzesła, zdjąłem drelichową bluzę, a później podkoszulkę.

- Podnieście ręce do góry i obróćcie się powoli wokół własnej osi.

Posłusznie wykonałem polecenie.

- Macie jakieś tatuaże na nogach?

- Nie mam żadnych tatuaży - wyjaśniłem.

- Nie macie? W takim razie opuście gacie do kostek.

Zrobiłem co kazał.

- Dobrze Żabikowski, ubierzcie się - powiedział i znowu coś zanotował.

Zanim podjął dalszą dyskusję, poczekał aż doprowadzę się do porządku.

Kiedy ja usiadłem, Ozurski podniósł się z miejsca i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się w świat po drugiej stronie szyby, a ja w tym momencie poczułem się dokładnie tak samo, jak czterdzieści lat temu. Zupełnie jakbym doznał intensywnego deja

vu. Dopadło mnie znajome uczucie lęku, podobne do tego, kiedy po raz pierwszy stanąłem przed obliczem Szumskiego. Fakt, że tamta rozmowa miała inny charakter, ale mimo wszystko, ta sytuacja była bardzo podobna. Nie wiedząc czemu zacząłem się dopatrywać cech wspólnych, które w jakiś przedziwny sposób łączyły towarzysza porucznika z osobą znienawidzonego kiedyś przeze mnie aspiranta. Miałem wrażenie, że właśnie dziś w tę cholerną czterdziestą rocznicę, zamierzchna przeszłość zadudniła echem w terażniejszości. W ułamku sekundy poczułem się tak, jakbym został wciągnięty w pętlę czasu. W mojej wyobraźni zapamiętane obrazy z przed lat nakładały się na obecną rzeczywistość. Nagle poczułem jak serce w mych piersiach zrywa się do galopu. Odruchowo przetarłem spocone dłonie o nogawki drelichowych spodni. *Chryste Panie!* - wrzasnąłem w myślach, jakbym liczył, że tym okrzykiem powstrzymam atak nadciągającej paniki. To był pierwszy i ostatni raz w moim życiu, kiedy doświadczyłem czegoś takiego. Zapanowałem nad sobą dopiero po chwili, kiedy zrozumiałem, że to moja wina. Miałem dzisiejszego przedpołudnia trzymać gębę na kłódkę. Wystarczyło tylko milczeć i nie opowiadać Wojtasowi jak to cztery dekady temu trafiłem do tego pudła. Wzięło mnie na cholerne wspomnienia, na pieprzone rozgrzebywanie starych strupów i szczylenie się dobrą pamięcią, a teraz przeszłość ukarała mnie za moją próżność. Nie mam pojęcia jak długo to trwało. Pięć, góra dziesięć sekund. Nie dłużej. Dokładnie tyle czasu, ile Ozurski potrzebował, żeby wstać z krzesła, podejść do okna, spojrzeć przez nie, obrócić się w moją stronę i rzec:

- A może wy Żabikowski chcecie mi o czymś powiedzieć? - Zapytał zniechęca gwiazdor patrząc na mnie podejrzliwym wzrokiem. - Może macie jakiś problem, którym chcielibyście się ze mną podzielić?

- Nie - odparłem zdecydowanym głosem.

- Nie macie... - zrobił pauzę i po chwili dodał - no dobrze. Skoro tak, to mogę uznać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. A powiedzcie mi Żabikowski, czy spotkaliście się ostatnimi czasy z jakimiś szukanami ze strony innych osadzonych?

- Nie.

- I nie należycie do żadnej nieformalnej grupy zrzeszającej osadzonych?

- Nie należę.

- To może opowiedzcie mi coś interesującego o innych więźniach. Na przykład o jakimś Kuszyńskim znanym wszystkim jako Słodki. Macie jakieś informacje na jego temat?

- Znam go, ale nie jesteśmy, że tak to ujmę w zażyłej komitywie - rzekłem.

- Taaaak - westchnął w teatralny sposób.

Usiadł ponownie na krześle, wyciągnął przed siebie nogi, założył dłonie na kark i powiedział:

- To w takim razie opowiedzcie mi Żabikowski coś o sobie.

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem i zapytałem:

- A co konkretnie chciałby pan wiedzieć?

W tym samym momencie, kiedy wypowiedziałem swoje słowa Ozurski zmarszczył brwi i rzekł:

- Panowie Żabikowski, to byli za sanacji, a teraz to my jesteśmy towarzysze i

obywatele!

Natychmiast przemknęło mi przez myśl, że kiedyś słyszałem już to powiedzenie.

W odpowiedzi wzruszyłem tylko ramionami, jakbym w ten sposób chciał mu dać do zrozumienia, że nie wiem co mam odpowiedzieć.

- No Żabikowski śmiało - rzucił zachęcającym tonem - zaskoczcie mnie.

Ta rozmowa z każdym słowem robiła się coraz bardziej kretyńska, a ja znów w mgnieniu oka poczułem się tak, jakbym faktycznie siedział przed wszawym mendziarzem Szumskim.

- Opowiedzcie mi Żabikowski historię waszego przestępstwa, za które dostaliście dożywocie.

Ty parszywy skurwysynu! - Zakląłem w myślach. - *Myślisz, że chcę o tym gadać?!*

- O tym stoi w moich aktach - zdobyłem się na odwagę i odpowiedziałem, odważnie patrząc mu w oczy.

- Widzę, że wy Żabikowski, że jesteście tacy sami jak każdy rasowy przestępca. Narozrabiać, narobić gnoju to i owszem, ale żeby później jak na mężczyznę przystało opowiedzieć o tym, to już niekoniecznie. Macie jakąś rodzinę? Żonę, dzieci, a może nawet wnuki?

- Nie mam - odparłem.

Ozurski zdjął dłonie z karku, położył je na biurku i stwierdził:

- Od kilku minut rozmawiam z wami i dochodzę do wniosku, że nie potraficie regulaminowo odpowiadać. Z waszym stażem powinniście być uświadomionym więźniem. Wiecie kim jest uświadomiony więzień?

Wiedziałem o co mu chodzi i dlatego odparłem tak, jak powinienem już wcześniej odpowiadać:

- Nie wiem, towarzyszu poruczniku.

W tej samej chwili nagle przypomniały mi się słowa Szumskiego i to wspomnienie przypawiło mnie o dreszcz: - *Od tej chwili jesteś uświadomionym więźniem numer dwadzieścia dziewięć-jedenaście, skazanym na dożywocie i odbywającym karę w Centralnym Więzieniu we Wronkach, blok B, oddział dziesiąty.*

- Uświadomiony więzień zna regulamin. Znać Żabikowski regulamin?

- Znam, towarzyszu poruczniku!

- To jak brzmi paragraf 3 punkt 4 Regulaminu Wewnętrznego obowiązującego w Zakładzie Karnym we Wronkach?

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Żabikowski, nie patrzcie na mnie jak na szaleńca - zaśmiał się. - Przecież przed chwilą powiedzieliście, że znacie regulamin.

- Znam, ale nie na pamięć towarzyszu poruczniku.

Ozurski rozłożył bezradnie ręce i rzekł:

- Skoro wy Żabikowski nauczyliście się na pamięć dwanaście ksiąg "Pana Tadeusza" - kiedy wypowiedział te słowa, musiał zauważyć zaskoczenie malujące się na mojej twarzy - co prywatnie uważam za nie lada osiągnięcie - zaklaskał w dłonie, żeby tym gestem podkreślić swoje uznanie - to pewnie bez trudu nauczycie się również regulaminu. Mam rację? - Zapytał patrząc na mnie w taki sposób, jakby oczekiwał

odpowiedzi.

Ja głupi zamiast się odezwać, to gapiłem się na niego jak na jakąś wyrocznię.

- Mam rację?! - Wrzasnął nagle na całe gardło, że aż podskoczyłem razem z krzesłem.

- Tak jest, towarzyszu poruczniku!

- Co tak jest towarzyszu poruczniku?! - Ponownie ryknął, a jego twarz momentalnie zyskała wściekłe oblicze.

- Macie rację, towarzyszu poruczniku - wyrzuciłem z siebie jednym tchem i jednocześnie pomyślałem, że chyba zaczynają się moje problemy.

- Rozczarowaliście mnie Żabikowski - odezwał się dopiero po chwili. - Jestem w stanie zrozumieć, że nie chcecie plotkować o innych. Jednak kiedy poprosiłem, żebyście mi coś opowiedzieli o sobie, to liczyłem na waszą szczerość. Pomyślałem sobie, że ten słynny Żabikowski, który wykuł na pamięć epopeję napisaną wierszem, powie mi o tym - zamilkł na chwilę i dodał: - Bo skoro przyzna się do swoich talentów, to będzie znaczyło, że jest osobą otwartą i szczerą. Natomiast jeśli nie powie, to wcale nie znaczy, że jest skromny, ale że chyba ma coś do ukrycia.

W życiu nie słyszałem tak idiotycznej teorii. Ozurski wyciągał jakieś absurdalne wnioski.

- Skoro znacie na pamięć "Pana Tadeusza", to zaczynajcie recytować inwokację. Uczyłem się tego na pamięć w szkole i jeszcze kilka wersów doskonale pamiętam. Jak to leciało? - Zapytał sam siebie, a potem zaczął mówić: - Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie... No Żabikowski, jak to dalej idzie?

Zacząłem więc deklamować:

- Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił... - płynnie recytowałem dalszy tekst.

Ozurski wpatrywał się w moją twarz i słuchał.

- Dość! - Przerwał mi unosząc do góry dłoń. - Imponujące! Naprawdę podziwiam siłę waszej pamięci. Macie łeb nie od parady. Żałuję jednak, że nie chcecie współpracować i unikacie dyskusji. - Otworzył szufladę i wyciągnął z niej małą książeczkę w czerwonej oprawie. Położył ją na biurku i zapytał: - Wiecie co to jest?

- Nie mam pojęcia, towarzyszu poruczniku.

- To regulamin - postukał wskazującym palcem w okładkę. - I wy Żabikowski, nauczycie się tego regulaminu na pamięć. Za miesiąc zrobię wam egzamin - powiedział i schował książeczkę tam, skąd ją wyjął. - Nie pożyczę wam tego egzemplarza, bo ufam, że więzień z waszym stażem bez żadnych problemów potrafi sobie sam wszystko zorganizować.

Nagle sięgnął po słuchawkę telefonu, dwa razy zakręcił tarczą i po chwili rzekł:

- Tu porucznik Ozurski, przyślijcie do mojego gabinetu funkcjonariusza, bo trzeba odeskortować więźnia!

Podrapał się palcem po skroni i powiedział:

- Ostatnia szansa Żabikowski. Chcecie wkuwać regulamin, czy zamiast tego wolicie opowiedzieć mi coś o Słodkim?

- Ale ja nic o nim nie wiem, towarzyszu poruczniku - odparłem zgodnie z prawdą.

- Wasz wybór Żabikowski - rozłożył ręce na boki. - W takim razie spotkamy się dokładnie za miesiąc - powiedział, po czym złapał za pióro i coś zanotował.

Było kwadrans po piętnastej, kiedy ponownie zjawiłem się w stolarni. W związku z tym, że Wojtasa darzyłem pełnym zaufaniem dlatego z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziałem mu, jak przebiegała moja rozmowa z gwiazdorem.

- Wychodzi na to, że ktoś klepie dziobem - stwierdził.

- Ktoś na pewno - przyznałem mu rację. - Myślę, że ten cały Ozurski albo chce rozszyfrować kto należy do ferajny, albo szuka na każdego jakiegoś haka.

- Afera z prądem dała im nieźle po jajach - zaśmiał się Wojtas - to teraz muszą się wykazać. Ciekaw jestem kiedy ja będę miał okazję z nim pobajerzyć. Może dowiem się czegoś interesującego o sobie. Facet sam nic nie zdziała. Pamiętasz tę jego gadkę, którą odstawił w czerwcu?

- No ba! Jasne, że pamiętam - odparłem.

- Słyszałem, jak później niektórzy klawisze rzucali na niego kurwami. Chłop nie ma tu za wielu przyjaciół, trochę poskacze i odpuści, sam się przekonasz. Cóż on takiego może nam zrobić? - Machnął ręką.

Przyszłość jednak pokazała, że pewny siebie Wojtas był w błędzie.

Od czasu zakończenia II wojny światowej nie nawiązałem z żadnym klawiszem bliższej komitywy. Świat zyskał zupełnie inne oblicze i wszystko było jakieś obce i odległe. Lubilem Laskowskiego, ale on odszedł ze służby kilka miesięcy po śmierci Mańka. Ponoć dopadły go jakieś poważne dolegliwości zdrowotne i komisja lekarska przyznała mu rentę. Jedyнным gadem, którego darzyłem sympatią był kapral Jeliński, który trzymał pieczę nad więzienną biblioteką. To właśnie do niego zwróciłem się o pomoc w sprawie regulaminu, który Ozurski kazał mi wykuć na pamięć.

- Żabikowski, powiedzcie funkcjonariuszowi dyżurującemu na sterowni, że chcecie zapoznać się z regulaminem i będzie po sprawie.

- Jak to? - Nie kryłem swojego zaskoczenia.

- Ano tak to. Macie nie tyle prawo, co obowiązek zapoznać się z regulaminem. Nie wiedzieliście o tym? - Odparł i uśmiechnął się pełną gębą.

Książeczka w czerwonej okładce liczyła dokładnie dwadzieścia sześć stron zapisanych maczką. Treść tekstu trudno było uznać za formę języka literackiego. To raczej przypominało jakiś biurokratyczny bełkot, administracyjny żargon, który potrafił zanudzić po kilku liniijkach. Chcąc nie chcąc zacząłem wkuwać ten cholerny regulamin, bo nie miałem pojęcia jaki durny pomysł strzeli do łba gwiazdorowi jeśli nie sprostam wyzwaniu.

W międzyczasie Wojtas zaliczył spotkanie z Ozurskim i z jego relacji wywnioskowałem, że zachowywał się podczas rozmowy jak na rasowego siemacha przystało. Na wszystkie pytania odpowiadał w bezczelny i nonszalancki sposób, jednocześnie hołdując zasadzie trzech małych.

Pod koniec sierpnia znowu zawitałem w progi gabinetu, na drzwiach którego widniał numer dwanaście.

- I co Żabikowski, rozumiem, że regulamin macie w malutkim paluszku. Zgadza się? - Zapytał w taki sposób, jakby szukał u mnie potwierdzenia swoich słów i

jednocześnie posłał mi złośliwy uśmiech.

- Zgadza się, towarzyszu poruczniku.

Mój rozmówca sprawiał wrażenie znudzonego. Byłem pewien, że zaraz zacznie mnie wałkować i szukać na siłę moich potknięć, ale tak się nie stało. On chyba wcale nie miał zamiaru mnie egzaminować, bo nagle rzekł:

- Powiedzcie mi Żabikowski, czy z tego tytułu, że macie tutaj zaszczytną rangę generała, przysługują wam jakieś nieformalne przywileje?

Spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

- Nie rozumiem pytania, towarzyszu poruczniku.

Ozurski pochylił się do przodu. Oparł łokcie o blat biurka, splótł palce dłoni jak do modlitwy, westchnął i powiedział:

- Wiem, że oficjalnie nie dziachacie kminą, aczkolwiek podejrzewam, iż skazaniec z waszym wyrokiem doskonale rozumie język, którym komunikują się grypserzy. - Już miałem zaprzeczyć, ale on jakby wyczuł moje intencje i ciągnął dalej. - Nie musicie zaprzeczać lub potwierdzać, ja po prostu w tej chwili tylko głośno myślę. Nikt nie potwierdził waszej przynależności do ferajny i dlatego wnioskuje, że są dwie możliwości. Pierwsza, że jesteście kimś ważnym, a być może najważniejszym - spojrzał na mnie podejrzliwym wzrokiem. - Natomiast druga możliwość jest taka, że faktycznie jesteście frajerem. - Zamilkł na moment, spojrzał w okno i powiedział: - Nie chodzi mi o was Żabikowski, rzecz w tym, że niektórzy więźniowie doświadczają tutaj aktów seksualnej przemocy ze strony charakterniaków i osobiście uważam, że jest to godne potępienia. A jakie wy macie zdanie na ten temat?

- Nie interesuję się sprawami innych, towarzyszu poruczniku.

- Hm, czyli macie wygodne podejście do życia Żabikowski. Grunt to święty spokój, prawda? Jesteście z tej kategorii więźniów, którzy umywają ręce. Opowiem wam pewną historię, która kilka miesięcy temu miała miejsce w jednym z zakładów karnych w południowej Polsce. Pewien młody mężczyzna wykazujący objawy lekkiego upośledzenia umysłowego trafił za kratki. Umieszczono go w celi z dwoma charakterniakami, którzy już pierwszej nocy wykorzystali go w niegodny sposób. Został cwelem. Jego oprawcy na dodatek kazali mu tak się przedstawiać innym więźniom. Zażądali, żeby sam siebie nazywał cwelem. Przerazające, prawda? Gehenna tego młodzieńca trwała kilka miesięcy, a on zamiast powiedzieć o tym, któremukolwiek ze strażników, milczał. W wyniku pobicia trafił na izbę chorych i dopiero wtedy wszystko się wydało. Dyrektor więzienia kazał go przenieść do innej placówki, a winnych ukarać. Ich wyroki zostały przedłużone, ale to nieistotne. Ten młody mężczyzna trafił do innego więzienia i wiecie co zrobił?

W odpowiedzi wruszyłem bezradnie ramionami.

- Kiedy przekroczył próg nowej celi, jeden z osadzonych tam więźniów zadał mu zwyczajowe pytanie powitalne "jak jest u ciebie?". Ten nieborak, cierpiący na niedorozwój umysłowy powiedział "jestem cwelem". - Słyszając te słowa, spojrzałem na Ozurskiego z niedowierzaniem. - Po waszej minie wnioskuje, że jesteście zaskoczeni. Moja reakcja była podobna do waszej. Poważnie - klepnął się dłonią w pierś. - Powiedział tak, bo był niespełna rozumu. Nie wiem jak do tego doszło, że ten człowiek w ogóle trafił

do zwykłego zakładu karnego, gdzie wyroki odbywają zdrowe chłopiska. Ktoś, kto na to pozwolił, powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności, ale to zupełnie inny temat i nie ma nic wspólnego z moją opowieścią. Koszmar tamtego człowieka zaczął się ponownie. Ułani, którzy siedzieli z nim w celi przystąpili do dzieła. Na szczęście w tamtej placówce karę odbywał, a właściwie nadal ją odbywa, pewien mężczyzna na którym tak samo ja na was, ciąży wyrok dożywocia. To dzięki jego interwencji władze więzienia zareagowały. To bezterminowiec zwrócił uwagę funkcjonariuszy, że chłopak jest niedorozwinięty. Ujął się za nim. Rozumiecie to Żabikowski? Dostrzegacie sytuację? Chodzi o zwykłą, ludzką życzliwość i współczucie dla bliźniego. O tym właśnie mówię i zmierzam do tego, że w tym więzieniu również dzieją się niepokojące sprawy. Wy Żabikowski i każdy, kto myśli podobnie do was, powinien wiedzieć, że swoim postępowaniem daje przyzwolenie dla niegodziwości. - Ozurski zamilkł i przyglądał mi się badawczym wzrokiem. Po dłuższej chwili rzekł: - Przypuśćmy, że na sto procent nie jesteście charakterniakami i że nic was nie łączy z grypsującymi. Dlatego apeluję do waszego sumienia, żebyście mi powiedzieli w których celach waszym zdaniem, może dziać się coś niedobrego?

- Nie wiem, towarzyszu poruczniku. Bóg mi świadkiem.

- Boga to wy mi Żabikowski nie powołujcie tutaj na świadka - warknął - bo mnie interesuje tylko wasza wiedza w tym temacie.

- Niestety nie mogę pomóc, towarzyszu poruczniku. Po prostu nie mam pojęcia - szedłem w zaparte.

Cóż miałem zrobić? Powielać zasłyszane plotki, albo sugerować własne domysły? Obiło mi się kilka razy o uszy, że ten czy tamten żył z piętnem cwela, ale o tym wiedzieli nawet szeregowi klawisze. W moim mniemaniu Ozurski był bardzo przebiegły i szukał pośród skazańców kogoś, kto mógłby zostać dla niego cennym źródłem informacji.

- Coś wam powiem Żabikowski. Jestem otwartym człowiekiem, łatwo można sobie zaskarbić moją przychylność i wdzięczność, ale oczekuję czegoś w zamian. Natomiast jeśli ktoś zajdzie mi za skórę - zrobił kwaśną minę i pokręcił przecząco głową - to nie będzie mu się to opłacało, o nie będzie! Rozumiecie o czym mówię?

- Rozumiem, towarzyszu poruczniku.

Nagle pojąłem na czym polegało postępowanie Ozurskiego. Najpierw eksponował swoją silną pozycję, dając rozmówcy do zrozumienia, że ma dużą władzę. Badał grunt, sprawdzał z kim ma do czynienia i kiedy okazywało się, że zawołowane zastraszenie nie przyniesie żadnego skutku, podchodził z drugiej strony. Pomiedzy wierszami składał propozycję zawarcia paktu i ubicia interesu. Jednak cóż mógł zaoferować skazanemu na dożywocie? Może gdybym miał na pieńku z grypsującymi, to wtedy każda forma ochrony przed ich szykanami zdałaby egzamin. Jednak ja nie miałem konfliktu z ferajną i tym samym, nie byłem dobrym kandydatem na cichego współpracownika. W przyszłości okazało się, że facet naprawdę żywił do mnie niechęć i po jakimś czasie zaczął mnie gnębić. Jakby się uparł, żeby napsuć mi krwi i udowodnić swoją wyższość. Średnio raz na kwartał lądowałem na dywaniku w jego gabinecie i za każdym razem wciągał mnie w idiotyczną rozmowę. Po jakimś czasie przywykłem do tych wizyt, ale nigdy nie zapomnę naszego ostatniego spotkania, które miało miejsce dwa dni przed tym, jak na dobre opuścił

wronieckie więzienie. Jednak żeby nie siać zamętu w moich zapiskach będę trzymał się chronologii wydarzeń i opowiem wam o tym nieco później. Podzielę się z wami również moim przerażającym i niewytłumaczalnym odkryciem, którego dokonałem przeglądając akta Modesta Ozurskiego, gdzie znajdował się jego życiorys. Przedstawię wam wtedy twarde fakty, a nie jakieś moje czcze domysły lub wysrane z tyłka przypuszczenia. Fakty będące dowodem na to, że są takie dusze, które nigdy nie trafiają w zaświaty...

Ozurski zjawił się we wronieckim więzieniu z początkiem czerwca i do końca lata przeprowadził rozmowy ze wszystkimi osadzonymi. Każdy więzień przynajmniej raz odwiedził gabinet gwiazdora i tylko Bóg raczy wiedzieć, ilu skazanych zaczęło się tam zwierzać. Po peronach krążyła plotka, że ktoś sypie i to bardzo konkretnie. Dowodem były rotacje w celach. Mogę śmiało stwierdzić, że Ozurski doprowadził do tego, iż było coraz mniej komnat z mieszanym towarzystwem. Miało to swoje plusy, bowiem los wielu więźniów zmienił się na lepsze. W połowie jesieni nie było już takiej kwatery, gdzie siedziałoby dwóch grypsujących i jeden frajer lub cwel. Skończyła się dominacja ferajny. Towarzysz porucznik wymyślił pewien system, który teoretycznie miał odizolować więzienną podkulturę od pozostałych osadzonych. Większość grypsujących została ulokowana w dwóch pawilonach. W "B" oraz "D". Z tą małą różnicą, że w pawilonie "D" pomijając ostatnią kondygnację, która była zarezerwowana dla długoterminowców wszelkiej maści, reszta cel należała do siemachów. To jednak nie wszystko. Ozurski doskonale wiedział, kto w szeregach ferajny piastuje znaczące stanowisko i tych Ludzi wpakował w pojedynkę do komnat dając każdemu z nich do towarzystwa dwóch roślących frajerów. Przy takim układzie sił istniało nikłe prawdopodobieństwo, że jakiś charakterniak przejmie władzę na kwaterze. To była sprytna taktyka, bowiem z dnia na dzień grypsujący zostali pozbawieni dowództwa, a w szeregi organizacji wkraść się chaos. Towarzysz porucznik odniósł miażdżące zwycięstwo w bitwie, ale jeszcze nie wygrał wojny. O tym jak bardzo Ozurski nie docenił świata więziennej podkultury, miał się dopiero przekonać w ostatnią niedzielę listopada.

Jesienne przerzutki były tematem bezustannych spekulacji. Wszyscy, zarówno więźniowie jak i klawisze rozmawiali tylko o tym, co dzieje się na wronieckich peronach. Niektórych te informacje bardzo cieszyły, a innym spędzały sen z powiek. Cała sytuacja przypominała bokserską walkę, kiedy jeden z przeciwników został zniecka powalony precyzyjnym ciosem w szczęką i padł na deski.

Szefowie organizacji nie mieli praktycznie żadnego wpływu na bieg wydarzeń, a do tego jeszcze trzeba dodać, że wewnętrzne konflikty w grupie tylko pogarszały sytuację. Lojalność grypsujących została wystawiona na ciężką próbę. Mącieli wyższego stopnia odizolowano od ferajny i nie mogli na bieżąco kontrolować sytuacji. Komunikacja była bardzo utrudniona, a to nie sprzyjało podejmowaniu błyskawicznych decyzji. Problem był w tym, że kodeks siemachów nie uwzględniał takiego zdarzenia. Wataha z dnia na dzień została pozbawiona przywódców i w ten sposób Ozurski na jakiś czas rozbił ich jedność i siłę. Liczył na to, że brak władzy w szeregach organizacji wpędzi ją w ramiona anarchii. Jednak Ludzie z najbliższego otoczenia mącieli natychmiast zdali sobie sprawę, że muszą zapanować nad chaosem i pokazać pracownikom służby więziennej, iż po drugiej stronie barykady wszystko jest git!

Od samego początku podejrzewałem, że podczas tego kryzysu Wojtas był jednym z tych, którzy trzymali za lejce. Skąd to wiem? Ano stąd, że uprzedził mnie o czymś.

W ostatnią niedzielę listopada było zimno i zacięła drobna mżawka. Pomimo niekorzystnej aury punktualnie o 10:30 zostaliśmy wyprowadzeni na spaceriak. Gdyby tylko można było odmówić wyjścia na promenadę, zostałbym w celi i leżałbym jak panisko pod ciepłym kocem, zamiast snuć się po tym cholernym, wilgotnym wybiegu. Jesienny wiatr bezlitośnie targał we wszystkie strony nagimi gałęziami drzew. Niebo ponad naszymi głowami wyglądało tak, jakby spowijał je gęsty, szaro brudny dym. Klawisze ubrani w pałatki i z kapturami zaciągniętymi na głowy mieli się całkiem dobrze, a my mokliśmy w tym drobnym deszczu jak bezpańskie kundły. Podpierałem jeden ze słupów do którego była przymocowana siatka spaceriaka, paliłem szluga i spoglądałem na Gołąbka. Sterczał w rogu tam gdzie zawsze, ale już nie rozrzuczał okruchów chleba. Ozurski jakiś czas temu zabronił mu dokarmiać ptaki. Spojrzałem w przeciwnym kierunku i zauważyłem, że jeden z siemachów odstawia migankę w taki sposób, jakby wysyłał oficjalny komunikat do wszystkich osadzonych w pawilonie "B". Omiotłem wzrokiem okna i dostrzegłem, że prawie w każdym ktoś sterczał, ale nikt nie posyłał mu odpowiedzi. Wtem z lewej strony pojawił się Wojtas.

- Jak tam generale? Masz jaką fajeczkę na zbyciu?

Sięgnąłem po papierośnicę.

- Gówniana pogoda - stwierdził Wojtas i splunął.

- Nie cierpię listopada - powiedziałem po chwili. - Żaden miesiąc mnie tak nie drażni. Jeśli czyściec istnieje naprawdę, to wygląda dokładnie tak, jak dzisiejszy dzień. Jakby tego było mało, to jeszcze dziś na śniadanie zapodali kaszę! Żebyś ty wiedział, jak ja kurwa mać nienawidzę kaszy!

- O widzisz - pstryknął palcami - przypomniła mi się pewna stara, biblijna opowieść w której przewija się motyw czyśćca i zarcia. Znasz ją?

Spojrzałem na niego, a on sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Nawijaj.

- Facet wyciągnął kopyta, a że był poczciwy to po śmierci wali prosto do bram nieba. Święty Piotr wita go serdecznie i zaprasza do rajskiego ogrodu. Zielona trawka, słoneczko, błękitne niebo, tu zajączek sobie kica, tam sarenka, ptaszki śpiewają, po prostu cycuś. Pośrodku rośnie jabłoń, a w jej cieniu stoi stół przykryty białym obrusem. Na stole leży pokrojony bochenek chleba, miska ze smalcem i dzbanek z wodą. Święty Piotr zaprasza przybysza do stołu i mówi:

- Drogę daleką przebyłeś, to pewnie głodny jesteś, co?

- Oj zjadłbym coś konkretnego - powiedział facet.

- No to częstuj się - mówi święty Piotr. - Czym chata bogata - i ręką pokazuje na stół.

Koleś wciągnął pajdę chleba ze smalcem, popił wodą i pomyślał, że to chyba tylko taka przekąska przed właściwym posiłkiem. Siedzą, czas płynie, kolesiowi powoli kiszki marsza grają, a tu nic się nie dzieje. W pewnym momencie facet zagaił:

- A czy mógłbym zobaczyć jak wygląda czyściec i piekło?

- A czemu chcesz je zobaczyć? - Pyta sędziwy Piotr.

- No wiesz święty Piotrze, tak z czystej ciekawości, żeby móc jeszcze Bogu dziękować, że tam nie trafiłem.

- Dobrze, to chodźmy - powiedział Piotr.

No i poszli. Idą, idą i idą, niebo się robi pochmurne i szare, tak jak dziś. Deszcz zacina, wiatr dmucha. Ponuro, brzydko i nijako. Nie ma nic, kompletna pustka. Nie ma się nawet gdzie schować przed tym deszczem.

- No to jesteśmy w czyścicu - mówi święty Piotr.

Facet wzrok wyteża i widzi, że w szczerym polu stoi jakiś dom.

- A tam co jest? - Pyta.

- Gospoda.

- I w tej gospodzie są wszyscy ci, którzy trafili do czyścica?

- Tak.

- A możemy tam pójść?

- Pewnie, że tak.

No to poszli. Wchodzą do środka, a tam tłum ludzi. Wszystkie stoliki zajęte. Kelnerzy biegają z tacami i żarcie roznoszą. Golonko, schabowe, bigos, żurek, żarcia po dziurki w nosie. Karczmarz piwo do kufli rozlewa, w rogu na zydelku siedzi grajek i jedzie na harmonii skoczne melodyjki. Gwar, szum, kłęby papierosowego dymu, śmichy chichy, toasty.

Postali chwilę, facet porozglądał się, głową pokiwał, ślinę z głodu przełknął i mówi:

- To co, idziemy do piekła?

- Chodźmy - odparł święty Piotr.

Ruszyli w drogę. Idą, idą i idą. Na horyzoncie maluje się krwista poświata zachodzącego słońca. Im bliżej, tym coraz cieplej. Nagle facet patrzy i widzi tłum ludzi. Diabły rożnami kręcą, świniaki nad ogniem się pieką, woda się leje strumieniami, cyganie grają, cyncate cyganki tańczą, impreza na całego. Facet patrzy zaskoczonym wzrokiem na świętego Piotra i mówi:

- Święty Piotrze, jak to jest, że w czyścicu gospoda, żarcia pod dostatkiem, w piekle balanga jakich mało, a my w niebie siedzimy na łące i tylko chleb ze smalcem?

- Oj bracie - mówi święty Piotr - na dwóch nie opłaca się gotować.

Parsknąłem śmiechem, bo naprawdę mnie ubawił.

Potem gadaliśmy o jakichś bzdurach, a ja mimowolnie znowu zerknąłem na koleśia, który gestykulował rękami wysyłając komunikat w stronę okien pawilonu "B". Zwróciłem uwagę, że kilku chłopca przed nim stało tak, jakby tworzyli żywy parawan, który zasłaniał klawiszom osobę nadającego. Nawet jeśli znałbym migankę, to i tak nie odczytałbym treści, bo nie widziałem faceta od frontu.

- Ty, Wojtas - rzekłem - co się dzieje? - I w tym samym momencie kiwnąłem głową w kierunku Człowieka, który gestykulował rękami.

- Jeszcze nic się nie dzieje, ale dopiero będzie - odparł półgłosem, chociaż obok nas nie było nikogo w promieniu kilku metrów.

- Co będzie?

- A to, że krew ich dzisiaj zaleje - powiedział i strzelił wzrokiem na klawiszki po drugiej stronie siatki spacerniaka.

Po niedzielnym obiedzie Gołabek walnął się na pryczę, naciągnął na siebie koc i zapadł w drzemkę. Spaliłem szluga, zaparzyłem sobie kubek herbaty, usiadłem przy stole i zacząłem czytać książkę.

Było kilka minut po siedemnastej, kiedy nagle z megafonów rozległo się zawodzące wycie syreny alarmowej. Zaskakujący i przerażający odgłos rozszarpał ciszę więziennych korytarzy. Poderwałem się z miejsca i doskoczyłem do drzwi. Miałem wrażenie, że po drugiej stronie drewnianymi podestami mkną tabuny dzikich koni. Gołabek poderwał się z koja, spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem i zapytał:

- Co jest?!

- Nie mam pojęcia! - Rzuciłem w jego stronę i znowu przytuliłem ucho do drzwi.

Od strony sterowni padały głośno wykrzykiwane komendy. Ktoś z całych sił dmuchał w gwizdek. Echo niesło tupot biegnących nóg, a nad wszystkim dominował modulujący dźwięk syreny. Tylko raz w swoim życiu słyszałem, jak wewnątrz więziennych murów rozlega się sygnał alarmu. To miało miejsce bardzo dawno temu. Wtedy niektórym zamarzyła się wolność. Obrazy tamtych wydarzeń w oka mgnieniu odżyły w mej pamięci. Mało tego! Byłem pewien, że właśnie doszło do identycznej sytuacji. Oczami wyobraźni widziałem, jak dzika banda zdecydowanych na wszystko siemachów z wściekłymi wrzaskami na ustach biegnie korytarzem, kierując się w stronę głównego wyjścia z budynku... W pewnym momencie ryk syreny zaczął milknąć, ale jednocześnie nasiliło się złowrogie dudnienie i z każdą chwilą przybierało na sile. Łomot był bardzo chaotyczny, ale tak intensywny, że aż dreszcz mroził skórę na plecach. Nie musiałem się długo wsłuchiwać, żeby odkryć źródło tego niepojętego hałasu. To było kopanie i walenie w drzwi, jakby wszyscy osadzeni we wronieckim więzieniu umówili się, iż w tym samym czasie zaczną od wewnątrz cel tłuc czym popadnie w drewniane wrota. Momentami łoskot tracił impet, żeby po chwili odżyć ze zdwojoną siłą. Rozbrzmiewający huk niósł na swych skrzydłach złudzenie, że mury więzienia drżą i trzęsą się w swoich posadach, że jeszcze chwila i ściany zaczną się kruszyć.

Dziwiło mnie to, że funkcjonariusze wcale nie reagują i pozwalają, aby kopana symfonia dudniła na więziennych peronach. Nagle ktoś przekręcił włącznik światła i we wszystkich celach zapadła ciemność. Gołabek poderwał się na równe nogi i skoczył w kierunku okna.

- Widać coś?! - Zapytałem, patrząc na ciemny kontur jego sylwetki.

- Nic! Nie ma żywego ducha!

Trudno mi powiedzieć, która mogła być godzina, bo w tym hałasie nie sposób było usłyszeć dźwięku dzwonu.

- Jak myślisz, co się dzieje? - Zapytał Gołabek.

- Nie mam pojęcia - odparłem, a w duchu podejrzewałem, że to musi mieć coś wspólnego z tym, o czym wspominał Wojtas jak byliśmy dziś na wybiegu.

Trudno mi stwierdzić, ile czasu trwał ten szalony łomot. Wszystko wskazywało na to, że klawisze wybrali najskuteczniejsze rozwiązanie i wzięli kopiących na przetrzymanie. W końcu opadną z sił.

Po drugiej stronie drzwi musiało się roić od klawiszy. Raz po raz na drewnianych podestach dało się słyszeć nawoływania i prężnie stawiane kroki.

Nagle z tub megafonów rozległ się ostry, przeciągły pisk, a potem czyjś ochrypły głos oznajmił władczym tonem:

- Grupa interwencyjna jest wzywana do pawilonu "D"! Powtarzam! Grupa interwencyjna jest wzywana do pawilonu "D"!

Chwilę później echo poniosło po więziennych korytarzach złowieszczy odgłos, jakby wbiegła tutaj cała kompania ludzi w ciężkich butach, których podeszwy były podkute stalowymi ćwiekami. Przez głowę przemknęła mi myśl, że czymkolwiek była owa grupa interwencyjna, to jej przybycie nie wróżyło nic dobrego.

- Sprawdzić gdzie jest sucho i meldować pod którym numerem! - Ktoś wydał komendę.

Na drewnianych podestach zadudniły kroki biegnących.

Konkretne numery cel dało się usłyszeć dopiero wtedy, kiedy sprawdzający byli na wyższych kondygnacjach.

- Pięćset czterdzieści siedem!

- Sześćset pięćdziesiąt dziewięć!

- Sześćset osiemdziesiąt!

W pewnym momencie któryś ze strażników dotarł pod nasze wrota i wrzasnął:

- Siedemset piętnaście!

Pobiegł dalej i po chwili ryknął:

- Siedemset dwadzieścia dwa!

Gołąbek podszedł do mnie i szepnął:

- Co on krzyczał wcześniej? Że co mają sprawdzić?

- Gdzie jest sucho - odparłem konspiracyjnym tonem.

- Sucho?!

- No tak mi się wydaje.

Wiedziałem, że cokolwiek działo się po drugiej stronie drzwi, musiało być nie lada problemem.

- Z siedemset trzydzieści trzy domagają się wyjścia - rozległ się donośny głos klawisza - ponoć jeden z nich obficie krwawi!

- To niech się kurwa wykrwawi! - Niemal natychmiast ktoś ryknął od strony sterowni.

Przez kolejnych piętnaście minut coś się działo na niższych kondygnacjach. Od czasu do czasu rozlegał się dźwięk otwieranej zasuw.

Razem z Gołąbkim sterczeliśmy pod drzwiami wytyżając słuch. Wtem usłyszeliśmy jak kilka osób wbiega schodami na górę.

- Które tutaj są suche? - To był głos porucznika Ozurskiego.

- Siedemset piętnaście i siedemset dwadzieścia dwa! - Padła odpowiedź.

- Otworzyć! Niech no zobaczą, kogo tam mamy!

Nim zjawili się pod naszymi drzwiami, ja i Gołąbek siedzieliśmy jak trusie na pryczach.

Rozległo się szurnięcie zasuw, ktoś otworzył na oścież wrota, a do celi wpadł snop żółtego światła. W tym samym momencie błysk ręcznej latarki oświetlił nasze twarze.

- Kogo tutaj mamy? - Zapytał Ozurski.

- Jan Trulski i Stanisław Żabikowski, towarzyszu poruczniku! - Zameldował jakiś klawisz.

- Ooo! Widzę, że generalicja jest sprytna i nie bierze udziału w zabawie - syknął gwiazdor. - Trulski zostajecie w celi, Żabikowski wychodzić! - Rozkazał władcym tonem.

Podniosłem się z pryczy i ruszyłem w stronę drzwi.

Ozurski stał w progu, a za jego plecami dwóch szeregowych gadów.

- Weźcie z sobą wiadro i szmatę! - Towarzysz porucznik rzucił w moją stronę.

Zrobiłem co kazał.

- Mam dla was zajęcie Żabikowski - powiedział szyderczo. - Najpierw umyjcie cały podest na tym piętrze, a potem pomożecie tym z dołu!

Byłem zdumiony słysząc te słowa, ale dopiero kiedy wyszedłem z celi i zobaczyłem co jest grane, o mało oczy nie wyskoczyły mi z czaszki.

Więzienny korytarz przypominał miejsce żywcem wyjęte z krwawego horroru! Nigdy nie widziałem czegoś takiego! Nigdy w życiu nawet nie przyśnił mi się taki koszmar, a miewałem przeróżne mary!

Myślę, że najpierw wam opowiem co się stało, a wtedy wy łatwiej sobie wyobrazicie, co ujrzałem wychodząc z celi.

Jak już wiecie, porucznik Modest Ozurski, odpowiednio zakwaterował grypsujących i zadbał, żeby odizolować przywódców od reszty ferajny. W odwecie siemachy postanowili mu udowodnić, że nadal są zorganizowani i że nawet siedząc w celach, są w stanie uderzyć z miażdżącą siłą. W tym wszystkim nie było żadnej idei czy też walki w imię jakichś zmian, zasad lub więziennych postulatów. Powód był błahy, można śmiało powiedzieć, że wręcz banalny. To była tylko zawzięta chęć pokazania, kto jest górą i na tym koniec. Nic więcej. Musicie wziąć pod uwagę, że więzienie nie ma nic wspólnego ze światem który znacie. To, co wam wydaje się kretyńskie i niedorzeczne, po drugiej stronie murów może mieć zupełnie inne oblicze. Nie starajcie się tego rozgryźć lub doszukać jakiegoś sensu. Kiedy w dzisiejszych czasach młodzi ludzie słyszą o tym, co działo się za tak zwanej komuny, to też drapią się w głowę i nie potrafią pojąć absurdów socjalistycznej rzeczywistości, prawda? To chyba najlepsze porównanie, jakie przychodzi mi do głowy.

No dobrze, ale do rzeczy.

Ozurski zrobił to, co uważał za słuszne. Pewnie myślał, że jest mądry, sprytny i przebiegły. Wydawało mu się, że jeśli stoi na straży prawa, to jako oficer służby więziennej wprowadzi tu rządy twardej ręki i wzorowej dyscypliny. Może takie właśnie miał marzenie, kto wie? Problem w tym, że nie docenił przeciwnika.

Zbiorowe akcje grypsujących miały w tamtych czasach jedną cechę wspólną. Otóż, każda afera jaka została rozpętana, musiała być isticie spektakularna. To musiała być coś, co rozkładało na łopatki, paraliżowało działanie całej jednostki penitencjarnej albo wpędzało władze więzienia do narożnika i posyłało jej serię nokautujących ciosów. Tak właśnie stało się w ostatnią niedzielę listopada 1962 roku.

Udział w przedstawieniu wzięli prawie wszyscy osadzeni w pawilonach "D" i "B". Łącznie było to blisko siedmuset git-ludzi. Tylu chłopca liczyła wtedy wroniecka ferajna,

co stanowiło prawie połowę stanu osadzonych.

Zapewne większość z was wie, co oznacza określenie - chlastać się. Jednak jeśli ktoś nie jest świadomy, to już wyjaśniam. Otóż w więziennym żargonie chlastać się, to tyle samo co dokonać samookaleczenia przez nacięcie ciała. Przeważnie robi się to na przedramieniu, a co bardziej odważni tną sobie piersi lub brzuchy. Blizny po samopocięciu nazywane są sznit lub sznyt i w pudle stanowią dowód męstwa oraz odporności na ból. W latach sześćdziesiątych we wronieckim więzieniu było dwóch charakterniaków, którzy mieli tak zwany "sznyt królewski". Ta blizna jest wynikiem jednego cięcia i biegnie od czubka głowy, przez twarz, szyję, środek torsu, brzuch, biodro i wzdłuż nogi, aż do palca stopy... Istne wariactwo, prawda? Wracając jednak do listopadowej akcji, to szczegóły tej operacji usłyszałem od Wojtasa już następnego dnia. Gdyby nie to, że był jednym z inicjatorów tej krwawej afery to myślę, że nie puściłby pary z gęby. Jednak on miał znaczący udział w tym przedsięwzięciu i dlatego właśnie z dumą opowiedział mi całą historię.

Próżność to potężna słabość.

W kilku słowach sprawa miała się następująco.

Po eksmisjach Ozurskiego przez krótki czas w szeregach grypsujących źle się działo. Członkowie starej gwardii hołdowali żelaznym zasadom i wiedzieli, że nie wolno strącać z piedestału najważniejszych mącicieli, kiedy tamci znaleźli się w potrzasku. Zatwardziali charakterniacy rozumieli, że w organizacji liczy się lojalność, dyscyplina i zdecydowane działanie. Powołali kilkusobowy komitet grypserski, do którego należał również Wojtas. Swobodnie mogli rozmawiać tylko na promenadzie i właśnie tam jeden z nich palnął, że muszą zrobić coś takiego, żeby klawiszy zalała krew troista. Te słowa były przenośnią, ale ponoć Wojtas miał wtedy rzec:

- To kurwa mać, zalejmy gadów krwią dosłownie!

I w ten prozaiczny sposób narodził się pomysł, któremu nadali kryptonim "dzień chlastania". W pierwotnej wersji akcja miała wyglądać tak, że w tym samym czasie każdy członek ferajny dokona samookaleczenia i wszyscy będą się domagać wizyty lekarza. Czy jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak armia siedmuset Ludzi chlasta się w tym samym czasie? Siedmuset Ludzi! I niech każdy się okaleczy, to razem daje siedemset krwawych ran. Jednak podczas kolejnych debat komitetu grypserskiego, jeden z charakterniaków zasugerował bardziej efektowne rozwiązanie. Miał ponoć powiedzieć:

- Chlastajmy się z głową. Każdy robi cienki sznyt, żeby nie było za dużo problemów, bo zanim nas opatrzą, to przecież miną wieki. Rany robimy powierzchowne, tak dla zmyły. Załatwimy czerwony barwnik, każda celi dostanie swoją działkę i ten barwnik rozmieszczaemy we wiadrach z wodą. Jeśli z każdej celi wypłynie na korytarz dziesięć litrów czerwonej zalewajki, a my odstawiamy jeszcze kopanego w drzwi, to gady się zesrają.

Na tym stanęło i to była ostateczna wersja afery, która miała miejsce 25 listopada o godzinie 17.00 Taki był odwet grypsersów na działania panoszącego się gwiazdora Ozurskiego.

Teraz łatwiej mi będzie wyrazić słowami, co takiego ujrzałem, kiedy wyszedłem z celi dzierząc w dłoniach wiadro i szmatę...

Począwszy od szczytowego podestu na ścianach pawilonu "D" malowały się rubinowe zacieki. To wyglądało tak, jakby spływała po nich krew rozrzedzona listopadowym deszczem. Strugi ciągnęły się przez trzy piętra. W miejscach gdzie ściana była wybialkowana widniały szerokie maźnięcia, niczym cienie karmazynowych wodospadów. Zupełnie jakby jakiś szalony malarz o morderczych skłonnościach zostawił po sobie monumentalny ślad i chciał pokazać światu, że mury też mogą krwawić. Na każdym piętrze była kremowa lamperia, ciągnąca się na wysokości półtora metra, ale oleista powłoka nie pozwoliła zaciekom wchłonąć i wezreć się pod warstwę farby. Czerwone smugi zaschły i spoczęły na jej obliczu.

Wiadra z rozpuszczonym barwnikiem siemachy wylali przez szczeliny u dołu drzwi. Woda bez trudu przedarła się przez szpary w podestach i chyba jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak musiał wyglądać peron, kiedy tuż po godzinie siedemnastej prawie ze wszystkich cel popłynęły szkarłatne strumienie. Krwiste kaskady runęły w dół i niczym potop zalały najniższą kondygnację.

Stałem jak osłupiały i wpatrywałem się w ten makabryczny widok. Wtedy nie miałem pojęcia, że to tylko rozrzedzony barwnik do tkanin i byłem pewien, że jest to krew zmieszana z wodą. Widok naprawdę był przerażający i tylko porucznik Ozurski zdawał się zachowywać spokój i opanowanie. Raz po raz wydawał konkretne rozkazy i sprawiał wrażenie, jakby panował nad sytuacją.

Ostatnia kondygnacja wyglądała normalnie i tylko na deskach podestu połyskiwały bordowe kałuże. Drewno było nasączone ognioodpornym impregnatem, który uniemożliwiał również wchłonięcie jakiegokolwiek cieczy. To, co udało mi się zebrać szmatą, wykręcałem do wiadra. W sumie to była robota głupiego, bo i tak większość zalewy ściekała pomiędzy deskami i kapiała w dół. Z kilku, a może nawet kilkunastu cel na pawilonie "D" dochodził bezustanny łomot i krzyk, że ktoś potrzebuje lekarza. Najbardziej tłukli się w siedemset trzydzieści trzy, gdzie siedzieli Wolny i Świder. Ozurski wysłał tam dwóch strażników, żeby sprawdzili co się dzieje. Otworzyli drzwi, weszli do środka i po chwili jeden z nich popędził w kierunku schodów, a potem na sterownię. Kilka minut później zjawił się lekarz i dwóch sanitariuszy z noszami. Byłem wtedy tuż obok i widziałem, jak wynoszą na tragach Świdra z rozciętym brzuchem.

- No doktorku, pogoń tych gamoni, bo sam nie poczlapię, a trzeba mi wyczyścić stodołę - rzucił Świder z nieukrywaną drwiną.

To, co sobie zrobił na pewno musiało boleć, ale dureń chciał zaimponować innym. Na bank nie macie pojęcia co znaczy wychlastać sobie stodołę, więc wam zdradzę. Stodoła to cięcie w poprzek brzucha, a dodatkowo ranę trzeba zasypać jakimś śmieciem typu trociny, wióry albo innymi paprochami. Wszystko po to, żeby dać lekarzowi zajęcie. Nie tylko Świder popisał się tamtego dnia. Na pawilonie "B" jeden gość miał ranę, która wyglądała tak, jakby poderżnięto mu gardło. Poważnie! Sztuczka polegała na tym, że facet łapiąc palcami skórę na szyi pociągnął ją w przód, a ktoś drugi delikatnie przejechał mu podgardle żyłką. Rana nie krwawiła obficie, ale prezentowała się przeokropnie.

Na parterze roіło się od klawiszy. Część z nich była pod bronią i myślę, że oni tworzyli właśnie grupę interwencyjną, gotową do działań na wypadek buntu. Na kwadrans przed dwudziestą na sterowni pojawił się dyrektor więzienia. Zamienił kilka zdań z

Ozurskim, wydał parę poleceń i zniknął. Chwilę później grupa interwencyjna ustawiła się w dwójkową kolumnę i opuściła więzienny korytarz. W tym samym czasie ja i czterech innych więźniów, szorowaliśmy lamperię na pierwszym piętrze. Mieliśmy obawy, że przyjdzie nam jeszcze zbierać wodę z terakotowej posadzki.

- Niech to chuj! Przez tych pojebanych grypserów utknijemy tu na resztę nocy i będziemy się babrać z tym barszczem - powiedział jeden z moich towarzyszy i strzelił wzrokiem w kierunku kałuż rozlanych na parterze.

Nagle zobaczyliśmy, jak Ozurski w asyście czterech klawiszów podszedł do drzwi pierwszej celi po prawej stronie.

Rozległ się szczeł zasuw, a potem z ust towarzysza porucznika padła krótka komenda:

- Wychodzić!

Z tego miejsca trudno mi było dostrzec co się dzieje i musiałem się nieco wychylić.

- Powiedziałem wychodzić! - Wrzasnął Ozurski.

Nie było żadnej reakcji.

Gwiazdor powiedział coś do towarzyszących mu strażników, po czym cała czwórka pochwyciła w dłonie pałki i prężnym krokiem wkroczyła do celi. Niemalże natychmiast rozległ się łomot i krzyki pełne bólu. Przez kilka dobrych minut tłukli ich tam straszliwie, aż wreszcie Ozurski powiedział:

- Dość! - I kazał mundurowym opuścić celę.

Gwiazdor chyba zdał sobie sprawę, że to nie jest dobry pomysł. Stanowczy opór pozostałych siemachów mógł utwierdzić pozostałych w przekonaniu, że w jedności tkwi siła, a to pachniało buntem.

Towarzysz porucznik wydał klawiszom jakieś polecenia i udał się w kierunku sterowni. Wchodząc po schodach spojrział w naszą stronę i warknął:

- Na co się gapicie?! Brać się do roboty!

Raz po raz rozlegało się walenie w drzwi i okrzyki, że potrzebny jest lekarz.

Kwadrans później na sterowni zjawili się dwóch sanitariuszy z torbami przewieszonymi przez ramię. Każdy w asyście trzech strażników, chodził od celi do celi skąd dobiegały wezwania. Podejrzewam, że mieli z sobą wystarczający zapas jodyny i bandaży, żeby zrobić potrzebującym opatrunki. Oczywiście w większości wypadków wezwanie było zbędne, ale siemachom właśnie chodziło o to, żeby zasiać odrobinę zamętu i dać klawiszom powód do łażenia.

Kiedy zegar na wieży wybił wpół do dziesiątej, nasza czwórka zabrała się za czyszczenie lamperii na parterze. Szkarłatne kałuże mieniły się na posadzce niczym tafle jezior podczas zachodu słońca i wychodziło na to, że nam też przyjdzie zająć się tym bajzłem.

Punktualnie o dwudziestej drugiej odezwał się gong obwieszczający capstrzyk, a zaraz potem ujrzelśmy jak klawisze prowadzą korytarzem czterech skazańców z rękami skutymi na plecach. Kiedy ujrzałem ich twarze od razu wiedziałem kim są.

To była elita.

Czterech najważniejszych mącicieli.

Przeszli obok nas pod eskortą strażników i zniknęli w wyjściu wiodącym do

głównego budynku.

Ku mojemu zaskoczeniu następnego dnia więzienne życie toczyło się tak, jakby zeszłego wieczoru nic się nie stało i tylko zaschnięte smugi na ścianach przypominały o tym, że doszło do makabrycznego incydentu. Osobiście spodziewałem się konsekwentnej kontynuacji działań ze strony siemachów, ale przysięgam na Boga, że nic się nie działo.

Pobudka, śniadanie, wyjście do pracy.

Kolejny, zwykły dzień.

W pierwszym tygodniu grudnia zacieki na ścianach zostały zamalowane. Zakup farby został sfinansowany z pieniędzy wszystkich osadzonych w pawilonach "B" i "D". Forse potrącono tym, którzy mieli pracę zarobkową, a malowaniem zajęli się bezrobotni.

Cała sprawa wyjaśniła się dopiero wiele lat później, ale tę historię usłyszałem z ust archiwisty Szorpaka. Okazało się, że syn głównego wronieckiego mściciela odbywał karę pozbawienia wolności w więzieniu w Braniewie. Ozurski przedstawił mu swoje ultimatum i ponoć miał wtedy powiedzieć:

- Przywołasz grypsujących do porządku i w jednostce ma zapanować spokój. Jeśli tego nie zrobisz, to klnę się na własną matkę, że twój pierworodny zostanie braniewską dziwką. Dołożę wszelkich starań, jak trzeba będzie to jutro pojedę do Zakładu Karnego w Braniewie i ułożę się tam z najpodlejszymi ułanami. Możesz mi wierzyć na słowo, że nie będę miał żadnych skrupułów. Sprawię, że twój dzieciak zostanie cwelem. Do odsiadki ma jeszcze dwa lata i jeśli nie zrobisz tego co sobie życzę, będą go tam rznąć, aż do ostatniego dnia.

To był argument, który potrafił przemówić do wyobraźni, a już szczególnie facetowi, który w więziennej hierarchii piastował rangę głównego mściciela. Przecież jego syn nawet gdyby siedział w jakimś parszywym pudle na drugim końcu świata, to nie mógł tam zostać ciotą! Ta sprawa nie podlegała żadnej dyskusji. Dlatego gość wydał rozkaz, że ma zapanować spokój i cała armia wronieckich siemachów bez dyskusji i dociekań musiała posłusznie wypełnić polecenie. Takie wtedy panowały zasady. W tamtych czasach grypsujący nie podważali jakiegokolwiek decyzji szefa, nawet jeśli któraś z nich była dla całej ferajny kompletnie niezrozumiała.

Ufam, że teraz rozumiecie na czym tak naprawdę polegała władza w środowisku więziennej podkultury. Kiedy zdarzało się coś, co godziło bezpośrednio w prywatne sprawy szefa, wtedy nie liczyło się dobro grupy ale jego własny interes. Tylko totalna dyktatura pozwala na podejmowanie takich decyzji.

Porucznik Modest Ozurski swoim sprytnym posunięciem zażegnał krwawy problem, który w efekcie mógł skończyć się buntem i tym samym zyskał ogromne uznanie dyrektora. Ta cała sytuacja doprowadziła do tego, że gwiazdor walczący z podkulturą stał się pupilkim pułkownika Gryczewskiego.

W pionie dowódczym nie było żadnego oficera, który podskoczyłby Ozurskiemu, a on umiejętnie wykorzystał sytuację i zaczął budować swoją pozycję. Miał taką siłę przebicia, że na jego specjalne życzenie zostało utworzone stanowisko archiwisty. To był początek 1963 roku i właśnie wtedy w murach wronieckiego więzienia pojawił się Mirosław Szorpak.

Daruję sobie szczegółowe pisanie o tym ile krwi napsuł mi Ozurski i ile

durnowatych widzeń odbyłem w jego gabinecie. Powiem wam tylko tyle, że ten przebrzydły gad przy każdej okazji obarczał mnie najgłupszymi pracami porządkowymi. Ktoś musiał mu powiedzieć, że do mycia lakierowanego parkietu najlepsza jest woda z octem i że raz na jakiś czas, powinno się przetrzeć całą powierzchnię delikatnie nasączoną szmatą. Wiecie co się stało, kiedy posiadał tę wiedzę? Otóż co drugą niedzielę, popołudniami zasuwałem na klęczkach w budynku administracyjnym. Zaliczałem również sprzątanie łazienki, zbieranie petów, które skazani wyrzucali przez okna albo mycie poręczy przy podestach. Jesienią łapałem się na grabienie liści, które zalegały wzdłuż więziennego muru, zimą miałem zaszczyt odśnieżać dziedziniec, wiosną plewiłem chwasty, a latem kosiłem trawę. No i oczywiście co drugą niedzielę zapieprzałem na czworaka przy pucowaniu parkietu. Szlag mnie trafiał, ale zaciskałem zęby i wołałem nie podskakiwać. Facet z jakiegoś powodu żywił do mnie cholerną niechęć i musiałem to zaakceptować. Oczywiście zdajecie sobie sprawę, jakie były moje uczucia w stosunku do jego osoby... Od samego początku, od pierwszego dnia, że tak to ironicznie ujmę, naszej znajomości, czułem się tak, jakby wszawy mendziarz Szumski mścił się na mnie z zaświatów. Kiedy latem 1967 roku gwiazdor Modest zniknął z wronieckich peronów, poprosiłem Szorpaka o wgląd do jego akt. Wtedy dokonałem odkrycia, które dosłownie powaliło mnie na podłogę, ale o tym opowiem wam nieco później. Teraz natomiast chciałbym wam zdradzić w jaki sposób Ozurski dyskredytował największych charakterniaków. Pomimo mojej ogromnej niechęci do tego człowieka muszę przyznać, że jego perfidne poczynania nie miały sobie równych.

Z natury człowiek jest stworzeniem stadnym. Od zarania dziejów ludzie żyli w gromadzie, a nieodzowną cechą wspólnoty jest to, że zawsze w jej szeregach pojawiają się właśnie lub konflikty. To jest po prostu nieuniknione i w historii świata nie istniały takie cywilizacje lub społeczeństwa, w których wszyscy ludzie żyliby z sobą w idealnej symbiozie. W więzieniu stosunki pomiędzy osadzonym przybierają różną formę. Rodzą się prawdziwe przyjaźnie, więzi koleżeństwa lub sympatie, są kłótnie i spory, można też bez problemu pozyskać wroga i zaszcześcić w sobie nienawiść, aż do grobowej deski. Pod tym względem świat osadzonych niewiele różni się od życia normalnych ludzi, toczących swoją egzystencję po drugiej stronie murów.

Pośród siemachów było dwóch charakterniaków, którzy od lat kroczyli po wojennej ścieżce. Chyba nikt nie wiedział, co było powodem ich zwady, ale za to wszyscy zdawali sobie sprawę, że kolesie są w stanie zatłuc się na śmierć. Jeden z nich miał ksywkę Kyjza, a na drugiego wołali Piękny Lolek. Do Kyjzy raz w miesiącu przyjeżdżała w odwiedziny małżonka i z tego co mówili chłopaki, była z niej rasowa sztuka. Ponoć ubierała się bardzo wyzywająco, a jej ogromne, sterczące cycki miały w sobie coś hipnotyzującego i każdy facet mimowolnie ślinił się na ich widok. Kobieta Kyjzy była obiektem erotycznych westchnień i dowcipów ze strony innych, co powodowało u niego wybuchy agresji i złości. Chłop był zazdrosny o swoją żoneczkę jak diabli. Jednak kontrolował się na tyle, żeby nie zrobić niczego głupiego, co mogłoby mu przysporzyć niepotrzebnych problemów. Wszyscy wiedzieli, że Kyjza był tak zwanym "szefem przedziału" i rządził grypsującymi, którzy siedzieli na pierwszym piętrze w pawilonie "B". Ozurski miał świadomość, jak wyglądała wtedy hierarchia wronieckich szamaków i wszyscy

charakterniacy, którzy odgrywali istotną rolę w strukturach nieformalnej władzy, byli na jego celowniku. Szukał na nich haka, żeby mieć mocną podkładkę, która pozwoli mu na stosowanie kar dyscyplinarnych. Myślę, że gwiazdorowi przyświecał jeden cel, w którym chodziło tylko o to, żeby złamać konkretnego koleśka i wykluczyć go z gry. Kyjza jednak był twardym gościem i im bardziej Ozurski go gnębił, on stawiał jeszcze większy opór i tym sposobem zyskiwał szacunek ferajny. Porucznik na pewno wiedział o konflikcie, jaki iskrzył pomiędzy Kyjzą i Pięknym Lolkiem, a ten drugi tak na marginesie, miał urodę filmowego amanta. Możliwe, że wykorzystałby tę sytuację do swoich niecznych celów, jednak problem był w tym, że Piękny Lolek kończył odbywanie wyroku. W niespełna miesiąc po jego wyjściu na wolność, Ozurski wpadł na szatański pomysł. Kyjza pochodził z Piły, która leży raptem sześćdziesiąt kilometrów od Wroniek. Gwiazdor ubrał się w cywilne ciuchy, zaczesał włosy, spryskał policzki wodą kolońską, kupił bukiet kwiatów i pojechał w odwiedzinach do cycatej babeczki, o którą tak bardzo był zazdrosny Kyjza. Dotarł pod właściwy adres i zastał kobietę w mieszkaniu. Przedstawił się jako Piękny Lolek, powołał się na swoją więzienną przeszłość i powiedział, że jest przyjacielem jej męża. Nieświadoma niczego niewiasta zaprosiła chłopca na kawę, pewnością poczęstowała również ciastem, posiedzieli, pogadali, a na koniec Ozurski miał ponoć zapytać:

- Kiedy wybiera się pani na widzenie?

- W niedzielę za dwa tygodnie - odparła.

- To mam wielką prośbę. Proszę pozdrowić Kyjzę i powiedzieć, że odwiedził panią Piękny Lolek, na pewno bardzo się ucieszy. Bądź co bądź jesteśmy waflami.

Dwa tygodnie później Kyjza dowiedział się z ust swojej kobiety, że ma pozdrowienia od serdecznego przyjaciela... Ponoć jak to usłyszał, najpierw zaczął ją wyzywać od kurew, a potem rzucił się na nią z pięściami. Chłopaki opowiadali, że w Sali Odwiedzin zrobiła się taka zadyma, iż trzech klawiszy miało problem, żeby obezwładnić rozjuszonego charakterniaka. Tym sposobem ziścił się plan Ozurskiego, któremu chodziło o to, żeby Kyjza popełnił poważny błąd. Gwiazdor potrzebował atutu nie do przebiccia, bo dzięki temu groźny siemach został wykluczony z więziennego życia. Jeszcze tego samego dnia Kyjza trafił na oddział izolacyjny. Resztę zasądzonej kary, a zostało mu jeszcze do odbębnienia ponad dwa lata, spędził w samotności w pojedynczej celi. Plotka głosiła, że poprzestawiało mu się w głowie. Słyszałem też, że lekarze faszerowali go jakimiś lekami, ale facet nie wrócił już do siebie.

Czasami zastanawiam się, czy Ozurski naprawdę nie miał sumienia? Czy pomyślał o tym, że jego działania niosą krzywdę osobom, które nie miały nic wspólnego z tym całym więziennym cyrkiem? Czy kiedykolwiek zastanawiał się nad tym, jak potoczyły się losy Bogu ducha winnej kobiety? Czy rzeczywiście był tak bezwzględny, że dążył do celu po przysłowiowych trupach?

Oczywiście wykluczenie w podobny sposób całej grypsującej elity było niemożliwe do zrealizowania i sędzę, że właśnie wtedy gwiazdor zrozumiał, że jedynym sensownym wyjściem jest dyskredytacja. Kurde, nie wiem dlaczego, ale bardzo podoba mi się to słowo, jest takie dosadne, mocne, konkretne. Pewnie jesteście ciekawi, jaką drogą podążył porucznik Ozurski, prawda? W skrócie przedstawię wam jego dwa

sztandarowe modele, które z upodobaniem wdrażał w życie.

Przykład pierwszy.

Ozurski wysyła klawisza do celi po konkretnego więźnia. Strażnik otwiera drzwi i wywołuje charakterniaka, obwieszczając na głos, żeby reszta na kwaterze wyraźnie usłyszała każde słowo:

- Porucznik Ozurski wzywa was na rozmowę!

Klawisz prowadził delikwenta do gabinetu. Ozurski kazał mu usiąść i w ogóle z nim nie rozmawiał. Przeważnie czytał wtedy gazetę, przeglądał czyjeś akta albo po prostu palił fajki i gapił się w okno. To trwało dobre pół godziny, a czasami i dłużej. Po skończonej, milczącej nasiadówce więzień był odprowadzany do celi. Facet zjawiał się w komnacie i wszyscy byli ciekawi czemu tak długo go nie było? O czym rozmawiali? Czego chciał gwiazdor? Zdajecie sobie sprawę, jak to musiało brzmieć, kiedy gość mówił, jak faktycznie przebiegała wizyta. Trudno uwierzyć w milczącą audiencję, prawda? Jednak to jeszcze nie koniec, bowiem po kilku dniach Ozurski osobiście fatygował się do celi, z której wcześniej ktoś trafiał do jego gabinetu. Porucznik stawał w progu i mówił, zwracając się bezpośrednio do tej samej osoby, która była wzywana kilka dni temu:

- Pozwólcie ze mną, mam jeszcze kilka pytań w związku z naszą ostatnią rozmową.

I co, czujecie na czym polegał podstęp? Wyobrażacie sobie, jakim zaskoczonym wzrokiem kumple z celi spoglądają na gościa, który twierdził, że nie było żadnej dyskusji? W głowach natychmiast rodziły się podejrzenia i wątpliwości, a zaufanie trafiał szlag.

Przykład drugi.

Niedziela, promenada i spacerowicze.

Ozurski podchodzi do klawiszy stojących przy bramce i każe wezwać jednego z więźniów. Facet podchodzi do wyjścia, strażnik otwiera przejście, gość wychodzi, a gwiazdor kładzie mu rękę na ramieniu. Odchodzą kilka metrów dalej i stają w miejscu. Reszta towarzystwa obserwuje co się dzieje. Porucznik wyciąga fajki i częstuje swojego rozmówcę. Stoją w ten sposób, że wszyscy widzą plecy skazańca. Ozurski kiwa głową, jakby przysłuchiwał się słowom płynącym z ust więźnia. Wyglądają tak, jakby faktycznie o czymś rozmawiali. Potem porucznik znowu kładzie rękę na ramieniu swojego dyskutanta i zmusza go do tego, żeby stanął twarzą do spacerniaka. Drugą ręką pokazuje w kierunku zgromadzonych, jakby wskazywał jakąś konkretną osobę. Po chwili przechadzają się idąc wzdłuż siatki i powiem wam, że wszyscy są przekonani, że towarzysz Ozurskiego kłapie dziobem.

Musicie wiedzieć, że tego typu historie nie były nagminne. Ozurski wybierał tylko najtłuściejsze rodzynki z ciasta i czasami bywało tak, że kilka razy z rzędu wyciągał ze spacerniaka jedną i tą samą osobę. Podkopywał jej wiarygodność i siał ziarno niepokoju w pozostałych duszach.

W sumie porucznik stosował wiele metod, ale cel zawsze był jeden.

Dyskredytacja.

No dobrze, myślę, że wystarczy już o sprytnym gwiazdorze i jego podłych pomysłach. Nie chcę brnąć w ten temat, bo wiem, że za kilka akapitów zaczniesz mnie trzepać i na samą myśl o Ozurskim dostanę gęziej skórki. Chciałem was tylko uświadomić, jakim był człowiekiem i jakiej sprawie się poświęcał.

Na pewno każdemu z was przynajmniej raz w życiu przyszedł do głowy podły pomysł, który mógłby uprzykrzyć życie drugiej osobie, na przykład zgorzkniałemu sąsiadowi albo nielubianemu koledze. Mam rację, prawda? A teraz przyjmijcie do wiadomości, że porucznik zjada was razem z tymi pomysłami na drugie śniadanie. Ten facet był mistrzem manipulacji, a sztukę kompromitacji swoich ofiar opanował do perfekcji. Jeśli idzie o Ozurskiego i o mnie, to muszę wam powiedzieć, że w moim wypadku spełniło się stare, mądre powiedzenie, iż nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Facet uprzykrzał mi życie, angażował mnie w idiotyczne zajęcia, nawet odciął mnie od pracy zarobkowej, ale dzięki jego decyzjom zaprzyjaźniłem się z archiwistą Szorpakiem. Ta znajomość była warta wszystkich poniesionych utrapień. Jenak zanim wam o tym opowiem, muszę znów wykonać skok w odległą przyszłość. Wcześniejsza wzmianka o więźniu zwanym Kyjza i Sali Odwiedzin nie daje mi spokoju. Męczy mnie pewne wspomnienie, które muszę teraz z siebie wyrzucić.

W trakcie mojego pobytu we wronieckim więzieniu tylko cztery razy przekroczyłem próg Sali Odwiedzin. Pierwszą osobą, która przysłała do mnie z wizytą była Agnieszka. Rok później, bo w 1926 spotkałem się z konkubina Hrabiego, a potem minęło dwadzieścia pięć długich lat i wtedy miałem przyjemność poznać panią Dowell. Następnie upłynęło kolejne ćwierć wieku i w niedzielę dziewiątego maja 1976 roku po raz czwarty i ostatni w asyście strażnika zmierzałem w stronę drzwi za którymi znajdowała się Sala Odwiedzin.

Czułem się wtedy dokładnie tak samo, jak pół wieku temu.

Wtedy też kroczyłem korytarzem, tylko kolor ścian miał inną barwę.

W mojej wyobraźni odżyły wspomnienia z zamierzchłej przeszłości.

W obszernym pomieszczeniu przy stolikach siedzieli skazańcy ze swoimi najbliższymi. W tamtych latach regulamin jasno określał, jak mają wyglądać widzenia, a porządku pilnowało dwóch klawiszy. Jeden z nich siedział w rogu sali i obserwował, natomiast drugi bezustannie krążył pośród zebranych i przy okazji przysłuchiwał się toczonym rozmowom. Przepisy nie pozwalały na jakikolwiek kontakt fizyczny pomiędzy więźniem i cywilem. Nie było żadnych wyjątków, nawet dzieci nie mogły przytulić się do swoich ojców.

Tamtego pamiętnego dnia odwiedziła mnie konkubina Hrabiego. Nigdy nie zapomnę jej gorzkich słów, pełnych wściekłości, gniewu i nienawiści. Jestem pewien, że jeśli tylko miałyby okazję, to bez wahania wbiłyby mi nóż prosto w serce. Potraktowała mnie w taki sposób, na jaki sobie zasłużyłem. Zawsze zdawałem sobie sprawę, że ponoszę winę za śmierć Duszańskiego i wiem, że będę musiał żyć z tym piętnem aż do grobowej deski. Czasami miewam parszywe sny w których przewija się ten moment, kiedy klawisze siłą wyprowadzają z sali rozjuszoną kobietę, a w uszach słyszę przekleństwa, które ciska pod moim adresem...

Im mniej kroków dzieliło mnie od drzwi wejściowych, tym większy czułem strach. Nie wiedziałem kogo mogę się spodziewać, choć w głębi duszy obstawiałem na Wiktora.

Kiedy klawisz otworzył wrota, ujrzałem dwóch nieznanymych mężczyzn ubranych w sztywne garnitury. Byłem pewien, że nastąpiła pomyłka.

Jeden z nich miał ponad czterdzieści lat, a drugi mógł być moim rówieśnikiem.

Na mój widok obaj podnieśli się z miejsc.

Podszedłem bliżej.

Spojrzałem po ich obcych twarzach i wtedy ten młodszy odezwał się do mnie:

- Witaj generale Ropuch - wyciągnął przed siebie dłoń, a na jego twarzy zagościł życzliwy uśmiech. W tym samym momencie rozpoznałem znajomy głos i pojąłem, że przede mną stoi Ali Bajsztok we własnej osobie. Patrząc mi prosto w oczy, rzekł: - Kiedyś ci obiecałem, że jeszcze się zobaczymy i oto jestem.

Na moment odebrało mi mowę.

- A niech mnie licho! - Rzuciłem z radością. - Gdybyś się nie odezwał, to nie rozpoznałbym cię za skarby świata!

- To mój ojciec, Ryszard - kiwnął głową na swojego starszego towarzysza.

- Dzień dobry - odezwał się mężczyzna i przywitał się ze mną. - Od dawna chciałem pana bardzo poznać, żeby się spotkać i osobiście podziękować.

- Podziękować?! - Powtórzyłem z niedowierzaniem i spojrzałem na niego zaskoczonym wzrokiem.

Okazało się, że Ali wziął sobie do serca moje słowa i zmienił się na lepsze. Zerwał z przestępczą przeszłością, wyprowadził się na drugi koniec Polski i został zegarmistrzem. Osiągnął sukces bo był ambitny, pracowity i uparty. Po latach ciężkiej harówki otworzył swój własny zakład i zaczął w życiu robić to, co naprawdę kochał.

Kiedy słuchałem ich opowieści, rozpierała mnie duma. Czułem się tak, jakby ten chłystek był moim dzieciakiem, któremu powiodło się w życiu.

Nie potrafię nazwać słowami radości, szczęścia i dumy, które zagościły wtedy w mojej duszy. Słowa Talmudu głoszą, że kto ratuje jedno życie, to tak jakby ocalił cały świat i tak się właśnie wtedy czułem. Jego sukces i to, że wyrwał się z bagna, które tylko czeka, żeby człowieka z przeszłością znowu pociągnąć na dno, było dla mnie największą nagrodą. Świadomość, że miałem swój skromny udział w jego nowym, lepszym życiu, przyniosła mi ukojenie. To było niczym słodkie rozgrzeszenie. Dawno temu przyczyniłem się do czyjejś śmierci, a teraz z dumą patrzyłem na tego, który ponoć dzięki mnie, odmienił swój los.

Moje rachunki ze światem zostały wyrównane.

Tamtego dnia spędziliśmy z sobą ponad dwie godziny. Na odchodne Ali sięgnął do kieszeni i wyjął rulon banknotów, który wetknął mi w dłoń.

- Co to jest? - Spytałem zaskoczonym głosem.

- Potraktuj to przyjacielu jako prezent. Jestem pewien, że wyśmienicie sobie tutaj radzisz, ale jak to mówią, od przybytku głowa nie boli.

Potem padło jeszcze kilka zdań i zapewnień, że gdybym kiedykolwiek wyszedł i potrzebował pomocy na wolności, to mam przyjechać do Opola. Swój adres Ali zapisał na karteczce, którą wcześniej wetknął w zwitek banknotów.

Pożegnałem się z Bajsztokami i byłem pewien, że nigdy więcej już się nie spotkamy.

Kiedy wróciłem do celi wyjąłem z kieszeni forszę. Rulon spięty czarną gumką do włosów zawierał sto amerykańskich, jednodolarowych banknotów i kartkę z adresem Alego.

W roku 1976 sto dolców, to była kupa forsy, a w więzieniu taka ilość pieniędzy oznaczała prawdziwą fortunę. Byłem pieprzonym krezusem, który dosłownie i w przenośni spał na szmalu, bowiem cały swój majątek trzymałem wtedy w sienniku.

To tyle co chciałem wam opowiedzieć o moim ostatnim pobycie w Sali Odwiedzin, która w roku 1980 zyskała nowe określenie i od tamtej pory była nazywana Salą Widzeń.

Trudno mi wytłumaczyć, dlaczego czasami jakieś jedno słowo lub myśl powoduje, że muszę porzucić chronologię opisywanych wydarzeń i pomknąć w przyszłość. To chyba taka moja prywatna, że tak to nazwę, "literacka pięta Achillesowa". Problem w tym, że kiedy w mojej głowie znienacka pojawia się jakieś skojarzenie, które odnosi się również do innych wydarzeń, wówczas muszę czym prędzej przelać je na papier. Jeśli tego nie zrobię, tracę wenę. Taka myśl draży mój umysł niczym robak miąższ jabłka i zaczyna mnie złośliwie kąsać. Szlag trafia wtedy moje skupienie i płynność pisania. Sięgam po fajkę, patrzę w okno i zamiast myśleć o słowach, które właśnie skreśliłem, zaczynam koncentrować się na innych wspomnieniach. Nic na to nie poradzę i stąd właśnie biorą się te wszystkie skoki w przyszłość.

Mea culpa.

Tyle co mam w tej sprawie do powiedzenia, a teraz opowiem wam o tym, jak zaczęła się moja znajomość z archiwistą Szorpakiem.

Z początkiem 1963 roku wpływowy porucznik Ozurski doprowadził do tego, że dyrektor wronieckiego więzienia wyraził zgodę na stworzenie archiwum z prawdziwego zdarzenia. Stanowisko naczelnego archiwisty otrzymał cywil, absolwent wydziału historii Uniwersytetu Gdańskiego Mirosław Szorpak. To nie była jego wymarzona praca, a w przyszłości przyznał mi się, że dostał tę posadę dzięki koneksjom swojego stryja. Wcześniej pracował jako nauczyciel, ale marnie zarabiał i większa gaża skusiła go do podjęcia nowego wyzwania.

Od chwili zakończenia II wojny światowej wszystkie dokumenty więźniów osadzonych we Wronkach spoczywały na strychu budynku administracyjnego. Setki szarych teczek wypełniały dziesiątki kartonowych pudeł i stanowiły świadectwo ponurej przeszłości tego miejsca. Natomiast akta skazańców, którzy właśnie odbywali swoje kary, znajdowały się w pomieszczeniach gdzie urzędowali dowódcy pawilonów. Były jeszcze stare dokumenty, które sięgały okresu międzywojennego, ale one leżały w drewnianych skrzyniach pokrytych kurzem na poddaszu graniczącym z obecną depozytownią.

Ozurski uważał, że taka sytuacja jest skandaliczna i opracował własny projekt, który miał uporządkować całą dokumentację.

Pomieszczenia strychowe w budynku administracyjnym nie nadawały się na archiwum. W niektórych miejscach na suficie odznaczały się wyraźne zacieki, a latem było tam gorąco jak w piekle. Jedna zbłąkana iskierka mogła puścić zgromadzone papiery z dymem. Chociaż na terenie więzienia znajdowało się kilka pustych lokali, które można było zaadoptować pod taką działalność, to jednak dyrektor życzył sobie, żeby archiwum znajdowało się w budynku administracyjnym. Pewnie chodziło o zwykłą wygodę i szybki dostęp do danych. W każdym bądź razie decyzja była taka, że cała dokumentacja trafi do piwnicy i tam zostanie odpowiednio uporządkowana i posegregowana. Tym właśnie miał się zająć jednoosobowy dział archiwizacji reprezentowany przez Szorpaka.

Pod koniec stycznia ekipa budowlanców zburzyła trzy ścianki działowe, które niczemu nie służyły i wysprzątała całą piwnicę. Potem zjawili się elektrycy, zamontowali cztery rzędy lamp, a po nich wpadli malarze i pokryli ściany białą farbą. W tym samym czasie w stolarni tłukliśmy zamówienie, które wpłynęło z Urzędu Miasta Wronki na wykonanie stu czterdziestu ławek miejskich. Miasto dostarczyło nam żeliwne odlewy, do których miały być przytwierdzane śrubami oparcia i siedziska. Całość miała być pomalowana olejną farbą na ciemno-zielony kolor o identycznym odcieniu, jaki znajdował się w herbie miasta. Czas realizacji usługi upływał z pierwszym dniem wiosny. Gdybyśmy się ostro wzięli do roboty, wtedy spokojnie moglibyśmy to machnąć w trzy tygodnie, ale po jaką cholere mieliśmy się spieszyć? Każdy z nas dobrze wiedział, że zlecenia zewnętrzne trzeba sobie szanować. W więzieniu za forszę, zawsze pracowało się powoli, dokładnie i bez pośpiechu.

Pod koniec stycznia w stolarni pojawił się porucznik Ozurski. Kiedy mnie zobaczył na jego parszywej gębie pojawił się durnowaty uśmieszek.

- W związku z tym Żabikowski, że jesteście doświadczonym stolarzem, mam dla was specjalne zajęcie - powiedział, a potem obrócił się do mnie plecami i zaczął wyjaśniać kierownikowi naszego bałaganu w czym rzecz.

Niech to szlag! - Syknąłem w myślach, bo doskonale wiedziałem, że mogę się pożegnać z jakimkolwiek zarobkiem.

- Ja to mam kurewskie szczęście - szepnąłem pod nosem do Wojtasa, a ten w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, jakby chciał rzec:

- Jak pech to pech!

Tym razem towarzyszył porucznik wydymał mnie na cacy. Miałem jeszcze na więziennym koncie jakieś skromne oszczędności, ale wiecie jak to jest z forszą. Łatwo się rozchodzi. Faktem jest, że moje potrzeby ograniczały się jedynie do zakupu papierosów, jednak zawsze lepiej coś mieć w zapasie niż być gołym. W sumie to tragedii nie było, bowiem odkąd wystukałem na pamięć trzynastą księgę, to każdej niedzieli trafił się jakiś chętny do posłuchania...

Tego dnia Ozurski zabrał mnie do piwnicy ulokowanej w budynku administracyjnym.

- Słuchajcie Żabikowski, rzecz ma się następująco - gwiazdor rzucił w moją stronę i zaczął mi przedstawiać swoją wizję z której wynikało, że mam zrobić regały, które będą ustawione w ośmiu długich rzędach. Każdy z nich miał być wysoki od podłogi, aż po sufit.

Kiedy skończył mówić zakląłem w myślach, bo wiedziałem, że utknę tu na kilka dobrych tygodni.

Następnego dnia przewieźliśmy ze stolarni niezbędne narzędzia oraz część materiału potrzebnego do wykonania konstrukcji opartej na koncepcji Ozurskiego. Przez ponad dwie godziny rozładowywałem pakę samochodu i w pojedynkę znosiłem wszystko do piwnicy. W tym samym czasie towarzyszył porucznik i nieznany mi cywil spacerowali wzdłuż odświeżonego pomieszczenia i debatowali.

- Chodźcie tu Żabikowski! - Ozurski rzucił oschłym tonem w moim kierunku. - Od tej chwili - powiedział, kiedy podszedłem bliżej - towarzyszył Szorpak będzie waszym

bezpośrednim przełożonym. - Ruchem dłoni wskazał na osobę młodego człowieka, który stał po jego prawej stronie. Mój nowy szef skinął głową na powitanie. - Jak myślicie Żabikowski, ile czasu wam to zajmie?

- Trudno powiedzieć towarzysz poruczniku - odparłem. - Jeśli nie będę miał żadnego pomocnika, to powinienem się wyrobić w jakieś pięć, może sześć tygodni.

- To jeszcze jest do przyjęcia - stwierdził po chwili.

- Pan jest z zawodu stolarzem? - Zapytał Szorpak, kiedy zostaliśmy sam na sam.

- Żaden ze mnie pan - odparłem z uśmiechem, po czym wyciągnąłem przed siebie dłoń i rzekłem: - Stefan jestem. - Byłem ciekaw, co zrobi i jak zareaguje na mój gest?

Spojrzał na mnie, po czym wymieniliśmy uścisk, a on powiedział:

- Mirek Szorpak. Miło mi.

Młodzieniec zrobił na mnie pozytywne wrażenie. Moje pierwsze odczucia były takie, że wydał mi się poukładany, grzeczny i kulturalny.

Szorpak miał ciemne blond włosy, piwne oczy, nieco pociągłą twarz i pieprzyk na lewym policzku o średnicy ziarenka grochu. Patrząc na jego oblicze, człowiek był pewien, że ma do czynienia z inteligentnym młodzieńcem. Chociaż liczył sobie niespełna trzydzieści lat, to wyglądał zdecydowanie młodziej.

- Napije się pan herbaty? - Zapytał zniemacka.

Na dźwięk jego słów obejrzałem się przez ramię, jakbym chciał się upewnić, że nadal jesteśmy w piwnicy tylko my dwaj.

- Bardzo chętnie, ale pod jednym warunkiem.

Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem.

- Przestań mi mówić na pan. Mam na imię Stefan.

Szorpak w odpowiedzi uśmiechnął się od ucha do ucha. Następnie ruszył w róg pomieszczenia, gdzie znajdował się grzejnik centralnego ogrzewania i jedyne gniazdko elektryczne. Położył na posadzce małą, okrągłą kuchenkę elektryczną i wcisnął wtyczkę do kontaktu.

- To tutaj będzie znajdowało się wronieckie archiwum, tak? - Spytałem, chociaż dobrze o tym wiedziałem.

- Tak. Poddasz się do tego nie nadaje.

- A gdzie będziesz miał swoją kanciapę?

- Kanciapę? - Powtórzył i spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem.

- Może źle się wyraziłem - odparłem - gdzie będziesz miał swoje biuro?

- Nigdzie - powiedział rozkładając na boki ręce i dodał - to będzie moje królestwo.

- Tak sobie myślę, że przydałoby ci się jakieś miejsce, o choćby w tym rogu gdzie stoisz - kiwnąłem głową w jego stronę. - Postawiłoby się z desek dwie ścianki, zrobiło drzwi, jakieś okienko, żebyś mógł spoglądać na swoje królestwo - mrugnąłem porozumiewawczo okiem. - Jakieś biurko, szafkę, stół. Tam jest grzejnik, miałbyś wtedy ciepło. No chyba, że chcesz tak jak teraz, siedzieć na swoich włościach w kurtce i w czapce naciągniętej na uszy.

- W sumie racja - odezwał się po krótkim namyśle.

- Powinieneś na ten temat pogadać z towarzyszem Ozurskim i najlepiej zrobisz, jeśli przedstawiś mu ten projekt, jako własną wizję - mogłem mieć jedynie nadzieję, że

Szorpak rozumiał o co mi chodzi.

Dwa dni później gwiazdor wyraził zgodę na budowę, jak to określił, pomieszczenia biurowego i mądrzył się przy tym tak, jakby to on wpadł na ten genialny pomysł.

Historia z regałami i kanciapą trwała dwa bite miesiące. Oczywiście w pierwszej kolejności zrobiłem Szorpakowi stanowisko bojowe o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych, a potem skupiłem się na półkach. W tym czasie archiwista znosił do piwnicy pierwsze pudła pełne starych akt. Miał przed sobą nie lada zadanie, bowiem Ozurski wysoko ustawił poprzeczkę. Najważniejszą sprawą, było skatalogowanie wszystkich teczek personalnych w kilku kategoriach. Pierwsza według imienia i nazwiska, druga według pseudonimów, trzecia określała czy więzień był polityczny czy pospolity, czwarta miała się znaków szczególnych i tutaj w głównej mierze chodziło o blizny i tatuaże, piątą kategorią były konkretne daty uwzględniające okres odbywania kary we Wronkach, a szósta dotyczyła recydywistów. Jeden więzień, mógł mieć sześć kartotek bo tyle właśnie było kategorii i tutaj wkraczał archiwista Szorpak, który musiał to sprytnie ogarnąć. Ozurski wyobrażał sobie w ten sposób, że jeśli powie na przykład:

- Potrzebuję akta więźniów, którzy mieli tatuaże na lewych dłoniach i byli osadzeni w latach 1955-1960!

Wydając taką komendę towarzysz porucznik oczekiwał, że nim upłynie kwadrans będzie miałteczki personalne na swoim biurku. Taką kurde facet miał wizję!

Coś mi podpowiadało, że Szorpaka czeka cholernie mrówcza robota.

W ciągu tych dwóch miesięcy nasze relacje stały się, że tak to ujmę, bardzo koleżeńskie. Nigdy wcześniej nie byłem w żadnej komitywie z cywilnym pracownikiem i doszedłem do wniosku, że jeśli ktoś pracuje w zakładzie karnym ale nie jest funkcjonariuszem, to ma zupełnie inne podejście. W głębi duszy życzyłem mu, żeby nigdy go nie dopadł zły czar więziennych murów.

W trakcie prac związanych z urządzaniem archiwum najbardziej podobało mi się to, że każdego dnia dokładnie o 10:00 Szorpak miał w zwyczaju mówić:

- Czas na herbatkę i na pół godziny zasłużonej przerwy!

Jednak nasze paazy nigdy nie trwały tak krótko.

Godzina to było minimum.

Siedzieliśmy wtedy w kanciapie, którą Mirek szumnie nazywał swoim biurem i gadaliśmy o przeróżnych sprawach. Mówiliśmy o polityce, historii, o książkach, brnęliśmy w filozofię i wiarę, poruszaliśmy tematy związane z ludzką egzystencją i zastanawialiśmy się nad sensem życia. Powiem wam szczerze, że lubiłem te dysputy, ponieważ zapominałem o więziennej rzeczywistości, która toczyła się zaledwie kilka kroków stąd.

W pierwszym tygodniu marca zmontowałem ostatni regał i zakończyłem swoją pracę. Na odchodne Ozurski zaangażował mnie jeszcze do dźwigania skrzyń, które trzeba było przytargać z poddasza budynku, gdzie znajdowała się depozytownia. To cholerstwo było tak ciężkie, że potem rwało mnie w krzyżu przez kilka dni.

Dyrektor więzienia obiecał Szorpakowi, który tak na marginesie bardzo o to zabiegał, iż w bliżej nieokreślonej przyszłości na pewno wyrazi zgodę, aby zajął się uporządkowaniem przedwojennych dokumentów, które już wtedy nosiły znamiona

wartości historycznej. Najpierw jednak musiał się uporać ze swoim zadaniem i stworzyć dobrze funkcjonujące archiwum.

Skrzynie ze starymi aktami spoczęły w najdalszym kącie piwnicy i czekały tam ponad cztery długie lata, zanim ich zawartość ujrzała światło dzienne. Teraz zdradzę wam tylko tyle, że po odejściu Ozurskiego, Szorpak załatwił mi fuchę w archiwum. Zgodziłem się pracować na pełny etat lecz musiałem oświadczyć na piśmie, że udzielam się społecznie i w związku z tym nigdy nie będę sobie rościł żądań do jakiegokolwiek wynagrodzenia finansowego.

Gdyby tylko towarzysz Ozurski wiedział, jak się ustawiłem dwanaście miesięcy po tym, kiedy on otrzymał awans i zniknął z wronieckich peronów, to tak by go szczyściło, że srałby na rzadko przez cały miesiąc.

W pierwszej połowie 1963 roku władze więzienia przystąpiły do wdrażania ambitnych projektów, które miały zmienić cały dotychczasowy świat skazańców. Główne założenia planu zmierzały do tego, żeby likwidować utartą, nudną egzystencję i zająć się organizacją życia osadzonych w czasie wolnym. Położono nacisk na doskonalenie umiejętności zawodowych, rozwijanie pasji i zainteresowań oraz podniesienie poziomu edukacji. Wszystkie zajęcia były dobrowolne, a ich atrakcyjność w głównej mierze polegała na tym, że odbywały się popołudniami i człowiek mógł wtedy wyrwać się z celi. Idea była wzniosła ale i tak trafił ją szlag, bowiem grypsujący jak zwykle w imię własnych zasad stanęli po drugiej stronie barykady. W ten sposób wyrazili swoje zdecydowane veto dla intencji niesionych pod sztandarami władz więzienia. Chodziły słuchy, że jeśli ktoś z ferajny chciałby się wyłamać, to zostałby automatycznie wykluczony ze środowiska siemachów. W zajęciach brali udział tylko frajerzy i cwele. Bardzo szybko okazało się, że dyskryminacja zdominowała realia, a dyrekcja więzienia zrozumiała, że dobrowolne kursy lub kółka zainteresowań, to strzał oddany w powietrze. Doszło do takiej sytuacji, że kilku cweli wyraziło chęć udzielania się w amatorskiej grupie teatralnej. Kiedy zjawili się na pierwszych zajęciach wybuchła awantura, bo reszta towarzystwa nie chciała z nimi grać w jednej sztuce. Frajerzy odmówili udziału, natomiast prowadzący nie zamierzał ulec ich presji i skończyło się tak, że na następną próbę przyszły tylko cioteczki... Krótko mówiąc z tymi dobrowolnymi zajęciami miało być wielkie bum! a w rzeczywistości rozległo się tylko ciche pierdnięcie. Jednak mimo początkowej porażki, plan był konsekwentnie realizowany i tutaj należy się ukłon w kierunku pracowników służby więziennej, którzy wierzyli w to co robią i za marne grosze poświęcali swój czas. Względny zainteresowaniem cieszyły się zajęcia sportowe, kółko malarskie, amatorski teatr oraz pracownia muzyczna.

Renesans wzniosłej idei odżył dekadę później. Zmieniły się czasy, prawdziwi charakterniacy zaczęli odchodzić do lamusa, a nowa gwardia grypsujących obrała zupełnie inny kurs. W sumie powiem wam, że ewolucja środowiska siemachów zaczęła brnąć w prawdziwą farsę. W latach siedemdziesiątych pojawiło się tak zwane "rzucanie wiąchy" i jeśli czas mi pozwoli, to nie omieszkam wam o tym wspomnieć.

W roku sześćdziesiątym trzecim nastąpiły również rewolucyjne zmiany kwaterunkowe. Pracownicy służby więziennej od chwili zakończenia II wojny światowej do oznaczania pawilonów w głównym kompleksie jednostki używali liczb 1, 2, 3 i 4. Ja,

pisząc cokolwiek na temat peronów posługuję się literami alfabetu i nie robię tego po to, żeby wprowadzić was w błąd ale dlatego, że takie oznaczenie przyjęło się wśród wszystkich więźniów. Środowisko osadzonych było wtedy zdominowane przez ferajnę grypsujących, a jak już wiecie, oni zawsze robili wszystko na przekór oficjalnym wytycznym. Ich bezustanne demonstrowanie sprzeciwu nosiło znamiona szalonej kruczaty. Wiele razy dochodziło z tego powodu do nieporozumień pomiędzy klawiszami i świeżakami. Kiedy na przykład strażnik wysyłał młodego więźnia z wiadrem i szczotą, żeby posprzątał korytarz w pawilonie numer 1, to ten nieborak cisnął na peron "A". To wydawało się logiczne, bo skoro gad mówił o jedyńce, to pierwsza litera alfabetu na zdrowy rozsądek była jej odpowiednikiem. Problem w tym, że cała więzienna brać literą "A" określała pawilon numer 4... Nowicjusz zabierał się za robotę, a po chwili klawisz darł na niego ryja, że przecież kazał mu iść na jedyńkę, a nie na czwórkę. Świeżutkim nikt nie wyjaśniał, że sytuacja z nazewnictwem jest zapętłona i kiedy strażnik wydzieriał na nowego mordę, wszyscy mieliśmy ubaw po pachy. Zamieszanie wynikało z tego powodu, że pawilon numer 1 to dla nas był peron "B", 2-ka "C", 3-ka "D" a 4-ka "A". Wracając jednak do spraw kwaterunków, to w roku 1963 dyrektor więzienia zdecydował, że wszystkie cele w pawilonach 1, 2 i 3 zamienią się w lokale trzyosobowe, a komnaty w 4-ce będą pojedyncze i tam zostaną ulokowani skazańcy mający na pieńku z państwową władzą. Pamiętam, że nasza wtedy refleksja, że chyba źle dzieje się w kraju smoka wawelskiego, skoro ponownie odżyła kategoria więźniów politycznych. Peron "A" znajdował się w skrzydle jednostki będącym przedłużeniem dawnej kaplicy, która dziesięć lat temu została zaadoptowana na pomieszczenie depozytwni. Mieściło się tam dokładnie osiemdziesiąt sześć cel. Starym zwyczajem polityczni nie mieli żadnych szans na podjęcie pracy, ani możliwości uczestniczenia w jakichkolwiek zajęciach. Nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu, jedynie podczas przemarszu na promenadę dało się dostrzec w oknach twarze spoglądające zza krat.

Po drugiej stronie więziennych murów wydarzyło się natomiast wiele interesujących rzeczy. W czerwcu odbył się I Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, w sierpniu specjaliści z Wojskowej Akademii Technicznej odpalili pierwszy polski laser, a pod koniec jesieni dyrekcja zakładów "Ursus" z dumą ogłosiła, że został wyprodukowany 100-tysięczny ciągnik. Polskie władze szczyły się sukcesami, media trąbiły o osiągnięciach ale opinia publiczna nie została powiadomiona o tym, że latem we Wrocławiu wybuchła epidemia ospy. Stolica dolnego śląska została odcięta od reszty kraju szczelnym kordonem sanitarnym. Ponoć chorobę przywłócił ze sobą powracający z dalekiej Azji pracownik Służby Bezpieczeństwa...

Związek Radziecki i Stany Zjednoczone nadal toczyły swój zajadły wyścig o podbój kosmosu i jak na razie, sowietci nadal prowadzili w tej rywalizacji. Latem świat obiegła wieść, że niejaki Kim Philby, długoletni pracownik brytyjskiego wywiadu był podwójnym agentem, który właśnie prysnął do Moskwy. Miesiąc później na wyspach doszło do tak zwanego "napadu stulecia". Z pociągu pocztowego zrabowano wtedy ponad dwa i pół miliona funtów. Kilka miesięcy później napastników schwytano i wymierzono im bardzo srogie kary. Prawdę powiedziawszy ten rok nie był dla Angoli najlepszy. Wtedy również zaczęła swoją działalność para zwyrodnialców, których prasa określała mianem

"morderców z wrzosowisk". Jedynym pozytywnym akcentem dla poddanych Jej Królewskiej Mości był światowy sukces Beatlesów, którzy swym blaskiem przyćmili wszystkie wcześniejsze angielskie porażki i katastrofy.

Po drugiej stronie oceanu zdarzyło się coś, co niebawem miało odbić się głośnym echem na wronieckich peronach. Pierwszego dnia wiosny 1963 roku zostało zamknięte więzienie Alcatraz. Stało się tak na polecenie prokuratora generalnego, którym był wtedy Robert Kennedy, brat słynnego prezydenta, a tak na marginesie, to szkoda chłopaków, bo żaden z nich nie dożył nawet 50-ki. Obaj zginęli od kul zamachowców i domniemywam, że wiedza na ten temat nie jest wam obca. W listopadzie 1963 niejaki Lee Harvey Oswald zastrzelił w Dallas trzydziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jednak ja zastanawiam się, ilu z was ma świadomość, że w latach sześćdziesiątych klan Kennedych był już spowinowacony z polską rodziną Radziwiłłów? Zadziwiające, prawda? No dobrze, mniejsza o więzy krwi i wszelkiego rodzaju koligacje, jakie miały miejsce na światowych salonach. Sprawa, o której chcę napisać, dotyczy więzienia Alcatraz, które swojego czasu znajdowało się na skalistej wyspie u brzegów San Francisco i było również zwane The Rock. Właściwie rzecz nie dotyczy więzienia, jako obiektu tylko skazańców, którzy w czerwcu 1962 dali stamtąd nogę. O tej spektakularnej ucieczce rozpisywały się wszystkie gazety świata, a w miarę upływu lat ich wyczyn znalazł swoje miejsce zarówno w literaturze jak i kinematografii. U schyłku lat siedemdziesiątych powstał film pod tytułem "Ucieczka z Alcatraz" z Clintem Eastwoodem w roli głównej. Niestety nie miałem okazji widzieć tego dzieła, a historię o trójce zbiegów usłyszałem z ust Janusza Drabińskiego w ostatni listopadowy wieczór 1963 roku.

Jakiś czas temu wspominałem wam, że Drabiński trafił do naszej celi dokładnie tego dnia, kiedy przypadał mój urodzinowy numer i od razu zasugerował, żebyśmy się do niego zwracali - Johnny. W jego zachowaniu było coś, co od pierwszej chwili utwierdzało mnie w przekonaniu, że musi mieć za sobą więzienną przeszłość. Facet trafił do wronieckiego pudła, które wtedy cieszyło się bardzo złą sławą i wcale nie sprawiał wrażenia, że jest przerażony. Pod każdym względem był całkowitym zaprzeczeniem świeżaka nowicjusza. Odprężony, zrelaksowany, bezwarunkowo akceptujący miejsce swojego pobytu i zniesmaczony jedynie tym, że w celi nie ma normalnego kibelka i tradycyjnej umywalki. Był również bardzo bezpośredni, nie kluczył w swoich dociekaniach i zadając jakiegokolwiek pytanie, stawiał sprawę jasno. Możecie mi wierzyć na słowo, że w tak odważny sposób zachowują się tylko rasowi recydywiści.

W sobotę po kolacji każdy z nas leżał na swojej pryczy. W pewnym momencie powiedziałem:

- Ty, Johnny, a może opowiesz nam coś więcej o sobie?
- A co chcielibyście wiedzieć? - Odparł pytaniem.
- Nie wiem, zaskocz nas - rzuciłem z nutką lekkiej drwiny i spojrzałem porozumiewawczo na Gołąbka. - Opowiedz nam jakąś historię ze swojego życia, którą uważasz za najciekawszą.
- Za najciekawszą? - Powtórzył, a po chwili dodał: - Trudna sprawa.
- Czemu trudna? - Wtrącił Gołąbek.
- Bo w moim życiu wydarzyły się same ciekawe historie - odpowiedział bez chwili

namysłu.

- Skromny jesteś - zachichotałem.

- Najskromniejszy - odparł, po czym zszedł z koja, złapał za taboret, postawił go pomiędzy pryzkami i usiadł na nim okrakiem.

- Już wiem chłopaki co wam opowiem - spojrzał po naszych twarzach. - Możesz poczęstować fajeczką? - Zwrócił się do mnie. - Oddam z nawiązką.

Sięgnąłem do kieszeni po papierośnicę.

- Słyszeliście kiedyś o więzieniu Alcatraz? - Zapytał i strzelił wzrokiem po naszych oczach.

- Kto by nie słyszał - odparłem, a Gołabek pokiwał twierdząco głową.

- W takim razie opowiem wam o ucieczce, do której doszło tam niespełna półtora roku temu. Tylko mam prośbę guys - powiedział z naciskiem - nie przerywajcie mi i nie zadawajcie żadnych pytań dopóki nie skończę. Latem 1960 roku dostałem stałą posadę w warsztacie samochodowym i tam poznałem Sonnego. Przypadliśmy sobie do gustu. Sporo nas łączyło. On, tak samo jak ja lubił jazdę motorem, piwo, dziewczyny i rock and rolla. Poza tym obaj mieliśmy już wcześniej do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Sami wiecie jak to jest, burzliwa przeszłość zbliża ludzi. Kiedy wiesz, że twój kumpel też siedział w kiciu, to rodzi się pomiędzy wami zaufanie i ta magiczna, bliżej nieokreślona więź przyjaźni. Oczywiście nie jestem z tego dumny, że w przeszłości siedziałem. Tak wyszło i co się stało, to się nie odstanie - wzruszył ramionami. - Każdego dnia po pracy jeździliśmy bez celu ulicami San Francisco w poszukiwaniu przygód. To były piękne dni - westchnął. - Właściwie nasze życie polegało na tym, że większość czasu spędzaliśmy na szosie albo przesiadywaliśmy po knajpach sącąc piwo i snując marzenia o świetlanej przyszłości. Pewnego dnia postanowiliśmy założyć kapelę. Ja potrafiłem grać na gitarze, Sonny dawał radę na perkusji ale do kompletu potrzebowaliśmy jeszcze dwóch gości. Po miesiącu dołączyli do nas Ted Withford i nieźle pieprzony Eddy Simons. Chłopaki byli w porządku...

- Ty, ale przecież miałeś nam opowiedzieć o ucieczce z więzienia - Gołabek wpadł mu w zdanie.

- Prosiłem, żeby mi nie przerywać, prawda? Spokojnie my friend, muszę o tym opowiedzieć, bo to jest ważne w tej całej historii. Możesz tego więcej nie robić? - Spojrzał na niego marszcząc brwi. - Możesz? - Zapytał ponownie i zaraz dodał nie czekając na jego potwierdzenie: - Dziękuję. Tak więc założyliśmy kapelę. Szef warsztatu w którym pracowaliśmy, pozwolił nam robić próby w garażu, który znajdował się na drugim końcu podwórka. Opracowaliśmy kilka skocznych kawałków, ale ciągle nie mieliśmy nazwy. Kilka przecnic dalej w tym czasie firma budowlana poszerzała jezdnię i kładła świeży asfalt. Używali do tego takiej potężnej maszyny, która po uruchomieniu robiła tyle hałasu, że było ją słyszać w całej dzielnicy. Wpadłem na pomysł, żeby nasz zespół nazywał się The Apsfalt Machine. Nie "asfalt" tylko "apsfalt". Specjalnie miało być napisane z błędem, żeby wszyscy mieli zagadkę i zastanawiali się, czym jest u licha jakiś "apsfalt"? To miał być taki chwyt reklamowy - zaśmiał się. - Jesienią w sobotnie wieczory zaczęliśmy rżepolić w podłych spelunach. Ludziom chyba podobały się nasze piosenki, ale pieniądze z tego był marne. Poza tym graliśmy na kiepskim sprzęcie i

potrzebowaliśmy forsę na nowe gitary, wzmacniacze i perkusję. Któregoś dnia Ted Withford niby tak dla hecy rzucił, że powinniśmy obrobić jakąś stację benzynową i w ten sposób zdobyć szmal. Tydzień później na poważnie zaczęliśmy planować napad. Kiedy dziś o tym myślę, zastanawiam się, jak mogłem być aż tak głupi, żeby na to przystać? - Johnny zamilkł na chwilę i z politowaniem pokiwał głową. - Upatrzyliśmy sobie stację na której w ciągu dnia był spory ruch i musieli tam chesać niezłą gotówkę. Według naszego zamysłu wszystko miało pójść sprawnie i gładko. Wpadamy, robimy zadymę, jak trzeba będzie to obijemy mordę kasjerowi, zgarniamy łup i znikamy. Problem w tym, że walnięty Eddy zabrał z sobą spluwę, ale nikomu z nas tego nie powiedział. Kiedy wkroczyliśmy do środka niespodziewanie wyjął gnata, strzelił w sufit i wrzasnął: - To jest napad! Dawać całą forsę! - Johnny prawie krzyknął, starając się oddać dramaturgię wydarzeń. - To nie tak miało wyglądać, nasz plan był zupełnie inny, a ten pajac zrobił to co zrobił. W tym samym momencie otworzyły się drzwi wiodące na zaplecze i ujrzyliśmy w nich właściciela stacji benzynowej. W dłoniach trzymał strzelbę i sekundę później pociągnął za spust. Eddy oberwał prosto w klatę i runął w tył przewracając regały, które zwały się akurat pod drzwi wejściowe. Żaden z nas nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Martwy Simons leżał na posadzce z dziurą w piersiach, a my staliśmy sparaliżowani strachem. Facet mierząc do nas z broni wycedził wściekle przez zaciśnięte zęby: - Jeśli któryś z was choćby pierdnie, to pożegna się z życiem! - Kwadrans później zjawily się trzy radiowozy na sygnale. Mieliśmy przesrane. Dużo mógłbym o tym mówić, jak miało być, a jak się stało. Nie ma sensu, żebym zagłębiał się w szczegóły. Gliny nas zgarnęły i cała historia skończyła się tak, że ja i Sonny dostaliśmy po pięć lat, a Ted trzy, bo to był jego pierwszy wybryk. Tym sposobem miesiąc później trafiłem do Alcatraz.

- Chcesz nam powiedzieć, że siedziałeś w Alcatraz?! - Nie mogłem się powstrzymać i musiałem mu zadać to pytanie.

- Daj mi skończyć - rzucił unosząc do góry dłoń - potem odpowiem na wasze wszystkie, nawet najbardziej dociekliwe pytania.

Zanim Johnny w swej opowieści dotarł do wątku ucieczki Franka Morrisa i braci Anglin, ja i Gołębek mieliśmy okazję posłuchać jak wyglądało więzienne życie w sławnym Alcatraz. Z jego słów wynikało, że The Rock w porównaniu do Wronek to był pięciogwiazdkowy pensjonat, a nie jakiś parszywy pierdel. Kąpiel trzy razy w tygodniu, w każdej celi kibelek i umywalka, żarcie w stołówce, za oknami fale zatoki San Francisco... Życie nie umierać!

Nasz młody współlokator nie mówił wyszukany, literackim językiem, ale muszę wam powiedzieć, że genialnie intonował niektóre kwestie co sprawiało, że jego opowieści słuchało się z zapartym tchem. Dość często używał obcych słów, takich jak "fuck" lub "shit", których znaczenia wtedy nie rozumiałem i mogłem się tylko domyślać, że są to przekleństwa. W pewnym momencie zacząłem też mieć wątpliwości, czy przypadkiem ten sympatyczny młodzian nie żeni nam słodkiego bałachu? Postanowiłem cierpliwie poczekać aż skończy swoją bajerkę, a potem chciałem zadać mu kilka pytań i sprawdzić, czy nie będzie się gubił w swoich zeznaniach.

- Władze więzienia były przekonane, że ucieczka trzech skazańców zakończyła się tragicznie - Johnny ciągnął swą opowieść. - Uważano, że pochłonęły ich zdradliwe prądy

zatoki, ale minęło 48 godzin i fale nie wyrzuciły na brzeg żadnego ciała. Wtedy właśnie podjęto szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą na lądzie. Gubernator stanu Kalifornia zaoferował nawet wysoką nagrodę pieniężną za ujawnienie miejsca pobytu zbiegłych więźniów. Frank Morris i bracia Anglin przepadli bez wieści. Zniknęli z powierzchni ziemi, jakby ich nigdy tutaj nie było. Myślę, że udało im się dotrzeć do brzegu, a teraz pewnie żyją sobie spokojnie w jednym z krajów Ameryki Południowej. Udało im się zwać, jestem tego pewien... A z tego pudła ktoś już prysnął? - Wtrącił znienacka i spojrzał na nas pytającym wzrokiem.

- Stąd się nie ucieka - odparłem. - Słuchaj Johnny, wracając do twojej opowieści, to czegoś nie kumam. Skoro ucieczka miała miejsce w zeszłym roku, a ty w 1960 dostałeś pięć lat, to co robisz tutaj?

- Na początku tego roku zaczęły krążyć słuchy, że więzienie Alcatraz zostanie zamknięte - zaczął wyjaśniać - a wszyscy osadzeni trafią do innych zakładów. W połowie stycznia zostałem wezwany przed oblicze naczelnika i wtedy dowiedziałem się, że resztę wyroku odbędę w Nevadzie, którego stanowe więzienie mieści się w Carson City. Dwa dni później zaraz po śniadaniu, strażnik kazał mi spakować swoje wszystkie rzeczy. Kwadrans później okazało się, że oprócz mnie, jeszcze ośmiu chłopów rusza w drogę. Wsadzili nas na łajbę i popłynęliśmy w kierunku nabrzeża. W porcie czekał już na nas więzienny autobus. Do przejechania było raptem dwieście mil, a my zaczęliśmy sobie żartować, że dotrzemy akurat na obiad. W Carson City wszystko się skomplikowało. Naczelnikiem był niejaki Andrew Brown, który twierdził, że emigranci są zakałą tego kraju. Kiedy tylko dowiedział się, że mam polskie korzenie postanowił mnie sprawdzić. Okazało się, że od chwili mojego przybycia do Stanów Zjednoczonych nie mam pozwolenia na legalny pobyt.

- To kiedy tam przyjechałeś? - Wtrącił się Gołabek.

- Tuż przed wybuchem II wojny światowej. Byłem wtedy dzieckiem i samą podróż za ocean pamiętam jak przez mgłę. W sumie to mój ojciec spieprzył sprawę, bo nie dopilnował urzędowych formalności. Chodziłem tam do szkół, oprócz pobytu w Alcatraz dwa razy siedziałem w pace - zaczął wyliczać na palcach, jakby chciał w ten sposób podkreślić swoje wszystkie wybitne osiągnięcia - legalnie pracowałem, płaciłem podatki, miałem pieprzone ubezpieczenie i nigdy nikt się nie czepiał. Pech chciał, że trafiłem na Browna! Facet zaczął drażnić sprawę, skontaktował się z departamentem do spraw emigrantów i prawda wyszła na jaw. Powiem wam, że gość mógł przymknąć oko, ale on nienawidził obcych, jak diabeł święconej wody. Kilka tygodni po naszej pierwszej rozmowie kazał mnie przyprowadzić do swojego biura i powiedział wtedy: - Dołożę wszelkich starań - Johnny w nienaturalny sposób starał się sparodiować gruby, męski głos - żeby takiego śmiecia jak ty deportowano do ojczystego kraju. Nikomu tutaj nie jesteś potrzebny, naród amerykański nie będzie łożył na twoje utrzymanie! Niech komuchy się z tobą użerają! - W połowie lipca do więzienia dotarły z Waszyngtonu dokumenty dotyczące mojej osoby. Potem zjawił się jakiś adwokacina, który był niby moim obrońcą i został mi przydzielony z urzędu. Przejrzał te papierki, pokazał miejsca w których mam się podpisać, a potem powiedział, że najdalej za miesiąc odbędzie się rozprawa, której wyrok i tak jest już przesądzony. Zapytałem, o czym on mówi? A on na to, że jesienią

zostanę deportowany do Polski - zamilkł na chwilę, po czym rozłożył szeroko ręce i rzekł z uśmiechem na ustach: - I w ten sposób dotarłem do kraju moich przodków.

- Poczekaj, bo znowu czegoś nie rozumiem - wtrąciłem. - Tam nie odsiedziałeś całej kary, wydalili cię do Polski i po przyjeździe trafiłeś od razu do więzienia? Dlaczego?

- Po przylocie do Polski zostałem natychmiast oskarżony o ucieczkę z kraju.

- O co?! - Z niedowierzania zmarszczyłem brwi.

- Przysięgam wam, że taki postawiono mi zarzut. Na nic były moje tłumaczenia, że rodzice wywieźli mnie z sobą całe lata temu, że byłem wtedy niczego nieświadomym dzieckiem. Pojawiła się również sprawa finansowych roszczeń ze strony amerykańskiej. Wyliczyli skrupulatnie ile czasu spędziłem łącznie w ich więzieniach, do tego dołożyli opłaty za rozpatrzenie mojej sprawy deportacyjnej oraz kosztu podróży. Wystawili rachunek i ponoć polski rząd musiał go uregulować, bo takie jest międzynarodowe prawo...

Słuchałem tego co mówił i zacząłem szczerze wątpić w jego szczerłość. Może myślał, że trafił na dwóch mało rozbudowanych chłopków i pociskał nam bzdury? Te jego tłumaczenia brzmiały bardzo dziwnie. Kiedy na koniec powiedział, że dostał dziesięć lat, uśmiechnąłem się pod nosem i stwierdziłem w duchu, że nie wygląda na kogoś, kto czułby się pokrzywdzony tak cholernie wysokim wyrokiem za przysłowiowe nic. Jednak z drugiej strony socjalistyczna rzeczywistość była przecież tak abstrakcyjna, że w tym kraju wszystko mogło się zdarzyć.

- A masz jakiś dowód na to, że w ogóle mieszkałeś w Ameryce? - Zapytał nagle Gołąbek, któremu najwyraźniej też coś nie pasowało w tej przedziwnej historii.

- Oczywiście, że mam - Johnny odparł natychmiast i sięgnął do kieszeni spodni uszytych z dziwnego materiału.

Wyjął niedużą monetę i powiedział:

- To moja szczęśliwa ćwierćdolarówka, którą dawno temu wygrałem w pokera.

- Pokaż - wyciągnąłem przed siebie dłoń.

Wybite litery sugerowały, że to faktycznie była amerykańska waluta. Na awersie widniał orzeł z rozpostartymi skrzydłami pomiędzy którymi miał tarczę, a w szponach dzierzył pęk strzał i gałązkę lauru. Ponad głową ptaka było trzynaście gwiazdek, a po okręgu drukowane litery ustawiały się w słowa UNITED STATES OF AMERICA i były oddzielone kropkami od kolejnego napisu QUARTER DOLLAR. Natomiast na rewersie znajdował się profil twarzy spoglądający w prawą stronę. Tuż ponad konturem głowy widniał napis IN GOD WE TRUST, a u dołu data obwieszczająca rok wybitcia 1900. Z tej strony też było trzynaście gwiazdek.

- Wiesz, że ten pieniądz ma tyle lat co ja - stwierdziłem. - A co znaczy ten napis na rewersie?

- In God we trust? - Zapytał, a zaraz potem rzekł - Bogu ufamy.

Sam nie wiem dlaczego, ale niemal natychmiast pomyślałem o tym, że żołnierze Wehrmachtu mieli na swoich pasach wybite "Bóg jest z nami". Czy to nie dziwne, że każda nacja bez względu na miejsce zamieszkania ma jakąś sentencję w której pojawia się istota Boga? My jako naród, też taką mieliśmy. Kiedyś na polskich, wojskowych sztandarach widniały słowa "Bóg, Honor, Ojczyzna".

Oddałem Johnnemu monetę i zapytałem:

- Jak ci się udało ją tutaj przemycić?

Spojrzał na mnie z uśmiechem i rzekł:

- W tyłku.

Kiedy to usłyszałem na mojej twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia i mimowolnie potarłem dłonią o koc, jakbym w ten sposób chciał zetrzeć z moich palców niewidzialne gówno.

- Fuj! - Jęknąłem. - Nie mogłeś tego wcześniej powiedzieć?!

Gołabek i Johnny zanieśli się szczerym śmiechem.

- Spokojnie. Wyjąłem ją dzisiaj jak byliście w pracy i dokładnie umyłem. To moja szczęśliwa ćwierćdolarówka - powiedział i pocałował swoją srebrną monetę. - Mówię wam, kiedyś będzie warta majątek.

- Jeśli znajdziesz nabywcę i jeszcze mu zdradzisz, że nosiłeś ją w dupie, to cena podskoczy razy dwa - zadrwiłem wesoło.

Tamtego wieczoru gadaliśmy do późna i nawet dowiedzieliśmy się, że gacie, które miał na tyłku, nazywają się džinsy i są to najpopularniejsze portki w Stanach. Ślizgaliśmy się po wielu tematach, aczkolwiek większość z nich dotyczyła spraw czysto więziennych. Okazało się, że w amerykańskich pierdlach nie istniała żadna nieformalna organizacja, która mogłaby być odpowiednikiem naszych rodzimych szamaków. Tam brutalną walkę o wpływy na spacerniaku toczyły między sobą gangi, zrzeszające konkretne nacje. W więzieniach roilo się od Meksykanów, Portorykańczyków, Afroamerykanów, Irlandczyków czy Włochów. Pochodzenie określało z kim możesz przystawać. Inny świat, inne obyczaje i zasady.

Było już po północy, jak zaczęliśmy się układać do snu i w sumie tkwiłem w kropce, bo naprawdę nie wiedziałem, co mam sądzić o naszym nowym współlokatorze. Przez tych kilka godzin klepania dziobami, Janusz Drabiński ani razu się nie zawahał udzielając jakiegokolwiek odpowiedzi. Walił jak z nut. Doszedłem więc do wniosku, że albo był najbardziej utalentowanym kłamcą świata, albo faktycznie mówił prawdę. Miał w sobie coś niesamowitego, coś tak cholernie pozytywnego, że człowiek od pierwszej chwili darzył go sympatią. Faktem jest, że kilka spraw było dla mnie niezrozumiałych i zastanawiających. W tym również jego odzienie. Mieliśmy przecież chłodną, deszczową jesień, a on zjawił się tutaj w letniej koszulinie z tym awangardowym haftem na piersi przedstawiającym wizerunek czerwonej róży leżącej w poprzek kowbojskiego kolta. Nie miał z sobą żadnej kurtki, marynarki lub swetra. W pewnym sensie, to było intrygujące. Zwróciłem również uwagę, że w trakcie swojej opowieści czasami gubił ten charakterystyczny, amerykański akcent i mówił czystą polszczyzną. W pewnym momencie stwierdziłem lekko podejrzliwym głosem:

- Świetnie mówisz w naszym ojczystym języku.

Wtedy Johnny wyjaśnił mi, że emigranci pochodzący z jednego kraju, zawsze osiedlają się blisko siebie. Tworzą swoiste enklawy, gdzie kultywuje się tradycje przywiezione z kraju przodków. W takich miejscach powstają rodzime parafie, szkoły, sklepy, zakłady rzemieślnicze, restauracje. W dzielnicach bezustannie słychać ojczysty język i chcąc nie chcąc, człowiek musi się dostosować. Mówił podobne rzeczy, o których

Agnieszka pisała do mnie w swoich listach...

Istniał tylko jeden sposób, żeby zweryfikować fakty i mity dotyczące przeszłości Drabińskiego. Wystarczyło mieć dobry układ z dowódcą pawilonu, który w każdej chwili mógł zajrzeć do akt...

Przed wyjściem na spacer niak zerknąłem w okno, a potem spojrzałem na Johnnego. Zlitowałem się. Sięgnąłem do szafki po wełniany sweter i rzekłem:

- Trzymaj chłopcze, bo w tym stroju co masz na sobie, to zmarzniesz na promenadzie jak pies.

- Dzięki! - Odparł z uśmiechem i wiecie co zrobił?

Otóż ubrał mój sweter na gołe ciało, a na wierzch wciągnął tą swoją koszulinę.

Ja i Gołębek parsknęliśmy śmiechem.

- Nie ma że boli - powiedział Johnny - trzeba się odpowiednio prezentować! - Po czym zaczesał do tyłu włosy, postawił kołnierz koszuli na sztorc i syknął pod nosem: - Król jest tylko jeden!

Na spacer niaku osoba Johnnego budziła powszechne zainteresowanie z dwóch powodów. Po pierwsze na wybiegu pojawiła się nowa twarz, a po drugie, swoim wyglądem zdecydowanie odstawał od wszystkich zgromadzonych. Przez jakiś czas towarzyszył mi podczas spaceru, a w pewnym momencie powiedział:

- Przejdę się, może nawiążę jakieś interesujące znajomości - po czym ruszył na wprost wolnym krokiem.

Obserwowałem go, bo naprawdę byłem ciekaw, co wyniknie z tego samotnego dreptania.

Zrobił dwie rundki, a później podszedł do ekipy kilku siemachów i zaczął z nimi rozmawiać. Byłem zaskoczony, kiedy ujrzałem, że jeden z grypsujących poczęstował go papierosem. Przez to, że skupiałem swoją uwagę na Johnnym nawet nie zauważyłem, kiedy tuż obok mnie pojawił się Wojtas. Wyrósł jak spod ziemi i rzucił wesołym głosem:

- Siemanko generale!

- Ooo, Wojtas. Siemasz - rzekłem i uścisnąłem mu dłoń.

- Co to za as? - Zapytał i kiwnął głową w kierunku Drabińskiego.

- Mój nowy współlokator na komnacie - odparłem. - Zjawił się dwa dni temu.

- Jak jest u niego? - Ciągnął mnie za język.

- Chyba frajer, ale z tego co widać, dobrze sobie radzi.

- A ile przed nim, skoro trafił na nasz peron?

- Z tego co mówi, to dostał pajdę.

- Jest w porządku?

- Myślę, że tak. Na razie nie mam do niego żadnych zastrzeżeń.

- Czemu on jest tak dupiato ubrany? - Zapytał, a ja zaśmiałem się serdecznie.

- Bo taki ma kurde styl.

- Dziwny jakiś, mógł sobie jeszcze majty ubrać na gacie - stwierdził i wyciągnął z kieszeni paczkę fajek. - Walniesz dymka?

- A chętnie, darmowym szluzgiem nigdy nie pogardzę.

Kilka chwil później zaciągnąłem się głęboko dymem i rzekłem:

- Ty, Wojtas, kto jest ułożony z naszym peronowym gadem? - Chodziło mi o

dowódcę pawilonu.

- A co potrzebujesz? - Odpowiedział pytaniem.

- Konkretną informację.

- Jaką informację? - Dociekał i nie zamierzał odpuścić.

- Ty mnie nie spowiadaj, tylko powiedz z kim mam rozmawiać - obstawałem przy swoim.

- Pogadaj ze mną i wszystko załatwimy. Mam Człowieka, który rozkmini temat. Znasz mnie od lat i dobrze wiesz, że jeśli coś obiecuję, to słowa dotrzymam.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Dobrze, więc chciałbym się dowiedzieć coś na temat mojego współlokatora. Bo widzisz, on twierdzi, że... - i zacząłem mu opowiadać historię, którą usłyszałem wczorajszego wieczoru.

Kiedy skończyłem Wojtas rzekł:

- Kurwa mać, w życiu nie słyszałem takiej ściemy!

- Na początku też tak myślałem, ale zacząłem gościa ciągnąć za język i zwątpiłem.

Po prostu dowiedz się, co stoi w jego aktach. Dobra?

- Na pewno to zrobię, bo jeśli żenił bałach, to od razu ma wpierdol. Teraz z nowymi trzeba ostrożnie, bo wiesz, takiemu Ozurskiemu to różne pierdolnięte pomysły walą do łba i może wpuścił między nas żmiję - powiedział podejrzliwym głosem.

Taka sytuacja mogłaby się wydawać mało prawdopodobna, ale w sumie Wojtas miał rację. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Ozurski był mistrzem knucia i człowiekiem totalnie nieprzewidywalnym.

- A ten nowy ma jakieś dziary? - Zapytał i cisnął przed siebie niedopałek.

- Nie zauważyłem. Od pasa w górę jest czysty, ale nie wiem jak z nogami.

- Jak on się nazywa?

- Janusz Drabiński.

Nie mam pojęcia kto z siemachów był w dobrej komitywie z chorążym Podwawelskim, który przejął dowództwo nad naszym pawilonem zaraz po krwawej aferze z chlastaniem. Ozurski ponoć dał mu wolną rękę i wyraził zgodę na zawieranie układów z grypsującymi. Oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Podwawelski bardzo szybko udowodnił, że potrafi utrzymać dyscyplinę i porządek. Ponoć towarzysz chorąży nie cieszył się sympatią ze strony szeregowych klawiszy, ale to nie miało żadnego znaczenia. Przełożony zawsze powinien rządzić twardą ręką i budzić respekt u swoich podwładnych.

Trudno mi powiedzieć, jak przebiegała rozmowa Człowieka z peronowym gadem, ale to, co usłyszałem trzy dni później z ust Wojtasa, bardziej zakrawało na kpinę i sarkazm niż na treściwą odpowiedź.

- Wojtas, bez urazy - szepnąłem, bo nie chciałem, żeby komuś w stolarni spuchły uszy od nadstawiania - ale czy ty wysłałeś na rozmowę z Podwawelskim kogoś upośledzonego?

- O co ci chodzi generale? Facet potwierdził? Potwierdził! A że dodał coś jeszcze od siebie i sprzedał kolejną informację, to też źle?

- Uważam, że chorąży najzwyczajniej w świecie spławił twojego Człowieka -

ostatnie słowo wypowiedziałem przesadnie drwiącym głosem - potraktował go jak ciołka. Takie mam po prostu wrażenie.

- Takie masz wrażenie? Takie? Tak? I jakie jeszcze? - W jego słowach dało się słyszeć pretensje.

- Ano takie, że niektórych powinno się doksztalić pod przymusem - stwierdziłem.

- Prosiłeś, żebym się dowiedział, tak?

- Tak, prosiłem.

- Człowiek poszedł, nawinał, usłyszał odpowiedź i sprawa jest zamknięta - upierał się przy swoim. - Siedzisz z chłopem w jednej kajucie - ciągnął dalej - przebywasz z nim całe popołudnia i wieczory, zgadza się? - Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Zgadza - potwierdziłem.

- No to powiedz mi, masz jakieś konkretne podejrzenia? Facet wypytuje? Porusza drażliwe tematy? Interesuje się tym czym nie powinien? - Zaczął mnie zasypywać pytaniami. - Drażą jakieś sprawy, które nie powinny go obchodzić? Wypytuje o Ludzi?

- Nie.

- To czemu masz wątpliwości? - Zapytał.

- Bo uważam, że jeśli towarzysz Podwawelski naprawdę powiedział, że Janusz Drabiński to groźny międzynarodowy przestępca, i że zanim trafił do Alcatraz to najpierw spierdolił z londyńskiego Tower, to jestem pewien, że peronowy gad zakpił sobie z twojego Człowieka - wyrzuciłem z siebie jednym tchem. - O to generalnie chodzi. Osobiście nic nie mam do Johnnego, nawet go lubię. Jest bystry, potrafi ciekawie opowiadać, raczy nas w celi historyjkami ze swojego życia i...

- To ja już nie kumam o co ci chodzi - wpadł mi w zdanie. - Chciałeś potwierdzenia i je dostałeś.

- Wojtas, słyszałeś kiedyś o twierdzy Tower w Londynie?

- Nie. Nigdy. A powinienem?

- Jeśli byś słyszał, to miałbyś pojęcie, że dawno temu było tam więzienie. Było, rozumiesz? Czas przeszedł. Było, ale już nie jest - wyjaśniałem mu jak dziecku. - W ubiegłym stuleciu mieściło się tam nawet zoo. Ponoć kogoś więziono podczas I i II wojny światowej, ale to były szczególne czasy. Od wielu lat to miejsce stanowi już tylko atrakcję turystyczną. A ty niby jesteś taki ostrożny, bo przecież sam sugerowałeś, że Drabiński może być na usługach Ozurskiego! Nie pomyślałeś o tym, że ta odpowiedź może być również elementem gry? - Cisnąłem podejrzliwym głosem.

- Coś ci powiem generale - odezwał się po chwili - wiem, że jesteś czytany. Poza tym masz łeb nie od parady i na własnej skórze przekonałem się o twoich talentach. Problem w tym, że ja jestem już na wylocie. Dokładnie od wczoraj mam to wszystko w dupie, rozumiesz? - Spojrzałem na niego i przyszło mi do głowy, że chyba postradał rozum. Jak to możliwe, że on, charakterniak kuty na cztery łapy mówi takie rzeczy? - Kwarantanna stary kamracie - powiedział z uśmiechem na ustach i ciągnął dalej: - Wychodzę za niespełna trzy miesiące. Nie angażuję się w żadne sprawy, stoję z boku i czekam już tylko na dzień, kiedy będę mógł wreszcie powiedzieć - bywajcie Ludzie!

- Jak to za trzy miesiące?! - Naprawdę byłem zaskoczony.

Kwarantanna w obyczajach siemachów oznaczała okres ochronny i tyczyła się

tych, którzy szykowali się do wyjścia. Ktoś, komu zostały trzy miesiące do wyjścia był traktowany przez ferajnę w szczególny sposób. Taki Człowiek wyznaczał swojego następcę i nie ingerował już w żadne sprawy. Był również zwolniony z udziału w aferach.

- Jedyne co mogę dla ciebie zrobić - powiedział po chwili - to wyciągnę od któregoś z gadów, za co siedzi Drabiński. Frajer się przyznał za co kibluje? - Zapytał.

- Twierdzi, że za nielegalną ucieczkę z kraju - odparłem.

Rozmawiając z Wojtasem nagle zdałem sobie sprawę, że nieubłagany czas pomknął do przodu. Przecież to było całkiem niedawno, kiedy ogłoszono amnestię. Wtedy zaczęła się nasza bardziej zażyła znajomość, a od tamtej pory minęło już ponad siedem lat!

Dwa dni później Wojtas potwierdził słowa Johnnego. Szeregowi klawisze byli tylko w posiadaniu informacji za co garuje konkretny więzień i jaki na nim wisi wyrok. Nic więcej nie wiedzieli o skazańcach, bowiem żaden funkcjonariusz poniżej stopnia chorążego nie miał wglądu do akt. To było zasługą Ozurskiego, który zdawał sobie sprawę, że nadmiar wiedzy może prowadzić do korupcji.

Nie zrozumcie mnie źle, ja nie podejrzewałem Drabińskiego o jakieś nieczne zamiary, a absurdalny pomysł, że może współpracować z gwiazdorem też do mnie nie przemawiał. Chodziło o coś zupełnie innego. Historia Johnnego niby trzymała się kupy, ale w jego opowieści coś mi zgrzytało...

Przed świętami Bożego Narodzenia wszyscy osadzeni w pawilonie "D" wiedzieli, jak barwna i burzliwa przeszłość ciągnęła się za Januszem Drabińskim, a on został najbardziej popularnym więźniem na naszym peronie. Miałem nieodparte wrażenie, że nasz nowy współlokator właściwie do tego dążył. Uznanie, które zyskał w murach wronieckich kazamatów traktował jako powód do dumy.

Zyskał również nową ksywkę i od tamtej pory był tutaj znany jako Johnny Alcatraz.

Tak jak wam wcześniej wspominałem w tamtym czasie władze więzienia wdrażały swoje szalone pomysły, mające na celu rozwijać pasje i zainteresowania. W związku z tym, że były również zajęcia muzyczne, Johnny postanowił podnieść swoje twórcze kwalifikacje i zostać wirtuozem gitary. Zapisał się do kółka muzykantów, tam skumał się z jakimiś kolesiami i oczywiście namówił ich, żeby wspólnie założyli więzienną kapelę. W każdy wtorek i piątek popołudniami mieli do dyspozycji salkę i sprzęt, a nawiedzony oficer od spraw kulturalno-oświatowych pisał na ten temat pochwalne raporty.

Z początkiem 1964 roku Johnny załatwił sobie robotę w parku maszynowym. Nie wiem jak to zrobił i z kim rozmawiał, ale liczyło się to, że osiągnął cel i miał przed sobą perspektywę pracy zarobkowej. Był mi już wtedy winien dwanaście paczek fajek i ciągle obiecywał, że zwróci swój dług z sowitą nawiązką.

Relacje pomiędzy mną, cichym Gołąbkim i przebojowym Johnnym miały przyjacielski charakter. Nigdy między nami nie doszło do żadnej kłótni lub niepotrzebnego spięcia. Nasza wspólna przestrzeń życiowa wynosiła lekko ponad siedem metrów kwadratowych i nauczyliśmy się bezkonfliktowo trwać na tym ciasnym obszarze. Nawet udawało nam się nie wchodzić sobie w drogę, a jedynym problemem były poranne rzuty do bomby... W niektórych wieloosobowych celach działy się cuda. Przeważnie silniejsi gnębili słabszego i dla zabawy uprzykrzali mu życie. Gdzie indziej na porządku

dziennym były awantury, bójkki, psychiczny terror lub gwałty i tak się toczyło monotonne, więzienne życie.

Pewnego dnia Johnny wrócił z próby i ledwo przekroczył próg celi, powiedział podekscytowanym głosem:

- Guys mam dla was taki news, że wyskoczycie z kamaszy!

Gołąbek leżąc na pryczy, spojrział na niego znudzonym wzrokiem i rzucił od niechcenia:

- Nawijaj dzieciaku.

- Niebawem będziecie mieli okazję zobaczyć i usłyszeć naszą kapelę! Pierdoła podporucznik Folczak, który jest odpowiedzialny za sprawy kulturalno-oświatowe powiedział, że na początku lutego w świetlicy odbędzie się jakaś pieprzona akademka czy coś w tym stylu, a my, jako zespół mamy się tam zaprezentować w części artystycznej! Mówię wam guys, będzie się działo!

- No to nieźle - rzekłem - zobaczymy jacy jesteście dobrzy.

- Dobrzy?! - Johnny palnął z takim wyrzutem, jakbym go śmiertelnie obraził i zaraz potem dodał z rozbrajającym uśmiechem: - Generale, my jesteśmy najlepsi!

Miło było patrzeć, jak tryska swoim młodzieńczym entuzjazmem. Był tak podniecony tym faktem, że aż kipiał z radości, a jego oczy błyszczały niczym diamenty.

- To będzie mój wielki comeback! Gitara w dłoniach, scena, publika i jazda! Damy taki show, jakiego tu jeszcze nigdy nie było!

- Tutaj nigdy nie było żadnego koncertu - rzekłem - więc tak czy siak, przejdziecie do historii.

- I o to właśnie chodzi - odparł i usiadł na taborecie. - Sensem mojego istnienia jest to, żeby zapisać się w ludzkiej pamięci. Dokładnie tak jak powiedziałaś, przejść do historii.

- Bardzo wzniosłe i zarazem próżne marzenie - skwitowałem jego słowa.

- Próżne? A co w tym próżnego, że człowiek chce zrobić coś, co docenią inni i będą o tym mówić nawet po wielu latach? - Zapytał i jednocześnie tłumaczył się ze swoich intencji.

- Sądzisz, że koncert, który jeszcze się nie odbył, będzie tak szczególnym wydarzeniem, że zostanie zapamiętany na wieki? - Spytałem z lekką drwiną.

- Sami się przekonacie! - Strzelił wzrokiem najpierw na mnie, a potem na Gołąbka.

- Nie spieprzę tej szansy, bo druga okazja może się już nie trafić.

- Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy? - Odezwał się małomówny Trulski.

Johnny spojrział na niego i rzekł:

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem - zerknął w okno, a po chwili dodał: - Znaczy się wiem, ale nie potrafię tego nazwać słowami. To zawsze tkwiło gdzieś wewnątrz mnie - położył prawą dłoń zaciśniętą w pięść na wysokości mostka. - To siedzi gdzieś tutaj - uderzył się w piersi i obrócił twarz w moją stronę - nosisz to w duszy, aż wreszcie któregoś dnia pojmujesz, że to jest najważniejsza rzecz w twoim życiu. Czujesz, że w tym właśnie tkwi cel twojego istnienia, że tylko to się liczy, a wszystko inne jest niczym. Potem zdajesz sobie sprawę, że nie zaznasz spokoju tak długo, dopóki nie zaspokoisz tego pragnienia. Rozumiecie o co mi chodzi? - Łypnął wzrokiem po naszych twarzach.

Po naszych minach musiał wywnioskować, że nie mamy bladego pojęcia o czym on mówi.

- Sensem twojego istnienia jest zagrać koncert w więzieniu?! - Gołąbek zapytał w taki sposób, jakby chodziło o najgłupszą rzecz świata.

Johnny spojrzał na niego, a potem uderzył się otwartą dłonią w środek czoła, oddając tym gestem wyraz swojego totalnego załamania.

- Niiieeee - jęknął zrozpaczonym głosem. - Nie, nie chodzi o żaden pieprzony koncert, aczkolwiek będzie on ważnym elementem mojego triumfu - stwierdził Johnny zamilkł i nagle poruszył fundamentalne kwestie, które kształtują egzystencję każdego człowieka:

- My friends, powiedzcie mi, czego najbardziej pragnęliście w swoim życiu? O czym marzyliście? Co chcieliście zrealizować? Czy mieliście coś, za czym goniliście ze wszystkich sił? Czy wam udało się dopaść swoje marzenie i pochwycić je w ręce? - Spojrzał na mnie i rzekł: - Ropuch, powiedz szczerze, jak było z tobą? - Ledwo wypowiedział swoje słowa zerknął na Trulskiego i zapytał: - A ty Gołąbek, spełniłeś się w życiu?

Usiadłem na pryczy, wyjąłem szluga, zapaliłem i odezwałem się głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji:

- Coś ci powiem młodzieńcze. Wiem, że pytasz nas o bardzo ważne sprawy, ale problem w tym, że ktoś taki jak ja lub leżący obok Gołąbek - kiwnąłem głową w jego stronę - boimy się nawet o tym myśleć. Jak sądzisz, dlaczego? - Spojrzałem mu w oczy.

- Nie mam pojęcia - rozłożył bezradnie ramiona. - Oświeć mnie.

- A żebyś wiedział, że cię oświecę. Jeszcze jesteś młody i jak wyjdiesz z paki, nadal będziesz miał szansę na normalne życie. Latem tego roku minie dokładnie czterdzieści dwa lata, jak zostałem skazańcem. Zdajesz sobie sprawę, ile to czasu? Czterdzieści dwa lata w tych samych murach i żadnych szans na wolność. Jesteś w stanie pojąć o czym mówię? Pytasz mnie o rzeczy, które mogą we mnie obudzić tylko wściekłość na samego siebie. Wiesz ile lat borykałem się tutaj, żeby zapomnieć o swojej przeszłości, o dawnym życiu na wolności, o swoich planach na życie i marzeniach? Tacy jak my - znowu strzeliłem wzrokiem na Gołąbka - muszą o tym zapomnieć, bo jeśli tego nie zrobią, mogą wpaść w ramiona szaleństwa albo umrzeć z żalu. Rozumiesz? Mnie nie przeszkadza to, że mówisz o swoich marzeniach, że szukasz spełnienia, że gonisz za tym i być może nawet jesteś gotów wszystko poświęcić, żeby dopiąć celu. Przyznam nawet, że jestem dla ciebie pełen podziwu i kibicuję ci z całego serca. Obyś osiągnął to, co uważasz za najważniejsze, a ja będę zaciskał kciuki, żeby tak się stało. Więc zamiast ciągnąć nas za języki, ty nam powiedz, czego tak naprawdę chcesz? Co jest dla ciebie najważniejsze w życiu?

Zanim Johnny się odezwał przez kilka chwil wpatrywał się w moje oblicze.

- Widzisz generale, wspomniałeś o próżności. Może w pewnym sensie masz rację, nawet mogę się zgodzić, że jestem próżny ale wcale się tego nie wstydzę. Wiecie o czym marzę guys? - To zabrzmiało jak czysto retoryczne pytanie. - Otóż do pełni szczęścia nie potrzebuję kochającej rodziny, żony, dzieci, domu, dobrej pracy czy też finansowego zabezpieczenia i perspektyw na przyszłość.

- W takim razie czego potrzebujesz? - Wtrącił Gołąbek takim tonem, jakby był kompletnie zaskoczony, że może być coś ważniejszego od tych wszystkich spraw, które przed chwilą wymienił nasz rozmówca.

- Ty, weź mu nie przerywaj - skarciłem Trulskiego, bo słowa Johnnego brzmiały zaskakująco.

- Pragnę jedynie namiastki nieśmiertelności, poczucia tego, że moje istnienie zostanie zapamiętane przez innych ludzi. Nie przez najbliższą rodzinę lub przyjaciół, ale przez ludzi, których nawet nie znam...

W tym momencie wiedziałem już o czym mówił. Spełniły się moje przypuszczenia i nim Johnny dokończył zdanie, powiedziałem z uśmiechem na ustach:

- Wiem czego pragniesz niepoprawny próżniaku.

- Tak? Jesteś pewien? - Zapytał zaskoczonym głosem.

- Na milion procent - odparłem.

- No to wal generale i że pozwolę sobie zacytować twoje słowa, zaskocz mnie!

Uśmiechnąłem się w taki sposób, jakbym chciał mu uświadomić, że go rozgryzłem i powiedziałem:

- Sława i chwała, oto czego pragniesz najbardziej. Mam rację?

Johnny spojrzał mi prosto w oczy, a ja w mig pojąłem, że trafiłem w dziesiątkę.

- Lepiej bym tego nie ujął. Chcesz wiedzieć w co wierzę? - Zapytał, a zaraz potem rzekł: - Otóż wierzę, że jeden dzień chwały jest więcej wart niż tysiąc lat szarego życia. - Po czym klepnął mnie w ramię i powiedział: - A teraz kopsnij fajeczkę! Przysięgam, że już niebawem oddam z nawiązką!

Przez całe moje dotychczasowe życie przewinęła się prawdziwa plejada barwnych postaci. Miałem do czynienia z różnymi osobnikami. Znałem piekielnie niebezpiecznych koleś, pozbawionych jakichkolwiek skrupułów. Kumplowałem się z mordercami i bandytami. Wchodziłem w układy z kombinatorami, oszustami i złodziejami ale znałem również ludzi z wyżyn społecznych. Wykształconych, inteligentnych i błyskotliwych, dzięki którym sporo się nauczyłem. Każdy z nich był na swój sposób inny i wyjątkowy, jedni zasługiwali na potępienie, a drudzy na uznanie. Większość z nich była naznaczona brzemieniem skazańca, aczkolwiek nie wszyscy sobie na nie zasłużyli. Zdajecie sobie sprawę, że los człowieka bywa bardzo przewrotny, czasami wystarczy jeden błąd i reszta życia zostaje rzucona w rynsztok. Każdemu może powinąć się noga. Przecież nie wszyscy dopuszczają się przestępstwa z czystą premedytacją, prawda? Niekiedy jest to kwestia przypadku albo cholernie skomplikowanej sytuacji lub działania osób trzecich. Nie można wszystkich oceniać jedną miarą. Nie godzi się, żeby takich ludzi jak Ojczulek, Wilhelm Wolf albo profesor Czarnecki stawiać w jednym szeregu z Czarnym, Hrabią lub Derusiem. To nie jest takie proste, bowiem pomiędzy bielą i czernią rozpościerają się rozległe krainy szarości. Pomijając jednak kwestie czysto filozoficzne, muszę wam powiedzieć, że Johnny Alcatraz był pierwszym człowiekiem jaki pojawił się w moim życiu, który pragnął, żeby wyryć w ludzkiej pamięci ślad swojego istnienia.

Do dziś nie potrafię znaleźć odpowiedzi, czy to marzenie jest boskim darem czy może szatańskim przekleństwem?

Dzień chwały Johnnego przypadł w sobotę 8 lutego 1964 roku.

Tego dnia do świetlicy, która sąsiadowała z pomieszczeniem więziennej biblioteki, dokładnie o godzinie 16:45 wprowadzono pierwszą turę skazańców z peronu "D". Świetlica była zbyt mała, żeby pomieścić wszystkich osadzonych w pawilonie i dlatego władze więzienia postanowiły, że impreza będzie miała charakter cykliczny i potrwa siedem dni. W naszym skrzydle znajdowało się 88 cel, a stan osadzonych na peronie wynosił wtedy blisko pięciuset więźniów. Rzesza ludzi! Miałem to szczęście, że klawisze zdecydowali, iż pierwszą ekipą uczestników będą skazani zajmujący najwyższą kondygnację z prawej strony korytarza. Plan był taki, że każdego dnia, przez najbliższych siedem dni, codziennie o godzinie 16:45 kolejni więźniowie będą mieli okazję zaliczyć, że tak to ujmę szkolnym językiem - akademię. Pomysłodawcą tego przedsięwzięcia był młody podporucznik Folczak, który stanowił obiekt drwin ze strony szeregowych klawiszy. Podrzędni strażnicy uważali go za naiwnego i nawiedzonego pajaca. Po latach jednak okazało się, że Folczak zrobił oszałamiającą karierę i w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych wylądował w stolicy na ciepłym stołeczku w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W roku 1964 towarzysz podporucznik piastował we wronieckim więzieniu stanowisko koordynatora do spraw kulturalno-oświatowych. Natomiast trzy lata później zaczął wdrażać tak zwane "ZP" czyli zajęcia populistyczne, które więźniowie ochrzcili nazwą - zwykłe pierdolenie. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to wspominałem już kiedyś o tej sprawie.

Można śmiało powiedzieć, że to właśnie dzięki Folczakowi w więzieniu powstały dwa amatorskie teatry, kabaret, rockowy zespół muzyczny i sekcja orkiestry dętej. Było również kilka kursów doskonalenia zawodowego i kółko edukacyjne, ale to zupełnie inna historia, która nie miała nic wspólnego z ową akademią. Na każdym pawilonie znaleźli się jacyś więźniowie, którzy chcieli w jakiś sensowny sposób spożytkować swój wolny czas w trakcie odsiadki. Poświęcali się temu i kiedy po czasie stworzyli już coś, z czym mogli się zaprezentować szerszej publiczności, nawiedzony podporucznik wykorzystał ten fakt. Prawdopodobnie chciał błysnąć w oczach dyrektora placówki i wykazać się, że odwała dobrą robotę. Folczak wpadł na pomysł, żeby zorganizować grupowe spotkania (czytajcie: akademie), podczas których bierni skazańcy mieli się przekonać, że w tym pudle jednak coś się dzieje. Pomysł spodobał się dyrektorowi i on sam postanowił przy okazji strzelić mowę, która miała pozostałych zachęcić do inicjatywy.

Wystrój świetlicy był identyczny jak tego dnia, kiedy mieliśmy okazję poznać porucznika Modesta Ozurskiego i usłyszeć, że jego zadaniem jest zwalczać i zaradzać wszelkim objawom szeroko pojętej dyskryminacji.

Usiedliśmy, zajmując miejsca w rzędach kilku ławek. W pomieszczeniu panował gwar, a klawisze bezustannie starali się nas przywołać do porządku. Zachowywali się tak, jakby faktycznie nie zdawali sobie sprawy, że zaserwowano nam atrakcję, która złamała rutynę dnia powszedniego. To była wyśmienita okazja, żeby zamienić z kimś kilka słów, przekazać krótkie informacje albo ubić jakiś interes. Cisza zapanowała dopiero wtedy, kiedy do świetlicy wkroczył dyrektor więzienia w osobie pułkownika Gryczewskiego. Stał naprzeciw nas i zaczął smucić o strategicznych planach. Roztaczał ambitne wizje, mówiące o tym, że nasza więzienna egzystencja może się zmienić na lepsze i wszystko zależy tylko od nas samych. Cóż mogę powiedzieć, facet niewątpliwie miał rację, jednak

problem był w tym, że trafił na kiepskich słuchaczy. Większość zgromadzonych stanowili grypsujący i żaden z nich nie był zainteresowany takimi zmianami. Dyrektor głądził ponad kwadrans, raz po raz zerkał na kartki papieru, które trzymał w dłoniach i przytaczał nam jakieś statystyki. W końcu przeszedł do rzeczy i powiedział:

- Chcę wam teraz przedstawić członków grupy muzycznej, którzy zaprezentują wam efekty swoich wielotygodniowych poczynąń. - Kiwnął dłonią na siedzących w pierwszym rzędzie dając im znak, żeby podnieśli się z miejsc. - Zapraszam muzyków na scenę.

Chwilę później ujrzeliśmy Johnnego wraz z trójką koleśki. Każdy z nich miał na sobie szelki, które w tamtym czasie były prawdziwym hitem na więziennych peronach. Chłopaki uklonili się w pas, a od strony publiki rozległy się oklaski. Ktoś z tyłu krzyknął:

- Johnny dajcie czadu!

Minęło kilka minut zanim kapela rozłożyła się ze swoim sprzętem.

Z gitarami w dłoniach wyglądali jak profesjonalny zespół, nadawali się do tego, żeby pstryknąć im fotkę i wrzucić na afisz.

Perkusista zaczął nabijać wolny, miarowy rytm.

Johnny zbliżył twarz do srebrnego mikrofonu i powiedział:

- Nazywamy się "Od Wojtka do Wojtka"!

W tym samym momencie w rzędach zgromadzonej publiczności rozległa się burza oklasków i radosnych okrzyków. Wokalista wypowiadając tych kilka krótkich słów podbił serca wszystkich siemachów. Powiedzenie "od Wojtka do Wojtka" miało swoje odniesienie do podkultury grypsujących. W ich żargonie oznaczało to bowiem odbycie w pełni zasądzonej kary. Zdradzę wam też, że wyrok dożywocia był nazywany "dookoła Wojtek". Nie mam pojęcia dlaczego imię Wojtek miało taki, a nie inny kontekst. Po prostu tak brzmiało powiedzenie dotyczące odsiadki.

Perkusista ciągle nabijał leniwy rytm, a Johnny nagle powiedział:

- Specjalnie dla was zagramy teraz stary, dobry kawałek i mam nadzieję, że poczujecie potęgę rock and rolla!

Chwilę później w takt bębnow odezwały się gitary intonując ospałą melodię, a Drabiński zaczął śpiewać, powtarzając te same słowa:

- Już taki jestem. Już taki jestem. Już taki jestem.

Jego głos brzmiał tak, jakby był wszystkim znudzony.

Po kilku akordach chłopaki podkreśli tempo, a ze wzmacniaczy popłynęła ostra muza. Johnny i basista we dwójkę zaczęli śpiewać do jednego mikrofonu i kiedy usłyszeliśmy: - Już taki jestem zimny drań i dobrze mi z tym bez dwóch zdań - wtedy wszyscy się zorientowali, że faktycznie grają stary kawałek ale w zupełnie nowej aranżacji. Pierwszy raz w życiu słyszałem coś takiego! To było niesamowite! Nie zdawałem sobie sprawy, że można w ten sposób grać muzykę! Agresywna melodia porwała publikę, a świetlicę wypełniła burza wściekłych oklasków, gwizdy, tupanie nogami, okrzyki! Mówię wam, to co się wtedy działo, to było istne szaleństwo! Chłopaki zagrali z takim przytupem, że człowiek aż miał ochotę poderwać się z miejsca i zacząć skakać. Z każdym taktem robił się taki aplauz, że klawisze nie wiedzieli co mają czynić. Grupa siemachów siedząca w rzędzie przede mną zaczęła klaskać w dłonie trzymając

rytm piosenki, ktoś z boku krzyknął:

- Dawać czadu i do piekła!

Kiedy kapela dobrnęła do kolejnego refrenu, dziesiątki gardeł zaczęły im wtórować w głos, śpiewając razem z Johnnym:

- Już taki jestem zimny drań!

Za moich młodzieńczych czasów, nie było takiej muzyki i chyba dlatego miałem wrażenie, że oto jestem świadkiem czegoś nowego i niesłychanie nowatorskiego. Wtedy pojąłem, co Johnny miał na myśli mówiąc, o upragnionej namiastce nieśmiertelności. Nie miałem żadnych wątpliwości, że ów koncert przejdzie do historii wronieckiego więzienia, a jego legenda będzie żyła wśród kolejnych pokoleń skazańców.

Rock and rollowa formacja pod nazwą "Od Wojtka do Wojtka" zagrała tylko jeden kawałek, po czym rozwścieczony dyrektor kazał im wyłączyć sprzęt i zejść ze sceny. Od tamtego dnia Johnny i jego kumple z zespołu mogli już tylko pomarzyć o próbach. Trafili na czarną listę Folczaka, któremu tak na marginesie oberwało się za ten show, a więzienna kapela, która mogła zrobić oszałamiającą karierę została zmuszona zakończyć swoją działalność.

Wiść o tym, co się wydarzyło podczas akademii błyskawicznie dotarła do wszystkich wronieckich skazańców i wywindowała Johnnego na piedestał. Został bożyszczem, idolem, bohaterem. Grypsujący darzyli go wielkim szacunkiem i nigdy nie zaznał z ich strony żadnych szykan lub nieprzyjemności. Został kimś, kto swoim czynem wzbudził się ponad podziały więziennej podkultury i nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek inny osiągnął taki status.

- Mieliśmy odgórnie ustalony repertuar - powiedział Johnny - ale przecież nie mogliśmy się zniżyć do poziomu ummpapa ummpapa. Mówiłem wam, że druga taka okazja już się nigdy nie powtórzy.

- No tak - rzekłem - ale w ten sposób zawiedliście Folczaka, wkurwiliście dyrektora i na własne życzenie pozbawiliście się dalszego grania.

- Coś za coś, generale. - Rozłożył ręce na boki. - Tak jest skonstruowany ten świat i trzeba wierzyć starym, ludowym mądrościom. Jedna z nich mówi, że lepiej spłonąć w ogniu, niż tlić się przez całe życie.

- Dzień chwały - odparłem wpadając mu w zdanie. - Teraz rozumiem.

- Dokładnie tak - zaśmiał się. - Powiem ci, że warto było i gdybym miał szansę przeżyć to ponownie, zrobiłbym to samo. W życiu jest identycznie, jak w show biznesie. Jeśli chcesz być wielki, musisz zrobić coś, co innych powali na kolana. Musisz podjąć decyzję i albo idziesz za głosem serca, albo za biadoleniem rozsądku. Rozum będzie ci kazał sprzedać się niczym tania dziwka i robić to, czego od ciebie oczekują inni, a serce będzie podpowiadać, żeby pieprzyć wszystko i iść na całość! My old friend ja od urodzenia jestem buntownikiem z wyboru i takim umrę. Zawsze szedłem na całość. Jeżeli sądzisz, że jestem szurnięty, to niewątpliwie masz rację - zaśmiał się szczerze. - Mówię ci Ropuch, zapamiętasz mnie do końca życia. Już dzisiaj dałbym sobie obciąć dłonie, że w przyszłości będziesz innym opowiadał o kolesiu, który był znany jako Johnny Alcatraz...

Miał rację skubany! Ostatni raz wspomniałem o Johnnym zaledwie kilka dni temu.

Przypaliłem z Pędrakiem zioło i kwadrans później, zaczęliśmy debatować nad sensem życia.

Siedzieliśmy wtedy na ławce przy zachodniej ścianie magazynu, gdzie kierownik Bugajczyk kazał składować sztuczne nawozy. Towar był pierwsza klasa i po kilku buchach zmiotło nas w kosmos. Rozkoszując się promieniami popołudniowego, majowego słońca z dumą spoglądaliśmy na naszą małą plantację marihuany. Krzewy posadziliśmy pod płotem, gdzie ciągnie się szeroki pas nieużytku. Oprócz nas nikt tutaj nie łaził więc jednomyślnie uznaliśmy, że to zapomniane i zapuszczone miejsce jest idealne do uprawiania rośliny przynoszącej radość.

Przyznam się wam, że na początku naszej znajomości Pędrak mnie drażnił i uważałem go za oszołoma. Jednak kiedy poznaliśmy się bliżej, kiedy opowiedział mi o sobie, zmieniłem zdanie. Doszedłem do wniosku, że jeśli chłopak chociaż trochę się postara, to może jeszcze wyjdzie na ludzi. Właściwie to nie wiem, co mnie skłoniło, żeby opowiedzieć mu o Johnnym i legendarnym koncercie, który blisko trzydzieści lat temu odbył się we wronieckim więzieniu. Jakoś tak mnie naszło na wspominki. Tak już mam, że po trawce zawsze zaczynam wyłuskiwać najbardziej urocze wspomnienia, a w duszy jawią się chwile, do których żywię ogromny sentyment...

Johnny miał cholerną rację! Spełnił swoje marzenie, bo nigdy o nim nie zapominałem. Mam również nadzieję, że po wyjściu z paki dopiął swego i zrobił to, o czym tak wiele razy mi opowiadał. Czasami wyobrażam sobie, jak sunie czarnym harleyem po Route 66 zmierzając w stronę zachodzącego słońca. Wstęga szosy wiedzie przed siebie, a w oddali majaczą potężne zarysy Wielkiego Kanionu. Dookoła tylko dzika przestrzeń ciągnąca się aż po kres horyzontu, a w powietrzu unosi się zapach prawdziwej wolności. Oczami wyobraźni widzę jak mój młody przyjaciel mknie przed siebie, a ja wtedy uśmiecham się pod nosem i nucę przebój, którym dawno temu kupił moją pamięć. Zmieniłem tylko dwa słowa z oryginalnego tekstu i myślę, że spodobałaby mu się ta przeróbka. "Czy do wyciągniętej ręki, wpadnie cent, czy dolców sto, mnie nie zależy, bądźmy szczerzy, grunt, by jakoś szło..."

Koncert odbył się w sobotę, a już następnego dnia Johnny nie mógł na spacerunku opędzić się od towarzystwa. Wszyscy mu gratulowali i każdy chciał innym udowodnić, że Johnny to jego dobry kumpel. Popularność ma w sobie coś iście magicznego. Ma to coś, co przyciąga rzesze zwykłych ludzi, którzy lgną do swojego idola niczym muchy do łajna. Nie wiem, może niektórzy dzięki temu czują się bardziej dowartościowani? Trudno mi powiedzieć. Może ja też zachowywałbym się w ten sposób, gdybym nie dzielił z Johnnym wspólnej celi? Przyznam się wam, że w głębi duszy byłem z tego dumny. Bądź co bądź, mieszkałem z wybrańcem bogów.

Sława i chwała, które spłynęły na członków kapeli "Od Wojtka do Wojtka" miały jednak swoją cenę. Czwórka chłopaków, która dała niezapomniany popis została przez Ozurskiego obarczona iście gównianym zajęciem. W głównym kompleksie więziennych budynków znajdowały się cztery pawilony, a każdy z nich miał swój własny silos, gdzie opróżniano bomby. Upokarzająca fucha kalifaktora była jednak niczym w porównaniu do zajęcia związanego z coponiedziałkowym czyszczeniem silosów. Od niepamiętnych czasów zawsze w pierwszy dzień tygodnia, pod odpływ podjeżdżała szambiarka,

funkcyjny otwierał zawór, który znajdował się na zewnątrz budynku i spuszczał do cysterny cuchnący szlam. Silos należało dokładnie wyczyścić od środka i właśnie to zadanie zostało przypisane czwórce muzykantów. W związku z tym, że tę czynność wykonywano o świcie, to w każdy poniedziałek klawisze robili muzykom pobudkę o 04:30. Porucznik Ozurski oznajmił im, że będą się parali tym zajęciem dokładnie przez rok.

- Skoro nie zagraлиście ustalonego repertuaru - miał ponoć powiedzieć, kiedy wezwał ich do siebie na dywanik - to w ramach kary dyscyplinarnej za waszą arogancję i nieposłuszeństwo zostaniecie władcami szamba.

Jedynym udogodnieniem było to, że każde pomieszczenie z silosami zostało wyposażone w szlauch do spłukiwania i parę wysłużonych gumofilców. Z tego co mówił Johnny robota nie należała do skomplikowanych, tylko śmierdziała jak z gigantycznej dupy. Jeśli klapy silosów były zamknięte, dało się jeszcze wytrzymać, ale kiedy włazy zostały otwarte, smród był tak okropny, że aż wyciskał z oczu łzy i bezustannie ciągnęło człowieka na wymioty.

Pod koniec lutego słupki rtęci w termometrach utrzymywały się powyżej zera i wszystko wskazywało na to, że tego roku wiosna zawita nieco wcześniej. W połowie marca było już tak ciepło, że na spacerunku podeszwy butów grzęzły w roztopach. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek o tej porze roku aura była, aż tak przyjemna.

Kilka dni wcześniej Wojtas zakończył odbywanie kary. Kiedy widziałem go po raz ostatni przez głowę przemknęła mi myśl, czy faktycznie będzie dążył do tego, żeby wąż na jego piersi przywdział koronę? Zastanawiałem się również, co taki charakterniak jak on, będzie robił po drugiej stronie murów? Od lat byliśmy w dobrej komitywie lecz nigdy nie zapytałem o jego plany na przyszłość. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić Wojtasa ani w cywilnych ciuchach, ani w innym miejscu niż więzienie. Miał w sobie coś takiego, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że właśnie świat wewnątrz murów, jest miejscem do którego idealnie pasuje. Oczywiście nie wróżyłem mu rychłego powrotu do kazamatów, jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że nie będzie zbyt długo cieszył się wolnością. Z grzeczności napiszę, iż mogę mieć tylko nadzieję, że mój instynkt skazańca zawiódł w jego wypadku.

Wyjście Wojtasa natchnęło mnie pewnymi refleksjami. W mojej głowie ożyły wspomnienia amnestii z 1956, a wraz z nimi pojawiła się malutka, naiwna iskierka nadziei. Słodki, tak samo jak ja był bezterminowcem i w myśl polskiego prawa za cztery lata miał opuścić więzienie. Zacząłem się łudzić, że być może teraz wpływy Wiktora Kozłowskiego nie są już tak potężne, jak w odległej przeszłości. Nawet przyszło mi do głowy, że być może odszedł w stan spoczynku, udał się na zasłużoną, wojskową emeryturę, a może... może nawet pożegnał się z życiem? Minęło już kilka ładnych lat od naszego ostatniego spotkania i w tym czasie dużo mogło się zdarzyć. Te dumania zrodziły właśnie we mnie nadzieję i w chwilach słabości łudziłem się, że być może jest dla mnie cień szansy na odzyskanie wolności.

Minęło już prawie półtora roku od krwawej afery siemachów i powiem wam, że przez tych kilkanaście miesięcy ferajna nie przeprowadziła żadnej grupowej akcji. Oczywiście zdarzały się jakieś pojedyncze numery, ale to były tylko durnowate wybryki, o których nawet nie warto wspominać. Miałem wrażenie, że więzienne życie toczy się w

zwolnionym tempie. W stolarni zajmowaliśmy się duperelami i gdyby nie dodatkowe zajęcia, którymi obarczał mnie Ozurski, moja egzystencja byłaby całkiem znośna.

Johnny miał szlaban na jakiegokolwiek zajęcia w czasie wolnym i dlatego zaczął dbać o swoją tężyznę fizyczną. Ja i Gołębek nie garnęliśmy się do żadnych kursów i kólek zainteresowań bowiem uważaliśmy, że jesteśmy już za starzy na takie pierdoły. Popołudniami najmłodszy z nas rozkładał koc na podłodze i ćwiczył. Robił pompki, brzuszki i przysiady. Ja w tym czasie poświęcałem się czytaniu książek, a Gołębek sterczał w oknie i wypatrywał pocztowych gołębi. Każdego dnia po wieczornym posiłku mieliśmy w zwyczaju grać w karty. Szyliśmy do chwili, aż był ogłaszany capstrzyk bo zaraz potem we wszystkich celach gasły światła i dalsza gra, nawet przy blasku świecy samoróbki nie miała sensu. Muszę wam jeszcze wspomnieć, że Johnny miał w zwyczaju przeinaczać angielskie słowa w taki sposób, żeby dźwięczały jak polskie wyrazy i jednocześnie nadawał im odmianę charakterystyczną dla naszej gramatyki. Kiedy na przykład mówił o jakichś koleśiach, to brzmiało to tak:

- Słyszeliście o tych dwóch gajsach...

Na początku musiał nam tłumaczyć jak dzieciom, o czym on do cholery gada? O jakich gajsach? Bo kim lub czym są jakieś gajsy? Potem okazało się, że my na przykład jesteśmy dla siebie frendami, albo jeżeli kogoś rznąła nuda i ten ktoś łapał się jakiegoś zajęcia oznaczało, że robi to dla zakilerowania tajmu. Innym razem opowiadał nam, jak schrzanił jakąś robotę w parku maszynowym i powiedział, że sfakował prostą sprawę. Z czasem zaczął to robić nagminnie i dopóki nie udzielił wyjaśnień, to nikt z nas nie czaił o co właściwie kaman. To było nawet zabawne, a ja stwierdziłem, że chyba nasz bajerant zostanie kingiem nowej więziennej gwary.

Pewnego popołudnia Johnny przerwał zestaw swoich ćwiczeń i szepnął do mnie:

- Ty, o co chodzi z tym gapieniem się w okno? Czego on wypatruje?

- Niebawem się przekonasz - odparłem.

- Ej, no dajże spokój, weź powiedz - prawie jęknął.

- Coś taki niecierpliwy? Chłop liczy ile gołębi lata po wronieckim niebie - zażartowałem.

- To stąd jego ksywka Gołębek? - Zapytał.

- Poniekąd - rzekłem i spojrzałem na Trulskiego.

Janek musiał słyszeć naszą cichą rozmowę, ale nie zareagował. Trwał w tym samym miejscu co zawsze, spoglądał w marcowe niebo po drugiej stronie krat i chyba czekał na odwiedziny swojego skrzydlatego przyjaciela. W sumie to nawet go podziwiałem, że potrafi tak beczynnie stać. Przypuszczam, że zapadał wtedy w jakiś magiczny stan, który pozwalał jego duszy wyrwać się z tego miejsca. Odcinał się od tej więziennej rzeczywistości i błdził myślami daleko stąd.

Gołębek już dawno temu stwierdził, że hodowca, który ma w stadzie Filipa nie wypuszcza swoich ptaków od października do marca. Natomiast w sezonie pozwalał im latać dwa razy dziennie. Pierwsze szybowanie miały około godziny dziewiątej, a drugie późnym popołudniem.

Jakiś czas temu Trulski rozsypał okruchy chleba na zewnętrznym parapecie okna i każdego dnia sprawdzał, czy nadal tam są.

Pierwszego dnia wiosny po powrocie z pracy Janek przekroczył próg celi i natychmiast ruszył w stronę okna. Nagle klasnął w dłonie i aż krzyknął z wrażenia:

- Zaczął się sezon lotów! Zaczął się! Nareszcie się zaczął!

Johnny spojrział na niego zaskoczonym wzrokiem, po czym obrócił się w moją stronę i rzekł:

- Ty, o co kaman?!

- O loty gołębi pocztowych - odparłem.

- I co w związku z tym? - Starał się dociec w czym rzecz.

- No i nic - wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru mu niczego wyjaśniać, bo chciałem zobaczyć jego minę i usłyszeć co powie, kiedy zobaczy Filipa.

- Obaj macie nie po kolei pod bercikami - stwierdził i postukał się palcem w środek czoła.

Skrzydlaty przyjaciel Gołąbka zjawił się późnym popołudniem. Janek wystawił rękę przed kraty, a Filip przysiadł na grzbiecie jego dłoni i tak intensywnie gruchał, jakby w ten sposób chciał okazać swoją radość. Kiedy Johnny zobaczył co się dzieje, jego oczy dostały niewiarygodnego wytrzeszczu. Miał taką minę, że po prostu nie byłem w stanie się powstrzymać i parsknąłem śmiechem.

- Jak to możliwe?! - Zapytał i ruszył w stronę okna.

Zrobił raptem dwa kroki i to wystarczyło, żeby spłoszył śnieżnobiałego gołębia, który natychmiast poderwał się do lotu.

- Sorry, nie chciałem, żeby uciekł - powiedział do Trulskiego, który w tej samej chwili spojrział na niego groźnym wzrokiem, jak na jakiegoś intruza.

- Na mój widok też ucieka - powiedziałem pocieszającym tonem.

- Oswoiłeś gołębia? - Zwrócił się do Janka. - Niesamowite! Jak to zrobiłeś?

Ten w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

- On ma taki dar - odezwałem się, a potem zacząłem mu opowiadać o pasji Gołąbka i o tym, co kiedyś działo się na spacerniaku. - Wtedy Ozurski, który zaprzął cię do sprzątania silosów powiedział, że więzienie to nie zwierzyńiec i zakazał karmienia ptaków na promenadzie - tymi słowami zakończyłem swą krótką opowieść. - A co tam u Filipa? - Zwróciłem się do Janka.

- Zmężniał. Nabrał ciała przez zimę. Zrobił się całkiem dorodny. W zeszłym roku chyba musiał gdzieś nieszczęśliwie przysiąść, bo stracił pół palca w prawej nodze. Blizna wygląda na starą.

- Jak to się stało, że zacząłeś hodować postowe pigeony znaczy się gołębie pocztowe - poprawił się Johnny. - Skąd wzięła się u ciebie taka nietypowa pasja? Skąd taki pomysł?

Przez resztę popołudnia i cały wieczór Gołąbek dzielił się z Johnnym swoją całą wiedzą, a on słuchał jego opowieści z zainteresowaniem. Ja znałem te wszystkie historie, ale chcąc nie chcąc musiałem ich wysłuchać raz jeszcze. Powiem wam, że moim skromnym zdaniem, pierwszego dnia wiosny 1964 roku Jan Trulski w ciągu kilku godzin wypowiedział więcej słów, niż przez te wszystkie lata, które spędził ze mną w celi.

Każdego dnia Gołąbek dzielił się swoim śniadaniem z Filipem i zostawiał mu na zewnętrznym parapecie pół kromki skruszonego chleba. Wdzięczny ptak natomiast

odwiedzał go każdego popołudnia. Po jakimś czasie Johnny przywykł do tego i podobnie jak ja, traktował te wizyty jako coś zupełnie naturalnego.

W połowie lata Johnny zwrócił się do mnie z prośbą o drobną przysługę.

- Często chodzisz do biblioteki - powiedział - mają tam jakieś atlasy z mapami?

- Nie wiem, ale myślę, że chyba tak - odparłem. - Mam wypożyczyć? - Zapytałem i spojrzałem na niego pytającym wzrokiem.

- Nie, no coś ty. Po co mi atlas?!

- Nie mam pojęcia. Pytasz o mapy, więc wniosek nasuwa się sam.

- No tak, dobrze kombinujesz, ale krótko mówiąc potrzebuję mapę Stanów Zjednoczonych. W każdym szanującym się atlasie, powinna takowa być. Wyrwałbyś kartkę - powiedział błagalnym tonem. - Dasz radę, prawda? - Spojrzał na mnie w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że prosi o zwykłą drobnostkę. - Sam bym to zrobił, ale wiesz jak jest, wisi nade mną ten pieprzony zakaz Ozurskiego.

- Do czego ci ta mapa?

Johnny uśmiechnął się i rzekł:

- Patrząc na nią, lepiej mi się będzie marzyło.

- Marzyło? - Odparłem z nieukrywanym zaskoczeniem.

- Załatwisz sprawę?

- Niczego nie obiecuję, ale zobaczę co da się zrobić.

Trzy dni później przyniosłem mu wyrwaną z atlasu kartkę na której widniał obszar USA.

- Jeszcze tylko dziewięć razy zaliczę lato w tych murach, a potem witaj słodka wolności - powiedział Johnny. - Przez ten czas muszę wymyślić, jak dotrzeć na wschodnie wybrzeże Stanów. Najlepiej do Nowego Jorku - położył na stole mapę i wskazał palcem miejsce, o którym mówił.

- Z tego co wiem, to ponoć z Polski bardzo trudno jest wyjechać - odparłem.

- Legalnie bardzo trudno, ale kto mówi o takim wyjeździe? - Rzucił z uśmiechem i posłał mi oczko.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć najlepiej ile grozi za ucieczkę z kraju, prawda?

- Zgadza się generale - powiedział i zasalutował w żołnierski sposób.

- Czyli mam rozumieć, że twoim marzeniem jest ucieczka do Ameryki, tak? - Zapytałem, aczkolwiek moje słowa zabrzmiały tak, jakbym stwierdzał fakt.

- Nie nie nie nieeee - odpowiedział śpiewającym tonem. - Muszę się tam dostać, żeby zrealizować swoje marzenie. Zawsze chciałem tego dokonać, ale wiecznie coś stawało mi na przeszkodzie, jak nie praca, to dziewczyna, brak gotówki, problemy z prawem, moje lenistwo, nieodpowiedni motor. Zawsze coś, zawsze kurwa mać było coś, co musiało mi pokrzyżować plany. Ty wiesz, że zanim poznałem Sonnego, to omal się nie ożeniłem? Chwała Bogu, że tak się nie stało! Oh my God wtedy to bym się dopiero załatwił na cacy - zaśmiał się w głos.

- A czemu się nie ożeniłeś? - Wtrącił Gołąbek, który leżał na pryczy.

- Bo kiedy ona zaczęła mówić, że chciałaby domek z ogródkiem, fajne mebelki i przynajmniej dwójkę uroczych dzieciaczków, to nagle zrozumiałem, że przecież ja nie

tego oczekuję od życia. Wiesz czym to pachniało? Kredyt w banku, praca od rana do wieczora i zero swobody. Kiedy człowiek bierze sobie coś takiego na głowę, to już po nim. Koniec. The end. Twoje istnienie zamienia się wtedy w orkę i martwisz się tylko o to, żebyś miał za co opłacić rachunki. Dokonałem wyboru i nigdy nie żałowałem swojej decyzji. Życie musi się toczyć w rytmie rock and rolla, a nie jakiegoś smutnego pierdzenia, łapiasz w czym rzecz? A ty masz rodzinę? - Zapytał Johnny i spojrzał przenikliwym wzrokiem na Gołąbka.

Wiedziałem, czego Trulski dopuścił się w przeszłości i byłem pewien, że nie chciał o tym dyskutować.

- Ty nie zmieniaj tematu, tylko powiedz co tak bardzo chciałeś zrealizować. - Tymi słowami uratowałem Gołąbka od niechcianej spowiedzi.

- Patrz na mapę. Co tutaj jest? - Wskazał palcem.

- Ocean.

- A jaki? - Zapytał niczym nauczyciel geografii, który ciągnie za język odpornego na wiedzę ucznia.

- No z tego co pisze, to Atlantycki.

- A tutaj? - Pokazał inne miejsce.

- Też ocean tylko, że Spokojny.

- Zawsze mi się marzyło, żeby przemierzyć Stany motorem od oceanu do oceanu - powiedział rozmarzonym głosem. - Wybrać się w najbardziej szaloną podróż życia. Oczywiście najpierw musiałbym zarobić trochę forsy, żeby kupić porządny motor. Kiedyś upatrzyłem sobie taką jedną maszynę. Cudna była. Czarny, błyszczący lakier, skórzane siodło i chromowane wykończenia. Harley-Davidson. Najlepsze w świecie motocykle - powiedział to w taki sposób, jakby cytował jakiś reklamowy slogan. - Mówię wam guys, ich dwukołowe rumaki są niezawodne i naprawdę robią wrażenie. Gdybyście słyszeli warkot ich silników - westchnął z rozmarzeniem. - Dodajesz delikatnie gazu i natychmiast rozlega się pomruk bestii. Jechać czymś takim przed siebie, to dopiero byłaby frajda! Jechać nie martwiąc się tym, co przyniesie jutro i nie myśląc o tym, co było wczoraj. Żyć chwilą. Dniem dzisiejszym. To jest właśnie prawdziwa wolność! Wtedy cały świat należy do ciebie. Twoje jest niebo pełne gwiazd i rosa o poranku, twoje są mgły o świcie i tobie się kłania każdy zachód słońca. Jedynym twoim zmartwieniem jest to, żeby zarobić parę dolców na benzynę i wyłożyć szmal na koryto, żeby coś przetrącić w ciągu dnia. Jak znudzi ci się włóczęga, to osiądziesz na kilka tygodni w jakimś uroczym miejscu. Podłapiasz fuchę, zaoszczędzisz grosza i kiedy znowu zacznie cię nosić, wskoczysz na motor i dodając gaz do dechy, pomkniesz przed siebie. Nie wiem, może mam duszę koczownika? - Rzucił retoryczne pytanie i dalej zaczął mówić. - Od małego ciągnęło mnie w świat. Moja matka czasami w żartach mówiła, że podrzucili mnie cyganie - zaśmiał się. - Słyszeliście kiedyś o Route 66? - Zapytał zniecierpliwiony i spojrzał po naszych twarzach. - Z tego co widzę po waszych gębach, to nic nie słyszeliście - sam sobie odpowiedział. - Kultowa Route 66 to najslawniejsza droga świata - stwierdził po chwili krótkiego namysłu. - Ciągnie się od Chicago - pokazał miasto na mapie, a ja słysząc tę nazwę poczułem delikatny ucisk w dołku. Wystarczyło jedno słowo i nagle odżyły we mnie stare wspomnienia. - Mknie przez cały kraj, aż do Los Angeles, czyli Miasta Aniołów. Wiedzie

przez osiem stanów, a niektóre z nich są większe niż Polska. Szmat świata trzeba przejechać, żeby pokonać całą trasę. Blisko dwa i pół tysiąca mil, co w przeliczeniu na kilometry daje prawie - zastanowił się przez chwilę - prawie cztery tysiące. Jakbyś objechał dookoła Polskę, to jeszcze ci braknie - powiedział patrząc mi prosto w oczy. - Czy możesz sobie wyobrazić, ile wspaniałych krajobrazów podczas takiej podróży miałbyś okazję zobaczyć?

- Tylko, że każda podróż kiedyś się kończy - wtrącił się nagle Gołabek.

- Myślisz, że zmęczyłoby mnie takie życie i zapragnąłbym tak zwanej stabilizacji?

- Johnny obrócił twarz w jego stronę.

- Na pewno - rzekł Trulski.

- Całkiem możliwe my friend. Problem w tym, że najpierw muszę odbyć swoją podróż, żeby się przekonać, czego rzeczywiście pragnę. Myślę, że taka wyprawa pozwoliłaby mi odnaleźć samego siebie, rozumiesz?

- Czyli twoim zdaniem trza przejechać pół świata, żeby nabrać rozumu? - Gołabek najwyraźniej nie pojmował dylematów Johnnego.

- Wiesz co ci powiem ptaszyno - nasz młody marzyciel powiedział drwiącym głosem - otóż spotkałem w swoim życiu wielu facetów, którym po kilku głębszych miękła rura. Siedząc w barze przy kielichu każdy z nich twierdził, że gdyby miał jeszcze raz przeżyć swoje życie, to wyglądałoby ono zupełnie inaczej. Połowa z nich twierdziła, że nigdy nie zawarłaby związku małżeńskiego. A ty byłeś, albo nadal jesteś żonaty? - Johnny jak na złość znowu nieświadomie poruszył drażliwy temat. Gdyby miał pojęcie za co kibluje Gołabek, to nie napomknąłby o tym nawet słówkiem.

Janek leżąc na pryczy spojrział smutnym wzrokiem na swojego rozmówcę i powiedział:

- Wiesz co synku, nie chce mi się teraz o tym gadać - po czym obrócił się w stronę ściany.

- What the fuck? - Szepnął Johnny w moją stronę i dodał: - Co go ugryzło? Powiedziałem coś złego?

- Pst - syknąłem i machnąłem ręką, jakbym chciał mu dać do zrozumienia, że kiedyś o tym pogadamy ale na osobności.

W niedzielę podczas wybiegu opowiedziałem Johnnemu ponurą historię Gołabka, kończąc ją słowami:

- Tylko nigdy się przed nim nie wygadaj, że cokolwiek wiesz. Kapujesz? Nigdy!

Z początkiem sierpnia upalne lato nagle zamieniło się w prawdziwą porę deszczową. Dzień w dzień przez bite dwa tygodnie lało jak z cebra. Opady były tak intensywne, że zostały odwołane wyjścia na promenadę. Klawisze opowiadali, że wezbrane wody Warty podtopiły okoliczne wioski, leżące niespełna dwadzieścia kilometrów na wschód od Wroniek. W związku z ulewami w regionie wielkopolskim został ogłoszony alarm powodziowy.

Gołabek stwierdził, że w taką pogodę mało który hodowca gołębi wypuszcza swoje stada, a jednak mimo to, każdego dnia sterczał w oknie.

Aura zmieniła się w drugiej połowie miesiąca, ale po kilku dniach okazało się, że okruchy chleba nadal spoczywają na parapecie. Wniosek z tego był taki, że Filip nie

pojawiał się tutaj w ciągu dnia, a co najgorsze, popołudniami również nie wpadał w odwiedziny.

Na spacerunku Gołąbek cały czas tkwił z głową zadartą do góry i wpatrywał się w szybujące ptaki. Wiele razy jakieś stado przemknęło ponad naszymi głowami, zataczało krąg ponad więzienną dzwonnica i odlatywało w kierunku miasta.

Po Filipie nie było nawet śladu.

Najpierw Janek pocieszał się, że być może jego ulubieniec bierze udział w jakichś zawodach i ma do pokonania długi lot, jednak w miarę upływu dni coraz częściej powtarzał, że chyba stało się coś złego.

Wrzesień miał się już ku końcowi, a Gołąbek wciąż nie odpuszczał i sterczał w oknie niczym wartownik, który sumiennie wypełnia swój obowiązek. Po jakimś czasie zacząłem odnosić wrażenie, że ta sytuacja go przytłacza. Wiem, pewnie wydaje wam się to dziwne i niezrozumiałe, ale ten śnieżnobiały ptak był dla mojego kumpla bardzo ważny. Chyba łączyła ich więź, której potrafią doświadczyć tylko ludzie bezgranicznie kochający zwierzęta. Człowiek ponoć może darzyć uczuciem psa, kota lub konia, ale jeśli idzie o ptaka... Janek był mi jedynym znanym człowiekiem, który zaprzyjaźnił się ze skrzydlatym stworzeniem. Nigdy wcześniej i nigdy później nawet o czymś takim nie słyszałem.

- Ty, on taki markotny przez tego gołębia? - Zagadnął do mnie Johnny w przededniu moich sześćdziesiątych czwartych urodzin.

- Myślę, że tak - odparłem. - Bo widzisz, ten ptak chyba pozwalał mu zapomnieć o tych murach i kratkach, zapomnieć o tym parszywym miejscu, a może nawet o zbrodni, której się dopuścił. Filip przypominał mu o tym, że kiedyś robił w swoim życiu coś, co sprawiało mu satysfakcję.

- Mówisz poważnie? - Johnny wpadł mi w zdanie.

- Najpoważniej - rzekłem w ten sam sposób, jak on miał się w zwyczaju odzywać.

Zaraziłem się tym od niego. Musielibyście słyszeć jakie Johnny toczył czasami gadki na promenadzie i podczas rozmów po prostu uwielbiał stopniować przymiotniki kierowane pod jego adresem. Kiedy ktoś na przykład do niego powiedział:

- Fajny z ciebie gość!

To Johnny natychmiast odpowiadał:

- Najfajniejszy!

Ktoś chwalił jego talent wokalny i zdolności muzyczne, stwierdzając:

- Dobry jesteś!

Od razu słyszał:

- Najlepszy!

I tak było za każdym razem, a ja podłapałem tego bakcyła.

- Powiem ci, że ty nigdy tego nie zrozumiesz i życzę ci, żebyś w przyszłości nie miał ku temu okazji. Różnica polega na tym, że ty możesz jeszcze o czymś marzyć, bo masz szansę zrealizować swoje plany. Natomiast człowiek w wieku Gołąbka z tak długim wyrokiem, który nad nim wisi, żyje z dnia na dzień uciekając w świat swoich najmilszych wspomnień. To jedyny sposób na to, żeby dotrzeć do końca wyroku. On nie będzie rozmyślał o przyszłości, bo opuści więzienie jako sędziwy człowiek. Cóż takiego będzie mógł zrobić, mając na grzbiecie siedemdziesiąt lat? Czy ty będąc na jego miejscu snułbyś

plany o podróży wiodącej przez cztery tysiące kilometrów? Może i tak, ale nie motorem tylko ambulansem. Nie każdy potrafi odnaleźć się w więziennej rzeczywistości i nasz kumpel należy właśnie do takich ludzi. Cichy, spokojny, małomówny. Oswoił gołębia, kumasz? Znasz kogoś, kto dokonał czegoś podobnego? Ten ptak był dla niego... - nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa - był dla niego wszystkim. Rozumiesz? Wszystkim co najlepsze i najpiękniejsze. Wszystkim, co potrafi cię gdzieś tutaj zachwycić - położyłem dłoń na sercu. - I dlatego teraz wygląda tak, jakby cierpiał katusze. Ostatnimi czasy patrząc na niego mam wrażenie, jakby postarzał się o kilka lat. Zwiądnął w środku i na zewnątrz. Widziałeś jaki smutek maluje się w jego oczach? - Zapytałem i pokiwałem głową. - A jak się dalej będzie zamartwiał, to jeszcze się pochoruje. - Kiedy o tym mówiłem, nie przypuszczałem, że moje słowa okażą się złowieszczym proroctwem.

Z początkiem listopada Gołąbek zaczął narzekać na bóle w trzewiach. Złe samopoczucie dopadało go zawsze o zmierzchu. Twierdził, że w ciągu dnia czuje się dobrze, ale wraz z nastaniem nocy nasilały się nieprzyjemne dolegliwości. Cierpiał ponad tydzień, ale trzymał się dzielnie. Jednak w końcu przyszła ta noc, kiedy dostał potwornego ataku, a my musieliśmy wzywać dyżurnego klawisza i Trulski z marszu trafił na izbę chorych.

- Do czasu zanim wróci - powiedział Johnny - zajmę jego kogo. Co się będę wspinał po pryczach jak jakiś monkey, prawda? - Po czym walnął się na miejsce Gołąbka.

Nasz kumpel nigdy nie wrócił na peron "D". Przez dwa tygodnie leżał w więziennym lazarecie, a potem został przewieziony do szpitala w Poznaniu.

W pierwszych dniach stycznia w naszej celi zjawiał się dowódca pawilonu, trzymając w dłoniach jutowy worek.

- Włóżcie tu wszystkie rzeczy, które należały do Trulskiego - rozkazał chorąży.

Nie było tego zbyt wiele. Janek miał tylko kilka ciuchów i zeszyt w którym rysował projekty wymyślonych gołębników.

- Co z nim jest towarzyszu chorąży? - Zapytałem upychając majdan do wnętrza jutowego pokrowca.

- Zmarło mu się - odparł, a ja słysząc te słowa poczułem się tak, jakby moje ciało ogarnął paraliż.

- Kiedy? - Zapytał Johnny zaskoczonym głosem.

- Trzy dni temu - usłyszeliśmy krótką odpowiedź.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Gołąbek udał się w zaświaty, powstał jeden z najbardziej znanych polskich zespołów bigbitowych o nazwie Czerwone Gitary. Jednak ja o ich istnieniu dowiedziałem się dopiero trzy lata później, kiedy polskie rozgłośnie radiowe puszczały w eter ich subtelną balladę pod tytułem "Anna Maria". Bardzo szybko melodia tego utworu została więziennym przebojem, do którego skazańcy mający zacięcie poetyckie, pisali własne słowa. Nawet nasz muzyczny guru, którym oczywiście był Johnny Alcatraz twierdził, że numer jest rewelacyjny. Ozurskiego już wtedy nie było we Wronkach i dzięki temu przed Johnnym pojawiły się nowe możliwości. Byłem święcie przekonany, że znowu skrzyknie kilku chłopaków i założą nową kapelę, ale on poszedł w zupełnie innym kierunku. Jednak o tym co zrobił, opowiem wam we właściwym czasie.

W roku 1965 wydarzyły się dwie sprawy, które głęboko zapadły w mojej pamięci. Pierwsza z nich dotyczy broni ukrytej w stolarni, a druga obrzydliwego numeru, który na peronie "D" wywinęło trzech siemachów pozbawionych zdrowego rozsądku.

Wiosną władze więzienia postanowiły zmienić lokalizację stolarni i przenieść warsztat do większych pomieszczeń, które znajdowały się dokładnie na wprost pralni. Moim zdaniem miało to sens, choćby ze względów logistycznych. Wjazd na podwórze, gdzie teraz miały spoglądać okna stolarni był z trzech stron otoczony budynkami, pomiędzy którymi znajdowała się potężna, stalowa brama. Tylko tędy można było dojść do warsztatu lub podjechać na podwórze samochodem załadowanym towarem, a cały kompleks był po prostu przedłużeniem więziennego dziedzińca. Od głównej bramy wjazdowej dzieliło nas zaledwie trzydzieści metrów otwartej przestrzeni.

Decyzja o przeprowadzce zapadła pod koniec kwietnia, a datę do ewakuacji zaplanowano w pierwszym tygodniu lipca. Kiedy się o tym dowiedziałem, niemal natychmiast spojrzałem na podsufitową belkę i pomyślałem: *Kurwa mać i co teraz?!* Naprawdę miałem dylemat. Na początku stwierdziłem, że broń, która spoczywała tam od lat właściwie i tak do niczego mi się nie przyda. Jednak im więcej się nad tym zastanawiałem, zacząłem nabierać przekonania, że czasy zawsze mogą się zmienić i dobrze mieć jakiś argument w zanadrzu. Ostrożności nigdy dość. Ostatni raz miałem tę spluwę w dłoniach dokładnie dwadzieścia lat temu, a kto wie, jaka czekała nas przyszłość? Wszystko mogło się zdarzyć. Dosłownie wszystko. Wbrew pozorom czasy wcale nie były bezpieczne. Wieści, jakie docierały w więzienne mury czasami naprawdę były niepokojące i nie mam tutaj na myśli informacji prasowych, zmanipulowanych przez władze państwowe. W tamtych latach propaganda sukcesu miała się całkiem dobrze. Oczywiście plotki na temat sytuacji gospodarczo-politycznej, jaka panuje w Polsce nie zapowiadały zamachu stanu lub krwawej rewolucji. Tylko co z tego, skoro historia nie raz udowodniła, że niepokoje społeczne zawsze prowadzą do wielkich zmian. Czytałem kiedyś jakąś książkę, ale chyba musiała być kiepska, skoro nie mogę sobie przypomnieć ani autora, ani tytułu. Pamiętam jednak zdanie, które zapadło mi w pamięci i mówiło o tym, że każda władza państwowa stoi na wiotkich nogach.

W pierwszym tygodniu lipca cała ekipa stolarni zajęła się sprawą przeprowadzki. Najpierw kazali nam załadować na pakę ciężarówki wszystkie drewniane płyty, deski i listwy. W kolejnym rzucie skupiliśmy się na narzędziach, a trzeci etap polegał na demontażu regałów. Przez trzy dni sraliśmy się z tym w pocie czoła i nie było nawet chwili wytchnienia. Zabrać się z całą mandzurią to pikuś, ale rozlokować się z nią w innym miejscu, to dopiero prawdziwa mordęga. Pewnie niektórzy z was wiedzą, czym jest przeprowadzka, więc zdajecie sobie sprawę jak to wygląda w praktyce.

Po prostu męka!

Na dodatek nasz wielce zafajdany kierownik warsztatu, był człowiekiem całkowicie pozbawionym wyobraźni i jego błędne decyzje spowodowały, że na nowym miejscu przenosiliśmy graty z kąta w kąt. Dwa razy montowaliśmy regały na ścianach i dwa razy skończyło się na tym, że musieliśmy zmienić ich lokalizację. Jeszcze gdyby ich konstrukcje były na tyle solidne i stabilne, żeby je złapać w kilku chłopa podnieść i przenieść, to pół biedy. Problem w tym, że taka operacja fizycznie była niewykonalna.

Narobiliśmy się jak durne osły, a czas bezustannie pracował na naszą niekorzyść, bowiem każdego dnia traciliśmy zarobkową dniówkę.

Minął dokładnie tydzień, zanim nadaliśmy nowej stolarni w miarę sensowny rozkład.

Przestrzeni do pracy było zdecydowanie więcej niż na starych śmieciach, a obecny rozkład czterech lokali użytkowych, zapewniał nam namiastkę, że tak to ironicznie ujmę, intymności. Oczywiście zależało, ilu klawiszy będzie nas pilnowało podczas dnia pracy. Jeśli nadal jeden, to choćby poruszał się biegiem pomiędzy wszystkimi pomieszczeniami i tak nie miał najmniejszych szans, żeby nas kontrolować. Poza tym już samo sąsiedztwo pralni, którą mieliśmy na przysłowiowe wyciągnięcie ręki, stwarzało ogromne możliwości.

Podczas przeprowadzki nie miałem żadnych możliwości, żeby wyjąć ze schowka pistolet. Nawet jeśli stałbym się niewidzialny, a moje ręce potrafiłyby się rozciągać i sięgnąłbym po spluwę, to gdzie później miałbym ją ukryć? Wcisnąć na któryś z regałów i modlić się każdego dnia, żeby nie wpadła w czyjeś niepowołane łapy? Pogodziłem się z faktem, że parabellum zostanie tam, gdzie spoczywało od zawsze. Bez żadnych problemów odzyskałem natomiast odlew ołowianego klucza, który otwierał wrota wiodące do piwnicznego korytarza. Klucz od lat spoczywał bezpiecznie za jednym z regałów z dala od ludzkich oczu. Przemyciłem przedmiot do celi i ukryłem w pudełku po wiśniach w czekoladzie. Wymyśliłem sobie, że w razie niespodziewanej kontroli i niewygodnych pytań, będę szedł w zaparte, że jest to klucz, którym można otworzyć drzwi mojego rodzinnego domu.

Wy doskonale wiecie, że posiadam broń, bo kiedyś pozwoliłem sobie na mały, niewinny żarcik w którym stwierdziłem, że miałbym ochotę posłać kulkę mojemu obecnemu przełożonemu, kierownikowi Bugajczykowi. Pora więc, żebym wam zdradził, jak do tego doszło, iż zgarnąłem ze skrytki gnata. Nie dość, że przechwyciłem spluwę to po latach, kiedy odzyskałem wolność, udało mi się ją wynieść na drugą stronę murów. Hm, pojęcie odzyskałem wolność, uważam raczej za względne. Może powinienem powiedzieć, że zostałem przepędzony z więzienia, bo to chyba byłoby bliższe prawdy.

No dobrze, ale do rzeczy.

Wyobraźcie sobie, że nie kto inny, bo właśnie ten pieprzony fiut porucznik Ozurski, przyczynił się do tego, że dziś jestem uzbrojony...

Dwa dni po naszej przeprowadzce zniechęcony przeze mnie gwiazdor, zjawił się w nowej stolarni celem przeprowadzenia inspekcji. Wolnym krokiem przechadzał się po pomieszczeniach, zaglądał po kątach, a w pewnym momencie podszedł do mnie i zapytał:

- A wy Żabikowski, to chyba macie najdłuższy staż pracy w stolarni, zgadza się?

- Tak jest towarzyszu poruczniku! - Odpowiedziałem zgodnie z regulaminem.

- I co myślicie Żabikowski o nowym warsztacie? - Zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

- Jest zdecydowanie większy, towarzyszu poruczniku i na pewno będzie się tu wygodniej pracowało.

- Wygodniej - powtórzył za mną. - Ale wy zdajecie sobie sprawę, że wasze wygodny nie mają tutaj nic do rzeczy.

- Miałem na myśli, towarzyszu poruczniku komfort pracy, a nie wygodę w pojęciu oznaczającym luksus.

- Widzę Żabikowski, że wasze słownictwo jest bardzo bogate. Przeglądałem ostatnio waszą kartę biblioteczną i muszę przyznać, że jesteś jednym z nielicznych, którzy poświęcają swój wolny czas na lektury.

Nie miałem pojęcia do czego zmierzał i dlatego pomyślałem, że nie będę się z nim wdawał w żadną konwersację, tylko odpowiadał na konkretne postawione pytania.

- Jaką literaturę lubicie najbardziej? - Zapytał i w tym samym momencie objął mnie po przyjacielsku ramieniem. - Macie jakiegoś autora faworyta?

- Nie przywiązuję uwagi do nazwisk, a czytam wszystko co wpadnie mi w ręce - chciałem go zbyć, ale jeszcze bardziej pragnąłem, żeby zabrał swoje łapsko z mojego barku.

W pomieszczeniu oprócz mnie było jeszcze dwóch innych więźniów i na szczęście doskonale słyszeli o czym rozmawiamy.

- Coś mi się wydaje Żabikowski, że nie macie ochoty na rozmowę ze mną - odparł i pokiwał głową. - Szkoda, bo ja przychodzę do was z bardzo miłą wiadomością. W związku z tym, że na pewno jesteście zżyci ze starym miejscem pracy doszedłem do wniosku, że ucieszy was pewna informacja. Otóż ktoś musi zrobić porządek w starej stolarni, trzeba pomalować na biało ściany, posprzątać, umyć okna, odkurzyć wszystkie kąty... - zawiesił na moment głos, po czym ciągnął dalej: - Tak sobie myślę, że wy chcielibyście to zrobić. Nie żebym był przesadnie sentymentalny, ale to chyba dobry pomysł, prawda? Co o tym sądzicie?

Miałem mu ochotę powiedzieć, żeby się pocałował w dupę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w pośpiechu przenosiliśmy graty, bo byliśmy w trakcie realizacji zlecenia zewnętrznego. Wiedział, że każda dniówka to dla mnie zarobek, żeby mieć kilka złotych na fajki albo coś słodkiego i był tak złośliwy, że postanowił mnie tego pozbawić. Facet ewidentnie mnie nienawidził. *Kindybał ci w styjkę!* - syknąłem w myślach, a głośno rzekłem:

- Zrobię to z przyjemnością, towarzyszu poruczniku.

- No to cieszę się Żabikowski, że mogłem wam sprawić odrobinę radości. Myślę, że odświeżenie i posprzątanie byłych pomieszczeń stolarni zajmie wam jakieś cztery, może nawet pięć dni. Powiedzmy, że daję wam maksymalnie tydzień i będziecie pracowali każdego dnia. Piątek, świątek, niedziela i nie ma dni wolnych. Żadnej taryfy ulgowej. Kiedy są priorytety, liczy się tylko czas realizacji. Jeśli skończycie wcześniej wasza sprawa, ale musicie się zmieścić w tygodniu, rozumiecie?

- Rozumiem, towarzyszu poruczniku.

Kiedy rankiem następnego dnia, a to był czwartek 15 lipca 1965 roku, chłopaki zabierali się za realizację zlecenia, ja maszerowałem w asyście klawisza wzdłuż siatki spacerniaka.

Roześmiane słońce płonęło złotym, magicznym blaskiem i świeciło nam prosto w oczy. Wiatr baraszkował pośród zielonych liści drzew, których rozłożyste korony spoglądały na promenadę z drugiej strony więziennego muru, a ponad naszymi głowami rozpościerało się nieskazitelnie błękitne niebo. Na pewno znacie to uczucie, kiedy

delikatny podmuch musnie twarz albo promienie słońca załaskoczą na policzkach i nagle człowiek ma wrażenie, jakby na ułamki sekund odżyła jakaś cudowna chwila z zamierzchłej przeszłości. Drobinki żwiru chrzęściły pod podeszwami naszych butów, gdzieś z oddali dobiegał warkot jadącego samochodu, a ja poczułem się identycznie, jak całe wieki temu. Znow miałem kilkanaście lat i z przewieszoną przez ramię szmacianą torbą, zasuwałem lipcowym porankiem do pracy. Nawet powietrze miało ten sam zapach... To złudzenie sprawiło, że w moim sercu zagościła szczerą, dziecięcą radość i mimowolnie uśmiechnąłem się pod nosem.

- Wiecie co macie robić? - Zapytał strażnik, kiedy wkroczyliśmy do opuszczonej stolarni.

- Mam pomalować ściany i posprzątać - odparłem.

Obok pieco-kuchni stała malarska drabina, wiadro, ławkowiec, metalowy hak, miotła i jakieś stare szmaty. Nieco dalej leżał papierowy wór z wydrukowanym napisem WAPNO i metalowa bańka z przetłuszczoną etykietą na której widniały dwa słowa OLEJ LNIANY.

- Potraficie rozrabiać wapno do malowania? - Zapytał.

- Jestem stolarzem - powiedziałem to w taki sposób, jakbym chciał mu uświadomić, że nie mam pojęcia o malarskim fachu.

- Najpierw woda, powiedzmy nieco więcej niż jedną trzecią wiadra, a następnie wsypujecie po trochu wapna i mieszacie. Dodajecie wapna tak długo, aż wiadro będzie prawie pełne. Najważniejsze, żeby uzyskać wodnisty, biały płyn - udzielał mi instruktazu. - Musicie to dobrze wymieszać, żeby nie było grudek i na koniec trzeba dodać jakieś pół litra oleju - kiwnął głową w kierunku bańki. - Znowu mieszacie, a potem pędzel w łapę i jazda! - Spojrzał na mnie i po chwili dodał: - Będę tu zaglądał co jakiś czas i żebyście mi nosa nie wychylali na zewnątrz! - Pogroził palcem.

Dziwnie się czułem spoglądając na puste pomieszczenia dawnej stolarni. Bądź co bądź, spędziłem tutaj sporą część mojej więziennej egzystencji. Podszedłem w kierunku okna i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak klawisz zniknął za rogiem budynku.

Przysiadłem na pieco-kuchni i sięgnąłem po fajkę. W pamięci odżyły dawne wspomnienia. Dziadunio, Koniu, Rafael, Słazak, Antek... Spojrzałem na ścianę, gdzie kiedyś wisiała tablica i zacząłem sobie przypominać osoby, których nazwiska wyryłem dłutem na jej odwrocie. Nagle zrobiło mi się smutno na myśl o tym, że pamięć o ich istnieniu przepadła na wieki. Przez chwilę zastanawiałem się, ile w sumie zrobiłem skrzyń, które posłużyły za trumny? Poglądziłem się dłonią po włosach i syknąłem pod nosem:

- Chrzańć to!

Uchyliłem drzwiczki paleniska i cisnąłem tam niedopałek.

Zdjąłem drelichową bluzę i odruchowo zerknąłem w stronę podsufitowej belki. *Nie ma innego wyjścia* - pomyślałem w duchu. - *Muszę spluwać zostawić w tym miejscu. Nic mądrzejszego nie wymyślę. Szkoda! Szkoda jak jasna cholera!*

Z malarskiej drabiny bez problemu mogłem zajrzeć do skrytki. Kusilo mnie potwornie, żeby to zrobić ale ostrożność podpowiadała, żebym zachował spokój. Klawisz mówił, iż będzie do mnie zaglądał i czort wie, kiedy znowu go tutaj nogi przyniosą. Życie

w więzieniu toczy się według cyklu, wszelkie działania noszą znamiona sztywnego schematu i dlatego wiedziałem, że obchód kontrolny będzie o określonych godzinach.

Ukląknę na posadzce i zabrałem się za przyrządzanie wapiennej mikstury. Robiłem tak, jak mówił strażnik. Najpierw woda, a potem sypki proszek z papierowego wora. Za mieszadło posłużył mi sztyl z miotły. W pewnym momencie zerknąłem na pierwszy kafel od ściany, który przylegał do podłogi. Pośrodku widniała wygrawerowana litera "G". Niemal natychmiast przypomniała mi się opowieść Dziadunia o jakimś zdunie, który miał na imię Ginter i postawił tę zmyślną pieco-kuchnię. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w grawer widniejący w szklwie i pomyślałem o tym, jak wiele interesujących historii działo się pośród tych ścian. Szkoda tylko, że nie będzie już szansy, żeby komukolwiek ich tutaj opowiedzieć. Do białego zacieru dolałem oleju, rozmieszałem i zabrałem się za malowanie.

Tamtego dnia klawisz pojawiał się co dwie godziny. Drzwi do stolarni otwierały się dokładnie kwadrans po nieparzystej i mogłem jedynie przypuszczać, że tyle zajmuje mu łażikowanie. Chyba wam o tym nie wspominałem, ale istniało kilka bardzo wyszukanych określeń dla strażników, którzy podczas służby zajmowali się patrolowaniem obiektu. Skazani mówili na nich "kurwy wędrowniczki", "dziwki spacerówki" albo "piżdziaczki szwendaczki", a tak zupełnie na marginesie dodam jeszcze, że warto było z nimi żyć w zgodzie. Jeżeli któryś z warsztatowców miał dobry układ z kurwą wędrowniczką, to praktycznie był w stanie załatwić każdą rzecz. Mógłbym wam opowiedzieć wiele niesamowitych historii na temat kontrabandy i przekupnych spacerówek, ale to pochłonęłoby zbyt wiele czasu, którego powoli zaczyna mi już brakować. Nie obiecuję, może jeszcze zdołam napomknąć o tym, jak funkcjonował we wronieckim więzieniu szlak przemytniczy, jednak póki co, powrócę do opowieści o parabellum.

Przez całą dniówkę w pierwszym pomieszczeniu udało mi się pomalować sufit i najdłuższą ścianę. Najwięcej czasu zabierało mi przygotowanie eliksiru, którym miałem pokryć ściany i gdyby nie to, pewnie zrobiłbym zdecydowanie więcej. Brak doświadczenia w machaniu pędzlem spowodował, że na fajrant wyglądałem jak negatyw dalmatyńczyka. Cały byłem ubabrany i schlapany tym pieprzonym wapnem, jakbym zachorował na jakąś nieznaną medycynie odmianę białej ospy.

Kiedy wróciłem w takim stanie do celi, Johnny spojrzał na mnie i rzekł z nieukrywaniem rozbawieniem:

- Ropuchu przebrzydły wyglądasz tak, jakby obsrało cię stado szalonych gołębi!

Następnego dnia punktualnie o siódmej zero zero klawisz odstawił mnie do stolarni.

Bez pośpiechu zabrałem się za robotę.

Strażnik zjawił się kwadrans po dziewiątej. Wszedł do środka, porozglądał się i zniknął bez słowa.

Kolejnym razem zawitał dokładnie dwie godziny później i tym samym utwierdził mnie w przekonaniu, że jego obchód toczy się w takim właśnie czaso-cyklu.

Oczywiście istniała obawa, że na przykład towarzysz porucznik Ozurski wybierze się na niespodziewany rekonesans i dlatego robiąc sobie przerwy na fajkę, sterczałem w oknie. Niby pogodziłem się z tym, że broń zostanie w schowku ale mimo wszystko coś

mnie popychało, żeby tam zajrzeć.

Kiedy zegar na wieży wybił południe spojrzałem w okno, a potem ustawiłem drabinę dokładnie pod belką, gdzie spoczywała spluwa. Nie pytajcie mnie skąd wzięła się we mnie ta pokusa, bo naprawdę nie wiem. Po prostu zdawałem sobie sprawę, że jeśli tam nie zerknę, że jeśli nie pochwycę w dłoń zimnej rękojeści, to nie będę sobie mógł tego nigdy darować. Wiem, że to brzmi głupio, ale piszę wam o tym, co wtedy czułem. Jakaś magiczna siła zmuszała mnie, żebym to zrobił. Podpowiadała abym zajrzał, sprawdził czy zamek hula bez zarzutu, przeładował na sucho, pociągnął za spust i usłyszał charakterystyczny szczęk śmiertcionośnej broni. Czułem wręcz niewyobrażalną pokusę, żeby to zrobić. Nie wiem, może odezwała się moja podświadomość i żądała abym poczuł jak w moich żyłach pomkną wzburzone strumienie szkarłatnej krwi? Może musiałem wtedy doświadczyć jakichkolwiek emocji, które rozniosą w pył moją nudną i monotonną egzystencję? Nie znam odpowiedzi na te pytania. Miałem wtedy niespełna sześćdziesiąt pięć lat i pewnie niektórzy z was pomyślą, że w tym wieku powinienem mieć trochę rozumu we łbie i unikać głupich sytuacji. Powiem wam jednak, że zrobiłbym to samo nawet dziś mając na grzbiecie ponad dziewięćdziesiąt wiosen. Oczywiście o ile teraz potrafiłbym gibko wspiąć się po drabinie.

Stałem w oknie i gapiłem się na drogę, której zakręt chował się za rogiem budynku. Zastanawiałem się ile może mi zająć wejście po szczeblach, otwarcie schowka, wyjęcie pakunku i ponowne zejście? Trzydzieści sekund? Czterdzieści? Na pewno nie więcej. Sterczałem w miejscu i liczyłem w myślach. Trudno było mi stwierdzić ile czasu potrzebuje klawisz na pokonanie drogi od winkla do wrót stolarni.

Postanowiłem zaczekać do jego kolejnej wizyty.

Przestawiłem drabinę obok okna i zabrałem się za malowanie ściany.

Zegar wybił trzynastą.

Porozkładałem swoje malarskie akcesoria, żeby stworzyć pozorację działań i sięgnąłem po papierosa. Wtem zza rogu budynku wyłoniła się sylwetka strażnika. Szeptem zacząłem liczyć.

Klawisz szedł wolnym krokiem.

Przejście według mojego rachowania zajęło mu dokładnie minutę i dwanaście sekund.

Jak wiecie w przeszłości zrobiłem podobny numer, a wtedy okoliczności były mniej sprzyjające niż teraz. Poza tym całe lata temu moja sprawność fizyczna i szybkość działania były o niebo lepsze. Jednak muszę wam powiedzieć, że mimo upływu lat emocje są porównywalne. Serducho bije jak opętane, krople potu płyną niczym strumienie, nogi drżą, oddech przyspiesza, a w całym ciele człowiek czuje niepokojące drzenie.

Kiedy zegar na wieży wybił czternastą przystąpiłem do działania. Wyjąłem pakunek ze schowka, czym prędzej zszedłem z drabiny i doskoczyłem do okna. Zdyszany zerknąłem na świat po drugiej stronie szyby.

Pustka.

Żadnego ruchu.

Gdyby nie ptaki szybujące na tle lipcowego nieba i korony drzew kołyszące się w delikatnych podmuchach wiatru, mógłbym przysiąc, że spoglądam na fotografię. W

spoconych dłoniach trzymałem spluwę zawiniętą w szmaty. Wierzchnia warstwa materiału była sucha, ale kiedy zacząłem odwijać zawiniątko okazało się, że pod spodem dzianina nadal jest delikatnie nasączona olejem. Kto by pomyślał, że tłusty płyn zachowa swoje właściwości przez tak wiele lat?! Zadziwiające, prawda?

Czas musiał zapomnieć o tej broni, bowiem pistolet wyglądał jak nowy. Zahipnotyzowanym wzrokiem wpatrywałem się w czarne parabellum, a w moich myślach zaczęły się przewijać wspomnienia związane z tą tajemniczą spluwą. Blisko czterdzieści lat wcześniej o mało nie zabiłem z niej człowieka. Myślę, że gdybym wtedy dokonał zamachu na Hrabiego, to chyba zaraz potem zginąłbym od kul strażników. Patrząc na narzędzie śmierci, które trzymałem w dłoni zadałem sobie w duchu pytanie, czy warto było przeżyć to wszystko, żeby teraz sterczeć w pustych ścianach stolarni? Spojrzałem w okno i widok lipcowego nieba sprawił, że złe myśli odeszły precz. Wyjąłem magazynek i przeładowałem broń. Nacisnąłem jęzor spustu i w pomieszczeniu rozległ się metaliczny szczęk. *I to byłoby na tyle* - szepnąłem w myślach, żegnając się z bronią, którą miałem zamiar odłożyć na stare miejsce i pozostawić ją tam na zawsze. Powiem wam, że wiele bym dał, żeby poznać historię tego pistoletu. Chciałbym wiedzieć do kogo kiedyś należał i jak znalazł się w murach wronieckiego więzienia. Problem w tym, że nie ma już wśród żywych nikogo, kto mógłby mi zdradzić tę tajemnicę.

Zmoczyłem szmaty olejem z metalowej bańki, owinąłem materiałem parabellum i włożyłem pakunek do skrytki w podsufitowej belce. *Tu będzie bezpieczna* - stwierdziłem w duchu.

- Kto wie, co przyniesie przyszłość - syknąłem pod nosem i zabrałem się za malowanie ścian.

Podejrzewam, że klawisz dokonujący codziennego obchodu składał Ozurskiemu meldunki o postępie moich działań. Gwiazdor powiedział, że nie ma taryfy ulgowej, bo kiedy są priorytety, liczy się tylko czas realizacji i dlatego w niedzielę po śniadaniu pod eskortą strażnika udałem się do stolarni.

Rozrobiłem wiadro wapna, ławkowiec w dłoń i wiśta wio!

Kiedy robiłem sobie przerwę na fajeczkę, podchodziłem do okna i spoglądałem, jak chłopaki wylegują się na promenadzie w promieniach lipcowego słońca.

Było kilka minut przed południem, gdy do pustych pomieszczeń byłej stolarni wkroczył porucznik Ozurski. Musiał mieć dzisiaj służbę, bo był ubrany w mundur, a pasek czapki miał zapięty pod brodą. Gwiazdor wolnym krokiem zaczął się przechadzać wte i wewte. Przyglądał się bacznie ścianom, jakby szukał jakiegokolwiek malarskich niedociągnięć i ruszył w stronę pomieszczenia, gdzie dawno temu Ślązak w brutalny sposób załatwił swoje porachunki z Rafaelem. Przez kilka chwil kręcił się tam i dwa razy usłyszałem, jak zaszurał podeszwą o betonową posadzkę. Chyba chciał butem zetrzeć coś z podłogi.

Chwilę później stanął w przejściu i spojrzał na mnie.

- No Żabikowski - powiedział w charakterystyczny dla siebie sposób, przeciągle wypowiadając moje nazwisko - widzę, że przyłożyliście się do pracy. - Pokiwał głową, jakby tym gestem chciał okazać swoje uznanie. - Czyli jutro przed południem powinniście zakończyć. Zostaje wam jeszcze jedna ściana do pomalowania, potem zamieść podłogę,

umyc okna, wyczyścić zachlapanne wapnem kafle - wskazał ręką na pieco-kuchnię - i po robocie.

- Zgadza się towarzyszu poruczniku - odparłem, po czym zrobiłem krótką pauzę i dodałem, powtarzając jego słowa: - I po robocie.

Na dźwięk moich słów, Ozurski wlepił we mnie swój przenikliwy wzrok i rzekł:

- Chyba macie sporo wspomnień związanych z tym miejscem... Dobrze zgaduję?

- Dobrze, towarzyszu poruczniku.

- Powiedzcie mi jedną rzecz, Żabikowski - odezwał się i wolnym krokiem ruszył w moją stronę. - Który więzień rządzi ferajną? Kto jest głównym szefem?

- Nie wiem, towarzyszu poruczniku - odparłem zgodnie z prawdą.

- Nie wiecie, no dobrze... Dobrze dobrze - powiedział i uniósł do góry brwi, jakby chciał mi powiedzieć, że wcale mi nie wierzy. - A może to wy? - Zapytał znienacka i spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie jestem, towarzyszu poruczniku.

- Nie mogę was rozgryźć, Żabikowski - Ozurski uśmiechnął się półgębkiem. - Nikt o was niczego nie wie, ale wszyscy was szanują. O co chodzi, Żabikowski? O wasz generalski stopień? - Zdjął czapkę i pogładził dłonią zaczesane do tyłu włosy. - Ponoć czasami na spacerunku widać, jak przez dłuższą chwilę rozmawiacie z więźniami, a później oni wam dają paczki papierosów. Pobieracie od nich haracz? Żądacie przysłowiowej daniny? A może wydajecie rozkazy? - Zapytał podejrzliwym głosem.

- Nic z tych rzeczy, towarzyszu poruczniku - odparłem i jednocześnie pomyślałem, że czasami ludzie wyciągają błędne wnioski. Byłem też świadom, że w wypadku gwiazdora Ozurskiego, który wręcz obsesyjnie zwalczał więzienną podkulturę, jego nawet nieuzasadnione podejrzenia mogły stać się powodem totalnych problemów.

- Czyli mam wam uwierzyć, że nie jesteście charakterniakami? - Powiedział to w taki sposób, jakby żądał potwierdzenia. Już miałem się odezwać, ale on zaczął ciągnąć dalej: - Sęk w tym, Żabikowski, że ja nikomu nie ufam na słowo. Wam również. Nie przekonają mnie tłumaczenia, że nauczyliście się w przeszłości na pamięć "Pana Tadeusza" i dzięki temu wygrywacie papierosy w zakładach. Nie uwierzę, że inni odpalają wam fajki za posłuchanie pikantnej, trzynastej księgi - rzekł i spojrzał na mnie w bardzo wymowny sposób, jakby chciał stwierdzić: - *Tak chłopie, wiem o wszystkim, nawet o tym, że wykuleś na pamięć najbardziej sprośny wiersz.* - Bo widzicie Żabikowski, ja od dawna mam was na oku - powiedział i pokiwał wskazującym palcem prawej dłoni. - Obserwuję was. Wiem, że nie pałacie do mnie sympatią - stwierdził i zaraz dodał ze złośliwym uśmiechem: - Ja natomiast, sam nie wiem czemu, również za wami nie przepadam. Cóż począć? - Zapytał i natychmiast udzielił sobie odpowiedzi: - Trzeba żyć dalej - rzekł, wruszając bezradnie ramionami. - Jeśli idzie o zarobki, to kiepsko zaczęło się dla was tegoroczne lato - ciągnął dalej - w lipcu nie przepracowaliście jeszcze ani jednego dnia, który mogłoby zaowocować gratyfikacją finansową. - Obaj wiedzieliśmy o czym mówił. - Dziś mamy piękną lipcową niedzielę - zawiesił głos i zapytał: - Pracowaliście kiedyś w niedzielę, poświęcając swój czas dla zakładu karnego we Wronkach?

- Nie przypominam sobie, towarzyszu poruczniku - odparłem i naprawdę chciałem już, żeby skończył swoją durnowatą gadkę.

- No to chyba sobie zapamiętacie na zawsze, ten pamiętny dzień 18 lipca 1965 roku - zakpił. - Tak więc Żabikowski, żeby to faktycznie był dzień szczególny, pragnę was poinformować, że od jutra zajmiecie się zadaniem specjalnym - powiedział i posłał mi swój parszywy uśmiech. - Oczywiście od razu uprzedzam, że zajęcie nie będzie podlegało rozliczeniom jak za pracę zarobkową. Jutro zakończycie front działań w tych pomieszczeniach - zatoczył ręką półkole - a później zajmiecie się reperacją sprzętów w celach. Chodzi oczywiście o szafki, półki, taborety i stoły. Jest sporo zgłoszeń do więźniów, że coś się rozpada, rozłazi, kolebie... Dostaniecie listę z numerami cel i specyfikacją tego, co podlega reperacji. Weźmiecie z sobą skrzynkę narzędziową i zrobicie ze wszystkim porządek. Terminu wam nie wyznaczam, bo w waszym interesie jest to, żeby czym prędzej się z tym uporać. Rozumiecie w czym rzecz, Żabikowski?

- Oczywiście, towarzyszu poruczniku - odparłem i w tym samym momencie pomyślałem, że powinienem teraz wziąć drabinę i postawić ją pod belką, gdzie jest ukryta broń. Ozurski pewnikiem spoglądałby na mnie z zaciekawieniem, a ja wtedy wyjąłbym szmaciany pakunek, odwinął materiał, złapał za spluwę i posłał mu kulkę między oczy.

Cholerny gad zrobił to z czystą premedytacją. Uderzył w najczulszy punkt. Jak w pudle nie masz forsy, to życie robi się ciężkie. Nie miałem pojęcia, jak długa jest lista więziennych życzeń. Jeśli siemachy wyczuli, że mogą sobie iść jakiegokolwiek roszczenia, to krótko mówiąc, już dziś byłem w ciemnej dupie.

Tego dnia wróciłem do celi zaledwie kwadrans przed obiadem. Opowiedziałem Johnnemu, jaką Ozurski sprezentował mi niespodziankę i nawet nie ukrywałem tego, że szlag mnie trafił.

- Pieprz to Ropuch - powiedział Johnny - i o fajki się nie martw. Ze mną nie zginiesz! A swoją drogą my friend, to dzięki temu zajęciu możesz więcej zyskać niż stracić.

- Co masz na myśli? - Zapytałem.

- Sporo bezrobotnych siedzi na kwaterze i mają różne potrzeby. Dziś na promenadzie szukał cię ten szurnięty koleś z kwatery na parterze, wołają na niego Cymbał. Wiesz o kogo chodzi?

- Wiem.

- Zagaił, że ma do ciebie interes, bo potrzebuje trzy gwoździe...

- Cymbał potrzebuje gwoździ? - Wpadłem mu w zdanie. - Jakich gwoździ?

- A tego to już nie wiem, coś mi tłumaczył ale odesłałem go do pimpla, który też pracuje w stolarni.

- Do jakiego "pimpla"? - Nie miałem pojęcia o kim mówił.

- Nie pamiętam jak się nazywa - powiedział Johnny - ale to ten gość, którego gęba przypomina jeden, wielki pryszcz.

Tej nocy kiepsko spałem. Męczyły mnie jakieś absurdalne majaki. Śniło mi się, że Modest i Wiktor spacerowym krokiem przemierzali ramię w ramię więzienne korytarze. Duet jak jasna cholera! Obudziłem się w środku nocy, za oknem świat otulała ciemność i nie miałem pojęcia, która może być godzina. Przez kilka minut leżałem na wznak i wiedziałem, że już nie zmrużę oka. Usiadłem na pryczy. Johnny kimał w najlepsze. Wyjąłem z papierośnicy szluga, zapaliłem i podszedłem do okna. Latarnie, które ciągnęły

się wzdłuż więziennego muru, świeciły mdłym, żółtym blaskiem. Zegar na wieży uderzył dwa razy. *Wpół do... Hm, ciekawe wpół do której?* - Szepnąłem w myślach. Spojrzałem w ciemne rozgwieżdżone niebo. Migające punkciki mieniły się niczym główki diamentowych szpilek, a ich blask miał w sobie całą błogość letniej nocy. Mimowolnie zacząłem myśleć o tym, że Ozurski to parszywy kutas. No bo powiedzcie sami, jaki ten gad miał interes, żeby mnie tak załatwić? Z jego strony to był litr złośliwości i kilogram czystego skurwysyństwa. Nic dodać, nic ująć. Nie wiem czego oczekiwał. Że co? Że potwierdzę jego absurdalne przypuszczenia? A może myślał, iż wskażę mu osobę, która trzymała w garści wronieckich siemachów? Wbrew pozorom nie miałem pojęcia, który charakterniak dzierżył buławę władzy. Spojrzałem na ćmy, które krążyły wokół kłosa najbliższej latarni i... i wtedy mnie olśniło. Miałem ochotę krzyknąć:

- Boże, dziękuję Ci, że towarzysz Ozurski obarczył mnie nowym zajęciem!

Do tej pory byłem przekonany, że facet chciał mnie udupić i że udało mu się osiągnąć cel. A teraz, pośród mroków nocy wyszło na to, że ofiarował mi najpiękniejszą gwiazdkę z nieba. Ogarnęły mnie taki entuzjazm i podniecenie, że chciałem obudzić Johnnego i podzielić się z nim moją radosną nowiną. Reperacja sprzętów, która miała być moim utrapieniem okazała się niepowtarzalną szansą na odzyskanie spluwy. Ryzyko było ogromne, bo mogłem wpaść i narobić sobie takich kłopotów, o jakich jeszcze świat nie słyszał. Jednak w życiu tak bywa, że coś za coś, jak mówią:

- Kto nie ryzykuje, ten nie pije zimnej wódki!

Tej nocy już nie usnąłem. Stałem w oknie, kiedy zegar na wieży wybił godzinę trzecią, a potem położyłem się na pryczy i leżąc na wznak, układałem w myślach scenariusze zdarzeń.

Wiecie jak to jest, kiedy się czeka na coś najważniejszego w swoim życiu? Znacie to uczucie? Tak? Więc nie dziwcie się, że nie potrafię porównać do czegokolwiek tej totalnej niecierpliwości, która byłaby w stanie rozerwać człowieka na strzępy. Pomijam też kwestię czasu, który akurat wtedy wydaje się stanąć w miejscu. Sekundy zamieniają się w minuty, minuty w kwadransy, kwadransy w godziny, a godziny ciągną się niczym długie lata. Od trzeciej do siódmej to raptem tyle co nic, a ja miałem wrażenie, jakbym leżał na pryczy od wieków.

Czwarta nad ranem.

Niebo pojaśniało, ptaszki zaczynają ćwierkać, a gdzie tam siódma?!

I co z tym zegarem?

Stanął?

Czemu nie bije?

Dopiero piąta?!

Spaliłem pięć fajek, a gdzie tam szósta?!

Piętnaście po piątej.

Chyba obudzę Johnnego.

Wpół do szóstej!

No dobra, niech śpi, za pół godziny pobudka.

Kolejna fajka.

Ten cholerny zegar teraz to już się chyba naprawdę zatrzymał!

Druga szluga i jeszcze nie minęło piętnaście minut?! Niemożliwe!

Nie wiem jakim cudem dotrwałem do siódmej, ale to była droga przez mękę.

Powiadają, że im człowiek starszy, to czas szybciej mknie.

Gówno prawda.

Jak na coś czekasz, to zawsze będzie się wlokło i nie ważne ile masz lat.

Kiedy z eskortującym klawiszem maszerowaliśmy wzdłuż siatki promenady, miałem ochotę puścić się biegiem. Chyba nieświadomie przyśpieszyłem kroku, bo nagle usłyszałem za swoimi plecami:

- A wam dokąd tak śpieszno?

Zwolniłem.

Stałem w oknie i patrzyłem, jak strażnik znika za rogiem budynku. Kiedy straciłem go z oczu, złapałem za drabinę i piętnaście sekund później, miałem już w dłoniach pakunek. W nocy wszystko zaplanowałem, przemyślałem najdrobniejsze szczegóły i tylko niefortunny zbieg okoliczności mógł pokrzyżować mój misterny plan. Doskonale wiecie, że charakteryzuje mnie ostrożność, którą nabyłem w trakcie mojego więziennego życia. Asekuracja wszelkich działań, to dla mnie fundament powodzenia. Dlatego właśnie uniosłem fajerki pieco-kuchni i położyłem w ogniowym kanale paleniska broń zawiniętą w naoliwione szmaty. Ledwo to uczyniłem, a już sterczałem przy oknie.

Po drugiej stronie szyby nie było żywego ducha.

Wiedziałem, że towarzysz porucznik może zawitać w każdej chwili. Dziś definitywnie miałem zakończyć swoje działania w byłej stolarni i w duchu podejrzewałem, że kutafon Ozurski zjawi się przed południem.

Bez zastanowienia przystąpiłem do kolejnej fazy operacji.

Wyzułem lewego buta i wyciągnąłem sznurówkę. Żarem z papierosa zacząłem przepalać w połowie warkocz splecionych nici, ale jednocześnie kontrolowałem sytuację na zewnątrz.

Gładko poszło.

Wzulem kamasza, a drugą połowę sznurówki przywiązałem za plecami do skórzanego paska u spodni. Podwójny węzeł powinien trzymać na amen.

Zegar na wieży wybił wpół do ósmej.

Rozrobiłem wiadro wapna i wziąłem się za malowanie ostatniej ściany.

Co do Ozurskiego, moje podejrzenia były słuszne. Gwiazdor zjawił się tuż przed jedenastą. Prężnym krokiem wkroczył do stolarni, zlustrował wzrokiem ściany i powiedział:

- Wy Żabikowski, to jednak jesteście solidni!

- Staram się, towarzyszu poruczniku - odpowiedziałem nie schodząc z drabiny.

- Trochę pochlapaliście podłogę, ale to jeszcze jest do przyjęcia - stwierdził. - Którą to mamy godzinę? - Zapytał samego siebie i spojrzął na zegarek. - Dochodzi jedenasta, więc myślę, że w południe zakończycie tu prace porządkowe i będziecie mogli zająć się tym, o czym wam wczoraj wspominałem. Przyjdę po was dokładnie za godzinę - powiedział, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

Do pomalowania został mi jeszcze nieduży fragment ściany i jak na razie wszystko przebiegało po mojej myśli. Teraz pozostało mi jeszcze poczekać na szwendacza, a potem

zgarnąć spluwę, umyć okna i pozamiatać ten cały bajzel.

Niespełna kwadrans później stałem przed oknem i spoglądałem, jak klawisz wolnym krokiem maszeruje wzdłuż siatki spacerniaka. Kiedy zniknął za rogiem budynku podszedłem do pieco-kuchni i wyjąłem pakunek spoczywający pod fajerkami.

Serce jak szalone dudniło mi w piersiach. Natychmiast wróciłem do okna i suchą szmatą wytarłem parabellum. Wyjąłem magazynek i dla bezpieczeństwa przeładowałem broń. Byłem pewien, że w komorze spustowej nie ma pocisku, ale zawsze lepiej się upewnić i dwa razy sprawdzić. Nacisnąłem język spustu, potem włożyłem magazynek do rękojeści i przekręciłem na odpowiednią pozycję trzpień zabezpieczający. Raz po raz zerkałem co dzieje się na zewnątrz. Przeciągnąłem przez oczko spustu sznurówkę, którą miałem przywiązaną do paska spodni. Związałem mocno końcówki i włożyłem pistolet za pas na plecach. Wyświechtaną koszulkę wyjąłem z gaci.

Stal uwierała mnie w krzyż.

Ubrałem na grzbiet drelichową bluzę. Poła katany była na tyle długa, że zakrywała moje pośladki i mogłem mieć tylko nadzieję, że towarzysz porucznik nie będzie mnie klepał po tyłku.

Rozumiecie dlaczego przywiązałem gnata do paska u spodni? Jako przewrażliwiony asekurant zrobiłem to, żeby mieć pewność, iż broń nie wypadnie mi z portek w najmniej niespodziewanym momencie. Ktoś każe mi coś podać, schylić się albo podnieść, a wtedy wszystko mogło się zdarzyć i doszłoby do katastrofy.

Teraz czekała mnie już tylko realizacja najmniej przewidywalnej części mojego planu.

Musiałem przemycić broń do celi.

Osobiście nigdy nie byłem przeszukiwany przez strażników, ale nie raz widziałem, jak kazali któremuś z siemachów stanąć w rozkroku pod ścianą i obmacywali takiego delikwenta od stóp po szyję. Tego typu rewizję najczęściej serwowano tym, którzy byli podejrzani o kontrabandę. Trzepaniu futra, bo tak potocznie określano tę czynność, podlegali również osobnicy u których kiedyś znaleziono zakazane przedmioty.

Ozurski zjawił się w samo południe, a ja właśnie kończyłem zamiatać. Gwiazdor trzymał w dłoni kartki zwinięte w rulon. Jeszcze raz obejrzał dokładnie efekt moich kilkudniowych starań, po czym podszedł do pieco-kuchni, przysiadł na beżowych kaflach i kazał mi podejść.

- Tu macie Żabikowski listę cel w których trzeba dokonać kosmetycznych reperacji - podał mi kartki. - Identyczne zestawienie jest na sterowni, a strażnicy pełniący służbę zostali powiadomieni o czynnościach, którymi się dzisiaj zajmiecie. Sprawa jest prosta - powiedział. - Tylko w obecności funkcjonariusza macie prawo wejść do czyjejś celi, robicie swoje, odhaczacie na liście wykonanie pracy i załatwiacie każde zgłoszenie w taki sposób, jakbyście wspinali się na kolejne szczeble drabiny.

Tak jak przypuszczałem, na liście znajdowało się dziesiątki cel, a połowa zgłoszeń na pewno okaże się bezpodstawna. W duchu stwierdziłem, że nawet jeśli mam rację, to ta fucha będzie dla mnie niekończącą się historią. Ugrzęznę na peronach na całe tygodnie albo i miesiące.

Godzinę później zameldowałem się ze skrzynką narzędziową na sterowni. Miałem

w niej wszelkie niezbędne narzędzia, ale dla mnie najważniejszy był metr stolarski. Z bronią ukrytą za paskiem spodni ruszyłem w asyście klawisza na wędrówkę po celach. Większość zgłoszeń, to były zwykłe duperele. Coś trzeba było dobić młotkiem albo dokręcić zawias. Zdarzały się urwane w szafkach drzwiczki albo wyłamane nogi w taboretach, lecz tego typu uszkodzeń naprawdę było niewiele. Nie zdawałem sobie sprawy, jak wielu skazańców spędza czas na bezczynnym siedzeniu w celi. Oczywiście w przeważającej większości bezrobotnymi byli Ludzie, którzy na własne życzenie unikali jakiegokolwiek pracy. Prawdziwy siemach nie miał się w pudle żadnego zajęcia. Członkowie ferajny zawsze twierdzili, że praca jest czymś uwłaczającym, a od roboty są osły i konie.

W jednej z cel natknąłem się w końcu na ten sam model szafki, która znajdowała się w mojej komnacie. Interesował mnie wewnętrzny wymiar dna. Szafki były skonstruowane w ten sposób, że pomiędzy spodem a podłogą biegła listwa okalająca, która tworzyła pustą przestrzeń wysoką na kilka centymetrów. Los mi sprzyjał, bo właśnie taki sam mebel znajdował się w celi numer 112 i miał pękniętą listwę czołową...

Kiedy po skończonym dniu pracy szliśmy więziennymi korytarzami w stronę peronu "D" ogarnęła mnie panika. To uczucie było zupełnie nieuzasadnione i tylko moja świadomość, że trzymam za paskiem spluwę pobudzała moją wybujałą wyobraźnię. Dotarłem do celi bez żadnych problemów, ale powiem wam, że pachwiny miałem lepkie od potu. Fart mi sprzyjał, bo Johnnego jeszcze nie było w komnacie. Gdy przekroczyłem próg celi i klawisz zamknął za mną drzwi, natychmiast poluzowałem sprzączkę i przytrzymując dłonią gnata, wyjąłem ze szlufek skórzany pas. W pierwszej chwili nie wiedziałem gdzie mam ukryć broń. Włożyć pod materac? Zawinąć w ciuchy i wetknąć do szafki? A może do wewnętrznej kieszeni zimowej fufajki, która wisiała na gwoździu wbitym w ścianę?

Wybrałem ostatecznie rozwiązanie, bo wydało mi się najbardziej bezpieczne.

Przyznam się wam jeszcze, że nigdy nie powiedziałem Johnnemu o pistolecie. Nie wspominałem o nim nawet słowem, chociaż często snułem opowieści z zamierzchłych czasów. Zawsze uważałem Drabińskiego za mojego przyjaciela i ufałem temu chłopakowi, jednak mimo wszystko, miałem przed nim swoje tajemnice.

Następnego dnia w towarzystwie klawisza udałem się do stolarni po skrzynkę narzędziową, a potem zaczęliśmy wspólny obchód po celach, których zgłoszenia napraw widniały na długiej liście życzeń. Okazało się, że kilka sprzętów wymagało solidnej reperacji i potrzebowałem konkretny asortyment typu deski lub kawałki klejonych płyt. Zapotrzebowanie spisywałem na osobnej kartce.

- Towarzyszu kapralu - powiedziałem w pewnym momencie - może sensowniej będzie, jeśli wrócimy na stolarnię. Przytnę deski i płyty, zabiorę je z sobą, naprawię te uszkodzone elementy, a potem pójdziemy dalej. Już mamy pięć cel, do których trzeba wrócić. Może lepiej będzie, jak załatwimy to z marszu?

Gad nie wiedział co ma zrobić. Chyba bał się podjąć jakąkolwiek decyzję i dlatego wróciliśmy na sterownię. Strażnik zameldował w czym problem, podoficer dyżurny też chciał uniknąć odpowiedzialności i pognął z zapytaniem do Ozurskiego.

Podpierałem bezczynnie ścianę i razem z klawiszem czekaliśmy na wytyczne

gwiazdora.

Upłynął chyba kwadrans, zanim w korytarzu pojawił się towarzysz porucznik.

- W czym problem Żabikowski? - Warknął w moją stronę.

W kilku słowach wyjaśniłem w czym rzecz.

- Dlaczego przychodzicie do mnie z takimi bzdurami?! - Ozruski w mojej obecności ryknął na sierżanta pełniącego służbę. - Trudno wam ruszyć głową i podjąć decyzję?! Myślicie, że ja mam czas zajmować się takimi banałami?! Reperacje sprzętów mają odbywać się sukcesywnie i na bieżąco. Wejść do celi, zrobić co zrobić i do przodu. Niczego nie odkładać na później!

- Tak jest, towarzyszu poruczniku! - Zbesztany podoficer wyrzucił z siebie jednym tchem. Zasalutował prężąc pierś i strzelił obcasami.

- No to brać się do roboty i nie zawracać mi więcej głowy takimi duperelami! Podczas zdawania służby przekazcie swojemu następcy sposób działania! Jeżeli jakieś meble wymagają użycia nowych materiałów, to sprawa ma być załatwiona od ręki! Zrozumieliście?!

- Tak jest, towarzyszu poruczniku!

Tego dnia przyciąłem również płytę i listewki, które miałem zamiar wykorzystać do swoich celów.

- Dziś przypada moja czterdziesta trzecia rocznica - powiedziałem do Johnnego, kiedy zajadaliśmy na śniadanie paskudną owsiankę.

- Rocznicą czego? - Zapytał zdziwiony.

- Bycia wronieckim więźniem - odparłem i spojrzałem w błękitne niebo malujące się po drugiej stronie krat.

- O fuck! Kupa czasu! - Stwierdził. - Ty, Ropuch, a za co ty właściwie siedzisz?

- Za błędy młodości - westchnąłem.

- Ty, no weź powiedz, nie bądź taki - powiedział marszcząc brwi.

- Kiedyś ci opowiem, ale na pewno nie dziś - rzekłem.

- No dajesz - jęknął. - Śmiało my friend.

- Opowiem ci moją historię, jak będziesz wychodził z pierdla - posłałem mu uśmiech.

- Dopiero wtedy? - Zapytał z wyrzutem.

- A na jaką cholereę ci ta wiedza? - Wzruszyłem ramionami. - Będziemy się żegnać, to pogadamy.

- No dobra, niech ci będzie. Trzymam cię za słowo - powiedział patrząc mi prosto w oczy.

21 lipca 1965 roku służbę na sterowni pełnił szeregowy Białoń, który miał razem ze mną krążyć po celach. Białoń był nygus jakich mało. Swoją pracę traktował jak zło konieczne, chyba nie liczył na żaden awans i dlatego migał się od wszystkiego. Interesowało go tylko, żeby w spokoju odbębnić swoje godziny i pryskać do domu. Po peronach niosła plotka, że szeregowy Białoń jest bardzo ugodowy i chętny do współpracy. Ponoć nie należał do ludzi, którzy gardzą łatwym groszem...

Obchodu komnat nie robiliśmy według numerów na liście, tylko zgodnie z ich lokalizacją na danej kondygnacji. Dziś mieliśmy opanować kwatery na parterze w

pawilonie "D".

Punktualnie o siódmej piętnaście zaczęliśmy naszą wspólną wędrówkę.

Dwie godziny później okazało się, że musimy udać się do stolarni po kilka desek i dwie płyty. Idąc więziennym dziedzińcem Białoń puścił siarczystego bąka i stwierdził:

- Kurwa, coś sranie mnie ciśnie.

Na dźwięk jego słów zaświtała mi w głowie odważna myśl.

Przygotowałem materiał, który musiałem z sobą zabrać i przy okazji wziąłem również moją płytę, a do skrzynki narzędziowej wrzuciłem kawałki listewek.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się na peronie "D", zatrzymałem się przy schodach wiodących na górne kondygnacje i rzekłem niby od niechcienia:

- Towarzyszu Białoń, jeśli musicie na kibelek, to może zaprowadźcie mnie do mojej celi, muszę u siebie wymienić dno w szafce, a wy w tym czasie posiedzicie spokojnie na tronie.

Klawisz spojrzał na mnie i odparł:

- I to jest bardzo dobra propozycja. Która klatka? - Miał na myśli moją komnatę.

- Siedemset piętnaście, ostatnie piętro - kiwnąłem głową.

- No to poszli, bo kret mnie drąży coraz bardziej.

Chwilę później zatrzymaliśmy się przed drzwiami mojej celi. Białoń spojrzał na mnie i powiedział:

- Wracam za piętnaście minut.

Przekroczyłem próg, klawisz zamknął wrota i usłyszałem szurnięcie zasuw. Chwilę później do moich uszu dobiegł odgłos kroków oddalających się na drewnianym podeście.

Nie cackałem się z ciuchami w szafce. Złapałem je w dłonie i rzuciłem na pryczę. Pochwyciłem mebel, obróciłem do góry dnem i przymierzyłem płytę. Pasowała jak ulał. Wiedziałem, że muszę się śpieszyć. Czas pracował na moją niekorzyść. Musielibyście widzieć, jakie miałem ruchy! Młotek, gwoździe, listewki, wkręty, śrubokręt, ręczna wiertarka, pilnik. Bach bach i wszystko leżało na podłodze gotowe do akcji.

Na chwilę zamarłem w bezruchu i nadstawiłem uszu.

Cisza.

Sięgnąłem do fufajki po broń. Położyłem spluwę na płycie, cztery pociągnięcia grafitowym rysikiem ołówka i już miałem zaznaczone miejsca, gdzie mam przybić listewki. Musiałem zaklinować pistolet w taki sposób, żeby nie mógł się przesunąć jeśli kiedykolwiek ktoś przestawiałby szafkę w inne miejsce. Kilka małych gwoździ załatwiło sprawę, potem jeszcze dwie listewki w poprzek i luger nie miał prawa drgnąć. Włożyłem płytę tak, żeby spluwa znalazła się w przestrzeni tworzącej podwójne dno. Na okalających listwach zaznaczyłem miejsca w których muszę wywiercić otwory tak, aby gwinty wkrętów weszły centralnie w krawędź nowej płyty.

Czas naglił.

Jedna dziura, druga, wkręty, śrubokręt.

Trzecia, czwarta i powtórka.

I w każdej listwie to samo.

Nie było szans, żeby ktokolwiek znalazł ten schowek.

Temat nie do wykrycia.

Kiedy skończyłem, rękawem bluzy przetarłem zlane potem czoło.

Nie mam pojęcia ile czasu zajął mi montaż.

Ustawiłem szafkę we właściwej pozycji i ulokowałem na półkach ciuchy.

Usiadłem na pryczy i sięgnąłem po fajkę.

Musiałem odetchnąć.

Od pierwszej chwili, kiedy wpadłem na ten pomysł, tylko jedna sprawa była mi cierniem w oku. Otóż istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że pewnego dnia w bliżej nieokreślonej przyszłości, mogę zostać eksmitowany z tej celi. Zmiana kwatery znaczyła tyle samo, co pożegnanie się z bronią być może na zawsze. Jednak po cóż miałem sobie teraz zawracać łepetyną tym tematem? Stwierdziłem, że jeśli dojdzie do takiej sytuacji, to wtedy będę zachodził w głowę, jak rozwiązać problem.

Kolejny dzień pracy rozpocząłem od odwiedzin w komnacie, gdzie siedziało trzech najbardziej szurniętych siemachów. To byli Cymbał, Fleku i Murzyn. Nie wiem skąd wzięły się ich ksywki, ale każdemu z nich na pewno brakowało piątej klepki. To byli rasowi recydywiści bez cienia nadziei na jakąkolwiek resocjalizację. Cała trójka szczyciła się tym, że ich ciała pokrywały ślady po samookaleczeniu i wizerunki niebieskich tatuaży. Cymbał ze względu na swój "sznyt królewski" cieszył się w środowisku grypserów dużym uznaniem. Jednak nie na tyle dużym, żeby mógł piastować rolę peronowego mąciela, czego ponoć bardzo pragnął. Myślę, że sami Ludzie uważali go za zbyt szalonego, aby powierzyć mu dowództwo nad całym pawilonem. Wieść głosiła, że Cymbał wprowadził do słownika wronieckich grypserów słowo, które brzmiało "atanda". To określenie ma dwa znaczenia. Pierwsze oznacza grupę funkcjonariuszy wyposażonych w pałki, hełmy i tarcze, których zadaniem jest zapanowanie nad więźniami w wypadku buntu. Natomiast drugie znaczenie ma charakter typowo ostrzegawczy. Spróbujcie wypowiedzieć to słowo na głos, a sami się przekonacie, że można tego dokonać bez poruszania ustami. W więziennym slangu "atanda" znaczy tyle samo co "uwaga!" i najczęściej używało się tego wyrazu w bezpośredniej obecności klawisza. Wyobraźcie sobie sytuację, że jest grupa więźniów i któryś z nich robi coś niezgodnego z regulaminem. Nagle wyłania się strażnik i wtedy wystarczy, że ktoś krzyknie "atanda!". Trudno jest wskazać osobę, która wypowiedziała to słowo, bo nikt nie poruszył ustami...

W celi trzech szurniętych siemachów nic nie wymagało reperacji, oni po prostu dokonali zgłoszenia dla zwykłej hecy. Klawisz stał w drzwiach i kazał mi obejrzeć wszystkie sprzęty. W pewnym momencie znalazłem się w takim miejscu, że otwarte drzwi celi zasłoniły mnie przed wzrokiem strażnika. Sprawdziłem czy zawiasy w szafce są dokręcone, kiedy nagle usłyszałem za swoimi plecami cichy głos Cymbała:

- Generale poratuj Ludzi. Potrzebujemy trzy gwoździe cynkowe. Muszą być nowe. Dłgie na sześć albo więcej centymetrów. Dajemy szluga za gwoździa. Przynieś w niedzielę na spacerniak.

- A wy co tak nad nim wisicie?! - Warknął nagle klawisz, który znienacka wychylił się zza otwartych na oścież drzwi.

- Ja? - Odparł Cymbał z niedowierzaniem. - Ja nad nim nie wiszę, tylko mi między nogami wisi - i w tym samym momencie jego dwaj kompani zarechotali z rozbawieniem.

- Macie tu coś do roboty? - Strażnik zwrócił się do mnie.

- Zawiasy muszą dokręcić, bo się poluzowały - skłamałem i sięgnąłem dłonią po śrubokręt.

- To róbcie swoje i idziemy dalej! A wy siadajcie na pryczy, tak żebym was widział - rzucił do Cymbała.

Gwoździe, o których mówił, miałem w skrzynce narzędziowej. Chwyciłem w palce kilka sztuk, wyłuskałem trzy i włożyłem je pomiędzy ubrania spoczywające w szafce. Przez chwilę udawałem, że dokręcam główki wkrętów trzymające zawiasy. Spojrzałem dyskretnie w stronę drzwi, a potem zerknąłem na Cymbała, który kiwnął głową, jakby chciał w ten sposób potwierdzić, że dziękuje za podarunek.

Podniosłem się z klęczek, złapałem za uchwyt skrzynki i spojrzałem na siemachów.

- No to widzimy się w niedzielę na promenadzie - odezwał się Cymbał i wykonał taki gest, jakby oddał mi salut.

W tym samym momencie klawisz wrzasnął:

- Przestaniecie gadać?!

- Coś nerwowi dzisiaj jesteście - skwitował Murzyn.

- A to ponoć sprawia, że flet się źle marszczy - dodał Fleku i cała trójka znowu zaniósł się śmiechem.

Postąpiłem trochę bezmyślnie ofiarowując im gwoździe. Skusiła mnie perspektywa otrzymania papierosów i nawet przez moment nie zastanowiłem się, po jaką cholere im te gwoździe? Dopiero kiedy klawisz zamknął drzwi i rozległo się szurnięcie stalowej zasuwki pomyślałem, że takim przedmiotem też można zrobić komuś krzywdę... Wiedziałem, że oni są nieobliczalni, a tacy ludzie bywają również niebezpieczni. Jednak z drugiej strony, albo ja mogłem zarobić te trzy fajki i odrobinę wdzięczności, albo nagrodę zgarnąłby ktoś inny.

Tydzień później wszyscy osadzeni we wronieckim pudle oraz pracownicy służby więziennej przekonali się, jak kretyńską rzecz można uczynić, mając do dyspozycji trzy gwoździe i młotek, zrobiony z pospawanych prętów.

Co do mojego zajęcia związanego z reperacją starych, więziennych mebli będących na wyposażeniu cel, to snułem się po peronach aż do końca lata. W sumie myślę, że nie było źle. Fakt, nie zarobiłem ani grosza ale za to zaskarbiłem sobie przychylność dwóch strażników, a krzyż nie bolał mnie od pracy.

Nie będę się rozwlekał nad mało istotnymi detalami, bo w sumie nie wydarzyło się nic, co miałoby jakiś istotny wpływ na moje dalsze życie. Wolę wam opowiedzieć makabryczną historię związaną z trzema gwoździami. Byłem naocznym świadkiem tych wydarzeń i zaprawdę powiadam wam, że ludzka głupota nie zna granic.

Minął dokładnie tydzień, od dnia kiedy zostawiłem Cymbałowi w szafce ocynkowane fanty, za które odpalił mi na spacerniaku obiecane szlugi. Facet dotrzymał słowa i tylko to się liczyło.

Początek tego pamiętnego dnia, niczym nie różnił się od innych poranków. Pobudka, śniadanie, bomba, zbiórka, wyjście. Stolarnia, skrzynka z narzędziami w dłoń i naprzód! Do dzieła!

W asyście klawisza zaliczałem kolejne komnaty ulokowane na pierwszej

kondygnacji w pawilonie "B". Większość moich reperacji tyczyła się mocowania zawiasów w szafkach. Nie mogłem zrozumieć, co ludziska wyprawiają z tymi drzwiczkami. Kopia w nie? Siadają na nich? Szarpią, żeby sprawdzić czy uda im się je wyrwać? Połowa była zdezelowana i poharatana. Zawiasy poluzowane, otwory po wkrętach rozkalibrowane, tam coś wisi, tu odpada, słowem podręcznikowe stadium dewastacji.

Dochodziło południe, kiedy skończyliśmy obchód na peronie "B" i idąc drewnianym podestem zmierzaliśmy w kierunku sterowni. Nagle zobaczyliśmy, jak korytarzem gdzie znajdował się pawilon długoterminowców biegnie jakiś klawisz. Pokonał schody w kilku susach i po chwili pędził drewnianym podestem w naszą stronę.

- Towarzyszu chorąży melduję, że w celi numer pięćset dwa doszło do zbiorowego aktu samookaleczenia! - Wyrzucił z siebie zdyszonym głosem.

- Co się tam stało? - Podoficer wcale nie wydawał się poruszony tym faktem.

Strażnik spojrzął na mnie, jakby się obawiał w mojej obecności powiedzieć o co chodzi. Pochylił się do przodu i szepnął chorążemu do ucha kilka słów.

- Co?! - Ten nagle wrzasnął i poderwał się na równe nogi. - Natychmiast powiadomcie o sytuacji porucznika Ozurskiego!

- Tak jest! - Krzyknął szeregowy klawisz i pognał w kierunku wejścia wiodącego do głównego budynku.

Momentalnie zrobiło się nieliche zamieszanie.

Chorąży pełniący obowiązki dowódcy służby wyjął spis więźniów, który znajdował się w grubym skoroszybie. Chyba zaczął sprawdzać jak brzmią nazwiska osadzonych w komnacie pięćset dwa. W międzyczasie rozkazał, żeby ściągnąć z lazaretu lekarza.

- A wy co tak stoicie?! - Ryknął w naszą stronę. - Nie macie swojej roboty?! Wynocha mi stąd!

Klawisz, który włączył się ze mną po celach pchnął mnie delikatnie w przód.

Raptem podeszliśmy pod drzwi kolejnej celi z listy, kiedy na sterowni zjawił się Ozurski. Przez chwilę rozmawiał z podwładnymi, a potem wraz z kilkoma funkcjonariuszami udał się w kierunku kajuty, gdzie stało się coś złego.

Minęło dosłownie pół minuty, kiedy od strony peronu "D" rozbrzmiał donośny głos Ozurskiego:

- Żabikowski bierzcie narzędzia i do mnie!

Zimny dreszcz przeszył mi kark. *Z narzędziami?!* - Krzyknąłem w myślach.

Złapałem za uchwyt skrzynki i razem z gadem, który mi towarzyszył od samego rana, szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę skąd padła przedziwna komenda.

- Biegiem Żabikowski! Biegiem! - Gwiazdor wydzierał się jak opętany.

Na korytarzu tuż przed drzwiami kwatery numer pięćset dwa stało trzech gadów i wyciągając szyje z zaciekawieniem zaglądali do wnętrza celi. Kiedy podbiegliśmy bliżej, klawisze rozstąpili się na boki robiąc mi przejście.

- Jest stolarz, towarzyszu poruczniku! - Zameldował któryś ze strażników.

- Dawać go tutaj! - Rozkazał gwiazdor, a zaraz potem zapytał: - Co z lekarzem?!

- Właśnie zmierza w naszą stronę, towarzyszu poruczniku! - Odpowiedział gad stojący z mojej prawej, a ja kątem oka dostrzegłem jak od strony wyjścia z pawilonu "D"

sunie w naszym kierunku człowiek w kitlu. Przez ramię miał przewieszoną parcianą torbę z małym wizerunkiem czerwonego krzyża na tle białego okręgu.

Ten sam klawisz pchnął mnie do wnętrza celi. Kiedy przekroczyłem próg ujrzałem coś, co przyprawiło mnie o drżenie kolan. Na podłodze leżał stół obrócony nogami do góry, a przy jego rogach z gaciami opuszczonymi do kolan stali Cymbał, Fleku i Murzyn. Tych trzech debili przybiło sobie gwoździami worki mosznowe do stóp stołu! Nie mogłem patrzeć na ten ohydny widok. Krew obficie ściekała po drewnianych klockach, ale o dziwo na ich charakternych gębach nie malowały się wyrazy cierpienia. Mnie natomiast bolało w kroku na sam widok i chociaż starałem się uciec wzrokiem, to jednak oczy same wracały. Główki gwoździ wystawały jakieś pół centymetra ponad zakrwawioną skórą, a po obu stronach spoczywały nienaturalnie opuchnięte jądra. Penis Murzyna sterczał niczym kopia uniesiona w górę. Nie mogłem pojąć, jakim cudem ten facet dostał erekcji! Albo tych trzech idiotów nazarło się jakichś tabletek, które ich oszołomiły, albo nachlali się parząchy lub czegoś, co do reszty odebrało im rozum i wyzwoliło w umyśle stan niekontrolowanej euforii. Nie widziałem innego wytłumaczenia, przecież żaden człowiek nie zrobiłby sobie takiej krzywdy!

- Stań pod ścianą! - Ozurski rzucił, patrząc mi w oczy.

W tym samym momencie do komnaty wkroczył lekarz.

- O boże... - jęknął, kiedy zobaczył co jest grane.

Gwiazdor pchnął drzwi i publika stojąca na korytarzu miała już po spektaklu.

W małej kajucie było nas siedmiu. Trzech siemachów z jajami przybitymi do nóg stołu, Ozurski, lekarz, jeden klawisz i ja.

- Który z was chce sterczącego kindybała w szamot? - Powiedział Murzyn z uśmiechem na ustach, a jego kompani zaczęli rechotać. - No, który possie na ochotnika?

Ozurski spojrzał na niego wściekle, po czym obrócił wzrok na klawisza, wyciągnął w jego kierunku prawą rękę i rzucił jedno słowo:

- Pałka!

Sekundę później strażnik podał mi przedmiot.

- A może pałą w pałę?! - Gwiazdor zwrócił się do Murzyna i wziął zamach, jakby faktycznie chciał mu przyłożyć w nabrzmałego fiuta.

- Co robimy doktorze? - Porucznik zwrócił się do konowała, na obliczu którego ciągle malował się wyraz niedowierzania.

- Trzeba ich zabrać na izbę chorych - powiedział lekarz.

- A niby jak?! - Zapytał Ozurski. - Przecież nie zmieszczą się w drzwiach razem ze stołem. - Gwiazdor spojrzał na mnie i rzekł: - Żabikowski, całki!

Sięgnąłem do skrzynki i podałem mu narzędzie.

- Do dzieła doktorze, wyjmijcie im te gwoździe.

Lekarz wziął całki w dłoń. Stanął naprzeciw Cymbała i starał się ich szczęki narzędzia zacisnąć pod łebkiem gwoździa.

- Możesz pogłaskać małego cymbałka - palnął charakterniak, a jego kumple zachichotali, jakby powiedział jakiś przedni dowcip.

Facet w białym kitlu miotał się z całkami. Przeszkadzało mu przyrodzenie Cymbała. W pewnym momencie lekarz przykucnął, żeby lepiej widzieć co robi i w tym

samym momencie Cymbał trysnął mu moczem prosto w twarz. Fleku i Murzyn zanieśli się śmiechem, a ich kumpel złapał penisa w dłoń i szczał na wszystkie strony. Łapiduch odskoczył w bok, rękawem fartucha wycierał mokrą twarz i zdenerwowany cisnął cążkami o podłogę. W tym samym momencie Ozurski wziął potężny zamach i zdzielił pałą Cymbała w zgięcie kolan. Cios był tak potworny, że charakterniak nie miał szans, aby utrzymać się na wyprostowanych nogach. Łamiąc się w kończynach zawył z bólu. Pod ciężarem własnego ciała, jego moszna rozpruła się niczym kartka pomarszczonego pergaminu wydając przy tym potworny odgłos. Chryste Panie! W ułamku sekundy chlusnęło morze krwi, a jądra wiszące na nasieniowodach wypadły na zewnątrz. Cymbał leżał na podłodze, wydierał się wniebogłosy i obiema dłońmi przytulał do swojego krocza wnętrzości. Między nogami miał tylko krwistą miazgę, a jego penis zrobił się fioletowo-siny.

- Zrób coś! - Wrzeszczał na lekarza, który stał niczym posąg i zahipnotyzowanym wzrokiem patrzył na potworną ranę. - Zrób coś ty kurwo!

Twarcz Ozurskiego zmieniła się w oblicze zupełnie innego człowieka, był nie do poznania. Miałem wrażenie, że patrzę na kogoś obcego, kogo widzę pierwszy raz w życiu. Towarzysz porucznik przykucnął, złapał Cymbała prawą dłonią za szyję i zacisnął palce.

- Zamknijcie mordę! - Syknął wściekle przez zęby. - Najpierw się uspokójcie, a wtedy wam pomożemy! Rozumiecie?!

Z oczu Cymbała płynęły łzy. Było widać, że cierpi. Leżał na podłodze w nienaturalnej pozycji, a jego oczy z każdą sekundą zachodziły mgłą.

- Idźcie na izbę chorych - Ozurski zwrócił się do klawisza, który był równie oszołomiony jak ja i lekarz. - Mają się tu zjawić sanitariusze z noszami!

- Tak jest! - Odparł strażnik i zniknął za drzwiami.

- Zróbcie mu opatrunek - Gwiazdor opanowanym głosem, zwrócił się do mężczyzny w białym kitlu.

Fleku i Murzyn stali bez ruchu i przerażonym wzrokiem strzelali po naszych twarzach.

- Wyjmijcie im te gwoździe! - Ozurski rzucił w moim kierunku krótką komendę.

Złapałem za obszcane cążki i drżącymi rękoma zrobiłem to, co mi kazał. W tym samym czasie lekarz starał się zatamować krwawienie z krocza nieprzytomnego Cymbała, okładając gazą rozpruty worek mosznowy.

Nim zjawili się sanitariusze z noszami, towarzysz porucznik spojrzał na mnie, kiwnął głową w kierunku drzwi i rzekł:

- Wynocha!

Złapałem za uchwyt skrzynki narzędziowej. Zrobiłem krok w przód, kiedy nagle Ozurski zaszedł mi drogę. Złapał mnie za poły więziennej bluzy, przyciągnął ku sobie i syknął prosto do ucha:

- Nikomu ani słowa o tym, co tutaj się wydarzyło!

Nie było żadnych szans, żeby wieść o tym co zrobiło trzech szurniętych siemachów, została jak to się mówi, zamieciona pod dywan. Zbyt wielu ludzi było świadkami zdarzenia i już następnego dnia na więziennych peronach huczało od plotek. Zdajecie sobie sprawę, że towarzysz porucznik chciał ukryć fakt swojego udziału w całym

zdarzeniu, a to wiedziałem tylko ja, lekarz, jeden klawisz i tych trzech szaleńców. Dopóki Ozurski urzędował we wronieckim więzieniu milczałem jak kamień i nie puściłem pary z gęby. Jeśli zacząłbym klepać dziobem, to mogłoby się to dla mnie źle skończyć. Oczywiście odbyłem jeszcze kilka pogawędek z gwiazdorem, podczas których dał mi do zrozumienia, że bym zapomniał o tym, co się wydarzyło w celi pięćset dwa.

Cymbał pozbawiony świadomości trafił na izbę chorych, a stamtąd prosto na stół operacyjny do poznańskiego szpitala. Z tego co wiem, to sprawy bardzo się skomplikowały i ponoć nigdy nie odzyskał przytomności. Powiadali, że zmarł w szpitalnym łóżku kilka miesięcy później. Fleku i Murzyn zostali przeniesieni do innych zakładów karnych, ale nie znam żadnych szczegółów.

Historia o ich wyczynie długo krążyła pośród murów wronieckiego więzienia. Skazańcy przekazywali sobie tę opowieść z ust do ust i po wielu latach okazało się, że prawda została totalnie wypaczona. Trójka idiotów zyskała miano charakternych bohaterów i Ludzi niezłomnych. Prawdę powiedziawszy oprócz ich trójki, nikt nie wiedział dlaczego dokonali tak spektakularnego samookaleczenia. Osobiście podejrzewam, że kierowała nimi zwykła próżność. To nie byli kolesie o błyskotliwych umysłach, oni po prostu chcieli lśnić w szeregach ferajny i karmić się tym, że walnęli nieprzeciętny numer. Takie było wtedy środowisko siemachów i jeśli ktoś z charakterniaków chciał się wyróżnić w grupie, to musiał zrobić coś, co innym zapierało dech w piersiach.

W dzisiejszych czasach gdyby doszło do takiego incydentu rozpętałyby się piekielna afera. Zaraz w pudle zjawiłby się prokurator, żeby podjąć skrupulatne dochodzenie i przesłuchać wszelkich możliwych świadków. Przy okazji na światło dzienne wypłynęłyby cuchnące brudy, jakieś nadużycia, szwindle, molestowania i Bóg wie co jeszcze. Zrobiłby się smród jakich mało. Jednak w latach sześćdziesiątych panowała inna rzeczywistość, zarówno ta po drugiej stronie murów, jak również ta, która toczyła się na więziennych korytarzach. Moim zdaniem, towarzysz porucznik Modest Ozurski powinien beknąć za to co zrobił i zostać pociągnięty do odpowiedzialności jeśli nie karnej, to na pewno służbowej. Niestety nic takiego nie miało miejsca i stało się coś jeszcze. Facet dostał awans na kapitana i nagrodę pieniężną w wysokości swoich rocznych zarobków!

Takie to kurde były czasy.

Z początkiem 1966 roku nasza rodzima prasa zaczęła się rozpisywać na temat przygotowania do hucznych obchodów 1000-lecia chrztu Polski. W sprawę zaangażowała się również Stolica Apostolska, a to nie było na rękę naszym władzom, które w tamtym czasie pokornie chyliły kark przed Kremlem. Liderzy PZPR musieli jednak przełknąć gorzką pigułkę i nie wyrażać głośno swojego sprzeciwu. Wiara katolicka zakorzeniona w Polsce z dziada pradziada i kwestia jej traktowania przez szarych obywateli PRL-u, to był śliski temat. W dostojnych gabinetach Komitetu Centralnego i sejmowych kuluarach zdawano sobie sprawę, że podejmując otwartą walkę z duchowymi potrzebami narodu, można odnieść głębokie rany. Najsensowniejszym rozwiązaniem była stara, esbecka metoda, która mówiła, że lepiej pozwolić i kontrolować sytuację, niż zakazać i pacyfikować. Dlatego właśnie władza nie oponowała i 3 maja na Jasnej Górze odbyły się

uroczyste obchody 1000-lecia chrztu Polski. Pielgrzymki wiernych zjawily się u stóp klasztoru, były modlitwy i śpiewy, a potem wszyscy spokojnie rozeszli się do domów i nadal panował spokój.

W dalekim świecie też sporo się działo. Sowietci zaczęli sromotnie przegrywać w wyścigu o podbój kosmosu. Pod koniec wiosny amerykańska sonda kosmiczna Surveyor 1 wylądowała na Księżycu i tym samym zapisała się w dziejach ludzkości, jako pierwszy statek kosmiczny. Gdyby wtedy sekretarzem generalnym Związku Radzieckiego nadal był Chruszczow, a nie Breżniew, to podejrzewam, że w kosmodromie Bajkonur doszłoby do krwawej czystki.

W połowie lata świat obiegła wieść o pewnym szaleńcu, który uzbrojony w karabin z celownikiem optycznym, usadowił się na wieży w kompleksie budynków Uniwersytetu Teksańskiego i dokonał bestialskiej masakry. Charles Whitman, bo tak nazywał się ten człowiek, otworzył ogień do przypadkowych przechodniów. Zanim został zastrzelony podczas policyjnej akcji, zdołał zabić czternaście osób i zranić ponad trzydzieści.

Tego roku John Lennon w jednym ze swoich wywiadów powiedział pamiętne słowa, że grupa The Beatles jest popularniejsza od Chrystusa. Nie wiem czy ten muzyk był już tak zmanierowany i zadufany ale myślę, że przez tę gadkę wyhodował sobie wielu wrogów, jak świat długi i szeroki.

W pierwszych dniach jesieni z więzienia Spandau zostało zwolnionych dwóch nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Odsiedzieli swoje dwudziestoletnie wyroki "od Wojtka do Wojtka", a ja się pytam - czy tak ma wyglądać sprawiedliwość? Mordercy mający na swoim sumieniu setki, a może nawet tysiące ludzkich istnień wychodzą z paki, bo co? Bo zgrzeszyli w czasach wojny? Bo tylko wykonywali rozkazy? Odpokutowali po dwie pajdy i sprawa załatwiona? Doskonale pamiętam ten dzień, kiedy siedząc w bibliotece, czytałem w gazecie artykuł na temat ich wyjścia. Moje pierwsze refleksje były smutne, żalose i roszczeniowe wobec panującego prawa, porządku świata, Boga i całej pieprzonej ludzkości. Dopiero po kilku chwilach stwierdziłem, że tak naprawdę w tym tekście intryguje mnie coś zupełnie innego - więzienie w Spandau. Nie wiem dlaczego, ale jego nazwa brzmiała znajomo. Bardzo znajomo. Tak mi to weszło do łba, że przez kilka następných dni nie mogłem zaznać spokoju... Któregoś wieczoru leżąc na pryczy, doznałem olśnienia. Poderwałem się z koja i prawie krzyknąłem:

- Przecież Ojczulek mówił, że siedział w Spandau!

Johnny spojrział na mnie zaskoczonym wzrokiem i rzekł:

- O czym ty bredzisz?!

- O niemieckim więzieniu, które znajduje się w miejscowości Spandau - odparłem podnieconym głosem. - Ojczulek tam siedział! Pamiętam jak o tym kiedyś wspominał! - Byłem tak podekscytowany swoim odkryciem, jak mały chłopiec szalejący z radości na widok nowej, upragnionej zabawki.

Widząc zdziwioną minę Johnnego, zacząłem wyrzucać z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Starąłem się mu w prosty sposób wyjaśnić, co łączyło artykuł w gazecie z moją zamierzczłą przeszłością.

Tamtego dnia rozgadałem się jak stara baba i przez całe popołudnie snułem opowieść o księdzu, który był moim serdecznym przyjacielem.

- Spójrz tutaj - podałem Johnnemu mosiężną papierośnicę i wskazałem palcem na róg, gdzie nadal widniał wyraźny grawer. - Dostałem ją od Ojczulka na moje dwudzieste piąte urodziny. Kiedyś rzemieślnicy robili porządne rzeczy - dodałem z nieukrywanym podziwem.

- I co się stało z twoim kumplem? - Zapytał Johnny, a ja miałem wrażenie, że nie zrobił tego przez grzeczność ale dlatego, że historia Eryka von Gerswalde autentycznie go zainteresowała.

- Po wyjściu na wolność wrócił w swoje rodzinne strony. Nie zapomniał o mnie - rzekłem i poczułem na sercu coś ciepłego. - Nawet dostałem od niego kilka listów - podniosłem się z miejsca i ruszyłem w kierunku szafki.

Wyjąłem puszkę po wiśniach w czekoladzie, którą trzymałem zawiniętą we flanelową koszulę, żeby pokazać mu stare listy.

Wydaje mi się, że poczynszy od tamtego dnia nasza znajomość zyskała nowe oblicze i zaczęła przeradzać się w prawdziwą, męską przyjaźń. Coraz częściej snułem opowieści z mojego życia, omijając jedynie szerokim łukiem sprawy związane z moim wyrokiem, bronią i osobą Wiktora Kozłowskiego. Pewnego dnia opowiedziałem Johnnemu o Agnieszce i o tym, ile dołożyłem starań, żeby zdobyć płytę Bennego Goodmana, którą sprezentowałem Dawidowi Lepke. Wiedziałem, że historia z amerykańskim akcentem w tle, zrobi na nim wrażenie. Johnny nie pozostawał mi dłużny i rewanżował się opowieściami ze swojego życia. Czasami miałem wrażenie, że przesadnie koloryzuje i wplata w swoje słowa bałach. Jednak mimo wszystko byłem w stanie wybaczyć mu te fantazje, bo dzięki nim jego opowieści były bardziej zabawne.

Mogę śmiało powiedzieć, że we wronieckich kazamatach rok 1966 był w miarę spokojny. Zdarzyło się kilka incydentów, ale żaden z nich nie mógł się równać z jajami przybitymi do nóg stołu. To, czego dokonał Cymbał i jego kumple spod celi, wysoko wywindowało poprzeczkę w środowisku siemachów i później trudno było komukolwiek zabłysnąć. Minęło kilka ładnych lat zanim doszło do zdarzenia, które zyskało uznanie i poklask całej ferajny.

Moje życie kręciło się wokół pracy w stolarni, wykonywania szeregu zajęć do których angażował mnie Ozurski, czytania książek i wieczornych opowieści, którymi raczyliśmy się nawzajem z Johnnym. W kwestii zarobkowej szalu nie było, ale na fajki zawsze znalazł się jakiś grosz. Nadal zgarniałem szlugi za recytowanie trzynastej księgi i chociaż ta wierszowana opowieść zbrzydła mi kompletnie, to i tak odstawiałem teatrzyk za tytoniową gazę.

Z pozorów czas włócił się jak stary ślimak. Nastąpiła pogodna jesień, potem kalendarz przypomniał mi, że mam sześćdziesiąte szóste urodziny i z tej okazji walnęliśmy z Johnnym po kubku parząchy. Ani się człowiek nie obejrzał, a już była końcówka listopada i wtedy właśnie opowiedziałem Johnnemu o zwyczajach, który kiedyś królował wśród skazańców. Jak zapewne się domyślicie, chodziło o urodzinowy numererek. W każdą niedzielę grudnia, więzienna amatorska grupa teatralna wystawiała w świetlicy jasełka z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Przedstawienie miało nosić znamiona szopki, a zyskało komediowy charakter za sprawą aktora, który wcielił się w postać dzieciątka Jezus. Do tej roli zaangażowani pewnego drobnego koleś, który na wolności

był dżokejem i miał niespełna metr pięćdziesiąt wzrostu. Tym wesołym akcentem wkroczyliśmy w rok 1967...

Wiosną Johnny Alcatraz strzelił sobie dziarę na lewej piersi. Sporo się wykosztował, bo musiał wyłożyć trzydzieści skrzynek ale powiem wam, że obrazek był pierwsza klasa. Wizerunek przedstawiał tańczącego Indianina z plemienia Irokezów, którzy ponoć strzygli swe włosy na tak zwany czub albo pas. W lewej dłoni czerwonoskóry wojownik trzymał tarczę, a w drugiej łuk. Był rozebrany od pasa w górę, a na nogach miał spodnie z frędzlami. Spoglądając na ten cielesny malunek, człowiek miał wrażenie, że tańczący Indianin rzeczywiście jest w ruchu. Tatuaż kosztował słono, bowiem był jeszcze cieniowany, a kolki którymi robiło się takie cuda były wykonane z drutu cieńszego od gitarowej struny.

- Czemu sobie to zrobiłeś? - Spytałem Johnnego, bo prawdę powiedziawszy nigdy nie rozumiałem po co ludzie upiększają swoje ciała w ten sposób. Może to i ładne, ale patrząc przez pół życia na ten sam wzór człowiek może się znudzić.

- Ja nie zrobiłem sobie dziary po to, żeby ją tylko mieć - powiedział.

- Nie? - Odparłem zaskoczonym głosem. - To w taki razie po co?

- Widzisz, ten Indianin jest dla mnie symbolem tego, co większość ludzi po prostu nie docenia. Wolność, my friend. Wolność nie w takim znaczeniu, że masz możliwość wyboru i podejmowania decyzji. Wolność jako bezgraniczną swobodę i sposób na życie. Rozumiesz o czym mówię? Wolność to coś takiego, co pozwala ci beztrudnie żyć i oddychać pełną piersią. Wolność, która nie narzuca żadnych ograniczeń i poczucia odpowiedzialności. Wolność, która nie obarcza cię jakimiś absurdalnymi obowiązkami. Zdajesz sobie sprawę, jak żyli sobie tacy Indianie? - Klepnął dłonią w miejsce, gdzie miał dziarę. - Mieszkali w wigwamach, polowali na bizona, wędrowali przez prerię i martwili się tylko tym, żeby nie zabrakło im jedzenia, wody i ogniska. Żyli w zgodzie z naturą, a nie z przepisami, które wymyślił sobie ludzie. Nie znali pieniędzy, nie budowali okazałych posiadłości i uważali, że świat jest ich domem. To jest właśnie prawdziwa wolność. Ja pragnę takiej wolności, a ten tatuaż o tym właśnie świadczy.

Uśmiechnąłem się pod nosem i rzekłem:

- Wiesz co Johnny, ty jesteś po prostu lekkoduchem.

- Żadna nowość - zaśmiał się. - Wiem o tym i naprawdę jest mi z tym dobrze. Jeśli miałbym wybierać pomiędzy ustabilizowanym i poukładanym życiem, pracą w fabryce i własnych czterech kątach w zamian wolałbym tułaczkę i przygodę. Jest przecież tyle wspaniałych miejsc, które warto zobaczyć, tyle malowniczych szos, którymi warto ruszyć w drogę...

- Tak, ładnie gadasz - wpadłem mu w zdanie - tylko powiedz mi panie mądralo, czemu dałeś się zamknąć do paki? Ile już jesteś we Wronkach? - Zapytałem.

- W tym roku miną cztery lata - westchnął.

- A ile jeszcze przed tobą?

- Eee - machnął ręką i zrobił taką minę, jakby chciał mi powiedzieć, że szkoda sobie strzępić język na bzdury. - Sęk w tym - odezwał się po chwili - że zanim wyjdę, to muszę opracować cały plan, a potem tylko wcielić go w życie.

- I co, wierzysz, że się uda?

- Musi się udać - odparł. - Po prostu musi.

Nie wiem jakie układy panowały w tak zwanym parku maszynowym, który skupiał kilka warsztatów. Wychodziło jednak na to, że skoro skazańcy mieli czas na robienie tatuaży, znakiem tego nieźle musieli się tam objąć. Bądź co bądź, zrobienie profesjonalnej dziary to nie było w kij pierdział.

Świeży zrobiony tatuaż można rozpoznać po tym, że skóra wokół niego jest przez jakiś czas opuchnięta i nienaturalnie przekrwiona. Nawet dziecko byłoby w stanie dostrzec te objawy. Wspominałem wam wcześniej, że za dziarganie ciała w więzieniu groziła kara dyscyplinarna. Do odpowiedzialności pociągano zarówno twórcę dzieła, jak i osobę, która się naznaczała. Johnny beknął za swojego tańczącego Indianina i spędził tydzień na twardym łożu. Trudno powiedzieć, czy ktoś chciał mu zaszkodzić, czy jego wpadka była tylko kwestią przypadku? W każdym bądź razie Johnny nie sypnął kolesia, który zrobił mu to чудо. Tylko co z tego, skoro okazało się, że kapitan Ozurski swoje podejrzenie skierował na moją osobę. W pewnym sensie było to logiczne, bo przecież dzieliliśmy wspólnie celę. Tego dnia, kiedy Johnny udał się na tygodniowe ferie, towarzysz kapitan zjawił się u mnie z wizytą.

Ozurski wszedł do celi, usiadł przy stole, zdjął czapkę, zaczesał do tyłu włosy, spojrzał na mnie chłodnym, przenikliwym wzrokiem i rzekł:

- Tak Żabikowski, wszystko wskazuje na to, że macie zdolności manualne.

- Chciałbym takowe posiadać, towarzyszu kapitanie, ale niestety nie mam - odparłem, doskonale zdając sobie sprawę o co mu chodzi.

- Nie macie - powiedział przeciągle i pokiwał głową. - To kto zrobił Drabińskiemu tatuaż? - Zapytał prosto z mostu.

- Nie mam pojęcia, towarzyszu kapitanie.

- Czy wiecie Żabikowski, co najbardziej mnie drażni? - Zapytał zniechęcony, a ja w odpowiedzi posłałem mu pytające spojrzenie. - To, że tacy jak wy nie doceniają mojej wrodzonej inteligencji. To mi uwłacza - stwierdził - i wyzwala we mnie negatywne emocje. Powoduje, że zaczynam się denerwować. Zapytam więc jeszcze raz - powiedział surowym tonem. - Kto Drabińskiemu zrobił tatuaż?

- Nie wiem, towarzyszu kapitanie - odparłem bez chwili namysłu. - Przysięgam, że nie wiem.

- A jeśli znajdę w waszej celi kolkę, to co wtedy? - Zmarszczył brwi.

- Kolkę? - Niepotrzebnie odpowiedziałem pytaniem.

Ozurski pochylił się w moją stronę i syknął przez zaciśnięte zęby:

- Żabikowski, jeśli jeszcze raz udzielicie mi głupiej odpowiedzi, to inaczej z wami pogadam, rozumiecie?!

- Rozumiem, towarzyszu kapitanie - odparłem i poczułem, jak fala nieprzyjemnego ciepła przemknęła przez moje ciało.

Gwiazdor podniósł się z miejsca i zlustrował wzrokiem półkę wiszącą nad stołem. Potem zrobił rozgardiasz na pryczy Johnnego, jakby liczył na to, że pod materacem znajdzie przedmiot o którym mówił. Kazał mi się odsunąć od koja i chwilę później przetrzepał moje łoże.

- Czyściutko - syknął pod nosem i chyba był zawiedziony.

Spojrzał na szafkę. Podeszedł do mebla, pochylił się, otworzył drzwiczki i wywalił jej całą zawartość na podłogę. Metalowa puszką po wiśniach zawinięta w moją flanelową koszulę uderzyła z łoskotem o posadzkę.

- A co to?! - Zapytał Ozurski i obrócił twarz w moją stronę.

Nie czekał, aż mu wyjaśnię tylko złapał za pakunek.

- Wiśnie w czekoladzie - powiedział i potrząsnął puszką.

Odlew klucza i bakelitowa zapalniczka uderzyły o metalowe ścianki.

Gwiazdor spojrzał na mnie, szeroko rozwartymi oczami.

Otworzył pokrywę i całą zawartość wysypał na stół.

- Listy... Kartki urodzinowe... - rzucał nimi w taki sposób, jakby rozdawał karty do gry. - Widzę, że macie zestaw pamiątek sprzed lat. O proszę, jest nawet kasa - wziął w dłonie dwudziestozłotowy banknot i przez chwilę przyglądał mu się z bliska. - A to co? Klucz? - Spojrzał mi w oczy. - Jakie drzwi otwiera?

- Mojego rodzinnego domu - odparłem.

Ozurski pochwycił w palce zapalniczkę, którą dostałem od Dietera i odezwał się w taki sposób, jakby udzielał mi reprimendy:

- Co to ma być Żabikowski?! Wy nie wiecie, że takich przedmiotów nie wolno trzymać w celi?! - Kilka razy starał się wykrzesać iskrę. - Nie szkodzi, że nie działa - stwierdził. - Rekwiruję tę zabawkę - powiedział i schował zapalniczkę do kieszeni.

- Towarzyszu kapitanie, to tylko pamiątka, którą dostałem od przyjaciela - miałem nadzieję, że zwróci mi moją własność.

- Gówno mnie to obchodzi Żabikowski! - Warknął do mnie jak do kundla. - Współpracować nie chcecie, a roszczenia to macie, tak? Jak mi powiecie, kto wytatuował Drabińskiego, to zwrócę wam zapalniczkę - klepnął dłonią w kieszeń, do której schował przedmiot. - Daję wam pięć sekund! Jeden, dwa, trzy - zaczął wyliczać - cztery i pięć! - Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Nie wiem, towarzyszu...

- Zła odpowiedź! - Wpadł mi w zdanie. - Czas minął.

Ty parszywy gnoju! - Krzyknąłem w myślach. - *Bodaj byś zdechl!*

- A teraz Żabikowski posprzątajcie ten bajzel - powiedział, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł z celi.

Tego dnia towarzysz kapitan ograbił mnie z mojej własności. Nigdzie nie zdeponował bakelitowej zapalniczki, tylko najzwyczajniej w świecie przywłaszczył ją sobie.

Wiele razy miały miejsce sytuacje, że gwiazdor wyciągał w mojej obecności prezent od Dietera i w ostentacyjny sposób pokazywał mi, że całkiem dobrze mu służy.

Od czterdziestu pięciu lat siedziałem we Wronkach, ale powiem wam, że przez dwa kolejne lata Ozurski dał mi taki wycisk, że aż strzykało w dupie. To był cholerny sadysta. Fizycznie raczej się nad nikim nie znęcał, nie brudził sobie rąk ścierwem, jak miał w zwyczaju mówić o więźniach. On uwielbiał pastwić się nad drugim człowiekiem w sferze psychicznej i sądzę, że to była jego prawdziwa pasja.

Dużo mógłbym pisać o kapitanie Ozurskim i o wszystkich skurwysyństwach, których się dopuścił na wronieckich peronach. Ktoś mógłby powiedzieć, że jako były

skazaniec nie jestem obiektywny i dla zasady lub z czystej przekory narzekam na wzorowego pracownika służby więziennej. Myślcie sobie co chcecie, wasza sprawa. Ja wiem najlepiej, ile krzywdy doświadczyłem od tego człowieka. Myślicie, że tylko ja jeden nienawidziłem tego podłego faceta? O nie moi drodzy, takich jak ja było tutaj wielu, a znalazłoby się też kilku klawiszy, którzy mogliby dołączyć do naszego klubu.

Przyznam się wam do czegoś, otóż wiele miesięcy po banalnym incydencie z zapalniczką, nasza mnie ochota, żeby napisać mroczne opowiadanie. To nie była jakaś duchowa potrzeba, która towarzyszy twórcom literackim. Ja po prostu pałałem szczerą nienawiścią do kapitana Ozurskiego, żywiłem do niego dokładnie takie same uczucia, jakie w zamierzchłej przeszłości wyzwał we mnie aspirant Szumski. To byli ludzie identycznego pokroju. Po każdym spotkaniu z gwiazdorem ogarniał mnie totalny wkurw. W środku telepało mną tak, jakby zaraz miało mnie roznieść na strzępy. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile siwych włosów przybyło mi przez tego pieprzonego fiuta! I właśnie dlatego chciałem napisać opowieść grozy, wzorując się na najlepszych twórcach epoki romantyzmu. To miała być historia o więzieniu dla potępionych dusz, które znajdowało się w zaświatach pomiędzy czyścim a piekłem. Taka bajeczka z dreszczykiem i z prostym morałem, że po śmierci doświadczysz tego samego, co uczyniłeś innym. Dwa razy złapałem za kajet i dwa razy moje szczerze chęci spęły na niczym. Doszedłem do wniosku, że pisanie to bardzo trudna sztuka. Poza tym miałem tutaj swojego prywatnego upiora, który mnie nękał i dręczył, no i dałem sobie spokój z mroczną opowieścią...

Pod koniec lata 1968 roku wojska Układu Warszawskiego przeprowadziły inwazję na Czechosłowację. Nie wiem czy wiecie, ale to była największa operacja wojskowa, która miała miejsce w sercu Europy od czasów zakończenia II wojny światowej! Praska Wiosna została błyskawicznie stłumiona, a czechosłowacką ziemię zryły gąsienice czołgów. Pod dyktando Moskwy udział w operacji o kryptonimie "Dunaj" wzięły również bratnie armie wojsk z Polski, Węgier, Bułgarii i NRD.

W trakcie interwencji za naszą południową granicą, w niedużej miejscowości Jiczyn doszło do ponurego incydentu. Polski żołnierz, będący pod wpływem alkoholu zastrzelił dwóch bezbronnych cywili...

Opinia międzynarodowa wyraziła swoje oburzenie przeciwko sowieckiej agresji na suwerenne państwo, ale oprócz wysłania not dyplomatycznych nie zostały podjęte żadne działania. Nikt nie chciał się angażować w konflikt, który w każdej chwili mógł się przerodzić w totalną wojnę.

Był jednak pewien człowiek, który w ramach protestu postanowił wstrząsnąć ludzkimi sumieniami. Nazywał się Ryszard Siwiec. W tym samym czasie, kiedy nasi żołnierze robili porządek w ojczyźnie dzielnego wojaka Szwejka, na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie odbywały się ogólnokrajowe dożynki. Na trybunach zasiadło blisko sto tysięcy ludzi, a pośród nich najwyżsi przedstawiciele PZPR i zaproszeni przez nich zagraniczni dyplomaci. Ryszard Siwiec zanim oblał się rozpuszczalnikiem, rzucił w tłum ulotki z apelem zawierającym jego antykomunistyczną odezwę. Następnie podpalił się i zaczął krzyczeć: - Protestuję!

Jego ubranie zajęło się ogniem, jacyś ludzie rzucili się, żeby ugasić płomienie, ale Siwiec im na to nie pozwalał. To wydarzenie było szokujące. Nikt się czegoś takiego nie

spodziewał, a wszystko działo się na oczach tysięcy osób! Służba Bezpieczeństwa wmawiała oficjalnym świadkom, że podpalacz był alkoholikiem i osobą niezrównoważoną psychicznie. Sprawie ukrecono łeb i wypłynęła na światło dzienne kilkanaście lat później. Ja dowiedziałem się o tym nieco wcześniej, a konkretnie w roku 1970, kiedy Szorpak załatwił mi fuchę we wronieckim archiwum.

Oblicze świata po drugiej stronie więziennych murów zmieniało się w zastraszającym tempie. Rozwój myśli technologicznej zaczął narzucać nowe standardy i wyzwania, a na wronieckich peronach Ozurski rządził twardą ręką.

Ostatnią rozmowę z towarzyszem kapitanem odbyłem w piątek 16 maja 1969 roku. Pod koniec szychty Ozurski wezwał mnie do swojego gabinetu i oznajmił mi, że z pierwszym dniem czerwca, ze względu na mój podeszły wiek, przestaję być pracownikiem stolarni. Kiedy to usłyszałem, naprawdę nie wiedziałem co mam powiedzieć. Zaskoczył mnie, chociaż z drugiej strony już od dawna spodziewałem się, że ta chwila kiedyś musi nadejść. Nie sądziłem jednak, że to właśnie Ozurski obwieści mi tę nowinę. Nie chciałem mu dać satysfakcji i z całych sił zmusiłem się, żebym wyglądał jak człowiek opanowany i spokojny. Nie okazałem żadnych emocji.

Dopiero kiedy wróciłem do celi i usiadłem na pryczy, zacząłem się zastanawiać, co teraz będzie?

- Co się dzieje my friend? - Zapytał Johnny.

- Ozurski oświadczył mi, że od czerwca będę bezrobotnym - rzekłem.

- No to czym się przejmujesz? Świetnie! Lato idzie, będziesz miał czas na czytanie książek, przed tobą zasłużona emerytura - powiedział wesołym głosem.

- Sęk w tym, że nie jestem tego taki pewien...

- Eee tam - Johnny wpadł mi w zdanie - już ci zazdroścę!

Tak jak zapowiedział Ozurski, od pierwszego czerwca moje życie uległo drastycznej zmianie.

Przestałem pracować.

Powiem wam, że przez pierwsze dni trudno mi było przywyknąć do sytuacji. Gong na sterowni obwieszczał pobudkę, a ja wstawałem, wbijałem się w drelich, ścieliłem prycę i grzecznie czekałem, aż zjawi się wydawka z porannym posiłkiem. Po śniadaniu Johnny wychodził na zbiórkę, a ja zostawałem w celi.

Beznadzieja.

Siedzisz sam na komnacie, gęby nie ma do kogo otworzyć, postoisz trochę w oknie, poleżysz na pryczy, zapalisz szluga, a tu dopiero ósma! Jediną atrakcją w ciągu dnia było wyjście na spaceriak. Każdy pawilon miał swój półgodzinny wybieg. Peron "D" wychodził na promenadę dokładnie kwadrans po jedenastej. Przez pierwszy tydzień żyłem właściwie od spaceru do spaceru. Bezrobotnych na naszym pawilonie było wielu, a większość z nich należała do ferajny. W pierdlu nie możesz przebierać w znajomych jak w ulęgalkach, jest jakaś grupa z którą masz kontakt i tam właśnie jest początek i koniec twojego świata.

Wiedziałem, że moja egzystencja zależy teraz tylko od odpowiedniego nastawienia. Nie miało sensu, żebym zaczynał się zadręczać i wmawiał sobie, że jest do bani. Po dwóch tygodniach osiągnąłem stadium zadowolenia. W sumie nie było źle. Miałem czas na

czytanie książek, w ciągu dnia wychodziłem się przewietrzyć, zarełko dostawałem pod nos i zacząłem rozumieć, że tak teraz będzie już zawsze.

Prawdopodobnie, aż do samego końca.

W połowie czerwca nawiązałem na spacerunku nową, interesującą znajomość. Od kilku miesięcy widywałem na promenadzie pewnego gogusia, który był osadzony w pawilonie "D" i nie należał do ferajny. Był frajerem, tak jak wielu innych. Nie miał w sobie nic szczególnego, a jednak mimo to, wyróżniał się w tłumie skazańców. Jeśli miałbym jego osobę określić jednym słowem, powiedziałbym - schludny. Chociaż z drugiej strony, można było stwierdzić, że wyglądał jak seryjny morderca. Często bywał w bibliotece. Wiele razy widziałem, jak ślęczał z nosem w gazecie, a potem wypożyczał jakąś książkę. Chyba z nikim się nie kumpłował, a na spacerunku zawsze trzymał się z boku. Obserwując jego gesty i sposób bycia, nabrałem przekonania, że w jego żyłach nie płynie chłoporobotnicza krew. Może to było tylko złudzenie, ale na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka inteligentnego. Wiedziałem tylko, że facet ma na imię Dominik. W swoim życiu znałem tylko jednego Dominika, który razem z Rumunem podczas II wojny światowej uratowali nasze całe arbeitskommando przed śmiercią. To było wtedy, jak jeden główniarz prysnął w lesie i zostawił nas wszystkich na pastwę losu. Mam nadzieję, że pamiętacie tę historię... Natomiast ten Dominik, który siedział w celi na parterowej kondygnacji i dzielił kwaterę razem z niejakim Szorstkim, intrygował mnie już od jakiegoś czasu. Moje zainteresowanie tym koleśkiem wynikało z tego, że w dni robocze podczas wybiegu, nie za bardzo miałem z kim pogadać. Nie chodzi o to, że uważałem się za kogoś ę ą, ale po prostu zaczynało mi brakować towarzystwa. Jak na moje oko mógł mieć jakieś trzydzieści lat, nie więcej. Zdawałem sobie sprawę, że dzieli nas potężna różnica wieku, ale chyba łączyła nas miłość do literatury, a na takim fundamencie można było podjąć próbę budowania znajomości.

Dominik wolnym krokiem przechadzał się wzdłuż drucianej siatki. Nie krążył w kółko jak pozostali, tylko dreptał od rogu do rogu, wte i wewte. Ręce trzymał założone z tyłu i wyglądał niczym zamyślony spacerowicz, którego dusza została w jakimś pięknym parku, a ciało znalazło się w pierdłu. Nie wiem dlaczego, ale w tym momencie przypomniał mi Wolfa. Mój serdeczny, świętej pamięci przyjaciel, który przez prasę został nazwany Rzeźnikiem z Danzing, na początku zrobił na mnie identyczne wrażenie.

Podszedłem do Dominika i rzekłem:

- Jak leci kolego?

Zatrzymał się w miejscu, spojrzał mi w oczy i odparł:

- Starszy pan z biblioteki. Dzień dobry.

Trochę mnie zbił z tropu tą swoją ogładą i elokwencją.

Miałem ochotę rzec:

- Kurwa mać, człowiecze, jesteśmy w pace i tutaj nikt nie mówi do siebie dzień dobry!

Jednak zamiast tych nieuprzejmych słów, powiedziałem:

- Dawno nie słyszałem tego określenia.

Na dźwięk moich słów, Dominik uśmiechnął się i rzekł:

- Myślę, że dobrze jest zachować chociaż cząstkę normalności w tym ponurym

miejscu. Jestem Dominik, a pan jak ma na imię? - Zapytał i wyciągnął w moim kierunku dłoń.

- Mów mi Ropuch - odparłem i natychmiast dodałem - przestań mnie tytułować per pan.

- Dobrze - przystał na moją propozycję - ale wolałbym wiedzieć jak masz na imię.

- Stefan Stanisław Żabikowski - odpowiedziałem, bowiem postanowiłem zaspokoić jego ciekawość.

- Dominik Chmielarz - skinął głową w moim kierunku. - Czemu zawdzięczam naszą konwersację? - Zapytał zniechęca.

Nie mogłem go wyczuć, nie wiedziałem czy struga ze mnie wariata, czy taki ma sposób bycia.

- Właściwie to niczemu - wzruszyłem ramionami - wiele razy widziałem cię w bibliotece i pomyślałem, że może powinniśmy się bliżej poznać. Niewiele osób tutaj czyta książki i trudno z kimś porozmawiać na przykład na temat literatury.

- To fakt - odparł - w takim miejscu jak to, królują zupełnie inne tematy.

W tak prozaiczny sposób, zaczęła się nasza znajomość i od tamtej pory, każdego dnia gaworzyliśmy z sobą na spacerunku. Nasze rozmowy na początku orbitowały wokół literatury, a w miarę upływu czasu zaczęliśmy delikatnie poruszać nasze sprawy osobiste.

Dominik był urzędnikiem państwowym. Pochodził spod Częstochowy i pracował w tamtejszym Ratuszu, gdzie pełnił funkcję referenta od spraw kadrowych. Jak sam twierdził, miał dobrze płatną posadę i wiodł ustabilizowane życie. Nie należał do ludzi rozrywkowych i nie angażował się w politykę. Jego pasją było łowiectwo i każdą wolną chwilę spędzał na polowaniu. Dowiedziałem się jeszcze, że miał żonę i dwuletnią córeczkę.

Od chłopaków natomiast usłyszałem, że ciążył na nim wyrok pięciu lat więzienia. Ponoć któryś z kławiszy powiedział, że Dominik Chmielarz został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci. Nie drążyłem tematu, bo więźniowie mojego pokroju, hołdują starej szkole skazańców, która ma swoje zasady. Poza tym nasza komitywa nie była jeszcze wtedy na tyle zażyła, żeby wnikać w tak intymne sprawy. Dobrze mi się z nim rozmawiało, był ocytany, potrafił się ładnie wypowiadać i pojawiła się pomiędzy nami nić sympatii. Wydawał się miłym człowiekiem i nie chciałem zepsuć naszych świeżych relacji niepotrzebnym dociekaniem. Wiedziałem, że pewnego dnia będzie chciał opowiedzieć o sobie więcej.

Na każdego przychodzi taki dzień.

Zacząło się ostatnie lato szóstej dekady dwudziestego wieku, a wraz z nim wronieckie perony obiegała jedna z najwspanialszych wieści, jakie usłyszałem w ciągu swojego całego życia. Oficjalnie nikt nas o tym nie powiadomił, bo nie było takiej potrzeby, liczył się jednak fakt, że towarzysz kapitan Modest Ozurski opuszczał na dobre Zakład Karny we Wronkach. Po siedmiu latach służby, jego talenty zostały docenione i z dniem pierwszego lipca został skierowany do Szczypiorna, o czym wam już wspominałem. Ozurski przechodził do historii i na szczęście dla nas, nie pozostawiał po sobie godnego następcy. Wiem, że trudno wam w to uwierzyć, ale ten facet trzymał całe pudło za jaja i żaden z siemachów mu nie podskoczył. Istniało duże prawdopodobieństwo,

że wraz z odejściem Ozurskiego powrócą legendarne czasy grypserów.

No cóż więcej mogę wam powiedzieć? Chyba tylko tyle, że niesamowite lato 1969 roku zaczęło się przewspaniale i jak się okazało, nie chodziło tylko o Modesta Ozurskiego...

21 lipca Neil Armstrong, dowódca misji Apollo 11 postawił nogę na księżycu i wypowiedział pamiętne słowa - „To jest mały krok człowieka, ale wielki skok dla ludzkości”. Podejrzewam, że kiedy astronauta wetknęli amerykańską flagę na srebrnym globie, to na Przylądku Canaveral wznoszono toasty i radosne okrzyki triumfu, a w tym samym czasie partyjnym dygnitarzom na Kremlu, raczej nie było do śmiechu. Mimo że świat był już podzielony Żelazną Kurtyną, nikt nie mógł zaprzeczyć, że to wydarzenie było jednym z najważniejszych osiągnięć ludzkości.

W życiu każdego z nas zdarzają się takie dni, które na zawsze zapadają w naszej pamięci. Piętno tych dat wypala się we wspomnieniach, bo wtedy wydarzyło się coś istotnego, coś bardzo ważnego, coś co sprawiło, że w naszym życiu nastąpiły wielkie zmiany. Dla mnie jedna z tych szczególnych dat przypada na 21 lipca. Każdego roku wracam myślami do upalnego, letniego dnia, kiedy przestałem być Stefanem Stanisławem Żabikowskim, a stałem się skazańcem numer 29-11. Przez te wszystkie długie lata, aż do chwili tej kosmicznej wyprawy w murach wronieckiego więzienia w dniu 21 lipca nigdy nie zjawiał się żaden świeżak. Stało się to dopiero w 69-tym. Właśnie wtedy do naszej celi trafił Edward Gryski, skazany na piętnaście lat pozbawienia wolności, a my już po kilku dniach, zaczęliśmy mówić na niego Cyferka.

Ten słoneczny, lipcowy dzień utkwiał w mojej pamięci. Czasami mam wrażenie, jakby to było wczoraj. Obchodziłem wtedy swoją czterdziestą siódmą rocznicę i zastanawiałem się, czy w dobrym zdrowiu doczekam we Wronkach półwiecza? Naprawdę tak myślałem, nie zastanawiałem się nad tym czy wyjdę, czy któregoś dnia odzyskam wolność. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz myślałem o Wiktorze i jego planach, które ponoć miał w stosunku do mnie. To już przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zdawałem sobie sprawę, że mając sześćdziesiąt dziewięć lat na karku, powinienem się gorliwie modlić do Boga, żeby pozwolił mi w tych murach doczekać śmierci. Po cóż miałbym wychodzić? Doskonale zdawałem sobie sprawę, co czeka po drugiej stronie bramy. Tam był tylko obcy i nieznan mi świat. Rzeczywistość w której nie będę potrafił się odnaleźć.

Tutaj było moje miejsce na ziemi.

Tutaj był mój dom.

W trakcie wybiegu spacerowałem z Dominikiem i toczyliśmy przyjemną, filozoficzną rozmowę na temat, kiedy człowiek naprawdę czuje się szczęśliwy? Potem zaczęliśmy się sprzeczać, czym faktycznie jest szczęście i nawet padło kilka ciekawych stwierdzeń, że być może ludzka psychika nie ma nic wspólnego z tym zmysłowym odczuciem.

- Dobrze czasami jest pogadać o duperelach - stwierdziłem i spojrzałem na młodą twarz mojego rozmówcy. - Wtedy można zapomnieć, o wielu przyziemnych sprawach.

- Masz rację - odparł. - W tej kwestii w pełni muszę się z tobą zgodzić, jednak wracając do sprawy szczęścia, to jeszcze raz powtórzę, że to uczucie zawdzięczamy tylko

i wyłącznie endorfinom.

- Przestaniesz?! - Wykonałem taki gest, jakbym go chciał złapać dłońmi za szyję i zacisnąć palce na jego krtani.

Dominik zaśmiał się i powiedział:

- Kiedyś nadejdą takie czasy, że ludzie będą mogli hormony szczęścia kupić w każdym sklepie.

- Widzę, że chciałbyś zostać większym wizjonerem niż Juliusz Verne - stwierdziłem z lekką ironią.

- Tak jak ty drwisz sobie teraz ze mnie, tak samo inni drwili z Juliusza Verne, kiedy blisko sto lat temu pisał o podróży na Księżyc - odparł całkiem poważnie. - A co wydarzyło się dzisiejszej nocy? - Zapytał i spojrzał na mnie. - Człowiek postawił stopę na srebrnym globie. I co pan powiesz na ten temat?

Tym razem ja musiałem przyznać Dominikowi rację.

Od kilku dni prasa, radio i coś, czego jeszcze nie widziałem, a nazywano to telewizją, trąbiły na okrągło o locie Apollo 11. Z tym lotem na Księżyc, to powiem wam, że była bardzo dziwna sprawa. Mój umysł nie ogarniał tego tematu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak to w ogóle możliwe, że jakichś trzech śmiałków wybrało się w tak daleką podróż!

Johnny Alcatraz miał na ten temat inną teorię, dzień wcześniej powiedział:

- To zwykły szwindel. Nikt tam nie poleciał. Zobaczysz, że za jakiś czas wybuchnie z tego niezła afera.

Zrobiliśmy z Dominikiem jeszcze jedno okrążenie, kiedy rozległ się gwizdek oznajmiający, że spacer dobiegł końca.

- Dobrze będzie wrócić do chłodnej celi - powiedział mój młody towarzysz, kiedy przekraczaliśmy bramkę promenady.

Wraz z innymi wspinałem się schodami na górną kondygnację. Zasada była taka, że wychodząc na spacer wszystkie drzwi do cel pozostawały otwarte na oścież. Po powrocie każdy wchodził do swojej komnaty, a po chwili strażnik zamykał wrota na zasuwę. Możecie sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy stanąłem przed drzwiami, na których widniał numer siedemset piętnaście i zobaczyłem, że są zamknięte? Coś takiego jeszcze nigdy nie miało miejsca. Spojrzałem zaskoczonym wzrokiem na klawisza, który zmierzał w moją stronę drewnianym podestem.

- Co tak stoicie Żabikowski? - Rzucił do mnie.

- Bo celi zamknięta - odparłem.

Strażnik podszedł i nim pociągnął za zasuwę, powiedział z uśmiechem:

- Bo macie Żabikowski trzeciego do pokera.

Kiedy wszedłem do celi zobaczyłem, że na pryczy Johnnego siedzi niepozorny facet, który miał na nosie okulary w drucianych, okrągłych oprawkach. Był ubrany w popielatą koszulę i czarne spodnie. Przez poręcz pryczy wisiała przewieszona czarna marynarka. Na taborecie obok spoczywał więzienny mandżur czyli koc, poduszka, szmaciany ręcznik, stalowa micha, stalowy kubek i łyżka.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zrobić w gacie kupę. Na mój widok podniósł się z miejsca i skinął głową.

- Nazywam się Edward Gryski - powiedział lekko wystraszonym głosem i wyciągnął w moim kierunku dłoń.

To był rasowy świeżak.

- Stefan Żabikowski, dla przyjaciół Ropuch - rzekłem i wymieniliśmy uścisk.

Miał bardzo delikatne dłonie.

Usiadłem na pryczy i ruchem ręki wykonałem gest, jakbym chciał mu powiedzieć:

- Nie stój tak przyjacielu, siadaj!

Przez chwilę przyglądałem się mu badawczym wzrokiem. Zwróciłem uwagę, że nerwowo zaciska palce.

- Czego się boisz? - Zapytałem.

Prawą dłonią poprawił oprawki okularów i wzruszył bezradnie ramionami.

- Nigdy wcześniej nie byłeś w więzieniu?

- Nie miałem okazji - odparł.

- Na długo tutaj zawitałeś? - Zacząłem go brać na spytki, żeby wy badać ile będzie chciał o sobie powiedzieć.

- Zostałem skazany na piętnaście lat - powiedział bez zastanowienia.

Gwizdnąłem przeciągle.

- No to nieźle musiałeś nabroić, skoro to twój pierwszy wyrok.

W odpowiedzi przełknął głośno ślinę.

- Skąd jesteś?

- Z Krakowa.

Patrząc na niego, moje pierwsze wrażenie było takie, że więzienna rzeczywistość rozszarpie go na strzępy, a potem pożre delektując się każdym kawałkiem. Gdyby ten facet trafił do komnaty grypsujących, już byłoby po nim.

- Opowiedz coś o sobie - powiedziałem zachęcającym tonem. - Ile masz lat, kim jesteś z zawodu, czy masz rodzinę - zasugerowałem tematy, które mógłby poruszyć.

- Mam czterdzieści pięć lat, pracowałem jako księgowy i nie mam rodziny.

Kurde, brachu, ale jesteś konkretny! - Szepnąłem w duchu.

- Które łóżko będzie moje? - Zapytał zniemacka.

Wskazującym palcem skierowałem na górną pryczę.

- Czy w ciągu dnia można się położyć?

Rozbawił mnie tym pytaniem, ale jemu najwyraźniej wcale nie było do śmiechu.

Zjedzą cię tutaj razem z butami - przemknęło mi przez myśl.

- Oczywiście, że można - odparłem.

- To proszę mi wybaczyć, ale muszę się położyć.

- Śmiało kolego, kładź się.

Gryski odłożył na stół miskę, kubek i łyżkę. Następnie rozłożył na sienniku koc i wyświechtaną poduszkę, a ręcznik zawiesił na poręczy. Zdjął ze stóp swoje czarne półbuty, a potem niezdarnie wdrapał się na pryczę.

Sięgnąłem po papierosa i podniosłem się z miejsca.

Spojrzałem na nowego. Leżał twarzą do ściany i nie wiedziałem, czy chce się zdrzemnąć, czy po prostu poleżeć w spokoju i nie odpowiadać na żadne pytania.

- Chcesz się kimnąć? - Zapytałem i podszedłem do okna.

- Nie bardzo rozumiem - odpowiedział obracając się w moim kierunku.
- Chcesz się zdrzemnąć, czy tylko poleżeć w spokoju? - Przetłumaczyłem, żeby

zrozumiał.

- Sam nie wiem, jestem po prostu zmęczony. Muszę pozbierać myśli - odparł.

- No to odpoczywaj kolego, za trzy godziny będzie obiad.

- A gdzie zjada się posiłki? Jest tutaj jakaś stołówka?

Słyszając jego pytania, zaśmiałem się w głos. Jednocześnie zobaczyłem na jego twarzy wyraz delikatnego przerażenia.

- Masz na imię Edward, tak?

- Tak - potwierdził.

- Słuchaj Edziu - świadomie zdrobniłem jego imię - w tym pomieszczeniu, znajduje się garderoba, toaleta, sypialnia, salon i stołówka. - Wymieniając, wskazywałem dłonią na konkretne sprzęty.

Gryski spoglądał na mnie zza swoich okrągłych szkieł szeroko rozwartymi oczami, w których malował się wyraz kompletnego zdziwienia.

- To nie hotel Ritz, tylko więzienie. Witaj we wronieckich kazamatach.

- Jak to... toaleta? - Zapytał z niedowierzaniem.

- Widzisz tę żeliwną bańkę z białą, ceramiczną pokrywką? - Kiwnąłem głową w kierunku bomby. - To jest kibelek. Tam się, wybaczyć za określenia, sra i szcza. Jeśli poczujesz pragnienie, to woda pitna znajduje się we wiadrze po prawej, po lewej popłuczyny w których można się umyć, a potem przeprać majty albo skarpetki. Tutaj jest szafa. Masz jakieś ciuchy? - Zapytałem.

- Tylko to, co na sobie plus marynarka - strzelił wzrokiem w jej kierunku.

- W szafce znajdzie się jeszcze trochę miejsca, ale jak chcesz możesz marynarę powiesić na gwoździu razem z naszymi fufajkami - kiwnąłem głową w róg celi. - Na pryczach śpimy, a przy stole zjadamy posiłki lub gramy w karty. Koryto dostajemy trzy razy dziennie. Kwadrans po szóstej śniadanie, obiad kwadrans po szesnastej, a kolacja o dziewiętnastej trzydzieści. W dni powszednie wyjście na półgodzinny spacer kwadrans po jedenastej. W niedzielę wybieg trwa godzinę i wychodzimy o dziesiątej trzydzieści. Kąpiel w każdą sobotę o osiemnastej. Fryzjer w każdy czwartek o siedemnastej trzydzieści. Jeśli załapiesz się do jakiejś pracy spędzasz w niej osiem godzin od siódmej do piętnastej. Jeśli idzie o kibelek, to rankiem jesteś trzeci w kolejce. Najpierw ja, potem Johnny, który teraz jest w robocie, a na końcu ty. Wieczorna toaleta w tej samej kolejności. Zapamiętałeś?

Świeżak patrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym opowiadał jakieś cuda.

- Szybko się wdrożysz i za tydzień poczujesz się jak w domu - dodałem po chwili.

Po jego minie było widać, że jest zdruzgotany.

- Palisz? - Zapytałem zmieniając temat.

- Nie - pokiwał przecząco głową.

- To prawdopodobnie niebawem zaczniesz jarać - stwierdziłem i cisnąłem przez okno niedopałek.

Było kilka minut po piętnastej, kiedy po drugiej stronie drzwi rozległo się szurnięcie zasuw i w progu pojawił się Johnny. Wszedł do komnaty, spojrzał na

Gryskiego, który leżał na pryczy, a potem zwrócił się do mnie wesołym głosem:

- A któż to? Mamy nowego frenda?

Podszedł bliżej, oparł się o górną pryczę i rzekł:

- Siemanko koleżko, mów mi Johnny!

- Edward Gryski - usłyszał w odpowiedzi.

- Masz bardzo królewskie imię - powiedział z uśmiechem na ustach.

- On jest księgowym - rzuciłem jakby od niechcenia.

- Facet do cyferek? - Zapytał Johnny z nutką lekkiej ironii.

- Można tak powiedzieć - odparł świeżak.

- To może zamiast Edward, będziemy cię nazywać Cyferka? - Johnny bawił się w najlepsze.

- Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko.

- No to świetnie! W takim razie będziesz Cyferka. Co cię tutaj przywiało chłopie?

Gryski chyba nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Nooo, śmiało my friend, mów co przeskrobałeś i jaki masz wyrok? - Johnny był bardzo bezpośredni.

Nasz nowy kompan zszedł z pryczy, wzuł swoje czarne półbuciki i usiadł na taborecie.

- Zostałem skazany na piętnaście lat więzienia - powiedział i nerwowym ruchem poprawił na nosie druciane oprawki.

- A za co dostałeś tego piętnastaka? - Dociekał Johnny.

- Za malwersacje finansowe...

- Za co?! - Rockandrollowiec marzący o prawdziwej wolności nie bardzo rozumiał, co Gryski do niego mówi.

- Konkretnie to za defraudację pieniędzy z kasy państwowego przedsiębiorstwa.

- Czyli krótko mówiąc, zwinąłeś forszę należącą do wszystkich, tak? - Johnny przełożył mądre słówka na podwórkowy slang.

- Można tak powiedzieć - stwierdził koleś w okrągłych okularkach.

Tego popołudnia i wieczoru Johnny wyciągnął z Cyferki informacje niczym prawdziwy śledczy podczas przesłuchania. Widziałem, że czasami Gryski nie miał ochoty odpowiadać. Jednak za każdym razem, kiedy się wahał, Johnny walił bez pardonu:

- Dalej dalej kolego, przecież musimy wiedzieć, kogo mamy na kwaterze!

Świeżak śpiewał jak z nut.

Dowiedzieliśmy się, że nasz nowy współtowarzysz był głównym księgowym w jednej z największych PRL-owskich rafinerii i że przez kasę tego przedsiębiorstwa, przelewała się rzeka pieniędzy. Cyferka, który ponoć piastował tam bardzo poważne stanowisko, zarabiał kupę szmalu. Miał forsy jak lodu, a jednak i tak uległ pokusie, żeby wydoić firmę na poważne pieniądze. Sposób w jaki tego dokonał był bardzo skomplikowany i nawet ludzie mający pojęcie o rachunkowości, przez długie miesiące nie zorientowali się, że ktoś odkręcił na boku kurek z forszą. Dyrekcja rafinerii w tajemnicy przed pracownikami księgowości, zleciła audyt dwóm specjalistom od spraw rachunkowych. Minęło pół roku, zanim wpadli na trop i rozgryźli majstersztyk Gryskiego na odsysanie mamony. Sprawa trafiła do prokuratury, rozpoczęło się drobiazgowo

śledztwo, potem był proces i tym sposobem, Cyferka został więźniem.

- Ile było tego siana? - Zapytał Johnny z nieukrywanym zaciekawieniem.

I tutaj Gryski sprzedał nam bałach, bo powiedział, że było to:

- Dwa miliony czterysta pięćdziesiąt tysięcy.

- Ooo fuck! - Johnny prawie krzyknął z wrażenia.

W roku 1969 średnia pensja wynosiła lekko ponad dwa tysiące złotych. W tamtych czasach dwa miliony z dużym hakiem to była prawdziwa fortuna. Jednak prawda miała się zupełnie inaczej, a historię tego przekrętu poznałem dopiero wiele lat później. Teraz zdradzę wam tylko kilka faktów, żeby rozbudzić wasz apetyt. Otóż wyobraźcie sobie, że główny księgowy, który dzielił z nami celę, wyprowadził z rafinerii w ciągu jednego roku dokładnie dwadzieścia dwa miliony czterysta pięćdziesiąt tysięcy! Bajońskie pieniądze! W wyniku drobiazgowego śledztwa, prokuratura odzyskała skromną część łupu, bo dwa miliony z hakiem, natomiast równusiennie dwadzieścia baniek rozpląnęło się w powietrzu. I teraz idzie najlepsze, dacie wiarę, że Edward Gryski nie odsiedział swojego całego wyroku we Wronkach? Jak mi Bóg miły! Cyferka wyszedł na wolność po pięciu latach, a w sprawę jego przedterminowego zwolnienia był zamieszany wysokiej rangi oficer polskiego kontrwywiadu... Grube miliony, które wyparowały z kasy rafinerii nigdy nie zostały odnalezione. Jestem święcie przekonany, że Gryski musiał odpalić słoną działkę człowiekowi, który wyciągnął go z paki. Podejrzewam też, że później czmychnął gdzieś na zachód i zaczął tam toczyć dostatnie i beztrudne życie.

Dziś jestem święcie przekonany, iż Edward Gryski nie dość, że miał tęgi umysł, to był również świetnym aktorem. Kiedy ujrzałem go pierwszego dnia, to miałem takie wrażenia, o jakich wam wcześniej wspominałem. Był wtedy tak przekonujący i tak prawdziwy, że najzwyczajniej w świecie dałem się zwieść. Zrobił świetny teatrzyk, bo i miał ku temu swoje powody. Nie zrozumcie mnie źle, ja absolutnie nie mam do niego żalu. Mnie nie oszukał, powiedział tyle ile uznał za stosowne, trochę nagiął fakty, odjął jedno zero z konta i koniec. Ja osobiście jestem mu bardzo wdzięczny za dwie sprawy. Pierwsza, że razem z Dominikiem Chmielarem załatwili mi państwową emeryturę, a druga, że zdradził mi tajemnicę Liczby Życia.

Cyferka z rangi swojego zawodu nie miał szans, żeby podjąć w pudle jakąkolwiek zarobkową pracę. Skazaniec przecież nie może być zatrudniony w więziennej administracji, choćby miał najlepsze w świecie kwalifikacje i poparcie samego Boga. Ten fakt bardzo mnie cieszył, bowiem w ciągu dnia miałem kompana, a w miłym towarzystwie czas w celi upływał szybko i przyjemnie.

Zupełnie bezinteresownie wzięłem Gryskiego pod swoją opiekę. Na spacerunku trzymał się blisko mnie i już podczas pierwszego wybiegu zapoznałem go z Dominikiem. Panowie bardzo przypadli sobie do gustu. Pomiędzy nimi nie było dużej różnicy wieku, a poza tym mieli wiele wspólnych tematów i świetnie się rozumieli, jakby się znali od lat.

Nasze codzienne dyskusje sprawiły, że połączyła nas specyficzna nić sympatii, jaka może zrodzić się między podstarzałym pierdzielem a dojrzałym mężczyzną. Dwadzieścia pięć lat różnicy, to spory dystans. Jednak powiem wam, że byłem wobec niego szczery i bardzo mi się to opłaciło. Wiedział, że wisi nade mną wyrok dożywocia i miał świadomość, ile lat spędziłem już za kratkami.

Pewnego dnia zapytał mnie:

- A jakiego rzędu masz emeryturę?

- Emeryturę?! Żartujesz sobie?! - Prawie parsknąłem śmiechem. - Nic nie mam. Na dodatek w tym roku zostałem odsunięty od pracy zarobkowej.

- Posłuchaj Ropuch, to tak nie działa - powiedział. - Przysługuje ci państwowa emerytura. Przecież ty masz prawie siedemdziesiąt lat!

- Ej ej, gościu! Tylko nie rób już ze mnie staruszka - rzekłem z uśmiechem. - W październiku dopiero skończę sześćdziesiąt dziewięć.

- Emeryturę powinieneś otrzymać tego dnia, kiedy skończyłeś sześćdziesiąt pięć lat. Z tego co mówiłeś wynika, że w samym więzieniu przepracowałeś ponad czterdzieści, nie wliczając oczywiście czasów wojny. Poza tym, jako młody człowiek też pracowałeś. Skoro otrzymywałeś tutaj legalne wynagrodzenie, to musiały być odprowadzane składki na ubezpieczenie i podatki, a w związku z tym przysługuje ci państwowa emerytura. Poważnie.

Słuchałem go i sam nie wiedziałem, co mam o tym sądzić.

- No dobrze. Przypuśćmy, że masz rację. To co ja mam teraz zrobić? - Zapytałem.

- Jutro na spacerku pogadamy z Dominikiem. On ma doświadczenie w sprawach kadrowych, będzie wiedział jak rozpocząć procedurę.

W ten właśnie sposób przypadkowa rozmowa sprawiła, że nagle urodził się temat, który niebawem miał odmienić moje życie.

- Oczywiście, że masz prawo do emerytury - stwierdził Chmielarz, kiedy Gryski wyjaśnił mu w czym rzecz.

- To co Dominik, pomożemy naszemu przyjacielowi? - Zapytał Cyferka.

- Pewnie, że tak. Wystosujemy najpierw odpowiednie pismo do dyrekcji więzienia, a jednocześnie wyślemy informację do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Jesteś obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i nie ma znaczenia, czy siedzisz w więzieniu czy żyjesz na wolności. Cztery lata temu osiągnąłeś wiek emerytalny i należy ci się z tego tytułu dożywotnie finansowe uposażenie.

Nie wnikałem w detale, bo prawdę powiedziawszy nawet nie miałem pojęcia w jaki sposób miałbym się zabrać do rzeczy. Moimi sprawami, zajęli się nowi, życzliwi kumple.

W przededniu sześćdziesiątych dziewiątych urodzin zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Władzę wtedy sprawował podpułkownik Ryszard Pilch. Oschły koleś, o posępnej twarzy i szpakowatych włosach.

Walnął mi gadkę na temat pracy, ubezpieczeń i świadczeń lekarskich oraz warunków otrzymania emerytury. Nie przyznał się ani słowem, że więzienna administracja powinna moją sprawą zainteresować się całe lata temu. Był niczym biblijny Piłat, który umywał od wszystkiego ręce i nawet nie starał się wskazać konkretnej osoby winnej tego niedopatrzenia, tylko wszystko zwał na... Kurde, jak on to wtedy powiedział? Aha, na trudności biurokratyczne, niedoskonałość systemu i przyczyny obiektywne. Do dziś nie wiem, czym są te tajemnicze przyczyny obiektywne.

Sprawa mojej emerytury wlokła się, aż do stycznia 1970 roku. Dopiero wtedy przysły jakieś papiery z ZUS-u zwane deklaracjami, które musiałem podpisać. Oryginały miały zostać odesłane z powrotem na adres nadawcy, a kopia trafiła do więziennego

wydziału kadr, który zajmował się sprawami osadzonych.

Potem minęło jeszcze kilka tygodni i pod koniec marca otrzymałem decyzję o przyznaniu emerytury oraz informację o wyrównaniu zaległych świadczeń począwszy od dnia 17 października 1965 roku. Po odliczeniu należnego podatku, uwzględniając progi jakichś kurde waloryzacji, ustawowe odsetki i różnicę wynikającą z pieniędzy, które w tym czasie legalnie zarobiłem w więzieniu okazało się, że mam otrzymać z państwowej kasy ponad trzysta tysięcy złotych! Natomiast od kwietnia 1970 roku miałem dostawać najniższą emeryturę krajową, która wtedy wynosiła niespełna sześćset złotych. Oczywiście pieniędzy nie mogłem otrzymać do ręki, tylko miały powędrować na mój więzienny rachunek. Powiem wam, że kiedy się o tym dowiedziałem, to poczułem się tak jak sułtan Brunei, jak pieprzony Rockefeller, jak cholerny Krezus, no bo przecież miałem szmalu jak diabeł gwoździ. Z dnia na dzień stałem się obrzydliwie bogaty! Oczywiście biorąc pod uwagę miejsce mojego pobytu.

Po powrocie do celi tryskałem radością. Kiedy opowiedziałem wszystko chłopakom, obaj mi szczerze gratulowali.

- Teraz jesteś prawdziwy tłścioch - stwierdził Johnny.

- Święty Dyzma nade mną czuwa - powiedziałem i dodałem po chwili: - Dziś przypadają imieniny Dyzmy, a on jest patronem skazańców.

- A ty kiedy się urodziłeś? - Zapytał zniecka Gryski.

- 17 października 1900 roku, a bo co? - Zapytałem.

- A nic - odparł - tak tylko pytam z ciekawości - po czym złapał za swój kajet, w którym ostatnimi czasy dość często pisał jakieś równania i zaczął w nim coś kreślić.

- A co ty właściwie tam przeliczasz każdego dnia? - Johnny zwrócił się do Cyferki.

- Różne rzeczy - odparł. - Wyznaję teorię, że wszystko można zapisać za pomocą równań. Począwszy od zwykłych spraw, a skończywszy nawet na uczuciach. Nie bez powodu mówi się, że matematyka jest królową wszystkich nauk. Bez matematyki nic nie byłoby możliwe, bowiem tylko dzięki niej można wszystko udowodnić.

- Zaraz zaraz - Johnny podniósł się z pryczy. - W jaki sposób można za pomocą cyfr zapisać uczucia.

Cyferka w odpowiedzi posłał mu uśmiech, a potem powiedział:

- Smutek, radość, szczęście, żal, miłość, ból, nadzieję i setki innych uczuć, można udowodnić za pomocą algorytmów. Wiesz czym są algorytmy? - Zapytał.

- Nie mam pojęcia - odparł Johnny.

- No to nie mamy o czym rozmawiać - stwierdził Cyferka. - Bez urazy Johnny - dodał naprędce - ale wyjaśnienie podstaw zajęłoby mi długie tygodnie. Poza tym ty masz duszę artysty i podejrzewam, że żadna nauka ścisła nie leży w kręgu twoich zainteresowań. Mam rację?

- Z każdą nauką zawsze byłem na bakier - zaśmiał się jego rozmówca. - Jeśli idzie o matematykę, to potrafię liczyć tylko takty muzyczne, pieniądze i przejechane kilometry.

Moja stabilizacja finansowa, bo inaczej tego nazwać nie potrafię sprawiła, że czułem się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Tak sobie myślę, że warto było doczekać do tego dnia, kiedy los zesłał mi gwiazdkę z nieba. Teraz mogłem chcieć tylko jednego. Trwać w dobrym zdrowiu i cieszyć się spokojną starością. Moje życie naprawdę

przypominało sielankę. Nikt mnie nie angażował do żadnych durnowatych zajęć, a grypsujący odnosili się do mnie z szacunkiem. Byłem najstarszym więźniem we Wronkach i galernikiem z najdłuższym stażem. W ciągu dnia czas poświęcałem na rozmowy z Cyferką i czytanie książek. W kantynie pozwalałem sobie na różnego rodzaju rarytasy i krótko mówiąc, naprawdę byłem szczęśliwy.

Nie przypuszczałem, że w moim życiu stanie się jeszcze coś szalonego lub ekscytującego. Nie miałem żadnych powodów, żeby o to zabiegać. Jednak człowiek w moim wieku, powinien zdawać sobie sprawę, że los czasami bywa bardzo przewrotny i zaskakujący.

Pierwszy dzień lata 1970 roku wszyscy wronieccy skazańcy przywitani na niedzielnym wybiegu. Pogoda była wspaniała i mogliśmy mieć tylko nadzieję, że tak będzie aż do jesieni. Przyjemnie było wygrzewać stare kosteczki w promieniach czerwcowego słońca. Ja, Dominik i Cyferka rozłożyliśmy się na trawie w rogu spacerowiska. Miałem wrażenie, że od jakiegoś czasu chłopaki coś kombinują. No dobrze, może słówko "kombinują" jest zbyt cwaniackie i kojarzy się z czymś nielegalnym. W każdym bądź razie, moi młodzi towarzysze mieli jakiś sekretny temat i chyba nie chcieli mnie wtajemniczać.

- Powiedzcie mi młodzieńcy, co wy tak ostatnimi czasy knujecie? - Zapytałem podejrzliwym głosem.

- My? - Oburzył się Dominik.

- A widzisz tu kogoś jeszcze, mądralo? No dalej chłopaki, pochwalcie się co was męczy.

Wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenie.

- Tylko obiecaj, że się nie obrazisz - powiedział Cyferka.

- Masz moje słowo - położyłem prawą dłoń na piersi, jakbym chciał mu pokazać, że składam uroczystą przysięgę.

- Doszliśmy do wniosku - ciągnął dalej - że chcielibyśmy dzielić wspólną kwaterę.

- I ty mi mówisz, że mam się nie obrażać?! - Niemal natychmiast wypowiedziałem swoje słowa takim głosem, jakbym faktycznie poczuł się cholernie urażony.

Po ich minach było widać, że raczej nie załapali mojego prostackiego żartu.

Wytrzymałem raptem kilka sekund i parsknąłem śmiechem.

- Ale dajcie się zrobić! - Miałem niezły ubaw i z radości klasnąłem w dłonie.

- Doradź nam staruszk - odezwał się po chwili Dominik - z kim najlepiej o tym pogadać? Jak to załatwić?

- Nie wiem. Przerzutki w celach o których czasami się słyszy wynikają z czegoś zupełnie innego i w przeważającej większości dotyczą tylko siemachów. Na waszym miejscu zagadałbym do peronowego gada.

- Mówisz o dowódcy pawilonu? - Cyferka tym pytaniem chciał się upewnić.

- Dokładnie. Tylko nie wiem, czy coś u niego wskóracie, a on jest właśnie osobą decydującą. Szmalu nie weźmie, to pewne jak w banku więc forma tradycyjnego przekupstwa odpada - zamilkłem, a po chwili dodałem. - Chyba nic mądrego wam nie doradzę.

- Może wystarczyłoby z nim pogadać jak z człowiekiem - stwierdził Dominik. - Z

jego strony to tylko odrobina dobrej woli i zwykłej życzliwości.

- Ładnie mówisz, ale takie rozwiązanie jest mało prawdopodobne - rzekłem. - Przecież to jest więzienie, a nie seminarium dla grzecznych młodzieńców.

Leżąc na trawie i patrząc na nich pomyślałem, że większość więźniów mogłaby im tylko pozazdrościć. Dwóch ludzi odnalazło w tym parszywym miejscu przyjaźń, może daleką od braterstwa krwi ale na pewno obaj poczuli więź, która przyciągała ich ku sobie.

To było miłe.

Powiem wam szczerze, że byłbym gotów wyłożyć forszę, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku, żeby przekupić peronowego gada i załatwić im wspólną kwaterę. Bóg mi świadkiem, że zrobiłbym to dla nich. Obaj bardzo mi pomogli, niczego nie chcieli w zamian, a w więzieniu takie gesty należą do rzadkości. Miałem wobec nich dług i naprawdę chciałem się zrewanżować, ale sprawa zmanipulowanej przerzutki była tematem, który mnie przerastał.

We wtorek dwa dni później, zjedliśmy śniadanie, Johnny wybył do pracy, a ja i Cyferka zalegliśmy na pryczach, niczym sanatoryjni pensjonariusze oczekujący na zabieg. Rozmawialiśmy o jakichś bzdurach, kiedy nagle po drugiej stronie drzwi rozległ się zgrzyt zasuw. Sekundę później w drzwiach ujrzelśmy klawisza, który rzucił w moją stronę:

- Żabikowski, idziecie ze mną! Dyrektor więzienia chce z wami rozmawiać!

- Ze mną? - Zapytałem zaskoczonym głosem i wzułem buty.

Wychodząc z celi spojrzałem na Cyferkę i wzruszyłem bezradnie ramionami.

Kilka minut później w asyście strażnika kroczyłem więziennym dziedzińcem, który tonął w promieniach czerwcowego słońca. Zmierzaliśmy do drzwi wejściowych budynku administracyjnego. Gabinet dyrektora znajdował się na pierwszym piętrze i powiem wam, że przez moment pomyślałem o Wiktorze...

Strażnik zameldował w sekretariacie nasze przybycie i chwilę później wkroczyliśmy do pomieszczenia, gdzie urzędował podpułkownik Pilch.

Przy dużym stole konferencyjnym siedział dyrektor i archiwista Szorpak. Na jego widok delikatnie uśmiechnąłem się pod nosem.

- Siadajcie Żabikowski - podpułkownik wskazał dłonią na krzesło obok Szorpaka.

Posłusznie wykonałem polecenie i naprawdę byłem ciekaw, po co zostałem wezwany.

- Jak wam Żabikowski mija czas na emeryturze? - Miałem wrażenie, że zapytał jakby z lekkim przekąsem. - Nie nudzicie się za bardzo?

- Nie narzekam towarzyszu dyrektorze - odparłem.

- No dobrze Żabikowski, przejdę do rzeczy - Pilch rzucił służbowym tonem. - Obecny tutaj towarzysz Szorpak - kiwnął głową w jego stronę - zajmuje się archiwizacją więziennych kartotek pochodzących z okresu międzywojennego. Sporo akt zachowało się w bardzo dobrym stanie i na dzień dzisiejszy są to dokumenty o wadze historycznej. Kwestia jest tego typu - ciągnął podpułkownik - że na wniosek archiwisty Szorpaka - znowu kiwnął głową w jego kierunku - chciałbym wam zaproponować etat w więziennym archiwum na zasadach wolontariatu. Krótko mówiąc, dostalibyście ciekawe zajęcie, ale za poświęcony czas nie otrzymacie żadnego wynagrodzenia. Towarzysz Szorpak zgłosił

mi waszą kandydaturę, uzasadniając ją tym, że okres międzywojenny spędziliście w tym więzieniu i być może wasza pamięć o tamtych czasach mogłaby się okazać bardzo przydatna. Byliście wtedy już więźniem i być może macie wiedzę, która pozwoli odpowiednio posegregować dokumenty i wyłuskać te o szczególnym znaczeniu. Wcielamy w życie projekt, który pozwoli nam stworzyć z całości archiwalnych dokumentów do roku 1939 włącznie, Izbę Pamięci Więzienia we Wronkach. To tyle co wam mogę ogólnie powiedzieć, jeżeli zechcecie się temu poświęcić, towarzyszu Szorpak wprowadzi was w szczegóły. - Tymi słowami dyrektor zakończył swoją mowę.

W pierwszej chwili nie wiedziałem co mam powiedzieć, a Szorpak i Pilch patrzyli na mnie, jakby czekali na jakiegokolwiek słowo z moich ust.

- Bardzo chętnie przyjmę tę posadę - odezwałem się po chwili i spojrzałem na nich z uśmiechem.

- Świetnie - powiedział podpułkownik - w takim razie zaraz przygotujemy oświadczenie, które będziecie musieli podpisać.

Kilka minut później złożyłem swój autograf na cyrografie, o którym wam już wcześniej wspominałem.

- Dziękuję, że o mnie pomyślałeś - powiedziałem do Szorpaka, kiedy znaleźliśmy się w pomieszczeniach podziemnego archiwum.

- Wiedziałem, że się ucieszysz - odparł - a swoją drogą, to mam nadzieję, że będziesz mi mógł opowiedzieć wiele interesujących historii. Większość dokumentów już posegregowałem. Udało mi się odnaleźć akta kilkunastu strażników, którzy na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych pracowali w więzieniu oraz ewidencję pracowników z lat 1930-1935. Tu leżą ich papiery. - Wskazał dłonią na regał z prawej strony, gdzie ułożone w stos spoczywały stare, zmurszałe teczki. - Kolejny regał to więźniowie - powiedział, a ja zerknął na trzy półki pełne starych akt. - Natomiast to wszystko trzeba jeszcze przejrzeć - kiwnął głową na skrzynie stojące w kącie po prawej. - Może natkniemy się jeszcze na jakichś funkcjonariuszy? - Powiedział z nadzieją w głosie.

- Sporo tego - stwierdziłem. - W przededniu wojny dokumentacja była wywożona, ale jak widać trochę się tego uchowało.

- I to całkiem dużo - dodał Szorpak. - No to co, może napijemy się herbaty i wyjaśnię ci jaki jest plan. - Ruchem ręki wskazał na swoje pomieszczenie biurowe.

Szorpak zalał wrzątkiem szklanki z herbacianym suszem i podając mi ceramiczną cukiernicę, zapytał:

- Słodzisz?

- Nie pamiętam kiedy ostatni raz piłem słodzoną herbatę - powiedziałem i wsypałem do mojej szklanki dwie łyżeczki cukru.

Kiedy woda nieco ostygła i pociągnąłem mały łyżeczek, miałem wrażenie, jakbym pił syrop.

- Mogę tutaj zapalić? - Zapytałem.

- Niestety nie - odparł. - Przepisy przeciwpożarowe zabraniają - rozłożył bezradnie na boki ręce. - Jak chcesz zapalić, musisz wyjść na korytarz. W zaułku po prawej są dwa fotele, stolik i popielniczka. Tam można palić.

- No to idę na dymka, a potem możemy się zabrać do dzieła.

Dziwnie się czułem, kiedy siedziałem w fotelu i ćmiłem szluga w piwnicy budynku administracyjnego. Jak tylko słyszałem czyjeś kroki na schodach albo trzaśnięcie drzwiami, to aż podskakiwałem z wrażenia i chciałem wiać do archiwum.

Przez kolejne dwie godziny wyciągaliśmy akta ze skrzyń i układaliśmy je na regale według dat widniejących na opisie. Teczki były tak wymieszane, jakby ktoś je pakował na chybił trafił.

- Potem będziemy musieli sprawdzić, czy dane zewnętrzne zgadzają się z tym co jest w środku. Na razie wykorzystamy ten regał i dopiero jak będziemy zakładać kartoteki, wtedy ustawimy wszystko jak należy.

Kiedy otworzyliśmy kolejną skrzynię okazało się, że w środku nie ma żadnych szarych teczek, a wszystkie akta są wrzucone luzem i wymieszane niczym groch z kapustą.

- O nie - jęknął Szorpak. - Z tym to będzie prawdziwa mordęga. Zostawmy to na sam koniec. Sprawdźmy kolejną skrzynię.

Dochodziła trzynasta, kiedy mój nowy szef stwierdził, że teraz ma przerwę.

- Skoczę do kantyny na jakiś obiadek, a ty w tym czasie zaparz sobie herbaty, zapal papieroska, odpocznij. Będę za pół godziny - powiedział i zostawił mnie samego w archiwum.

Fajną ma pracę - przemknęło mi przez myśl i wyszedłem na dymka.

Siedziałem na krześle w biurowym pomieszczeniu Szorpaka i sączyłem ciepłą herbatkę. Na biurku obok leżała sterta jakichś papierów, zszywacz i duży dziurkacz. Za moimi plecami stała metalowa szafka z czterema wysuwanymi szufladami, a w każdej z nich znajdowała się mała karteczka opisowa. Popychany zwykłą ludzką ciekawością otworzyłem górną szufladę i zajrzałem do środka. Wewnątrz znajdowały się pionowo ustawione teczki personalne. Chyba były poustawiane według kolejności alfabetycznej, bo co jakiś czas w nieregularnych odstępach była przegródka z literą. Wyjąłem pierwszą z brzegu teczkę i zerknąłem na czołowy opis.

Widniały tam drukowane litery układające się w dwa słowa:

BUGACKI WALDEMAR

Otworzyłem teczkę i zerknąłem do środka.

To były dokumenty strażnika, który w latach 1948 do 1953 pełnił służbę we wronieckim więzieniu. Do akt było dołączone jego zdjęcie, życiorys, kopie szkolnych świadectw i kwestionariusz świadczący o przebiegu służby. Twarz spoglądająca ze zdjęcia, była mi całkiem obca, chociaż z dokumentów wynikało, że facet spędził tutaj pięć lat swojego życia. Ostatnia pozycja w kwestionariusz mówiła o tym, że w związku ze zmianą adresu zamieszkania został przeniesiony do zakładu karnego w Bydgoszczy.

Odłożyłem jego akta na miejsce.

Pociągnąłem łyk herbaty i w pewnym momencie, coś mnie tknęło.

Jeszcze raz otworzyłem szufladę i spojrzałem na przegródki z literami. Na ostatniej widniało "G". Wysunąłem drugą szufladę. Identyczny podział i zawartość zamykało "L". Pociągnąłem za uchwyt trzeciej. Litera "O" przykuła mój wzrok. Nagle obróciłem się przez ramię i spojrzałem w kierunku wejścia do archiwum, jakbym chciał się upewnić, czy nikt tam nie stoi. Pochyliłem się nad otwartą szufladą. W przegródce z literą "O" były

tylko trzy szare teczki. Na pierwszej widniało OKUCKI ZBIGNIEW, na drugiej OSUCH JAN, a na trzeciej... OZURSKI MODEST. Na widok tego nazwiska poczułem, jak moje serce zabiło ze zdwojoną siłą. Nie miałem pojęcia, która jest godzina i za ile minut zjawi się Szorpak. Nie zastanawiając się ani sekundy dłużej wyjąłem jego akta. Otworzyłem teczkę i na pierwszej stronie zobaczyłem znajomy ryj. Miałem ochotę przyłożyć pięścią w to cholerne zdjęcie. Zacząłem czytać jego pieprzony życiorys. Modest Ozurski urodził się 4 października 1931 roku... II wojna światowa przesunęła jego edukację o kilka lat. Uczył się, pracował, potem znowu się uczył. Studiował psychologię, ale rzucił naukę na trzecim roku i w wieku lat dwudziestu czterech wstąpił do Szkoły Oficerskiej w Ilawie. Zerknąłem ponownie na datę jego urodzin i nagle poczułem, jak zimny dreszcz zmroził mi skórę na karku. W pierwszej chwili pomyślałem: *Nie, to niemożliwe. Takie kurwa mać rzeczy dzieją się tylko w książkach, a nie w normalnym życiu! To po prostu niemożliwe!* Burza myśli w okamgnieniu porwała mnie do dawnych wspomnień, jednak za skarby świata nie potrafiłem sobie przypomnieć daty. To makabryczne zajście na pewno zdarzyło się na początku października. *Wiem, że to była niedziela! Przecież wracaliśmy wtedy ze spacerniaka i wszyscy zobaczyli, jak Wolf trzymając w ramionach zwłoki Szumskiego, rzucił się z wieży.* - W myślach mówiłem sam do siebie, a przed oczami wyobraźni jawiły się wspomnienia, jakby zostały utrwalone na kadrach filmowej taśmy. Dłonie zaczęły mi drżeć, serce waliło niczym młot, a skronie rozsadzał wściekły, dudniący puls. Wtem przypomniały mi się słowa Szorpaka, że udało mu się odnaleźć akta kilkunastu strażników. Poderwałem się z miejsca i szybkim krokiem ruszyłem na drugi koniec pomieszczenia. Miałem nadzieję, że być może pośród archiwalnych dokumentów znajdę teczkę z aktami Szumskiego.

Nazwiska na etykietach były mi zupełnie obce. To musiały być osoby zatrudnione w pionie administracyjnym, a nie w charakterze strażników. Istniała jeszcze szansa, że odpowiedź na potwierdzenie moich przypuszczeń, mogła znajdować się w teczce, na której widniała wyblakła przez lata pieczęć o treści:

"CENTRALNE WIĘZIENIE WE WRONKACH"

Poniżej czarnym tuszem na białej etykiecie były ręcznie wykaligrafowane drukowane litery układające się w słowa:

EWIDENCJA PRACOWNIKÓW

1930 - 1935

Lewa krawędź teczki miała pośrodku dwie dziurki, przez które wychodził lniany sznurek i był związany na supeł. Dwa luźne końce były razem zalane lakiem w którym widniała odcisnięta pieczęć.

Otworzyłem teczkę.

Wewnątrz było dwanaście ponumerowanych kartek. Papier był pożółkły ze starości, a obrzeża stron wyglądały tak, jakby czas pokąsał je swoimi kłami.

Na pierwszej stronie widniała adnotacja napisana na maszynie:

Ewidencja pracowników zatrudnionych
w Centralnym Więzieniu we Wronkach
w okresie 1 stycznia 1930
do dnia 31 grudzień 1935

Spis według porządku alfabetycznego.

Sporządził:

Grzegorz Surma

st.referent d/s presonalnych

Tuż obok nazwiska majaczył czerwony ślad po imiennej pieczętce oraz fragment złożonego podpisu, który najprawdopodobniej należał do człowieka, który wykonał to zestawienie.

Zacząłem przeglądać stronicę z rubrykami. W pierwszej kolumnie była liczba porządkowa. W drugiej nazwisko i imię, w trzeciej stopień lub funkcja, a w czwartej obok niektórych nazwisk znajdowała się krótka, odręcznie skreślona adnotacja. Wpisy były różnej treści. Na przykład:

"przeniesiony do Rawicza z dniem 1 czerwca 1930"

"zwolniony z dniem 31 marca 1931"

Nerwowo zacząłem kartkować formularze, żeby dotrzeć do nazwisk zaczynających się na listwę "S".

U dołu na przedostatniej stronie zobaczyłem nazwisko, którego szukałem.

Pozycja pierwsza:

numer ewidencyjny 73

Pozycja druga:

Szumski Teodor

Pozycja trzecia:

aspirant

Pozycja czwarta:

zakończył służbę dnia 4 października 1931

To było wszystko. Krótka, treściwa informacja nie podająca żadnych przyczyn.

Spoglądałem na zapisaną datę i czułem, jak moje nogi zaczynają się uginać w kolanach. Świat zawirował mi przed oczami. Musiałem się oprzeć obiema rękami o regał i zaczerpnąłem kilka głębokich oddechów.

Odłożyłem spis na miejsce i wyszedłem na korytarz. Musiałem zapalić. Wyjąłem szluga z papierośnicy, przypaliłem i ciągnąłem fajkę z taką siłą, jakbym chciał ją spalić w trzech machach. Siedziałem w fotelu przed wejściem do archiwum i zupełnie zapomniałem, że akta Ozurskiego leżą w kanciapie na biurku obok mojej szklanki z herbatą. Zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że tego samego dnia kiedy Wszawy Mendziarz pożegnał się z tym padołem, w rodzinie Ozurskich przyszedł na świat potomek płci męskiej, któremu dano idiotyczne imię Modest? W trakcie swojego długiego życia słyszałem wiele niesamowitych opowieści, czytałem o innych religiach, o reinkarnacji, o wędrówkach dusz, o kolejnych wcieleniach. Teoria o pętli istnienia mówiła, że człowiek bezustannie rodzi się i umiera, umiera i rodzi ponownie i że ten proces nigdy nie ma końca. Daleki byłem od fantazjowania i napychania sobie głowy bzdurami, ale fakty mówiły same za siebie. Czwarty października 1931 roku. Jedna data w niesamowity sposób łączyła dwóch ludzi. Mało tego, przecież dobrze wiecie, że osoba Ozurskiego od zawsze kojarzyła mi się z aspirantem, który mnie gnębił w przeszłości. Siedząc w korytarzu i paląc fajkę, byłem w stanie uwierzyć we wszystkie, nawet w te najbardziej szalone teorie. Z drugiej strony rozsądek podpowiadał mi, że to tylko zbieg okoliczności. Nie można było na sto procent wykluczyć prawdopodobieństwa, że oba zdarzenia rozegrają się w tym samym czasie, prawda? Więc skoro była choćby jedna szansa na miliard do potęgi entej, to mogła się zdarzyć. Oczywiście uruchomiła się moja wybujała wyobraźnia i zacząłem wymyślać bzdury. No ale powiedzcie sami, czy będąc na moim miejscu nie bylibyście zaskoczeni? Kiedy zapaliłem drugiego z rzędu szluga byłem już nieco bardziej uspokojony. Po kilku machach stwierdziłem z uśmiechem na ustach, że będzie co opowiadać. Taka lekko niesamowita historyjka z delikatnym dreszczykiem, pełna niedomówień i niejasności, które pozwolą słuchającemu dojść do własnych wniosków.

Wróciłem do pomieszczenia, które służyło Szorpakowi za biuro i zorientowałem się, że akta Ozurskiego leżą na blacie. *Całe szczęście, że archiwista jeszcze nie wrócił z kantyny* - szepnąłem w duchu. Złapałem za szarą teczkę i już ją miałem włożyć do szuflady, kiedy mój wzrok spoczął na białej etykiecie. Przez moment wpatrywałem się w dwa znienawidzone wyrazy, napisane drukowanymi literami.

OZURSKI MODEST.

Zamyślonym wzrokiem spoglądałem na rząd liter i nagle znaki zaczęły jakby pulsować przed moimi oczami. Z wrażenia zabrakło mi tchu, otworzyłem szeroko usta i nerwowo wciągałem w płuca powietrze. Może data 4 października 1931 roku była jedynie niefortunnym zbiegiem okoliczności, ale słowa brzmiące MODEST OZURSKI były anagramem wyrazów TEODOR SZUMSKI.

Nawet nie zauważyłem, kiedy Szorpak zjawił się w archiwum. Na szczęście akta Ozurskiego spoczywały już wtedy na swoim miejscu, a ja siedziałem na krześle i nie mogłem opanować nawałnicy myśli, która toczyła się przez mój umysł. Mówcie co chcecie, ale nikt mnie nie przekona, że zarówno data, jak i anagram to niebywały,

podwójny przypadek. Nigdy w to nie uwierzę, rozumiecie? Nigdy! Już wtedy wiedziałem, że do końca mojego życia nie przekona mnie żadne inne wytłumaczenie. W tamtej chwili zacząłem wierzyć w wędrówkę dusz oraz ich ponowne odradzanie się w nowych wcieleniach. Być może ta sprawa nie dotyczy każdego człowieka i spotyka jedynie boskich wybrańców albo piekielnych potępieńców? A może trzyma nad tym pieczę jakaś niewyobrażalna moc, która włada całym wszechświatem i panuje nad czasem? Chyba na tym świecie próżno szukać wyjaśnień na takie pytania. Ufam natomiast, że w tej samej sekundzie, kiedy zgaśnie we mnie życie, mój duch pomknie w stronę Światła i w jego blasku odnajdę wszystkie odpowiedzi.

Przez resztę dniówki przekładałem z Szorpakiem akta, które segregowaliśmy według dat, ale nie potrafiłem w żaden sposób skupić się na moim nowym zajęciu. Głowę miałem zajęłą myślami i chciałem jak najszybciej wrócić do celi, żeby opowiedzieć o wszystkim Johnnemu i Cyferce. Musiałem się z kimś podzielić moimi przeżyciami.

Punktualnie o piętnastej zero zero Szorpak powiedział:

- To co, widzimy się jutro i działamy dalej.

Potem zaprowadził mnie na dyżurkę przy bramie wjazdowej, a jeden z klawiszy pełniących służbę odeskortował mnie do celi.

- Gdzie się podziewałeś przez cały dzień? - Zapytał Cyferka, kiedy usiadłem na pryczy.

- Zabrali cię do stolarni, żebyś udzielił tym partaczom fachowych wskazówek? - Rzucił Johnny ufając, że odgadł przyczynę mojej nieobecności.

Nim zjawiała się wydawka z obiadem zdążyłem im opowiedzieć o mojej dzisiejszej wizycie w gabinecie dyrektora i propozycji, którą usłyszałem z jego ust.

- Fajna fucha - stwierdził Johnny. - Teraz będziemy mogli mówić, że dzielimy celę z pracownikiem więziennej administracji - powiedział do Cyferki i mrugnął do niego porozumiewawczo okiem.

- Myślę, że zajęcie będzie interesujące. Pogrzebię trochę w papierach, odżyją dawne wspomnienia - powiedziałem z nutką lekkiej nostalgii. - Jednak najlepsze jest to, że archiwista Szorpak ma pod dostatkiem herbaty, cukru i kuchenkę na której można zagotować wrzątku.

- My friend, to teraz będziesz wiódł luksusowe życie!

- Wiecie co wam powiem chłopaki, to wszystko pryszcz - rzekłem takim głosem, jakbym chciał im zdradzić największą tajemnicę świata i w tym samym momencie pod drzwiami celi zajechał wózek wydawki.

Kuchta napełnił nasze miski jakąś półpłynną papką, którą nazwał zupą kalafiorową i wręczył każdemu po dwie kromki chleba.

- No to nawijaj generale - odezwał się Johnny i zaczął szamać zupę.

- Może zjedzmy w spokoju - odparłem - a potem wam opowiem taką historię, że zwariujecie.

- To, co mnie dzisiaj spotkało i odkrycie, którego dokonałem w archiwum jest po prostu - zamilkłem na moment, żeby znaleźć odpowiednie słowo - jest po prostu niewytłumaczalne i nie mieści się w głowie. To będzie cholernie długa historia, tak więc walnijcie się wygodnie na pryczę - dłonią wskazałem kogo Johnnego - i nadstawajcie uszu.

Cyferka i Johnny usiedli na wprost mnie.

Sięgnąłem po fajkę i zacząłem mówić.

- Latem 1922 roku trafiłem do wronieckiego więzienia - tymi słowami rozpocząłem swą długą opowieść.

Wiedziałem, że muszę skupić się na szczegółach, bo tylko wtedy moi dwaj słuchacze będą w stanie wyobrazić sobie, jakim człowiekiem był Teodor Szumski i ile krzywdy od niego doświadczyłem. Dokładnie im zrelacjonowałem moje pierwsze spotkanie z aspirantem, kiedy uświadomił mi za kogo się tutaj uważa. Sam byłem zdziwiony, że pamiętałem o tym, jak postukał mnie metalowym kubkiem w czoło. Opowiedziałem im, jak dostałem na święta paczkę, której zawartością podzieliłem się z moimi kumplami. Usłyszeli również, jak Wszawy Mendziarz przytrzymał nas przez kilka godzin na spacerunku w mroźny, grudniowy dzień. Nie omieszkałem oczywiście wspomnieć, jak kazał mi odśnieżać promenadę, a ja myślałem, że zamrznę wtedy na śmierć. Potem moi współlokatorzy dowiedzieli się, jak wyglądał pochówek więźnia na wronieckim cmentarzu i jak Szumski kazał nam się odlać na świeżą mogiłę. Przez blisko dwie godziny roztaczałem przed nimi swoje wspomnienia, aż doznałem dnia, kiedy Rzeźnik z Danzing złamał Szumskiemu kark. Spoglądali na mnie z niedowierzaniem, jak mówiłem, że Wolf rzucił się z dzwonnicy trzymając w objęciach zwłoki funkcjonariusza, a potem niczym dwie kukły dyndali na jednym sznurze.

- Wyobraźcie sobie, że wszyscy skazańcy stojący na więziennym dziedzińcu w milczeniu spoglądali z zadartymi do góry głowami. Dwa ciała, które wyglądały jak manekiny kołysały się i za każdym razem, kiedy opadały bezwiednie w dół, dzwon na wieży odzywał się swoim ponurym bamm! bamm! - Starłem się naśladować jego dźwięk. - I teraz pora na drugą część mojej opowieści. Cyferka nie miał okazji znać kapitana Ozurskiego, ale ty Johnny dobrze wiesz, jaki był z niego kutas, prawda?

- Oj prawda my friend - potwierdził. - Przez tego fiuta cały rok babrałem się w gównie - rzekł, a potem on zaczął opowiadać o swoich przeżyciach.

Cyferka słuchał z zainteresowaniem, a minę przy tym miał taką, jakbyśmy snuli historie wysrane z palca.

- Ozurski od pierwszego dnia pałał do mnie niechęcią. Macie pojęcie, że podejrzewał mnie, iż jestem jednym z mącieli? - Zaśmiałem się szyderczo.

- Kim?! - Cyferka wpadł mi w zadnie i musiałem mu wyjaśnić o czym mówię.

- Byłem częstym gościem w gabinecie towarzysza porucznika, a potem kapitana - ciągnąłem dalej i pochwalilem się, jakimi dodatkowymi zajęciami mnie obarczał.

Moi słuchacze przeżyli kolejny szok, kiedy usłyszeli relację o dniu, kiedy po ścianach wronieckich peronów popłynęły wodospady krwi. Nie koloryzowałem, jeśli idzie o osobę Modesta Ozurskiego i uczciwie mówiłem, jakie między nami panowały relacje.

- Dziś podczas pobytu w archiwum - przeszedłem do sedna sprawy - mój nowy przełożony zrobił sobie półgodzinną przerwę i udał się na obiad do kantyny... - Z najdrobniejszymi detalami opowiedziałem im o tym, jak odkryłem, że data śmierci Szumskiego okazała się datą urodzin Modesta. - Wiem, że możecie to uznać za zbieg okoliczności, bo sam tak pomyślałem...

- Prawdopodobieństwo jest bardzo znikome, ale możliwe - powiedział Cyferka poważnym głosem.

- Zgadza się - dodałem - masz rację. W pierwszej chwili trudno mi było w to uwierzyć. Jednak kierując się zdrowym rozsądkiem i świadomością, że niesamowite przypadki mają prawo się zdarzyć, uznałem to za cholernie zaskakujący fakt. Wiecie, czym jest anagram? - Znienacka zadałem im pytanie.

Johnny nie miał pojęcia, natomiast Cyferka, tak jak się spodziewałem wiedział.

- Anagram może być jednym słowem albo wyrażeniem składającym się z kilku wyrazów i przestawiając kolejność liter można uzyskać zupełnie inne znaczenie - starałem się w obrazowy sposób wyjaśnić Johnnemu o czym mówię.

- Nie kumam my friend - powiedział patrząc na mnie cielecym wzrokiem.

- Na przykład - zacząłem się zastanawiać, ale nic nie przychodziło mi do łba. - Cyferka, ty jesteś łebski facet, pomóż znaleźć jakiś wyraz, żeby Johnny załapał o co chodzi.

Gryski podniósł się z pryczy i sięgnął po swój kajet, który trzymał pod poduszką.

- Pomyślmy - powiedział - i najlepiej, żeby to było słówko o więziennym charakterze.

Johnny spoglądał na nas takim wzrokiem, jakby miał nas za osoby niespełna rozumu.

- Mam! Mam mam mam! I to bardzo dobre! - Rzucił Cyferka. - Umiesz pisać i czytać, prawda? - Zwrócił się do Johnnego z czysto retorycznym pytaniem. - W takim razie napisz tutaj słowo bandzior - i podał mu kajet oraz ołówek.

Johnny wykonał jego polecenie.

- A teraz ja będę ci mówił literę, a ty najpierw będziesz ją wykreślał z wyrazu, który już napisałeś i pisał ją poniżej, rozumiesz?

- Dajesz! Pewnie, że rozumiem.

- No to zaczynamy, najpierw literka "zet", dobrze, a teraz "be". Świetnie! No to pora na "er" - Cyferka przeliterował cały wyraz i zapytał Johnnego: - I co wyszło?

- Zbrodnia - odpowiedział zaskoczonym głosem. - Ale jaja! Dobre! Normalnie nie wierzę!

- Pokaż ten zeszyt - wyciągnąłem rękę w jego kierunku.

Chwilę później spojrzałem na zapiski Johnnego i stwierdziłem, że faktycznie anagram słowa "bandzior" to "zbrodnia".

Wiedziałem, że Cyferka to inteligentny koleś, ale żeby w tak krótkim czasie znaleźć tak dobitne i tematycznie powiązane z naszą egzystencją słowo, wprawiło mnie w podziw dla jego umysłu.

- Podaj ołówek - zwróciłem się do Johnnego.

Grafitowym rysikiem napisałem drukowanymi literami dwa wyrazy:

MODEST OZURSKI

Podaliśmy kajet Cyferce i zapytałem:

- Widzicie to?

Gryski i Johnny spoglądali na zapisane przeze mnie słowa.

- Ooo kurwa - powiedział Cyferka z niesamowitym zaskoczeniem, a my po raz

pierwszy usłyszeliśmy jak w jego ustach zabrzmiało przekleństwo.

- Ja tam nic nie widzę - wtrącił Johnny.

- No to patrz uważnie - powiedział najmądrzejszy z naszej trójki i zaczął wyłuskiwać nowe słowa.

- O fuck! Fuck! Fuck! - Johnny prawie krzyknął. - Niemożliwe, pokaż to! - Wyrwał mu zeszyt z rąk.

- I co powiecie? - Zapytałem. - Szok, prawda? Mnie już przeszło zaskoczenie, ale w pierwszej chwili myślałem, że się zesram. Teraz to tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju - obaj spojrzeli na moją twarz. - Dlaczego akurat dziś, dlaczego to wydarzyło się 23 czerwca 1970 roku?

Kiedy wypowiedziałem swoje słowa, Cyferka niemalże wyrwał Johnnemu kajet z dłoni, zaczął coś pisać i zapytał:

- Przypomnij mi, kiedy się urodziłeś?

Spojrzałem na niego zaskoczony wzrokiem i rzekłem:

- A co to ma do rzeczy?

To ja opowiadałem im taką niesamowitą historię, a on mnie pyta o datę moich urodzin?! Już kiedyś kreśląc coś w tych swoich zapiskach pytał mnie o dzień, kiedy zjawiłem się na ziemskim padole.

- Można powiedzieć, że doświadczyłeś dziś czegoś istic mitycznego, zgadza się? - Łypnął wpierw na mnie, a później na Johnnego. - Spędziliśmy z sobą trochę czasu i doskonale wiesz, że jestem człowiekiem, który twierdzi, że wszystko można wyjaśnić w racjonalny sposób. Wszystko można zapisać za pomocą cyfr - powiedział i spojrział na swoje bazgroły. - Powiem ci przyjacielu, że naszym życiem rządzą liczby. Moim, twoim, Johnnego, dyrektora Pilcha, aspiranta Szumskiego. Liczby odciskają się piętnem w życiu każdego człowieka. Bez wyjątku.

Ja i Johnny spoglądaliśmy na Cyferkę, nie mając pojęcia do czego zmierza i o co mu w ogóle chodzi?

- Co ty pieprzysz o jakichś liczbach? - Zapytał Johnny.

- Nie o jakichś liczbach, mówię konkretnie o jednej liczbie. O Liczbie Życia, która jest przypisana każdemu człowiekowi.

- Cyferka posłuchaj... - chciałem mu powiedzieć, że rozmawialiśmy o innych sprawach, a on nagle wyskoczył z jakimś matematycznym tematem.

- Pozwólcie mi tylko wyjaśnić - wpadł mi w zdanie. - To nie jest skomplikowane o czym sami się przekonacie. Postaw tutaj taboret - zwrócił się do Johnnego i wskazał mu miejsce pomiędzy pryzami.

Chwilę później Cyferka położył na siedzisku kajet i zanim zaczął cokolwiek pisać, powiedział:

- Powiem wam, że zawsze kochałem matematykę. Od dziecka, od najmłodszych lat lubiłem rachować. Nie wiem dlaczego, bo moi rodzice nie byli prostymi ludźmi. Tabliczkę mnożenia nauczyłem się zanim poznałem litery i potrafiłem szybko liczyć w pamięci. Jako dorosły młodzieniec studiowałem dwa kierunki. Matematykę i ekonomię. Będąc jeszcze na studiach odkryłem pewien paradoks, który nazwałem Liczbą Życia. Każdy z nas urodził się innego dnia. Ropuch przyszedł na świat 17 października 1900

roku - powiedział i u góry kartki zapisał datę w następujący sposób 17.10.1900 - A ty kiedy się urodziłeś? - Zwrócił się do Johnngo.

- 16 grudnia 1937

Nieco niżej zapisał 16.12.1937

- Dzień waszych urodzin zawiera konkretne cyfry, prawda? - Tłumaczył nam jak dzieciom. - Zadam wam teraz bardzo oczywiste pytanie, które wcale nie jest podchwytliwe. Powiedzcie mi, ile znacie cyfr?

- No jak to ile? - Odparł Johnny. - Od groma, są ich miliony czy miliardy...

- Nie nie Johnny - Gryski wpadł mu w zdanie - to o czym mówisz, to są liczby a nie cyfry, rozumiesz? Cyfra to znak graficzny za pomocą którego możemy zapisać liczby - spojrzał po naszych twarzach. - Prawie każda cywilizacja na przestrzeni dziejów świata, miała swój sposób na zapisywanie liczb. Te znaki graficzne - wskazał rysikiem na daty w kajecie - to tak zwane cyfry arabskie, które tak na marginesie pochodzą z Indii, ale mniejsza o to. Powiedzcie mi więc, ile znacie cyfr arabskich?

- Od jednego do dziewięciu, czyli dziewięć - odparł Johnny w taki sposób, jakby rozszyfrował skomplikowaną zagadkę.

- Prawie dobrze - stwierdził nasz egzaminator. - W sumie znaków jest dziesięć, bo jeszcze jest zero.

Obaj z Johnnym pokiwaliśmy głowami, dając tym wyraz, że co racja to racja.

- W datach waszych urodzin jest osiem znaków graficznych - ciągnął Cyferka i zmierzał do tylko sobie wiadomej puenty. - Teraz wykonam dodawanie, sumując każdą cyfrę z osobna. Od czyich urodzin mam zacząć?

- Od najmłodszego - rzucił Johnny i posłał nam swój uśmiech.

- No to zaczynamy - powiedział Cyferka, zaczął pisać i jednocześnie mówił: - $1 + 6 + 1 + 2 + 1 + 9 + 3 + 7$ zgadza się? - Spojrzał po naszych twarzach. - No to teraz będziemy te cyfry dodawać. $1 + 6 = 7 + 1 = 8 + 2 = 10 + 1 = 11 + 9 = 20 + 3 = 23 + 7 = 30$ W wyniku dodawania otrzymaliśmy liczbę 30, ale my dążymy do tego, żeby otrzymać liczbę pojedynczą, czyli znak graficzny zwany cyfrą. Rozbijamy liczbę 30 i jakie to będą cyfry? - Zapytał Johnnego.

- Trzy i zero.

- Świetnie! Widzę, że zaczynasz łapać wyższą matematykę - zażartował Cyferka i rzekł: - Czyli zapisujemy $3 + 0$ a ile jest $3 + 0$?

- Trzy - odparł Johnny, a mnie już powoli zaczynało strzykać w dupie od tego dziecinnego liczenia.

- Dobrze, czyli obok twojej daty urodzin zapisuję z boku trójkę. Teraz dokonamy ponownego liczenia i też będziemy zmierzać ku temu, żeby w finalnym wyniku uzyskać tak jak poprzednio liczbę pojedynczą. Zrobimy to nieco inaczej, nie będziemy rozbijać daty na poszczególne cyfry, tylko posłużymy się zawartymi w niej liczbami, a to będzie 16 czyli dzień twoich urodzin, 12 bo to był grudzień i rok, czyli liczba 1937. Teraz dodajemy $16 + 12 = 28$ zgadza się? - Zaczynałem mieć wrażenie, że Cyferka albo uważa nas za największych idiotów w tym pudle, albo nas wkłęca w jakąś matematyczną zabawę. - Brnijmy więc dalej $28 + 1937 = 1965$ chcecie sprawdzić? - Obrócił zeszyt w moją stronę. Nie musiałem się zbytnio wysilać, żeby przyznać mu rację. Zawsze

potrafiłem dobrze rachować w pamięci. - To teraz liczbę 1965 rozbijamy na pojedyncze znaki graficzne - ciągnął dalej - i wykonamy następujące działanie $1 + 9 + 6 + 5$ w wyniku dodawania otrzymaliśmy liczbę 21 a $2 + 1 =$ ile? - Zapytał i w tym samym momencie wskazał na trójkę, którą jakiś czas temu zapisał obok daty urodzin Johnnego.

Ciekawe - przemknęło mi przez myśl, ale i tak byłem zniesmaczony jego wywodem.

- I jaki z tego wniosek? - Zapytał najmłodszy z nas.

- Ano taki, że trójka jest nierozzerwalnie związana z twoim ziemskim istnieniem. To twoja Liczba Życia - powiedział Cyferka.

- No dobrze, ale nie rozumiem do czego w ogóle zmierzasz - powiedziałem lekko znudzonym głosem, a w duchu pomyślałem - *Może to i ciekawe, że dodając te same liczby na dwa różne sposoby otrzymujemy identyczny wynik końcowy. Tylko jak to się ma do mojego dzisiejszego odkrycia? Cóż ma wspólnego z moimi przeżyciami?*

- Daj mi jeszcze chwilę, a zaraz sam się przekonasz i uważaj, żebyś nie padł trupem - powiedział Cyferka i dodał: - Weź kajet i sam oblicz swoją Liczbę Życia - przesunął w moim kierunku zeszyt, a ja udając znudzenie zacząłem pisać:

$$1 + 7 + 1 + 0 + 1 + 9 + 0 + 0 = 19$$

$$1 + 9 = 10$$

$$1 + 0 = 1$$

- Teraz zrób to drugim sposobem dzień plus miesiąc plus rok - rzucił Gryski.

Znowu zacząłem pisać:

$$17 + 10 + 1900 = 1927$$

$$1 + 9 + 2 + 7 = 19$$

$$1 + 9 = 10$$

$$1 + 0 = 1$$

- Jak widzisz jedynka jest twoją Liczbą Życia - powiedział Cyferka, a ja odłożyłem ołówek i pomyślałem: - *Fajnie i co z tego?* - Pewnie myślisz, że to tylko durnowata zabawa, która nic nie znaczy, ale jesteś w błędzie. Każdy dzień jest napiętnowany jedną z dziewięciu cyfr, które w mojej teorii nazwałem Liczbą Życia. Napisz dzisiejszą datę, bo zastanawiałeś się dlaczego właśnie dziś wydarzyło się w twoim życiu coś niesamowitego. No napisz, śmiało. Zaraz przejrzyś na oczy.

Złapałem za ołówek i skreśliłem dane dzisiejszego dnia.

23.06.1970

- Oblicz Liczbę Życia dla dzisiejszego dnia - powiedział Cyferka.

Ponownie zacząłem pisać:

$$2 + 3 + 0 + 6 + 1 + 9 + 7 + 0 = 28$$

Kiedy zobaczyłem, że w wyniku dodawania otrzymałem liczbę 28 poczułem jak zaczęły mi drżeć dłonie.

$$2 + 8 = 10$$

$$1 + 0 = 1$$

- O Chryste Panie - jęknąłem.

- O w mordę - zawtórował mi Johnny.

- Zaczynacie dostrzegać magię liczb i jej wpływ na nasz los? - Zapytał Cyferka, a

ja byłem wręcz zdumiony. - Wspomniałeś jeszcze dzisiaj o dniu czwartym października 1931 roku - zwrócił się do mnie. - Sprawdź jaką Liczbę Życia miał tamten dzień.

Czym prędzej zacząłem pisać:

$$0 + 4 + 1 + 0 + 1 + 9 + 3 + 1 = 19$$

Tyle wystarczyło, żebym dostrzegł wynik.

O Boże Wszchemogący! - Krzyknąłem w myślach i w tym samym momencie zacząłem liczyć drugim sposobem:

$$4 + 10 + 1931 = 1945$$

$$1 + 9 + 4 + 5 = 19$$

- Jak to możliwe? - Zapytałem zdumionym głosem.

Cyferka rozłożył ręce na boki i powiedział:

- Jutrzejszy dzień będzie naznaczony liczbą 2, czwartek liczbą 3, piątek liczbą 4 i tak dalej. Cykl zaczyna się w pierwszym dniu każdego miesiąca. Sprawdź od jakiej Liczby Życia zaczął się czerwiec.

Napisałem równanie $1 + 6 + 1970 = 1977$ a wynik obliczyłem w pamięci. Wyszło 24 co dawało liczbę 6.

- Zaczął się od szóstki - stwierdziłem.

- I potem następują po sobie kolejne liczby czyli 7, 8, 9 i stawiam głowę, że 5 czerwca 1970 roku Liczbą Życia była jedynka.

Zacząłem pisać:

$$5 + 6 + 1970 = 1981$$
 a to dawało wynik 19 który w sumie sprowadzał się do jedynki.

- Pamiętasz swój najszcześniejszy dzień? - Cyferka zwrócił się do mnie. - Pamiętasz jego datę?

Na dźwięk jego słów niemalże natychmiast uśmiechnąłem się pod nosem.

- Pewnie, że pamiętam - odparłem.

- Więc sprawdź z ciekawości jaką miał Liczbę Życia - zasugerował.

Napisałem liczby, a właściwie datę mojego pierwszego spotkania z Agnieszką. Tak, to zdecydowanie był mój najszcześniejszy dzień w życiu.

$$30 + 5 + 1919$$
 wynik wyniósł 1954

$$1 + 9 + 5 + 4 = \dots$$

- Przecież to... - głos ugrzął mi w gardle. - Nie, to niemożliwe, po prostu niemożliwe!

- A może pamiętasz najbardziej parszywy dzień twojego życia? - Cyferka podsunął swój kolejny pomysł.

- To był ten dzień, kiedy zostałem aresztowany - powiedziałem na głos i drżącą dłonią zacząłem pisać:

$$21 + 2 + 1922 = 1945$$

Nie miało sensu rozpisywać na pojedyncze liczby wyniku zawartego ciągu czterech cyfr. Wystarczyło tylko spojrzeć...

- I co, faktycznie twoja liczba pojawia się w tych datach? - Zapytał mnie Johnny.

Spojrzałem na niego i czułem, że na mojej twarzy maluje się wyraz totalnego zaskoczenia.

- Tak - wydusiłem z siebie tylko jedno słowo.

- Daj ten kajecik, niech ja sobie sprawdzę coś swojego - powiedział i nie czekając na jakąkolwiek reakcję z mojej strony, zabrał mi zeszyt sprzed nosa.

Byłem wstrząśnięty tym, co wynikało z prostych obliczeń.

- Jak to możliwe? - Zapytałem Cyferkę, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie wiem, na to pytanie nie znam odpowiedzi. Miałem dwadzieścia pięć lat, kiedy przypadkiem dokonałem tego odkrycia. Zdążyłeś się już przekonać, że jakkolwiek byś nie dodawał ośmiu cyfr zapisanych w dacie, wtedy dążąc do uzyskania liczby pojedynczej, zawsze otrzymasz ten sam wynik. Johnny pozwolisz, że zabiorę ci na chwilę zeszyt? - Zapytał grzecznie. - Spójrz na te dwa równania - pokazał palcem na pierwsze obliczenia Johnnego. - Chłopak urodził się 16 grudnia roku pańskiego 1937. Każda data ma osiem liczb. Dodaliśmy je kolejno, a wynikiem jest liczba 3. Tutaj wykonaliśmy zupełnie inne działanie, konkretny dzień plus miesiąc plus rok i co wyszło? Znowu dobrnęliśmy do liczby 3. Proszę - podał mi ołówek - zróbmy jeszcze inne równanie, żeby uzyskać nomen omen trzecie potwierdzenie - powiedział z uśmiechem.

- Co mam napisać? - Zapytałem.

- Połącz w jedną liczbę dzień i miesiąc urodzin Johnnego.

Napisałem 1612.

- A teraz dodaj do tego rok i oblicz wynik.

Wykonując działanie mówiłem półgłosem:

- 1612 + 1937 daje nam razem... - zacząłem rachować w myślach, ale to były zbyt duże liczby i po chwili zapisałem je w słupku. - Suma wynosi 3549 - rzekłem i spojrzałem na Cyferkę.

- Zgadza się - odparł - a teraz sprowadź wynik do liczby pojedynczej.

Zerknąłem na moje zapiski i... znowu wyszło 3.

- Pamiętasz jak kilka miesięcy temu zapytałem cię o datę twoich urodzin? - Powiedział Cyferka, patrząc mi prosto w oczy.

- Było coś takiego - wtrącił się Johnny - pytał cię o to - pokiwał palcem i dodał: - A ty gadałeś o jakimś świętym Dionizym czy kimś takim...

- O świętym Dyzmie - poprawiłem Johnnego wpadając mu w zdanie i wtedy dopiero przypomniałem sobie, że Cyferka, który teraz kartkował stronicę swojego zeszytu, faktycznie mnie wtedy pytał o dzień moich urodzin.

- To było 26 marca - powiedział - pamiętasz co się wydarzyło w twoim życiu? To musiało być coś ważnego, bo wtedy sprawdziłem jaka Liczba Życie jest przypisana do tamtego dnia.

Zastanowiłem się przez chwilę i oświeciło mnie:

- Wiem! - Prawie krzyknąłem. - 26 marca dowiedziałem się o tym, że otrzymam emeryturę i trzysta tysięcy wyrównania za poprzednie lata.

- I jak myślisz? Która z dziewięciu Liczb Życia przypadała tamtego dnia? - Zapytał Cyferka.

- Nie pierdol, że jedynka! - Powiedział Johnny zaskoczonym głosem.

Gryski spojrzał po naszych twarzach, a potem położył kajet na taborecie i pokazał nam swoje obliczenia.

26 marca 1970 roku przypadała liczba jeden.

- Wiecie co wam powiem - odezwał się Johnny i pochylił się nieco w przód - jesteście jacyś dziwni. Jakby nie z tego świata. Jeden ma jakieś dziwne przygody i głądzi o wędrówkach dusz i kolejnych wcieleniach, drugi - spojrzął na Cyferkę - pieprzy coś o matematycznej magii i opowiada jakieś cuda o tajemniczej Liczbie Życia. Nie wiem czy u mnie coś się zgadza, bo nie pamiętam konkretnych dat. We Wronkach zjawiłem się 29 listopada 1963 roku i wychodzi na to, że wtedy była piątka, a nie trójka. Moje życie nie ma nic wspólnego z liczbami - stwierdził.

- Ja nie powiedziałem, że Liczba Życia odciska się wyraźnym piętnem u każdego, ale sam widzisz, że w wypadku Ropucha jest to ewidentne - rzekł Cyferka. - W moim życiu zdarzyło się raptem kilka dni, które zostały w ten sposób naznaczone.

- A jaka cyfra jest twoja? - Zapytałem wpadając mu w zdanie.

- Siódemka - odparł. - Powiem ci, że oprócz ciebie znałem tylko dwóch ludzi, którym równie intensywnie jak tobie, towarzyszyło znamię Liczby Życia.

- Kurde generale - wtrącił Johnny i dodał swoim dźwięcznym, wesołym głosem - chyba jesteś jakimś pieprzonym wybrańcem!

Na swoim przykładzie dochodzę do wniosku, że w życiu każdego człowieka czasami dzieją się niesamowite, a może nawet niewytłumaczalne rzeczy. Sęk w tym, że chyba nie każdy potrafi je dostrzec. Przechodzimy obojętnie obok niektórych spraw uważając je za błahe, banalne lub niewarte naszej uwagi. Jeżeli dostrzegamy lub czujemy coś tajemniczego, boimy się zwierzyć drugiej osobie ze swoich doznań. Jesteśmy pełni obaw, że nasza szczerłość może stać się dla innych powodem do drwin, a w takim wypadku ludzie czasami potrafią być bardzo okrutni.

Kiedy przytrafia nam się coś złego i mamy pecha, myślimy sobie: - *Boże! Dlaczego właśnie ja?! Dlaczego właśnie teraz?! Za co?! Kurwa mać, za jakie grzechy?!* Jeżeli mamy farta i los się do nas uśmiechnie pełną gębą, potrafimy w duchu powiedzieć: - *Dzięki ci Panie!* - i na tym się kończy. Nie zastanawiamy się dlaczego właśnie dziś spotkało nas szczęście. Nie zaprzątamy sobie głowy detalami. A może jednak warto się przekonać, czy taki dzień ma coś wspólnego z magią liczb? Może właśnie teraz powinniście wziąć ołówek, napisać na kartce dzień swoich urodzin i dokonać obliczeń według teorii Cyferki? Zapewniam was, że chwilę później poczujecie pokusę i napiszecie inne daty, które miały dla was w przeszłości znaczenie. Na przykład dzień ślubu, narodziny dziecka albo śmierć kogoś bliskiego. A może odgrzebiecie w pamięci inny dzień? Taki, o którym wiecie tylko wy i nikt więcej. Mroczny sekret, o jakim nie sposób zapomnieć. Ponura tajemnica, która czasami przypomina wam, że zdarzyła się naprawdę...

Jeżeli stwierdzicie, że magia liczb zostawiła w waszej przeszłości swój ślad, to jestem święcie przekonany, że zaczniecie w nią wierzyć. Bardzo szybko zaświta wam w głowach pewien zwariowany pomysł i większość z was pójdzie za ciosem. Tak właśnie było ze mną. Zaczniecie grzebać w przyszłości. Jednak ostrzegam was, że sprawdzanie numerów dni, które dopiero mają nadejść, to diabelska zabawa i trudno ją przerwać. Dobrze się zastanówcie, czy chcecie podjąć takie ryzyko, bowiem każde działanie niesie ze sobą konsekwencje...

Na tym kończę kolejny dziennik mojej spowiedzi, a wy teraz sprawdźcie, czy wasza

przeszłość jest napiętnowana Liczbą Życia.
8.11.2017 Rybnik, Polska